Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

Józef Hen

Milczące między nami

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Spróbuję. Jeszcze nie wiem, co to będzie – diagnoza, opis czy może spowiedź. Ale wiem, że od pewnego czasu ciągnie mnie, żeby zaczerniać długopisem puste arkusze papieru. To coś nowego, jakieś skrzywienie neurotyczne, nad którym nie potrafię zapanować. Poddam mu się, trudno – po co walczyć z sobą? Zanosi się na niezły chaos – tyle spraw wydaje mi się ważnych, koniecznych do utrwalenia, teraz, kiedy się do tego zabieram – ale czy pozostaną one równie ważne, kiedy będzie się to czytać, albo choćby tylko zrozumiałe? Już nie ma sprawy, już ktoś inny krzyczy poparzony, ranny, oślepły, oszalały z rozpaczy...

Poniszczyłem już trochę papieru, żeby napisać pierwsze zdanie, bo każde wydało mi się skądś znajome, zasłyszane. Napisałem: „Szedłem pośpiesznie ulicą..." Nie, było! Albo: „Obudziło mnie światło". Gdzieś czytałem. „Żył mąż w ziemi Uz, tak a tak mu było na imię." Znajome. Wszystko stawia opór: kartka, długopis, myśl. Ale spróbuję. Nie po to, żeby „odzyskać czas stracony", nie po to. Chcę zostawić świadectwo. Złożę je do metalowej puszki. Dobrze zalutuję. Zakopię głęboko, ale tak, żeby można było do tego dotrzeć. I kiedy tu wszystko buchnie grzybem i nastanie cmentarna cisza – ci, którzy przeżyją, będą mogli znaleźć mój zapis i dowiedzieć się, jak z nami było.

(Nie, z tym grzybem to coś nie tak. [Wtrącam to po kilku tygodniach.] W głębi duszy nie wierzę, żeby nam groził. Jako symbol – nadużyte. I czy naprawdę zależy mi na tym, żeby w jakiejś innej rzeczywistości – raczej mało sympatycznej – mój głos został wysłuchany? Żeby t a m t y c h do czegoś przekonać? Dobrze, zalutuję, zakopię – zgoda, w porządku – ale chyba tylko dlatego, żeby coś robić w tym miotaniu się, żeby jakoś dać wyraz swojej jedyności – proszę mnie zbyt pochopnie nie rozumieć, mam na myśli to, że choć małpujemy jedni drugich, to każdy z nas jest jedyny, niepowtarzalny, zagadkowy dla innych, źle przez nich komentowany, stąd bezsilność psychiatrii, trzeba więc próbować opisu, pokazać to, co nas otacza, pokazać w tym siebie, może coś z tego wyniknie.) Spróbuję.

Nie jestem zawodowym opowiadaczem, ale nie znaczy to wcale, że pisanie jest dla mnie czymś całkowicie obcym. Przeciwnie, nawet do pewnego stopnia żyłem z pisania. W tygodniku „Życie", w którym prowadziłem dział gospodarczy (z wykształcenia bowiem jestem ekonomistą, zrobiłem doktorat z problematyki gospodarczej byłych kolonii francuskich, i nawet zasiadałem w różnych komitetach doradczych, w których wysłuchiwano moich propozycji, a potem oni i tak robili swoje), otóż w tym ilustrowanym tygodniku ukazywały się sporadycznie moje artykuliki, te dłuższe podpisane imieniem i nazwiskiem – Jerzy Wilkot jestem, do usług – te krótsze literkami M M N, które intrygowały, bo nie można ich było rozszyfrować. Twierdzono, że styl mam suchy, rzeczowy, nieozdobny, trochę pedantyczny, szczególnie ten M M N był z tego znany. Żadnej malowniczości, anegdot, dowcipuszków, portretów, opisów zachowań ludzkich – unikałem tego z zasady – chociaż czasem, w niektórych moich relacjach o sytuacji gospodarczej, dopatrywano się ukrytego sarkazmu. Z tych artykułów zebrała się z czasem książka o specyfice gospodarczej Trzeciego Świata, ukazała się w nakładzie trzech tysięcy egzemplarzy, z których sprzedano osiemset, większość po przecenie. Reszta już miała pójść na przemiał, kiedy ktoś na szczeblu dopatrzył się w niej sądów nie wyważonych i informacji szkodliwych, zaatakowano ją w prasie i potem na bazarze Różyckiego szła za równowartość pięciu butelek wódki.

(Wyrzuciłem parę stron do kosza. Zdania nie układały się na miarę mojej goryczy. Były jak poprzebierane w cudze stroje, znoszone i wytarte na łokciach. Więc kreśliłem i kreśliłem, aż wreszcie zostało tak:

Powoli zbliżał się kres. Ludzie podleli.

Dobrze, pomyślałem, dalej tak. Ale potem zdarzyło się coś, jeszcze nie mogę powiedzieć co, ale coś tak istotnego i coś tak burzącego, że po prostu nie mogłem z tym zdaniem się pogodzić. I znowu będzie inaczej.)

Pewnego dnia przestałem odnotowywać tytuły przeczytanych książek. Było to w dniu Porażenia – tak nazywam ten dzień – po wysłuchaniu komentarza radiowego. Nagle zobojętniały mi różne zwyczajowe czynności. Odnotowywać przeczytane książki to znaczy ufać w przyszłość. A ja, słuchając tego komentarza, straciłem wszelką ufność. Nie chciało mi się już nic dodać do mojej lekturowej statystyki. Prowadziłem ją od dziecka, od pierwszej gimnazjalnej (z przerwą na wojnę), czasem z lekka naciągając ilość – na przykład, jeśli powieść była wydana w 14 tomikach, jak *Vice-hrabia de Bragellonne* Dumasa, to u mnie przybywało 14 pozycji, chociaż ten sam tytuł wydano również w dwóch grubych tomach. Może się to wydać niezbyt rzetelne, ale pamięć o tym tricku przydała mi się po latach, kiedy studiowałem z obowiązku oficjalne tabele statystyczne. I jeszcze miałem tę korzyść, że wiedziałem, ile przeciętny czytelnik jest w stanie pochłonąć książek. Kiedy ktoś mi mówi, że pochłonął dziesiątki tysięcy tomów, ja się tylko uśmiecham. Bo ja liczyłem.

Pewnego dnia przestałem zapisywać tytuły przeczytanych książek... Nie, zacznę od wydarzenia wcześniejszego, od spotkania z panem, którego tu nazwiemy „Ślusarczykiem". Wtedy pojęcia jeszcze nie miałem o klęsce, która mnie czeka (i was też – bo moja klęska jest i waszą klęską, nie od razu zdaliście sobie z tego sprawę, ale ja wiedziałem, ja rozumiałem, że to dotyczy wszystkich), wtedy jeszcze wszystko ze mną było dobrze. Za dobrze.

Tak, za dobrze. Odczuwałem nawet z tego powodu wyrzuty sumienia. Spokojna praca, dach nad głową, co dzień mięso, drogie papierosy, wakacje nad morzem. Podróże zagraniczne. Z Sarą rozstaliśmy się bez awantur. W domu wiszą jej portrety i czasem łapię się na tym, że przyglądam się z zachwytem którejś z fotografii. Ponieważ wyjechała na jakiś czas za granicę (co było niespodzianką, wyjechała nie sama i to było jeszcze większą niespodzianką, czymś szokującym, wywracającym na nice wszystkie moje pojęcia o niej, na pewno zdawała sobie z tego sprawę, może nawet zrobiła to dlatego, żeby zaszokować, żeby mi „pokazać"), wyjechała więc, a Krysia ze Zbyszkiem zostali ze mną. Jak na dzieci, całkiem owszem – kretynami nie są, nie kaleki, raczej zdolne, raczej miłe, raczej ładne – czego jeszcze od Pana Boga żądać? Wszystko aż nadto w porządku. Dach nad głową – to przecież było to, czego najbardziej pragnąłem. Kto nie wałęsał się czasu wojny po obcych krajach, kto nie nocował w szopach, w rowie, w zapchlonym stogu, w wilgotnej ziemiance, kątem u ludzi na podłodze, po dziesięciu w izbie, komu w kość nie wlazł nocny chłód na pustyni, podczas gdy język zamieniał się w wysuszony wiór, kogo nie wysmagał zimny wiatr, nie wychłostał jesienny deszcz, kto nie brnął przez śniegi podczas mlecznej kurzawy zalepiającej oczy, podczas gdy światełka chatynek migotały o kilometry, wciąż tak samo daleko – ten może nie rozumie, co to znaczy: błogosławieństwo dachu nad głową. Ale my – my rozumiemy. I dlatego podejrzewałem, że jest za dobrze. Długo tak nie może trwać. Coś się stanie. Będzie kopniak w brzuch...

Próbowałem zamawianiem odczarować nadciągające zło. Mówiłem Grzegorzowi, mojemu wybitnemu przyjacielowi, że może warto się zubożyć, wyrzec czegoś („ale czego – pytał – tych naszych pięćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych?"), no, nie wiem, jakoś to trzeba z losem załatwić. Pójść na układy. Nie ja pierwszy odczuwałem taki niepokój – i nie ja chyba

ostatni. „Śmieszny to był pomysł Polikratesa, tyrana z Samos – wynotowałem z Prób Montaigne'a – który, aby przerwać bieg swego nieustannego szczęścia i odkupić je, wrzucił w morze najdroższy i najpiękniejszy klejnot, mniemając, iż tym dobrowolnym nieszczęściem uczyni zadość odmienności i złośliwości fortuny... ona zasię, aby zadrwić z jego głupoty, sprawiła, iż tenże sam klejnot wrócił znowuż do jego rąk, znaleziony w brzuchu ryby." Czego Montaigne nie uwzględnił, to tego, że ten tyran, zarazem właściciel statków handlowych, był to łotr bez skrupułów, który wzbogacił się na piractwie i zamordował dwóch swoich braci. (A nadwornym jego poetą był nie kto inny jak Anakreont, piewca radosnego życia – wesoło musiało mu być na tyrańskim dworze.) Może rzucając pierścień do wody zbrodniarz chciał oddalić zbliżającą się zemstę? Nie udało się. Fortuna czyhała na jego głowę i nie dała się przekupić. Znam jednak ludzi, którzy nie muszą obawiać się przewrotności fortuny: od kolebki po grób są pieszczochami losu. Ba, znam całe rody wybrańców. Jak zaczęło im się powodzić gdzieś w jedenastym wieku – za sprawne i okrutne ścinanie głów sypnęły się na nich grunty, lasy, poddani, srebrne monety – tak potem już przez stulecia znajdowali się u góry, nigdy nikt z nich się nie spocił, chyba goniąc konno, i tak po dziś, mimo wszelkich przemian, w porę zdążyli się skrzyżować z obcoplemiennym patrycjatem miejskim, z bankierstwem, stalownictwem, uczonością, zbieractwem, ci zaś niezaprzeczalni eksperci spowinowacili się lub zaprzyjaźnili z decydentami wszelkich ustrojów, no i znowu są w siodle, znowu w salonach, znowu na parkietach sal recepcyjnych, suną volvami, mercedesami, pytlują po angielsku i jeszcze czasem po francusku, odwiedzają rodziny przemyślnie ulokowane w Londynie, Kalifornii, na Florydzie, Sycylii i w Nicei, i tam za nas cierpiące, stamtąd namawiające nas do oporu, wyrzeczeń, mszy i głodówek, więc tak krążąc między Florydą a Jabłonną uprawiają mimochodem jeździectwo, sztuki piękne, porubstwo i tradycję.

Ale to nie ja. Ja z tych, co się pocili. Sam też brałem w skórę – i to było w naturze rzeczy. Nic nigdy nie szło mi lekko. Wszystko, cholera, w piekielnym trudzie. Aż wreszcie zaczęło być jako tako – i od razu wyrzuty sumienia. Że może to kosztem innych. Że ja mam, a tamten nie. Że ja do pracy na dziewiątą albo i później, albo i wcale, a tamten codziennie zrywa się po ciemku i drałuje na siódmą dygocząc z niewyspania. Że ja w ciepłym pomieszczeniu, a tamten na mrozie albo w deszczu, albo w błocie, albo na wietrze. Na rozkołysanym morzu, dziewięć stopni w skali Beauforta, łowi dorsze – dla mnie. (Nie lubię dorszy.) Ja z piórem – on z łomem. Ja czyściutki, wygolony – on z dłońmi przeżartymi mazutem, twarz pokryta pyłem węglowym. I tak bez końca. W przeczuciu, że ono się nagle urwie, to moje szczęście.

Toteż potrafiłem je cenić. Byłem szczęśliwy, kiedy z lekka powłócząc nogami, rozmyślając leniwie, wracałem od Tońki do domu. Spragniony i złakniony kalorii, wstąpiłem do cocktail-baru na Nowym Świecie i zafundowałem sobie kawę i dużą porcję lodów. Dobrze, psiamać. Nie muszę liczyć się z groszem. Jest na życie, jest na dzieci i jest na Tońkę. Nie odkładam, nie mam zwyczaju. Domek, działka, samochód – nic z tego mnie nie nęci. Inni wypruwają sobie dla tych głupstw żyły i dostają ataków serca, a ja beztroski, wolny. Własność krępuje człowieka, zmusza do konformizmu, ustępstw, a ja przede wszystkim chcę być niezależny. Wyszedłem z baru na ulicę, padało. Bardzo dobrze, lubię lekki deszcz, lżej oddycham. W kieszeni sportowego płaszcza miałem numer „Kulis", a w nim to ogłoszenie: K t o , k o m u p o w i o d ł o s i ę w ż y c i u , p o ż y c z y n a p ó ł r o k u k o m u ś , k t o c h c e w y s t a r t o w a ć o d n o w a , c z t e r y d o p i ę c i u t y s i ę c y z ł o t y c h ? I numer ogłoszenia. To właśnie ogłoszenie pokazałem pół godziny temu Tońce, kiedy z ręcznikiem przez biodra miałem iść do łazienki pod natrysk, a ona leżała na tapczanie, złota grzywka opadała jej na czoło. Przeczytała i mruknęła: „Niezłe." Potem uśmiechnęła się: „Spryciarz." Nie powiedziała: gdzie on znajdzie wariata, który mu da cztery patyki? Cztery do pięciu tysięcy, pomyślałem, można zaryzykować.

Spryciarz, psycholog. „Komu się powiodło..." Biały dzień, ludzie tyrają na chleb, a ja bezwstydnie pod ciepłym, rzęsistym natryskiem – jeśli czymś znużony, to rozkoszą, tylko

tym. Potem czysta koszula, białe bawełniane kalesonki, wzorzyste skarpetki. Wykąpany, wytarty, lekki jak młodzieniaszek, wtulam usta w pachnące włosy mojej dziewczyny, ona ściska mi uszy i ściąga moją głowę prawie siłą do swoich ust, tak jest spragniona mojego pocałunku. Taki jej jestem potrzebny – taką mam cholerną wartość – ja, moje usta, moja męskość. Nie jestem już, co prawda, spragniony tego pocałunku, w ogóle nie jestem już jej spragniony – ale przecież wiem, z ustami w jej ustach, pieszczony przez nią natarczywie, wiem tak obiektywnie, niejako z zewnątrz, że jest to świetna dziewczyna, niekłopotliwa, łatwa do usatysfakcjonowania, cudza żona, wygodna. Chyba ładna, chociaż ja od pewnego czasu przestaję to zauważać. Dobrze jest na pożegnanie ją obejmować, pieścić jej piersi, droczyć się wargami i słuchać szeptu: „Och, Jurasku, zostaw mnie, bo cię nie puszczę od siebie." Ale ja lubię roznamiętniać ją przed swoim odejściem. Spytałem: „Pożyczyć mu? Zamiast kwiatów dla ciebie?..." Nie powiedziała „tak" ani „nie", tylko: „Kwiaty muszą być swoją drogą."

Zadecydował o wszystkim mój syn. Pokazałem mu to ogłoszenie w „Kulisach". „Zbyszku – powiadam – co ty na to?" Studiował ogłoszenie, jakby było równaniem matematycznym, a ja przyglądałem się czarnej gęstwinie jego włosów, miał je po matce. „Tato – powiedział – załatw to." Był po zadaniu maturalnym, właśnie z matematyki, wszystko rozwiązał, jemu też się dziś udało, ale chyba nie dlatego chciał, żebym odezwał się na to ogłoszenie, tylko dlatego, że mnie kochał. Dzieci mają diabelne ambicje na temat swoich ojców. Matka to ostatecznie może sobie być tylko mama, nie musi się wyróżniać niczym nadzwyczajnym, mama jest dobra (fajna), oczywiście cnotliwa, ładnie się czesze, bosko gotuje, strasznie roztargniona, nieporadna, ale ma gust (bombowy!), sarka, zrzędzi, nerwowa, a i tak jej można po głowie jeździć. Najważniejsze, żeby po prostu była – i matkowała. (Nie ma jej, wyjechała! Z facetem – nie do wiary!) Ojciec to co innego, to już musi być ktoś: bohater podziemia, więzień Oświęcimia, ranny w powstaniu. (Ja też mam niezły dorobek, nawet dość malowniczy – wojna domowa w Hiszpanii, internowanie na południu Francji, obóz na pustyni pod Algierem, ucieczka do Dakaru, stamtąd przerzut samolotami do ZSRR, bitwa pod Lenino – pchałem się do awantur jak idiota – ale okupacji nie doświadczyłem i jedyni Niemcy, których poznałem, to byli Niemcy pokonani, potulni, z uległością w oczach. Byłem zwycięzcą! Być zwycięzcą – to nawet trudniejsze niż być pokonanym. Uczyłem się powoli tej trudnej sztuki, uczyłem się walcząc ze sobą, z pokusą pychy i samowoli. Przepraszam za przydługi nawias, ale nie umiem sobie poradzić z natłokiem materiału. Nie mam doświadczenia.) „Mój ojciec – będzie potem Zbyszek mówić kolegom, niby od niechcenia – to ciężki frajer. Trwoni pieniądze na obcych ludzi." Zrobię ci tę przyjemność, pomyślałem. Spytałem o pocztę. Żadnej.

– Listu od mamy nie było?

– Nic.

– Już chyba ze trzy miesiące.

– Mama jest niepiśmienna – tłumaczył Zbyszek z uśmiechem.

Sara (dla wszystkich prócz mnie – Stenia) nie była niepiśmienna, tylko po prostu nie miała poczucia czasu. Uważała za niegodne swojej osoby podporządkowanie się kalendarzowi – zegarek leżał na biurku tygodniami nie nakręcony – wolny duch, ktoś naprawdę niezależny, a przecież wszyscy mamy wmontowany w siebie chronometr, kobiety zaś – no, wiadomo, one w szczególności. Ale Sara była ponad. Nawet pociągi powinny były czekać, aż ona się przebierze, uczesze i wygramoli z domu i trzeba przyznać, że – dzięki elastyczności rozkładu jazdy – często im się to zdarzało. Nie wiem, jak to teraz jest z nią w Paryżu – pewno jest bardziej zorganizowana, życie tam twardsze niż na Słowiańszczyźnie, a poza tym nie ma mnie, którym jej kalendarz zastępował. Słyszałem, że prowadzi samochód, małego citroena, nie do wiary. Na miejscu tego faceta nie pozwoliłbym na to. Prawdę mówiąc, czasem ogarnia mnie niepokój...

Napisałem kartkę do tego gościa z ogłoszenia: jeśli to nie jest spóźniony żart primaaprilisowy, to może do mnie zadzwonić, pogadamy. Potem poszedłem do Interflory, żeby znowu wysłać róże do Paryża.

– Redakcja „Vogue"? – spytała z uśmiechem niebieskowłosa, starsza pani, wielka miłośniczka róż.

– Ach, pani pamięta.

– Ta sama adresatka? – upewniła się wypisując kwit.

– Tak, panna Jerry Hall.

– Zdaje się, że to piękna dziewczyna.

– Bez wątpienia.

– Przyjemnie mieć takie znajomości.

Nie przyznałem się, że wcale nie znam Jerry Hall. Widziałem jej zdjęcie w „Newsweeku", spodobało mi się to, że nie wyglądała na modelkę, miała ludzką twarz, a nie maskę, nosiła kraciastą kowbojską koszulę rozpiętą na płaskiej piersi, a spojrzenie jasnych oczu było takie, że pomyślałem: „Mój Boże, czemu to nie jest moja dziewczyna?" Może i jej byłoby dobrze ze mną, może lepiej niż z tymi wszystkimi gwiazdorami, gitarzystami, krytykami, managerami, którzy się kręcą koło niej i na których jest skazana. Tak to jest, słuchajcie mnie, ludzie, tak zwani prości – jeśli dla nas gwiazdy są niedostępne, to i my jesteśmy niedostępni dla nich, bariera dzieli w obie strony i nie wiadomo, kto tu jest bardziej poszkodowany. Jerry, twoje szczęście jest w Polsce, jest nim głodny uczucia współpracownik tygodnika „Życie", podpisujący się literkami M M N. Trochę mnie speszyła informacja, że ona mierzy 5 stóp 11 cali wzrostu, o dziesięć centymetrów wyższa ode mnie plus obcas (chociaż na zdjęciu wcale na taką żyrafę nie wygląda), ale, rany boskie, co to przeszkadza w uwielbieniu, nic a nic, nie spacerujemy przecież pod rękę, ona krąży między Paryżem a Teksasem, a ja tu, na Nowym Świecie, z daleka podziwiam, można ją o tym zawiadomić, no i tak zacząłem posyłać kwiaty na paryską redakcję „Vogue".

(Warto otworzyć nawias. Jest pewna dziewczyna w Warszawie, o której czasami myślałem podobnie: że gdyby była moja, to – nie wiem właściwie co – tylko właśnie tak: ach, Boże mój, czemu nie jest moja? Widziałem ją kilkakrotnie w wydziale dokumentacji jednego z ministerstw gospodarczych, z którym współpracowałem, załatwiła szybko, z zabójczą powagą, moją sprawę, dostałem to, o co prosiłem, a w końcu uśmiechnęła się, z obowiązku rzecz prosta, ale ja zapamiętałem ten uśmiech – i czasem o nim myślałem. Chociaż nie wiedziałem o niej nic, tylko to: że wysoka i giętka jak trzcina, jasnowłosa, głos metaliczny, dźwięczny, oczy inteligentne i o przedziwnym blasku i sile spojrzenia. Te jasne włosy były proste, nie nazbyt długie, zakrywały uszy i kark. Nie zwróciłem uwagi, w czym była, kiedy widziałem ją po raz pierwszy, zapamiętałem tylko, że widziałem ją w czymś niezwykle atrakcyjnym; kiedy przyszedłem po raz drugi, była w granatowym fartuchu urzędniczym. – A gdzie ta śliczna sukienka, w której pani była ostatnio? – spytałem. – Jaka sukienka? Byłam w tym fartuchu. Zrozumiałem, że ta dziewczyna wściekle mi się podoba. Kiedyś widziałem ją na ulicy z barczystym, młodym wąsaczem – tak, strasznie był młody, przerażająco – mówił coś z ożywieniem – „piękna para", pomyślałem. „Piękna para, niech im Bóg da szczęście" – pomyślałem, serce mi się ścisnęło, poczułem żółtą zazdrość. Może dlatego przestałem przychodzić do tego biura dokumentacji.)

– Załączamy liścik? – spytała pani z Interflory.

– Jak zwykle.

Napisałem po angielsku do Jerry, że jest cudowną dziewczyną, że posyłanie jej polskich kwiatów sprawia mi przyjemność, nie musi mi odpowiadać, niech się w ogóle niczego nie obawia, bo wyjazdu za granicę przez najbliższy okres nie przewiduję. Dziesięć centymetrów wyższa – niech to drzwi – i o milion dolarów bogatsza – i trzydzieści lat młodsza. Usłyszałem głos pani wypisującej kwit:

– Widziałam jej zdjęcie i ciekawa jestem, czy w życiu jest równie atrakcyjna. Wie pan, wcale nie musi, wystarczy być dobrze umalowaną.

Tamto zdjęcie, to przeze mnie podziwiane, było bez makijażu.

– Jest nawet bardzo atrakcyjna. – Dodałem, pozornie bez związku: – Lubi jeździć konno. Jej ojciec ma ranczo w Teksasie.

– Dla mnie to brzmi jak bajka.

– Dla mnie też.

Ale czemu nie przybliżyć się do bajki? Czemu kulić się w skorupie, nie próbować jej przebić? Zapłaciłem. „Ostatecznie, to tylko kwestia pieniędzy", pomyślałem, ja, bezbarwny ekonomista. Płacę – i Jerry dostaje w Paryżu kwiaty. Wspaniała rzecz – obrót pieniężny! To, że tyle rzeczy przechodzi z rąk do rąk po prostu za pieniądze, to jest wielkie osiągnięcie ludzkości. Ci szaleńcy z Kambodży chcieli to zlikwidować – szaleniec z doktoratem z Sorbony – z braku wyobraźni, zrozumienia, zastanowienia. Pieniądz – źródło nierówności – jest także likwidatorem nierówności, która istniała, zanim go jeszcze wynaleziono. Płacę – i jestem obsługiwany. (Nie u nas.) Wszystko dla mnie. Za co? Za moje wybitne zdolności? Za papierki, śmiecie. Pieniądz – źródło postępu i zdrowia psychicznego. Ta formuła to szczytowe osiągnięcie myśli ekonomicznej Jerzego Wilkota po dwudziestu latach pracy na niwie.

Więc kwiaty dla Jerry Hall – od ciebie, pętaczyno. Od M M N, tygodnik „Życie", Warszawa, ulica Nowy Świat. Mieszkamy podobno w jednej wiosce, oglądamy te same mecze, tego samego porucznika Columbo, tego samego Newmana, Hoffmana, Redforda, ba, czytamy ten sam „Newsweek" – ona, ja, szach perski, król Arabii Saudyjskiej, premier Anglii. Gdyby ją jeszcze można było namówić, żeby zaabonowała „Trybunę Ludu" (którą ja, co prawda, tylko przeglądam)... Wziąłem kwit. Pani z Interflory powiedziała:

– Uroda to nie wszystko.

– Naturalnie. Ale są pewne rodzaje urody... Proszę, to dla pani.

Wręczyłem jej tabliczkę czekolady. Uroda to nie wszystko – wiem, wiem... (Zapisałem tu pół strony rozważań na tematy fizjonomiczne, ale po namyśle wykreśliłem to. Nieważne.)

Ten „Ślusarczyk" z ogłoszenia wcale mi się nie spodobał. Siedząc naprzeciw niego w kawiarni „Czytelnika" wiedziałem już, żem wpadł. Właśnie ta fizjonomia, Boże, przebacz zarozumiałość – kim jestem, że osądzam wygląd bliźnich? – twarz szczura, blada, oczy wlepione we mnie z nabożeństwem, raz po raz zalewające się wazeliną (takie oczy widziałem kilka lat później u jednego kosmonauty, pomyślałem wtedy: czy warto polecieć w kosmos, jeśli po powrocie ma się nadal oczy pełne wazeliny?); znam brzydkie twarze prześwietlone inteligencją, dobrocią, a tutaj nic takiego, myślałem – policzki skrzeczały, coś w nich było zgrzytającego – nie, powiedzmy wprost: ten facet nie robi dobrego wrażenia, trąci hochsztaplerem, stracisz te pięć tysięcy – nie, cztery, zredukowałem w myśli, dam mu tylko cztery, nie dawaj nic, nie, dam, za późno się wycofać. Spytałem, ile było zgłoszeń.

– Tylko pańskie – pośpieszył z zapewnieniem, i to tak skwapliwie, jak gdyby to miał być dla mnie jakiś ogromny komplement. Ale znaczyło to tylko tyle, że Polska wcale nie jest krajem frajerów. – Może pan wierzyć albo nie – mówił – ale pan ma szansę mnie uratować. Żona w ciąży, nie może pracować, ja przez różne intrygi znalazłem się na dnie – jeśli pan chce, opowiem panu, to nie do wiary, co oni potrafią zrobić z człowiekiem...

– Kiedy indziej – przerwałem. I pomyślałem: jacy „oni"? Znowu słowo, które dla każdego mogło znaczyć co innego. – Niech mi pan powie – nie musi pan, oczywiście, ale wolałbym wiedzieć, jeśli można – jak pan użyje tych pieniędzy? (Możliwe, że ciekaw byłem tego po prostu jako obserwator drobnych zjawisk ekonomicznych.) Czy idzie o pokrycie długów?

– Och, nie, wcale nie mam długów, po prostu jestem na zerze, żona w ciąży, nie chcieliśmy tego, wypadek przy pracy, na skrobankę za późno, ale nie o to idzie, tylko o moją sytuację, muszę wszystko zaczynać od nowa. Umiem fotografować, potrzebne mi pieniądze na

materiał. Mam już zapewnioną ciemnię u faceta na Wybrzeżu. W ciągu trzech, czterech miesięcy letniego sezonu mogę się dźwignąć. Wie pan, zdjęcia na plaży, pamiątka z wakacji.

– To brzmi rozsądnie – pochwaliłem. – Wystarczą panu cztery tysiące?

Uśmiechnął się przymilnie.

– Bardzo panu dziękuję. – Co za skrzecząca gęba, myślę, nie głos, właśnie gęba. Wyjął z czarnej teczuszki kartkę papieru. – Może mi pan podyktuje pokwitowanie?

Położyłem dłoń na kartce.

– Nie, panie „Ślusarczyk", załatwimy to inaczej. Jak się bawić, to się bawić. Ja też lubię mieć swoje satysfakcje. Żadnych rewersów, wszystko na słowo honoru.

– Jak pan woli. Nie zawiedzie się pan na mnie.

– Właśnie o to chodzi. Ja w pana inwestuję – inwestuję zaufanie. I chciałbym, żeby mi się to zwróciło z procentem.

– Nie rozumiem. – Zamrugał oczyma i po chwili sprostował: – Tak, rozumiem, oczywiście.

– Mamy maj, pół roku minie w listopadzie. Jedenastego listopada, w rocznicę Niepodległości – tak się złożyło, że są to również moje urodziny – spotkamy się tutaj i zwróci mi pan pieniądze. Taki sobie wymyśliłem prezent urodzinowy.

– Nie zawiedzie się pan – powtórzył. Wydawał mi się z lekka oszołomiony. Poszło mu zbyt łatwo. Myślał, że naciągnę go na wynurzenia, szykował zapas żalów, a tu rzecz załatwiła się błyskawicznie, wcale nie trzeba było mnie rozczulać.

Wręczyłem mu osiem banknotów po pięćset złotych. Układał je starannie w portfelu. (Nigdy nie nosiłem portfelu, nie wiem nawet, czy miałem wtedy coś takiego – teraz mam, dostałem od Tońki na imieniny, leży w szufladzie, trzymam w nim bony dewizowe, jak się zdarzą, i jakieś ważniejsze pokwitowania.) Potem, kiedy schował już ten portfel (wcale nie tani, ze srebrnym monogramem), podniósł na mnie oczy pełne niepokoju. Nie było już o czym mówić – i obaj o tym wiedzieliśmy. Wstałem i podałem mu rękę.

– Życzę powodzenia. Niech się pan odezwie.

– Na pewno. Pan pozwoli, że za kawę...

– Kawy moje. Do widzenia.

Odszedł – a ja poczułem się jak idiota. Grzegorz, który siedział przygarbiony dwa stoliki ode mnie, w otoczeniu wielbiących go redaktorek, tylko na to czekał. Opuścił stolik z wielbicielkami i przysiadł się do mnie.

– Słyszałem wszystko – powiedział.

– Bardzo niełądnie.

– Ja jestem chłop spod Złoczowa, sierota bez ojca, i trochę poloru nabrałem tylko dzięki tobie.

– Zdaje się, że mój wykwint nie na wiele ci się przydał.

Tak zwykle rozmawialiśmy – samymi półzłośliwościami. W tym przejawiała się nasza przyjaźń: że tolerowaliśmy docinki. Ale nigdy nie raniliśmy się do żywego. Jeśli Grzegorzowi wydało się, że powiedział coś, co mogło mnie naprawdę dotknąć, dzwonił do mnie jeszcze tego samego dnia i obsypywał mojego M M N komplementami (chociaż naprawdę niewiele go obchodził) i w ogóle był czuły i pamiętający. Przygarbił się teraz jak pod ciężarem i powiedział dobitnie:

– Ten facet mi się nie spodobał.

– Mnie też nie.

– To po coś to zrobił?

– Jakoś tak wyszło.

– Eksperyment? – domyślił się.

– Może.

– A nie mógłbyś, w charakterze eksperymentu, wziąć na utrzymanie mojej teściowej?

– Nie dręcz mnie...

Poczucie humoru mnie opuściło: czułem się jak idiota, już to raz powiedziałem. Inwestycja! Jeśli tak, to może dobrze, że nikt nie zwracał uwagi na moje doradztwa inwestycyjne...

– Widzę, że masz po nim kaca – zauważył Grzegorz. Kiwnąłem głową.

– I wiem dlaczego. Nie chodzi ci o te pieniądze, bo może one nie przepadną, ale o to, że dałeś się naciągnąć przez cwańszego od ciebie psychologa.

– Zrobiłem to, bo jestem samodzielny – oświadczyłem dumnie.

Myślę, że on, ze swoją piekielną inteligencją, zrozumiał, w czym rzecz, bez dodatkowych wyjaśnień. Presja tego, co „wypada", co „ludzie pomyślą", powoduje nie tylko to, że człowiek pod naciskiem bywa lepszy, niż jest w istocie, ale także (i może równie często, a nawet częściej), że jest gorszy, niż byłby pozostawiony własnym impulsom. Popuściłby drugiemu, zrezygnował z jakiejś cząstki swoich praw, ale przecież nikt tak nie robi, powiedzą, że jest miękki, że ciężki frajer, coś ty, bądź mężczyzną, nie daj się, oszalałeś czy co... Dobroć też wymaga decyzji, samodzielności – i męstwa.

– Jeśli on jest taki dobry psycholog – odezwałem się – to czemu wpadłem tylko ja? Czemu dziesiątki innych nie przybiegło tu z wypisanymi dla niego czekami?

– Bo ludzie – odpowiedział Grzegorz – są na ogół normalni, pilnują swoich interesów... (Brak im odwagi – chciałem wtrącić.) Czytałeś, co Profesor pisał o dobroci schizofreników? Czytałem. Wertowaliśmy te same książki, oglądaliśmy te same filmy, znaliśmy te same kobiety. Chociaż opinie nasze często się różniły – no i opinie o nas się różniły, i jakże mogło być inaczej – on, pisarz, artycha, pełen uroku i dowcipu, ja, szary ekonomista, pedant, niemal matematyk – ale ukształtowani byliśmy w tym samym kręgu, wyrastaliśmy w pobliżu siebie. Wprawdzie literaturą zajmował się on, ale ja byłem większym pożeraczem książek, pewnie dlatego, że miałem podejście nieprofesjonalne, wtykałem mu tomy z moimi podkreśleniami – bo nie krępuję się podkreślaniem miejsc, do których chcę wrócić – i dzięki jednemu takiemu podkreśleniu Grzegorz dowiedział się, że dobroć bywa objawem schizofrenicznym. Schizofrenicy rozstają się ze swoją własnością bez żalu – bezinteresowność to właśnie jeden z objawów oderwania od rzeczywistości. Ale ja nie poczuwałem się do tego – ani do jakiejś nadmiernej uczynności, przeciwnie, mam swoje grzeszki na sumieniu, które czasem nie dają mi spać (może bym popełnił jakieś łajdactwo, pomyślałem, ale wiem, że za drogo by mnie ono kosztowało, właśnie przez to cholerne sumienie), ani też nie widzę u siebie objawów autyzmu. W tych sprawach szło o coś więcej: o stosunek do świata. Ja – i inni. Ja – i koszt mojego dobrobytu. Szło o moje miejsce, o jego sens. Gnębiło mnie teraz co innego: że tak rzadko nasza pomoc przypada temu, kto na nią naprawdę zasługuje. Najczęściej do naszej wrażliwości odwołują się różne bezczelne typy, które odpłacają nam potem pogardą i niechęcią.

– Nie ma o czym mówić – powiedziałem. – Zgadzam się, że to eksperyment. Ciekaw jestem, jak to się zakończy.

– Wiem, jak się zakończy. I uprzedzam: na mnie nie licz. Mam żonę elegantkę i córkę alkoholiczkę.

To był jego styl. Miał jedną z córek w Afryce Południowej, wyszła tam za mąż smarkula i dawała sobie radę, a jego żona pracowała w self-serwisie w Nowym Jorku i nie chciała od niego wziąć ani grosza. Poczułem dotknięcie jego dłoni na swojej. Był to niemy sposób wyrażenia skruchy. I aprobaty: Bo w gruncie rzeczy mu się to podobało. Cóż, mogę sobie pozwolić na eksperymenty, nie potrzebuję za wiele i nie muszę na nikogo liczyć. I chociaż w porównaniu z Grzegorzem jestem nikim, w moim zawodzie wciąż coś tam znaczę.

Przypomniał mi się „Ślusarczyk" dwa tygodnie później, kiedy siedziałem u Naczelnego – i zostałem poczęstowany koniakiem. Nie miał zbyt pewnych rąk nalewając mi go i odniosłem wrażenie, że nie był to jego pierwszy kieliszek tego ranka. Od kilku dni radio przeraźliwie ujadało, mógł tym być zaniepokojony, znowu go zmuszą do jakiegoś świństwa, ale że też jest

aż taki wrażliwy – dziwiłem się w duchu. A on: „Rozstajemy się" – powiedział zadzwoniwszy swoim kieliszkiem o mój. „Kto odchodzi: pan czy ja?" Obaj. Wszyscy. Zamykają nas. Wydamy jeszcze dwa numery – i potem, w tym samym lokalu, będzie nowe pismo, już z innymi ludźmi. Nie musiałem pytać, dlaczego, domyślałem się, ale Naczelny uważał, że lepiej wyjaśnić. Daliśmy w zeszłym roku milion złotych dochodu, wcale nieźle, ale powiedziano mu wprost, że to nie ma znaczenia, liczą się pryncypia, oni tam na górze nie są groszorobami, a my byliśmy zbyt elitarni, zbyt wąscy, wysmakowani, kosmopolityczni („to słowo padło, rozumie pan chyba?"), politycznie bierni, może nawet zacofani, uginaliśmy się pod naporem, i to jest najważniejsze. To moja wina, zaniepokoiłem się, coś o mnie muszą wiedzieć, więcej, niż ja wiem, coś o tych literkach M M N. Musiałem coś przeskrobać, pomyślałem, coś się za mną wlecze, ale co? Spytałem: „Czy stało się coś? Może z mojej winy?..." Ależ nie, skąd. (Ale ton taki, jakby z mojej.) Wie pan, powiada, Szef by nas po prostu wylał i zastąpił kim innym, ale to może wywołać zbyt wiele komentarzy, prościej jest pismo zamknąć. Na to miejsce powstanie tygodnik bojowy, ofensywny, patriotyczny, z nowymi nazwiskami. „Patriotyczny?" – upewniłem się. „Oczywiście." „Ach, więc o to chodzi" – powiedziałem. „O to" – przyznał.

– Dokąd pójdziemy? – spytałem.

Nie wiedział. Chyba nas jakoś urządzą. Jemu coś już zaproponowano. Ale o nas się nie upomniał, zrozumiałem to z miejsca. Może i słusznie. Ostatecznie, każdy z nas ma swoją własną sprawę. Jesteśmy dorośli. Zresztą, powiedział, pan ma czystą kartę, panu nic nie grozi. (A Sara? – pomyślałem od razu. Błysk oczu spoza jego okularów: pomyślał o tym samym. Ale zaraz się pocieszył: nie, to stary, wymazany szczegół biografii, nie może to wyglądać aż tak absurdalnie.) Tak czy owak, znalazłem się nagle na bruku, chociaż dosłownie to nie tak nagle, bo pensję dostanę za pół roku z góry, odszkodowanie za zaległy urlop i coś tam jeszcze, no i wciąż mi pozostają te przeróżne doradztwa, moje kiwania palcem w bucie. A jednak – na bruku. Paszoł won. Szkoda, że nie wiedziałem o tym dwa tygodnie temu, nie miałbym wyrzutów sumienia wobec „Ślusarczyka". Jeślibym mu nawet mimo to pożyczył pieniędzy, to już nie dlatego, że mnie orżnął psychologicznie, ale żeby pomóc człowiekowi. Byłoby szlachetniej.

– Materiał do dwóch następnych numerów jest w sekretariacie – odezwałem się.

– Czyli możemy się pożegnać.

– Tak by było najlepiej, wolałbym już tu nie przychodzić. Widziałem jakieś dwie zakazane gęby w pokoju naprzeciw. To ci?

– Oni. Już nas przejmują.

– Nie znam ich, chyba nie dziennikarze.

– Nowy naczelny zapowiedział, że będzie robił pismo bez dziennikarzy, za to z właściwymi ludźmi.

– A więc patrioci – domyśliłem się.

– Jak najbardziej.

Ściskając mi dłoń, Naczelny spytał:

– Panie Jerzy, nigdy się do pana nie wtrącałem, ale teraz, kiedy się rozstajemy, może mi pan to wyjawi: co oznaczają literki M M N? Inicjały jakiejś damy?

Uśmiechnąłem się tylko w odpowiedzi. Powiedzieliśmy sobie: „Good luck" i „Szczęść Boże" – i tak skończyło się piętnaście lat współpracy.

Na korytarzu wyrósł nagle przede mną cień – rozłożysty, szponiasty. Omal nie krzyknąłem. I zaraz pomyślałem: no tak, on tu musi być, ten Chichot – wszędzie, gdzie dzieje się coś takiego, Chichot wyrasta jak twój własny cień. I tego cienia, myślałem z goryczą, tego zgubić się nie da.

– Wejdziesz? – zapytał i uśmiechnął się niezwykle uprzejmie, niemal łaskawie. Zawsze starał się dla mnie być miły i nie wiem doprawdy, skąd się brała moja antypatia. Był to wstręt

do pewnej osobowości, wstręt najpierw nie uzasadniony, ale potem, kiedy czasy zmusiły ludzi do ujawnienia twarzy, okazało się, że dobrze wyczuty.

Częstował mnie kawą – odmówiłem. Papierosem – odmówiłem. – Warto pogadać – zaczął. – No to proszę – na to ja. – Mógłbyś robić dalej swoje w moim „Tygodniu". – Pisać o gospodarce? – spytałem. – Teraz? – On na to: będziesz pisać o Trzecim Świecie. Ja: podobno przyrzekłeś tam w górze, że będziesz robić pismo bez dziennikarzy? To żadna przeszkoda, na to pan Chichot, jaki tam z ciebie dziennikarz. To prawda, żadne pióro, doktor nauk ekonomicznych. Jeden warunek, powiada nagle on, wymyślisz sobie jakieś inne inicjały, nic z „Życia" nie może tu przejść. Uśmiechnął się porozumiewawczo: takie czasy.

Nie przyjdzie mu na myśl, że można się „takim czasom" przeciwstawić. Nigdy. Jako młody chłopak przeszedł przeszkolenie „polityczne". Polegało ono na tym, że najpierw mówiono na odprawie, co jest grane, a potem to trzeba było „przenieść" do mas. Zostało mu to, psiakrew, na całe życie. Żaden zakręt go nie zdumiewa – jeśli coś go podnieca, to raczej konieczność elastycznego przystosowania się do nowego etapu. Etap ma zawsze rację i on to udowodni. W tym doszedł do pewnego nędznego mistrzostwa. Jeśli trzeba, to zanurzy pióro w gnojówce i osmaruje nim każdego nie bez pewnych pozorów szczerości i osobistego zaangażowania. Przy czym im mniej jest w to uczuciowo zaangażowany, tym bardziej jest z siebie zadowolony. Cenili go wszyscy kolejni przywódcy ekonomiczni, bo doradzał im dokładnie to, co na danym etapie chcieli usłyszeć, i jeszcze posługując się cytatami z Marksa, które ma wypisane w niebieskim notesie. Tamże kilkanaście przysłów łacińskich w rodzaju „Amicus Plato sed..." i tak dalej.

– Ja sobie teraz odpocznę – powiedziałem.

– Uważaj, nie przegap momentu. – Bardzo życzliwy. Autentycznie! Bądź co bądź, wojowaliśmy w jednej jednostce. – Jest dobry czas. – Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Chichot nie zareagował, z całą niewinnością podleca sunął dalej. – Kombatanci idą do przodu. Zrobią się teraz duże luzy. My w to możemy wejść. Ostatecznie, mamy te nasze grunwaldy i virtuti.

– Zapomniałem o tym– powiedziałem. – Doszczętnie, jeśli chcesz wiedzieć. Co u Edka? – spytałem o jego brata, no bo jednak spędziliśmy kiedyś obok siebie noc w stodole – ja, on i ten brat – noc na sianie, z butami pod głową.

– Choruje.

– Coś poważnego?

– Lepiej nie mówić.

Przez chwilę żal mi było Chichota, ten brat to było jedyne jego przywiązanie. Lubiłem Edka – spokojny, milczący człowiek, mógł komuś wydać się bezbarwnym nauczycielem matematyki, ale ja wiedziałem, że za jego milczeniem kryje się na własnej skórze zdobyta wiedza o życiu, mądra rezygnacja.

– Pozdrów go ode mnie – mruknąłem.

Dłonie uścisnęliśmy sobie nieco mocniej, niż zamierzałem. Wiedziałem, że Chichot będzie mi się śnił w nocy – nikt mi się w minionym dwudziestoleciu tyle nie śnił, co on – ani Gomułka, ani Stalin, ani nawet Sara. Chichot wraca do mnie we śnie i, o zgrozo, roztacza nade mną opiekę.

Trzeba posłać kwiaty do Jerry, pomyślałem, może już ostatnie. W Interflorze tym razem się do mnie nie uśmiechano, załatwiała zresztą jakaś inna pani. Jerry, myślałem, moja śliczna Jerry, ratuj mnie. „To załatwi mój agent reklamowy", odpowiada dziewczyna. Nagle zobaczyłem wąską uliczkę w Paryżu, to była rue de Crussol, sklep samoobsługowy „Felix Potin", w którym kupowałem gazowany sok pomarańczowy, obok metra Oberkampf kiosk, gdzie codziennie brałem „Le Monde" i czasem „Tricot" dla Sary. Pod czaszką chowałem pejzaże obcych miast, obcych i bliskich, jakieś uliczki, place, kafejki, zwykłe życie zwykłych ludzi, wcale nie Escuriale, Alhambry, nie Pola Elizejskie, tylko te bezdrzewne zaułki, poczta z pier-

siastą i nieuprzejmą czarną urzędniczką, która na mnie pokrzykiwała, jakby to była Warszawa, zgiełk i wrzask na via Principe Amedeo w Rzymie, tuż koło Stazione Termini (prostytutka oderwała się od muru i zagrodziła mi drogę: „Andiamo, signore", „Scuzi, sono stanco", „Ci penso io"; zostało mi po tym dialogu to zdanie jak uporczywe brzęczenie muchy: ci penso io, ci penso io – to już moja sprawa), gliniane stwardniałe w słońcu ogrodzenia wokół domostw Kasby w starym Algierze, słyszałem ciche bulgotanie napełniającego się rowu irygacyjnego, ja i Armand przycupnięci za wałem, czekamy, aż oddali się tupot podkutych butów francuskiego patrolu... Podwójne życie: to rzeczywiste, obecne, jakby nierealne, wlokące się jak mara senna – i tamto, wracające z przeszłości, w skondensowanych urywkach, w agresywnych i pełnych zmysłowości zawęźleniach, chyba symbolicznych, i dzięki temu życie naprawdę ważne. (Tak powiadasz? Zobaczymy. Nie radzę lekceważyć teraźniejszości.)

W domu czekał na mnie Zbyszek, mój syn-maturzysta. Powiedzieć mu czy zaczekać? – zastanawiałem się. Obiecałem mu pięć stów na bal maturalny. Proszę, niech tam. Nie mam żadnych kłopotów z dziećmi: póki mam pieniądze, przekupuję je – według metody zaleconej przez amerykańskiego humorystę. Więc daję mu pięć stów, on bierze, ale myśląc jakby o czymś innym. „Tato – pyta – co tam na Bliskim Wschodzie?" „A co ma być?" „Przecież Naser zablokował cieśninę." „No to zablokował." „Zażądał, żeby oddziały ONZ się usunęły." „No to zażądał." „Po co to zrobił? No po co?" „Bo mu się zdaje, że jest wielkim politykiem." „Tato, ciebie to nic nie obchodzi!" „Jestem spokojny." „Naser powiedział, że teraz Izrael albo się zadusi, albo musi zacząć wojnę." „A ty co byś wolał?" [...] Mój syn ciężko westchnął. „Czego się tak przejmujesz?" – spytałem udając obojętność.

Mój syn nie odpowiedział. Ale ja się domyśliłem: matka. Więc on już wie. Nigdyśmy im o tym nie mówili, o pochodzeniu matki, ale on się jakoś dowiedział. I dlatego to wszystko go tak rozpalało. Ja sam jestem w porządku, pochodzenie nieskazitelne, robotniczo-chłopskie, ale dzieci – dzieci mam żydowskie.

– Dawno wiesz?

– Jak mama wyjechała.

– Ale skąd? Od kolegów?

– Różnie. Najpierw pomyślałem sobie: dlaczego mama nie ma żadnej rodziny? Żadnej tu u nas. Tylko Żydzi nie mają rodziny, są tak straszliwie osamotnieni. (Wszystkie dzieci mają babcie, ciotki i kuzynki, i chrzestne – tylko moje dzieci, myślałem, nie miały w niedziele kogo odwiedzać; tak, to było to – musiał się wreszcie domyślić.) Koledzy też coś wywąchali... moje czarne włosy, kapujesz... Dlaczegoście nam nie powiedzieli? Trzeba było powiedzieć.

– Chyba masz rację – przyznałem.

Ale to Sara postanowiła, żeby nie mówić. Nawet swoje imię przed dziećmi ukryła: Stefa, Stenia – nigdy się do tego nie mogłem przyzwyczaić. Nie stwarzać kompleksów – mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. Nie jestem pewny, co stwarza większe kompleksy: prawda czy ukrycie jej. Ale podporządkowałem się – to była jej sprawa, więc i jej decyzja. Ja, prosty niebieskooki goj, musiałem się podporządkować. Tamten upiór, stary upiór rasizmu, wydawał się na zawsze przepędzony – wraz z procesami norymberskimi. Ale to nas nie usprawiedliwia. Trzeba było przewidzieć – ja to powinienem był przewidzieć – że upiory na tę ziemię wracają. Spojrzałem na syna: urodziwy. Cały w Sarę. Na szczęście. Niestety.

Zabrzęczał telefon. Dzwonił Jan Jemirycz, dziennikarz na emeryturze, któremu kiedyś w czymś pomogłem, nie pamiętam już w czym, chyba uzyskałem dlań miejsce w sanatorium.

– Panie kolego – powiedział tym swoim zdartym i piskliwym głosem – jak wy sypiacie ostatnio?

Nie zdziwiłem się, bo on zwykle zaczynał od tego rodzaju pytań.

– Chyba nieźle, ale dzisiaj może być gorzej: rozmawiałem z panem Chichotem.

– Mam nowy specyfik szwajcarski, kuzynka mojego przyjaciela przywiozła z zagranicy, wyrównuje ciśnienie. Tylko nie wolno go używać z aspiryną.

Był upartym lekomanem, wiedział wszystko o specyfikach. Bardzo trudno było mu pomóc w niedomaganiach, bo reagował astmą albo alergiczną wysypką. Bał się ruchu, kąpieli (od razu katar) i otwartych okien (kurz lub atakujące nozdrza zapachy).

– Dziękuję – powiedziałem. – Zgłoszę się, jeśli zajdzie potrzeba.

– Słyszałem, że macie kłopoty.

– Och, drobiazg.

– Sprawdziłem wasz horoskop – mówił Jemirycz niespokojnie. – To jest sprawa na dłużej. Westchnąłem. Nie chciałem mu powiedzieć, że nie przejmuję się horoskopami od czasu, kiedy wywróżono mi, że wkrótce wyjdę za mąż i urodzę ślicznego chłopaczka. Ale on traktował astrologię poważnie i wierzył we fluidy. Podczas okupacji ratował Żydów. Twierdził, że kiedy szedł z Żydem po ulicy, roztaczały się wokół niego fluidy, które czyniły Żyda niewidzialnym dla Niemców. I rzeczywiście, nikt, kto zawierzył mu życie, nie został aresztowany. Ta wiara pozwalała mu na zuchwalstwa, których nikt by w tym tęgim hipochondryku się nie domyślał. Nie mogłem zbyć go byle czym i musiałem powiedzieć:

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Panie doktorze, proszę powiedzieć, ale szczerze: czy nie potrzebuje pan przypadkiem pomocy?

– Pomocy? Jakiej? – zdziwiłem się.

– Materialnej. Pieniędzy. Może pięćset złotych?

Przed chwilą dałem tyle synowi na bal maturalny. Niby obracaliśmy tymi samymi pieniędzmi, ale – uwaga, panie ekonomisto – znaczyły one dla każdego z nas co innego, jakbyśmy się rozliczali z innego parytetu. Starałem się okazać beztroskę w głosie:

– Dziękuję, nie trzeba. Przynajmniej na razie.

– Pięknie – zachrypiał Jemirycz. – Ale proszę pamiętać. Bo idą złe czasy. Wchodzimy w znak Saturna.

– Ach, tak?... Postaram się nie dać złym czasom. Jeszcze raz dziękuję za ostrzeżenie.

Odłożyłem słuchawkę z biciem serca. Zobaczyłem szponiasty cień Chichota zagradzającego mi drogę w ciasnym korytarzu.

– Kto to był? – spytał Zbyszek.

– Jakiś facet z sympatią do mnie. Pytał, czy nie potrzebuję pieniędzy. Mówił, że nadchodzą złe czasy – znak Saturna, jeśli dobrze zrozumiałem.

Mój syn milczał. Zdaje się, że był tego samego zdania, co tamten. Ja pomyślałem: kiedy dostanę odprawę, kupię dużo kwiatów i poślę je do Jerry Hall. I nagle poczułem w tej myśli jakiś fałsz. Jerry Hall przestała cokolwiek znaczyć. Była kartką papieru z tygodnika, czymś dalekim, obcym i obojętnym. To tego dnia przestałem odnotowywać przeczytane książki.

Czysty brulion, biała kartka papieru, nowy długopis powodują absurdalny odruch warunkowy: napływ sybarytyzmu. Chce się mocnej pachnącej kawy, dobrego papierosa, jak dawniej, kiedy jako M M N zabierałem się do kolejnego mędrkowania. Wygodny sweter, lekkie spodnie. Zapominam o rozgoryczeniu, o tym, że mam się wywnętrzyć, zadawać ciosy. Czysta kartka papieru kojarzy mi się z czymś innym – z ciszą, skupieniem, spokojnym odosobnieniem. Podobnie z lekturą. Pamiętniki Rudolfa Hoessa przestają ziać grozą, kiedy człowiek kładzie się na tapczanie, rzuca snop światła na książkę, czyta o tych wszystkich okropnościach jakby dla wypoczynku, odprężony. Bo to książka, tylko książka. Można ją czytać na sedesie w ubikacji, wypróżniając się i doznając ulgi. Można tak czytać Eklezjastę. Przez tę krótką chwilę na pewno jest tylko teraźniejszość, tylko stan, i to nie jest marność nad marnościami. Chcemy się wedrzeć w świadomość innego człowieka, ale życie (stan, chwila) – ból – szczęście – cały proces istnienia stawia opór. (Tylko artysta, tak, tylko sztuka jakoś to potrafi, na krótko – osiąga, że opuszczamy samych siebie, utożsamiamy się z kimś innym – ale jakimi środkami, i co to jest sztuka? – nie wiem, znowu natrafiam na opór.) To samo z oglądaniem

różnych okropności w telewizorze. Trzęsienie ziemi, trupy wśród gruzów, matki płaczą, wychudłe dzieci obgryzają kość, patrzą na nas ich ogromne oczy, płoną wietnamskie wsie, salwa uśmierca czarnego człowieka przywiązanego do słupa, ciało zwisa bezwładnie, tam śmierć, tam pałowanie demonstrantów, tam histeria, krzyk, sępy, sępy, a ja w głębokim fotelu, w kapciach, z cukierkiem miętowym pod podniebieniem. Należałoby te wszystkie okropności oglądać inaczej – na podobieństwo owego malarza, który Mękę Pańską malował na klęczkach – w jakiejś pozycji, która by i nam sprawiała cierpienie.

Chciałem napisać, że świat się zawalił. (Papieros w ustach, łyk mocnej kawy.) Nigdy już nie będzie taki sam.

Mój syn wypalił mi to w twarz i to tak, jak gdybym ja był winien. (Może jestem.) Więc gdyby on żył już wtedy – wykrzykiwał – podczas tej monstrualnej Nocy (nie umiem znaleźć innego słowa), byłby jednym z tych, na których się poluje, pluskwą do rozdeptania, posłano by go do gazu, tak! I gdyby był teraz tam, z nimi, na ziemi wydartej pustyni, jedynym skrawku ziemi, gdzie mogą się czuć u siebie – krzyczał Zbyszek bliski histerii – żądano by od niego zgody na samobójstwo i oburzano by się, że porwał za broń. To jest podły świat, mówił mój syn, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Jeśli ma być zagłada – powiedział przez zaciśnięte zęby – dobrze, niech będzie, niech zginą wszyscy, na nic innego nie zasłużyli. Papieros zgasł, przypalam go od nowa, nie smakuje. Kawa wystygła. W porządku, tak powinno być, tak to już trochę lepiej.

Mój syn był przy mnie, kiedy rozmawiałem z tamtym facetem od spraw prasowych, nie w sensie dosłownym, ale był obecny, szeptał mi do ucha, ściskał ramię i przypominał: „Tato, pamiętaj...” Czy miałem powiedzieć tamtemu, że świat się zawalił? Nie dla niego. Idą złe czasy – powiada Jemirycz – wchodzimy w znak Saturna. Dla kogo złe? Jak dla jednych złe, to dla drugich dobre, najlepsze. Znałem tego człowieka z tamtej strony biurka, widywałem go w ogródku Stowarzyszenia Dziennikarzy (przestałem tam bywać od czasu tej wojny, przestałem płacić składki, niech mnie wyleją, marzę o tym), znałem jego okulary, miękki nos i miękką wargę, pamiętam, że pożerał golonki z chrzanem pod dwie sety, zawsze otoczony kumplami od kieliszka, ludźmi w jego wieku. Kilka lat temu przestał się pokazywać w Stowarzyszeniu, ale z innego chyba powodu niż ja – teraz wiem, dlaczego, przeszedł z gazety do innej roboty, skończyło się z wierszówkami, z uganianiem za – i oto teraz siedzi przede mną, życzliwie zatroskany, a zarazem z wyraźnym dystansem, niemal fizycznym, jakby bał się, żeby się do niego coś nie przykleiło.

Początkowo mogło się wydawać, że nic nie wie. Nie mam pracy? Ja, taki ceniony specjalista?... Nie, o szkolnictwie nie ma mowy, tym bardziej o uniwersytecie. Kontakty z młodzieżą to punkt newralgiczny – nie, po co to panu, mogą wyniknąć kłopoty. Naturalnie, coś znajdziemy. Nie od razu. Trzeba się zastanowić, jak pana wykorzystać, panie Jerzy. Po imieniu, aż tak. Przeżywamy mocne czasy, naród się spręża, wykazuje ukryte rezerwy, energię i dynamizm. No, jest trochę szaleństw, gdzie ich nie ma, to minie, instynkt narodowy wskazuje właściwą drogę. Trzeba, żeby pan się w tym umieścił. Częstuje koniakiem. [...] Daje mi do poznania, że on ma do tego wszystkiego dystans, dobrze, rozumiem – ale co to ma wspólnego ze mną. Wreszcie pojmuję: mam się zadeklarować i odciąć.

– Odciąć od czego?

– Od agresora.

– Ale dlaczego akurat ja?

– Pan tam był, prawda?

– Byłem. (Poinformowany. Wie o mnie wszystko.) Korzystając z pobytu za granicą, odwiedziłem rodzinę żony.

– Sam?

– Tak. Jej tam nie ciągnęło.

– Tak panu tylko powiedziała. Ich wszystkich tam ciągnie.

Nie odpowiedziałem. Była o to kłótnia z Sarą: wyrzucałem jej to odcinanie się od rodziny, zaprzaństwo i dogmatyzm – ona wykrzykiwała, że jej rodzina jest reakcyjna. Ale co będę facetowi wyjaśniał... On ma w głowie swoje formułki. Wszystko ułożone.

– A pana doktora co tam ciągnęło? – spytał.

– Ciekawość. Czysto ludzka, a także profesjonalna. Szczególnie ciekawiły mnie kibuce – wie pan, te ich spółdzielnie rolnicze. To mnie bardzo interesuje. Mieszkałem przez kilka dni w jednym kibucu na pustyni Negew.

– I co? Nie obrzezali pana?

Powiedział to i roześmiał się. Ja nie. Był to jeden z najbardziej wzruszających tygodni w moim życiu. Widziałem ludzi z uniwersyteckim wykształceniem, którzy stali się znakomitymi rolnikami. Może dlatego. Widziałem, że odnaleźli w tym spokój i satysfakcję życiową. I widziałem żydowskie dzieci bez kompleksów, bez lęków, bez zatroskania w oczach. I to powiedziałem temu ćwokowi. Nie wiem po co, nie powinno go to cieszyć, bo mówią o nim, że przed wojną był pałkarzem.

– A u nas – zagadnął znienacka – żydowskie dzieci mają kompleksy?

– Mogą mieć.

– Czy musimy się tym przejmować? Ach, prawda... – Udał, że nagle sobie przypomniał o moich komplikacjach rodzinnych. – Pan jest na to uwrażliwiony.

– Tak, jestem z lekka obciążony. – Wolałem to podkreślić.

– Nie, nie, gdzie tam, przecież pan się rozwiódł. (Nie, nie rozwiodłem się. A więc nie wszystko wiedzą!) Pańska była małżonka związała się, jak wiadomo, z kim innym. (Teraz tamten jest obciążony, ten od konserwacji zabytków za granicą, pewnie go wkrótce odwołają. Zrobiło mi się go żal.) Ale skoro pan tam był, to ma pan tym większy obowiązek wypowiedzieć się publicznie.

Aż obowiązek, no no.

– Chętnie się wypowiem – zaofiarowałem się.

– Najlepiej w telewizji – podsunął on. – W dzienniku wieczornym. Załatwimy to od razu. Sięgnął po słuchawkę. Ja go powstrzymałem.

– Chętnie się wypowiem – powtórzyłem swoje, a mój nieobecny syn szeptał mi do ucha: tak, tato, tak. – Agresorem, powiem, niekoniecznie jest ten, kto pierwszy wystrzeli, ale ten, kto podnieca do wojny.

– Panie Wilkot! – przerwał mi. Był naprawdę przerażony.

– [...]

Chwila ciszy. Potem on:

– Mógłby pan w swojej wypowiedzi pominąć sprawy zasadnicze. Od tego są ostatecznie nasi politycy. Wystarczy, żeby pan opowiedział, co pan zauważył..., ot, tak między ludźmi. Idzie o ton, o nastrój.

– A co miałem zauważyć? – spytałem.

– Stosunek do Arabów. Propagandę.

– Tego właśnie nie zauważyłem. Wie pan, propaganda w ogóle nie jest potrzebna, kiedy każdy wie, gdzie jest jego własny interes. Kiedy broni się po prostu własnego życia i życia najbliższych ludzi. Zauważyłem straszne łaknienie spokoju. Marzenie o przyjaźni.

Rozłożył ręce i westchnął:

– Okropnie pan doktor trudny.

Wszedł jakiś jasnowłosy, młody człowiek, nawet dość sympatycznie wyglądający, z kilkoma papierami do podpisu. Ten mój odezwał się do niego per „towarzyszu": No co tam dla mnie macie, towarzyszu? I tamten mu tak samo odpowiedział: „towarzyszu". Parę delegacji, towarzyszu. Nie wiem, dlaczego mną to wstrząsnęło. Nie spodziewałem się tego słowa tutaj, nie kojarzyło mi się ono z tym, co ten pan robił i mówił. Usłyszałem:

– A tak chciałbym dla pana coś zrobić...

Byliśmy znowu sami, ja i ten facet, który uzurpował sobie tytuł „towarzysza". Wyszabrował to słowo, wykradł je nam, dla których ono coś znaczyło...

– Dziękuję – powiedziałem. – Chyba nie zasłużyłem na względy.

– Niech się pan zastanowi. – Teraz towarzysz opowie kawał o Gomułce, pomyślałem. Ale on znowu przybrał zatroskany wyraz twarzy. – Są jeszcze inne możliwości współpracy. – Zatroskanie zmieniło się w serdeczność. – Taki człowiek, jak pan, bardzo by nam się przydał. – To „nam" poszerzało sprawę, wybiegało daleko poza temat rozmowy. – Nikt nie musi o tym wiedzieć, zostałoby między nami, a my byśmy panu pomogli. Syn chce się dostać na uniwersytet, prawda? Jakoś się go przepcha, tutaj niejedno da się zrobić.

Gdybym był dobrym ojcem, przyjąłbym tę ofertę. Ale że chciałem być dobrym ojcem, ze wszystkich sił chciałem nim być, powiedziałem tylko: „dziękuję, to raczej nie dla mnie" – i wyszedłem.

Stałem potem przed witryną Interflory, ale nie zdecydowałem się wejść do środka. Nie dlatego, że żal mi się zrobiło topniejących pieniędzy, chociaż nie byłoby to dziwne. Zobaczyłem swoje odbicie w szybie – i zrozumiałem, że nie mam prawa do Jerry Hall ani do żadnej innej młodej, szczęśliwej dziewczyny. Nawet do uwielbiania. Koniec, powiedziałem sobie, to już nie dla ciebie. Dla ciebie – refleksja, próba przemknięcia sprawy, próba ogarnięcia całości. I służba społeczna, tak to nazwijmy. Samospalenie na ołtarzu sprawy, proszę bardzo. Popatrz na swoje smutne, wytrzeszczone ślepia. To było najistotniejsze: rozdzierający smutek. Nie szło o urodę ani o wiek. Kobiety lubią, być może, ładne twarze męskie, ale kiedy dochodzi do czegoś konkretnego, uroda panów przestaje odgrywać rolę decydującą (na szczęście). Nie miałem zbyt wiele kłopotów z kobietami, na których zdobyciu mi zależało, a kiedy miałem, to winne były niesprzyjające układy, a nie mankamenty mojej urody. Ale wiem na pewno: mężczyzna ze zgryzotami jest dla nich odstręczający. Jak gdyby oblazły go wszy.

Moja zgryzota nie miała przyczyny we mnie – spowodowały ją siły zewnętrzne, na które nie mogłem wywrzeć wpływu. Śmieszni są ci starożytni filozofowie, którzy upierali się, że szczęście człowiek nosi w sobie. Ci wszyscy stoicy czy jacyś inni, z których jeden zalecał to, drugi tamto – byle nie poddawać się złu – i którzy nawet starali się żyć (i cierpieć) w zgodzie ze swoją doktryną. Hiob wiedział na ten temat więcej, ale jeszcze nie wszystko. Pewnego dnia człowiek dowiaduje się, że jest kimś gorszym od swojego sąsiada. Znak Saturna, złe czasy. Skąd mógł wiedzieć, że w czyimś obłąkanym mózgu zalęgnie się taki pomysł? Zamykają go za drutami, głodzą, biją, a potem ustawiają w kolejce po śmierć. Może się tylko dziwić – jeśli stać go jeszcze na zdziwienie. Ale jest otępiały i być może chce tylko jednego: przestać się zmagać, zniknąć w niebycie. I stąd brak oporu, nie z tchórzostwa.

Poczułem kłucie w sercu – ostra szpila przebiła je na Wskroś, aż do łopatki. Oparłem się o mur. „Więc to już?" – pomyślałem. Bez szczególnego żalu. Ale po chwili – nie, niedoczekanie, skurwysyny! To się wam ze mną nie uda. Zaczerpnąłem tchu, próbowałem się odprężyć. Palce rozczapierzone na chropowatości muru. Szary... Pójdę do kina, pomyślałem. Zafunduję sobie lody. Potem do łóżka, z mądrą książką. Historia Bizancjum, Ostrogorskiego, na przykład. Powiew historii, muśnięcie wieczności, nie martw się, wszystko już było, trzydzieści tysięcy oślepionych bułgarskich jeńców przedefilowało przed swoim władcą, Bizantyjczycy odesłali mu ich z pola bitwy, pokonanych, z wyłupionymi oczyma, król Bułgarów nie wytrzymał tej makabrycznej defilady – oni czasem też nie wytrzymują – szpila w sercu, padł. Oddychaj spokojnie. Pies ich trącał, nie przydybią cię. Nie dam się zniszczyć, powtarzam, oparty o mur, koszula rozpięta. Myślę tylko o tym murze: że szary i że chropowaty. Kłucie ustąpiło. Nie dam im się, pomyślałem zawzięcie. Znowu jacyś zaszyfrowani „oni", ale bynajmniej nie tak tajemniczy, jak by ktoś myślał. Nie sądzę, żebym im się specjalnie naraził, w ogóle nie byłem zbyt aktywny, wiedziałem swoje, pisałem spokojnie, nie angażowałem się

własną osobą po niczyjej stronie – wszystko działo się gdzieś poza moimi plecami – to oni, oni mieli dosyć czekania, to oni, zniecierpliwieni, zawistni, pożądliwi, spragnieni stanowisk, zaszczytów, przywilejów, darmochy – oni wybrali sobie mnie na ofiarę. Grali o swoje koryto, bez świadomości, że są manipulowani (albo też godząc się z tym, że ktoś nimi rozgrywa swoją partię). Powtarzali bezwstydnie najbardziej skompromitowane formułki, niepomni tego, że sami się opluwają. Poziom tego wszystkiego był żenujący. Gnojówa. Co mnie zawsze od nich odpychało, to także pewien wzgląd estetyczny – wszystko to brzmiało tak odstręczająco, obnażało takie chamstwo, że człowiek wolał się z nimi nie zadawać. „To nie jest towarzystwo dla przyzwoicie wychowanego człowieka" – powiedział mi kiedyś pewien operator filmowy, pochodzący ze wsi, chłopak miły i delikatny. Uznałem, że w tym prostym stwierdzeniu zawiera się pewna mądrość życiowa, do której ten człowiek doszedł sam, uporczywym przebijaniem się przez życie. Jemu chamstwo nie zaimponuje, jak może zaimponować wypędkowi z arystokracji, inteligencikowi, któremu wycięto genitalia – on napatrzył się chamstwa do obrzydzenia.

Mógłbym poddać analizie cały ten mechanizm, który mnie zepchnął na dno, analizie psycho-socjologicznej (co już nieraz robiono, począwszy od lat trzydziestych) i strukturalno-politycznej, to już byłoby coś nowego, bo każdy kraj ma swoją odrębność, nasze wydarzenia też ją miały, były one zgodne z czymś, co może jest nie tyle we krwi (nie chcę nawet myśleć tymi kategoriami), ile w klimacie społecznym tego kraju, gdzieś od początku siedemnastego wieku, coś, co przyczepia się do losu jak chwytliwy chwast, nie można się tego pozbyć, i wciąż wraca, w różnych przebraniach, wciąż się powtarza... Otóż mógłbym jej dokonać, tej analizy, ale nie o tym miała być opowieść i żałuję, że się zapędziłem w tę stronę. Może uczynię to kiedyś w bardziej sprzyjających warunkach, jeśli kogoś to będzie jeszcze wówczas interesować, w co wątpię. Na tej nieustannej aukcji katastrof i przewrotów liczy się tylko to, co jest fundamentalne, co zmienia bieg dziejów, a nie to, co stanowi dramat w życiu jednostek (a więc półdramat). Chociaż ten nasz półdramat, jako nieoczekiwana puenta sprawy, za którą umierały całe pokolenia ideowców, powinien świat zainteresować, nauczyć go czegoś, wstrząsnąć nim – ale nic z tego, wolą go odsunąć na bok, przeoczyć albo wygodnie wytłumaczyć, przypisać wyjątkowym układom, bo tak łatwiej jest sumieniu, a poza tym pozostanie wciąż jeszcze nadzieja, a jak żyć bez nadziei, jak kroczyć w ciemnym tunelu nie domyślając się, po której stronie jest światło? Nie zawiadomiłem Tońki o swoich zgryzotach, ale ona się jakoś o nich dowiedziała i zadzwoniła do mnie któregoś ranka: chce mnie odwiedzić, i to zaraz. Nie spodziewałem się moich dzieciaków przed południem i zgodziłem się. Jak się dowiedziała? Od kogo? Jakie ma dojścia? Nagle wszystko wydało mi się podejrzane. Czego chce? Dlaczego u mnie w domu? Rzadko tu wpadała i tylko na krótko, z wizytą raczej towarzyską. Moje mieszkanie było wciąż jeszcze mieszkaniem Sary, zostawiłem wszystko, jak było przy niej – ze względu także na dzieci, ale nie tylko, zresztą Krysia praktycznie mieszkała gdzie indziej, sama – tak, zaraz, o czym była mowa? Mieszkanie, aha. Nie sprowadzałem tu nigdy żadnej kobiety – Tońka, owszem, bywała tu, ale platonicznie – nie sprowadzałem nawet teraz, kiedy Sara miała już innego, nie wiem, dlaczego tak postępowałem, człowiek nosi w sobie mnóstwo różnych przesądów, i bardzo dobrze, że je nosi. Tońka o tym dobrze wiedziała i to, że teraz nalegała, żebyśmy się spotkali właśnie u mnie, było zastanawiające.

Rozglądała się po mieszkaniu (pięćdziesiąt pięć metrów kwadratowych), jakby widziała je po raz pierwszy. Nigdy na nic nie zwracała uwagi, nie interesowały jej ani moje książki, ani zbiory, ani żałosny „wystrój" – zwykle paliliśmy papierosy i paplali – teraz obejrzała wszystko, szczególnie zdjęcie uśmiechniętej Sary („bomba dziewczyna! kto to fotografował?" – „ja" – „świnia jesteś, mnie nigdy nie zrobiłeś porządnego zdjęcia"), a potem objęła mnie i szepnęła patrząc mi w oczy:

– Jurasku, wiesz, po co tu przyszłam? Żeby cię pocieszyć...

– Nie wiem, jak ci się to uda.

– Ty wiesz jak...

Tapczan. Położyłem się i przymknąłem oczy. Fala pożądania podpłynęła, kiedy Tońka zaczęła mnie rozbierać. Leżałem biernie, wsłuchując się w jej przyśpieszony oddech – i nagle pojawiła się twarz tamtej dziewczyny z biura dokumentacji, miła i wyniosła zarazem, zobaczyłem wykrój jej oczu, których koloru nie zapamiętałem, i pomyślałem sobie: to twój oddech, dziewczyno, to twoje usta, dziewczyno cudowna, to twoje wnętrze, uścisk twoich ud. Poczułem kurczowe zaciśnięcie dłoni na moich ramionach i szept Tońki: „Dobrze ci?" Kiwnąłem głową. Cudowna dziewczyna nie opuszczała mnie. Ale Tońka wdzierała się z uporem: „Dobrze cię pocieszam?" Tak, tak, dobrze. Szeptała, że zostanie ze mną, że jestem wspaniały – zamęczę cię, Jurasku, zamęczę – nie opuszczę, uczepię się – syczała przez zaciśnięte zęby. Na chwilę zapomniałem o wszystkim, co się wydarzyło, o wszystkim, co się dzieje za ścianami tego pokoju, także o tamtej dziewczynie. Leżeliśmy trzymając się w objęciach, zdyszani, ja opustoszały i smutny. Czułem się wystrychnięty na dudka.

Tońka przyglądała mi się, jak wciągałem spodnie, i stwierdziła:

– Przytyłeś.

Tak, przytyłem, pasek zapinał się z trudem. Zajadałem zmartwienia – i przybierałem na wadze. Odruch z głodówki lat wojny. Ona przerzuciła kolorową sukienkę przez głowę, zapiąłem jej dwa guziczki z tyłu i spytałem:

– Co cię tak ruszyło?

Ach, nic, pomyślała tylko, że powinna się mną zająć. Wie, że mam kłopoty. Skąd wie? Od męża. Wyobraź sobie, powiada, mój Działacz wrócił do mnie. Podobno nie dlatego, że ta dziwka go przepędziła, i może to prawda, tamta by się go trzymała, nie przepędzi chłopa za Boga, nie tak jak ja, ostatecznie mogę przebierać – prawda, Jurasku, chyba to lepiej dla ciebie, że mogę przebierać? – wrócił i błagał, żeby wszystko naprawić, zacząć od nowa – a przynajmniej pozwolić mu być, zachować pozory, chodzić razem na przyjęcia i akademie, są szanse pójścia w górę, otworzyły się ogromne możliwości, przewrót, mnóstwo stanowisk, do wyboru, do koloru – wiesz, jedni wyjeżdżają, drugich wykopują, straszny ruch w interesie, osiemset osób zwolniono w handlu zagranicznym – diety, koszty podróży, prowizje, Jurasku, pomyśl tylko! Zlituj się, wtrącam, przecież na handlu, na sporcie, na kulturze, na tym wszystkim trzeba się choć trochę znać! Tońka machnęła ręką: nieważne, jakoś to poleci! Potrzebują, powiada jej Działacz, ludzi pewnych, odpowiedzialnych, żonatych, reprezentacyjnych, no i tu ona jest, jak znalazł, świetnie się ubiera i jest urocza – „tak, jestem urocza, wszyscy panowie to mówią i ty też".

– Jesteś urocza, zgadza się – potwierdziłem.

A wtedy ona się roztkliwiła. To widzisz, jaka twoja Tońka jest? On błyskał przed nią karierą i różnymi fajnościami – na początek kroi się wycieczka na Baleary – a ona nic, milczy. Bo nie zostawi swojego Juraska w potrzebie. Jurasku-kurasku, przyszłam tu, żeby ci powiedzieć, że wolę być z tobą. Więc teraz to ode mnie zależy, myślę. Powiem słowo, a ona już stąd nie wyjdzie. Przeprowadzę rozwód, ona też, będziemy się trzymać razem. Ona wcale nie boi się moich kłopotów, nie, potrafi być dzielna, może urodzić dziecko, wszystko dla mnie. To będzie czyste dziecko, myślę, bez żadnych kłopotliwych domieszek. Ugiąłem się pod ciężarem tego poświęcenia, poczułem się mały i nędzny. Co więcej, poczułem się podły, bo w żaden sposób nie chciało mi się za to poświęcenie być wdzięcznym. (Wdzięczność jest to uczucie zabójcze, unicestwiające stosunki między dwojgiem ludzi, co najmniej żenujące.) Nie chciało mi się rozwodzić ani zamieszkać z inną kobietą, nawet tak ponętną i pogodną jak Tońka. Jurasku – kusiła – będziesz mógł mnie pieścić dzień i noc. Zobaczysz, stworzę ci dom. Znowu się rozglądała. Przede wszystkim, domyśliłem się, zdejmie ze ścian zdjęcia Sary. Widzę Sarę, jak stoi w drzwiach uśmiechnięta, zaplatająca warkocz. Ma na sobie granatową, taniuchną spódnicę i białą bluzkę, jest bosa – i nigdy nie była piękniejsza, jak tego ranka, po nocy, podczas której utraciła dziewictwo. Przemyliśmy twarze, a ja scyzorykiem otworzyłem

konserwę, jedliśmy ją z chlebem i kiszonym ogórkiem i uśmiechaliśmy się do siebie. Nowa miłość, pomyślałem, nie musi usunąć tkliwej pamięci o tamtej. Wciąż ją kochałem – tamtą dumną, chmurną, nieustępliwą dziewczynę, kochałem swoje uczucie dla niej i wiedziałem, że była go warta. Spojrzałem na zdjęcie na ścianie, pomyślałem: „Wróć. Zaczniemy od nowa." Ale wiedziałem, że wróci inna – nie ta dziewczyna ze zdjęcia... Jakaś mało znana mi osoba, której musiałbym uczyć się od początku.

– Jurasku, oniemiałeś czy co? – krzyknęła Tońka z kuchni.

– Zastanawiam się, co ten twój Działacz o mnie słyszał.

Ach, to?... Tońka wniosła dwie szklanki herbaty: stanowczo poczuła się jak u siebie. Wspominano o mnie na zebraniu w dzielnicy. Podano za przykład, że wystarczy żona, by utracić instynkt narodowy. (Diabelnie dużo ostatnio było o tym instynkcie: nie lubiłem tego słowa jeszcze sprzed wojny. Ukochane przez faszystów. Groźne!) A potem, kiedy ten instynkt się zatraci, łatwo już współczuć agresorowi i spotwarzać własny kraj.

To mnie trochę zdziwiło. W jaki sposób spotwarzam? Otóż, powiedziano, wyjechałem za granicę, wiadomo gdzie, i spotwarzam w tamtejszej prasie. Ktoś wstał i powiedział, że to chyba nieporozumienie, bo widział mnie na ulicy, nawet rozmawiał ze mną i nie przypuszcza, żebym miał emigrować. Na to wstał inny i powiedział tak: wyjechał czy nie wyjechał, to mało ważne, można szkalować siedząc w kraju.

– Kto to był? – spytałem.

Przez chwilę wiła się, bo Działacz prosił, żeby nie mówić.

– Muszę wiedzieć – przekonywałem ją. – Muszę wiedzieć, przez kogo jestem otoczony. Tońka – zagrałem niecnie – jeśli mamy być razem...

Wymieniła nazwisko. Przyjmijmy, że brzmiało ono „Iksowicz". Znałem go, oczywiście, poprawiałem mu artykuliki na tematy gospodarcze, które przynosił do naszego pisma, męczyłem się nad nimi i starałem się, żeby szły – i pewno tego właśnie nie mógł mi zapomnieć. „Iksowicz" wydawał mi się raczej sympatyczny, wdzięczny (znowu ta podstępna wdzięczność!), chętny, mało zdolny i pozbawiony przenikliwości. Bez intuicji na wydarzenia gospodarcze, na konsekwencje psychologiczne pewnych posunięć. Powinienem był przewidzieć, że w końcu dostanę od niego kopa: był zanadto układny. A poza tym ostatnio namiętnie polował, należał do tych miłośników przyrody, którzy uważają za sport zabijanie zwierząt, a za splendor wieszanie wypchanych łbów z wytrzeszczonymi szklanymi oczyma. Zaczyna się od zwierząt, a kończy się na ludziach – zauważył Montaigne (pisząc o Rzymianach). Żeby tak ponawieszać ludzkie łby ze szklanymi oczyma – marzy się niektórym. W oparach wódki i bigosu, podnieceni hukiem i dymem, zapachem krwi zwierzęcej, potu, żywicy, rozdeptanej zieleni, śniąc o Polsce krzepkiej, jednorodnej (choć mniej zastanawiając się nad jej pozycją i opinią w świecie), o Polsce zdyscyplinowanej, takiej, żeby wszystkich za mordę, żeby ani mru-mru, żeby jak jeden mąż, żeby tylko nasi, a wszyscy inni to zgnilizna, gnój, frajerskie dusze, my im pokażemy. A potem, na zebraniach, ci sami – oczy w pulpit, język za zębami, zajęcza dusza na ramieniu – podnoszą tchórzliwie dłonie, całe męstwo, cała zadziorność wyparowała tam, w lesie, przy gorzałce. I on też, ten „Iksowicz", z nimi, taki układny i nawet miły.

Ssało mnie w żołądku. Ukroiłem sobie kawał chleba z boczkiem i zacząłem łapczywie go pożerać. Tońka przyglądała mi się ze zgorszeniem: przytyję.

Szukałem wódki, szklanek, odmierzałem, nalewałem, dorzucałem kostki lodu. Potrzebne mi były wszystkie te czynności, żeby się uspokoić. Tońka lubiła zresztą sobie chlapnąć. Podniosłem szklankę. Za nasze. Na pohybel oszczercom. Tońka wychłeptała wszystko, do szklistych kostek lodu, które zastukały na dnie.

– I co? – spytała nawiązując do swojej oferty.

– Wiesz – odezwałem się nie patrząc na nią – wolałbym dać sobie z tym radę sam.

– Nie rozumiem.

– Nie chcę cię w to wciągać.

– Łajdak – szepnęła.

– Nie, naprawdę. Nie mam prawa ciebie w to wciągać. Wiem, że jestem w okolicach zera, a wkrótce będę poniżej. I mam zamiar ruszyć do walki, nie dać się. A to kosztowna zabawa.

– Nie rób tego.

– Chyba muszę. Walka, opór, odgryzać się – tylko to może mnie uratować.

Błysk zrozumienia zapalił się w jej zmatowiałych od alkoholu oczach (były zielone). Ale zrozumiała wszystko po swojemu. Wydała z siebie syk jak żmija:

– Ty musisz mieć jakąś dupę.

– Ależ skąd.

– Nie kłam. Masz jakąś dupę.

Więcej już nie zaprzeczałem, a ona wciąż powtarzała to słowo: „dupa, dupa, dupa" – i czuło się, że się nim upaja. Chciałem jej powiedzieć, że plecie pijana – bo była pijana – ale zrezygnowałem.

Podniosła się nagle.

– To nawet lepiej – zdecydowała. – Chciałam się poświęcić, nie przyjąłeś, masz jakąś dupę, no to lepiej, dziękuję, właściwie to powinnam ci podziękować, tak.

– Bo ja jestem mądry, stary prawie-Żyd.

– Mądry to ty wcale nie jesteś, nie wmawiaj sobie. Mój Działacz jest mądry, jego kumple są mądrzy, bo wiedzą, co się święci, i umieją skorzystać. Co będziesz miał z tej swojej „walki"? Dziurawe portki. I komu ona potrzebna, ta twoja „walka"? Wykończą cię na mokrą plamę – i nikt nawet nie pożałuje.

„Nawet ty", pomyślałem. Może miała rację, nawet na pewno miała rację, ale nie była to racja piękna. Nie lubię kobiet. To brzmi trochę nieoczekiwanie – po tych kwiatach dla Jerry Hall, po tej wzmiance o Dziewczynie z biura dokumentacji. Nie lubię kobiet – teraz, podczas naszych tak zwanych wydarzeń. Mężczyzna, kiedy robi świństwo, wie, że to świństwo, ale jakoś się w tym trzeba urządzić, trudno. Co innego kobieta: zawsze się poświęca, zawsze jest gwałcona i zawsze pozostaje dziewicą, niezbrukana. Tońka – pozwolę sobie wybiegnąć myślą naprzód – wejdzie do redakcji pisma kobiecego, z którego usunie się dla niej profesjonalną dziennikarkę, i będzie tam szaleć, kreślić, intrygować, grozić mężem i kochankiem (potężną osobistością, o którym jej mąż wie, może mu nawet ją podsunął), aż zyska sobie przydomek „Krwawa Antonina". Ale Tońka wszystko to będzie robić, broń Boże, nie dla kariery, nie dla korzyści, nie z powodu swojej dzikiej ambicji, ale dla naszego kraju, dla wspólnej ojczyzny, dla męża, dla mnie, dla dobra ludzkości, dla palestyńskich kobiet, dla Wietnamu, dla afrykańskich sierotek, dla przyszłych pokoleń. Willa, samochód, wycieczki zagraniczne – to wszystko mimochodem, niemal wbrew woli, zresztą należą się jej, wyrosła w tym, stanowi elitę, a to chamstwo (dawniej mówiło się: pospólstwo) nawet by tego nie umiało użyć, w wannie trzymają kartofle! tak, proszę państwa, widywano to! podczas gdy u nas w domu (przyjechała do Warszawy ze wsi, z okolic Sędziszowa) – i wciąż paple o tym, jak ludziom w tym kraju żyje się dobrze, za dobrze, nic nie robią, wszystko za darmo, jedno wielkie nieróbstwo, podczas gdy ona, jej mąż i Boluś (ten potężny kochanek) noce zarywają dla tego tałatajstwa – i żadnej wdzięczności. Nie lubię kobiet. Stała przy drzwiach, nieduża, kolorowa, zgrabna, trochę chuchrowata (chociaż nie w biodrach), z oczyma błyszczącymi od wódki i gniewu.

– Może to prawda, że nie masz nikogo – powiedziała w końcu. Chciała mnie wyraźnie dotknąć. – Zanadto jesteś przegrany.

– Jestem – potwierdziłem.

– Wiesz, co oni tam mówili? Mówili, że ci się teraz urwie.

– Co mi się urwie?

– Dziewczyny. Masz opinię podrywacza, wiesz o tym?

– Dziękuję, to ładne.

– Ale to się teraz skończy – w kuluarach tak mówili, po tym zebraniu, co wiesz – skończy się – i serduszko wysiądzie, i włoski posiwieją, a dziewczyny fiut, polecą sobie.

Przyglądałem się jej i starałem się odgadnąć, jaka będzie za pięć lat. Dziś wiem, że nic nie odgadłem.

– Chyba mają rację – powiedziałem nie okazując zmartwienia.

– Powinieneś pogodzić się z żoną – podsunęła.

Już mnie swata, mała despotka.

– Pomyślę o tym – obiecałem. – Dziękuję, żeś przyszła.

– Daj buzi.

Był to pocałunek bardzo formalny, pożegnanie. Pochyliłem się do jej ucha i szepnąłem – zupełnie tak, jakbym bał się, że mogę być dosłyszany przez postronnych:

– Gdybyś potrzebowała czasem jakiejś solidniejszej roboty od tej, którą ci może oferować Działacz, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. Służę ci instrumentem, który kochasz najbardziej...

Zaśmiała się i wyszła. Pomyślałem: puenta należała do mnie.

W nocy, przed zaśnięciem, starałem się wyobrazić sobie, że gram w piłkę nożną. Tak jak wtedy, kiedy byłem małym dzieckiem. Pobiegłem z piłką wzdłuż linii i dośrodkowałem pod bramkę przeciwnika. Była to centra idealna. Piłka szybowała powoli w powietrzu, zdążyłem za nią dobiec i uderzyć głową w kierunku bramki. To ja stałem w bramce, w koszulce w kolorowe kraty, i ja rzuciłem się w róg, żeby obronić strzał koniuszkami palców. Nie wiem, co było dalej.

Nie wyrzucono mnie z doradztw – sam z nich zrezygnowałem. Odszedłem, bo się wstydziłem. Był to taki tołstojowski wstyd: że wciąż należę do uprzywilejowanych, podczas gdy inni... Otóż nie bardzo wiedziałem, co myślą o tym ci inni. Dlaczego milczą? Beczka z prochem, myślałem, tak samo czeka w milczeniu. Zresztą nieważne – każdy odpowiada za siebie, ci inni też – ważne, że ja sam chciałem, nawet musiałem odejść. Tołstoj męczył się z takim uczuciem kilkadziesiąt lat, nie mógł się zdecydować, ale to był Tołstoj, wielki pisarz, artysta, który przeklął sztukę, trzymała go za poły rodzina, wielbiciele, wyznawcy, dziennikarze, jego własne mistrzostwo, no i tytuł hrabiowski, do którego był absurdalnie przywiązany, i dziewki okoliczne, i koń ulubiony, i dąb, pod którym chciał zostać pochowany, wszystko. Więc kręcił, zwlekał, kłamał ludziom i sobie. Ale ja, cóż ja – M M N – ani artysta, ani wybitny dziennikarz, ani w ogóle ktoś. Żadnych szczególnych zobowiązań. Żonę oddałem przezornie innemu, dzieci stają na własne nogi. Mogę być szalony, nadaję się do tego.

W gruncie rzeczy, odcinając się od wszystkiego, wyzwalam się z podświadomej udręki, o której już wspominałem. Gdybym był konsekwentny, odszedłbym gdzieś w góry, zamienił się w pustelnika. Wybrałem niezależność, która miała być wyzwaniem – tylko tyle – ale jednak niezależność. Nie traciłem na tym.

Bo zrzucając skórę, która mnie krępowała, sięgnąłem z miejsca po tę, do której podświadomie tęskniłem. Każdy tak robi. Dopiero czas (samo życie) uświadomi, co jest naszym przeznaczeniem. Więc dumny ze swojej niezależności (zapominając, że zawsze jest się we władaniu jakichś sił) zgłosiłem się do biura pośrednictwa pracy jako bezrobotny. Dostałem trochę propozycji, z których, zgodnie z oczekiwaniami, ani jedna się nie zrealizowała. Na końcu zawsze była odmowa, jakieś „żałujemy bardzo, ale", jakieś „pan sam rozumie". Miałem nie tylko rozumieć, ale może nawet współczuć. Czyli coraz bardziej dumny. A jednak serce mnie boli, jakbym właśnie w to miejsce dostał kopniaka.

Podejrzewam w tym wszystkim jakiś sybarytyzm. (Sibaris – greckie miasto na Sycylii, gdzie ludzie żyli w rozkoszach; zniszczone w zaciekłej wojnie z innym miastem, nie ma po nim śladu.) Już ja dobrze wiem, co robię – spryciarz nad spryciarze. Zubożeć, żeby rzeczy zaczęły dawać zadowolenie. Pozbyć się wszystkiego, co jest w nadmiarze. Gubimy się w rze-

czach. Móc wrócić do tego, by zbierać dla zadowolenia ładne pudełka, kolorowe opakowania, graniaste butelki – z myślą, że się przydadzą. (Tu miał być nawias: opis namiotu indiańskiego ze stoma poduszkami, który Twiggy, ta bezpierśna modelka angielska, ustawiła w salonie dla swojego męża i jego gości. Do tego dołączyłem rozważania psycho-socjologiczne. Wyrzucam to jednak – każdy i tak zrozumie, co mam na myśli.)

Trzeba to pisać zupełnie inaczej. Ideałem byłoby, gdyby czytelnik poczuł się przyłapany. Gdyby czytając spiekł raka. „Ma mnie", tak powinien pomyśleć. „Skąd on to wie? Kto mu, draniowi, to wszystko podszepnął?" Ale jeśli poczuje się przyłapany, to zareaguje oporem. Rzuci książkę po kilkudziesięciu stronicach. Czyli ideałem byłaby książka, którą czytelnik odrzuci. A więc pisać tak (idąc dalej tym kierunkiem rozważań), żeby nie być czytanym. Ale to byłaby śmierć książki. Więc iść na ustępstwa? Jakie? Gdzie jest granica kompromisu? Ba, gdybym był fachowcem!... Dobrze, nie jestem, ale swoje wiem. I od kiedy piszę, czuję się diablo mocny. Gość robi łajdactwo, wzdyma się i rośnie od puchnącej w nim podłości, a ja myślę nerwowo: „To będzie uwiecznione." Nie ma wybaczenia! Każde łotrostwo nazwane i wytknięte palcem. Będziecie się w grobach przewracać. Nic nie ulegnie zapomnieniu. Metalową puszkę już mam. Ja was tu zaraz... Spokój! Oburzenie jest złym doradcą. Chociaż mam prawo być oburzony. Ale trzeba myśleć – i to możliwie chłodno.

Moja córka wprowadziła się do mnie pewnego dnia z powrotem. Znaczyło to, że zerwała ze swoim panem i że potrzebuje ojcowskiego ramienia. Nie bardzo nadaję się na ojca, ale na starszego kolegę – kto wie. Z pewnością byłby też ze mnie niezły syn, gdyby moja Matka była z nami. Nie miałem nikogo w domu, żadnej kobiety, i nie chciałem mieć, więc znowu byliśmy we troje i przybył mi obowiązek robienia zakupów, dbania o jakieś gorące danie i tak dalej. Takie obowiązki zapełniają czas, człowiekowi się zdaje, że jest bardzo czynny, a naprawdę chodzi o to, żeby nic innego nie robić.

Po tej katastrofie przydałoby się jakieś wsparcie moralne – nie tylko to, którego sam sobie udzielałem. Telefon od Jemirycza, tak, to było pokrzepiające, na krótko. Pamiętam, wracałem kiedyś do domu, Sara stała na balkonie w ciemnofioletowej sukni, pamiętam ten kolor, pomachała ręką, uśmiechnęła się. Poczułem ciepło, pamiętam, że pomyślałem: dobrze jest mieć świadomość, że ktoś w domu czeka, wypatruje z balkonu, uśmiecha się. Potem okazało się, że wcale mnie się nie spodziewała, na balkon wyszła, żeby wytrzepać obrus z okruchów. Ale to już nie odmieniło moich myśli, zostało rozlane w piersi ciepło. Teraz na stole leżał ostatni list od Sary: rzeczowy, suchy, choć nie bez pewnego zatroskania. Pamiętaj, pisała, że babie od cielęciny jestem winna trzysta złotych – czy oddałeś? Nie zapomnij o bieliźnie z półki – upominała, jakby to ona była wzorem porządku, a ja roztargnionym docentem. Dalej przymówka do jakiegoś romansu, którego nie miałem. (Jak zwykle, trop mylny.) Szkoda, że nie napisała: „Jureńku, jak ty sobie dajesz radę? Kto ci przyszywa guziki do spodni? (Ja sam; marnie mi to idzie.) Chcesz, to wrócę, znowu będziemy razem – ten czas jest taki trudny – potrzebujesz mojej opieki, a ja twojej." Odczytywałem ten list, którego nie napisała, coraz bardziej wzruszony. Nie, Sara nigdy takiego listu nie napisze. Świat się wali, ale ją zawsze obchodzą szczegóły. Włoski Krysi! Robiła krzyk o uczesanie, kiedy Krysia, blada i drżąca, śpieszyła na jakiś trudny egzamin. Wracała z niego spłakana i wtedy dopiero Sara ją pocieszała. Nie umiała odprężyć atmosfery w domu, zawsze wynajdywała jakiś powód do zamartwiania się. (Jak nałogowiec: najpierw było zamartwianie się – stan przygnębienia – potem dopasowywanie przyczyny.)

Była wierna z natury – mnie, przyjaźniom, Stalinowi, Komsomołowi – teraz jest wierna tamtemu. A przecież kochała mnie okresami namiętnie, chociaż na swój sposób. Mam takie jej gryzmoły na skrawkach papieru, w poprzek strony: wybuchy zmysłowej egzaltacji, z trzema wykrzyknikami, piękne w zwartości, podpisane „twoja od zawsze – S." Przyjedź, myślę, wróć, spróbujmy raz jeszcze, myślę bez sensu, bo oboje już jesteśmy inni, ale może, może jednak... tyle nas łączy, wszystko to, co oboje pamiętamy, i tylko my...

W początkach listopada zadzwonił „Ślusarczyk". Prawda, zbliżają się moje urodziny – jestem spod znaku Skorpiona – na śmierć o tym zapomniałem i o całej sprawie. – Jak się panu powodzi? – udałem zainteresowanie. – Świetnie, świetnie – odpowiedział – dzięki panu trochę się wyprostowałem, a pan, panie doktorze? – W porządku – mówię. – Aha, więc szafa gra – ucieszył się – mamona leci, pamiętam o naszej umowie, pamiętam, oczywiście, ale co by pan powiedział, gdybym wręczył panu na urodziny jakie pięć stów, a resztę w późniejszym terminie? – Tłumaczył: rozwija właśnie pewien interes, potrzebny mu powiększalnik, musi opłacić ciemnię za rok z góry, ale to się zwróci. Więc jak? No cóż, myślę, forsa by się przydała, właściwie każdy grosz, ale po co mu o tym mówić, on myśli, że szafa gra. – Nie ma sprawy – mówię. – I nie musi się pan do mnie fatygować. – Pocztą? – Oczywiście.

Mój syn milczy. Czasem tylko podsuwa mi pod oczy tytuł w gazecie. Rzuca gazetę bez słowa. (Chwileczkę, zdaje się, że pomyliłem chronologię czy też przeskoczyłem kilka miesięcy. Nie szkodzi. Wydarzenia ścisnęły mi się w pamięci i nałożyły na siebie. Gdybym się trzymał chronologii, musiałbym pisać kronikę rozciągniętą na wiele lat. Więc pozwolę sobie na skrót. Ważny jest rozwój sprawy, dojrzewanie duszy ludzkiej – przepraszam za podniosłe wyrażenie – aż do stanu, w którym znajduje się obecnie, kiedy właśnie sunę długopisem po papierze.) Pocieszam mojego syna – on milczy.

To upiór, mówię (czy tylko myślę). Łudziłem się, że nie będziecie znali tych słów: antysemityzm, pochodzenie, szowinizm. Ale tak bywa ze zbrodnią: wysyła swoje upiory. Pan powinien to rozumieć (staram się przekonać kogoś, nie wiem kogo, jakiegoś naiwnego człowieka, któremu się zdaje, że on jest w porządku). Pan, syn fornalski, który wszystko zawdzięcza obecnej władzy, też ma swojego upiora i też może ktoś panu wytknąć niewłaściwe pochodzenie.

Mój syn milczy, wciąż milczy. (Może dlatego, że ja tylko myślę – gorączkowo, z oburzeniem, a więc niemądrze.)

Spokojnie, opamiętaj się, synu. To jest gra, machlojka polityczna. Manipulowanie upiorami dla osiągnięcia pewnych celów (bez względu na koszty), w rozpacz popadać nie należy. Ponieważ wszystko tu jest dosyć płytkie, więc jest nadzieja, że i ten nurt jest płytki. Syn milczy.

Nienawiści są powierzchowne, przywiązania – jeśli się je narzuca, jeśli nie wypływają z naturalnych źródeł, z autentycznych powinowactw – przywiązania nietrwałe. Ćwiartka wódki wystarczy, by z zawodowego oportunisty wyszła inna dusza, by zaczął wykrzykiwać: „O n i!" Wyśpiewuje wtedy nie te pieśni, co na trzeźwo, i klnie nie tych, co powinien. No, rozchmurz się. Ale Zbyszek milczy.

Czy można oburzać się na chorego? Nienawiść do ludzi innego pochodzenia, kiedy jest prawdziwa, nie zaś cynicznym chwytem, nosi wszelkie cechy manii prześladowczej. Patrz: dziesiątki traktatów na ten temat, wszystkie obracają się w dziedzinie psychopatologii. Człowiek dotknięty tą chorobą poza tym może sprawiać wrażenie zupełnie zdrowego. Je i pije z apetytem, sypia bez zakłóceń, żartuje, klnie i porusza się pozornie jak człowiek normalny. Dlatego tak trudno go leczyć. Ale choroba się w nim zalęgła i drąży, wykoślawia mu myśli, zaciemnia obraz świata (łącznie z kreowaniem nie istniejącej rzeczywistości, uproszczonej na rzecz jego manii), zmienia proporcje przyczyn i skutków, tylko on o tym nie wie. Mój syn milczy.

Ostatecznie krzywda dotyczy garstki ludzi. Dla tej garstki, dla ich dzieci w szczególności, zaskoczonych swoją sytuacją – jest to dramat, ale dramat rozgrywający się w nich samych, bez konfrontacji z tragedią narodową. Więc znowu półdramat. Wiedza, że rozegrało się tu coś ohydnego, dotrze tylko do tych, którzy są uczuleni na estetykę wydarzeń, tylko do moralnie wrażliwych. Jedynie najbardziej zaciekli poszukiwacze prawdy wyczują, że stało się coś, do czego trzeba z uporem docierać. To, co kraj na tym traci, jest niewymierne (tak jak dla drużyny obecność pijanego piłkarza w jej szeregach), początkowo zaś w ogóle nieodczuwalne.

(Wynik sprawę kiedyś podsumuje.) Przeciętny człowiek nie myśli kategoriami historiozoficznymi, nie boleje nad tym, jak mój przyjaciel Grzegorz, że Polska przestała być wielonarodowa, że kultura polska nie jest już amalgamatem wielu kultur, języków, wierzeń, nurtów, że traci na barwności i muzyczności i staje się monotonna.

Głupi goju – tak milczy mój syn – właśnie dlatego tak rozumujesz, że ciebie to nie dotyczy. Dla niego świat już nigdy nie będzie taki sam, wiem. Coś się zawaliło, na zawsze. Stracił ufność.

Ja też. Bo ja też żywiłem zaufanie. Wierzyłem – ja, stary internacjonalista znad Ebro – że coś takiego nie może się zdarzyć, ponieważ wierzyłem, że to, co robimy, kreuje mimo wszystko społeczeństwo lepsze, uczucia szlachetniejsze. To, że ktoś ośmieli się przywołać ciemne instynkty, uczucia skompromitowane przez najstraszliwszego wroga naszego narodu, wroga ludzkości, dla swoich politycznych kombinacji, to nawet do głowy mi nie przychodziło. Cios był niby sygnalizowany, ale naprawdę spadł znienacka...

Dałem ogłoszenie do gazety: Rutynowany dziennikarz opracuje pamiętniki komuś, kto miał ciekawe życie i chciałby je opisać. Warunki do uzgodnienia. Podałem telefon. Ze strony kogoś takiego jak ja, bez doświadczenia prozatorskiego, była to pewna zuchwałość. Ale pieniądze mi się kończyły, trzeba było coś robić, coś bliskiego mojego fachu, a ja nic innego nie umiałem (dawno oderwałem się od licealnej matematyki), za późno też było – tak sądziłem – żeby czegoś nowego się uczyć. Dwa, a może trzy dni upłynęły w oczekiwaniu. Nic się nie działo. Raz zadźwięczał telefon, ale to był Jemirycz, ten, który chciał mi ofiarować pomoc, kiedy weszliśmy w znak Saturna; zapytał, czy nie wyjeżdżam z Warszawy – nie, nie wyjeżdżam – a więc pięknie, jeszcze zatelefonuje, ma sprawę (mówił zdartym, ledwie słyszalnym głosem), nie powie, jaką, bo może z tego nic nie będzie, zgłosi się wkrótce. Zaszedłem do „Czytelnika" na Wiejską, żeby zobaczyć się z Grzegorzem, ale nie zastałem go na stanowisku, wyjechał do Avignonu na przegląd filmów polskich. Któregoś dnia, bardzo wczesnym rankiem, kiedy przyrządzałem dzieciom śniadanie, zadzwonił telefon. Tak wcześnie zdarzają się tylko pomyłki: szorstki głos wyszczekuje: „Spółdzielnia?!"; i potem wściekłość, że nie będąc spółdzielnią ośmielam się podnosić słuchawkę. Tym razem głos był kobiecy, głos starszej pani, lekko zdarty, głos osoby ceniącej się i – dziwne, ale takie odniosłem wrażenie – traktującej z ironią siebie, a także i przedmiot rozmowy.

– Ja czytałam dzisiejszą gazetę – jak mnie się udaje kupić, to ja ją czytam – czy to pan dał takie dziwne ogłoszenie?

Siedemdziesiąt lat, jak obszył, pomyślałem. W tym wieku damy budzą się wcześnie i wydaje im się, że każdy, kto jeszcze śpi, źle się prowadzi.

– Tak, to ja. Słucham panią.

– Pan to myśli seriozno?

Poznałem akcent, słownictwo, i wstąpiła we mnie otucha: mam klientkę.

– Jak najbardziej – odpowiedziałem.

– I pan mówi, że pan jest rutynowany pisarz?

– Nie pisarz, dziennikarz.

– Tutaj przed wojną to to było to samo. Jak pan pisał do gazety, to pan musiał umieć pisać.

– Zgadzam się z panią.

– A jak się pan nazywa, można wiedzieć?

– Jerzy Wilkot.

Chwila milczenia. Potem chrząknięcie pełne powątpiewania:

– Czegoś nie słyszałam. Zaryzykowałem:

– Bo pani w tej branży nie wszystko wie. Słyszałem, że się zaśmiała.

– Pan ma rację. Ja jestem stara kobieta, aktrisa, i to, co ja wiem, to ja nikomu nie życzę, ale to jest z całkiem innego świata. Ja bym chciała, panie Wilkot, żeby pan napisał moje wspomnienia, wszystkie te roli, które ja miała i przeżycia...

– Miłości też? – przybrałem lekki ton.

– Dlaczego nie? Będą i miłości, i dużo intieriesnych istorii...

– Trzeba więc, żebyśmy się spotkali.

– Czy pan może dzisiaj?

– Dzisiaj? Chwileczkę, sprawdzę w kalendarzyku. – Udałem, że coś sprawdzam, że szalenie jestem zajęty, wyrastałem już na hochsztaplera. – Owszem, możemy dzisiaj.

– To niech pan przyjdzie do Teatru Żydowskiego.

– Istnieje coś takiego?

– Panie Wilkot, ja widzę, że pan też nie wszystko wie. Jest, jest teatr żydowski i tak długo, jak ja żyję, to on też będzie żył. To niech pan do nas przyjdzie i zapyta o Ester Bielawską. Albo o panią Esterkę. Spodziewam się, że każdy panu pokaże. Do miłego.

Moje żydowskie dzieci jadły śniadanie, które podałem im do łóżek, a ja, prostoduszny goj, pomyślałem sobie, że znowu mnie coś pcha w tamtym kierunku. Przyszło mi na myśl, że kiedy dałem to ogłoszenie, przeczuwałem, kto może się odezwać, i że właśnie po to je dałem. Obsesja.

Moja córka zapytała:

– Tato, kto to był?

– Pewna stara kobieta.

– A nie młoda dziewczyna?

– Nie.

– Mówiłeś z nią tak, jakbyś chciał ją skokietować.

– Bo chciałem. To klientka. Może zamówi u mnie pamiętniki.

– A co w niej jest ciekawego?

– Aktorka żydowskiego teatru.

– Znowu – powiedziała córka i westchnęła.

Rozumieliśmy się.

Miałem dużo czasu. Wstąpiłem do mojego ministerstwa, do biura dokumentacji. Zamierzałem napisać książkę o roku 1949 w ekonomice polskiej. Koniec planu trzyletniego i przejście do gospodarki socjalistycznej. Chwila przełomowa. Zyski i straty. Napisać na zimno, analitycznie – ale tak, żeby przeglądały się w tym nasze dzisiejsze konflikty. Potrzebowałem pewnych danych statystycznych. Ale, być może, chciałem też zobaczyć tę dziewczynę.

Nie było jej. Ta, która teraz urzędowała, w tej sali pełnej szaf z dokumentacją w nich zamkniętą i półkami kartotek, nie była nawet dla mnie nieprzyjemna, znała mnie skądinąd – „dawno pana nie widzieliśmy w ministerstwie, panie doktorze" – nie zorientowana dlaczego, na szczęście. Ale nie potrafiła mi pomóc. Zastępowała tylko tamtą, która wzięła kilka dni zwolnienia.

– Choruje? – spytałem i zdaje się, że poczułem niepokój.

– Ach, nie. Wychodzi za mąż. Dzisiaj ślub.

– Gorsze niż choroba – zażartowałem ponuro. – Za tego chłopaka, którego tu widziałem? – Przystojny, prawda?

– Bardzo szczęśliwa?

– Jeszcze by nie! Zakochana do szaleństwa. Niech pan przyjdzie w przyszłym tygodniu, kiedy ona będzie, i złoży jej przy okazji życzenia.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem. Uciekłaś mi, dziewczyno. Koniec marzeń, nie ma już polskiej Jerry Hall. Niech ci los da szczęście, pomyślałem. Trzeba sobie sprokurować jakąś niekłopotliwą kochankę, pomyślałem, odpowiednią na moje lata. Nie, zapomnij o tym. Tamci

mają rację: urwało ci się, podrywaczu. (Tylko nie wiedzą, że nigdy nie byłem podrywaczem. Nigdy się nim nie czułem.) Zobaczyłem w brudnej szybie wystawy swoje odbicie. Popatrz, przyjrzyj się sobie: komu ty jesteś potrzebny? Będziesz teraz pisać o romansach pani Ester Bielawskiej: substytut – tylko to ci zostało.

Kiedy wysiadłem na placu Grzybowskim z autobusu „160", zobaczyłem z daleka „Ślusarczyka". Przechadzał się przed gmachem Teatru Żydowskiego. Szedłem ku niemu, żeby mu powiedzieć, że przekaz doszedł, i żeby go zapytać, jak mu się wiedzie, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że to wcale nie on, że to „Iksowicz". Ten, który zaatakował mnie na zebraniu w dzielnicy! Zdaje się, że ucieszył się na mój widok, wcale nie speszony, ukłonił się z uśmiechem – ale ja nie odpowiedziałem. Spoglądałem w przestrzeń, gdzieś ponad nim, zupełnie jakby był przezroczysty. Minąłem go, a on odwrócił się za mną zdziwiony, czułem na plecach jego spojrzenie, on pomyślał może, iż ja naprawdę go nie zauważyłem. Z kolei ja się odwróciłem, już na progu teatru, bo ogarnęły mnie wątpliwości, czy to naprawdę był „Iksowicz", może jednak „Ślusarczyk" – nie, to był „Iksowicz", ten, który tak odważnie atakował człowieka nieobecnego. Czy możliwe, żeby byli aż tak do siebie podobni? A może to ta sama osoba? Raz jest „Ślusarczykiem" – kiedy mnie potrzebuje; a raz „Iksowiczem" – kiedy mnie niszczy.

Stałem w hallu Teatru Żydowskiego czując pulsującą w skroniach krew. Wykończę się. Nie odkłoniłem się, nie podałem mu ręki – ach, on to przeboleje – to ja, ja przypłacam takie odruchy zdrowiem, to ja zdobyłem się na gest, a za gest się płaci, przynajmniej ja płacę. Nie daj się wykończyć, myślałem, Jemirycz ma do ciebie sprawę, potrzebuje cię, a skoro on cię potrzebuje, to to już ważne, już coś w tym jest.

Woźny w ciemnoniebieskim garniturze podszedł do mnie i zapytał nieprzyjaźnie:

– Pan tu po co?

Ten siwy woźny był Żydem i ja, człowiek zafrasowany, też musiałem wyglądać na Żyda, mimo moich niebieskich oczu, bo wobec nie-Żyda nie ośmieliłby się być taki niegrzeczny. Ale ja się tym nie przejąłem. Znalazłem się w dziwnym świecie, krainie schizofrenicznej, świecie całkowicie wymyślonym – i jeśli nie był on nawet taki dziwny i wymyślony, to ja w każdym razie przyszedłem tu z nastawieniem, że taki jest, i tak go odbierałem. Ten siwy woźny miał dziwnie powolne ruchy, szatniarka sunęła przez hall jak duch i pomyślałem sobie, że w słońcu zapewne nie rzuca cienia.

– Jestem umówiony z panią Ester Bielawską.

– Ona jest na próbie. Pan wie, co to znaczy próba?

– Domyślam się – powiedziałem chłodno.

– Pan tu siądzie i zaczeka.

Zapaliłem papierosa jak każdy, kto musi czekać. Woźny znikł. Ale zaraz wrócił i powiedział, nagle dobrotliwy:

– Już idzie.

Po chwili ukazała się moja klientka. Była niewysoka, siwowłosa, szczupła, może nawet filigranowa. Mały nosek, usta duże, nakarminowane, dołeczki w uróżowionych policzkach – w ogóle ślady zniewalającej urody. Ten mały nosek miał ostry garb, który kiedyś mógł dodawać uroku. W uszach kołysały się srebrne kolczyki z perłami, szyję okalały sznury pereł, na palcach obu dłoni miała pierścionki z ogromnymi kamieniami. Szła uśmiechnięta z wyciągnięta naprzód ręką:

– Dzień dobry, panie Wilkot. – Dłoń drobna, koścista, chłodna. Uścisnąłem ją chyba za mocno. – Widzi pan, my egzystujemy, to nie jest żaden sen. Chodźmy na salę, oni tam jeszcze próbują, pan się przyjrzy.

Zachowywała się tak, jak gdybyśmy byli starymi znajomymi.

Znalazłem się w słabo oświetlonej sali teatralnej. Również scena tonęła w półmroku, a na jej obskurnych deskach snuło się kilka postaci nie rzucających cienia. Jedna z nich wrzeszczała – i zrozumiałem, że to reżyser.

– Jak pan to wymawia?! – wrzeszczał po polsku do wysokiego blondyna. – Czy tak mówi Żyd? Niech pan przez chwilę popracuje swoją tępą mózgownicą! To trzeba śpiewać, lamentować, a nie mówić! – Wykrzyknął coś po żydowsku.

– Co on powiedział? – spytałem szeptem pani Estery.

– On westchnął z rozpaczą do Pana Boga. Powiedział: „Panie Wszechświata!" Tamten nie umie tego w żaden sposób powtórzyć.

– Dlaczego?

– Jest za młody. On nigdy nie słyszał, jak stary Żyd wzdycha do Pana Boga. On słyszał tylko „kurwa twoja mać".

– Bardzo sugestywnie to pani powiedziała.

– Ja jestem aktrisa, ja umiem wszystko. Jak trzeba, to ja jestem stara Żydówka, a jak trzeba, to ja jestem hrabina Potocka, a jak jeszcze trzeba, to ja jestem przedwojenna prostytutka z ulicy Smoczej.

– Dziwny zawód.

– Prostytutka? Co tu jest dziwnego?

– Nie, myślę o aktorstwie. Że to dziwny zawód.

– Czy ja mówię, że nie?

Wysoki blondyn był bliski histerii.

– Mam to w dupie! – wołał do reżysera. – Rozumie mnie pan? Pana, pański jidysz, cały ten teatr! Czego pan ode mnie chce? Czy ja to muszę mówić jak stary Żyd? Przecież ja i tak nie gram Żyda, tylko austriackiego żandarma. I zawsze gram żandarmów, policjantów, kozaków, wyłącznie gojów, same ogony, dlatego że ja jestem wysoki blondyn. A Samson to co?! Wszystko jasnowłosi! Pan żyje w dawnym świecie, dla pana Żyd to ciągle koślawy chasyd! Pan rozumuje jak antysemita!

– Ale to jest sztuka z tamtej tradycji... kiedy Żydzi, na scenie przynajmniej, byli koślawymi chasydami...

– I co z tego?! Chce pan wiecznie tkwić w tamtej gnojówce? Świat idzie naprzód! Trzeba znaleźć nowe interpretacje! Zobacz pan, co się dzieje w polskim teatrze! Jeśli można wystawić w Warszawie *Sen nocy letniej* na wrotkach, jeśli można przetrząsnąć samego Szekspira, to dlaczego nie można wprowadzić czegoś nowego do tych naiwnych, amatorskich sztuczydeł, które pan nie wiadomo skąd wyciąga.

– Synu – powiedział nieoczekiwanie spokojnie reżyser – nic nie rozumiesz. My jesteśmy właśnie od tego, żeby kultywować te, jak pan powiedział, sztuczydła. To jest folklor narodu, który wyginął.

Spytałem szeptem pani Estery:

– Dlaczego oni kłócą się po polsku?

– A po jakiemu mają się kłócić? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Reżyser próbował ułagodzić blondyna:

– Słuchaj, kochany, ty się nie szarp, nie buntuj, tylko ucz się tekstu. Doktor Frydman nauczy cię, jak to się wymawia, ty mu patrz na usta.

– Ja patrzę! Ja się uczę! I co z tego? A potem przychodzi do teatru taki... – Blondyn zbiegł ze sceny i dopadł siwowłosego pana, który rozsiadł się w pierwszym rzędzie. Był to jeden z czołowych krytyków teatralnych, poznałem go po zwichrzonej czuprynie, którą często pokazywano jak eksponat w telewizji. – Pan!.– Blondyn wbił krytykowi oskarżający palec w pierś. – Przychodzi pan na salę i zakłada pan słuchawki. Słuchawki, pan! Ze niby nie zna pan jidysz, że musi pan słuchać polskiego przekładu, a pan go przecież zna od dzieciństwa, tylko pan się wstydzi.

– Bardzo proszę! – zawołał krytyk, a ja, mimo że ta cała scena rozgrywała się w półmroku, domyśliłem się, że poczerwieniał na twarzy.

– Pan w ogóle nie szanuje ludzkiej pracy! I to czuje się w tym, co pan pisze! Po co ja się uczę? Po co doktor Frydman się męczy? Po co ja przeżywam swoją kozacką rolę, kiedy i tak mojego głosu nikt nie słucha, tylko pułkownika Gutermana, który bębni za nas wszystkich z kabiny. – Zwrócił się z gniewem do głośnego krytyka: – I pan ma być Żydem? Wstyd!

– Chodźmy stąd... – szepnąłem.

– Tak, chodźmy, pan ma rację. – Pani Ester wstała. – Oni się jakoś pogodzą. Co dzień te same awantury.

Przesuwaliśmy się między rzędami krzeseł do wyjścia. Tam, za nami, uspokoiło się. Blondyn wrócił na scenę. Westchnął po żydowsku do Wszechmogącego – moim zdaniem wcale zgrabnie, szczególnie jak na austriackiego żandarma mówiącego w jidysz. Dom wariatów. Ten młody ma wysoko rozwinięte poczucie przynależności grupowej, zdążyłem jeszcze pomyśleć – i zaraz usłyszałem wyrazisty szept mojej klientki:

– A najdziwniejsze, że on wcale nie jest Żydem. Przyszedł do nas, bo nie mógł dostać pracy w żadnym teatrze. I w ogóle nie zna języka. I ja panu powiem, że on go nigdy nie pozna. Uczy się go, żeby wymawiał prawidłowo tekst roli, nic więcej od niego się nie wymaga. Ale kto lubi, jak jego praca idzie na wiatr?

– Ten młody mi się podoba – powiedziałem – ale on jest bliski nerwowego załamania.

– Proszę pana – rzekła na to moja klientka – być Żydem, to nie jest zajęcie dla nie-Żyda. Dla Żydów to też jest dosyć trudne, a co dopiero...

Zasiedliśmy w przyteatralnej kawiarni. Moja klientka zamówiła dwie kawy i dwa koniaki martineau.

– Na dobry początek – powiedziała. – Chociaż ja nie wiem, czy będzie jakiś początek.

– Dlaczego nie?

– Panie Wilkot, ja nawodziła o panu sprawki i nikt o pana nie słyszał.

– „O panu” – skorygowałem.

– Niech będzie o panu – zgodziła się obojętnie.

– Przepraszam.

– Po co pan przeprasza? Ale pan nie odpowiedział na pytanie.

Przyniesiono kawy i koniak. Podniosłem kieliszek.

– Pani nic nie ryzykuje – powiedziałem. – Tyle, że mi pani opowie sporo o sobie. A któż nie lubi opowiadać o sobie? Zaliczki na razie nie trzeba. Nawet za te koniaki ja zapłacę. Zdrowie znakomitej Estery Bielawskiej.

– Dziękuję. Pan jest miły człowiek, panie Wilkot.

Więc trochę wypiliśmy. Wyjaśniłem, że jestem dziennikarzem, właściwie komentatorem spraw gospodarczych, ale ciągnie mnie do pisania. Mam o czym.

– To niech pan pisze.

– Najpierw wykonam pani zamówienie.

– To znaczy, że na mojej brodzie chce się pan uczyć golić?

– Coś w tym rodzaju.

– Pan ma szarm, panie Wilkot, niech pan wierzy starej kobiecie, która się zawsze na tym trochę znała.

– Dziękuję pani.

– A co u pana słychać w ogóle? – spytała.

Zrozumiałem, że nie była to towarzyska ciekawość, ale badanie personalne (przyszłego współpracownika). Opowiedziałem jej w kilku zdaniach, co się u mnie dzieje. O likwidacji tygodnika. O Sarze i dzieciach.

– Pana interesuje teatr? – spytała.

– Od dziecka. – Kłamałem, bo nie chciałem, żeby uciekła mi klientka.

– To dobrze – ona na to. – Ja panu opowiem wszystkie swoi roli, a pan je opisze. Grałam Lady Macbeth i Czarownicę, i...

– Jaką Czarownicę?

– Nasz folklor. To jest taka naiwna sztuka, ale za to rola! To to jest rola! Daj Boże każdej żydowskiej aktorce!

– Mieliśmy opisywać pani romanse...

– Och, będzie i o tym, dlaczego nie? Ale scena – to najważniejsze. Sztuka! To trzeba opisać, żeby zostało dla przyszłych pokoleń.

Więc ona też chce coś zostawić dla przyszłych pokoleń. Swoje role. Nagle uderzyło mnie coś w jej nazwisku.

– Pani Estero, czy pani miała coś wspólnego z tym Bielawskim z powstania w getcie?

– To był mój mąż. Co pan tak na mnie patrzy? Ja jeszcze nie zwariowałam.

– On był chyba dużo młodszy od pani...

– No to co? Ja wcale tego nie zauważyłam – powiedziała z uśmiechem. – Niech mi pan wierzy, ja dałam mu dużo szczęścia. I on mnie.

Zamilkliśmy. Przydały się teraz koniaki, kawa, papierosy. Moja klientka paliła astory, pięćdziesiąt złotych paczka, dobry znak dla mnie. Pomyślałem sobie, że muszę przystąpić do rzeczy.

– Pani Estero, za pamiętnik objętości trzystu stron maszynopisu chciałbym dostać trzydzieści tysięcy złotych.

– Do wójta nie pójdziemy – odezwała się.

– Odpowiada to pani?

– Jak pan tak mówi, to chyba tak musi być.

– Dziękuję. Gdyby nasz pamiętnik został wydrukowany i osiągnął jakiś niezwykły sukces, w Polsce czy za granicą, dostanę dziesięć procent pani honorariów – w odpowiedniej walucie.

– Daj Boże. – Pokiwała sceptycznie głową.

– Przedstawię próbnie kilka pierwszych stron. Jeśli pani się spodobają, wypłaci mi pani zaliczkę. Jeśli nie, to powie pani sobie: trudno, straciłam kilka wieczorów na rozmowy z szarlatanem.

– Pan nie jest szarlatanem, ja to czuję. Pan ma dużo kłopotów, ale pan z tego wyjdzie, pan ma energię, daj Boże każdemu Żydowi. Tylko dzisiaj pan nie jest w swoim talerzu.

– Nie w sosie – skorygowałem ją.

– Talerz, sos – co za różnica? Niech pan lepiej powie starej kobiecie, co pana gryzie.

– Moja dziewczyna wyszła dziś za mąż.

Westchnęła.

– Oj, to jest zmartwienie. Może dla niej większe niż dla pana – dodała z przemądrym uśmieszkiem. – Wie pan co? Ja jednak zapłacę za te koniaki i kawę. I niech pan jeszcze zapali, to lekki papieros. Pan mnie strasznie zaciekawił, panie Wilkot. Nie dało się nic zrobić?

– Nie, nic nie można było zrobić. Dowiedziałem się o tym dopiero dziś.

– Nie uprzedziła pana?

– Nie miała obowiązku. – Patrzyłem na nią długo, ze smętnym uśmiechem, prawie jak Żyd. – Ona nie wiedziała, że jest moją dziewczyną.

Moja klientka znowu się chytrze uśmiechnęła.

– Panie Wilkot. Ja czuję, że my zrobimy nadzwyczajną książkę. Niech pan powie: czy pan chce wypić za szczęście tej pani, czy woli pan nie?

– Chcę wypić – powiedziałem.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Twoje szczęście, Dziewczyno. Niech ci się wiedzie w pracy i z nim. Moja klientka przyjrzała mi się i powiedziała:

– Co to będzie za książka! Co to będzie za książka!... Umówiliśmy się na seans u niej w domu.

Jej role! Miała głowę pełną tych ról. Już w dzieciństwie... Tak, od dziecka na scenie. Kijów – w Kijowie się urodziła – Charków, Biała Cerkiew, Homel, Mińsk. Nawet Moskwa. Początkowo grała role młodych chłopców: Cherubina w *Weselu Figara,* Olivera Twista. Berdyczów. Winnica. Męskich ról też nie brakło. Kachowka. Rostów nad Donem. Taganrog. W żydowskim teatrze wielkie gwiazdy grają mężczyzn, to stara tradycja. Grała Hamleta (to był Hamlet! Co to był za Hamlet!) i Herszla z Ostropola. Mariupol, Cherson, Dniepropietrowsk. Pan nie wie, kto to jest Herszel z Ostropola? Znowu byłem za ciemniaka. Taki żydowski Dyl Sowizdrzał, rozumie pan? Ale jej największa rola to Lady Macbeth. Zaczęła deklamować. Jej oczy zaświeciły młodzieńczym blaskiem, ale gdzieś znikła jej naiwność, były to oczy osoby bezwzględnej, kobiety opętanej żądzą władzy i bogactw. Po chwili uśmiechnęła się zadowolona z siebie:

– Co pan na to?

– Brawo. To było przejmujące. Ale naszła mnie refleksja, że aktorstwo to zawód podejrzany moralnie. Bierze się pieniądze za udawanie. Udaje się śmiech, udaje się płacz, udaje się najświętsze uczucia. A przecież udawanie nie jest zajęciem chwalebnym. Udaje się roznamiętnienie. Pani Esterko, niech się pani nie gniewa, ale wydaje mi się, że nie mógłbym się kochać z aktorką. Nigdy bym nie wiedział, czy ona przypadkiem nie gra.

– To samo mówił on, słowo w słowo. – Na ścianie wisiała fotografia szczupłego trzydziestolatka w rozchełstanej bluzie i z dużą grzywą opadającą na czoło. – Ja panu powiem to samo, co jemu. Aktorstwo powinno się kończyć, jak człowiek schodzi ze sceny. Tylko zły aktor gra dalej – na ulicy, w domu, przy stole i, niech Bóg broni, w łóżku. Ja pana coś jeszcze powiem: każdy zawód wymaga ciut-ciut aktorstwa. Ja już nie mówię o politykach, dyrektorach, gienierałach, ale jak pan jest, dajmy na to, kelnerem albo policjantem, albo subiektem w sklepie, to pan nim jest ciągle? Pan gra kelnera, subiekta czy kogoś tam jeszcze, pan się w nich wciela, potem pan zamyka sklepik, pan idzie do domu i w domu pan już może być sobą. Musi pan! Bo jeśli pan ciągnie to swoje kelnerowanie dalej, to pan jest zgubiony. Lowa, na początku naszego związku, kiedy ja go obejmowałam i patrzyłam na niego, pan rozumie jak – jak w obraz patrzyłam – to on mnie pytał: Ester, ty teraz grasz, czy ty naprawdę do mnie to czujesz? Potem mówił, że właściwie to mu wszystko jedno, bylebym na niego tak patrzyła. Ale ja mu musiałam udowodnić, że ja go naprawdę kocham. – Mocowała się przez chwilę z zapalniczką, chyba po to, żeby nie patrząc na mnie móc powiedzieć: – I spodziewam się, że udowodniłam.

Spytałem:

– Kto to jest Lowa?

– On, Bielawski. Ruskij poet.

– Poeta? – zdziwiłem się.

– Jeszcze jaki.

Nigdy nie słyszałem o takim poecie. Nie miałem też pojęcia, że Bielawski był przedtem w Rosji i pisał wiersze.

– Wydawało mi się – odezwałem się raczej nieśmiało – że to był młody i niezwykle obiecujący ekonomista.

– On mógł być wszystko. On miał nadzwyczajny łeb.

– Lowa?

– Lew Isaakowicz Bielawskij. Mój mąż. Kiedy poznaliśmy się, był recenzentem teatralnym, przyszedł na przedstawienie teatru żydowskiego w Kijowie – grałam Mirele Efros, ale pan nawet takiego tytułu nie zna – po premierze była lampka wina i my straciliśmy głowy dla siebie.

– W Kijowie – upewniłem się.

– A gdzie indziej?

– Wydawało mi się, że pani wspominała w kawiarni o Leonie Bielawskim, który był jednym z przywódców powstania w getcie.

– To ten sam.

Nie, chyba mi się to wszystko śni. Próbowałem coś jeszcze z niej wyciągnąć.

– Mówią o Leonie Bielawskim – powiedziałem – że wyjechał w 1948 roku do Palestyny, brał udział w wojnie o niepodległość Izraela i tam zginął.

– Pan widział jego grób? Ja pytała ludzi: nikt nie widział.

– Więc pani sądzi, że on żyje?

– Gdzieś w Ameryce. On mógł stracić pamięć, zmienić nazwisko. Ale kiedyś mu się wszystko przypomni i wróci.

– To dlatego pani stąd nie wyjeżdża?

– Dlatego i nie dlatego. Jak on tu walczył i tu zginęła cała jego familia, ta późniejsza, z getta, to ja tu muszę być, trwać, pilnować, pan rozumie? Pan jest, przepraszam bardzo, aryjczyk, pan nie wszystko może rozumieć.

– Mówiłem już pani, że jestem kompletnie zażydzony.

– Ach, pan to ładnie powiedział, pan ma szarm, panie Wilkot, w pana to się można zakochać. To ja teraz panu opowiem o mojej Lady Macbeth, cała koncepcja, czy jak oni to teraz mówią, pan to zanotuje i opisze.

Przyglądałem się temu młodemu człowiekowi na ścianie. Rysy miał rozmazane, musiało to być powiększenie z bardzo małej fotografii.

Powiedziałem:

– Bez pośpiechu, pani Estero. Muszę o pani więcej wiedzieć.

– O czym pan chce wiedzieć?

– O nim.

Opowiadała z wysiłkiem, jakby niezbyt chętnie. Kochali się biezumno. Ona porzuciła dla niego swojego dyrektora teatru, on odszedł od żony poetessy. Z rolami było coraz trudniej. Recytowała Majakowskiego w szkołach. On nic nie zarabiał, miał trudności z drukiem, czasem dostawał z łaski stypendium, czasem ktoś z bonzów literackich wciskał mu jałmużnę. „Byliśmy nędzarzami, ale z wyboru, sami tak wybraliśmy. Ta piękna czupryna – ach, nie, to już nie był ten sam mężczyzna, czupryna znikła, policzki zapadły się, on gryzł się, że naraził mnie na nędzę, ale ja go kochałam, aktorka też potrafi kochać.” Uwielbiała jego wiersze. Nie drukował nic, miał jedną tylko czytelniczkę, ale za to fanatyczną. Znała jego wiersze na pamięć. „Esterko – mówił – w tobie cała moja nadzieja. Dzięki tobie moje wiersze ocaleją.” Zabrali go któregoś dnia – i słuch o nim zaginął. Ktoś jej doniósł, że zmarł z głodu, obłąkany. Tak, z głodu, bo odmawiał przyjmowania pokarmów, bał się, że zatrute. Ale nikt tej śmierci nie widział, nikt absolutnie. Podczas wojny, w Taszkiencie, znowu zaczęła dostawać „roli”, niewielkie, ale zawsze praca, był pajok, czyli norma chleba, i jeśli głodowała, to tak jak wszyscy, ani mniej, ani więcej. Ale ona miała lepiej niż inni, miała czym żyć: swoim Lową. Codziennie powtarzała sobie jego wiersze, żeby ich nie zapomnieć, zanim on wróci, albo kiedy nastanie dzień, że można je będzie drukować. I on by zrozumiał, że ja go naprawdę kochałam.

– Nie myślała pani o wyjściu za mąż?

– Dlaczego nie? Ale w ostatniej chwili zawsze mnie coś odrzucało. Panie Wilkot, ja jestem stara kobieta, to ja panu to teraz mogę powiedzieć: ja byłam bardzo zmysłowa i my z Lową dużo czasu spędzaliśmy w łóżku. On mnie doprowadzał do szału, wystarczyło, że mnie dotknął, ale to pewno dlatego, że ja go uwielbiałam, uwielbiałam nasze uczucie, naszą wspólną nędzę, naszą solidarność. A jak on odszedł, to we mnie to wszystko, te namiętności powoli zaczęły wysychać. Żaden inny mężczyzna dla mnie nie istniał. – Pomyślała chwilę i dodała: – Tylko jeden... Tak, z jednym byłam gotowa się puścić, wyjść za niego za mąż albo i bez tego. Pan myśli, że to był jakiś nadzwyczajny ktoś? Wcale nie. Tylko że on był z Lową w obozie, jego wypuścili i on mógł opowiedzieć mi, co się u Lowy dzieje, i nie miał w Taszkiencie

gdzie się podziać, to ja go przygarnęłam i dałam mu kolację. On się upił, ja go rozebrałam, obmyłam i położyłam do łóżka. A on spał. I na drugi dzień to samo. Nigdy nic nie mogłam z niego wycisnąć, wieczno pjanyj. Ten człowiek, z którym ja by poszła do łóżka tylko po to, żeby mi powiedział, co się stało z Lową. A potem zaczął opowiadać, że Lowa nie żyje, że przedtem zwariował, ale on tego nie widział – i dlaczego ja mam wierzyć jakiemuś pijanicy – i ja mu kazałam iść precz.

– To warto opisać – zauważyłem.

– Już to zrobiono. – Po chwili: – Jest nawet takie opowiadanie u Leskowa. Sytuacje się powtarzają – westchnęła. – Ja mogę sobie myśleć, że jestem jedyna, ale to nieprawda, takich wdów – niewdów są tysiące.

– A u nas skąd się pani wzięła?

– Ja się dowiedziałam z jednej broszury, że mój Lowa był w przywództwie powstania, cały bohater. I że przeżył. Zaczęłam pisać, dobijać się – nikt nie odpowiadał. Kiedy w roku 1948 dostałam się do Warszawy, jego już tu nie było. Ale zaczęły się roli. Teatr Żydowski mnie potrzebował. Zaczęłam żyć – ja nigdy nie miałam takiego dobrego życia, przedtem, z nim. Zwiedziłam cały świat: Amerykę, Izrael, Johannesburg, wszędzie z naszym teatrem i bez niego też. Amerykańscy Żydzi oszaleli za mną. Pan widzi te perły? Ja mam tego tyle, że sama nie wiem ile... Ja się stałam monument, symbol. Ja już nawet nie muszę grać. Wystarczy, że wejdę na scenę, westchnę – i ludzie płaczą. Bo jak ja się pojawiam, to pojawia się sam Los. Los wszystkich żydowskich matek. A ja sama, panie Wilkot, nigdy nie byłam matką. Chyba że dla niego... On tulił się do mnie i płakał. Nikt nie chciał go drukować, on był bezradny jak dziecko, ale przed nikim nie narzekał, strasznie dumny, zawzięty, i tylko w moich objęciach on słabł i mógł sobie pozwolić na łzy. Moje jedyne dziecko. I dlatego ja mogę grać żydowskie matki.

Przyglądałem się fotografii trzydziestolatka w rozchełstanej komsomolskiej bluzie. To zanim jeszcze stracił włosy. W getcie musiał mieć co najmniej czterdzieści lat. Pani Estera podsunęła mi pudełko ze swoimi drogimi papierosami. Odezwałem się:

– A Bielawski – on jak się tu dostał?

– Pan się nie domyśla? On przecież urodził się w Warszawie.

Znalazł się więc w trzydziestym dziewiątym w Warszawie. Wszedł do organizacji bojowej. Założył nową rodzinę. Tak, to mogło tak być.

– Pokażę panu trochę jego wierszy – powiedziała nagle. – Jego własną ręką zapisane.

– Zachowały się jego rękopisy?

– Te się zachowały.

Były to kartki wyrwane z zeszytu szkolnego do rachunków, przewiązane kolorową wstążką, jak listy miłosne pensjonarki. Po chwili zrozumiałem dlaczego: bo to były wiersze właśnie o miłości. Namiętne, szalenie bezpośrednie, zwracające się wprost do niej – jak listy. Było tam dużo o pełnych ustach i jeszcze więcej o piersiach. Jej piersi doprowadzały go do szaleństwa. Spojrzałem na moją klientkę: była płaska jak decha, nigdy nie miała obfitych piersi. Licentia poetica, zrozumiałem.

– Podobają się panu? – spytała.

– Parzące. Musiała pani być szczęśliwa, kiedy pani składał te wiersze.

– One nie były pisane do mnie.

Zamilkłem.

– On mnie zdradzał – powiedziała moja klientka. Powinienem był się tego spodziewać, ja, stary lis, ja, który niczemu się nie dziwię, tak, tego właśnie powinienem się był spodziewać, a jednak zamilkłem pod wrażeniem jej słów i przez chwilę czułem się tak, jak gdyby to mnie zdradzono. – Związał się z moją przyjaciółką, to ona miała te obfite piersi, szerokie biodra, puszyste jasne włosy i ona dużo się śmiała. Ona nie była aktrisa, jej on mógł wierzyć. Miał tam u niej wszelkie wygody, łazienkę, ciepły szlafrok i jajka na śniadanie. To trwało prawie

pół roku. Ale potem wrócił do mnie. Zostawił łazienkę i cały ten komfort i wrócił do mnie. Chociaż ja, jak pan dobrze zauważył, nie mam piersi, a na śniadanie on u mnie nic dobrego dostać nie mógł.

Siedziałem z otwartym notesem, w którym miałem odnotować jej role, słuchałem i nic w ogóle nie zapisywałem.

– Kiedy go zabrano – opowiadała moja klientka – ta moja bywsza przyjaciółka przyszła do mnie i przyniosła te rękopisy. Ona nie chciała ich trzymać. Powiedziała, że mogę z tym zrobić, co chcę. Mogę zachować, mogę spalić. Spalić wiersze Lwa Bielawskiego! Kiedy we mnie cała jego nadzieja!... To ja nie tylko te wiersze zachowałam, ale ja się jeszcze ich wyuczyłam na pamięć; na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, co przetrwa; człowiek czy papier, spalić można jedno i drugie, ale niech to robią nasi wrogowie, nie my. My powinniśmy wszystko gromadzić, chować, żeby kiedyś udostępnić światu, żeby świat achnuł: wot był poeta!

Spojrzała na mnie nagle rozbawiona i spytała domyślnie:

– Chyba już dziś nic nie będziemy notować?

– Dziś już nie.

– Ma pan pełną głowę moich opowieści.

– Myślę, że bardzo dużo mi dały.

Jej role! Wolałbym pisać o nich dwojgu: o nim, który z bezradnego poety przedzierzgnął się w bojownika warszawskiego getta, i o niej, która strzegła jego puścizny w głowie i przewiozła przez tysiące kilometrów rękopisy wierszy pisanych do innej. Heloizo, pomyślałem Heloizo z płaską piersią, przestań bredzić o rolach, które nikogo nie interesują. To ty sama jesteś wielką postacią dramatyczną! To ty jesteś kochanką, jakiej scena nie znała. Żydowska Heloiza – i jej biedny, umęczony obłąkany i ginący z głodu Abelard.

Schowałem notes. Musiałem obejrzeć jeszcze trochę jej biżuterii, potem dała mi dwie grube koperty z wycinkami recenzji w różnych językach. Przyrzekłem, że przestudiuję je z uwagą i zrobię z nich notatki. Na odchodnym zapytała mnie:

– Pan nie pójdzie gratulować tej swojej dziewczynie?

– Sądzi pani, że powinienem?

– Jej będzie bardzo przyjemnie. Ja pana radzę.

– Dobrze, posłucham pani.

– Wyobrażam sobie, jaka to nadzwyczajna osoba. Uśmiechnąłem się.

– Tak mi się wydaje.

– Nie jest pan tego pewny?

– Nie, źle się wyraziłem: jestem pewny.

– A jak ona ma na imię?

Dziura w pamięci. Imię, jej imię. Ależ oczywiście, nie znałem jej imienia, nigdy jej o to nie pytałem.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – I nawet nie umiem się domyślić.

To mnie męczyło. Próbowałem odgadnąć, ale żadne imię do niej nie pasowało, każde wydawało mi się nie dość dobre. Pomyślałem sobie, że mogę tam pójść i zapytać ją. Pomyślałem tak sobie w łazience wycierając się ręcznikiem po kąpieli. Mój brzuch nie spodobał mi się, chyba jednak przytyłem. Miałem potem kłopot z zapięciem paska na tę dziurkę, co zawsze, zabrakło mi tchu, w końcu musiałem zrezygnować i popuścić o jedną dziurkę. Nie pójdę tam, postanowiłem. Nie mam czego tam szukać. Co innego słać kwiaty do Jerry Hall – daleko, wysoko, nigdy mnie nie zobaczy.

Spojrzałem przez okno na ulicę. Przy kiosku z gazetami stał „Iksowicz", w długim palcie i kapeluszu, stał i spoglądał na nasz dom. Więc aż tu przyszedł, pod moje okna. Wziąłem teleobiektyw syna, żeby mu się z bliska przyjrzeć. Nachylił się do kioskarza, rondo kapelusza przesłoniło mu twarz. Kioskarz wydobył z ukrycia pewną plugawą gazetę (była poświęcona

obronie praworządności, a jakże), „Iksowicz” zapłacił. Potem wyprostował się, ale wciąż nie mogłem mu się porządnie przyjrzeć, bo zapalając papierosa zasłonił twarz dłońmi. Kiedy je odjął i wypuścił dym z ust, przekonałem się, że to nie jest „Iksowicz”.

Nie był to też „Ślusarczyk” ani w ogóle nikt znajomy. Ale nie odchodził. Spacerował pod naszym domem i co pewien czas zwracał spojrzenie w stronę moich okien. Odłożyłem teleobiektyw Zbyszka na miejsce. W naszym domu było osiemdziesięciu lokatorów i ten gość wcale nie musiał czyhać na mnie. Ale ja jeden miałem coś na sumieniu. Nie wiedziałem dokładnie co, ale czułem, że nie jestem w porządku. Miałem na sumieniu swój straszny żal, zapiekłą niechęć. Czułem, że im nigdy nie *wy*baczę tego, że musiałem się za nich rumienić ze wstydu, i wiedziałem, że oni się tego we mnie domyślają. Czułem też, że muszę ten swój żal jakoś przelać na papier. Tak, tego też się „chyba domyślali. Nie czułem się niewinny, o nie.

Zadzwonił telefon. Krysia chciała odebrać, ale powstrzymałem ją gestem i chwyciłem za słuchawkę. „Ja w sprawie ogłoszenia” – usłyszałem. Pomyślałem: ratunku, znowu jakieś dziwadło – i rozpoznałem głos Grzegorza.

– Potrzebny ci murzyn? – spytałem.

– Ze znajomością ortografii.

– Nie wiedziałem, że studiujesz ogłoszenia.

– Ogłoszenia i nekrologi – odpowiedział. – Cały naród to robi. Najciekawsze, co jest w naszych gazetach. Słuchaj, co to ma znaczyć? Znowu jakiś eksperyment?

– Próba zarobkowania.

– Piórem? I to mówi ekonomista!

– Były – przypomniałem.

– Gdzie się podziewasz? Twoi podopieczni narzekają, że nie ma kogo naciągnąć na pożyczkę.

– Grzesiu, słyszałeś o takim poecie Bielawskim?

– Ruski, tak?

– Lew Isaakowicz.

– Słyszałem. Jest teraz na niego moda. Wiersze krążą w odpisach. Są już tłumaczenia polskie.

– Poznałem wdowę po nim.

– Tę żydowską aktorkę? Jednak ty jesteś nieuleczalny.

– Przypadek...

– Żaden przypadek, Jurku: przeznaczenie, wszystko przeznaczenie.

– Czy ty wiesz, że ten Bielawski znalazł się podczas wojny w Warszawie?

– Naprawdę? – zdziwił się Grzegorz.

– I był w sztabie powstania w getcie.

– Myślałem, że umarł przed wojną.

– Przeżył getto i zginął w wojnie o niepodległość Izraela.

– Dziwy! I to jej pamiętniki masz opracować?

– Może – powiedziałem tajemniczo.

– Zazdroszczę ci.

Potem przez chwilę mówił o Tońce. Widział ją w służbowym samochodzie dobrej marki. Z kim ona teraz jest?

– To nie jest rozmowa na telefon – odezwałem się zgodnie z coraz bardziej rozpowszechnioną formułką.

Grzegorz zaśmiał się.

– Czytałem słodki artykulik w „Sztandarze Młodych” – powiedział. – Narzekają w nim, że ludzie nie chcą rozmawiać przez telefon o poważnych sprawach. Jak mają sobie coś istotnego

do powiedzenia, to spotykają się w kawiarni, obciążając zarazem komunikację miejską. A przecież szkoda czasu, można sobie wszystko powiedzieć telefonicznie.

– Czy tego artykuliku nie podpisał przypadkiem „Iksowicz”?

– Ten „Iksowicz” od opowiadań myśliwskich? Nie on. Dlaczego ci to przyszło na myśl? On nie jest zbyt inteligentny, ale chyba całkiem przyzwoity facet.

– Ja wiem swoje – mruknąłem.

– Dla mnie on ma jedną zaletę: że marnie pisze. Kto dobrze pisze, to mój wróg, zabiera mi chleb. Jak skończysz pamiętniki tej aktorki, to cię znienawidzę, łobuzie. Czuję, że natrafiłeś na złotą żyłę.

Usłyszałem jej głos: „To będzie książka! To to będzie książka!” Kiedy odłożyłem słuchawkę, zobaczyłem wąską i krętą uliczkę w pobliżu metra Telegraph w 20-tym okręgu Paryża. Prowadziła na targ, który odbywał się w środy i soboty. Zobaczyłem czerwień pomidorów, zobaczyłem winogrona, banany, krwiste połcie mięsa. Stałem przed straganem z owocami ściskając dłoń dziewczyny – mogła to być ta z biura dokumentacji, ale nie byłem pewny, czy to ona. Podniosła zieloną kiść winogron do ust, rozgryzła jedno i uśmiechnęła się do mnie wargami, po których spływał sok. Wyjrzałem przez okno: ten gość zapalił następnego papierosa. Urwało ci się, podrywaczu – przypomniałem sobie. Tońka ma rację. Zniszczyli mnie.

Na szczęście miałem swoją klientkę. Prowadziłem dalej poszukiwania. Zadzwoniłem do Jemirycza.

– A, to pan, panie doktorze – ucieszył się. – Dzwoniłem do pana.

– Powtórzono mi. Czym mogę służyć?

– Chciałem tylko zapytać, jak się panu wiedzie.

– Jako tako – odpowiedziałem. Po diabła mają wiedzieć, jak mi się naprawdę powodzi. – A co mówią konstelacje?

– Lekka poprawa. Powoli, ale systematycznie będzie się poprawiać. Tymczasem, gdyby pan potrzebował pomocy pieniężnej – na przykład pięciuset złotych...?

– Nie, dziękuję, jeszcze nie.

Sara przysłała dla dzieci dwieście dolarów. Sprzedaliśmy osiemdziesiąt, resztę włożyłem do tego nie używanego portfela.

– Panie kolego – odezwałem się – mam do pana inną sprawę.

– Słucham drogiego pana redaktora. – Domyśliłem się tylko jego słów, tak głos był mało słyszalny.

– Czy mówi coś panu nazwisko Bielawski?

– Owszem, znałem takiego.

– O, nawet go pan znał!

– Tak. Wychodził czasem z getta na przepustkę – był pielęgniarzem w szpitalu. I wtedy spotykaliśmy się. Ja mu przekazywałem pieniądze, a on starał się za nie nabyć jakiś pistolet.

– Co to był za człowiek?

– Niezwykle zdolny. Niezwykle. Mądry, dojrzały chłopak. (Uderzyło mnie to słowo: chłopak.) Jeśli weźmie pan pod uwagę jego wiek...

– Właśnie, ile miał lat?

– Kiedy powstanie wybuchło – dwadzieścia jeden może dwa.

– Na pewno nie czterdzieści?

– Wykluczone.

Tego się spodziewałem. Matematyka jest przeciw niej, pomyślałem, matematyka znowu wtrąca swoje trzy grosze. Postanowiłem się upewnić:

– I nie był rosyjskim poetą?

– On? Skądże. Ja bym chyba wiedział. Zaczął tuż przed wojną studia ekonomiczne. Potem, w getcie, chodził na wykłady z higieny, które zorganizował profesor Hirszfeld, chyba szło o

to, żeby mógł zostać tym pielęgniarzem. Jako pielęgniarz asystował w białym kitlu przy selekcji na Umschlagplatzu i wyciągał bojowców z transportów do Treblinki.

– Czyli decydował, kto ma żyć, a kto umrzeć.

Jemirycz zakaszlał coś w odpowiedzi. Jak Bóg, pomyślałem o tamtym, jak dwudziestojednoletni Bóg. Spytałem:

– Czy pan jeszcze coś o nim wie?

– Po upadku powstania w getcie ukrywał się po aryjskiej stronie. A potem brał udział w powstaniu warszawskim.

– Znowu klęska...

– Po wojnie wydał jakąś broszurę.

– A co robił?

– Po wojnie? Chyba studiował. Tak, studiował ekonomię polityczną.

– A broszura o czym była? Ekonomiczna?

– Tego nie pamiętam. Chyba jednak o walkach w getcie.

– A potem co?

– Straciłem go z oczu. Znikł.

– Czy pan wie, że przed wojną był rosyjski poeta o nazwisku Bielawski? I to wybitny.

– Nasz nie nazywał się Bielawski – dosłyszałem. – Przybrał to nazwisko dla celów konspiracyjnych.

– Może jako wielbiciel tamtego poety?

– Tego nie wiem. On naprawdę nazywał się chyba Aronson, jakoś tak.

– Czy nie sądzi pan, że mógł wrócić do swojego prawdziwego nazwiska?

– Kiedy?

– No, w Izraelu, w jakichś Stanach, gdziekolwiek później.

Znowu coś chrapliwego w odpowiedzi.

– Kolego Jemirycz, co to, chrypa?

– Niestety, panie doktorze, coś poważniejszego. Jakieś gruzełki na strunach głosowych. Potrzebna operacja. Lekarze się zastanawiają...

– Może się obejdzie – usiłowałem go pocieszyć.

– To by był zły znak – zachrypiał Jemirycz ledwo słyszalnie.

Zrozumiałem.

Kiedy wchodziłem do gmachu ministerstwa, omal nie wpadłem na „Iksowicza". Rozpromienił się i zawołał: „Cześć!" Nie odpowiedziałem. Nie widzę go – szkło, powietrze (szkło brudne, powietrze zatrute). Domyślałem się, że stoi jak skamieniały. Nareszcie zrozumiał. Ja wstępowałem po schodach, a w skroniach znowu tłukło. Te moje gesty!... Ale dobrze, że go tu spotkałem. Przypomniał mi, kim jestem, gdzie się znajduję, ustawił mnie. Szedłem do biura dokumentacji – tam wchodziło się bez przepustki – otóż szedłem tam, bo miałem sprawę, a nie żeby zerknąć na tę dziewczynę, i pomyślałem sobie, teraz, po spotkaniu „Iksowicza", że lepiej będzie, jeśli jej nie zastanę.

Ale zastałem ją. Siedziała za biurkiem, w grubym golfie koloru ceglastego, na piersi miała podwójny sznur drobnych bursztynów. Przeglądała jakieś papiery odnotowując coś w zeszycie pismem szybkim, ale chyba starannym. Na moje „dzień dobry" odpowiedziała melodyjnym „dzień dobry panu" i odłożyła długopis. Podniosła na mnie oczy i powiedziała, raczej z miłym uśmiechem:

– O, to pan. Dawno pana doktora u nas nie było. Czym mogę służyć?

– Chwileczkę, zastanowię się.

Przyglądałem jej się. Dostrzegłem ślad podłużnej szramy poniżej ucha, przykrytej warstwą pudru, musiała to być blizna po jakimś wypadku, i pomyślałem sobie, że ta szrama jakoś wcale jej nie szpeci, przybliża mi trochę tę piękną dziewczynę, rozgrzewa serce.

– Czemu mi się pan tak przygląda? – spytała śpiewnie. – Zmieniłam się?

– Chyba tak. Trochę tak.

Zwinęła dłoń i wysunęła palec, na którym lśniła złota obrączka.

– Widzi pan? – pochwaliła się.

– Gratuluję. – Pochyliłem się nad jej dłonią i pocałowałem tuż obok złota obrączki. Powtórzyłem: – Gratuluję, szczerze.

– Dziękuję.

Była roześmiana i chyba zarumieniona z emocji. Blizna pod uchem ujawniła się wyraźniej.

– I jak w małżeństwie? – spytałem.

– Przyzwyczajam się.

– Ale w ogóle, w porządku?

– Mniej więcej.

– A mieszkanie?

– Coś już jest. Walczymy o lepsze. Oszczędzamy.

Lakoniczna, stwierdziłem. Rzeczowa, dodałem w myśli. Na biurku stało kilka wazoników, w każdym tkwiły kwiaty: cudownie rozkwitła żółta róża (jakiś zazdrośnik), trzy gerbery, trzy czerwone tulipany. Wielbiciele. Ustaw się w kolejce, doktorze, może się dopchasz z jakąś różą.

– Więc co dla pana? – usłyszałem jej głos.

– Trochę nowych opracowań, jeśli można.

Wstała i podeszła do jakiejś półki. Wspięła się trochę na palcach, żeby zdjąć z niej kilka broszur. Nie mogłem oderwać wzroku od jej wygiętej, szczupłej sylwetki. Jak ona się porusza! Majestat i wdzięk, pomyślałem. Położyła przede mną te broszury i powiedziała:

– Wpiszę pana. Pan Wilkot... Jerzy, prawda?

– Pani pamięta... – Miałem prawo do zdumienia.

Było coś zalotnego w jej uśmiechu, kiedy tłumaczyła przekornie:

– Mam dobrą pamięć.

– Nie wątpię – przyznałem skwapliwie. – Ale nie wiem, czym zasłużyłem.

Co sobie wyobrażałem, że usłyszę? Jakieś czułe wyznania?

– Tu nie trzeba żadnych zasług – powiedziała. – Wszyscy równi...

A jednak ten ujmujący uśmiech, który potem nastąpił, był jakby trochę specjalnie dla mnie.

– Chyba z tą równością pani trochę przesadziła – odezwałem się.

– Skąd taka myśl?

– Bo dawniej przysyłano mi pewne opracowania do domu, ostatnio to się urwało. Przypuszczam, że straciłem prawo...

Zastanowiwszy się chwilę, spytała:

– Od jak dawna pan nie dostaje?

– Chyba od pół roku.

Widziałem na stoliku obok biurka stos szarych kopert gotowych do wysyłki. Ona także spojrzała w tamtą stronę. Potem uczyniła zabawny zapraszający gest obiema rękami:

– Niech pan siada. Sprawdzimy.

Usiadłem na krzesełku naprzeciwko niej. Zapaliła papierosa i sięgnęła po jakiś spis. Przeglądała go z długopisem w ręku.

– Nie ma tu pana. Fatalnie. Ale chwileczkę, bez nerw. Sięgnęła po inny spis.

– W starym spisie pan jest. Czyli skreślono pana doktora, tak?

– Pani to powiedziała.

– Fatalnie. – Zapytała z udaną surowością: – Co pan przeskrobał?

– Bo ja wiem.

– Tak się tylko mówi. Chyba pan coś przeskrobał.

– Ależ tak, na pewno, wcale się nie zapieram. Może nic takiego nie zrobiłem, ale za to, jakie ja mam myśli, mój Boże! Jeśli karać ludzi za ich ukryte myśli, to rzeczywiście nikt z nas nie może się czuć niewinny. A może pani wie, co ja przeskrobałem?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. I nie musi się pan tym przejmować: ja mam zawsze parę rezerwowych opracowań do dyspozycji i mogę dla pana odłożyć. Tylko przysyłać mi będzie trudno, bo muszę się wyliczać z poczty. Zmusi to pana do odwiedzania nas – zakończyła z uśmiechem, który znowu mi się wydał jakby zalotny. Ale to „nas", instytucjonalizując ją, od razu oddalało wszelkie pokusy.

– Cóż – udałem westchnienie – przyjmę na siebie ten ciężar.

– Co pana najbardziej interesuje? Znów wróciła rzeczowość tonu.

– Koniec lat czterdziestych i bieżące dane statystyczne.

Zapisała sobie coś na karteluszku i włożyła go do pudełka pod odpowiednią literą. Strasznie porządnicka.

Otworzyły się drzwi i wpadła z impetem archiwistka naszego zlikwidowanego tygodnika, niska, o męskim wyglądzie, ale barwnie ubrana, dawna łączniczka AK.

– Stary, cześć, jak się masz! – wykrzyknęła. Uścisnęliśmy sobie mocno dłonie. – Ludka, obsłuż pana wzorowo, to najmilszy dziennikarz z mojej spalonej redakcji. Sam takt i kultura. Ludka, sprawdź, czy tego nie można gdzieś dostać. – Wręczyła mojej dziewczynie kartkę. – Cześć, Jurek, trzymaj się. – Zatrzymała się w drzwiach. – Powiedz, czy ona nie jest urocza? Gdybym była mężczyzną, straciłabym dla niej głowę. (Ja też, pomyślałem. Gdybym był mężczyzną.) Bye-bye!

Znowu uścisnęliśmy sobie z nią dłonie. Trzasnęły drzwi.

– Widzę, że ma pan u niej przody – odezwała się dziewczyna. Po raz pierwszy słyszałem w jej ustach wyrażenie slangowe. Trochę to mną wstrząsnęło, bo sam używam innego języka, niby też mówię po polsku, ale inaczej. – Pierwszy raz mi się zdarza słyszeć, żeby o kimś dobrze mówiła.

– Czy to zrobiło na pani wrażenie? – spytałem.

– Jestem odporna. – Znowu ten przekorno - zalotny uśmiech.

Postanowiłem zbagatelizować swój sukces.

– Ach, ona tak tylko trzepie językiem... W mojej obecności – żadna sztuka. Ale dzięki niej dowiedziałem się, jak pani ma na imię.

– To nigdy nie było tajemnicą, pan po prostu się nie interesował... Coś jeszcze dla pana?

– Czy ma pani jakąś porządną bibliografię z nasze] dziedziny?

– Znajdzie się. Proszę sobie wziąć karteluszek i napisać, o co chodzi.

Podała mi swój długopis. Napisałem na kartce „BIELAWSKI LEON" – i podałem ją pani Ludce.

– To ukazało się zaraz po wojnie – objaśniłem.

Pomknęła na przeciwny koniec sali. Znowu mogłem podziwiać jej smukłą sylwetkę w ruchu. Zdjęła z półki gruby tom i zajrzała do środka.

– Bielawski Leon – przeczytała głośno. – *Stać w miejscu czy iść naprzód?* Łódź 1947. Stron 58 nakładem autora.

– Poemat miłosny? – spytałem.

– Rozprawa na tematy ekonomiczne. – Szła ku mnie z tym tomem w ręku. – To pana interesuje?

– Ogromnie.

– Ściągnę to dla pana.

Wyraziłem swoją wdzięczność. Jej pudełko wzbogaciło się o nowy karteluszek. A ja patrzyłem zafascynowany na to, jak ona pisze. Wszystko, co robiła, wydawało mi się wyjątkowe i trochę tajemnicze.

– Do użycia tylko na miejscu – zaznaczyła. – Przyjdzie pan tu za tydzień – mówiła zupełnie tak, jakby mi wydawała dyspozycje. – Siądzie pan sobie o tam, przy tym stoliczku i będzie pan spokojnie pracował.

– Jak ja się pani wywdzięczę?

– Po co się wywdzięczać? Od tego tu jesteśmy, żeby obsługiwać naszych panów ekonomistów. – Uśmiechnęła się. – Nawet jeśli coś przeskrobali.

Podała mi dłoń. Nachyliłem się i pocałowałem ją w okolicach przegubu. Nie wiem, czy zauważyła, że z tamtą archiwistką tylko uścisnęliśmy sobie dłonie. Może coś jej to podpowie.

Spojrzałem jeszcze na nią naciskając klamkę u drzwi. Powinienem jej teraz powiedzieć, że jest piękna. Że jej wdzięk jest zniewalający. Że w jej spojrzeniu jest niebiańska czystość. Że rozczula mnie – nawet zachwyca – blizna pod uchem. Ale nie powiedziałem nic.

– Stało się coś? – spytała. (Boże, jaka niedomyślna!) – Zapomniał pan czegoś?

– Nie, nic, przez chwilę tylko mi się zdawało. Ten długopis to był pani, nieprawda? Do widzenia.

Piłka zawisła w powietrzu. Podbiegłem i skierowałem ją uderzeniem głowy w sam róg bramki. To był ten sam mecz, co zawsze. Ale tym razem nie było mnie w bramce. Zbliżyłem się do niej, żeby zobaczyć, co się dzieje między słupkami. Grunt był zarzygany. Otworzyłem oczy i zapaliłem lampkę. Już wiedziałem, że długo nie zasnę.

Podreptałem do kuchni i zajrzałem do lodówki. Wyjąłem talerzyk z resztką twarożku ze szczypiorkiem. Moja córka okazała się zdolną gospodynią. Jak wszystkie kobiety, wiedziała lepiej niż my, co mężczyzna powinien jeść i jak się ubierać. Nie sprzeciwiałem się, nauczyłem się pokory przy Sarze, mogę jeść to, co mi podsuną, proszę bardzo. Kiedy miałem ochotę na drinka – a czasami miałem – wychylałem go po kryjomu albo wymykałem się do Klubu Aktora. Moje przyjście tam coś znaczyło: że jeszcze istnieję, że mnie nie zniszczyli. Wyciągnąłem z biurka kopertę z notatkami. Ja też miałem swoje karteluszki, chociaż nie w takim porządku jak pani Ludka. Większość dotyczyła okresu okupacji. Myśli o tym, co to właściwie jest faszyzm, dlaczego ludzie sami nakładają sobie namordnik. Różne uwagi o szaleństwie ludzkim. Zrozumiałem, że jeśli naprawdę chcę pisać o latach czterdziestych, jeśli ma to być coś bardziej ambitnego, to nie mogę się do tego zabrać bez pokazania punktu wyjścia. Świat, nagle wyzwolony, był oszołomiony – i bezbronny. Świat, do niedawna jeszcze zatruty. Albo obłąkany. Co kto chce.

Modlitwa dzieci w przedszkolach nazistowskich:

Führerze, mój Führerze, dany mi przez Boga,
Chroń i zachowaj długo moje życie!
Uratowałeś Niemcy z najstraszniejszej klęski,
Tobie dziś zawdzięczam mój chleb powszedni.
Zostań przy mnie długo, nie opuść mnie nigdy!
Führerze, mój Führerze, moja wiaro, moje światło!
Heil, heil, Führerze mój!

W środku Europy. To, że podporządkowali się zbrodni, to, że brali w niej udział, nie jest tak rozpaczliwe, jak to, że podporządkowali się głupstwu. I uwierzyli w nie – oni, tacy cywilizowani, tacy kulturalni. Ale chamstwo krzyczało tak głośno, biło z taką wściekłością! Kto rozwala szczęki, ten zapewne ma po temu jakąś rację, myśli oszołomiony inteligent. Naród może mieć wspaniałą warstwę oświeconą, a rządzić sobą pozwala garstce łobuzów i kłamców, którzy nie wiedzą, co to skrupuły. Częstują jakimiś niedorzecznymi hasłami, odwołującymi się do urazów i niechęci, szeregiem wykrzykników, które mają tę przewagę nad myślą,

że nie pozostawiają miejsca na wahania. Wszystko rozwiązane. Wszystko wiadome. Wszystko proste. Podporządkuj się, a będziesz szczęśliwy.

Jürgen Stroop, kat warszawskiego getta, wiedział o sobie z całą pewnością, że jest kimś wyższym rasowo, nawet od wielu własnych rodaków, skoro został powołany do Lebensborn, do zapładniania czystych aryjek pozbawionych mężów – nie wiedział jednak, że istnieje Antarktyda. Ten mały brak nie przeszkadzał mu w awansowaniu. Przeszedł – opowiadał to w celi Moczarskiemu – krótki kurs dokształcający NSDAP. Uczono tam biografii Wodza i teorii rasowej. Podawano im w przyśpieszonym tempie różne głupstwa, faszerowano czymś, co uznawano za wiedzę, uczono niepotrzebnych faktów, cytatów-śmieci. Skreślono zarazem całe obszary wiedzy rzeczywistej, prawdziwych i bolesnych doświadczeń ludzkości, przemyśleń i dokonań. Zdawali z tych swoich lekcji egzaminy, dostawali ze znajomości idiotyzmów stopnie i kończyli kursy dumni ze swojej „wiedzy", absolwenci głupstwa i szaleństwa. Nagle to wszystko się kończy, bomba pęka – i absolwent zostaje z pustymi rękami, ze śmietnikiem w głowie. O, nędzo „uczoności"!...

Odłożyłem swoje karteluszki, wzburzony. Szaleństwo ludzkie mnie podnieca i chcę krzyczeć, szarpać niewidzialne kraty. Czasami budzę się w nocy z krzykiem. Zażyłem relanium, żeby zapaść w stan zobojętnienia. Położyłem się i przymknąłem oczy. Zacząłem obliczać stan moich rezerw: nie, to też nie zbliża do snu. Lepiej wróć na boisko. Ktoś je uprzątnął z rzygowin. Piłka wisiała w powietrzu wciąż w tym samym miejscu. Ale nie podbiegłem do niej. Objąłem poduszkę, zatopiłem w niej twarz. Śpię bez kobiety. Jak długo już nie miałem kobiety? Za kilka dni będę znowu w biurze pani Ludwiki. Zobaczyłem ją: ceglasty golf, sznur bursztynów, szrama rumieni się pod warstwą różu. Jej uważne spojrzenie. Jakie ma oczy? Nawet nie spostrzegłem koloru. Usłyszałem jej głos: „Fatalnie" – zabrzmiało śpiewnie tuż koło mnie. Dziewczyno, szepnąłem, moja piękna dziewczyno. Piłka opadała z błękitu nieba wprost na mnie. Rąbnąłem głową. Usłyszałem dalekie brawa... Będę spał.

Moja klientka zaczęła mnie wypytywać o różne moje sprawy. Można by pomyśleć, że to ona ma pisać o mnie, a nie ja o niej. A może rzeczywiście zbiera o mnie informacje? Dlaczego właśnie ona odezwała się na moje ogłoszenie? Może jej ktoś to zlecił – ale kto? Przybyła stamtąd – w jakim celu? Z jaką misją? Te bzdury, że powstaniec Bielawski to jej mąż – przecież to nie trzyma się kupy.

– Niech pan skosztuje te ciasteczka, moja robota. Takich ciasteczek pan dziś nigdzie nie dostaniesz. Zrobię panu kiedyś rybę po żydowsku, to pan achnie. Zaproszę trochę ludzi z teatru, pan ich wszystkich pozna, i pan pozna moje ryby, one są sławne. Wie pan, to dopiero ironia losu: jak długo byłam z Lowką, to ja pojęcia nie miałam o gotowaniu. Kiedy zatęsknił za czymś smacznym, to albo my szli upolować coś u znajomych (ale tych znajomych mieliśmy coraz mniej), albo on musiał się wprowadzać do jakiejś damy z obfitą piersią. A teraz to ja jestem mistrzyni. Ostatnia żydowska kucharka.

Zdaje się, że chciała się po prostu zaprzyjaźnić. Jej ciekawość była zwyczajną babską ciekawością, może już trochę starczą, wszystko chce wiedzieć, o wszystko wypytuje, nie uznaje żadnego prawa do osłony, do ukrycia się w mroku, zarazem wszystko wie lepiej, udziela rad nie proszona, bo ona jest już w tym wieku, że ma prawo, bo tyle przeżyła, tyle zrozumiała, jej wolno wszystko.

– Oni mówią, pan chyba słyszał, że „człowiek to brzmi dumnie". Powiedzmy. Jak myśmy wystawiali Na dnie, to tak wyszło, że ten personaż, który to wypowiada, to on leżał pod stołem pijany jak świnia. Satin, tak on się nazywał – przecież ten Satin to alkoholik i tak to pewnie Gorkij obmyślił. Ironia autora. Ale zaraz, co to ja chciałam powiedzieć? Ja im powiedziałam, że wcale nie muszę być człowiekiem, wolę być pekińczykiem, takim małym pieskiem o okrągłych oczach. Nie jest się wtedy zbyt mądrym, ale żyje się łagodnie. I można domagać się pieszczot.

Zaśmiałem się – i pochwaliłem ciasteczka.

Pani Estera spytała:

– No jak, złożył pan życzenia tej młodej osobie?

– Tak jak pani radziła.

– I wie pan już, jak ona ma na imię?

– Wiem: Ludwika.

– Ludwika? – Zdaje się, że pani Estera przyjęła to bez entuzjazmu. – Dobrze, niech będzie Ludwika. Ludwika – i jak dalej?

Nie, stanowczo za dużo wypytuje. Ale może to tylko ciekawość. Nie dajmy się zwariować.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Była bardzo miła. Pamiętała moje nazwisko i pewno nie przyszło jej do głowy, że ja powinienem znać jej. Ona tylko obsługuje. Prosiłem ją, żeby wystarała mi się o jakiś druk archiwalny, i ona mi to obiecała.

– Archiwalny? Ona ma dostęp do archiwów?

– Ma pieczę nad drukami tego ministerstwa.

– I pamiętała pana nazwisko? – upewniła się pani Estera.

– Mam powód do dumy, prawda?

– Niech pan lepiej z nią uważa.

Zaschło mi w gardle.

– Nie rozumiem pani...

– Lepiej uważać. Wie pan, te osoby, które mają dostęp do archiwów – one wszystkie są stamtąd.

– Chyba pani się myli. Ona ukończyła instytut i jest specjalistką.

– Instytut-śminstytut – kto z nich nie skończył jakiegoś instytutu? Same doktory i magistry. Lepiej uważać. Niech pan posłucha starej kobiety.

– Wolę nie posłuchać – powiedziałem stanowczo. Czy mam jej wyznać, że jeszcze przed chwilą ją właśnie podejrzewałem o nieczystą grę? – Gdyby ją pani zobaczyła, wyzbyłaby się podejrzeń.

Przez chwilę jednak próbowałem iść tokiem jej rozumowania. Nie, to zgroza! Nie da się tak żyć, wszystko będzie zatrute. Usłyszałem jej westchnienie:

– Daj Boże. Człowiek ma nadzieję, a Bóg się śmieje. Daj Boże – powtórzyła. Zrozumiałem, że obstaje przy swoim.

Znielubiłem ją. I żeby dokuczyć, wróciłem do tamtej sprawy: niemoralności zawodu aktorskiego.

– Pan się przy tym upiera? – spytała drwiąco. Bardzo często przybierała taki ton, przez który przebijało z trudem skrywane poczucie wyższości.

– Ach, nie, chciałbym tylko rozszerzyć nasze wywody. Żeby nie były takie dosłowne. Być może, wszelka sztuka ma podłoże nieczyste moralnie: polega na eksploatacji doznań, na wyjawianiu tego, co może ma prawo zostać ukryte, na wtargnięciu do sfery intymności. Żeruje się na nieszczęściu samego bytowania. Miłość bez wzajemności, choroba, zdrada, śmierć. Tragedia całych narodów. Tragedia naszych najbliższych. Przyjaciół, żony, nawet dzieci. Wszystko staje się tematem, fabułą, i to możliwie interesującą, opracowaną według pewnych reguł technicznych, z zastosowaniem chwytów – po to, żeby trafić, przykuć uwagę, osiągnąć wrażenie. Przyznaję, że moralny może być użytek, który z tej obróbki się czyni: powtórzenie świata, utrwalenie, wymierzenie sprawiedliwości. Możliwe, że stanowi to jakąś pomoc dla znękanej ludzkości. Albo co najmniej usatysfakcjonowanie: nie odejdziecie zapomniani, bez śladu. (Przecież ja też właśnie po to zacząłem moje zmagania ze słowem: żeby utrwalić – siebie, Bielawskiego, ją. I tych łobuzów, którzy wzruszyli mi grunt pod nogami.)

– Czyli pan nie skazuje nas, artystów, bez okoliczności łagodzących?

– Znajdą się jakieś.

– Wyrok z zawieszeniem – powiedziała.

– Wróćmy do tego, co pani mówiła o aktorstwie kelnera albo dyrektora.

– Ja coś takiego mówiłam? – zdziwiła się. – Ja tyle paplę...

– Tak, powiedziała to pani – i ja zapamiętałem. (Nawet to zapisałem, ale wolałem o tym nie wspominać.) Pewien mój znajomy, profesor-psychiatra, napisał w swojej książce mniej więcej tak: „Konformizm to jest przyjmowanie pewnych norm bez ich wewnętrznej akceptacji."

– Pan się z tym nie zgadza? – Znów to pełne ironii spojrzenie.

– To określa pojęcie konformizmu, ale nie wyczerpuje powodów „przyjmowania pewnych norm bez ich wewnętrznej akceptacji". Można to czasem robić z innych pobudek, niekonformistycznych. Na przykład z tęsknoty do aktorstwa.

– Pan nas ładnie urządza.

– Ja nie potępiam aktorów – ja tylko mówię, co jest w człowieku. Istnieje coś takiego, sama pani to powiedziała, jak zamiłowanie do gry, do wcielania się.

– Pod warunkiem, że rola jest pociągająca – dodała i uwaga ta wydała mi się bystra.

– Zgadzam się. A więc na przykład w wojsku jestem dobrym żołnierzem – odgrywam dobrego żołnierza – przyjmuję na siebie tę rolę. Kostium też tu ma swój udział: pamiętam, że w mundurze byłem poniekąd innym człowiekiem niż w ubraniu cywilnym. A jako lokaj gram idealnego lokaja, tak jak sobie tę postać wyobrażam. Ta myśl nie zakłada nieszczerości: dobre aktorstwo jest prawie szczere. Jest się Otellem, gangsterem, zdzirą – tak długo, jak trwa przedstawienie.

– Ale w życiu przedstawienie trwa ciągle i ja panu powiem, że każda rola może obrzydnąć. – Całe szczęście.

– A Charlie Chaplin? – zaskoczyła mnie pytaniem.

Nie zrozumiałem.

– A klown w cyrku, który się wywraca i ludzie pękają ze śmiechu? Czy w tym też pan widzi pierwiastek niemoralny?

Rozgryzłem kruche ciasteczko: rzeczywiście, smaczne. Musiałem się zastanowić. Wygłupiasz się, pomyślałem, wygłupiasz się osądzając świat. Zacząłem się z lekka wycofywać:

– Chyba trzeba zrobić wyjątek dla aktorstwa komediowego. Dla wszystkiego, co służy zabawie. W tym wypadku udawanie jest jakby na wierzchu, odbywa się w porozumieniu z widzem, z perskim okiem do niego, w nieustannym kontakcie z nim. Ma w sobie coś z błazenady, z wygłupu. Z zabawy. Bez pretensji do zbawiania świata.

Moja klientka siedziała zasępiona. Przez chwilę mogło się wydawać, że o mnie zapomniała.

– Pan jest mądry człowiek, panie Wilkot – odezwała się wreszcie – i pan ma różne błyskotliwe myśli, ale życie wcale nie jest takie błyskotliwe. Jeśli pan pójdzie za daleko w swoich spekulacjach, to się pan może tak oddalić, że pan nie wróci na ziemię. Jak było getto i jak oni tam umierali, i smażyli się, to tu, po tej stronie, Niemcy zabronili się martwić. Wolno było grać tylko bzdurne farsy i hołota na to chodziła, a porządni ludzie siedzieli w domu. Wystawiano różne śmieszne rewie, które się nazywały, wie pan jak? *Moczmy nogi!* Albo: *Ach, jak przyjemnie!...* To kiedy oni ginęli i mój Lowa z nimi. Ma pan rację, to nie miało pretensji do zbawiania świata, ale to żadna zasługa, bo są takie chwile, że trzeba zbawiać świat. Naszą niemoralną sztuką. Trzeba udawać. żeby ludzie wierzyli i płakali.

Ostatnie słowa powiedziała łamiącym się głosem. Nie wiem, czy było to takie przejmujące aktorstwo, czy też nie panowała nad sobą. Otworzyłem notes: chyba czas przystąpić do pracy. Ona tego jakby nie spostrzegła. W jej bladoniebieskim oku pojawiła się łza, prawdziwa łza, nieudawana. Powiedziała cicho:

– On tam miał żonę i małe dziecko.

– Kto? – W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o kim mowa.

– Mój Lowka. Żonę i małe dziecko. W getcie.

Strasznie młody mąż i ojciec, pomyślałem. Ale nie wolno mi było tego powiedzieć na głos.

– Gdzie ta żona? – spytałem.

– Zginęła.

– A dziecko?

– Z nią. On to mógł sam widzieć, on, powstaniec, mógł widzieć, jak giną.

Nalała mi jarzębiaku, sobie też. Podniosła kieliszek, nie odmówiłem. Gdyby nie to, że oni właśnie tego chcą, moi wrogowie, rozpiłbym się. Z premedytacją.

– Dla mnie nie było innego mężczyzny, ja żyła tylko oczekiwaniem... a on wziął sobie młodą żonę i zrobił jej dziecko – po co? Po co Żydowi dziecko? Ale niech pan nie myśli, że ja go potępiam za tę żonę. Ja rozumiem, że tam, w getcie, on nie mógł inaczej. Nie mieć nikogo bliskiego przy sobie – to już jest najgorsze. Świat jest taki wrogi, to jemu potrzebny był ktoś, kto by się do niego tulił i kogo by mógł objąć. Ale on na pewno o mnie nie zapomniał. Pan myśli, że on mnie mógł zapomnieć? Przecież ja przechowywałam wszystkie jego wiersze. Tu, tu – wskazała na swoje czoło – w tej głowie.

Pochyliłem się nad otwartym notesem.

– Pani Estero – powiedziałem nie patrząc na nią – przejdźmy do pani ról. Zacznijmy od lat dziecinnych. Od Kijowa...

Jestem tam znowu. Ona w sukni koloru poziomkowego, z podłużnym wycięciem pod szyją. W tym wycięciu – złoty medalik. Rozmawia z jakąś umalowaną, wyondulowaną blond babą, która robi wrażenie stukniętej. Tamta wciąż: „Ach, pani Ludwiko, gdyby nie pani... pani jest prawdziwym skarbem! Gdybym była bogata, kupiłabym pani sznur pereł, ale cóż, proszę przyjąć ten kwiat.” Pani Luteńka (tak ją naraz w myśli nazwałem) śpiewa: „Niepotrzebnie się pani fatyguje, doprawdy – och, jaka śliczna – dziękuję, bardzo dziękuję.” Podnosi czerwoną różę do nozdrzy i wdycha z lubością jej zapach. Potem wstawia do słoika z wodą. Tamta gada i gada. Zamorduję.

Ja przyszedłem bez kwiatka, z pustymi rękami, a właściwie powinienem był, chciałem nawet – z wielu względów. Ale nie mogłem się narażać na śmieszność, starsi panowie wzdychający do młodych dziewcząt nigdy nie budzili sympatii, byli zawsze przedmiotem drwin, dawna farsa francuska bawiła się ich kosztem, Molier też, wywoływał wybuchy śmiechu szydząc z zakochanego starego głupca, którym był on sam. Ta zwariowana baba wreszcie poszła i Dziewczyna podniosła na mnie oczy.

– A, to pan. – Uśmiechnęła się. – Witam. – Podała mi dłoń, a ja ją pocałowałem. – Ona jest niemożliwa. Trzaska dziobem jak opętana. – Znowu uderzyło mnie to jej słownictwo, tak inne od mojego, idiomy pokolenia, które ode mnie odskoczyło. – Uginam się pod naporem jej komplementów. Ona chyba myśli, że bez tego nie dostanie jakiegoś tam zestawienia...

– Może ona panią naprawdę wielbi?

– Naiwny pan, panie doktorze... – W jej słowach też był ten ton wyższości, który wszyscy jakoś ostatnio przybierali wobec mnie. – Co dla pana? – spytała.

– Bielawski – przypomniałem.

– Ach, prawda. – Stuknęła się dłonią w czoło. – Skleroza.

Słowo, które w jej ustach nic nie znaczy. Poprzednim razem pochwaliła się, że ma dobrą pamięć. Trzymałem w ręku cienką broszurę. Przerzuciłem kilka kartek. Nie wiem dlaczego, spodziewałem się, że będzie zdjęcie autora i że to będzie ten młody człowiek z fotografii na ścianie u pani Estery. Ale nie było zdjęcia i nie mogło być, przecież wydał to tanio, nakładem własnym.

– Czy pani wie, że to biały kruk?

– Zadowolony pan?

– I wdzięczny.

Włączyła czajnik elektryczny i usiadła przy biurku. Wyjęła z papierka śniadanie: dwa kawałki ciemnego chleba z pasztetem i pomidor. Stolik, który mi wyznaczyła, czekał na mnie w kącie, ale ja nie odchodziłem od jej biurka. Stałem przypatrując się, jak ona je – bez pośpiechu, ale i bez dziamdziania, estetycznie, wszystko, co robiła, było, psiakrew, estetyczne – pomyślałem o jej ojcu, o matce, o tym, jacy to muszą być niezwykli, świetni ludzie. Ona, ich córka, była olśniewająca w tej sukni z grubej materii o intensywnym kolorze – i kiedy tak się gapiłem, musiałem wyglądać jak człowiek głodny. Woda zaczęła wrzeć w czajniku, pani Ludwika wyłączyła go, nalała wody do szklanki, wrzuciła torebkę z naparem ekspresowym – ja wciąż tkwiłem przy jej biurku. Pociągnęła trochę herbaty ze szklanki i poskarżyła się:

– Gorące.

– Mogę pochuchać – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Pan jest szalenie uczynny.

Chciałem powiedzieć: „Nie dla wszystkich", ale otworzyły się drzwi, wszedł jakiś dryblas w okularach, z włosami czarnymi jak smoła. Chował ręce za sobą, jakby coś chciał przed nią (a może przede mną?) ukryć. Ona, z lekka się zarumieniwszy, kiwnęła mu głową. Tamten stał i czekał. Na swoją kolej – jak przedtem ja.

Odszedłem z broszurą Bielawskiego do stolika, wyjąłem notes i długopis, ale nie mogłem się skupić. Słyszałem szelest odwijanego papieru. Zerknąłem w tamtą stronę: brunet w okularach dzierżył w dłoni żółty, mięsisty tulipan. Pani Ludwika podziękowała, „o, jaki śliczny", powiedziała trochę nazbyt melodyjnie, więc jakby niezupełnie szczerze (ale to był naprawdę piękny tulipan), i wcisnęła go do słoika obok czerwonej róży. „Znowu na żółto" – usłyszałem jej głos. Więc tamta żółta róża też była jego. Deklaruje swą zazdrość, zrozumiałem. O męża. pies cię trącał, obsypuj ją kwiatami, ja nie będę. Jednego konkurenta masz z głowy. Doceniam wszystkie zalety i uroki, ale wiem, że nie są dla mnie. Skończone. – Co ma być? – spytała, ale to chyba było dla pozoru, dla mnie, żebym myślał, że gość przyszedł tu z interesem – nie ze mną takie zagrywki, zresztą ton był inny niż zwykle, bardziej poufały. Brunet usiadł przy biurku. Rozmawiali cicho. Nie chciałem podsłuchiwać, szczerze, nie znoszę podsłuchiwania, staram się, o ile to możliwe, być dżentelmenem, ale to i owo do mnie docierało, nic nie poradzę. Zrozumiałem, że brunet jedzie do Włoch na placówkę handlową. Turyn, chyba Fiat. Że proponuje, żeby ona przyjechała. Wszystko załatwi. Ona upierała się, początkowo raczej miękko, że jechać nie może. Włochy, cóż, każdy marzy o Włoszech, ona nigdy nie była na Zachodzie, ale nie ma o czym mówić, mąż jej nie puści. W pewnej chwili – nie dosłyszałem wtedy jej słów, ale wystarczył mi sam ton – powiedziała coś bardziej stanowczego, musiała wtedy powtórzyć: „Nie ma o czym mówić." Nie oburza się, pomyślałem, nie odgrywa świętoszka, padła propozycja, ona ją odrzuca, żadnego: „Jak pan śmie. Co pan sobie wyobraża."

– Jestem niepocieszony – powiedział facet wstając.

– To fatalnie.

Podała mu rękę. Trochę za długo ją całował.

– Powodzenia u Włoszek – rzuciła mu na pożegnanie. – Podobno są piękne.

Dziewczyno, pomyślałem, co ty wiesz, co ty wiesz... Tamten chyba pomyślał to samo. Ale nie powiedział tego. Mruknął kwaśno „dziękuję" i odszedł do drzwi. Prawie mi się go żal zrobiło. Brawo, Luteńko.

Pracowaliśmy potem w skupieniu: ona przy biurku, z krajowym papierosem w ustach, ja przy stoliku, zapaliwszy gauloise'a. Miała przed sobą plik broszur, które wciągała do rejestru. Jedne karteluszki wyciągała z pudełka, inne wkładała. Był tam i karteluszek z moim nazwiskiem. Pracowała, jak zauważyłem, bardzo dokładnie, ale szybko. Uporawszy się z tym wreszcie, wyciągnęła z szuflady jakąś książkę; pomyślałem w pierwszej chwili, że to powieść, ale później dostrzegłem, że to podręcznik do nauki języka włoskiego (więc taka jesteś ambitna! – pomyślałem, chyba słusznie nie kojarząc tego z propozycją bruneta), wyjęła też

zeszycik, w którym zapisywała słówka i zwroty, a wreszcie broszurę w żółtej okładce, kryminał po włosku, domyśliłem się, Giallo Mondadori, znałem tę serię, nawet czytałem kiedyś tę powieść Chandlera, którą ona teraz studiowała, ale nic z niej nie pamiętałem, kto zabił, po co i jak, nic kompletnie. Znów czajnik był w robocie, tym razem parzyła sobie kawę, odwinęła z papierka babeczkę z kremem. Mogła jeść słodycze, ciastka – jej figurze nic nie groziło. Pomyślałem od razu o moim krąglejącym brzuchu i ciężko westchnąłem. Nie ma mowy o miłości, nie ma mowy o staraniach, nie, nie zakocham się. W pewnym wieku uczucie, przynajmniej jego początek – mówiłem sobie i zanotowałem tę myśl – wymaga odwzajemnienia, zachęty; jeśli tego nie ma, można nie dopuścić do miłości, można ją w sobie stłumić przez perswazję. Na uczucie – notowałem dalej – potrzebne jest wewnętrzne przyzwolenie. W gruncie rzeczy, każde nasze szaleństwo jest rezultatem wewnętrznego przyzwolenia. Jeśli to przyzwolenie wydaje nam się (lub otoczeniu) nielogiczne czy nieprzyzwoite, wyłączamy świadomość przy pomocy histerii.

Czytałem Bielawskiego obserwując panią Ludwikę spod oka. Znowu zapaliła papierosa. Czy nie za dużo tego? Wszedł jakiś facet, młodszy od tamtego, ale raczej otyły, łysiejący, ten był bez kwiatka. Zapytała go, gdzie się podziewał, a potem, co z jego pracą doktorską. Zaczął mówić, że to, że tamto, a ona powiedziała (prawie zaśpiewała): „Nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień, nie chce się panu przysiąść fałdów" – takiego użyła wyrażenia. Potrzebne mu były jakieś opracowania. Podała mu karteluszek. „Ściągnę to dla pana. Tydzień potrwa." On nie wiedział, jak się wywdzięczyć. Ona, że nie trzeba w ogóle. Zaraz mu powie, że ma siąść przy tamtym stoliku i pilnie pracować. Ale nie powiedziała tego. Za to on, że „pani jest coraz piękniejsza, pani Ludwiko." I że służy jej małżeństwo (powiedziane z aluzyjnym uśmiechem). „Chyba tak", zgodziła się. Podała mu rękę. Ten też, łobuz obleśny, przyciskał usta zbyt długo. „Niech się pan weźmie do pracy" – powiedziała na pożegnanie. Tamten wyszedł, ona dorzuciła karteluszek do pudełka, a ja poczułem się gorzej niż przy tym, co uwodził na wyjazd do Włoch. Otworzyła z powrotem książkę i zapaliła następnego papierosa. „Jest uczynna – zanotowałem – ale uczynna z obowiązku. I z nudów." Dodałem: „Wszyscy jesteśmy karteluszkami."

Ta broszura, którą usiłowałem czytać, stanowiła zadziwiające pomieszanie gorzkiego sceptycyzmu z optymistycznym lewactwem. Bielawski niecierpliwił się, że reformy przebiegają zbyt wolno, że są za mało radykalne. Że propaganda jest nieudolna i wstydliwa. Należy propagować spółdzielczość rolniczą otwarcie, a nie półgębkiem, ale powołując się na przykłady duńskie i kibuce syjonistyczne. Trzeba, żeby spółdzielnia rolnicza była naprawdę spółdzielnią, to znaczy stanowiła własność zrzeszonych w niej rolników, którzy sami będą ustalać, co sprzedadzą i za ile. Trzeba otwarcie domagać się od ludzi, żeby przemeblowali swoją psychikę, swoje nastawienie do własności. Po tej straszliwej rzezi, po tym ogniu, przez który wszyscy przeszliśmy, mamy prawo domagać się – słowa poety – by był „oczyszczającym ogniem dla naszych dusz przegnitych". Mamy prawo domagać się idealizmu.

Nieoczekiwanie, w tym dziełku ekonomicznym czy publicystycznym, w którym nie brak było liczb o wydajności z hektara – u nas, w Związku Radzieckim, Danii, Holandii – o plonach na głowę, o procencie zboża marnowanego na samogon, otóż w tym dziełku pojawiały się migawki wspomnieniowe, jak jakieś koszmarne rozbłyski wybuchające pod czaszką piszącego. Na podwórku więzienia w getcie, wspomina, odbywało się rozstrzeliwanie tych, których skazano na śmierć za przechodzenie na drugą stronę muru. Do słupów przywiązywali porządkowi żydowscy, rozstrzeliwali policjanci polscy. Jakaś młoda dziewczyna poprosiła porządkowego, żeby ją pocałował w usta. Nigdy w życiu się nie całowała, nie znała smaku pocałunku. On ją całował, a ona, na chwilę przed śmiercią, chłonęła pocałunek z przymkniętymi oczyma. „Pocałunki morderców u Dostojewskiego – zauważa Bielawski – nie mogą się z tym równać. To tylko koncepcja artystyczna, filozoficzna, także aluzja ewangeliczna, to wreszcie przenośnia. A tutaj życie, zwykłe życie. I śmierć." Dyrektorem więzienia w getcie

był Żyd, sędzia Lindenfeld. Nie skarżył się u władz, że do więzienia wpakowano 1200 osób, chociaż miejsca jest tylko na 300, bo bał się, że nadliczbowych każą zastrzelić. On sam żył, oczywiście, na niezłym poziomie, w obrębie gmachu więzienia. Miał służącą aryjkę. Siedzieli wszyscy przy kolacji, kiedy do mieszkania wdarli się SS-mani i zastrzelili jego, żonę, córeczkę – i służącą aryjkę. Podłoga była zalana krwią.

Zadzwonił telefon, pani Ludwika podniosła słuchawkę – „Stablińska", usłyszałem. Ach, to ty, cześć. Zasuwam jak zwykle. Wczoraj był młyn, dziś można wytrzymać. To o szóstej. Wojtuś ma coś do zrobienia w warsztacie. Jakieś plany na wieczór, jakaś Jagna, jakiś Poldek. Nie, Krystek. Tak, do Milanówka. Jutro do kina, na film włoski. Nie. Tak. Fatalnie! Będzie Dorotka. Co, Małgosia? Mama absolutnie się sprzeciwia. Nie. Tak. Nie. Antoś. Lepiej, żeby nie. Chyba że Małgosia. Ciocia Kasia chora? Fatalnie. Może Wojtusiowi się uda. Do dziadków w niedzielę. Najlepiej, żeby Małgosia. Tajemniczy, nieznany świat, tajemnicze rozmowy, z których nic nie zrozumiałem, zapamiętałem tylko nazwisko: STABLIŃSKA. Owszem, spodobało mi się. Poczułem się jednak obcy i daleki: jakiś Poldek, Krystek, trzy Małgosie i chora ciocia Kasia. Świat obstawiony barierami. A czego się spodziewałeś? Że twój? Słyszę: ach, ona zawsze trzaska dziobem. Nawet język nas dzieli. Ściskam, słyszę. I rozśpiewane:

„Czeeeść".

STABLIŃSKA. „Wierność – usiłuję czytać Bielawskiego – miała być cechą iście germańską. Czy można się dziwić, że ideał «wierności» w takim sąsiedztwie wydał się publicyście podziemnemu bardzo podejrzany i że na skutek tych wątpliwości ucierpiał pod jego piórem Conrad?" Jürgen Stroop także szczycił się swoją „wiernością". Ale gdy idzie o dochowanie wiary – przypomina Bielawski – to należy sobie uprzytomnić, że ani jeden układ nie został przez Niemców dotrzymany. Bo Niemcy mówiąc „wierność", naprawdę mieli na myśli „Befehl", rozkaz. Conrad nie to miał na myśli. Wierność to dla niego sprawa sumienia, odpowiedzialności, uczciwości wewnętrznej, a nie bezmyślne podporządkowanie się rozkazowi. Na tym Bielawski nieoczekiwanie urywa i wraca do sprawy bodźców – ekonomicznych i świadomościowych. Wydaje się – myślę ja, ale myślę z trudem, bo widzę, że ona, ta Dziewczyna, zapala następnego papierosa – nie, stanowczo zbyt dużo pali, i co na to mama – wydaje się, że od wierności ogólnikowej, często nieokreślonej, cenniejsza jest, nawet dla władzy, świadomość interesu własnego, poczucie tożsamości osobnika z narodem, ze swoim państwem, jasne uświadomienie sobie celu walki, który stałby się celem wspólnym. Pani Stablińska wyjęła z torebki lusterko, jakieś pudełeczka i fioleczki i zaczęła robić twarz. Pocieniowała oczy, popędzelkowała rzęsy. Uszminkowała usta. Zrobiła się kolorowa i oczy jej zabłysły. Sięgnąłem po gauloise'a, schowałem przemyślnie zapałki i podszedłem do biurka prosząc o ogień. Pstryknęła zapalniczką. Położyłem broszurę na biurku.

– Już? – spytała.

– Tak, dziękuję.

– Przydało się?

– Bardzo pomocne. Może pani wyrzucić mój karteluszek. – Patrzyłem, jak go drze i wrzuca do kosza. – Czy pani wie, o co w tej broszurze idzie? Jej autor był przedtem jednym z przywódców powstania w getcie. I pisze o tym. Powinna pani to przeczytać.

– Wolę nie. Mnie to wzburza. I od razu chce mi się beczeć.

– Nie trzeba być aż tak wrażliwą.

– Ja wcale nie jestem specjalnie wrażliwa. Ale przyzna pan, że to niepojęte, wszystko, co wtedy się stało.

Ona siedziała, ja stałem, i może dlatego spoglądając na mnie miała uniesione źrenice, jej spojrzenie wydało mi się uważne, a blask oczu (jakie były? coś między błękitem a szarą zielenią), ten blask – chociaż wiem, że uzyskany dzięki zabiegom kosmetycznym – wydał mi się fascynujący.

– Niepojęte – powtórzyła. – Bo w końcu i w getcie zginęło trochę Niemców. Co pomyślała matka Niemka, której syn poległ usiłując wymordować niewinnych ludzi? Czy nie przeklęła jednak swojego Führera?

Znowu ją lubiłem. I co więcej, przez chwilę zdawało mi się, że i ona mnie lubi, wyróżnia rozmową.

– Nie, proszę pani – powiedziałem. – Przypuszczam, że reakcja matki Niemki była pełna gniewu, ale – na Żydów. Gdyby zginął na froncie wschodnim, mogłaby powiedzieć: „Poległ na polu chwały – za Vaterland." Ale nie, kiedy ginął marnie w getcie. Tutaj, to – „Żydzi go zabili." Na pewno powiedziała do sąsiadki: „Frau Schulze, Żydzi zabili mojego syna. Łajdacy, nie chcieli dać się zabijać potulnie, jak przedtem. Najpierw udawali pokornych – wprowadzili nas niecnie w błąd! – i nagle zaczęli odpowiadać strzałami na strzały. Führer miał rację, że trzeba ich wytępić – wytępić co do jednego."

– Musi pan wygłaszać takie przygnębiające teksty? – Wyraźnie posmutniała. I wydawało się, że ma do mnie żal o to, że jakaś pani Schulze tak właśnie zareagowała. Zreflektowała się: – Chyba jednak ma pan rację. – Znowu to uważne spojrzenie: – Pan mówi o tym ze strasznym przejęciem.

– Tak pani sądzi? Wolałbym, żeby to nie było takie widoczne.

Przypomniała mi się moja klientka: radzę uważać. Nie, nie chciało mi się uważać. Odezwałem się:

– Przybyło kwiatków.

– A rzeczywiście. – Błysnęła bielą ostrych zębów.

– Przepraszam, ja nie podsłuchiwałem, ale wiem, że jeden z tych panów chciał pani zafundować słońce Italii. Oblała się rumieńcem.

– Lał wodę – powiedziała. – Nie ze mną taka mowa.

– Stwierdzam powodzenie.

– Och, pozory. Większość tego powodzenia związana jest z tym miejscem pracy. Ci sami ludzie, którzy znoszą mi kwiaty, nie poznają mnie potem na ulicy.

– Ja panią rozpoznałem. I ukłoniłem się.

– Tak? Nie pamiętam tego.

– To było zeszłego lata. Pani szła w słońcu. Była pani w zielonej szerokiej spódnicy z falbankami.

– Mam taką. – Zdawało mi się, że spojrzała na mnie uważniej.

– Szła pani pod ramię z jakimś barczystym młodym człowiekiem. Przystojny...

– To mój mąż. Więc spodobał się panu?

– Robi dobre wrażenie. Pomyślałem: „piękna para".

Ukłoniłem się i pani się do mnie uśmiechnęła.

– Nic nie pamiętam.

Bo uśmiechasz się do wszystkich, pomyślałem. Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. Cześć, nareszcie. Zasłoniwszy słuchawkę rzuciła mi konspiracyjnie: „Stabliński". Odszedłem do stolika, który był moim, tak go nazwałem w myśli, już się, psiakrew, przywiązałem. Ona rozmawiała z kimś, do kogo jej stosunek był bardzo czuły. Ach, Wojtusiu, nie bądź dziecinny. No, Wojteczku, bądź rozsądny. Ktoś, komu była mocno podporządkowana. Tak, tak, oczywiście, kochanie. Śpiewa, śpiewa. Ostra, bezrozumna zazdrość o to zdrobnienie, o pieszczotliwy ton głosu. Powinien być szczęśliwy, powinien być na kolanach (i pewno jest szczęśliwy, i pewno jest na kolanach). Kupiłam mleko i serki. Mama dla nas ma cielęcinę. Co? Fatalnie. Nie, najpierw do Romków, potem do Poldków. Do kina jutro. Nie, do Milanówka. Ciocia Kasia chora. Musimy. Mówiłeś coś? (Zaśmiała się.) Fatalnie!... Ależ, Wojtusiu, Wojtusiu... Tak, już umalowana... Nie, nie ma tu nikogo.

Zrobiłem pożegnalny gest ręką. Zasłoniła dłonią słuchawkę.

– Przygotować coś? – spytała.

– Nie, dziękuję. Do widzenia.

Wróciła do rozmowy. Wojtusiu, Wojteczku. W pokoju nie było nikogo, byłem tylko ja. Karteluszek. Po raz ostatni! – przyrzekłem sobie. Wyszedłem.

To był już maj, na pewno, bo inaczej, skąd konwalie. Zapisałem: „Chrześcijaństwo niemieckie? – wydziwiał Hitler wobec swoich podkomendnych. – Dobry żart. Albo się jest dobrym chrześcijaninem, albo dobrym Niemcem, nie można być naraz jednym i drugim... Byłoby głupotą z naszej strony robić z Jezusa aryjczyka." Młodzi hitlerowcy w Austrii otrzymali instrukcje: „Nowy Testament jest wynalazkiem żydowskim. Chrześcijaństwo jest spadkobiercą judaizmu i zostało wymyślone przez Żydów." Przepisałem to z książki Michała Borwicza Pisma skazanych *na śmierć*. Zanotowałem od siebie: „Wystąpili z Ligi Narodów, proklamowali otwarcie zbrojenia, zapowiedzieli wyrżnięcie lub zniewolenie całych narodów, odesłali kobiety do kuchni, kościoła i rodzenia dzieci (co wzbudziło ich entuzjazm), słysząc słowo „kultura" odbezpieczali pistolet. Oznajmili światu, kim są. Jeśli świat nie zechciał w porę wyciągnąć wniosków, była to jego wina – nie ich."

Moje życie wewnętrzne zmieniło się, odkąd piszę. Stałem się o wiele czujniejszym obserwatorem. Rozmawiam ze sobą. Zaostrzyły się doznania, także te zmysłowe – i zintensyfikował się ich przekład na doznania psychiczne. Mój syn ma do mnie pretensję, że nic nie robię, aby naprawić świat. Chciałby, żebym krzyczał, walił pięściami, szarpał za klamkę. Może, żebym wysadził coś w powietrze. Może, żebym padł w boju. Wtedy ja, ojciec, byłbym godny swojego nieustępliwego syna. Ale ja coś jednak robię, o czym on nie musi wiedzieć. Jestem w takim zespole ekonomistów, sześć czy siedem osób, wszyscy raczej w niełasce, opracowujemy różne zagadnienia, analizy i prognozy, aby podsuwać je komuś tam u góry – groch o ścianę, naturalnie – ale to jest to, co możemy robić, nasze szarpanie klamki. Ja tam, wśród tych zimnych speców, reprezentuję motyw specjalny, bardziej etyczny niż obliczeniowy. Powtarzam niezmordowanie, że dłuższa dominacja drapieżnych tępaków musi doprowadzić do katastrofy gospodarczej. To jest moja ekonometria, którą im stale podsuwam. Czemu się tak tym przejmuję? Zapisałem: „Ponieważ frazeologia, którą się posługują, wywodzi się z dążenia do celu szlachetnego, ponieważ ten światły, humanistyczny cel wciąż jeszcze obija się o nas i raz po raz dochodzi do głosu (czasem naiwnie, czasem cynicznie, ale zawsze jako konsekwencja obowiązującej światłej frazeologii), nie można mówić, że zło jest monolityczne: mamy raczej do czynienia z czymś, co jest pomieszaniem zła i dobra, pomieszaniem niespójnym, nie zazębiającym się, zło i dobro występuje tu obok siebie, jak przy pomieszaniu ziaren i kamyków w brudnym zbożu."

Mój syn przemyśliwa nad wyjazdem. Może się po cichu już szykuje. Wiem o tym, bo widzę, co czyta, jakiego języka się uczy. Nie zwierza mi się, bo uważa, że ja go nie zrozumiem, nie jestem wtajemniczony, brak mi czegoś – czego? – jakiejś klęski, z której on jest dumny, jakby to było nie wiem co. Nie chcę mu tłumaczyć, że nasza klęska niewiele świat obchodzi, jest to cienki pisk w tym krzyku, który unosi się nad ziemią. Otwórz radio, posłuchaj, sto języków przekrzykuje się, i każdy wrzeszczy o swoim bólu, o swoich gwałtownych śmierciach. Trach, samolot w Boliwii roztrzaskał się. W porządku, nie odkłonię się „Iksowiczowi". Trach, znowu samolot runął do morza (Wyspy Kanaryjskie, lecieli po słońce, piasek, cień palm). Huk, bomba eksplodowała w Irlandii Północnej – powywracane stoliki w pubie, rozlany guinness, ból w rozszarpanych piersiach – mnie zalało gorącą krwią. W uszy wdziera się charkot sędziego, którego terroryści mordują w Niemczech. W Bangladeszu fala zmiata ludzi do oceanu – i mnie z nimi, miotam się – ratunku – słona woda zalewa mi usta. Skaczę z płonącego wieżowca. Rozstępuje się ziemia w Iranie i pochłania mnie wraz z lepiankami owczarzy. Pokazują mi uciętą głowę pakistańskiego żołnierza (spogląda na mnie ciemnymi oczyma). Opici emocjami ludzie wrzeszczą: „Wolność! Wolność!", błagając, żeby ponury starzec nałożył im łańcu-

chy. Będzie można w imię wolności sądzić, konfiskować, upokarzać i wtrącać do więzienia. Będzie można rozstrzeliwać, wieszać i gwałcić. Chlusta na mnie krew tysięcy mordowanych.

– Tato, telefon do ciebie. Jakaś stara kobieta.

Pani Estera? Miała wyjechać za granicę. Ale to nie była ona, i w ogóle nie kobieta – dzwonił Jemirycz.

– Czy ma pan jakąś dużą teczkę? – zapytał.

Nauczyłem się niczemu nie dziwić, więc odpowiedziałem po prostu, że mam. Cienkim, odrapanym jak zardzewiały drut głosem zawiadomił mnie, że idzie do szpitala na operację – różnie z tym może być, „w moim wieku – dodał – trzeba się liczyć ze wszystkim", i spytał, czy mogę go przedtem odwiedzić, najlepiej zaraz. Podał mi adres, to było gdzieś na Mokotowie, w starym domu. „Trafię" – obiecałem.

– Tylko niech pan weźmie tę teczkę – przypomniał. To był człowiek, który śpieszył mi z pomocą, kiedy uznał, że gwiazdy spiskują przeciwko mnie. Teraz los dopadł jego – o tym myślałem potrząsając u jego drzwi klamką jak kołatką. Był łysy, ze śladami siwizny wokół czaszki, policzki jego spłaszczonej tatarskiej twarzy pokrywała szara szczecina. Nie, nie był apetyczny, na pewno – ale, Boże mój, oto stałem naprzeciw jednego z najlepszych ludzi, jakich ulepiłeś na tej Ziemi, i czułem się zmęczony, i chciałem uciec. Ten pokój, ciemny, odrapany, z wysokim oknem o brudnych szybach, ze stertami książek i papierów przewiązanych sznurkiem, stare rozpadające się łóżko, pokryte wypłowiałą kapą, ten zapach czegoś zestarzałego, może wilgoci, może mysiego pomiotu, stęchlizna bijąca ze ścian, rozpadające się sprzęty, wśród tego kukiełki i maski, których jaskrawa barwność zmatowiała, jakieś zabłąkane, wyszczerbione bibeloty – tak, spodziewałem się tego właśnie, oczywiście, bo jakże inaczej miał bytować człowiek dobry i niezaradny, spodziewałem się więc tego, naturalnie, ale nie aż tak bardzo, jakiś luz zostawiałem na kaprys Opatrzności. A nuż zastanę w tym nagromadzeniu przedmiotów jakieś wdzięczne starocie wiktoriańskie, tancerkę porcelanową z Miśni, wszystko to skąpane w promieniach słońca zakradającego się przez okno? Nic z tego. Poczułem się nagle estetą i stworzeniem higienicznym w stopniu o wiele wyższym, niż mogłem o to siebie podejrzewać.

– Dobra będzie? – spytałem wskazując na dużą czarną teczkę, którą kiedyś nabyłem w Libercu.

Skinął głową.

– Proszę, usiądźmy tutaj.

Bok w bok na małej ławeczce. Z lewej miałem to łóżko przykryte kapą, po prawej stół zarzucony bezładnie papierami, naprzeciw ciemne szyby okna. Położył miękką dłoń na mojej dłoni.

– Chciałbym pana prosić, żebyśmy mogli przejść na ty.

Przemknęło mi przez myśl, że trzeba będzie dotknąć ustami tej jego ostrej szczeciny, ale powiedziałem:

– Bardzo się cieszę. Należy nam się to – dodałem.

Powiedział: – Janek jestem.

– A ja Jurek.

Wtedy raz jeszcze dotknął mojej dłoni. I zrozumiałem, że to już wszystko, żadnych pocałunków nie będzie. On odezwał się:

– A teraz opowiem ci o mojej pierwszej miłości. Oho, pomyślałem sobie, więc to był taki wstęp do zwierzeń. Trudno, przeżyję.

– Ciach – zachęciłem go i zaśmiałem się głupkowato.

– Było to w Kijowie – zaczął – w roku 1916. Miałem wtedy lat sześć.

Przeprosiłem go natychmiast w myśli za moje płaskie posądzenia. Już wiedziałem, że to będzie opowieść niezwyczajna. Obliczyłem sobie szybko, ile lat minęło, i pomyślałem: Jezu, przecież on wcale nie jest taki stary...

– Mój ojciec zabrał mnie do teatru na przedstawienie noworoczne dla ziemiańskich dzieci – opowiadał Janek Jemirycz. – Występowali mali aktorzy w kostiumach z kolorowego papieru. Każde dziecko wyobrażało inny kwiat. To było śliczne przedstawienie, pierwszy teatr w moim życiu. Najpiękniejsza wydała mi się pewna dziewczynka w kostiumie georginii. Była starsza od innych małych artystów, miała chyba już trzynaście lat, widać było pewne zaokrąglenia. Uśmiechała się czarująco, poruszała się z niebywałym wdziękiem. Zakochałem się w niej z punktu i natychmiast powiedziałem o tym ojcu. Ponieważ zachowywałem się cały czas grzecznie, ojciec po spektaklu zaprowadził mnie za kulisy, żebym mógł poznać moją ukochaną i pogratulować jej. Podała mi rękę – wyobrażasz sobie, co czułem dotykając jej palców, pierwszy raz w życiu zaczęło mi się zdawać, że można być szczęśliwym (bo dzieci nie wiedzą, że istnieje szczęście, do szczęścia trzeba dorosnąć) – powiedziałem jej szybko, że pięknie grała i że chciałem jej pogratulować i podziękować za radość, którą nam wszystkim sprawiła (bo tak ojciec mi podpowiedział). Na to ona ślicznie się uśmiechnęła (pamiętam jej zęby i pamiętam czerwień jej ust) i pogładziła mnie po policzku, a ja zakochałem się jeszcze bardziej. Teraz ona miała wrócić na scenę, żeby fotograf mógł zrobić zdjęcia przy pomocy magnezji, a ja poszedłem z ojcem do szatni. Zakładałem właśnie kożuszek, kiedy ze sceny dotarł do nas przeraźliwy krzyk. Wbiegliśmy z ojcem na salę – i oto, co widzę: moja Georginia stoi w ogniu na scenie. Zacząłem krzyczeć. Ugaszono płomień i odwieziono ją do szpitala. W kilka dni potem zmarła. I to jest opowieść o mojej pierwszej miłości.

Milczałem. On po chwili podjął:

– Tak wygląda całe moje życie. Wszystko, co pokochałem – padało pastwą ognia. Pokochałem Georginię – spłonęła. Pokochałem tych z getta – spłonęli. Kochałem to miasto – spłonęło.

Dźwignął się z ławeczki, na której siedzieliśmy.

– Teraz otwórz teczkę – powiedział.

Zrobiłem, co kazał, a on zaczął wpychać do teczki pożółkłe maszynopisy. To są, wyjaśniał, pisma związane z jego działalnością konspiracyjną podczas okupacji. Wspomnienia, sprawozdania, kilka dramatów.

– Jutro idę do szpitala na operację krtani. Może wyjdę z tego cało. Ale możliwe, że to nowotwór. Chciałbym, abyś po mojej śmierci zajął się wydaniem tego wszystkiego.

– To nie będzie takie proste – zastrzegłem się uczciwie – ale możesz na mnie liczyć. Uprzedził:

– Nie wszystko tu jest cenzuralne.

– Domyślam się.

– Pamiętaj: jeśli nie w kraju, to...

– Tego też się domyślam. Znajdę drogę – przyrzekłem. (Zbyszek byłby ze mnie zadowolony: coś robię.)

Zamknąłem teczkę. Odprowadził mnie do drzwi.

Staliśmy przez chwilę bez słowa. Słyszałem jego skrzypiący oddech.

– Odwiedzę cię w szpitalu – obiecałem.

I wtedy zdobyłem się na gest napoleoński. Przedarłem się przez ten skrzypiący oddech i dotknąłem wargami ostrej szczeciny jego lewego policzka, potem prawego.

– Szczęść Boże – szepnąłem i wyszedłem. Napoleon! Papież! Święty Franciszek! Bohater i dobry chrześcijanin – ja! Bo pomyślałem przesądnie, że może ten pocałunek przyniesie mu szczęście. Przypomniałem sobie, jak kiedyś z Grzegorzem takimi pocałunkami odprawialiśmy do szpitala pewnego wychudłego aktora z rakiem dwunastnicy – takie było rozpoznanie – miał to być wiatyk dla nieboszczyka, a w trzy miesiące później ten aktor w stołówce literatów wcinał kotlet schabowy i wykłócał się z kelnerką Joasią, że dostał za mało kapusty.

Teczka ciążyła mi: jeszcze nie byłem przyzwyczajony do przewożenia literatury nielegalnej. Wziąłem taksówkę. Kiedy wysiadłem przed swoim domem, spostrzegłem tego faceta, co

zwykł tam ostatnio wystawać. Ale to nie był on, tylko „Iksowicz". Chyba czekał na mnie. Ujrzawszy mnie, drgnął i ruszył naprzeciw. Uchylił kapelusza, ale ja go minąłem nie widząc. Zawołał za mną:

– Panie kolego!

Zatrzymałem się. Serce waliło jak oszalałe. (Powiem mu, powiem – dziś powiem.) On podbiegł.

– Panie kolego – powtórzył skwapliwie uśmiechnięty, jeszcze raz unosząc kapelusza. – Dzień dobry. Ja – kamienny. (A serce tłukące się.)

– Przepraszam, nie znam pana.

– Jak to? – zająknął się. – Jak to pan nie zna? Mnie pan nie zna? Przecież pan mi pomagał, pan przyjmował moje artykuły.

– Nie, pan się myli – powiedziałem starając się opanować drżenie głosu. – Nie znam pana. Skierowałem się do bramy. On krzyknął za mną:

– Panie Wilkot!

Nie odpowiedziałem. Szedłem sztywno, przyciskając ciężką teczkę do biodra. Szedłem i powtarzałem w myśli: alem głupi, alem niemożliwie głupi. Przez chwilę byłem na via Principe Amedeo, sznur prostytutek podpiera mur, pachnie kawą, sono stanco – odpowiadam na propozycję – cosi stanco. Otworzyłem drzwi mieszkania kluczem – niepotrzebnie, mój syn był w domu.

– Czego on chciał? – spytał wskazując na teczkę.

Wyjaśniłem w kilku słowach. „Całkiem bosko" – mruknął mój syn i powiedział:

– Złożyłem papiery na wyjazd.

– Wykańczasz mnie – szepnąłem, ale tak, żeby nie dosłyszał. (Non, non, non oggi – sono stanco.)

Podał mi dużą kopertę, na której widniał napis czarnym flamastrem: „Pan dr Jerzy Wilkot – przez grzeczność."

– Jakiś facet to przyniósł, mówił, że z ministerstwa – komentował mój syn. – Chyba szofer.

Otworzyłem kopertę: wysypało się kilka broszur z danymi statystycznymi. Osłabłem z wrażenia (stanco, cosi stanco), musiałem usiąść. Pamięta o mnie, pamięta – powtarzałem w duchu jak automat. W kopercie był jeszcze karteluszek, a na nim kilka słów – odręcznie, małe okrągłe literki: „Szanowny Doktorze! Chyba się to panu przyda?... Pozdrowienia. Ludwika Stablińska." Nadal byłem osłabiony, ale już nie na wąskiej uliczce koło Stazione Termini. Leżałem w ciepłym piasku nad brzegiem morza, nad głową przelewał się szum fal. Duża kolorowa piłka unosiła się w powietrzu. Usłyszałem głos syna:

– Zadowolony jesteś?

– Owszem, miła niespodzianka – potwierdziłem. – Mam tam przody u jednej pani w biurze dokumentacji.

(Powiedziałem to i zaraz usłyszałem jej głos: „Mówiłeś coś? Fatalnie.")

Zbyszek zapytał jeszcze, czy ta pani jest ładna. Powiedziałem – udając wahanie – że raczej tak. (Nie wyjeżdżaj, synu, ona jest cudowna, są w tym kraju cudowne dziewczyny, jest jeszcze w tym kraju naród.) Zbyszek na to, że te ładne nic nie są warte, że dziewczyny w ogóle są okropne i inne tego typu mądrości. Był świeżo porzucony, domyśliłem się.

– Upraszczasz – powiedziałem.

Chciałem powiedzieć więcej: że są dziewczyny, które rehabilitują świat, że znam taką, widuję, to ona przysłała mi tę kopertę. Ale pomyślałem – nie, po co, to jest moja tajemnica, moja wiedza, moja dziewczyna, i nikt nie powinien się o tym dowiedzieć, nawet syn. Zrozumiałem, że muszę jej zanieść kwiaty. Musi dowiedzieć się, jak bardzo jej jestem wdzięczny. (Przecież ona chyba się domyśla, że jestem nią oczarowany? Więc może ta pamięć...) Kwiaty, tylko tyle. To był maj, na pewno. Bo pamiętam, że kupiłem dla niej śliczny bukiecik konwalii.

Ale nie udało mi się go wręczyć – nie zastałem pani Luteńki. Zamiast niej zobaczyłem panią Idalię, wyschniętą i pomarszczoną – poznałem ją tuż po wojnie, kiedy pełna wigoru prowadziła (zajęcie w sam raz dla wyzutych z majątków ziemianek) klub artystyczny w ruinach Warszawy. Powiedziała mi z porozumiewawczym uśmiechem, że pani Ludka odebrała sobie dziś dzień wolny, od czasu ślubu ma czegoś więcej takich potrzeb, będzie jutro. Stałem z tymi konwalijkami i wyglądałem na głupca. Cóż, pomyślałem, nie mam szczęścia.

– A ja tu mam wobec niej dług wdzięczności. – Wskazałem na bukiecik.

– Niech pan to zostawi, doktorze, powtórzę jej, że to od pana.

– Dziękuję, ona już będzie wiedziała za co.

Mruknęła z przekąsem: – Nie wątpię – chyba po to, żebym i ja nie wątpił, że ona się wszystkiego domyśla. Jeszcze jeden wpadł. Była znakomitą brydżystką – w tym swoim klubie dorabiała sobie wygrywając co wieczór kilka partii – umiała przewidzieć sporo wyjść naprzód. Przychodziłem tam, wypiliśmy nawet kiedyś na ty, na szczęście nie pamiętała o tym, a ja nie miałem zamiaru jej przypominać. Wcisnęliśmy moje konwalijki do wazonika, w którym tkwiły już fiołki i bukiecik kwiatów polnych. Zginęły w tym tłoku. Nie dopchasz się, pomyślałem.

– Przyjdzie pan jutro? – spytała pani Idalia.

– Nie wiem jeszcze.

Naprawdę nie wiedziałem. Nie miałem szczęścia, na pewno, nie miałem też czego tu szukać, przegrany, wykończony, wszystko to było bez sensu, a jednak nie mogłem pozbyć się nadziei, że ona dała mi Znak. Że zostałem wezwany.

Tej nocy nie strzeliłem gola. Zapomniałem o boisku. Patrzyłem w pełne blasku oczy dziewczyny z biura dokumentacji, patrzyłem w jej rozchylone usta, widziałem jej agresywnie pobłyskujące zęby i starałem się odgadnąć smak tych ust. Długo nie mogłem zasnąć. Zapaliłem lampkę, otworzyłem historię Bizancjum na byle jakiej stronie, trzymałem długopis w ręku gotów do robienia notatek. Ale nic mnie to nie obchodziło. Historia, wieczność, spoglądanie z dystansu... Nie! Znowu istniała tylko teraźniejszość. Chcę ją widzieć, myślałem, chcę na nią patrzyć – wszystko mi jedno, co ona o tym pomyśli, ja chcę ją widzieć. W pewnej chwili powiedziałem sobie: idioto, o co ten raban, więc pójdziesz i zobaczysz ją, nagapisz się, ona tam jest zawsze. Dobrze, że moje dzieci spały, nie mogły widzieć, jak mi się gęba rozpromienia.

Nazajutrz jednak nie wydało mi się to wcale takie oczywiste. Co ja jej powiem? Dziękuję pani, oczywiście. Pani Ludwisiu, pani Luteńko, bardzo, bardzo dziękuję. Na co liczę? Człowieku, zerknij do lustra, oprzytomnij. Poszedłem najpierw do kawiarni „Czytelnika", gdzie czekał na mnie znajomy z wojska. Przyjechał z Krakowa specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć. Ma do mnie interes, na szczęście – wolę te spotkania, kiedy moim współtowarzyszom z lat dawnych o coś chodzi, niż bezinteresowne wspominki z „najlepszych lat naszego życia". Koniak, Jureczku? Koniak. I herbata? I herbata. Koniak rozgrzał mnie od razu, peroruję z ożywieniem, jestem gotów wspominać, jestem gotów krzyczeć. Słuchaj, słuchaj, Harry, nie gadaj, że wszystkie dziewczyny to bladzie, są cudowne panie – są! – Boże, znam jedną, i jaka, Jezu, we łbie mi się od niej kręci – wyobraź sobie, broszury przysłała mi do domu, załączyła liścik – nie wydaje ci się, że?... Ale milczę, oczywiście, jak zaklęty, rozprawiam zupełnie o czymś innym – o tym, jak tuż po wojnie organizowaliśmy w Krakowie tygodnik ilustrowany, wydawany przez wojsko, ja w zespole redakcyjnym, on jako pracownik techniczny. Harry – nazywaliśmy go „Harry", bo był z niego trochę taki Amerykanin, w zielonej bluzie z UNRRA, dryblas z gęstą jasną grzywą (teraz trochę wyłysiały, ale wciąż blondyn) – Harry ten temat chętnie podchwytuje. Właśnie o to mu chodzi: żebym poświadczył, że on brał udział w walkach z bandami UPA jako korespondent naszego tygodnika. – Ty? – No tak, to mi potrzebne do otrzymania wcześniejszej emerytury. Podpiszesz mi? – Podpiszę, czemu nie. Co za

różnica, myślę, walczył czy nie walczył, wszyscy jesteśmy kombatantami, skoro przeszliśmy przez tamto piekło. Czy żołnierz japoński, który dostał się do niewoli, jest bardziej kombatantem niż sklepikarz w Nagasaki? Daj, bracie, formularze, podpiszę ci. – Jureczku, wtrząchnijmy jeszcze po koniaku. – Okej, Harry.

Sączę koniak, coraz bardziej pewny, że muszę tam iść i popatrzyć na nią.

– Jurek – słyszę Harry'ego – ja naprawdę walczyłem z Ukraińcami.

– Spokojnie – odpowiadam – nie szarp się.

– Naprawdę. Pamiętasz, jak zginął nasz generał? To wtedy ja robiłem mu zdjęcia na ostatniej odprawie w Sanoku – upierał się, jakby nie wiem o co szło.

Ale ja też jestem uparty. Wstałem – muszę tam iść. On błagał, żebym mu przyznał, że on bił się i narażał, a ja powtarzałem, że nie dlatego poświadczyłem mu, że on tam był, bo naprawdę był, tylko dlatego, że to bez znaczenia. Jakieś stare historie, grzechy młodości – wszyscy jesteśmy kombatantami – najważniejsze, żeby dostał wcześniejszą emeryturę, skoro nie chce mu się już rano zrywać do pracy. Cześć, lecę, mam cholernie ważną sprawę do załatwienia.

Harry wybiegł za mną na ulicę. – Mam coś dla ciebie! – krzyknął doganiając mnie. Wcisnął mi do ręki białą kopertę wypchaną czymś miękkim i jakby galaretowatym. Pieniądze? Ale on zaraz wyjaśnił: „Kondony. Ale jakie!... Wiesz, ja pracuję w Stomilu i my jako produkcję uboczną robimy prezerwatywy na zamówienie zagranicznych odbiorców. Nie masz pojęcia, czego się w Polsce nie produkuje, żeby trafić na rynek. Popatrz tylko." Uchylił rąbka koperty. Zobaczyłem kolorowe prezerwatywy, ze zgrubieniami, z wąsikami, z barwnymi opryszczeniami – pierwszy raz w życiu spoglądałem na takie wymyślności.

– Przyda ci się, chłopie – powiedział Harry, ścisnął mi dłoń i uciekł.

Zrobiło mi się gorąco. Wsunąłem kopertę do kieszeni marynarki. „Przyda mi się" – powtórzyłem jak automat. I pomyślałem: „Jak się tego do cholery pozbyć?" Przecież nie pójdę do niej, mając tę kopertę w kieszeni! Ale poszedłem.

Była sama. Miała na sobie czekoladową sukienkę w kolorowe kwiatuszki, na szyi ten sam złoty łańcuszek z medalikiem. Uśmiechnęła się do mnie, powiedziała melodyjnie „dzień dobry" i podała mi dłoń. Pochyliłem się i dotknąłem tej dłoni wargami.

– Dziękuję za konwalie – powiedziała.

– Więc pani Idalka powtórzyła. Nie ma jej dzisiaj?

– Jest tu co drugi dzień. Ma u nas pół etatu. Tęskni pan do niej?

– Tylko dla niej tu przychodzę. Chyba się pani domyśliła?

Uśmiechnęła się.

– Domyśliłam się. – Zmieniła ton na rzeczowy. – Czy coś panu dać?

– Nie, dziękuję. Jak nie ma pani Idalii, to mi już nic nie trzeba. – Próbowałem kontynuować tamten ton, na pewno więcej rokujący, kilka łyków koniaku szumiało mi w głowie. Dotknąłem niechcący kieszeni, była wypchana – przypomniałem sobie czym i trochę zrobiło mi się nieswojo. Ideał, k...., sięga bruku, k... Ona przede mną, w tej ślicznej sukience, i ten złoty medalik, cholera, i w ogóle... Wskazałem palcem na jej sukienkę i odezwałem się: – Piękny ciuch.

– Podoba się panu? – wydawała się zadowolona.

– Wspaniała. Gdzie się takie dostaje? Uśmiechnęła się tajemniczo.

– To sekret. – Po chwili go wyjawiła: – Sąsiadka...

– Ach, tak? A tamta sukienka, w której ostatni raz panią widziałem?... – Opisałem jej dokładnie tamtą sukienkę.

– Też ona.

Pamiętałem wszystkie jej sukienki – czy nic jej to nie mówiło? Ale nie wydawała mi się tym poruszona. Zauważyłem:

– Taka sąsiadka to skarb. Chętnie zamieszkam w pobliżu.

– Nie pozwolę! – zaśmiała się. – Ale czemu pan nie siada?

Cofnąłem się w głąb pokoju i usiadłem przy swoim stoliku koło drzwi. Nie spoglądała na mnie. Nożem do przecinania papieru otwierała koperty.

Wyobraziłem ją sobie oczyma matki: urocza, strzelista córka zabiera się do pracy, energiczna, zdrowa, bystra, żadnych z nią kłopotów, już po studiach, już po ślubie, już pracuje, wszyscy chwalą, gratulują. Córka u drzwi – „cześć, mamo" – a matka spogląda zachwyconym okiem. Byłem rozczulony – rozczulony w imieniu jej matki – kiedy odezwałem się:

– Rodzice muszą być z pani bardzo dumni.

– Ze mnie? Niby dlaczego?

– Taka udana córka.

– Czy ja wiem. – Uśmiechnęła się. – Taka sobie.

– Skończyła pani studia, jest pani świetnym pracownikiem, wyszła za mąż z miłości. – Urwałem, ona słuchała uśmiechnięta, ale jakby i trochę zakłopotana. – No i do tego...

– Do tego co? – spytała, a mnie się wydało, że z nieco zalotnym rozciekawieniem.

– Pełna uroku.

Zaczerwieniła się, byłem tego pewny.

– Pan mnie cały czas podpuszcza – bąknęła.

„Leje wodę" – przypomniałem sobie.

– Nie wierzy mi pani? Przecież wielu innych to pani mówiło.

– No, może, nie zaprzeczam. – Nie podnosiła wzroku, przecinała w dalszym ciągu koperty i głos jej był obojętny (może specjalnie starała się, żeby był obojętny), kiedy mówiła: – Trochę to tylko dziwne w pana ustach. Pan zawsze jest taki na dystans.

Więc aż tak świetnie się maskuję. Dotknąłem kieszeni rozepchanej przez kopertę z kondonami i powiedziałem:

– To przez nieśmiałość.

Podniosła na mnie oczy (raczej zielone).

– Myślałam, że dojrzali mężczyźni nie są nieśmiali.

Cóż ona wie!

– Pani się myli gruntownie – wyjaśniłem. – To smarkacze nie znają żadnych zahamowań, wydaje im się, że każdą mogą poderwać. Taki starszy pan wie, że ma mało atutów, i woli nie narażać się na śmieszność. Powinien być raczej zdobywany niż zdobywać.

– To w naszych czasach żaden problem – zauważyła ona. – Z tego, co obserwuję, domyślam się, że dziewczęta przejęły dziś inicjatywę.

– To brzmi optymistycznie – powiedziałem.

– Zdaje się, że dzisiaj pan nie jest onieśmielony.

– Bo jestem po koniaku – wypaliłem. – Po dwóch.

Opowiedziałem jej szybko o spotkaniu z Harrym, nie pominąłem nawet koperty z podarunkiem. Wysłuchała tego spokojnie, powiedziała tylko raz „niesłychane". Zawrzała woda w czajniku. Parząc herbatę spytała:

– Dla pana też?

– Będę bardzo wdzięczny.

Przyglądałem jej się, jak się krząta, szykuje torebeczkę z naparem, przeciera stolik, odkłada karteluszek, wyjmuje czekoladę, odłamuje kawałek, wkłada między wargi – i zrozumiałem już, co mam powiedzieć.

– Już sobie określiłem, jaka pani jest. Stylowa. Mogłaby pani być damą na dworze Ludwika Piętnastego.

Uśmiechnęła się – chyba zrobiła to dla mnie, chyba już wiedziała, że w oczach mi się mąci od tego jej uśmiechu, od tego zachwycającego błysku zębów – ten uśmiech miał skwitować moje określenie. Przypomniała sobie coś jednak – zaigrała refleksja w jej oczach, taki migotliwy ognik na tle szarej zieleni – powiedziała:

– Profesor Kalecki mówił mi, że to widać, że jestem arystokratycznego pochodzenia.

– A nie jest pani? – spytałem, podczas gdy ona stawiała przede mną szklankę z herbatą.

Roześmiała się. Przy takim wybuchowym śmiechu obnażyły się dziąsła, podbródek zgrubiał i pofałdował się, przestała być stylowa i to mi się właśnie spodobało, nagle stała się bardziej dostępna.

– Mam zupełnie dobre pochodzenie – powiedziała rozbawiona. – W sam raz na dzisiejsze czasy. Wie pan, on powiedział, ten profesor, że ja mam właśnie takie arystokratyczne palce i że po tym on poznał.

Wysunęła dłoń. Zalśniła złota obrączka. Te jej palce, długie, szczupłe, ale nie kościste, delikatne, z ostrymi paznokciami, pokrytymi koralowym lakierem. Zapragnąłem nachylić się nad nimi i przycisnąć do nich usta, strasznie mi się tego chciało. „Pani moja – szepnąłem w myśli. – Księżniczko proletariacka."

– Ma rację nasz profesor – powiedziałem zduszonym głosem. – To są piękne palce.

– Niech pan pije.

Poczęstowała mnie kawałkiem czekolady.

– Od wielbiciela? – spytałem czując wdzięczność za słodkogorzki miąższ. – Nie dają spokoju?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Nauczyłam się ich spławiać. Pani Ida też mnie czasem chroni. No i mąż.

Sięgnęła po papierosa; był to tani papieros, krajowy, z lekką domieszką mentolu. Podsunąłem jej gauloise'y. Odmówiła.

– Za mocne. Trzeba mieć zdrowie i trochę więcej w kieszeni niż pracownica biura dokumentacji.

– Ja palę mało, ale za to mocne i droższe. – Wróciłem do swojego ulubionego tematu: – Nałyka się tu pani komplementów i w głowie się pani przewróci.

– Nie ma obawy. Potem pan Stabliński obsztorcuje mnie pięć razy pod rząd i jakoś to się wyrówna.

– Cóż, młody człowiek, nie umie uszanować tego, co dobre.

– Niestety, wyszłam za mąż za dzieciaka.

– Odczuwa to pani?

– Trochę. Straszliwie ekspansywny. Czego on nie potrafi! Żywioł – powiedziała. – Żywioł! – powtórzyła z emfazą.

Zakochana. Trzeba się pozbyć jakoś tej koperty z kondonami, pomyślałem, tylko jak. Przecież nie zaniosę ich do domu – Krysia się jeszcze na nie natknie, będzie historia. Rozmawialiśmy z panią Ludką o demoralizacji młodych Polek – ona rzecz poruszyła – lecą na obcokrajowców z dolarami, to haniebne – opowiedziałem jej pewien złośliwy kawał na ten temat, wybuchnęła śmiechem, znowu tak pociągająco zbrzydła, a ja się ucieszyłem, przypomniałem sobie czyjeś spostrzeżenie, że najlepszy wstęp do zdobycia kobiety to umieć ją rozśmieszyć. Więc kiedy tak o tych amoralnych Polkach rozprawiamy, wchodzi pewien wysoki blondyn z kluczykami od samochodu wirującymi na wskazującym palcu, ale to nie był jej mąż. Powiedział: „Cześć", ona odpowiedziała mu: „cześć", on siadł okrakiem na krześle przy jej biurku i zaczęli ze sobą cicho rozmawiać. (Znowu jakieś Włochy? A może tym razem Jugosławia?) Ja przestałem istnieć. Chciałem jej jeszcze coś powiedzieć – coś o sukni, oczach, ustach, coś o agresywnym błysku jej zębów, coś o starszych panach, o mnie, o młodych dryblasach z kluczykami od samochodów, ale była zatopiona w rozmowie. Pójdę, pomyślałem ze złością. Zostawię ich samych, będą się całować. Proszę bardzo, niech... Pójdę na wódkę, postanowiłem sobie.

Podniosłem się. Pani Ludwika zauważyła, rzuciła tamtemu: „chwileczkę, Antek", i podeszła do mnie szybkim krokiem.

– Na dzisiaj wszystko? – spytała głośno.

– Wszystko – odpowiedziałem.

To był dialog dla tamtego, rozumieliśmy się doskonale – dwoje konspiratorów. Mój stolik był czysty i żadnych śladów pracy na nim nie było.

– Przyjdę jutro – powiedziałem. – Czy pani Ida jutro będzie?

– Do drugiej. – Zniżyła głos: – Po drugiej będę sama. – Zrozumiałem: będziemy mogli porozmawiać. Podała mi rękę, a ja nachyliłem się i przycisnąłem usta do jej chłodnych palców, tuż nad obrączką.

– Więc porozmawiamy? – spytałem cicho.

– Z przyjemnością – odpowiedziała głośno. Znów do tamtego: – Chwileczkę, Antek, ja tu muszę coś jeszcze uzgodnić z panem doktorem. – Spytała: – Czy coś panu przygotować?

– Tak. Jeszcze raz Bielawski.

– Dobrze, na drugą ściągnę.

Wróciła do swojego biurka. Zostawiłem ich samych, myślałem potem zbolały. Ale przecież jutro o drugiej ją zobaczę. Kazała mi przyjść. Wszystko jedno, co się tam dzieje teraz, wszystko jedno. Przecież i tak jest mężatką i, kiedy praca się kończy, wchłania ją nieznany świat, do którego nie mam dostępu, którego nigdy nie przeniknę. Jutro będę tu znowu. Wyobraziłem sobie tych dwoje, jak dotykają swoich dłoni, jak spoglądają na siebie łakomie, a potem toną w pocałunku. Wszystko mi jedno, powtarzałem sobie, wszystko jedno, wszystko jedno. Napiję się wódki.

Przyszedłem po drugiej, tak jak mi kazano, ale pani Idalka jeszcze była. Może to lepiej, zaraz okaże się, dlaczego. Spytałem od progu: „Jest Bielawski?" „Według zamówienia" – odpowiedziała pani Ludwika. Zbliżyłem się do biurka, za którym siedziała, obszedłem je i powiedziawszy „dziękuję", dotknąłem ustami jej włosów, tuż nad czołem. „O, tak po ojcowsku" – zareagowała ona i domyśliłem się, że pokrywa się rumieńcem. „Mogę inaczej" – na to ja. Taki dialog mógł się odbyć tylko w obecności pani Idalki – wszystko stawało się hecą. Ale ja zdążyłem wchłonąć zapach jej włosów i skóry. Znam te perfumy, pomyślałem, Tońka używa takich samych.

Moje konwalijki zeschły się, pani Ludwika wyrzuciła je do kosza i wskazała na wazonik z wyrzutem:

– Pusty.

Pani Idalka zaśmiała się:

– Tak, panie doktorze, źle się pan stara.

Obiecałem uzupełnić braki. Pani Idalka, jakby tylko na to czekała, zaczęła się zbierać. Włożyła zakupy do plastykowej torby z napisem „Polish Vodka Wyborowa". Pocałowały się z panią Ludwiką – wszyscy ją całują, mężczyźni i kobiety, wszyscy ją lubią, pójdę, kupię jej kwiatki i wręczając też ją pocałuję.

Skoczyłem po te kwiatki i coś do picia, bo było gorąco i pewno odczuwała pragnienie. Najpierw udało mi się zdobyć w barku colę, nie bez targów z ładną dziewczyną z bufetu – bo tam nie było na wynos, ale zawierzyła mi w końcu, że zwrócę butelkę – potem zdobyłem bukiecik pachnącego groszku. Wszystko wydało mi się strasznie tanie, o wiele za tanie jak na cel, dla którego było przeznaczone. (Jako ekonomista nigdy nie brałem pod uwagę uczuciowej wartości, jaką może mieć oferowany przedmiot, i o ile wiem, żaden mój kolega, nawet najznakomitszy, nie obliczył jakiegoś współczynnika sentymentu do polityki cen). Pani Stablińska przycisnęła bukiecik do ust, wchłonęła z lubością (tak się mówi) zapach i wtedy ja dotknąłem ustami jej gorącego policzka – gorącego, bo była zarumieniona. Nie pacnęła mnie po łapach, nie żachnęła się, tylko powiedziała grzecznie: „dziękuję", i zaraz potem jęknęła: „pić". Wyjąłem z kieszeni scyzoryk i otworzyłem colę, była zimna, znalazły się dwie szklanki, ja rozlałem i oboje w milczeniu sączyliśmy ten sam napój, a ja się czułem, jakbym uczestniczył w misterium, w jakiejś magicznej komunii z nią. Pewno odgadła, co się we mnie dzie-

je, bo popatrzyła na mnie z miłym uśmiechem. A kiedy rozejrzała się za papierosem, podsunąłem jej paczkę moich, nie były to gauloise'y, już zmieniłem nawyki, były to te same mentolowe papierosy krajowe, które ona paliła. „No proszę" – bąknęła. Tak, zmieszało ją to chyba, nareszcie zauważyła, że ze mną się coś dzieje, chciała coś powiedzieć, nie wiedziała co, a może się zreflektowała, na szczęście był papieros, ona pstryknęła zapalniczką – i oboje mogliśmy milczeć.

Potem podała mi broszurę Bielawskiego. Spytałem:

– Mam iść do roboty?

– Niech pan trochę tu posiedzi.

Więc lubiła moją obecność, chciała jej. Podkreśliła to uśmiechem, błyskiem zębów. Wtedy nie wytrzymałem, powiedziałem coś o tych jej zębach, chyba, że takie prowokujące. Widocznie to było mocniejsze, niż mogła po mnie oczekiwać, bo się zaczerwieniła i nie patrząc na mnie mruknęła:

– Pan pójdzie do roboty...

Ale ja czułem, że muszę grzęznąć, że już od tego nie ma odwrotu. Powiedziałem, że odjęła mi sen. „Fatalnie" – usłyszałem. Kiedy ja nie mam nic przeciwko temu, wolę nie spać i fantazjować. Gdybym przynajmniej mógł być pewny, że jak zasnę, to śnić mi się będzie ona – ale gdzie tam, ja mam pecha, mnie to się zawsze śni Gomułka albo Chichot.

Roześmiała się. Znów trafiłem. Już mnie nie przepędzała. Segregując pocztę odezwała się:

– Z pana jest czaruś. U pani Idalki pan też ma przody.

– Tak mi się wydaje, ale nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że czasem przynosiłem jej „Paris Match" ze zdjęciami królewskiej rodziny brytyjskiej, bo ona uważa, że jest spokrewniona z Romanowymi, a przez nich z domem brytyjskim, greckim i każdym innym.

Ona wiedziała, dlaczego pani Idalka mnie faworyzuje. Zgadało się o tych wszystkich bezczelnych typach, którzy ją tu napastują... Bo wie pan, jak to jest: kiedy się tu pierwszy raz pojawiłam, zbiegli się różni podrywacze, nachalnie się przystawiali, powodzenie na zasadzie – proszę pana, mówmy otwarcie – „patrzcie, pojawiła się świeża dupa". Wiedziała, że mną to z lekka wstrząśnie, ale pozwoliła sobie na to określenie, uznając chyba, że wstrzymanie się od niego byłoby hipokryzją. (Ale mnie to zabrzmiało zmysłowo i... nie znajduję określenia... nostalgicznie, może tak. Poczułem tęsknotę w palcach, tęsknotę za słowem-ciałem.)

– Pani Idalka była tego wszystkiego świadkiem – opowiadała. – Tamtych pędziła, a o panu mówi, że pan doktor Wilkot to co innego, z pana strony nic mi nie grozi, pan Wilkot jest taktowny i kulturalny. – Spytała spojrzawszy na mnie z udaną powagą: – Więc jak: grozi mi coś?

– Niestety, nic.

– Ile pan ma lat? – spytała nagle.

To koniec, pomyślałem, teraz wszystko się wyda.

– Nie powiem.

– Zaraz się dowiemy – zagroziła śpiewnie.

Zdjęła z półki opasłą księgę.

– Tu jesteście panowie wszyscy, nic się nie ukryje. – Przerzucając kartki droczyła się: – Zaraz wszystko będziemy wiedzieć... Jest! „Wilkot Jerzy, urodzony w roku..." – Urwała. Powiedziała tylko: – Oho. Oho! – powtórzyła. – Ładne rzeczy...

– Rozczarowana pani? – spytałem pognębiony. (Idiotyczna myśl: po cholerę tak wcześnie się urodziłem! po cholerę tyle lat żyłem!)

Przyznała:

– No, nie myślałam, że to aż tak...

Był to pośrednio komplement dla mnie, ale oboje chyba o tym teraz nie myśleliśmy. Westchnąłem:

– Nic na to nie poradzę.

Czytała dalej:

– „Brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii, internowany w Afryce, po ucieczce przesłany został do ZSRR.” Skąd się pan wziął w Hiszpanii?

– Żądza przygód.

– Musi pan mi to kiedyś opowiedzieć. – Czytała dalej: – „Do Polski wrócił z Pierwszą Armią WP jako oficer polityczny.” Politruk, tak?

– Wtedy tak.

– I pewno w Boga pan nie wierzy?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– „Artykuły w tygodniku «Życie» sygnuje literkami M M N.” Co to jest M M N?

– Odmawiam odpowiedzi.

– Maria Magdalena Nowacka – wyrecytowała. – Odgadłam?

– Mniej więcej.

Zamknęła księgę i odłożyła ją na półkę.

– Proszę, wszystko się wydało – powiedziała. – Co się wydało?

– Że starszy pan.

Zabrałem się do broszury Bielawskiego. Litery skakały mi przed oczyma. Jego propozycje ekonomiczne w ogóle mnie nie interesowały, nic mnie właściwie nie interesowało, tylko dramat człowieka, los ludzki wciąż mną wstrząsał, pewno dlatego, że był moim udziałem. Przeczytałem: „Jeśli Żyd, który przechodził obok niemieckiej wachy, nie zdjął kapelusza, żołnierz strzelał na oślep, w tłum. Profesor Hirszfeld zbuntował się: broniąc swojej godności ludzkiej nie chciał kłaniać się żołdakom. Ale usłyszał: – Panie, co pan robi, niech pan nie naraża ludzi. I tak się skończył jego dumny opór. Potem Niemcom odmieniły się poglądy: wydali zakaz kłaniania się. Wynik: bito za kłanianie się i za niekłamanie.” Odetchnąłem głęboko. Powinno mi być lżej, pomyślałem, po takiej lekturze ta dzisiejsza porażka powinna mi być bardziej obojętna, żyję i nie kłaniam się, nikomu, nikt mnie nie bije, żyję, oszukałem cały świat, prześliznąłem się jak wąż przez bombardowania, nawały artyleryjskie, ogień karabinów maszynowych, przez malarie, tyfusy, powstania, torpedy w celu, katastrofy kolejowe, trzęsienia ziemi i doszedłem do tego, że jestem starszym panem – nie wszystkim się to udało, na pewno. Ale nie było mi lżej.

A więc wali się twierdzenie – pomyślałem nagle – że uczucie można sobie wyperswadować. Nie możesz, nie potrafisz! Wdarło się w ciebie – do mózgu i do mięśni – i już go nie przepędzisz. Tkwi jak grot w ciele – nie do wyjęcia... I tylko krew się sączy, niezakrzepła.

Wszedł – nie, wkroczył – wkroczył więc ten sam blondyn, co wczoraj, Antek, ten z kluczykami samochodowymi na palcu, usiadł przy biurku, zaczęło się naszeptywanie. Wiedziałem już, co jej powiem przy najbliższej okazji, zaczęło mi się układać w głowie, ale bałem się, że zapomnę – najlepsze myśli, nie odnotowane w porę, gdzieś mi się zapodziewały – wyjąłem notes i zapisałem: „Pani Ludko, kochać się w młodym, przystojnym, wysokim, zamożnym – to żadna sztuka, każda to potrafi. To banał, linia najmniejszego oporu. Rozwinąć w sobie uczucie dla kogoś, kto tych zewnętrznych walorów nie ma – to jest osiągnięcie. Coś niebanalnego. Godnego Pani.” Schowałem notes do kieszeni. Spojrzałem na zegarek: niedługo zakończy pracę. Dobrze, nie będę jej prześladował.

– Na dzisiaj dziękuję – powiedziałem wstając.

– Proszę to zostawić na stoliku.

Spodziewałem się, że zerwie się, podbiegnie do mnie, powie mi coś miłego. Ten facet przesunął się z lekka na krześle i spojrzał na mnie zezem, brelok z kluczykami zakołysał się na palcu. Na moje „do widzenia” ona kiwnęła głową.

Człapałem ciężko po schodach, nogi miałem sflaczałe. Więc koniec. Przeklęty Informator! Kto ich prosił, żeby mnie wydobyli z anonimowości...! Wyszedłem z tego gmachu na ulicę próbując odetchnąć pełną piersią. Ale ogłuszył mnie huk ciężarówek, a nozdrza zaatakował gryząco-mdlący zapach spalin. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i ustawiłem się naprzeciw

gmachu. Przekonamy się, czy wyjdą razem. Zapaliłem mentolowego papierosa chłonąc dym jak narkoman i wiedziałem, dlaczego: bo to był jej papieros, bo chciałem odczuwać to samo, co ona. Ten blondyn z kluczykiem zamajaczył niespodziewanie w bramie ministerstwa. Czy ma na nią czekać przed gmachem? Otóż nie. Miętosząc wargi, chyba trochę wściekły, podszedł do swojego czerwonego renault, chwilę mocował się z drzwiczkami. Kiedy pomknął i zagubił się między ciężarówkami, zdusiłem mojego papierosa. Wtedy właśnie z bramy wyszła ona. Księżniczko, księżniczko uwielbiana, powtarzałem w myśli, księżniczko z torbą plastykową. Zauważyła mnie i uśmiechnęła się – ale jakoś inaczej niż zwykle, był w tym uśmiechu wyrzut podszyty bezradnością. Zapaliło się zielone światło i pani Ludwika ruszyła z tłumem, szła wprost na mnie, wyniosła jak na księżniczkę przystało.

– Skąd się pan tu wziął? – spytała surowo, znalazłszy się przede mną. – Śledzi mnie pan? – Chciałem zapytać, co się stało. Co ja takiego popełniłem.

– O co chodzi?

– Bo znielubiła mnie pani!

– Ja pana? Dlaczego pan tak myśli?

– Kiedy odchodziłem, wcale się pani ze mną nie pożegnała.

Jakiś cień przebiegł przez jej twarz, błyskawiczna i trudna do ukrycia reakcja.

– Miałam się panu rzucić na szyję? Byłam zajęta, rozmawiałam z człowiekiem.

– Na pewno nic się nie stało?

– Na pewno.

– Ale mnie pani dziś mniej lubi.

– Nieprawda, pan wie, że pana lubię. – Wydawało mi się, że powiedziała to z naciskiem. – Niech pan weźmie ode mnie tę torbę, Herr Doktor, odprowadzi mnie pan do tramwaju.

Doktor wziął tę czarowną torbę. Doktor szedł w tłumie obok niej i był szczęśliwy.

– Wydawało mi się – próbowałem indagować – że ta notatka o mnie... Wzruszyła ramionami.

– Trochę mnie zaskoczyła, to prawda, ale... – Urwała. Chciała może powiedzieć: ale przecież nigdy nie miałam zamiaru z panem flirtować, więc co za różnica. Nagle odezwała się: – Niech pan nie histeryzuje, dobrze? Ja pana bardzo lubię i pan doskonale o tym wie.

Po raz drugi powiedziała słowo „lubię", słowo wyzwalające z czyśćca. Była na wysokich obcasach i musiałem się trochę wspiąć, żeby ją pocałować w policzek, na ulicy, przy ludziach. Potem położyłem dłoń na jej plecach, poczułem tkliwość w palcach, ona nic nie powiedziała, tylko spojrzała na mnie z uwagą, trochę karcąco, i zabrałem dłoń. Spytałem:

– Ten pan to kto?

– Proszę z szacunkiem, to moja pierwsza miłość. Nic aktualnego, ale muszę być uprzejma, zostało mi zresztą dla niego trochę sentymentu. Zaczął mnie nachodzić, bo po moim ślubie spostrzegł się, że powinien był mnie się trzymać, przegapił szczęście swojego życia, tak powiedział, teraz, kiedy już jest za późno, zebrało mu się na żale. Wie pan, faktem jest, że on się dotąd nie ożenił, czeka podobno na mnie... Żebym się rozwiodła z Wojtkiem.

– A co pani na to?

– Że plecie głupstwa.

– „Fatalnie"? – zacytowałem ją.

– Fatalnie – powtórzyła i uśmiechnęła się. Doszliśmy do przystanku tramwajowego. Miałem jej coś do powiedzenia, coś bardzo ważnego, ale zapomniałem co. Zerknąłem do notesika, miałem tam ściągawkę – aha, już wiem – wsuwając notesik do kieszeni, mówiłem:

– Pani Ludwiko, niech pani posłucha starszego pana. Kochać się w młodym i przystojnym – to żadna sztuka, każda to potrafi. Linia najmniejszego oporu. Ale pokochać kogoś niezbyt atrakcyjnego, znaleźć w nim nawet pewną urodę – to jest osiągnięcie. Przełamanie banału. Panią na to stać, pani nie jest każda. Bo to wcale nie jest łatwo wyrwać się ze schematu narzuconego przez otoczenie. Ale trzeba umieć być niezależnym, zdobyć się na to.

Tę kartkę ze ściągawką mogę już podrzeć – pomyślałem. Nadjechał tramwaj, tłum runął w jego kierunku, pani Ludwika zabrała ode mnie torbę, ale wciąż stała.

– Straszny tłok, poczekam na następny.

Tak, księżniczko – pomyślałem – to naprawdę nie dla ciebie.

Mówiła w zamyśleniu:

– Coś w tym jest, oczywiście – w tym, co pan mówi, coś na rzeczy. Ja na przykład zauważyłam, że wcale mnie nie pociągają rówieśnicy. Takie czupurne koguty. Ze smarkulami zresztą też nie mam o czym gadać. Mnie bardziej interesują ludzie dojrzali. Mój mąż – no tak, ale to wyjątkowa sprawa, mąż, ślub, coś na całe życie.

Nagle dostrzegła na koniuszkach moich palców plamy od długopisu. „Co to, zabrudził się pan...” Dotknęła swoimi palcami moich, a wtedy ja powoli zamknąłem jej dłoń w swojej dłoni. Staliśmy tak chwilę w milczeniu, zespoleni w tym dotyku, w pulsacji krwi wzdłuż palców, jej krwi mojej krwi, w leciutkim rozdygotaniu koniuszków nerwowych, moje palce twoje palce – (lubisz je, pomyślałem natychmiast, szukasz ich, dotykasz) – zobaczyłem pewne napięcie w jej twarzy, coś między uśmiechem a oczekiwaniem, wyswobadzała swoją dłoń łagodnie, bez ostentacji, a ja pomyślałem: a więc nie jestem ci niemiły. Teraz wszystko wróciło do normy, krew nerwy skóra, wszystko cofnęło się na miejsce, zacząłem mówić o tym, że długopis cieknie, mam szczęście, że nie poplamił mi ubrania. I nagle wypaliłem, patrząc jej wprost w oczy:

– Pani stała się moją obsesją. To już jest męczące. Nie mogę się od pani uwolnić. Stale obok mnie.

– Ach, obok – powtórzyła, jakby usiłując rozważyć znaczenie tego słowa. – To fatalnie. – Ale ja nie jestem podrywaczem, wierzy mi pani? Proszę mi powiedzieć: pani mi wierzy?

– Wierzę.

Tego już nie dało się wytrzymać. Pierś miałem wezbraną uczuciem i – chyba po to, żeby nie popełnić jakiegoś szaleństwa tu, na ulicy – wyrzuciłem z siebie:

– Kocham panią... – Przeraziłem się tego wybuchu i zanim miała sposobność wchłonąć te słowa, dodałem: – ... za to.

– Aha, za to.

– Tak, za to – potwierdziłem skwapliwie, bo bałem się, że wszystko swoim wyznaniem zepsułem. Spojrzała w dal.

– Mój tramwaj. Pokaże się pan?

– Jak zwykle na posterunku. – Przybrałem lekki ton.

– Przyniosę pański horoskop. – Podczas gdy ona mówiła, ja spoglądałem wygłodniały na jej usta i myślałem, że chcę tylko tego: całować jej usta – oczy mi się przymykały od przeczuwanej rozkoszy – całować jej usta – poproszę cię o to, będę błagał, poproszę, żebyś nie odmówiła, Luteńko, twoje usta... – Zobaczymy, co z pana za ziółko. Pan jest skorpion, prawda?

– Tak.

„Jutro wycałuję twoje usta.” Położyłem dłoń na jej ramieniu, odwróciła się ode mnie trochę bokiem, tak że mogłem musnąć ustami jej policzek. Zdaje się, uznała, że taki pocałunek w policzek, na pożegnanie, to między nami już rzecz przyjęta i raczej niewinna. Ale nie było to niewinne dla mnie. Owiewał mnie jeszcze zapach jej włosów, kiedy ona już przeciskała się przez tłum do tramwaju. Nie ruszałem się z miejsca. Patrzyłem za oddalającą się czerwienią tramwaju, który uwoził moją księżniczkę, moją panią uwielbianą, uwoził gdzieś na Wolę, na dalekie, pełne starych domostw przedmieście. „Luteńko – szepnąłem. – Luteńko uwielbiana.”

Nowe notatki do moich zbiorów o Hitlerze. Jedne, z książki Festa, że Hitler w *Mein Kampf* zapowiedział, że „skończy z poglądem, jakoby traktowanie własnego ciała było indywidualną sprawą każdej jednostki”. Dalej jeszcze jakieś jego wynurzenia na temat judeo-

chrześcijaństwa. Obcość – to był najcięższy zarzut pod adresem chrześcijan ze strony patriotów starożytności. Muszę to przytoczyć Zbyszkowi, na pociechę. U nas, w kraju katolickim, próba poniżenia Jezusa – ze względu na jego pochodzenie – jednak by nie przeszła. Ten głuptas, który dowodził, że Jezus był „Palestyńczykiem", chyba żartował. Bo u nas od razu wszystko musi być komiczne. Coś w tym jest, że Polacy są mistrzami groteski i parodii: Witkacy, Gombrowicz, Mrożek. Przymrużenie oka – to nam się udaje. Gorzej, kiedy trzeba świat potraktować serio. Historia jest tragiczna, może dlatego warto uciec w sferę żartu, kiedy z nas, ludzi bądź co bądź doświadczonych, chcą zrobić balona. I tak wszystko zmierza do kabaretu. U Niemców straszliwe wzdęcie duszy ideą wodzostwa prowadziło do schizofreniczności. Nic podobnego u naszych zamordystów, na szczęście. Nie ma krwi, gazu, trupów ani tęsknoty za tym. Trochę sińców najwyżej. Teoryjki niezbyt fanatyczne, pogwarki knajpiane, buzi-buzi, sto lat, kupa śmiechu. Nic serio. Na szczęście. Cudowny kraj. (Wszystkie te diagnozy zostały poddane poważnej rewizji w jakiś czas później. Nagle wszystko stało się ogromnie serio. Ale zostawiam te wylewy sarkazmu tak, jak zapisałem. Dokument chwili. Nie tylko pojedynczy człowiek podatny jest na zmianę humoru – także cały naród może w pewnych okolicznościach ujawnić nie znany dotąd charakter.)

Zapisuję nie to, co zamierzałem. Co innego wypełnia mnie teraz niż wtedy, kiedy zaczynałem te notatki. Wszystko zobojętniało. Chociaż robię dla tych ludzi to, do czego się zobowiązałem, ale przestało to być dla mnie takie ważne. Nie ma krzywd, wojen, wyzysku. Jest jutrzejsze spotkanie. Smażę kartofelki dla córki i myślę: przyjdź, Luteńko, zadzwoń, poczęstuję cię. Księżniczki, myślę sobie, mają prawo mieć kaprysy, mogłyby nagle odwiedzić poddanego i pocieszyć w strapieniu. Mój syn milczy, czeka na odpowiedź stamtąd, ale i ja milczę, pochłonięty tylko jednym obrazem. Jej usta. Jutro, postanawiam sobie, jutro na pewno. Dostanę w pysk. Nie szkodzi, warto, w pysk, dobrze, ale najpierw posmakuję soczystości jej warg. (Lubi mnie. Lubi dotyk mojej dłoni.) Zadzwoniłem do mieszkania Jemirycza. Jego sublokator, ksiądz koptyjski (nie miałem pojęcia, że są u nas Koptowie, ale owszem są, i to nawet w Warszawie), więc ten ksiądz, który zresztą wyjeżdża wkrótce za granicę, powiedział, że jutro operacja i że do mnie zadzwoni. Potem dowiedziałem się, że pani Ester Bielawska jest wciąż za granicą – też dobrze się składa, nikt mi już nie przeszkodzi w odosobnieniu. Tak myślałem, kiedy zadzwonił telefon, moja córka, Krysia, podniosła słuchawkę, mruknęła „w tej chwili" i powiedziała złym głosem:

– Do ciebie, jakaś baba.

Musiałem zblednąć, bo zakłuło mnie w sercu. Ale to nie był jej głos, nie ten zniewalający śpiew, chociaż także głosik dźwięczny, to była Tońka, zresztą świetna dziewczyna.

– Jurasku, ja tęsknię – zaczęła.

– Ja też – odpowiedziałem z przyzwyczajenia. – Czy coś z tego wynika?

– Możemy się spotkać.

– Gdzie?

Krysia czegoś się domyśliła i krzyknęła, prawie histerycznie:

– Nie życzę sobie tu żadnych bab!

Objawiała coraz więcej zazdrości o mnie, i to w imieniu matki, która żyła na Zachodzie ze specjalistą od konserwacji zabytków (o ile wiem).

– Co to za wrzaski? – spytała Tońka. – Masz jakąś dupę?

Dziś słyszałem to słowo w ustach Ludki, ale padło ono jakby w Cudzysłowie, niewinnie i z konieczności, podczas gdy wypowiedziane przez Tońkę zabrzmiało zmysłowo i obscenicznie. – Moja córka – wyjaśniłem. – Trochę hałaśliwa, ale bardzo się kochamy – uzupełniłem. – Jurasku – usłyszałem – chcesz czy nie? Nagle zrozumiałem, że tak, chcę tego. Wszystko, co ostatnio przeżywałem, wszystkie te pragnienia, od których mąciło mi się we łbie, domagały się ujścia. „Księżniczko, księżniczko moja" – pomyślałem błagalnie i powiedziałem:

– Więc jak?

– Jak zwykle – informowała szybko Tońka. – Mam klucz. Do rana, wyobrażasz sobie? Aparatczyk pojechał do Szczecina na konferencję. Przynieś butelkę wina.

– Zrobione.

Odłożyłem słuchawkę. Nie miałem uczucia, że popełniam zdradę, że sprzeniewierzam się sobie. Przeciwnie, myślałem, będę bliżej niej, dotrę do niej poprzez tamto ciało. Będzie tylko ona, obiecywałem sobie.

– Tato, odchodzisz? – spytała Krysia.

– Tak, na pijatykę. Ja jestem uczciwy Słowianin – czarowałem moją córkę – nie tak jak ty, mnie się należy czasem trochę gorzały.

Ona:

– Nie życzę sobie żadnych bab w domu.

– Ani ja – powiedziałem.

Wyrzuciłem z kieszeni karteczkę z niepotrzebną już notatką („kochać się w młodym, przystojnym..."), owinąłem butelkę egri w „Trybunę Ludu". Załamały się dwa tytuły: jeden o amerykańskich piratach powietrznych, drugi o jedności naszego narodu. Nic mnie to nie obchodziło, nic. Będę cię miał, myślałem, urzeczywistni się nocna zjawa. W dzień jesteś niedostępna, wyniosła, miażdżysz mnie. Za to w nocy... Wyłaniasz się z mroku, wślizgujesz się w moje ramiona, opuszczasz powieki. Ale zaraz wymykasz się, zostaję sam na boisku, sam na sam z piłką, która zawisła w powietrzu i nie chce opaść.

Tońka rzuciła mi się na szyję. Masz wino? Świetnie, zajmij się tym, ja wytrę szklaneczki. Popatrz, co przyniosłam, kabanosy, zupełnie jak przedwojenne, mama przysłała w paczce (mama teraz mieszka w Sędziszowie), pycha, co?

– Jurasku, za co pijemy?

– Za to, że tu jesteśmy...

Nie byłem do końca przekonany, że nie popełniam zdrady, więc chciałem swoją rozterkę jak najszybciej utopić. Tońka spoglądała z pewnym niepokojem, jak wychylam całą szklankę do dna.

– Jurasku, będziesz do niczego.

Przypomniałem jej, że nigdy nic mi nie przeszkadza. Objąłem ją i przytuliłem do siebie. Pachniała znajomo, używały tych samych perfum, to upraszczało sprawę. Zacząłem ją rozbierać, miała gorące ciało, wodziłem po nim dłońmi przymykając oczy, a Tońka powtarzała szybko: – Śpieszy ci się, co? Widzę, że ci się śpieszy. Stęsknił się mój Jurasek, poczekaj, poczekaj – owiewała mnie gorącym, miłym oddechem – mamy czas do rana...

Było to w kawalerce Jagi, przyjaciółki Tońki, znałem to mieszkanie, korzystaliśmy z niego, kiedy Jaga wyjeżdżała na urlop. Tońka często wykpiwała gust Jagi, jej zamiłowanie do bibelotów, afiszów z Beatlesami i różnych okropności. Skorzystałem z tego, żeby powiedzieć: – Zgaśmy światło, nie mogę patrzyć na te straszydła.

Tońka zdziwiła się, ale nie zaprotestowała. Jak chcesz. Zeskoczyła z tapczanu, zakołysała nagimi pośladkami i wyłączyła światło. Zapadła ciemność, rozświetlona tylko pomarańczowym migotaniem neonu ulicznego. Wyciągnąłem przed siebie ręce. Idziesz ku mnie, dziewczyno, już jesteś w moich ramionach, już się do mnie tulisz, gorąca, dysząca, powolna, oddana, moja, zupełnie moja. Całuję cię i pieszczę, twojej to skóry dotykam, twoje wargi wysysam i twojego oddechu słucham. Nie ma tu innej, jesteś ty. Dopadłem cię – nieświadomą, niewiedzącą. Znam już smak twoich warg: są miękkie i uległe, jest w nich ciepło i słodycz pragnienia. Znam już twoje biodra – są zachłanne, uparte i tężeją w rozkoszy. Teraz jesteś prawdziwa, teraz, kiedy mnie tak pragniesz, kiedy mnie tak ściskasz udami, kiedy z ust twoich dobywa się przeciągły jęk, pełen męki i triumfu. Kocham cię, Księżniczko. Kocham – szepnąłem.

Tońka odturlała się na bok, wyczerpana i uśmiechnięta. Nabrawszy tchu, spytała:

– Kochasz, naprawdę?

Milczałem. Ona usiadła na tapczanie podwinąwszy nogi.

– Och, Jurasku, nie musisz nic mówić. To przecież bez sensu... Najważniejsze, że było cudownie. – Nachyliła się nade mną. – Było cudownie, tak?

– Tak – przyznałem.

Nawet nie domyślała się, jak bardzo. Powoli wracałem do rzeczywistości. Z wyrzutami sumienia. Już wiedziałem, że teraz nie zagłuszy ich żadne wino. Zresztą, było go za mało. Tońka zapaliła światło i wróciła na tapczan. Położyła mi głowę na piersi (bardzo to dawniej lubiłem, teraz mnie to niecierpliwiło) i paplała szczebiotliwie. Spragniony był mój Jurasek, jaki namiętny, mocny, dziki. Nieżywa jestem, to zbrodnia, popełniłeś zbrodnię. (Wcale nie wydawała mi się taka nieżywa.) Mój Aparatczyk pojęcia nie ma, co to jest łóżko, żadnej kultury seksualnej, wciąż pochłonięty swoimi kombinacjami. Za to Jurasek – tu się czuje umiłowanie kobiety... (Niech cię diabli, przestań trajkotać. I pomyślałem jeszcze: jak tu uciec?) Czy wiesz, że to się ceni? Niechbym to rozgłosiła i miałbyś baby w kolejce na schodach. Ach, Boże, Jurasku, jakie to chętne, jakie sprawne, jakie mocne... Nie trzeba gasić światła, nie trzeba, Jurasku, prawda, że nie trzeba?

Tym razem żaden cud nie nastąpił. Zamknąłem oczy, ale to nie były twoje biodra. Księżniczko moja, Luteńko wyniosła, sponiewierana, zdradzona – wybacz mi. Powiedzmy, że myję zęby... nie będziesz chyba zazdrosna o to, że usta, które powinny cię całować, pienią się od pasty. Albo że czytam gazetę. Nowy atak piratów amerykańskich, terror agresorów izraelskich. W coś to wino trzeba było okręcić – nie ma o co robić rabanu. Rozruch fabryki nawozów sztucznych. Dlaczego nie ma jogurtów? Diabli wiedzą dlaczego. Jesteś ekonomistą, odpowiedz. Niczym nie jestem. Kogut bez charakteru. Cudowny jesteś, cudowny – słyszę kołyszący się nade mną głos. Potem głos zniża się ku mojej szyi, czuję ból w okolicach obojczyka i wreszcie słyszę zbawczy, wyzwalający jęk. No, nareszcie.

– Przegryziemy coś – zawołała Tońka i zeskoczyła z tapczanu.

Włożyła szlafrok Jagi i wsunęła stopy w jej sandałki. Podczas gdy ona się uwijała, szykując kanapki z kabanosem i pomidorami, ja wciągałem spodnie.

– Po co się ubierasz? – spytała prawie zgorszona.

– Zmarzłem.

Jedliśmy kanapki, piliśmy wino i herbatę, jak kiedyś, ale wcale nie było tak jak kiedyś i ona powinna to była wyczuć.

– Będziemy się znowu spotykać, co, Jurasku? – zagadnęła.

– Nie wiem.

– Było tak cudownie, musimy to powtórzyć.

Milczałem.

– Musisz mi kupić jakiś prezent – powiedziała. – Chcę mieć od ciebie prezent.

– Un cadeau – przypomniałem sobie.

– Co mamroczesz?

– Nic. Jaki prezent?

– Na przykład kostium kąpielowy, elastyczny.

– Okej.

– Chyba, że nie masz forsy.

– Znajdzie się – zapewniłem ją.

Spojrzała na mnie z uwagą.

– Czy ty nie masz jakiejś dupy?

– Nie interesują mnie dupy.

– Co?! Nie, niemożliwe! – Pacnęła się w czoło. – Człowieku, czy ty się przypadkiem nie kochasz?

– Kocham – powiedziałem. Łzy zakręciły mi się w oczach. – Kocham kogoś tak, że we łbie mi się od tego mąci.

– No proszę – szepnęła. Pomyślała pewnie: za mną to aż tak nie szalał – aż tak to nie. Ale nie wydała mi się specjalnie przygnębiona, rozpierała ją ciekawość. – I co, są szanse?

– Żadnych. Lubi mnie i to wszystko.

– Mężatka? Młoda?

– Tak.

– Szanse są zawsze – powiedziała z miną znawcy. – Szczególnie, jeśli mąż fujara.

– Wygląda na świetnego chłopca.

– Będziesz musiał mi wszystko opowiedzieć, Jurasku, umieram z ciekawości.

Mruknąłem:

– Nie będzie co opowiadać.

Ona, nieoczekiwanie, z innej beczki:

– A wiesz, że mój amant może wejść do Biura?

– Mnie to wcale nie zachwyca – powiedziałem.

– Nie powinieneś tak mówić. Rozmawialiśmy o tobie – (ciekawe, myślę, gdzie – w łóżku?) – on cię bardzo ceni.

– Ja jego mniej.

– Och, Jurasku, nie bądź taki zasadniczy. On by ci coś mógł załatwić.

– Wiesz, że nie potrzebuję.

– Powiedział, że robiliście świetne pismo.

– To dlaczego je zlikwidowano? – Sam sobie odpowiedziałem: – Chyba właśnie dlatego: że świetne. Wszystko, co dobre, co zdobywa sobie autorytet – jest niebezpieczne. Bezpieczna jest szarzyzna, nuda, brak twarzy.

– Nie bądź taki zgorzkniały. To była polityka, wymagania chwili... Zresztą, możliwe, że oni tego bardzo żałują.

– To niech powiedzą to głośno.

– Jurasku, jestem nieżywa, a ty prowadzisz takie rozmowy, jakbyśmy nic za sobą nie mieli. Chodźmy spać...

Rzuciłem spojrzenie na pomięte prześcieradło.

– Chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do domu.

– Beznadziejny jesteś.

– Moja córka, sama rozumiesz...

– Dobra, dobra, rozumiem więcej, niż myślisz. – Objęła mnie i szepnęła: – Ulżyłeś sobie i ogarnęły cię skrupuły. Dopóki ci furczało, to skrupułów nie miałeś. Idź, idź, wcale mi nie jesteś potrzebny.

Dotknąłem obolałego miejsca nad obojczykiem.

– Zostawiłaś mi siniak.

– No to uważaj, nie odchylaj przy niej koszuli. Odprowadziła mnie do drzwi. A ja przypomniałem sobie, co przeżyłem w ciemności w jej ramionach, i powiedziałem:

– Dziękuję.

Siedzimy we dwoje – ona przy biurku, ja przy stoliku – pracujemy pilnie. Ona chyba domyśla się, co się stało, wie, że została zdradzona i sponiewierana. Jest tak daleka, tak pochłonięta swoimi papierami – wie, oczywiście, że wie – wszystko jest bez sensu, muszę ją sobie wyperswadować, muszę się jakoś z tego wyrwać. Podała mi Bielawskiego, wzięła ode mnie papierosa (palę teraz tylko mentolowe), nakazała surowo: „Do roboty” – i więcej na mnie nie zwracała uwagi. Ja jednak czasem na nią spozierałem. Była w tej zielonej luźnej spódnicy z białymi falbankami, w której ją widziałem kiedyś z mężem na ulicy. Do tego miała seledynową bluzeczkę z ozdobnym haftem w okolicy serca. I na szyi złoty medalik. Jasne proste włosy spadały luźno do ramion przesłaniając uszy, przeczesywała je czasem szybkimi, krótkimi ruchami grzebienia, bez spoglądania w lusterko, i wtedy można było dostrzec kawałek

różowej blizny. Włącza czajnik. Woda kipi. Zaparza ekspresową herbatę. Zdradziłem cię, myślę, ale i byłem z tobą, jęczałaś w moich ramionach, chociaż o tym nie wiesz, tak.

Przepisuję zdanie z Rytmu życia prof. Kępińskiego: „Gdy chory (starzec) zbyt boleśnie odczuwa swój bilans życia, świadczy to zwykle o tym, że jeszcze nie dojrzał on do swojego wieku." To ja. Nie dojrzałem, psiakrew. (Powinienem mieć większy dystans do teraźniejszości, traktować upływające życie z mniejszym buntem. Pogodzić się z tym, że to koniec.) Nie, bez przesady, przecież Tońka na mnie leci, bezinteresownie, podniecam ją, a jest tylko trzy czy cztery lata starsza od niej... Zamilcz, Tońka to co innego, wyciąga chciwie rękę tylko po jedno. Nie masz tu czego szukać, zapamiętaj to sobie. W porządku, więc będę tutaj siedział, tylko tyle, będę przychodził co dzień – kładę się spać z tą myślą, że ją nazajutrz zobaczę, budzę się szczęśliwy, że to już dzień, zobaczę ją – chcę tylko tyle, tak niewiele, po co od razu jakieś wszechobejmujące rozważania. I po co przesiadywać w domu, kiedy wystarczy ogolić się, przyjść, czasem z kwiatkiem, czasem z colą – usiąść i gapić się. Wygodny obiekt do uwielbiania. Nie trzeba wystawać na ulicy, nie trzeba pędzić na złamanie karku, zamęczać telefonami. Obiekt, który w określonych godzinach jest, czeka – urzęduje. Spoglądam na nią: wstała, wyszła do pokoju na zapleczu, zrobiło się nagle pusto i brzydko, Księżniczko, wróć – wróciła z ogromną stertą papierów, dziw, że uniosła. Rzuciła je na biurko i przyglądając im się, poskrobała się długopisem w ciemię.

Byliśmy wolniejsi niż oni – czytam. – Potrafiliśmy sobie powiedzieć «ja chcę» lub «ja nie chcę». Oni, nasi prześladowcy – i tu Bielawski stwierdza to, co potem powtórzy profesor – nie mieli własnej osobowości. Pozbawieni woli, wtłoczeni w dyscyplinę, działali jak automaty." Przeciwstawia tych, którzy mają wolę świadomą, wolną, tym, którzy nie umieją się wyrwać z niewoli przesądów, tradycji, zamiłowania do własności – także w sferze gospodarczej. (Chyba władze czytały to zakłopotane, obawiały się, żeby nie zostały pomówione o przygotowywanie kołchozów. Bielawski szalał na własną rękę, ale czytelnicy mogli o tym myśleć inaczej.) Dołączam do tego notatkę z Kępińskiego: Można uznać za paradoks, wskazuje ten myśliciel, że „po to, by przetrwać obóz, trzeba było się w pewnym stopniu wyrwać spod prawa zachowania życia za wszelką cenę". Tam, w obozie, „prawo zachowania życia, kiedy mu się zbyt posłusznie podporządkowało, działało jakby przeciw sobie." Lubię takie konstatacje – rozszerzają nasze pojmowanie rzeczywistości, która zawsze jest bogatsza niż najlepiej opracowane doktryny. Na przykład darwinizm i nietzscheanizm (którymi zachłysnął się Hitler, właśnie dlatego, że pojmował je po prostacku): w walce o byt wcale nie musi zwyciężyć silniejszy ani sprawniejszy, ani nawet lepiej przystosowany. Moje doświadczenie nadwiślanina mówi mi, że silni mogą się wytępić wzajemnie, a ktoś słabszy, gorzej rozwinięty, ale za to nie rzucający się w oczy – i to wcale nie na zasadzie mimikry, ale po prostu jako ktoś godny pogardy (jak na przykład w wyścigu kolarskim, ktoś ostatni w klasyfikacji może wygrać jakiś etap, bo nikt go nie goni, kiedy wyskoczy naprzód, nikomu nie zagraża) – otóż taki chłystek może sobie przycupnąć na boczku i bez tak zwanej walki o byt przetrwać najgorsze kataklizmy. Szczególnie, jeśli dopisuje mu szczęście. Przypadek, los, szczęśliwe zrządzenie – u licha, przecież to odgrywa czasem decydującą rolę! Kończyłem zapisywać te myśli, kiedy usłyszałem:

– Życzy pan doktor herbaty?

Podniosłem oczy. Stała nade mną uśmiechnięta.

– Ale pracuś – podziwiała, a może też wyrzucała mi to. – Herbata na pewno się panu przyda.

Włączyła czajnik do gniazdka.

– Przeszkodziłam panu? – spytała. Musiała być w tym pytaniu filuterność – na pewno wiedziała, że tęskniłem do rozmowy.

– Nie, właśnie kończyłem.

Przesiadłem się na krzesełko przy jej biurku.

– Pan wciąż myśli, że pana nie lubię? – odezwała się nie patrząc na mnie. Nie zdążyłem odpowiedzieć. – Nieprawda, bardzo pana lubię. Zastanawiałam się nad tym, co pan wczoraj powiedział: o tej linii najmniejszego oporu. W coś pan utrafił, bo mnie się rzeczywiście podobali mężczyźni postawni, o pięknych oczach i przyznaję, że to, co pan powiedział, było, jako polemika, dość przekonywające. – Sięgnęła do szuflady. – Przyniosłam panu coś do poczytania.

Było to kilka stron maszynopisu.

– Pani utwór? – Nie ukrywałem niepokoju.

Roześmiała się.

– Och, nie, nigdy nic takiego nie popełniłam. Za kogo mnie pan ma, panie doktorze? Co prawda, to też są głupoty, ale zabawne: horoskopy według starożytnych Galów. Znalazłam je w Informatorze Ogrodniczym. Galowie uważali, że każdy z nas, w zależności od daty urodzenia, ma za patrona jakieś drzewo. Ja jestem sosną, a pan... zaraz, chyba orzechem.

– Sosna – powtórzyłem spoglądając z zachwytem na jej strzelistą sylwetkę. – Sosna: to się zgadza.

– Niech pan czyta – burknęła zmieszana. Przeczytałem głośno:

– „SOSNA. Cecha zasadnicza: wyrafinowanie.” – Spojrzałem na nią: – To możliwe, prawda?

– Niech pan czyta dla siebie, bardzo pana proszę. Czytałem więc: „Sosna jest świadoma swojego wdzięku. (Wdzięk – naturalnie – i chyba rzeczywiście jest tego świadoma.) Trochę zapatrzona w siebie (nie szkodzi), lubi się otaczać przyjemnymi ludźmi. (Hm, to gorzej.) Mimo pozornych słabości jest twarda (chyba tak), umie walczyć z trudnościami i tak układa sobie życie, jak jej wygodnie. Nie ma w niej nic pasywnego. Odważna, aż do zuchwałości, w każdej dziedzinie zajmie jakieś miejsce, osiągnie coś dla siebie. (Niezwykła, na pewno.) Jest dobrym kolegą i kompanem, w przyjaźni z rezerwą i powściągliwością. Za to w miłości płonie jasnym i gwałtownym płomieniem.” Zaparło mi dech. Musiałem przeczytać raz jeszcze: „...w miłości płonie jasnym i gwałtownym płomieniem. (O, sosno mojego dzieciństwa, bądź przy mnie.) Ale równie szybko gaśnie jej namiętność.” (Chryste, daj mi ją.)

Przerwałem lekturę. Spojrzałem na nią, przeglądała papiery, ale odniosłem wrażenie, że tylko udawała. Umocniło się to przekonanie, kiedy podsunęła mi szklankę:

– Herbata.

– Pani uważa, że to się zgadza?

– Odmawiam odpowiedzi. – Po chwili dodała: – Skąd mogę wiedzieć? Pan wszystko o sobie wie? Możliwe, ale ja nie.

– Tym bardziej, że ma pani mało doświadczeń.

– O, panu ich nie brak, na pewno. Proszę pić i czytać.

Czytałem: „Bardzo łatwo zraża się i zniechęca. Przeżyje wiele gorzkich rozczarowań, zanim czasem natrafi na swój typ. Zadośćuczynienie znajduje zawsze w pracy. (Chyba tak.) Jest dobrym organizatorem, cieszy się zaufaniem otoczenia. Jej praktyczna filozofia życiowa, jej śmiałość zapewnia jej piękne efekty... dopóki nowe uczucia (które traktuje ogromnie sentymentalnie) nie zniszczą wszystkiego.”

– Sentymentalna – mruknąłem.

– Nic podobnego.

– To właściwie pean na pani cześć.

– Lepiej nie brać tego dosłownie.

– Sosna – powiedziałem rozpamiętując. – Sosna była drzewem mojego dzieciństwa.

– Skończona sprawa – ucięła energicznie. – Teraz poczytamy sobie o panu. Na głos!

Otworzyły się drzwi, weszła wichrowata dziewczyna z ogromną paką czasopism przewiązanych sznurkiem.

– Luśka, masz coś na ząb – rzuciła. – Kwituj. Pani Ludwika składając niedbały podpis westchnęła:

– Znowu jakieś ciężary. Ja się pod tym załamię.

Wichrowata dziewczyna zatrajkotała:

– O, jest mężczyzna, to ci pomoże. Na pewno bardzo chętnie to zrobi!

– Zgadła pani – powiedziałem.

Podniosłem paczkę. Pani Ludwika szła przodem, żeby mi wskazać drogę. Dziewczyna krzyknęła za nami:

– Luśka, jak wakacje?

– W góry z mężem! – odkrzyknęła moja dziewczyna, prowadząc mnie do drugiego pokoju, podczas gdy we mnie to wszystko zagrało nieprzyjemnie: i ta rzucona bez szacunku „Luśka", i ten wyjazd w góry z mężem, który nastąpi niezadługo.

– Tutaj – zaszumiała moja sosna i wskazała pustą półkę w szafie.

Umieściłem tam paczkę. Odwróciłem się: ona stała przede mną, o łokieć. Pierwszy raz znalazłem się z nią tak sam na sam, w półmroku. Drżałem.

– Dziękuję – powiedziała.

Chwyciłem w dłonie jej głowę i drżąc na całym ciele przyciągnąłem do siebie, do swoich ust. Zaskoczona, usiłowała odchylić się, ale ja trzymałem mocno, już byłem ustami na jej ustach – tylko dotknąć, posmakować, tylko tyle – i oto poczułem, że jej wargi rozchylają się, wpijają się soczyście w moje wargi, zakręciło mi się od szczęścia w głowie – całuje mnie, o Boże. Obejmowałem ją zgłodniałymi dłońmi i coraz mocniej wsysałem się w jej usta. Przymknęła oczy. Oderwałem się na chwilę, spojrzałem na nią – otworzyła oczy, ale wydawało się, że mnie nie widzi, mimo napięcia w źrenicach, że patrzy przez matową szybę, ja wciąż drżałem, chociaż trochę mniej, tylko prawe kolano nie mogło się uspokoić. Wyszeptałem:

– Dziewczyno uwielbiana. Kocham cię... Kocham cię – powtórzyłem.

Tamta, ta wichrowata babka, czekała w pierwszym pokoju. A myśmy stali trzymając się w objęciach. Moje świętokradcze dłonie obsunęły się do jej bioder i zacisnęły na krągłościach pośladków. Moja, powtarzałem w myśli, chłonąc smak jej ust, moja cudowna dziewczyna, moja. Była wyższa ode mnie, w pantoflach na wysokim obcasie, całując moje usta pochylała głowę – myśl, że ją to może śmieszyć, trochę mi przeszkadzała. Nie czułem pożądania, tylko oszołomienie, że spełniło się, słowo się wcieliło marzenie dokonało, nie odtrąciła mnie. Trzasnęły drzwi. Odsunęliśmy się od siebie.

– Wyszła – szepnęła ona.

Drżenie w prawym kolanie trochę się zmniejszyło. Dziewczyna stała oparta plecami o szafę łowiąc oddech. Nagle otworzyła ramiona i przywarła do mnie znowu objąwszy mnie mocno.

– Luteńko – szepnąłem w rozmodleniu. – Luteńko uwielbiana...

Zamknęła mi usta długim, pełnym zapamiętania pocałunkiem. (Więc to tak: podczas gdy ja chciałem szeptać, wyznawać, korzyć się, dla niej to wszystko było stratą drogiego przecież czasu. Usta nie powinny szeptać, tylko całować. Jej pragnienia były bardziej zmysłowe, ponieważ udział uczucia był w nich mniejszy – większy zaś udział młodej, gorącej krwi. Strona namiętniejsza w miłości nie musi bardziej kochać.) Moje kolano wciąż dygotało i wciąż miałem świadomość, że to ona nachyla się nade mną, a nie, jak to być powinno – „lubię postawnych mężczyzn" – ja nad nią. Nie czułem żadnego napięcia erotycznego – to mnie trochę peszyło, bałem się, że ona to zauważy i że to ją zastanowi. Byłem szczęśliwy, ale właściwie chciałem, żeby to się już skończyło. Jednak jej wargi smakowały cudownie i przebiegło mi przez myśl, że słusznie upierałem się przy ich całowaniu. Już odgadłem, że i jej smakują moje usta. Kiedy przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, ja, jedną ręką wciąż ją obejmując, drugą uniosłem złoty medalik i przycisnąłem go do swoich warg. „Oddaję ci się niniejszym w niewolę, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego" – szepnąłem, ja, niewierzący, ale rozmodlony.

– Wracamy – powiedziała stanowczo. I pchnęła mnie w kierunku tamtego pokoju.

Usiadłem z drugiej strony biurka, moja herbata wciąż jeszcze była gorąca. Po chwili pojawiła się i ona. Siadła, wyjęła z torebki grzebień i poprawiła włosy.

– Szaleństwo – powiedziała do siebie.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie szaleństwo. Kocham cię.

– Niech pan pije herbatę.

Siorbnąłem posłusznie łyk herbaty i westchnąłem:

– Nie potrafię już wrócić do mówienia per pani.

Milczała.

– Zresztą, w myśli już dawno nazywam cię „Luteńką".

– Jak?

– Luteńka.

Pokręciła głową – miało to wyrażać zdziwienie.

– Nikt mnie tak nigdy nie nazywał.

– Jeśli mówiłem do ciebie w myśli „pani", to rozumiałem to całkiem dosłownie: to, że nade mną panujesz.

– Szaleństwo – powtórzyła szeptem. Wyciągnęła rękę: – Poproszę papierosa.

Zapaliwszy mentolowego, zastrzegła się:

– Ale przy ludziach ma być po staremu.

– Naturalnie. To będzie nasza tajemnica, moja i twoja.

– Poproszę herbaty.

Podsunąłem jej szklankę, wypiła chciwie kilka łyków, odsunęła szklankę z powrotem do mnie i obdarzyła miłym uśmiechem. Spytałem:

– Czy zauważyłaś, że zmieniłem papierosy?

– Zauważyłam.

– Zauważyłaś, że nie całuję kobiet w rękę – tylko ciebie?

– Zauważyłam.

– Jesteś moją panią i możesz mi rozkazywać. Pochyliła się nad papierami.

– Przeczytam ci teraz twój horoskop – powiedziała – „ORZECH. Cecha zasadnicza: namiętny." – Spojrzała na mnie z ukosa: – Namiętny?

– Chyba tak.

– O-bie-cu-ją-ce – zaśpiewała szelmowsko. Czytała dalej: – „Pełen kontrastów i dziwny, twardy charakter ma Orzech." Hm... „Często egoista, agresywny i bezwzględny, jest równocześnie szlachetny, z umysłem o szerokich horyzontach. Nieoczekiwane reakcje, wygórowane ambicje, brak elastyczności nie czynią z Orzecha łatwego partnera." Biedna, która da się uwieść – skomentowała.

– Och, to bzdury, nic wspólnego ze mną.

– Nie wiadomo. Wolę się strzec.

Ale nie był to ton serio. Ona też nie potrafiła przejąć się moim horoskopem. Zajrzałem do kartki i przeczytałem:

– „Inteligencja wszechstronna." Proszę bardzo. „Genialny strateg na wyższych stanowiskach..." – słyszysz, muszę się dochrapać wyższego stanowiska, żeby się to wypełniło – „w zwyczajnej pracy zawodowej także wyróżnia się ambicją i pracowitością. Nie zależy mu na taniej popularności, niecodzienne ma życie i nie znosi kompromisu." Psiakość, coś niecoś się zgadza.

Przejęła ode mnie kartkę:

– „Ryzykujesz wiele dobrego i złego w zetknięciu się z Orzechem." Fatalnie. Nie mam zamiaru ryzykować. – Wyjęła z torebki szminkę, krem do twarzy, tusz do rzęs. – Czy jesteś gadułą? – spytała.

– Potrafię milczeć – zapewniłem ją.

Zaczęła wcierać krem w buzię, powoli znikały pod różem zarumienienia, ukryła się blizna. Przyglądałem się tym czynnościom zafascynowany. Podniosła na mnie wzrok, coś w mojej twarzy ją uderzyło, bo się uśmiechnęła. W tej chwili usłyszałem skrzyp otwieranych drzwi. Wstałem. Zbliżał się ktoś raczej wysoki – czułem to, jak niewidomy odczuwa prąd powietrza. Usłyszałem za sobą jego „cześć", ona też rzuciła:

– Cześć. – I do mnie: – To do widzenia, panie doktorze.

– Do widzenia. Będę jutro – obiecałem przechodząc obok barczystego wąsacza, który nie raczył na mnie spojrzeć.

Usłyszałem jej obojętne „prosimy bardzo" – i znalazłem się na korytarzu.

Dopiero tu, sam na sam z sobą, odczułem niezwykłość tego, co się stało, ogrom szczęścia, jakiego dostąpiłem. Boże mój, Boże, całowałem ją! Całowałem moją uwielbianą dziewczynę!

Zbiegłem po schodach jak oszalały. Na ulicy przystanąłem. Płynął nieświadomy mojego szczęścia tłum, szły kolorowe dziewczyny, młode eleganckie kobiety, niektóre zatrzymywały na mnie spojrzenia, widocznie coś ze mnie emanowało: promieniałem, może uśmiechałem się do nich, może tryskałem młodością i siłą. Nie wiedziały, że nic mnie nie obchodzą, nie istnieją dla mnie. Moja najlepsza! – myślałem triumfująco. Moja jest jedyna.

Ten blondyn z kluczykiem na palcu – Antek, zdaje się – on znowu się tu wyłonił, szedł do gmachu powolnym krokiem. Spostrzegł mnie, przystanął, coś mu się chyba przypomniało– nie ukłonił się, nie – zawrócił i wsiadł z powrotem do swojego. czerwonego renault. Gnojku, naucz się wpierw kochać! Naucz się poświęcić wszystko; wszystko porzucić – dobytek, spokój, powiązania, obowiązki – wszelką nadzieję. Jak przy zstąpieniu do piekieł. Dopiero wtedy jest szansa, że rozewrze się niebo.

Wstąpiłem do Interflory. Myślałem, że mnie tu już nie pamiętają, ale nie, ta starsza elegancka pani, ze sznurem bursztynów na piersiach, od razu zauważyła:

– Dawno pan redaktor do nas nie zaglądał. Nie było pieniążków czy kochanego zdrowia?

– Nastroju – odpowiedziałem.

– A teraz jest?

– Jak widać.

– Gratuluję. Bo ja nie mam nastroju. Co wysyłamy?

– Róże.

– Ten sam adres?

– Tak, Jerry Hall. To pożegnanie.

Napisałem na wizytówce firmowej: „Żegnaj, Jerry. To moje ostatnie kwiaty. JW." Niebieskowłosa pani wręczając mi kwit spytała:

– Coś się stało?

– Tak, ale coś dobrego.

Nie będę jej tłumaczył co, nie zrozumie. I pomyślałem: „Wariacie, przepuszczasz forsę, która ci teraz będzie bardzo potrzebna." Ale musiałem jakoś z honorem zakończyć tamte zobowiązania.

Nie miałem ochoty nikogo widzieć, ale zadzwonił Grzegorz i zgodziłem się, żeby przyszedł. Dobrze, pomyślałem, czas mi prędzej zleci. Jutro nogi nie będą mi już dygotać. Opowiem mu o niej, przebiegło mi przez myśl. No tak, opowiem, nie wytrzymam. „Słuchaj – dobiegł mnie jej głos – czy ty jesteś gadułą?" „Potrafię milczeć."

– Widzisz człowieka zdruzgotanego – zaczął Grzegorz. Przyniósł buteleczkę winiaku, więc ja, znając go, zrozumiałem, że nie należy przejmować się tym, co jest na powierzchni słów. Prawdopodobnie stało się coś dobrego. – Powiedz, Jurku, jak popełnić samobójstwo?

Powinienem był odpowiedzieć: „Widzisz człowieka szczęśliwego." Ale musiałem milczeć. A przy tym przyznawać się do szczęścia, u nas, kiedy powoli osuwamy się na dno – a nawet i bez tego – to po prostu nie uchodzi. Coś w złym tonie. Trzeba okazywać, że odczuwa się ból istnienia, tragedię wszechświata. Szczęśliwy może być tylko człowiek powierzchowny, głu-

pek, który nie wie, że wszystko ma początek i koniec. Wszyscy podejrzewają, że jestem pieszczochem fortuny, z dużym kontem dewizowym, bo nie leję nikomu łez w kamizelkę i nie pożyczam od nikogo pieniędzy.

Podniosłem kieliszek do góry, popatrzyłem na powierzchnię winiaku i pomyślałem: „Twoje zdrowie, Luteńko."

– Grzesiu – odezwałem się – po co popełniać samobójstwo? Wystarczy żyć. Wszystko przyjdzie samo.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– To jest niezła replika.

– Możesz ją spożytkować. Co się stało?

– Oni wymyślili dla mnie nagrodę. Uprzedzono, żebym w związku z tym nie wyjeżdżał w lipcu na wakacje. Co robić?

Wiedziałem od razu, że stało się coś, co przynosi zadowolenie. Ale równocześnie sprawia kłopot. Potrzebne mu było moje rozgrzeszenie. Więc przemówiłem w jego stylu:

– Dobrze ci tak, łobuzie. Po co piszesz genialne powieści? Za wszystko w życiu się płaci. Wypijemy za tę nagrodę.

– Dno – powiedział Grzegorz. Nie był to jego pierwszy kieliszek dzisiaj. – Groza.

Będą recenzje, wywiady, fotografie. Może dodatkowy nakład. Każdy to lubi, każdemu to jest potrzebne, choćby nie wiem jak wierzgał.

– No, ja im jeszcze zrobię kawał, zobaczysz. Obiecuję. A co u ciebie. Po staremu Tońka?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zrobiłem nieokreślony gest. Spytał:

– Masz coś nowego na widoku?

Milcz. Milcz. Znowu więc taki sam gest.

– Zamurowało cię? – Był zdziwiony, bo o tamtych, o dupach, nieraz rozprawialiśmy.

– Jest coś – przyznałem się częściowo. – Ale bez szans.

– Rozumiem cię – powiedział. Pokiwał kilka razy głową. – Dobrze rozumiem. Czasem to jest najpiękniejsze. Powiem ci coś: widziałem niedawno pewną dziewczynę, mówię ci, wspaniała. Blondynka, w takim matowym odcieniu. Spojrzenie, głos, wdzięk... Nie jest wykluczone, że ją znasz.

Blondynka, pomyślałem. Jak moja. Ale co mnie ta inna obchodzi. Sto tysięcy blondynek, prawdziwych i sztucznych, wydeptuje bruki Warszawy.

– Gdzieś ją widział? – spytałem.

– W tym ministerstwie, z którym byłeś związany.

– Ach, tam. – Już czułem, co się zbliża.

– W biurze dokumentacji. Ona tam pracuje. Dziewczyna, która – co tu dużo mówić – pomyślałem sobie patrząc na nią, że to mogłaby być kobieta mojego życia.

– No więc? – spytałem pobladły.

– Nie mam szans, urodziłem się zbyt wcześnie.

Był kilka lat młodszy ode mnie.

– Tak, urodziliśmy się zbyt wcześnie – powtórzyłem za nim. – Błąd nie do odrobienia.

– To chyba niemożliwe, żebyś nie zwrócił na nią uwagi!

– Masz na myśli taką wysoką panią?

– Tak. Chyba ma na imię Ludwika.

– Ach, pani Ludka. – Grałem obojętność. – Korzystam czasem z jej uprzejmości. Owszem, to jest ktoś przyznałem łaskawie.

On powtórzył:

– Kobieta mojego życia.

Czułem niepokój i radość równocześnie. Chwalono moją dziewczynę, podziwiano ją nawet! Ale ja musiałem milczeć. Zgrabna, pełna wdzięku – słyszę. Widział ją na ulicy z jakimś facetem, pewno mąż, i ogarnęła go zazdrość – wyglądali na zakochanych w sobie, zresztą nic

dziwnego – jak to się dzieje, że niektórym w życiu aż tak się wiedzie? Szczęściarz, psia jego dusza – zaklął – który może i pojęcia nie ma, jak bardzo jest szczęściarzem, bo co ci młodzi wiedzą o kobietach, nie umieją nic uszanować! Nie podejrzewał tak się pieniąc, że szczęściarz siedzi przed nim, ktoś dopuszczony do jej ust, kto ją obejmował, chłonął jej smak i zapach, spowodował, że powieki opuściły się w męce, a z ust wydobyło się westchnienie. Ja! I ten ktoś potrafi to swoje szczęście docenić. Siedzę i milczę. Ja, zdrajca. Uprzątnąłem mu sprzed nosa kobietę jego życia. Dobrze, że się z niczym nie wyrwałem, znienawidziłby mnie.

– Odpowiedzialność za słowo – słyszę głos Grzegorza. – Pan autor strzela, a Pan Bóg kule nosi. Miałem przed laty miłośnicę niechętną naszej nowej rzeczywistości. Przyjechała po wojnie z Londynu, gdzie ukończyła studia, kompletnie zdezorientowana, nie wiedziała, czym to się je. Ja, początkujący socrealista, piewca Nowej Huty i trójkowego systemu kładzenia cegieł, starałem się ją oczywiście przekonać. Dzięki łóżku trochę na tym tle złagodniała. Było to bardzo dobre miejsce dla udowodnienia jej humanizmu naszego systemu. Spotkałem ją niedawno. Powiesz: wstrząs. Owszem, ale nie na skutek tego, o czym myślisz. Wcale nie to było straszne, że jej synek, który się wtedy czasem przy nas pałętał, właśnie się żenił, w jej urodzie czas też nie uczynił specjalnych spustoszeń. Najgorsze było to, że miała nareszcie przekonania. Wszystko, co mówiła, wydawało mi się urągające zdrowemu rozsądkowi, zniekształcające fakty. To dopiero było nieznośne! Potem, kiedy pożegnaliśmy się, zrozumiałem, że ona tylko powtarza moje ówczesne argumenty. Dostosowane do tego, co się dzieje teraz, po latach, po tych wszystkich naszych przemyśleniach i doświadczeniach – Boże! ... jakbym zobaczył karykaturę samego siebie! Wierz mi: nie jestem dumny, że ją zdołałem aż tak bardzo przekabacić.

– Założę się, że nie wyszła na tym źle – odezwałem się.

– Chyba wygrałbyś zakład. Bo w tym jej nowym przywiązaniu można dostrzec zadbanie o własną pozycję. To bardzo wykształcona pani, ale... Istnieje coś w rodzaju kołtuństwa intelektualistów. Kołtuństwo, według mnie, to wiara w to, co wygodne. A przecież...

Urwał. Wiedziałem, że muszę go zachęcić.

– Suń, Grzesiu – powiedziałem. – Nie zagrzebuj talentu w ziemi.

– To dziwne, ale moje serce, najgłupszy organ w człowieku, moje serce przy niej drgnęło. Bo ja kochałem się w niej po wariacku, była dla mnie, szczeniaka młodszego od niej o trzy lata, uosobieniem kobiecości, wdzięku, ciepła, wszystkiego, do czego człowiek czasem tak strasznie się wyrywa. Szczególnie dotyczy to nas, którzy wyszliśmy po tej wojnie z lasu, przemarznięci wewnętrznie, wygłodniali. Wiesz, ja tej pani naprawdę dużo zawdzięczałem. Przede wszystkim – wzajemność, co było dla mnie czymś oszołamiającym. Pisywała do mnie czułe listy. Zaczynała od „Skarbie". Szukała widać słowa, żeby wyrazić, czym dla niej jestem, nie okazała się zbyt wynalazcza, może i lepiej, strzeż się zbyt wymyślnego słownictwa kobiet, został ten wyświechtany „Skarb". Ale byłem tym skarbem ja i to mnie najbardziej zdumiewało. Przedtem w ogóle nie przeszło mi przez myśl, że i mnie można kochać. Kogoś innego – owszem, tak – jakiegoś wspanialca, czarodzieja, ale nie mnie. Kochając mnie – tak sobie myślałem – musi przykucać, godzić się z tym, czego mi brak do jej ideału. No i one rzeczywiście to robią, przykucają do swoich mężczyzn. I czasem im to wypominają. „Ja dla ciebie..." Ale mnie się to wtedy wydawało naturalne, że kobieta to coś lepszego niż ja, inaczej myśli, działa, reaguje – i kiedy okazywało się, że ona jest „jak my", ogarniało mnie zdziwienie. Szkoda, że już tak nie myślę. To taki nawias, chciałem ci powiedzieć coś innego. Kiedy ona tak powtarzała te swoje nieznośne twierdzenia, patrzyłem w jej oczy i poczułem, że mogłoby mi na niej jeszcze zależeć. Jej lata? Czasem wiek przestaje odgrywać rolę. Chociaż wiem, że pierwszym i podstawowym obowiązkiem kobiety jest młodość, ale twierdzę, że najważniejsza jest tożsamość osoby. A osoba to także i cała przeszłość, cały ładunek wspólnych doświadczeń. Kiedy masz ją w objęciach, masz właściwie dwie istoty: tę fizyczną, pod-

upadłą cieleśnie, ze wszystkim, co się z tym wiąże, i tę drugą, której pożądałeś niegdyś, o której miłość ubiegałeś się.

Popatrzyłem na zdjęcie Sary na ścianie i pomyślałem: może on ma rację, ona wciąż we *mnie* tkwi – ta, w której się kochałem i która rodziła moje dzieci.

– Czy jesteś w stanie mnie wysłuchać – spytał Grzegorz – czy też możesz myśleć już tylko o sobie?

– Stało się coś jeszcze?

– Ona powiedziała, że urodziła moje dziecko. Nie zawiadomiła mnie o tym w swoim czasie, bo bała się, że przyjmę to jako wywieranie jakiejś presji.

– A ty się czegoś domyślałeś?

– Pojęcia nie miałem. Więc ona to mówi, a ja nic, żadnego wzruszenia. Tylko niepokój: co ja z tym wszystkim teraz zrobię? Dziecko! Córka! Jak to się stało? Ach, mniejsza, ukryła przede mną ciążę, nie chciała mi komplikować życia. Mąż miał co do tego dziecka pewne podejrzenia, choć żadnej pewności. Zaczął się upijać, czasem wybuchał wściekłością. Mówię: aha, jeszcze jedna córka – ona na to, że dziewczynka nie żyje. Nie żyje, aha. W ciągu dwóch minut przeżyłem narodziny dziecka, niepokój o jego los, o siebie – i jego stratę. Miała osiem lat, kiedy zmarła – słyszę – ta twoja córeczka. Pokazała mi zdjęcie. Zobaczyłem nieciekawą dziewczynkę z jasnymi warkoczykami, w sukience w groszki, zupełnie do mnie niepodobną. Usiłowałem sobie uprzytomnić, że ta dziewczynka na zdjęciu to moja córka, że powinienem się wzruszyć, pokochać jej cień, ale był to wizerunek kogoś obcego. Stary, wiem już teraz na pewno: dziecko to jest to stworzenie, o które drżysz. To, przy którym spędzasz bezsenne noce. Te Polki, które pokochały matczyną miłością żydowskie dzieci, oddane im na przechowanie podczas okupacji, one to mogą poświadczyć. Żaden głos krwi nie zastąpi nocy bez snu... Zrozumiałem to przy tej pani... Przeskoczył nieoczekiwanie na inny temat:

– Tamten facet, ten „Ślusarczyk", zwrócił ci pieniądze?

Prawda, Grzegorz był świadkiem naszej transakcji.

– Nie, nie zgłosił się więcej.

– Groza – powiedział Grzegorz podnosząc się. – Zero absolutne.

Odprowadziłem go do drzwi.

– Przemyśl sobie to doświadczenie – powiedział – i wyprowadź nowy rachunek ekonomiczny.

– Będzie o czym myśleć.

Nie mogłem mu powiedzieć, że wszystko stało się nieważne – teraz, kiedy kobieta jego życia była moją dziewczyną – nie, tego właśnie nie mogłem mu powiedzieć...

– Gratuluję nagrody – powiedziałem za to. – I nie zamartwiaj się.

Pocałowałem go w oba policzki. Należało mu się to; zaakceptował moje szalone uczucie, chociaż o tym nie wiedział.

Położyłem się do łóżka, sięgnąłem po książkę. Zagłębiłem się w Eklezjastę, raz jeszcze. „Marność nad marnościami – przeczytałem – marność nad marnościami, wszystko marność." Boże mój, pomyślałem, czy aby ona mnie jutro nie odepchnie, czy nie powie, że to była chwila słabości? Albo kaprys... Przerzuciłem kilka kartek. Spokojnie, człowieku – myślałem szukając czegoś w tych mądrościach sprzed dwu tysięcy lat – spokojnie, to tylko lektura, traktuj ją jak rozmowę z innym człowiekiem, on gada swoje, ty myślisz swoje. „I zobaczyłem, że nie ma nic dobrego, jeno żeby człowiek weselił się dziełem rąk swoich." Czytałem jeszcze chwilę, a potem zobaczyłem jej oczy wpatrzone we mnie, jej usta rozchylone, błysk drapieżnych zębów w półmroku. Nie ma smutku, pomyślałem, nie ma goryczy, nie ma marności i gonienia za wiatrem, skoro jesteś ty. Byłeś mnie znowu chciała. Jutro – pomyślałem z nadzieją. Jutro – pomyślałem z niepokojem.

Tym razem nogi mi nie drżały. Staliśmy w tym samym miejscu, a ja całowałem ją powoli, napawając się monologując w myśli. Moje dłonie błądziły po jej ciele, aż wreszcie, poprzez

grubą tkaninę sukni, wyczułem miękkie podłużne wgłębienie, popieściłem je czule i usłyszałem jak dziewczyna westchnęła, ogarnęło mnie wzruszenie, a zaraz potem wdzięczność, że się nie żachnęła, że przyjęła to tak naturalnie. Oderwała usta od moich ust, żeby złowić oddech, przez jej twarz przebiegł skurcz jak w cierpieniu, nie ukrywała rozkoszy, zasygnalizowała mi ją nawet, wydała spazmatyczny jęk i chwyciła moje wargi zębami, poczułem ich oszołamiającą twardość, ból był lekki, rozkoszny, poczułem gorąco jej policzków. Trwało to chwilkę, zawrotną wieczność – zanim odepchnęła mnie od siebie. Spojrzała na mnie – oczy miała zamglone – wyszeptała błagalnie:

– Wracajmy.

Siadła za biurkiem, ja stałem obok, podniosła na mnie spojrzenie i w nagłym odruchu ukryła twarz na mojej piersi. Jakby szukała pomocy. Pogładziłem ją czule po głowie. Powiedziałem szeptem:

– Luteńko, wiesz, że masz we mnie przyjaciela? – Nie rozumiała, skąd się to u mnie wzięło, więc dodałem: – Cokolwiek się stanie, pamiętaj.

Pokręciła bezradnie głową. „Fatalnie" – szepnęła. Wyjęła lusterko i grzebień z torebki. Policzki poczerwieniały, szrama nabiegła krwią, wargi miała obrzmiałe, nos też poczerwieniał i obrzmiał, targała go niezadowolona, ja patrzyłem na to wszystko z uwielbieniem.

– Fatalnie – powtórzyła czesząc się energicznie. – Cała popuchnięta.

A ja byłem zadowolony i powiedziałem to na głos:

– Wolę cię taką. (Wolę cię bardziej ziemską, materialną.) Z defektami jesteś mi bliższa.

– Dziękuję.

– Zbyt idealne piękno wzbudza podziw, ale i odtrąca.

– Lejesz wodę. Wojtek wcale nie uważa, że jestem ładna – i chyba ma rację. Przypomniałem sobie Grzegorza.

– Wczoraj pewien pan w moim wieku zwierzył mi się, ze tu pracuje jakaś pani Ludwika, która mogłaby się stać kobietą jego życia. Widocznie potrzebny jest mężczyzna ze stażem życiowym, żeby się na kobiecie naprawdę poznał.

– Jak on powiedział? – zainteresowała się.

– Oho, już chwyciło.

– Powtórz – rozkazała.

– Że mogłabyś być kobietą jego życia.

– Co to za pan?

– Jaka ciekawa! Znany pisarz.

– Mam nadzieję, że mu się nie zwierzałeś?

– Nie. Ale powściągliwość nie przyszła mi łatwo.

Siedziałem po drugiej stronie biurka. Przesunęła palcami po moich dłoniach, pogładziła moje ręce aż po łokcie. Potem ujęła moje dłonie i przycisnęła je do swoich policzków: były rozpalone. Moja twarz też płonęła. Gdyby ktoś teraz wszedł, nie miałby wątpliwości, że coś między nami się działo. Wyznałem:

– Bałem się dzisiejszego dnia.

– Dlaczego?

– Bałem się, że mnie odtrącisz.

– Powinnam była. Posunąłeś się za daleko. – Pogroziła palcem. – Są strefy zastrzeżone już tylko dla męża.

Pomyślałem sobie, że gdybym był mężem, byłbym równie zazdrosny o te szalone pocałunki, o całą sferę przeżyć psychicznych, równie, a może nawet bardziej niż o pieszczoty poprzez grubą suknię. Więc napierałem:

– Ale było ci dobrze, prawda?

– Dlaczego tak myślisz?

– Słyszałem jęk.

Wyjęła przybory do makijażu. Spojrzała z uwagą w lusterko.

– Chryste, jak ja wyglądam. Ty mnie wcale nie znasz – rzuciła nagle.

– Tak myślisz?

– Wcale nie wiesz, jaka ja jestem. Powiem ci, chociaż cię to może zdziwi: ja jestem cnotliwa panienka... Myślałeś, że mam jakieś burzliwe doświadczenia? To powiem ci coś, co cię może rozśmieszy: ja z mężczyzn znam tylko swojego męża.

Nie wiedziałem, po co mi to powiedziała – czy to miało mnie ośmielić, czy raczej pohamować. Odparłem, zresztą zgodnie z prawdą:

– Wcale nie myślałem inaczej. – Sama nie wiem, jak doszło do tego z tobą.

– Pokażę ci jak.

Przeszedłem na drugą stronę biurka, żeby powtórzy z nią wszystko to, co przedtem. Nie broniła się. Zdaje się, że tego powtórzenia chciała, że było ono i jej potrzebne – jakaś weryfikacja naszych przeżyć, potwierdzenie, że nam to odpowiada, że tego pragniemy. Wszystko, jak przedtem. Znowu zobaczyłem mgłę w jej oczach, a potem usłyszałem to samo westchnienie, od nadmiaru rozkoszy Wszystko się sprawdziło.

– Odejdź – poprosiła. – Ktoś może wpaść.

Znowu znalazłem się po drugiej stronie biurka. Oboje byliśmy zadręczeni.

– Dlaczegoś to zrobił? – spytała z wyrzutem.

– Jak to, nie wiesz? Przecież cię kocham.

– Od wczoraj...

– Od wielu, wielu miesięcy.

– Nie, to niemożliwe!

– Nie domyślałaś się tego?

– Więc byłam głucha i ślepa. (Dobrze się maskowałem – przebiegło mi przez myśl.) Chociaż raz coś we mnie się poruszyło; to wtedy, kiedy dziękując mi za coś – nie pamiętam, co to było – pocałowałeś mnie w głowę. Była przy tym pani Idalia.

– A ty powiedziałaś: „O, tak po ojcowsku."

– Tak powiedziałam? – Roześmiała się. – Pomyślałam sobie wtedy, że gdybyś mnie pocałował w usta, to to by było całkiem fajne. Łobuz jestem, co?

– Mój cudzie – szepnąłem.

– Ale nie myślałam, że to może być coś poważnego Może jednak nie jest?... – spytała, zdaje się, że z odrobiną nadziei w głosie.

– Jest. Sekundy nie spędzam bez myśli o tobie. Jesteś najważniejszą moją sprawą. – Wyrzucałem z siebie te słowa jak nagromadzony ładunek wybuchowy. Eksplodowałem uczuciem. – Wszystko inne – praca, ludzie, wydarzenia, rodzina – wszystko stało się dodatkiem. I przysięgam: pierwszy raz w życiu mnie to aż tak dotknęło. – Oczy mi zwilgotniały. Odwróciłem głowę. – Przepraszam cię – szepnąłem. Głos miałem zdławiony. – To fatalnie – usłyszałem. – Mam wyrzuty sumienia.

– Dlaczego?

– Bo to bez przyszłości.

To prawda, przyznałem w duchu. Ale nie mogłem pozwolić, by na tej konstatacji wszystko utknęło. Zaprzeczyłem gorąco:

– Nic się nie da przewidzieć, wierz mi, nic.

(Ale pewnych rzeczy i ty nie zmienisz. Istnieją prawa matematyki, biologii, rytmu życia i umierania – wszystko chcesz odwrócić, wszystkiemu zaprzeczyć.)

Powoli z jej twarzy odpływała krew, blizna zbladła, potem zaczęła znikać pod warstewką różu. Powiedziała, jakby do siebie:

– Muszę to przemyśleć.

– Och, nie rób tego! – zawołałem. – Każde przemyślenie musi być zwrócone przeciwko mnie. – Zareagowała śmiechem, a ja ciągnąłem: – Ja przecież wiem, że wszystko przemawia

na moją niekorzyść. Dopóki reagujesz spontanicznie („bezmyślnie” – wtrąciła), tak, bezmyślnie, dopóki tak jest, to ja jeszcze mam jakieś szanse.

Znowu pogładziła mi dłoń.

– Bez myślenia się nie obejdzie – powiedziała. – Będziemy mieli na to dużo czasu. Jutro idę na urlop.

Grom z jasnego nieba. Zapomniałem o urlopach. Niech piekło pochłonie urlopy, niedziele, weekendy, święta. Odgadła po mojej minie, co się we mnie dzieje, bo spytała:

– Chcesz zdjęcie?

Wyjęła z torebki małą fotografię: sztywna, czarno-biała panna, ze znieruchomiałym wyrazem twarzy, stała obok pnia brzozy. Nie była fotogeniczna.

– Daj – powiedziałem. – Ale to nie jest dobre zdjęcie.

– Popatrzysz na nie, to może się odkochasz. – Roześmiała się.

Zapytałem, obolały, całkiem serio:

– Mam się odkochać? Uśmiechnęła się.

– Nie.

Spytałem:

– Więc czego chcesz?

– Nie wiem. – Rozłożyła ręce. – Po prostu nie wiem. Sam powiedziałeś, że najlepiej nie myśleć.

– Skoczę po papierosy – zdecydowałem nagle. chyliłem się nad nią: – Będziesz tam palić moje papierosy.

Zrozumiała mnie, skinęła głowa.

– Idź.

Kiedy wróciłem, zastałem w pokoju kilka osób. Ona załatwiała znajomego mi dziwaka-ekonomistę, przy „moim” stoliku siedziała pani Idalia, a obok niej ten barczysty młodzieniec z obwisłymi blond wąsami, ten, z którym minąłem się wczoraj. Powiedziałem głośno „dzień dobry, pani Ludwiko”, jakbym dopiero teraz ją ujrzał, i zbliżyłem się do biurka. Pod pachą miałem karton papierosów mentolowych. Położyłem go ukradkiem na biurku, moja dziewczyna nie przerywając dialogu z ekonomistą przesłoniła go gazetą.

– Pan doktor sobie czegoś życzy? – spytała trochę nienaturalnie głośno.

– Chyba dzisiaj już nic, widzę, że pani zajęta. Przyjdę jutro.

– To już do mnie, kochanie – odezwała się z jadowitą słodyczą pani Idalia. – Nasza najśliczniejsza od jutra urlopuje.

– Bardzo się cieszę – na to ja (dla tamtych, nie dla niej) – nareszcie będzie tu można coś załatwić.

– No proszę! – zawołała ona (dla nich, nie dla mnie, gramy oboje). – Czarna niewdzięczność!

Dziwak-ekonomista wyszedł, a Ludwika podeszła do mnie i spytała cicho, żeby nie przeszkadzać obecnym (ściszenie głosu też było dla tamtych, gramy cały czas):

– Nic nie trzeba, panie doktorze?

Szepnąłem (już tylko dla niej):

– Spław tamtego faceta i pójdziemy na pożegnalną kawę.

Odszepnęła:

– Zwariowałeś... to mój mąż.

Psiakrew!... Zapomniałem: cudza żona. Chciałem wiedzieć: wszystko jedno, spław, ona zawołała:

– Wojtusiu, poznaj pana!

– Napisz – zdążyłem szepnąć.

Pokręciła odmownie głową. Mąż był tuż.

Przedstawiła nas sobie – uznałem, że rzeczywiście jest przystojny – i poczułem, że nie potrafię go nienawidzić. Nie potrafię, skoro jest jej mężem i ona go kocha. (Pewna cząstka tkliwości, jaką mam dla niej, przenosi się i na niego, jej własność, jak przenosi się i na biurko, przy którym ona siedzi.) Rozmawialiśmy przez chwilę z tym panem – o urlopie, oczywiście, jadą w góry, młoda szczęśliwa para – opowiedziałem parę anegdot zakopiańskich, trochę brylowałem, czując na sobie jej badawcze spojrzenie („słuchasz mnie uważnymi oczyma" – pomyślałem), odczułem, że ona jest po mojej stronie, kibicuje mi, liczy punkty, nawet trochę szachruje, żeby podnieść mnie w oczach tamtych – ona jedna była wrażliwa na to, co mówiłem, reagowała jak czuły instrument – także chyba po to, żeby podkreślić, jak dowcipne jest to, co powiedziałem. Pożegnałem się z nimi, już byłem przy drzwiach, kiedy poczułem, że nie wytrzymam, muszę jej to powiedzieć – trzydzieści jeden dni czekania! – Boże mój, co będzie za trzydzieści jeden dni? co zostanie w jej pamięci? – wróciłem więc do biurka, przy którym Ludwika przekazywała papiery pani Idalii, i powiedziałem tak cicho, że on, ten jej mąż, nie mógł siedząc przy stoliczku usłyszeć, a pani Idalia – mniejsza o nią, powinna być przygłucha, w tym wieku! – więc powiedziałem, z bólem w piersi, ginąc z tęsknoty, powiedziałem właśnie to:

– Zginę z tęsknoty.

Ginąłem w milczeniu. Ani słowa nikomu. Nie wolno: cudza żona, szczęśliwa mężatka! Milcz – przestrzegałem sam siebie – ludzie tego nigdy nie zaakceptują. Ale nie wiedziałem, co ze sobą robić. Przebudzenie: spojrzenie na zegarek, pół do siódmej, pobiegnę po ósmej tam, do ministerstwa, przyniosę jej różę, czerwoną, koniecznie czerwoną – i dopiero po chwili: ach, nie, przebudziłeś się do innej rzeczywistości, bez niej. Jest z mężem w górach. Będą łazić po skałach. Boże – modlę się, ja niewierzący – Boże, daj pewność jego dłoniom i stpom żeby służył jej za oparcie, daj ostrość jego spojrzeniu. Wyjmuję notes i pokrywam go zapiskami. Piszę do Ciebie. (Tu nieprzytomny wybuch uwielbieńczych wyznań. Moja pieśń nad pieśniami – rzecz wstydliwa, opuśćmy.) To cud, Luteńko, cud – piszę w zapamiętaniu, pocąc się z przejęcia (bo piszę do Ciebie, chociaż piszę dla siebie) – to cud, że człowiek może uwielbiać człowieka, że jeden drugiemu staje się aż tak potrzebny – cudem jest wzajemność, obustronne oddanie, cudem dlatego, że odbywa się to w świecie zasadniczo złym, w świecie rozpętanych nienawiści i okrucieństwa, gwałtu, morderstw i głodu. Notatka o sobie: „Zakochany jak szesnastolatek, z całym doświadczeniem pięćdziesięciolatka." Ale cóż tu znaczy doświadczenie? Może ono istnieć tylko w sprawach fizycznych. W uczuciu doświadczenie nie przydaje się na nic, zawsze jest się debiutantem. Jednakże zapisałem: „Miłość porywcza, namiętna, przepełniająca serce, ale która umie też stawiać sobie ograniczenia. Wie, co można osiągnąć, a co jest tylko marzeniem. Miłość, która goni za realnym – dostatecznie jednak fantastycznym, by świat się zakołysał."

W nocy nie mogłem zasnąć. Pod czaszką falował wciąż ten sam obraz: jesteśmy obok szafy, ona łowi oddech, przygląda mi się, chce coś powiedzieć, może odepchnąć, ale wyciąga dłonie, ja ją chwytam w objęcia, a jej usta szukają moich ust. Ja chcę szeptać, wyznawać, korzyć się – ona całuje w milczeniu. Wszystko zawiera się dla niej w tym wzajemnym przenikaniu miąższu i śliny, w rozkoszy (czy może tylko przyjemności) zmysłowej. Zapalam lampkę, sięgam po notes. Dlaczego mnie to niepokoi, ta jej niechęć do słów? – zastanawiam się. Wiem – odpowiadam sunąc długopisem po kartce – to dlatego, że ona to odczuwa inaczej niż ja. Słowa angażują umysł (nazwijmy to duszą), trudniej jest je wywołać niż czułość ramion i podniecenie ust. Może te jej pieszczoty nie oznaczają nic innego, tylko pragnienie pieszczot? A pocałunki – tylko chęć całowania? Więc ciesz się, że to ty jesteś – chwilowo – przedmiotem jej pragnień. Bo równie dobrze mogła cię odepchnąć.

Noc długa, pełna niepokoju. Wstaję z tapczanu, sięgam do szuflady, wyciągam zakonspirowaną fotografię. Wysoka, sztywna panna zastygła w tępym zapatrzeniu. Przymykam oczy:

widzę cię, twoje rozchylone usta, oczy powleczone uwodzicielskim blaskiem, słyszę twój głos: „Fa-tal-nie.” Potem: „Bez przyszłości.” Chowam zdjęcie rozżalony – ono nie ma nic wspólnego z nią prawdziwą, nic, czarno-białe oszczerstwo – wracam na tapczan, biorę Eklezjastę. „I znalazłem ją, kobietę bardziej gorzką niż śmierć. Serce jej sieć i sidło, a jej ręce jak pęta.” Och, nie, po trzykroć nie! Opętała mnie – to znaczy ja sam się opętałem, ja sam uczyniłem to, że sensem życia stała się ona – i nie ma w tym żadnej jej winy, tylko moja potrzeba, mój głód. Odkładam księgę, gaszę lampkę – mrok, Luteńka wypływa z mroku, obejmuje mnie czułymi ramionami, owiewa mnie jej gorący oddech – zapalam lampkę, znowu notuję. „Miłość skazana na klęskę. Cóż się tam może dziać w jej duszy? Zbliża się zapomnienie. Każdy upływający dzień – przeciw mnie.” Zapisałem to i zrozumiałem, że ten miesiąc będzie beznadziejnie długi, jeszcze trzydzieści dni – Chryste, jak to wytrzymać?

Warszawa bez niej jest wyludniona, głuche, wyciszone miasto, w którym głos ludzki rozlega się przytłumiony – ale nikt się na to nie skarży, nikt prócz mnie, zupełnie tego nie zauważają. Wszyscy do niej tęsknią, tylko nikt się nie przyznaje. Udają, że nic się nie stało. Chodzą normalnie do pracy, otwierają sklepy, kupują bułki i mleko – jak gdyby nigdy nic. Ale ja dobrze wiem, że jej wypatrują, czekają, niemożliwe, żeby było inaczej, żebym tylko ja jeden... Krążę po wypalonym mieście. Szukam jej śladów. Idę do kina, do którego ona chodziła, na film, który ona oglądała. Staram się, żeby jej osobowość we mnie wniknęła, żeby jej duch we mnie zamieszkał. Czytam ponownie książki Grzegorza, nie dlatego, że jest moim przyjacielem, ani dlatego, że dobry pisarz, ale dlatego, że kiedyś ona powiedziała, że go lubi. (Ale idzie mi opornie – właśnie dlatego – ogarniają mnie bluźniercze refleksje, mój niezależny umysł broni się przeciw takiemu despotyzmowi.) Być nią – skoro nie mogę być obok niej. Ginę w milczeniu.

Znalazłem w książce telefonicznej numer jej rodziców.

Zapisałem go tylko dlatego, żeby móc w notesie, pod literą „L”, wypisać to imię: LUTEŃKA. Zadzwonię do jej matki. Po co? – próbowałem sobie perswadować. Zadzwonię, powiem, że ma cudowną córkę, że ginę z tęsknoty, że ona powinna być z córki dumna, że jeśli czegoś ode mnie potrzebuje, to proszę, jestem do dyspozycji, że my tu wszyscy panią Ludwikę kochamy. Warszawa, powiem, opustoszała, bo wszyscy tęsknią za pani córką. (Milcz!) Wykręciłem ten numer, po dwóch dzwonkach odłożyłem słuchawkę. Serce waliło boleśnie, pobladłem pewno straszliwie, bo Krysia zapytała: „Tato, co ci jest?”

Gdybym wyznał prawdę – jak zareagowałaby? Zwariował, stary osioł! Na nic innego nie mogłem liczyć. Milcz nikt nie zechce się z tym pogodzić. Zwariowałeś, tak, miłość jest obłędem, Celtowie słusznie przypisywali ją czarom, oszołamiającym napojom, magicznym zaklęciom szczęśliwy obłęd, piękna choroba.

Stałem przed gmachem ministerstwa, w którym pracowała, i przyglądałem się wchodzącym. „Panowie, spokojnie – chciałem im powiedzieć – nie musicie się śpieszyć.” Stałem i myślałem tak: jestem tu nie po to, żeby ją spotkać, bo wiem, że jej nie ma, i nawet nie ze względów sentymentalnych, bo nie jestem fetyszystą, ale po to, żeby zweryfikować jej istnienie, żeby udowodnić sobie, że to wszystko nie jest wytworem mojej wyobraźni, to stało się tutaj, stało się naprawdę, moja dziewczyna pracowała w tym gmachu, w biurze dokumentacji, objąłem ją, uczyniłem to bez żadnej nadziei, a ona zaczęła mnie całować. Szedłem opustoszałą klatką schodową i wyludnionym korytarzem. Stanąłem przed znajomymi drzwiami – napis WCHODZIĆ BEZ PUKANIA, ale każdy puka, więc i ja też zapukałem – potem nacisnąłem klamkę. Pani Idalia uśmiechnęła się do mnie:

– Dzień dobry, Jureczku, z czym Bóg prowadzi ?

„Jureczku.” Przypomniała sobie wreszcie, że wypiliśmy kiedyś na ty. Luteńka przeszła ze mną na ty, ale na razie nie wymówiła jeszcze mojego imienia. Nagle mnie to uderzyło. Przypomniałem sobie bruderszaft z moim pułkownikiem, różnica wieku tak mnie przytłaczała, że nigdy właściwie nie mówiłem ty, czasem tylko: słuchaj, pułkowniku.

– Przyszedłem odwiedzić stare kąty – powiedziałem siadając. I miałem nadzieję, że ona domyśli się, w czym rzecz.

– To ładnie, że nie zapominasz. Chrząknąłem.

– Zawdzięczam tym kątom sporo dobrego.

Powiedziawszy to spociłem się. „Czy ty przypadkiem nie jesteś gadułą?" – pytała Ludka. Ale, ostatecznie, przecież i Idalka tęskni do tej, którą nazwała „naszą najśliczniejszą", wszyscy tęsknią.

– Ty przynajmniej umiesz być wdzięczny – powiedziała Idalka. – Inni korzystają, zawracają głowę i nie powiedzą nawet „pocałuj mnie w de".

Była przedwojenna i to dziarskie słowo, które opanowało współczesną polszczyznę, nie tak łatwo przechodziło jej przez usta. Zobaczyłem w kącie sporą stertę druków – i nagle zapragnąłem przenieść je tam, do drugiego pokoju, w ten cudowny półmrok obok szafy, w którym drga jeszcze nasz pocałunek.

– Mogę ci pomóc – zaofiarowałem się wskazując na druki.

– Daj spokój, przyjdzie goniec, to pomoże – nie jesteś już smarkaczem.

Podczas gdy dla wichrowatej babki koło trzydziestki byłem mężczyzną wciąż do rzeczy, siedemdziesięcioletnia Idalka chętnie równała mnie do siebie, mówiła: „w naszym wieku trzeba się oszczędzać". Wiedziałem, na czym to polega, przeniknąłem ten proces psychologiczny, ale mimo to poczułem się nieswojo, zupełnie jakby Luteńka mogła nas słyszeć, zaprotestowałem więc:

– Jeśli chcesz wiedzieć, to czuję się teraz lepiej niż przed pięcioma laty.

I to też była prawda.

Wziąłem te druki i zaniosłem do tamtej ciemnej wnęki. Stałem przez chwilę w głuchej, martwej pustce. Słyszałem tętno krwi w skroni. Idalka ma rację, pomyślałem, chyba mam nadciśnienie. Przymknąłem oczy, ale Luteńka się nie zjawiała. Moje wargi były suche, moje dłonie omdlałe. Wróciłem do pokoju. Idalka mi podziękowała, a ja stałem niezdecydowany, co robić dalej. Strasznie mi się chciało mówić o Ludce, ale nie wiedziałem, jak do tego doprowadzić. Odezwałem się:

– Smutno, co?

Nie podchwyciła tego. Nic nie rozumieją, nic absolutnie – myślałem bliski rozpaczy. Wobec tego spytałem wręcz:

– Od pani Ludki nie było wiadomości?

– Och, ona nie ma zwyczaju pisać.

– Ciekawe – brnąłem dalej – jaką ona tam ma pogodę.

– Chyba nie najgorszą. Mój siostrzeniec napisał do mnie, że łazi po górach.

Nie chciała się przyznać, że tęskni, i zacząłem podejrzewać, że może naprawdę nie tęskniła. Nie miałem tu już więcej nic do roboty. Podała mi dłoń, a ja, swoim zwyczajem, uścisnąłem ją bez ucałowania.

Stałem potem na przystanku przyglądając się, jak tramwaje zajeżdżają, hamują, rozsuwają drzwi, ludzie się z nich wysypują, ludzie się wtłaczają, drzwi się zasuwają, a potem tramwaj umyka w tamtą stronę, gdzie ona wyrosła, gdzie i teraz mieszka, codziennie chadza tamtymi ulicami, między uszczęśliwionymi ludźmi, między zakochanymi domami. Ci ludzie na przystankach tylko pozornie znosili obojętnie jej nieobecność, za to tramwaje mknące w tamtą stronę, ku zachodowi słońca, nie ukrywały już wcale swojej tęsknoty. Wcisnąłem się wraz z innymi do wagonu. Więc jadę do niej – pomyślałem zemocjonowany – w stronę rozkwitłych dziewcząt... Mój wzrok przesuwał się zachłannie po uciekających domach. Zobaczyłem dom towarowy „Wenecja", kiedyś była tu ślizgawka, welodrom, przychodziliśmy tu, my z Żytniej, żeby się pobić z tymi, którzy tu władali, biliśmy się do krwi. Stara warszawska dzielnica, coś autentycznego, nie te dzisiejsze pudła, bezduszne koszary. Samo życie. Ale czułem zarazem, że tonę w czymś niepochwytnym, jadę w samą głąb nostalgii, grzęznę w tęsknocie jak w trzę-

sawisku (Boże, ile jeszcze dni!). Te stare mury były jednak brzydkie, odrapane, a nade wszystko obce i ta obcość doprowadzała mnie do rozpaczy. Nic o niej nie wiem, nic z niej nie rozumiem – pomyślałem nagle – tyle wiem, że muszę koło niej być i że bez niej zginę. Byłem już bardzo daleko od swojego miasta, tramwaj wjechał między piętrowe budy, wzdłuż których ciągnęły się wąskie, okaleczałe i garbate chodniki, po obu stronach toru zieleniły się kępy traw. Zobaczyłem obok przystanku budkę telefoniczną z potłuczoną szybą i wysiadłem z tramwaju. Serce biło mi jak oszalałe, kiedy znowu wykręcałem numer telefonu jej matki. Przypomniałem sobie, że ta pani jest w moim wieku, może o rok-dwa starsza. Kilka sygnałów przebrzmiało bez efektu, już pomyślałem z nadzieją, że może nikt nie odbierze. Ale w końcu podjęto słuchawkę i usłyszałem głos tej pani:

– Słucham.

Nic nadzwyczajnego nie dźwięczało w tym głosie – chociaż to musiała być jej matka – wyobraziłem sobie niską korpulentną panią, zupełnie do Luteńki niepodobną, i nie wiedziałem, co powiedzieć. – Słucham – niecierpliwiono się po tamtej stronie drutu. Ja:

– Czy zastałem panią Ludwikę?

– Córki nie ma, jest na wczasach. A kto mówi? – zapytała ta pani, która już teraz na pewno była jej matką.

– Z biura – odpowiedziałem. – Z księgowości – dodałem.

– Czy coś ważnego? – zaniepokoiła się pani.

– Ach nic, jakaś pozycja jest do wyświetlenia, ale skoro nasza pani Ludka jest na wczasach, to załatwimy to po jej powrocie.

Pani powiedziała rozweselona:

– To dziwne, że państwo w biurze nie wiedzą, że córka ma urlop.

– Owszem, dziwne, ale ja sam dopiero co wróciłem z urlopu i widać minęliśmy się. Życzę córce pogody i szczęścia.

– Dziękuję.

– Moje nazwisko „Ślusarczyk" – dodałem nieoczekiwanie.

– Powtórzę. Do widzenia panu.

– Do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę spocony i wyszedłem z budki. Matka zaliczona, pomyślałem, okej. Teraz coś zjeść i wypić, ale zjeść i wypić tutaj, w pobliżu jej domu. Przeszedłem kilkadziesiąt kroków w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego i zobaczyłem nad wąskimi drzwiami szyld „Bar kawowy u Księżnej Pani". Zakląłem z podziwu: akurat coś dla mnie. Zajrzałem do środka: mordownia, niewątpliwie. Parę przysmaków wypisanych czerwonym tuszem na karcie stojącej na ladzie i kilka butelek gatunkowych wódek na półce. Stoliki zajęte przez chwiejących się mężczyzn. Jest i kobieta, tylko jedna, ale objętościowo za trzy, w spodniach, przez które przelewa się mięso. Nie, moja księżniczka tu nie zachodzi, ale to jednak pobliże jej domu, jej folklor – tutaj zjem i tutaj wypiję. Za ladą barczysta, niska bufetowa o mopsowatej twarzy i czarnej grzywce nad opuchłymi oczkami. Spytałem, czy to, co wypisano czerwonym tuszem, jest bliskie prawdy. „Co pan wybierze." Wybrałem pieczarki z patelni. I setkę węgierskiego brandy. Zaniosłem kieliszek do stolika, na pieczarki musiałem czekać. „Za twoje szczęście, księżniczko" – szepnąłem. Wychyliłem połowę brandy, rozgrzało mnie. Więc znowu jestem szczęśliwy. Siedzę „u Księżnej Pani" i myślę o tobie. Znowu o tobie, zawsze o tobie. Nie potrafisz skupić się na niczym innym? Nie potrafię. Wyjąłem notes i zapisałem: „Tak, to beznadziejne, wiem. Nie możesz mnie nikomu pokazać. Matce, rodzeństwu, kuzynom, dziadkom, przyjaciółkom – nikomu. Nikt mnie nie zaakceptuje – jako części twojego życia. Pani Idalka też nie. A musiałabyś mieć dużo siły wewnętrznej, dużo odporności psychicznej, żeby trwać przy kimś bez akceptacji otoczenia." Ale zarazem, pomyślałem, z tego samego powodu możesz się wszędzie ze mną pokazać: ponieważ nikomu nie przejdzie przez myśl, że to „.coś więcej". „Pieczarki!" – usłyszałem dyszkant od bufetu. Zabrałem talerz z

pływającymi w maśle pieczarkami, widelec i dwie kromki chleba. Wychyliłem resztę budafoku, już bez żadnych toastów. Wszystko było smaczne – tu, „u Księżnej Pani", świeże, gorące, niebujane, a ja wygłodniały jak wilk. Mopsiak za ladą przyglądał mi się z satysfakcją.

– Smakuje? – rzuciła od bufetu.

– Cudo.

– Nie każden się poznaje – powiedziała z uznaniem. – Ludzie lubieją ponarzekać.

Podniosłem palec do góry. Zrozumiała: jeszcze jednego. Podeszła z butelką i nalała mi do kieliszka.

– Zdrowie księżnej pani – powiedziałem cicho.

Uśmiechnęła się obnażając rzadkie, spróchniałe zębiska. Podziękowała i wróciła za ladę.

Twoje zdrowie, księżniczko proletariacka. Wróć cało za biurko. Wyjąłem notes, przekreśliłem dzień w kalendarzu, chociaż do wieczora było jeszcze sporo czasu. Wróć cało. Nagle zobaczyłem oszalałe z przerażenia oczy mojej dziewczyny, usłyszałem jej krzyk: obsuwała się po skale w dół, mąż krzyczał, wszyscy wokół krzyczeli. Potem zobaczyłem pogrzeb, kilkadziesiąt poszeptujących nad mogiłą osób, zobaczyłem wąską sosnową trumnę, opuszczano ją do grobu, korpulentna pani w żałobie spazmowała, mąż stał obok spokojny, jakby to nie on zawinił. Sosno, sosenko, nie uciekaj, nie zostawiaj mnie! Wszystkie głowy obróciły się w moją stronę: kto to jest ten nieznajomy z różą w ręku, który tak spazmatycznie szlocha?

– Co panu jest?

Bufetowa stała obok przypatrując mi się z troską, chociaż bez szczególnej sympatii. Oszalałem chyba – co za idiotyczna wyobraźnia...

– Nic takiego – mruknąłem.

– Powiedz pan co, lżej będzie. Żona rzuciła? To pies ją, wydrę, trącał. Albo zerwać, albo babę przetrzepać.

– Nie mam żony – powiedziałem. I była to podwójna nieprawda, bo i miałem żonę, i w sensie technicznym zostałem przez nią porzucony.

– No, gadaj pan, otwórz się, człowieku.

– Dziewczyna. Głowę mi zaprószyła, a ja coś sobie pomyślałem.

– Młoda?

– Młoda.

– To lepiej sobie ją wybić z głowy. Po co cierpieć?

Nie, pomyślałem po raz tysięczny, nie dogadasz się z ludźmi. Wszędzie ściana. Mądrość ludu! – myślałem z ironią, patrząc w jej opuchnięte oczka. Prostacka mądrość. Ale brandy we mnie szumiało, więc mówiłem, bo mówić musiałem:

– Wyjechała – ja tęsknię – i to wszystko. Wie pani, to nie było tak całkiem bez wzajemności.

– Może być, dlaczego nie, teraz te młode to lecą na fatałaszki, na forsę, a najprędzej na walutę. Stary, młody, każden ma z niemi możliwość, fakt. Trzaśnij pan sobie jeszcze jednego i zapomnij o niej, tak będzie najlepiej.

– Nie, wystarczy – powiedziałem stanowczo.

Nie potrafią uwolnić się od schematu, pomyślałem płacąc. Schemat i banał omotały ludzkie myślenie. Byle uprościć, byle sprowadzić do rozpoznawalnych znaków, do czegoś, co da się ogarnąć tępym pomyślunkiem, przymierzyć do oczywistości. „Ty – usłyszałem pijacki głos tej grubej facetki w spodniach. – Ja ci coś opowiem. Gość mówi do kobity: Pani szanowna to jest jak mercedes. – O, dziękuję za komplement; mercedes z powodu karoseria? – Nie, z powodu lekkie prowadzenie." Zarechotała i jeden z facetów też. Ten drugi bąknął: „Nie rozumiem." Wyszedłem na ulicę.

Wieczorem włączyłem telewizor, bo wiedziałem, że i ona teraz siedzi przed telewizorem. Napisano sporo o „wiosce globalnej", cały świat ogląda to samo, ale ja to odczuwam inaczej: że ja siedzę tu w Warszawie, w fotelu z lepszych czasów, a ona w tej chwili tam, w górach, w

pensjonacie, i oboje oglądamy to samo. Łączymy się we wspólnocie telewizyjnej, w komunii dziennika. Ale nawet pamięć o niej nie potrafi sprawić, żeby mnie ten spiker nie rozwścieczał. Boże, czy kiedyś to się skończy? Ale potem był film – radziecki, *Kalina czerwona* Szukszyna, Ludka to chyba ogląda – więc oglądamy to oboje, ja w fotelu, ona tam w górach – były więzień miota się na ekranie, wyciąga ręce do życia, człowiek z dna, jak ty, mówię do siebie, ty też jesteś stamtąd, z dna, zawsze z dołu, kobieta o ciepłych oczach pochyla się nad nim, bierze go w macierzyńskie objęcia, kocha, mówi to i wierzy się jej – „kocham cię", szepcze, albo mnie się zdaje, że szepcze, przytulona do krwawiącej piersi mężczyzny (trzeba krwawić, trzeba umrzeć, żeby z nich to wydrzeć, żeby one to poczuły – i w tej chwili chcę krwawić, chcę umierać, ale przedtem usłyszeć jej szept: „nie umieraj, kocham cię"), on kona zastrzelony, a ja cały jestem wzruszeniem, łzy napływają mi do gardła, płyną wewnątrz zmasakrowanej piersi – Boże, Boże, jak dobrze jest kochać, jak dobrze tęsknić, cierpieć i miejsca sobie nie móc znaleźć. „Tato – zapytała moja córka – co ci jest?"

Nie odpowiedziałem. Mógłbym opowiedzieć komuś (komu?) o swojej miłości skazanej na klęskę, ale przypomniałem sobie inne łzy i inny ból z powodu innej dziewczyny, z którą musiałem się rozstać – i ogarnęło mnie zniechęcenie. Poczucie deprecjacji. Tak, wszystko to już było. Lepiej tamtych spraw nie wspominać, bo cierpienie stanie się absurdalne. Nie, na litość boską! – zbuntowałem się. Tym razem to jest co innego, wiem dobrze, czuję to, tym razem po raz pierwszy jestem pięćdziesięciolatkiem. „Dziewczyna ostatniej szansy" – formułuję w myśli, tak, spóźniona miłość, „dziewczyna ostatniej szansy" – dobre na tytuł filmu. Uderzyła we mnie bez przygotowania. Miałem inne zadania przed sobą. „Tato, rób coś" – błagał mój syn. Stanęłaś między mną a moim zadaniem. Miałem swoje widzenie świata, swój żal dobrze umotywowany, gorycz, która mnie przepełniała i satysfakcjonowała (bo to tak jest, dziewczyno, gorycz może satysfakcjonować, jeszcze o tym nie wiesz i może nigdy się nie dowiesz) – i oto przychodzisz Ty, i odejmujesz mi to wszystko, pierzcha gdzieś mój światopogląd, przestaje pasjonować moje zadanie, pozbawiasz mnie twardego gruntu. Szczęście mnie zalewa, tęsknota mną kołysze, chodzę odurzony, bez poczucia stabilności, bez pewności drogi, po której kroczyłem. Co robić?

Dziesiąta wieczór. Ile godzin do świtu! Ile dni jeszcze do jej powrotu! Zadzwonił telefon. (Ona! Stęskniła się! Dzwoni, bo musi mnie usłyszeć! „Jureczku! – woła. – Jureczku, tak tęsknię!") Podniosłem słuchawkę, serce mi biło – pięć razy na dzień serce mi tak bije – chociaż wiem, że to absurd, że nic takiego nie może się stać.

– Pan Wilkot? Nie za późno?

To była moja klientka, pani Ester Bielawska.

– Och, wróciła pani, znakomicie. – Ucieszyłem się naprawdę. Ona wiedziała o Luteńce i o mnie. Będzie na nią wygadywać, nie szkodzi, ale jej będę mógł się zwierzyć ze swojej tęsknoty. – Robota idzie pełną parą – zalałem, chociaż nie za bardzo, bo brakło mi do końca nie więcej niż kilkanaście stron.

– To kiedy dostanę resztę? – spytała.

– Jutro, jeśli pani na tym zależy.

– Co znaczy, czy zależy? Pan przyjdzie do mnie jutro na kolację, na rybę po żydowsku, a ja będę miała dla pana pieniądze.

Po tej rozmowie zabrałem się do pracy. Lepiej coś robić niż tak miotać się w tęsknocie. Pisałem, ale to było dziwne pisanie, pisałem o miłości Estery do Lowki Bielawskiego, o tych wierszach do innej kobiety, których ona nauczyła się na pamięć, i czułem, że w jakiś tajemny sposób piszę o Luteńce, o mnie, o wszystkich zakochanych. Każda miłość mnie teraz wzruszała i w każdej uczestniczyłem. Krysia, która spała w pokoju obok, musiała coś niedobrego usłyszeć, bo pojawiła się w drzwiach i spytała:

– Tato, co się z tobą dzieje? Dlaczego jęczysz?

Cierpię, zrozumiałem. Cierpię z powodu klęski miłości Ester Bielawskiej do poety, który umarł z głodu, bo to moja miłość. Nie, powiem wprost, bez ozdobników: cierpię, bo jej tu nie ma, bo jest z tamtym, bo kiedy wróci po szczęśliwych wakacjach, pokaże mi drzwi – dlatego jęczę.

– Idź spać – powiedziałem – nic mi nie jest.

– Tato, oni cię prześladują, tak?

– Nie za bardzo. Można wytrzymać.

– Ale tobie coś jest. Tęsknisz za mamą? – spytała.

– Idź spać – ponagliłem. – To nie jest pora do rozmów.

– Powiedz jeszcze: „Nie garb się."

– Nie garb się.

Wstałem z krzesła, pogładziłem ją po jasnej głowie i pchnąłem leciutko w stronę drzwi. Nie mogę z nikim podzielić się swoim cierpieniem.

Z Grzegorzem także nie. Przyszedł w południe, kiedy ja dopiero się budziłem po całonocnej pracy. Postanowił wyciągnąć mnie na spacer. Szliśmy Alejami Ujazdowskimi w stronę Łazienek, lipy pachniały oszałamiająco. Mogłem mu powiedzieć, że dziewczyna z biura dokumentacji, która tak mu się podobała, jest jego wielbicielką – wspomniała mi o tym – ale wolałem to małodusznie przemilczeć. Gdyby chodziło o inną!...

– Stary – zagadnął – co się z tobą dzieje?

– Nic ciekawego.

– Leją cię?

– Średnio.

– Twoja Krycha jest zaniepokojona.

Zrozumiałem, że Krysia zatelefonowała do niego, żeby poskarżyć się przed nim na mój stan nerwowy.

– Sypnęła mnie, tak?

– Coś w tym rodzaju. Ale ja sam widzę, że wzrok masz błędny.

Szepnąłem:

– To przez tamtą. – Czułem ból w piersi. Mówienie nie przychodziło mi łatwo. – Wspomniałem ci, że ktoś jest, prawda?

– Ale nie myślałem, że to poważne.

– Cholernie – powiedziałem. – Cholernie poważne – powtórzyłem. Zatrzymałem się i wsparłem o żelazną kratę ogrodzenia. – Grzesiu – wyznałem głucho – ja szaleję. Zaprószyła mi głowę tak... – Urwałem, bo głos uwiązł mi w gardle, po chwili wykrztusiłem: – Nie mogę się pozbierać.

– Zazdroszczę ci – usłyszałem jego cichy głos. – Co ona robi?

– Pracuje w ministerstwie oświaty – podałem fałszywe dane. Mógłbym powiedzieć: „to ta dziewczyna, o której mówiłeś, że mogłaby być kobietą twojego życia". Ale wolałem nie uderzać. – W głowie mi się od niej mąci – wyznałem.

– Jak wygląda? – spytał.

– Wyższa ode mnie. Sosna – mówiłem. – Strzelista sosna. Sosna to jej drzewo.

– A włosy? – zagadnął znienacka.

Skłamałem od razu:

– Rude.

Chciałem o niej mówić, ale wystrzegałem się, żeby nie wpadł na jej trop. On powtórzył za mną:

– Rude. – Pokiwał głową. – Psiakość, zawsze miałem słabość do rudych dziewcząt.

„Ja nigdy" – pomyślałem.

– Masz u niej szanse? – usłyszałem pytanie.

– Zlituj się, jakie mogę mieć szanse? To młoda mężatka. I strasznie przejęta swoim małżeństwem. Nigdy go nie zdradziła. Ale mnie lubi, lubi, jak ją dotykam, jak ją całuję. To musi mi wystarczyć. I na Boga, wystarczy mi! Zresztą, nie o to chodzi. Po prostu, tęsknię tak, że miejsca nie mogę sobie znaleźć. Który dziś jest? Połowa lipca. Jeszcze dwa tygodnie do jej przyjazdu. Są w górach – co dzień razem. To dla mnie niebezpieczne, rozumiesz? Ona kocha góry i część tej czułości, jaką ma dla otoczenia, przeniesie, jak każda kobieta, na mężczyznę, który akurat jest obok niej. Grzesiu! – zawołałem porywczo. – Ja nie mam żadnych szans! Po co ja jej jestem potrzebny? Ona sobie to teraz wszystko przemyśli, dojdzie do wniosku, że to szaleństwo ta nasza bliskość – no po co to wszystko, bez przyszłości – i będzie miała po stokroć rację.

Usiedliśmy na ławce przed pomnikiem Chopina. Grzegorz pozwolił sobie zapalić mocnego papierosa.

– Upraszczasz – odezwał się.

Powiedział to, oczywiście, po to, żeby mnie podtrzymać na duchu, ale ja i tak byłem mu wdzięczny.

– To młody człowiek, ten jej mąż, prawda? Słuchaj, stary, nawet jeśli on ją grzmoci co noc, to i tak jest możliwość – na to wygląda, skoro ona lubi twoje pieszczoty – że jakichś jej potrzeb on nie zaspokaja. To takie pokolenie – kumple, koleżkowie, nie adoratorzy. To, co ona w tobie ceni – prócz osobowości, dotychczas jej nie znanej – to sposób, w jaki ją uwielbiasz. Stary, jeszcze tylko my umiemy kochać kobiety – one coś takiego jak twoja miłość znają wyłącznie z książek. Diabelnie są spragnione uczuć. Często mi ludzie mówią: „Niech pan coś napisze o miłości.” Mają na myśli nie turlanie się po pościeli, ale love-story. Wystarczy zatytułować książkę *Opowieść o miłości* i zapotrzebowanie na sto tysięcy nakładu murowane.

W ten sposób zeszliśmy na inny temat, na jego temat, byłem z tego zadowolony, nie chciałem więcej o Luteńce i nie chciałem słuchać tego, że chociaż tamten przysadzisty, szerokoplecy wąsacz „grzmoci ją co noc”, ja mam się z tego powodu nie przejmować, bo umiem uwielbiać. Do diabła z taką pociechą. Spytałem:

– Co u ciebie?

– Wyjeżdżam w nieznanym kierunku.

– A nagroda?

– Napisałem list, że mogę przyjąć nagrodę tylko z fundacji prywatnej albo od kolegów. Nie spodziewałem się tego po nim.

– Zrobiłeś tak?! – wykrzyknąłem.

– Słowo.

– Dostaniesz w kość.

– Najwyżej.

Był zadowolony, czułem to, bo zdecydował się wreszcie na swoje „nie”. Już nie pytał, jak popełnić samobójstwo. Teraz ma oparcie moralne – w swojej sekcie, tej małej, trochę fanatycznej grupie ludzi, która za nim stoi.

Wracaliśmy Alejami Ujazdowskimi w milczeniu. Myślałem: więc on tu rzuca wyzwanie, staje jak kogut czupurnie do boju, a ja mu zawracam głowę moimi amorami. Zatrzymaliśmy się przed pałacykiem kombatantów, za Piękną, kiedy odezwałem się:

– Przepraszam, że się wywnętrzyłem, masz większe zmartwienia.

Splunął – kurz uliczny zawadzał mu wyraźnie – i odpowiedział:

– To się jeszcze pokaże. – Pogroził mi palcem. – Łajdaku, to przez ciebie tak się zaperzyłem, przez te twoje gadki ostatnim razem. – Czekaj, ja mam dla ciebie coś jeszcze. Pamiętasz, pytałeś mnie o Bielawskiego. On przyjeżdża do Polski.

– Kto? Jak to? Który Bielawski?

– Nie ten poeta! Ten młody, ze sztabu powstania w getcie. Przyjeżdża na jakiś zjazd reumatologów.

– To znowu kto inny. Tamten był ekonomistą.

– Zgadza się. Medycynę skończył po wyjściu z izraelskiego wojska. I wrócił do starego nazwiska: Aronson, ale zhebraizował je, on jest teraz Ben-Aaron. Jeśli pani Ester chce, może się z nim zobaczyć, będzie mieszkał w Bristolu.

– A uważasz, że powinna się z nim zobaczyć?

– Nie wiem – odpowiedział. – Niech ona zdecyduje.

Zrozumiałem, że czeka mnie trudny wieczór. Pomyślałem sobie, że może lepiej nie uprzedzać wypadków. Niech pan profesor Ben-Aaron przyjedzie, wtedy będzie czas ich ze sobą zetknąć. Przyglądałem się pani Esterze, jak opowiadała z ożywieniem o swojej podróży, wyginając w gestykulacji dłonie o palcach pokrytych brylantami, jej mądre oczy młodniały, kiedy wykrzykiwała: Ach, to oni kochają jego wiersze! to oni ich kochają! „Je kochają" – poprawiałem w myśli, z odruchową pedanterią. Przyciskała mój maszynopis do płaskiej piersi, którą zdobiło kilka sznurów pereł. – Panie Wilkot – mówiła – pan jest mołodiec! Ja już czuję, że pan zrobił grandiozną robotę. Ja teraz nie chcę nawet do tego zaglądać. My musimy teraz zjeść, wypić i pobałakać jak starzy przyjaciele. Ale przede wszystkim, co się należy, to się należy.

Wypłaciła mi skrupulatnie resztę mojego honorarium, a potem popiliśmy sobie zdrowo pod rybkę po żydowsku jej roboty. Umiała całkiem nieźle chlapnąć. Najpierw pod mój genialny maszynopis („ja pana ufam na słowo"), potem pod rybę, którą wcale nie tak łatwo kupić, ale ona ma chody, „błat wysze sownarkoma" (kumoterstwo ponad radę ministrów – można przełożyć nieudolnie). Pan wie, mówiła, ja wtedy, przy Lowce poecie, wcale nie umiałam gotować, tylko kaszę i kartoszkę, same najprostsze potrawy – Lowka napisał wiersz filozoficzny o kaszy, pochwałę kaszy – i wie pan, gdzie ja się nauczyła robić taką rybę? Tutaj, w teatrze. Jak miałam zagrać żydowską kucharkę. Aktor wszystko potrafi, kiedy trzeba: pan widział może, jak Holoubek gra ekspedienta? jak on przewiązuje klientowi pudełko? Daj Boże każdemu kupcowi!... To wtedy, przy tej roli, to się pokazało, że ja mam talent do kuchni, większy niż do Lady Macbeth. To jest ryba, co?

– To jest ryba! To to jest ryba! – zachwycałem się.

– Chluśniem, bo uśniem. – Podniosła kieliszek z żytniówką. – Pan mi jeszcze nic nie powiedział o swojej damie.

– Bo nie jest moja.

– Ja mogę się założyć, że będzie,

– A ja chętnie przegram ten zakład.

Stuknęliśmy się. Za ciebie, Luteńko. Żebyś wróciła zdrowo z gór. Za sprawność tego barczystego pana w łażeniu po skałkach. Pani Estera podsunęła mi chrzan.

– Pan przynajmniej już się dowiedział, jak ona ma na imię?

– Mówiłem pani: Ludwika. Luteńka – dodałem, nie dla niej, dla siebie.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się:

– Pan, zdaje się, jest nieźle ugotowany.

– Całkowicie. Nie ma we mnie nic surowego.

Gdyby to była okupacja – pomyślałem– i gdyby dla ratowania jej życia trzeba było iść na śmierć, to wiem, że poszedłbym na śmierć. Bez wahania – pojąłem, zdumiony tym odkryciem. W tej chwili wydało mi się to tak oczywiste, że aż za łatwe, i pomyślałem sobie: więc to wcale nie było takie bohaterstwo – iść dla kogoś na śmierć, ja bym przecież dla niej poszedł, bez wahania, bez wahania, powtarzałem w myśli, przez upór czy z pewności, już dzisiaj nie pamiętam. Chociaż byłem podpity, nie zwierzyłem się z tej myśli pani Esterze, tylko sformułowałem to nieco inaczej, bardziej obiegowo:

– Czasem mi się zdaje, że mógłbym sobie dla niej podciąć żyły.

– A ona jak? Obojętna?

– Nie powie pani nikomu? – spytałem mrużąc oko.

– Na moje sumienie.

– Całowaliśmy się. – Dodałem zaraz: – Ale to wszystko.

I znowu plotłem o tym jej mężu i że Luteńka nigdy go nie zdradzi. Pani Estera wypiła kieliszek wódki, samotnie, całkiem o mnie zapomniała:

– Załamie się – powiedziała, jeszcze krzywiąc się po wódce.

– Nie, nie.

– Ja pana powtarzam: załamie się. Pan ma szarm, pan ma osobowość i pan jest uparty („orzech" – pomyślałem) i jak ona się z panem całowała, to to coś znaczy. Ona ma jakiś głód... Kim jest ten młody człowiek?

– Nie wiem.

– Nie wie pan! – roześmiała się. – Ładne rzeczy. To ona o nim tak mało mówi?... Załamie się – powtórzyła pani Estera.

Bodaj aniołowie przez ciebie mówili, pomyślałem.

– Pani zdrowie, pani Estero. – Głos mi trochę zadrżał. – Pani jest nadzwyczajna.

Spojrzała na mnie z uwagą.

– Panie Wilkot – powiedziała – pan dla niej oszalał. Ale ja wcale nie pójdę panu współczuć. Panu można tylko pogratulować. – Wstała od stołu i podeszła do kredensu. – I jej też – rzuciła stamtąd – Żeby taki ktoś jak pan tak stracił głowę, to kobieta może tylko zamarzyć. Ja coś dla tej pani mam. – Wyjęła z kredensu ozdobne pudełeczko i przyniosła do stołu. – To jest srebrny krzyż meksykański, popatrz pan, jaki łańcuch ciężki, też srebro, widzi pan, jaka robota. Mnie to tam podarowali, ale przecież ja nie mogę nosić krzyża – Ester Bielawska z krzyżykiem na piersiach, ładnie będę wyglądać, pan sobie wyobraża ten krzyk, jaki się podniesie – ale pańska dama może, ona jest katoliczka, dzięki Bogu.

Wzbraniałem się przyjąć, ona nalegała:

– Niech pan bierze, na moje sumienie. Gdybym nie była pewna, że to jest jakaś nadzwyczajna osoba, to wcale bym tego nie dała. – Powiedziała zniżając głos: – Nie musi się pan przyznać, że to ode mnie. To po pańskiej babce, która mogła być Meksykanką – dlaczego nie?

Skończone, biorę. Teraz należałoby jej powiedzieć o profesorze Ben-Aaronie. Ona we mnie chlebem, ja w nią kamieniem. Nie, pomyślałem, nie mogę, jeszcze nie teraz. Wsunąłem pudełeczko z krzyżykiem do kieszeni. Potem wypiliśmy jeszcze po jednym.

W domu obejrzałem raz jeszcze krzyżyk. Był piękny, ciężki, w środku tkwił jakiś ciemnozielony kamień. Może magiczny? Jeśli ten krzyż coś wskóra, pójdę do kościoła i padnę plackiem przed ołtarzem. Poczułem się śmieszny, spojrzałem do lustra, byłem blady i popuchnięty, oczy miałem czerwone, może z przepicia, ostatnio wychylałem więcej niż zazwyczaj. Koniec z piciem – postanowiłem z miejsca. Rozebrałem się, stanąłem przed lustrem, mój brzuch napełnił mnie odrazą. Patrz w lustro, szaleńcze, spojrzyj na siebie, z czym do młodej dziewczyny? (A przecież Tońka...) Z czym, do jasnej cholery, przecież to księżniczka, sosna strzelista, wyniosła, Diana łowczym, estetka, a ty – no, popatrz, jaki jesteś niepociągający. (Należy przeglądać się w krzywym zwierciadle – pomyślałem – to pouczające, bo tak właśnie widzą nas bliźni.) Przybliżyłem się do lustra, brzuch już był poza zasięgiem obrazu, rysy twarzy odzyskały proporcje. – Może nie wszystko stracone – szepnąłem. Jak sobie wypiję, to lubię gadać do siebie. – Koniec z żarciem – powiedziałem na głos.

Na śniadanie zjadłem suchą bułkę z ogórkiem małosolnym. Herbata bez cukru, ale zawsze pijam bez cukru. Nie miałem co robić w domu – maszynopis oddany, przydałaby się nowa klientka – poszedłem na długi spacer do Łazienek. Ludzie stali w kolejce do lodów. – Żadnych lodów! (Powiedziałem to na głos.) Było przyjemnie wyrzec się lodów. To jeszcze nie to, co pójść dla niej na śmierć, ale już coś. Zacząć trzeba od małych poświęceń. (Wyrzeczenie może sprawiać wiele satysfakcji – w życiu jednostki, tak samo jak w życiu całych społeczeństw. Trzeba tylko znaleźć właściwy moment i właściwe słowa.) – Telefonów nie było? –

spytałem potem w domu. Nie, żadnych. (A przecież mógłby być, mogłaby zadzwonić, zatęsknić – tak jak ja.) Zastrzegła się, że nie napisze, ale ja mimo to spytałem o listy. Nie, nie było. Niedobrze, pomyślałem, jednak nie tęskni... Sosno, sosno ukochana, pomyśl o mnie czasem, ulituj się. Odmówiłem zupy, drugie danie wziąłem sobie na małym talerzu, bez chleba. Krysia, nadąsana, nie wytrzymała w końcu, zrobiła mi awanturę. Gorsza niż żona, psiakrew. Przemilczałem. Poszedłem znowu do tego kina, do którego ona chadzała, a potem czytałem książkę Iris Murdoch, Skromna Róża czy jakoś tak, bo ona to czytała i podobało jej się, i chciałem, żeby i mnie się podobało, ale nie dało rady, nie podobało mi się. Jej zdjęcie: nie, nie mogło mi jej przybliżyć, twarz zesztywniała, spojrzenie tępe – kto to jest, na Boga? – nagle uświadomiłem sobie: zasuszona stara panna, konwencjonalna, oschła klucznica. Horrendalne kłamstwo! Potem przymknąłem oczy – i poczułem miąższ jej warg na moich ustach, usłyszałem westchnienie niby tłumiony jęk, szepnąłem: „Luteńko, sosno uwielbiana" – ale nikt mi nie odpowiedział. Zdechnę z tęsknoty. Jemirycz był już po operacji, usunięto mu narośle, teraz go napromieniowywano, chociaż lekarze twierdzili, że nic złośliwego. Kupiłem kilo czereśni, tom opowiadań Lema i pojechałem do szpitala na Lindleya, odwiedzić go. Był w pokoju dwuosobowym, ten drugi chory leżał w piżamie na łóżku, odwrócony twarzą do ściany. Słyszałem jego chrapanie – mówiłem cicho, żeby go nie obudzić – ale potem on odwrócił się, popatrzył na mnie, a chrapanie wciąż trwało i wtedy zrozumiałem, że on tak oddycha, przez jakąś dziurę w krtani. Gardło mnie natychmiast rozbolało. Jemirycz zauważył, że ze mną coś jest nie w porządku – rozmawialiśmy o czereśniach (że trzeba umyć), o Lemie (że drobny druk, on nie będzie mógł czytać), a ja nie spuszczałem wzroku z tamtego, który przyglądał mi się znieruchomiałymi oczyma (pamiętam zimną niebieskość tęczówki), słuchał uważnie (bo przeszedłem naraz na sytuację polityczną) – i chrapał. Jemirycz założył czarną, wytłuszczoną marynarkę na piżamę i wyprowadził mnie na dziedziniec. Usiedliśmy na ławce pod lipą, on opowiadał o napromieniowywaniu – miał na szyi naznaczone fioletem trzy krzyżyki – a ja chrząkałem, bo mnie w krtani piekło. Więcej tu nie przyjdę, pomyślałem.

On, Jemirycz, ten grubas, astmatyk, alergik, lekoman, był dzielniejszy ode mnie. Łaził po szpitalach, odwiedzał chorych, niewidomych, sparaliżowanych, zaropiałych, nie bał się ludzkiej nędzy. Podczas gdy ja (chociaż, żeby ją ratować, poszedłbym na śmierć) – jestem zdrów, mimo iż znerwicowany, fizycznie zdrów i cudze cierpiące ciało budzi we mnie lęk. Wyjąłem z kieszeni krzyż meksykański.

– Wiesz, co to jest? – spytałem. Obejrzał uważnie.

– Z Meksyku? – zaryzykował.

– Zgadłeś.

– Piękna rzecz.

– To dla niej.

– Dla kogo? – spytał.

Nie domyślił się. Dobrze, opowiem.

– Janku, opowiedziałeś mi o swojej pierwszej miłości. Ja ci opowiem o mojej ostatniej.

To wcale nie było takie łatwe. Chociaż nie musiałem aż tak kłamać jak przy Grzegorzu: ani że jest ruda, ani że pracuje w ministerstwie oświaty. Słuchał mnie z uwagą, potem odezwał się:

– Użyłeś pewnego słowa, które już dawno mnie intryguje.

– Jakiego?

– Orgazm. Co to właściwie jest? (Stłumiłem uśmiech.) Czy to coś w rodzaju polucji? Westchnąłem ciężko:

– Tak, mniej więcej.

Nie do wiary, pomyślałem. Jak on się uchował! Spytał mnie, czy dobrze mnie zrozumiał, że i kobiety miewają orgazm. Bo jeśli tak, to jak on się objawia, skoro nie mają wytrysku. Dobierałem słów ostrożnie, żeby zbyt brutalnie nie naruszyć tej delikatnej osłony, jaką sobie

utkał wokół tych spraw. Mój dziwaczny bohater, pomyślałem. On spytał mnie o moją sytuację materialną – nie od razu zrozumiałem, dlaczego. Walczę o byt, powiedziałem, i jakoś tam leci. Nie potrzebuję kilkuset złotych? Nie, nie potrzebuję. A jakie mam warunki mieszkaniowe? Mieszkam z córką i synem.

W takim razie potrzebny ci jest klucz – powiedział.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął wiązkę kluczy i odczepił jeden.

– Do mojego mieszkania – wyjaśnił.

Stanęło mi ono przed oczyma: sterty książek, góra pościeli, kurz, zacieki, cień od załomu muru za oknem, zapach pleśni. Trzymałem ten klucz niezdecydowany, co z nim zrobić, ale pewny, że jej tam nigdy nie przyprowadzę.

– Bierz – namawiał. – Mój współlokator opuścił mnie. A ja tu pobędę jeszcze trzy tygodnie, potem jadę do sanatorium. Wszystko do twojej dyspozycji.

Teraz miałem dla niej w jednej kieszeni krzyżyk, a w drugiej klucz.

– Nie myślałem, że jesteś taki tolerancyjny – odezwałem się.

– Dlaczego nie myślałeś?

– To przecież mężatka. Cudza żona. – Wydało mi się, że w tym pojęciu „cudza żona" mieści się więcej zarówno grzechu, jak i niedostępności.

Powiedział swoim zdartym głosem:

– Cóż jeden człowiek może wiedzieć o pobudkach drugiego...

Mówił ledwie słyszalnie, tak że mogłem coś pomylić. Przypomniałem cicho:

– Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni...

– Powiedziałeś: „ostatnia miłość" – zaskrzypiał. – Może ona jest równie ważna jak pierwsza.

– Może to nawet silniejsze – powiedziałem.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Myślał o czymś, co było wiadome tylko jemu.

Miałem klucz, miałem krzyżyk, miałem fotografię. Szykowałem się do jej powrotu. Mówiłem sobie: pamiętaj, nie maż się, nie rób smutnych min, nie kórz się. Ona ceni w tobie wigor, sceptycyzm, ironię, sposób myślenia, twoje znaczenie, ale przede wszystkim łatwość i bezpośredniość, z jaką z tobą obcuje. Więc odgrywaj takiego: człowieka bez kompleksów, bez strony ciemnej, ukrytej, pełnego animuszu, planów, fantazji. Odgrywaj, odgrywaj – ukryj swoje smutki i rozpacze, i niepowodzenia. Troski postarzają. Troski pozbawiają wdzięku. Może i mam „charme", jak twierdzi pani Estera, ale na pewno nie przed godziną dziesiątą rano. Dla starszego pana, we współżyciu z młodą dziewczyną, najtrudniejsze są poranki. Zanim się rozczmucha, ogoli szarą szczecinę, odświeży oddech, napije czegoś gorącego – powinien jej unikać. Podczas gdy one rankiem wyciągają do nas ramiona, budzą się do pieszczot, do ciepła i rozkoszy. Więc unikać jaskrawego światła, przemykać się bokiem, grać, wciąż grać.

Zapisałem to wszystko w notesie. Bo pisać o niej – to być koło niej. Jeszcze raz napiszę o tym, jak ją całuję (a kolana mi drżą). Opiszę jej twarz, która nagle staje się napięta, bliska ekstazie: rozchylenie spuchniętych warg, błysk białych zębów. Pisanie mnie podnieca, doznaję bolesnej erekcji. Ale wiem także, że próba opisu wszystko banalizuje. Jest podniecająca tylko dla piszącego – ten, kto to odczytuje, nie dzieląc tych samych emocji, wzrusza tylko ramionami: ależ nudzi. Opis dziewczyny pełnej uroku składa się z kresek dawno użytych, wyświechtanych. Ty się podniecasz, a czytający myśli: plagiuje, ględzi, wszystko to już skądś znam. Przepisałem z *Archetypów i symboli* Junga: „Język miłości odznacza się zdumiewającą monotonią i posługuje się popularnymi formami z największym oddaniem i wiernością, co oboje posługujących się nim stawia znowu w banalnej, kolektywnej sytuacji. Żywią oni jednak złudne przekonanie, że stosunek ich ma charakter całkowicie niepowtarzalny." I mają rację, myślę, tak, to oni mają rację, a nie pan profesor – wszystko jest niepowtarzalne, choć pełne analogii – a profesor, który dąży do zbudowania reguł, do zamknięcia wszystkiego w

prawa, nie chce tego zrozumieć. Zadzwonić do Grzegorza, zapytać: jak przekazać czytelnikowi zafascynowanie kobietą, żeby je przyjął i – co ważniejsze – podzielił? Trzeba chyba odwołać się do jego własnych doświadczeń. Czyli posłużyć się jednak czymś, co już było. Zapisałem: „Nie muszę cię bawić, mogę leżeć u twoich stóp jak pies, takie nieruchawe, włochate cielsko, patrzeć ci w oczy – i warczeć na każdego, kto zechce się zbliżyć."

Stwierdziłem jednak uczciwie, sam wobec siebie, że już nie ginę z tęsknoty, że jeśli tęsknię, to tępo, bez emocji. Wiem, że świat wokół mnie opustoszał, ale to mi nie przeszkadza czytać, rozumować i nawet śmiać się, tak, śmiać się też! Zjadam na śniadanie suchą bułkę z ogórkiem, gardzę rozkoszami żołądka i myślę spokojnie: to dla niej. Sportowa satysfakcja wyrzeczeń, taka, jaką czuje zawodnik odrabiający codziennie forsowny trening, zwiększający z dnia na dzień dawkę, pokonujący ból i zmęczenie – ponieważ ma wytknięty cel: medal olimpijski. Podobnie i ja. Sprawdzam na pasku: znowu o jedną dziurkę mniej.

Fotografia stała się dywersją: ta zasuszona panna coraz bardziej wypiera z pamięci tę, którą fotografia miała wywołać. Przymykam oczy, chcę zobaczyć prawdziwą Luteńkę, ale widzę tę z fotografii – wiem, że to nie ta, ale za to jaka natrętna. „Oddala się" – zacząłem podejrzewać niespokojnie. Pewnej nocy zasnąłem rozmyślając nie o niej, tylko obliczając stan kasy. (Za trzy miesiące będę bez grosza). Pierwsza noc bez mojej dziewczyny! Jeszcze miesiąc nie minął, a ja już ją opuściłem (chociaż w istocie to tylko mnie opuściło jej widmo – ale cóż to właściwie za różnica). Potem nastała druga taka noc i jeszcze następna. Coraz trudniej przywołać mi jej obraz. Widzę jej rysy, ale każdy z osobna: oto zęby błyskają, oto oczy się przymykają, blizna pod uchem napływa krwią, widzę krótkie szybkie ruchy, jakimi rozczesuje włosy, widzę jej palce ze złotą obrączką, złoty medalik na szyi, wycięcie w sukni koloru poziomkowego – wszystko to widzę, tylko jej nie mogę zobaczyć. Może to jakieś zmęczenie? Tak, zmęczenie tęsknotą! Nie można wytrzymać tego nieustannego napięcia, poddajemy się, trzeba wreszcie wytchnąć – obraz ukochanej osoby się zaciera. To niepokojące, owo spustoszenie, które w myślach i uczuciach czyni Czas. Bo może to już nie ten sam ja? Kto inny był porażony uczuciem – kto inny teraz wspomina... Może wraz z wymianą biologiczną komórek zmieniło się coś i we mnie? Pouczą mnie, że „struktura" została nie naruszona. Ale może zabarwienie komórek się zmieniło? Pamięć tych nowych, obecnych – pamięć o niej – jest już pamięcią przekazaną, a więc z drugiej ręki, odziedziczoną, a nie pierwotną.

Zapisałem to, bo chociaż hipoteza wybitnie nienaukowa, lecz interesująca psychologicznie. Potem pomyślałem sobie – już bardziej przyziemnie i trochę we własnej obronie – że istnieje inny czynnik tego znużenia tęsknotą, bardziej racjonalny: a to ten, że naszych wspólnych chwil było tak mało. Były tak ulotne, bezcielesne niemal, że właściwie brak punktów zaczepienia dla pamięci. Te, które są, przez ciągłe odtwarzanie wytarły się. Wyobraźnia się nimi znużyła. I tak mało o niej wiem – do tak niewielu szczegółów mogę się odwołać! Nie znam jej ciała, nie spędziłem z nią nawet godziny na osobności. Jedna noc (wspólna kolacja, wspólny sen, przebudzenie i ranek) dałaby pamięci więcej materiału. Zapełniłaby te dni, które zostają do jej powrotu.

Ujrzałem ją nagle, z bolesną wyrazistością, w przeddzień jej przyjazdu. Stała za swoim biurkiem wyciągając ku mnie ręce. „Jutro" – szepnąłem. Czułem zawrót głowy. „Jutro" – powtórzyłem pełen nadziei. Byłem prawie dumny z siebie, trzydzieści jeden dni odepchniętych, przemęczonych – nie oszalałem (a powinienem był), nie zdziwaczałem, jestem w formie, umysłowej i fizycznej (zrzuciłem sześć kilo) – trzydzieści jeden tak trudnych dni, że prawie niemożliwych do przebrnięcia. Zrozumiałem, dlaczego w połowie tego okresu jej obraz się zatarł, a tęsknota stępiała: bo to już było ponad wytrzymałość organizmu, był to akt samoobrony. Coś niby sen zimowy uczucia. Ale oto wiosna – przebudzenie – jutro, jutro, jutro – i znowu cię widzę, znowu jesteś tak blisko, że mógłbym dotknąć ciepła twojej szyi.

Wszystkie szalone pomysły obiegły mnie raz jeszcze. Pokusa, żeby iść do biura i porozmawiać z Idalią. Pokusa, żeby zadzwonić do matki („pani ma cudowną córkę, uwielbiam ją").

Do mordowni U KSIĘŻNEJ PANI. Nie szalej – to już jutro. (Przygotuj się na najgorsze. Przygotuj się na miażdżący cios. Pamiętaj, że nic dla niej nie znaczysz. To był kaprys. Lekki jak muśnięcie trawy pociąg fizyczny, zabawa w drażniący dotyk, w przyjemność pocałunku. Teraz koniec, przemyślała to sobie.)

Lustro było moim wrogiem. Tak, koniec – myślałem, mimo że starałem się, żeby otaczał je półmrok – nie ma nadziei. Zadzwoniłem do Estery Bielawskiej.

– Przeczytała pani do końca?

– Czy ja czytałam? Panie Wilkot, ja tego umiem na pamięć. Jak ja doszłam do tego miejsca, jak my się z nim kochali, to ja zapomniałam, że to jest moja historia i Lowki, ja się załawiłam i ja wiem dlaczego. Pan pisał o tej swojej damie... Czy już wróciła?

– Jutro.

– To pan jest bardzo podenerwowany.

– Jestem pełen najgorszych przeczuć.

– Dlaczego zaraz najgorszych?

– Pani Estero, ja mogę być maniak na jej punkcie, ale myśleć to ja jeszcze umiem (mimowiednie wpadałem w jej styl), i to myśleć kategoriami bodźców, ekonomicznych i wszelkich innych, i ja nie widzę niczego, co by przemawiało na moją korzyść.

– Za iskluczenijem jednej rzeczy: tej, że pan ją szaleńczo kocha.

– Czy to jest argument? – wyraziłem wątpliwość.

– Czasem tak. Czasem może w człowieku być taka potrzeba. To ja będę teraz prorokini Deborah – pan wie, to ta, co śpiewała na górze Tabor – i ja panu powtórzę raz jeszcze to, co ja już mówiła: załamie się. Ona się załamie – powtórzyła.

Po to dzwoniłem, pomyślałem odkładając słuchawkę. Żeby to usłyszeć. I ona, ta doświadczona stara Żydówka, ona to zrozumiała – dodałem w myśli po chwili. Spełniła swoją rolę, fałszywa prorokini, która sama ugania się za cieniem nie istniejącego człowieka. Zobaczymy jutro. Przygotuj się na najgorsze.

Na kolacji mieliśmy gościa: Zbyszek przyprowadził postawną, czarnowłosą dziewczynę, kędzierzawą i o ciemnych oczach, i powiedział:

– Tato, to ona.

Znałem ją, tę Joasię, i dlatego nie zdziwiła mnie sześcioramienna gwiazda Dawida na jej bluzce. Ale swoją drogą, taka ostentacja. Ona się uśmiechała, dumna z siebie. Nie była Żydówką.

Należała do tych młodych ludzi, którzy – czy to w poczuciu niejasnej ekspiacji, czy żeby jakoś ubarwić osobowość – b a w i ą s i ę w Żydów. Wymyślają sobie „pochodzenie", babcie uwiedzione przez czarnookich arendarzy, romanse dziadków, tajemnice gorącokrwistych prababek. Wtedy coś sekretnego płynie w ich żyłach, mistyczny fluid biblijny przenika do ich myślenia, czują się wywyższeni, wyodrębnieni przez więź z narodem wybranym. Daje im to też poczucie, że są postaciami z dramatu. Wielu zbiera „judaica", jak zbiera się co prawda rzadkie znaczki pocztowe, ale zawsze ma to zabarwienie mistyczne, pamiątki po narodzie wytraconym, już legendarnym, po jakichś Jadźwingach, którzy tu żyli (w tych murach, nad tą samą rzeką), ale Jadźwingach, którzy weszli głęboko w nasze sprawy, pomieszali się z krwią naszą („pan wie, moja babka..."), wycisnęli ślad w naszej kulturze, napisali wiersze, które kochamy i którymi kochamy.

Nikt, kogo znam, nie zaszedł w tym tak daleko jak Joasia: od razu na wstępie oświadczyła, że wkrótce zmieni imię na „Hadassa". Najpierw wmówiła ojcu – dyrygentowi z Wilna, i matce – góralce, że są Żydami. Matka brała udział w konspiracji, ukrywała Żydów, potem była w obozie, więc specjalnie się nie broniła. Ojciec początkowo przestraszył się, ale wkrótce się uspokoił, przestał się z Joasią sprzeczać, niech sobie wariuje. „Bo ja jestem szajbnięta" – przyznała mi z uśmiechem. Jest bardzo konsekwentna i nawet nieustępliwa w judaizowaniu, a równocześnie zdaje sobie sprawę z maniakalności swojej postawy. Wariactwo, które stało się

treścią życia. Ona może wyjść tylko za Żyda i to był główny powód, dla którego zarzuciła sieci na mojego bezbronnego syna. (Chociaż taki tam z niego Żyd!...) Oboje wyemigrują do Izraela, czekają tylko na dokumenty podróży (paszportów nie dają, tylko taki świstek, że się wyjeżdża na zawsze).

– Niech będzie, że uwiodłam go z premedytacją – powiedziała z uśmiechem. – A czy nie jest śliczny? – Wczepiła dłonie w gęstwinę czarnych włosów mojego syna, ma je po matce. – Ale nawet gdyby nie był taki przystojny i tak bym się od niego nie odczepiła.

Powiedziałem na głos to, co sobie przedtem pomyślałem:

– Ale jaki tam z niego Żyd!...

– Co pan mówi? Przecież matka... Według naszego prawa, religia matki jest decydująca.

„Naszego" – to znaczy żydowskiego. Szajbnięta. W jednej kieszeni miałem krzyżyk, w drugiej kluczyk. Jutro. Ale nie od rana. Powiedzmy, po dziesiątej.

– Matka jest renegatką – mruknąłem.

– Nie szkodzi, Zbyszek będzie prawidłowym Żydem. Trzeba go tylko obrzezać. – Uśmiechnęła się. – Niech się pan nie boi, to dodaje mężczyźnie tylko uroku. – Znowu wczepiła palce w czuprynę mojego Zbyszka.

Jutro. Kupię jej kwiaty. Różę. W szafie leżała paczka z sukienką dla niej – odrzut z eksportu. Dotknąłem krzyżyka w kieszeni. Pamiętaj, nie przed dziesiątą rano. Mój syn i jego dziewczyna jedli swoją kolację, a ja swoją: kawałek chleba z plasterkiem boczku. Joasia spojrzała na mnie ze zgorszeniem.

– Panie Jerzy – odezwała się szeroko otwierając oczy – pan je wieprzowinę?!

Zdaje się, że się jednak zgrywała, w przyciśnięciu pedału wyczuwałem odcień autoironii. Odpowiedziałem lekko:

– Przecież nie jestem Żydem...

– To co z tego? – Wyczułem znajomy akcent Estery Bielawskiej. Zgrywała się! W swoim wariactwie miała poczucie humoru (o n i wszyscy je mają – pomyślałem nagle – i ona już jest i c h), ten zmysł komizmu ratował sprawę. – Pan mógłby być Żydem. Pan się bardzo nadaje.

Gdyby ona zażądała... – pomyślałem. Joasia dalej perorowała: jak się ma okazję zostać Żydem, to nie należy tego przepuścić... Za to się płaci, ale po co od razu czcić życie ułatwione? Talmud powiada: kto uczynił cztery kroki na Ziemi Świętej, ma zapewniony wieczny żywot; kto tam mieszka, jest bez grzechu; a słowo tam wypowiedziane ma znaczenie Pięcioksiągu. Taki kult ziemi ojczystej!... Oczywiście, jest problem dostępu do miejsc świętych – ale ja bym to załatwiła w ciągu godziny. Słuchałem dziewczyny pełen podziwu dla jej zapału i dla tej niepojętej identyfikacji, do jakiej można się doprowadzić. Przyjęła na siebie wszystko, łącznie z całym dramatem. Jutro, pomyślałem. Jutro otrzymam cios. (Ale ją ujrzę!) Przyglądałem się mojemu synowi, który za kilka tygodni opuści kraj – może się już nigdy nie zobaczymy – wyjedzie z tą stukniętą dziewczyną, skądinąd pełną uroku – przyglądałem mu się z nieczystym sumieniem. Nie potrafiłem niczym się przejąć. „Rób coś." Prawie nic nie robiłem. Dotknąłem krzyżyka, pomacałem klucz. Jest tylko to: jutro.

Miałem czerwoną różę, kiedy szedłem do niej, a w kieszeni, prócz klucza i pudełka z krzyżykiem, także paczkę astorów. Było pół do jedenastej. Szedłem, po bezsennej nocy, bez specjalnej radości, dominującym uczuciem był lęk, przeczucie porażki. Spojrzałem na tabliczkę WCHODZIĆ BEZ PUKANIA, jak zwykle odruchowo zapukałem, potem nacisnąłem klamkę. Była, owszem – choć nie od razu ją poznałem: miała na sobie biały sweterek, nie znany mi, i na jego tle opalenizna twarzy odcinała się tak mocno, tak zdrowo, że aż wyzywająco. Stała bokiem do mnie, rozmawiała z panią Idalią, nie przerwała rozmowy, kiwnęła mi tylko głową, co mogłem przyjąć za akt konspiracji. Zdawało mi się, co prawda, że twarz pod opalenizną jakby przybladła. Podałem jej owinięty w papier kwiat i powiedziałem: – Dla pani, z okazji szczęśliwego zjazdu z gór. – Wzięła różę, rozwinęła z papieru, powiedziała: „o, jaka piękna",

raczej zdawkowo, i umieściła ją w butelce po winie podczas gdy ja mówiłem: – Może pani mnie nie pamięta to mogę się przedstawić.

Stałem przed nią chudszy o sześć kilo, ze zwężonymi portkami, dumny z tego jak z pierwszego miejsca w biegu na przełaj. Spytałem:

– Czy dostrzega pani we mnie jakąś zmianę?

Pani Idalka podniosła na mnie oczy, ale nie powiedziała nic. Ludwika spojrzała na mnie badawczo, usiłując odgadnąć, co się we mnie zmieniło, i wreszcie powiedziała:

– Coś we fryzurze. Ostrzygł się pan.

Zgarnęła plik jakichś kwitów i wyszła z pokoju. Długo nie wracała. Wyjąłem przeznaczoną dla niej paczkę papierosów, otworzyłem ją i zapaliłem jednego. Niedobrze, pomyślałem patrząc na zegar, unika mnie. Wyszedłem na korytarz,

Zobaczyłem ją przez uchylone drzwi jednego z następnych pokoi, siedząc rozmawiała z koleżanką. Nie tęskniła do mnie, domyśliłem się, i nic nie rozumiała i rozumieć nie chciała z tego, co się we mnie dzieje. Odwróciła nagle głowę w stronę korytarza i zobaczyła mnie. Zdaje się, że jednak drgnęła. Wstała zdecydowanym ruchem z krzesła i wyszedłszy do mnie zamknęła za sobą drzwi do tamtego pokoju. Dotknąłem jej ramienia, umknęła spojrzeniem gdzieś na stronę.

– Słuchaj – powiedziałem – czy między nami jest tak, jak było?

– Nie – odpowiedziała stanowczo. Zabrałem dłoń z jej ramienia. Westchnąłem:

– Przemyślałaś sobie?

– Tak. – Pokiwała kilkakrotnie głową. – Tak.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że jak zaczniesz się zastanawiać, wszystko będzie stracone.

Nie zaprzeczyła. Teraz nie było już nic do powiedzenia. Aha, jeszcze ta napoczęta paczka astorów. Wyjąłem ją z kieszeni.

– To dla ciebie.

Chwilę się wahała, potem zamknęła paczuszkę w dłoni. („Pani ma arystokratyczne palce, pani Ludwiko.")

– Dziękuję – usłyszałem.

Pomachałem jej na pożegnanie ręką – nie umiałem wykrztusić nic, nawet marnego „do widzenia".

Na schodach minął mnie ten dziwak-ekonomista, którego tu widziałem ostatnim razem. Niósł kwiaty. Wszyscy jej noszą kwiaty, więc to bez znaczenia. Tylko ciebie całowała – ale to też bez znaczenia.

– Zadzwonię do was! – zakrzyknął za mną tamten. – Mam sprawę!

Powiedziałem, ze proszę bardzo, niech dzwoni. Świat się zawalił, ale życie toczyło się dalej.

Wszyscy w domu pogrążeni we śnie. Mnie wciąż budzi mój Ból. I prawdziwy, całkiem realny ucisk w sercu. Wstaję, zażywam relanium. Patrzę do lustra: przybyło srebrnych włosów w ciągu tego miesiąca oczekiwania i niepokoju. Człowieku – mityguję się – przecież to w naturze rzeczy. Żyje się oczekiwaniami i nadzieją – tak mijają lata. Czasem nadchodzi chwila realizacji – już masz to, czego chciałeś, już triumfujesz (tak, triumfowałem! ja, najszczęśliwszy) – i oto wszystko się rozpływa, więdnie jak nakłuty balon. Recepta na inspirację do powieści o miłości: odrobina szczęścia – i duża klęska. Bez tej odrobiny szczęścia nie ma klęski. Musi coś dobrego zaświtać, żeby w ogóle się coś zaczęło. Nessun maggior dolore...

Potem jest męka: nieustanny nawrót do tej chwili, kiedy coś cudownego się zaczynało. Więc co to było: bez powodu? tak sobie? zabawa w pieszczoty? smarkackie macanki? Nie przyjmuję! Pewno dlatego, że, u schyłku swej drogi, związałem z nią, z nią w moich ramionach, zgodę na świat. Na istnienie – takie, jakie nam Bóg przeznaczył. Na przemijanie.

(Wszystkie wyznaczniki egzystencjalne pierzchały, kiedy trzymałem ją w objęciach i czułem jej usta w swoich ustach.)

Zasnąć. Nie myśleć. A tu – huk z „Ambasadora". Znowu wesele! Wrzeszczą, tańczą! Ja ginę – oni tańczą. (Widzę ogromną salę koszarową w Żytomierzu: roztańczeni podchorążowie, dzisiaj właśnie pasowali ich na oficerów. Biały mazur! – ktoś wykrzykuje. – Panie proszą panów! Jest pierwszy sierpnia 1944 roku i nikt z nich nie wie, ale ja wiem – powiedział mi to w zaufaniu pewien posępny, czarnooki oficer polityczny – wiem, że w Warszawie wybuchło powstanie. Że moje miasto płonie. Siedzę przy stoliku, nad szklanką ohydnego piwska, i myślę:

„Przetańczą kraj. Przetańczą nam Polskę." Tupoczą szczęśliwi, rozgrzani, podochoceni – i wiem: nic ich od tego tańca nie powstrzyma. Apud Polonos nunquam sine clamore... Wciąż widzę ich roziskrzone oczy – w ten sierpniowy wieczór powstańczy...)

Eklezjasta: znowu o tej pogoni za wiatrem – nie, nieprawda, przecież mnie to boli. Teraz czuję ból w piersiach, teraz rozsadza mi czaszkę. Przemożne teraz: teraz jestem głodny i spragniony, teraz brnę w śniegu, teraz ginę na wietrze i teraz ulgę przynosi ciepłe łóżko. (Nie czekając na wieczność!) Kobiety o tym dobrze wiedzą, o tym prymacie pojęcia „teraz", i nigdy nie okazują wdzięczności za to, co minęło: liczy się tylko stan obecny – i perspektywy na bliską przyszłość. Mówić: wszystko nędza, w proch się obrócisz, wszystko marność – jakaż to płaska pociecha. Zasnąć. (Co to jest sen – przypomina Proust – wiedzą tylko ci, którzy nie mogą zasnąć.) Ale może lepiej nie zasypiać. Nie wolno dać zasnąć klęsce! Sięgam po notes. Piszę, piszę do ciebie. Nie, nie da się z tym żyć. I co ze sobą robić? Nie wiem. Ale gdyby ktoś powiedział: a więc podetnę panu żyły... Tak, czuję, że nie opierałbym się...

Dreszcze i gorączka. A więc przypomnij sobie, że już kiedyś tak samo zareagowałeś: gorączką i dreszczami. Jakaś mała klęska, jakieś wyczekiwanie bez spełnienia, nieważne – kiedy to było? ile lat temu? o kogo szło? Nie pamiętasz. Więc to powinno pomniejszać wagę twojej klęski, bo nie jest jedyną. (Ale może być druzgocząca dlatego, że ostatnia. Waterloo.) W szafie, na samym dnie, leży paczka z sukienką dla niej. Co z tym zrobić? W lewej kieszeni marynarki – pudełko z krzyżykiem, w prawej – klucz. Trzeba go zwrócić Jemiryczowi. Wyciągam z biurka jej fotografię: dziewczyna, która podszywa się pod Ludwikę, zastygła w uporze. Sztywna, nic miękkiego. A może człowiek naprawdę jest taki jak na swojej nieudanej fotografii? Nieudana fotografia ujawnia – takie mam niedobre myśli. Dobrze, dalej tym torem. Spróbuję sobie powiedzieć, że nie jesteś warta szaleńczego uczucia. Znajdę w tobie przeróżne wady – któż ich nie ma? Przekonam sam siebie, że kochałem się w „niegodnej". Że żyłem złudzeniem nie istniejącej kobiety. Zdumiewać mnie będzie, że pozwoliłem sobie na takie opętanie.

I wtedy – zrozumiałem – dopiero wtedy stanie się rozpaczliwie smutno. Świat bez nadziei. Bez barwy. (Szarość – barwa autyzmu.)

Męka. Relanium nie pomaga. Drugiego nie zażyję. Notes – zapiszę wszystko – ku wiecznej swojej hańbie. Kiedyś przeczytam i ogarnie mnie zdumienie: szalony, o co on się tak rozbijał? Jak ta pisarka, która po czterdziestu latach znalazła brulion namiętnego listu do mężczyzny. „Kto to był?" – zapisała na marginesie. Nie mogła sobie przypomnieć. Bo adresat był właściwie nieważny – to ona, jej miłość, potrzeba uczucia, stan roznamiętnienia – to było ważne. Opamiętaj się, przypomnij sobie, przecież już kiedyś tak cierpiałeś – czy chciałbyś mieć którąś z nich teraz tu, obok siebie? Nawet w ich dawnej, wdzięcznej postaci? Tak, Luteńko, nie jesteś pierwsza w moim życiu, nie, na Boga. A jednak z tamtymi było inaczej, myślę. Cierpiałem, owszem, bo chciałem cierpieć, ale cierpiałem dlatego, że się oszukałem, a także dlatego, że wiedziałem, iż okazały się niewarte moich cierpień. Chciałem je kochać – a ujawniło się, że nie było kogo. Nie potrafiły sprostać wysokości mego uczucia. O tobie wiem, sosno moja, że potrafiłabyś. Nie zwiedziesz mnie swoim zdjęciem, nie, wiem dobrze, kim jesteś. (Jest ostatnią twoją miłością – to dlatego.)

Wiem zresztą dobrze, że żadne rozumowanie nie pomoże, nie potrafię, piję, piję, a robak wciąż mnie gryzie, nie mam notes w ręku – i chcę, żeby mnie diabli wzięli. Żeby mi się coś stało, coś fizycznie dotkliwego. Paść do błota (które i tak mnie zalewa po usta). Rozpić się (o Boże, nie potrafię, piję. piję, a robak wciąż mnie gryzie nie umiem go zalać). Stracić rękę. Rękę stracić. Dla ciebie chcę stracić rękę. Wykrwawić się. Wyć z bólu i słabnąć. (Wszystko dzieje się w nas samych. Tu, w środku, w naszym wnętrzu. Nic nie udziela się drugiemu człowiekowi. Jedyna prawdziwa bliskość to fizyczna, kiedy przenikają nas wzajemne ciepłe prądy, kiedy twoja Skóra ociera się o moją, kiedy ssiesz moją ślinę. Ale i wtedy każde z nas przebywa w swojej klatce. Ale i wtedy kobieta przymknąwszy oczy pięknieje stając się samym dążeniem do rozkoszy – i ten, kto powoduje tę rozkosz, na chwilę przed szczytem staje się nieważny. Bo naprawdę rozkosz daje sobie ona sama, a świat, w którym przebywa, pozostaje jej tajemnicą.)

Usłyszeć twój przyśpieszony oddech, leciutki jęk, poczuć twardość twoich zębów na wargach, drżenie twoich ramion zaciskających się kurczowo wokół mnie – poczuć to raz jeden! A potem? Nie wiem...

Padał deszcz, kiedy wracałem od niej do domu, szedłem powłócząc nogami. Cierpienie jest w nogach, ja wam to mówię, to one je przejmują, one pod nami miękną. (Kiedyś – kiedy Sara cierpiała (z mojego powodu) – ujrzałem ją niespodziewanie na ulicy, sam nie zauważony. Wtedy, idąc za nią, spostrzegłem właśnie to: że powłóczy nogami. Przedtem chciałem wierzyć, że znosi lekko nasze rozstanie, ale ten chód mną wstrząsnął – już wiedziałem, że jest zdruzgotana. Tego dnia zadzwoniłem do niej i znowu byliśmy ze sobą. A potem zjawił się tamten facet, niedopieszczony człowiek na solidnym stanowisku konserwatora zabytków, i Sara, osoba tak mało przedsiębiorcza, okazała się dostatecznie stanowcza i zaradna, by wyjechać z tamtym na zawsze.) A więc deszcz, ja wracam od niej, właśnie dostałem kosza, deszcz, deszcz – ale co mi tam, niech mnie zleje. Zdjąłem okulary, bo zalało szkła. I wtedy zobaczyłem dziwną parę, dwie kobiety w jakimś potwornym tańcu-trzęsiączce, młodsza, ze zlepionymi od deszczu włosami, skręcała się na strony, jakby usiłowała się wyrwać z uścisku starszej. Już chciałem krzyknąć do starszej, żeby ją puściła, kiedy ta młoda upadła i zrozumiałem, że to atak epilepsji. Podbiegłem do kobiet, dziewczyna w ataku wywaliwszy język śliniła się pęcherzykami, jakieś dwie panie zatrzymały się mimo deszczu.

– Klucz! – zawołałem. – Kto z państwa ma klucz?

Jedna z pań zaczęła grzebać w torebce i wtedy przypomniałem sobie, co noszę w kieszeni, wcisnąłem dziewczynie w jedną dłoń klucz od mieszkania Jemirycza, w drugą krzyżyk od pani Ester Bielawskiej. Nie bardzo wierzyłem w skuteczność tego wszystkiego, ale czułem, że coś robić trzeba – nagle mi się to przypomniało: że jakieś klucze, że zimne żelazo, że to podobno pomaga – i oto widziałem, jak dziewczyna rzeczywiście się uspokaja, drgawki ustały, język się schował, powieki opadły. powiedziałem coś do niej, ale ona mi nie odpowiedziała. Spała! Byłem świadkiem cudu. Przenieśliśmy dziewczynę do pobliskiej apteki, pani magister wyszła zza lady, żeby zatelefonować do pogotowia, w kolejce nikt na to nie zaszemrał, tylko jedna z tych pań, które pomagały w przenoszeniu dziewczyny, powiedziała na głos:

– To ten pan ją uratował.

Znowu miałem w jednej kieszeni krzyżyk, a w drugiej klucz. Szedłem w deszczu i modliłem się: Boże mój, odpłać mi za to, jeśli prawdą jest, że ja ją uratowałem. Ty wiesz, że uczyniłem to odruchowo, nie licząc na żadną zapłatę; zwróć mi moją dziewczynę, niczego innego od ciebie nie chcę – modliłem się. Ale wiedziałem, że modlę się niepotrzebnie, bo nie działa w rachunku niebios zasada „coś za coś", i że klamka już zapadła... „To ten pan ją uratował." Nikt nie zauważył, że ja sam potrzebowałem pomocy, nikt nawet się tego nie domyśli. Szedłem opustoszałą i ciemną od deszczu ulicą jęcząc – nikt mnie nie słyszał.

Deszcz i łzy spływały po mojej twarzy.

Wytarłem ją u wejścia do bramy, w głębi której stał „Iksowicz". Tak, tym razem to był naprawdę on. Czyhał na mnie, na moją klęskę. Przecierałem twarz starannie. On podszedł do mnie.

– Pan doktor przemókł... – stwierdził.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na niego i myślałem: bądź silny. Nie ma teraz Luteńki, nie ma klęsk miłosnych– jest świat zmagań męskich, on przeciwko tobie, on i jego szajka. „Iksowicz" rozwarł ramiona:

– Doktorze, kochany mój, no dajcie pyska...

Stałem z opuszczonymi ramionami, on (a może cały jego gang) objął mnie i ucałował w oba policzki. Potem westchnął głośno:

– No, nareszcie! Nareszcie. Wybaczcie. W głowie miałem wtedy pokłębione, to dlatego – mówił. – Zgłupiałem, po prostu.

Milczałem myśląc: „A jednak on żałuje. Więc nie szajka, tylko on sam, pewien człowiek. Pierwszy raz widzę, że ktoś tu czegoś jawnie żałuje. To już coś." Spostrzegłem, że „Iksowicz" jest zadowolony. Nie ukrywał tego zresztą.

– Kamień mi spadł z serca – mówił. – Naprawdę, czuję się o wiele lżejszy.

Mnie żaden kamień z serca nie spadł. Było mi tak ciężko, jak nigdy przedtem. Szepnąłem:

– Ale mnie przecież nadal biją...

I odszedłem, żeby nie zobaczył moich wzbierających łez.

Zrzuciłem z siebie w domu przemoczoną odzież myśląc: jeszcze nie wiem, jak z tym żyć. Bo żyć będę, wiem o tym – ale i myśleć będę tylko o niej, obsesyjnie o jednej sprawie, o tym też wiem. Suszyłem włosy suszarką elektryczną – wypiłem jednego głębszego, Krysia podała mi gorącej herbaty – nie wolno mi było chorować, moje uczucie wymagało zdrowia, aktywnego bycia, klęska czy nie, musiałem być na nogach, zdrów, na zawołanie. Życie, tak! Nie nadawałem się na pustelnika, nie umiałem się odciąć od świata. Nastawiłem radio, wysłuchałem wszystkich tych szaleństw współczesności: dwa razy oburzyłem się, raz zakląłem, raz roześmiałem się, tak, nawet to. Potem pisałem z godzinę na maszynie – zimny artykulik dla tych młodych brodaczy o tym, że katastrofa ekonomiczna jest nieuchronna – mój syn sprzed kilku miesięcy byłby zadowolony, ale mój syn obecny był już daleki od tego, powiedział nawet kiedyś: „tato, nie narażaj się, musisz jakoś przetrwać". Dwa razy podczas tego pisania straciłem wątek, nie rozumiałem, co przede mną robi ta kartka wkręcona na wałek maszyny, widziałem tylko jej usta i błysk zębów, widziałem tylko... Krzyknąłem.

Skończyłem jednak ten artykulik, przejrzałem i podpisałem go jakimś wymyślonym naprędce pseudonimem. I wtedy, jak na zamówienie, zadzwonił telefon. Pani Estera Bielawska. Umierała z ciekawości, co się u mnie dzieje.

– Nic – odpowiedziałem. Chciałem przełamać zesztywnienie krtani, ale nie udawało mi się.

– A jak mój krzyżyk? Podobał się?

– Nie dałem go.

– Dlaczego? – Wydawała się urażona.

– Nie było okazji.

– Pan coś kręci, panie Wilkot.

– Nie, nie kręcę. To koniec, pani Estero.

– Jak to? Skąd pan wie?

– Powiedziała mi, że koniec.

Była na tyle delikatna, że nie próbowała mnie pocieszać.

– Mnie jest bardzo przykro – usłyszałem.

Wtedy ja zdobyłem się na odwagę, żeby poruszyć jej sprawę:

– Pani Estero, przyjeżdża do Warszawy doktor Ben-Aaron. Zamieszka w Bristolu.

– Jaki znowu doktor? I co mnie obchodzi, gdzie on zamieszka?

– To taki znakomity reumatolog.
– Ja na reumatyzm dzięki Bogu nie choruję.
– Ten doktor walczył w getcie jako Leon Bielawski. Czy chce się pani z nim spotkać?
– Z kim?
– Z Leonem Bielawskim.
Chwila milczenia. Potem padło pytanie:
– Pan mówi, że on się nazywa – jak? Bo nie dosłyszałam.
– Ben-Aaron.
– Aaron-śmaron. Po co ja mam się z nim spotykać?
– Może warto? – spytałem łagodnie.
– Dlaczego warto? Wcale nie warto! Przyjeżdża jakiś szarlatan, jakiś oszust – mało po świecie kręci się oszustów? – i ja mam lecieć się z nim spotykać! Jeszcze się nie rozpędziłam!
– Pani Estero, to nie jest szarlatan – powiedziałem z dużą stanowczością.
– Co mi pan pójdzie mówić? Już ja lepiej wiem. Już ja swoje przeżyłam. Boże Wszechmogący, co ja tylko nie przeżyłam! To teraz mnie potrzebny jest jakiś szarlatan? Pan chyba nie wie, co pan mówi! Do widzenia panu! – urwała nagle i rzuciła słuchawkę.

Koniec z naszą przyjaźnią, pomyślałem. Szkoda. Poszedłbym z nią na to spotkanie z profesorem Ben-Aaronem. Zapytałbym go, dlaczego obiecujący ekonomista przerzuca się na medycynę i zostaje reumatologiem. A przede wszystkim zająłbym się czymś. Muszę się nauczyć z tym jakoś żyć.

Wyjąłem sukienkę z paczki, powiesiłem na ramiączku. Stałem przed otwartą szafą przyglądając się schowanej w mroku morskiej zieleni – byłoby jej w tym prześlicznie, wiem. Usłyszałem kroki córki, zamknąłem pośpiesznie szafę. Zadzwonię do jej matki, pomyślałem, może ona akurat przyszła w odwiedziny. Ale co powiedzieć? Luteńko, ratuj mnie! (Nie, nikt jeszcze tak nie zdobył kobiety.) Gdybym tylko mógł na chwilę przestać o niej myśleć...

Naucz się z tym żyć. Utrze się, minie, wszystko mija, wszystko, psiakrew, mija. Będziesz bytował. Tylko będziesz już inny. Ale mędrzec dawno cię przekonał, że w każdym wypadku będziesz inny, nawet przy niej. (Kocham ją obsesyjnie – dziś tak jak wczoraj – wczoraj tak jak miesiąc temu i jak teraz, kiedy to piszę.) (I jak teraz, kiedy to odczytuję.) Nie myślałem o tym, żeby się zabić, ale mimo to zanotowałem: „Samobójstwo: kiedy najbliżsi stają się nieważni. Otrzymany cios jest tak wielki, że przecina wszelkie związki. Nieważny małżonek, dzieci, rodzice, przyjaciele. Nieważne powiązania społeczne. Kompletny autyzm. (Samobójstwo na złość? Oznaczałoby może, że związek wciąż trwa – ale tylko z tą osobą, którą chce się samobójstwem dotknąć lub ją pogrążyć w oczach innych.) (Freud twierdzi, że samobójstwo jest morderstwem zwróconym zastępczo przeciw sobie.) Pomyślałem: to zdumiewające, że chociaż nie mogę się uwolnić od tego cierpienia, że chociaż poza nim jakby nie było życia, to równocześnie działa nawyk refleksji, nie tylko obserwuję sam siebie, ale i wyciągam wnioski dla innych, zupełnie jak gdybym analizował krach ekonomiczny, a nie swoją własną ruinę. Zanotowałem idąc tropem tamtych myśli: „Brak zainteresowania światem zewnętrznym nie oznacza braku zainteresowania sobą. Przeciwnie, dla cierpiącego z miłości własna osoba jest najważniejsza, jest jedyna, jest tak natrętnie ważna, że – chce się od niej uwolnić kładąc kres jej istnieniu."

Napisawszy to poczułem, że kusi mnie właśnie to, co wyżej opisałem, i właśnie dlatego, że się męczę. Ale nie byłem predestynowany do pewnych aktów. Dopisałem:

„W tym świetle trudno mówić o samobójstwie z miłości. Przeciwnie, jest ono wynikiem utraty miłości – na skutek jakiegoś ogromnego szoku – utraty takiej, jakby obsunęła się ziemia. Dopóki trwa uczucie – chce się żyć." (Ja wciąż miałem ją przed oczyma.) Utrata uczucia wytwarza stan męczącej pustki – tym bardziej męczącej, im silniejsze było związanie sensu życia z kimś innym.

To było w czwartek, to jej „nie”, a w sobotę, kiedy nie spodziewałem się żadnych telefonów, ta cholerna skrzynka, ta czarodziejska skrzynka nagle zaterkotała. Podniosłem apatycznie słuchawkę i mruknąłem swoje „hallo”.

– Cześć – usłyszałem dźwięczny głos. Tońka? Chyba nie. Więc kto? Odpowiedziałem ostrożnie:

– Cześć.

– Jak u ciebie?

Wciąż nie mogłem poznać głosu. Już chciałem zapytać „przepraszam, ale z kim mam przyjemność”, kiedy nagle skojarzyłem, serce zaczęło mi walić – nieprawdopodobne ziściło się – i wykrztusiłem:

– Domyślasz się, jak.

– Chciałam cię przeprosić za to czwartkowe – powiedziała. – Nie za treść – zastrzegła się – za formę. Chwyciłem się tego jak tonący deski: – Chyba powinniśmy porozmawiać. O formie – dodałem.

– Myślę, że tak – zgodziła się.

– Kiedy? – Czekałem na dyspozycje.

– W poniedziałek. Po drugiej będę sama. Muszę kończyć, dzwonię z budki.

Śpieszyła się, ale ja nie miałem jej tego za złe.

– Dobrze, że zadzwoniłaś – powiedziałem. – Dobrze, Luteńko. Dziękuję ci.

Nie wiem, dlaczego milczała po tamtej stronie przewodu. Może gryzła wargi. Może była wzruszona. Co oznaczało jej westchnienie? Usłyszałem: „no to cześć”, odpowiedziałem posłusznie „cześć” – i oboje jednocześnie odwiesiliśmy słuchawki.

Będę musiał się do tego spotkania przygotować, pomyślałem. Przygotuję się jak do egzaminu, obkuty na blachę...

Szansa! – powtarzałem sobie. Ostatnia szansa. Zacisnąwszy zęby pracowałem nad ściągawką. Notowałem argumenty i chwyty. Poprowadzić rozmowę tak, żeby przynajmniej moc ją widywać. Może się uda... Szedłem pociemniałymi od dżdżu Alejami Ujazdowskimi i szeptałem: „w milczeniu, wszystko w milczeniu”. To dlatego pewnie gadałem do siebie, że nie wolno mi było do innych. Pozbawiony łaski, jaką jest możliwość zwierzeń, i przywileju współczucia. „Dla obcych ludzi mam twarz jednakową, ciszę błękitu...” Ze względu na mnie, ale przede wszystkim ze względu na ciebie. Żeby cię osłonić przed domysłami i obmową. Jeśli jest w tej sprawie coś heroicznego, to właśnie to: duszenie w sobie.

Sporządziłem notatkę o przyjaźni. Bo one to lubią proponować: zostańmy przyjaciółmi, dobrze? Usiadłem na ławce i zanotowałem: „Proponujesz mi to chyba przez delikatność. Bo właściwie do czego ci ona, ta moja przyjaźń? Masz ją, oczywiście, i to do grobowej deski, ale wiem, że do niczego ci ona niepotrzebna. Gdybym nagle znikł, wcale byś tego nie odczuła, chyba jako ulgę.” Ona nic nie odpowie, ale pomyśli: „To prawda. Skąd on to wie?” (Moje doświadczenie życiowe – notuję na marginesie – mówi mi, że nic się tak nie wyciera jak przyjaźń. Stosunki z ludźmi zależą od przypadkowych okoliczności. Kiedy układy się zmieniają – np. kiedy zmieniamy pracę, a tym samym środowisko i system zależności – oddalenie następuje błyskawicznie i po latach dziwi nas, żeśmy u tych ludzi „bywali”, że ich opinia miała jakiś wpływ na nasze postępowanie. – Pomyślałem i dodałem: – Przyjaciel spotkany po latach niewidzenia jest równie nierozpoznawalny, jak stara miłość; drażni nas jego wygląd, zachowanie, sposób mówienia, ograniczenie intelektualne, małostkowość życiowa, głupkowate dowcipy – te same, które kiedyś nas tak bawiły – obcość jest przygnębiająca. Trzeba dużo wódki – jeśli wątroba pozwala nam jeszcze pić – żeby się z tego otrząsnąć. A najgorsze, że on pamięta wszystko inaczej, myli wydarzenia, przypisuje ci słowa i uczynki, których nie było albo były nie w tej kolejności i nie przy tej okazji. A jeśli nie on się myli, nie jemu się poplątało, w takim razie ty się mylisz tobie się wszystko poplątało – i to jest równie przygnębiające.)

Oczywiście, noc bezsenna. Oczywiście, mówię do ciebie. (Z „Ambasadora" dobiega dzikie „sto lat", pijackie chóralne „wszystkie rybki śpią w jeziorze", w ogródku pod moimi oknami panna młoda piskliwie wrzeszczy na jakąś starszą panią, chyba własną matkę, która pomrukuje basem: „Ty ścierko... Ty dziwko... Żebym ja mu nie powiedziała...") Relanium nie pomaga. Życie wydaje mi się nagle zmarnowane: niczego nie osiągnąłem, niczego nie stworzyłem. Ta praca ekonomiczna, do której się zabrałem, utknęła nagle z powodu stanu absolutnej niemożności. Nigdy nie zostanie opublikowana – tutaj, bo wiadomo, a tam, bo ich nie interesuje. Między mną a sukcesem zawsze wyrasta mur – czasem w ostatniej chwili i to tam, gdzie zdawało się, że muru być. nie może. Tak było zawsze. (To trzeba zmienić – przydałby mi się sukces, zwycięstwo, aureola.) Leżę w łóżku, lampka zapalona, na kołdrze *Dzieje Bizancjum.* Usiłuję notować: Roman czwarty to, Michał siódmy tamto, Paleologowie, Komnenowie – jakie to obce, dalekie, choć wszystko skądś znajome! „Czy naprawdę – notuję – Turcy byli bardziej barbarzyńscy od władców bizantyjskich? Humaniści szesnastego wieku w swoich utopijnych roztrząsaniach często się na doświadczenie tureckie – prawdziwe czy wyfantazjowane – powoływali." Postawiłem kropkę – i nie potrafiłem już wrócić do książki. Widzę krajobrazy: szosę w południowej Francji, gdzieś w pobliżu zamku w Pau, wijącą się w słońcu między winnicami, a pośrodku szosy ja, osiemnastolatek w oblepionym smołą hiszpańskim mundurze, z trzema ciężkimi łomami na ramieniu. Ja z Armandem na rozpalonym nabrzeżu w Dakarze, wypatrujący jakiegoś przyjaznego okrętu, który by nas stamtąd uwiózł. Myślę raz jeszcze: skazany jestem na trudne życie, na pot i znój, na ostatnie miejsce w kolejce, na dra-łowanie piechotą tam, gdzie inni suną limuzynami, na rąbanie grubych polan, gdzie innym diabeł w piecu rozpala.

Zostawiam to wszystko tak, jak napisałem, chociaż to nie jest prawda absolutna, tylko prawda chwili, wylew goryczy. Bo czy można mówić o pechu tam, gdzie samo popadnięcie w stan opętania jest szczęśliwym przypadkiem? Pech i szczęście przeplatają się tu i można rzec, że są nierozłączne.

(To cholerne bytowanie – myślę. Odejść – do klasztoru – zostać pustelnikiem jak Tołstojowski ojciec Sergiusz. Nie zrobię tego, bo brak mi niezbędnej pychy, przekonania o własnej ważności. Chrześcijańskie wychowanie wpoiło ojcu Sergiuszowi przeświadczenie, że jego dusza to rzecz najistotniejsza – ja zaś, dobrze to odgadła ta zwariowana Joasia, ja mógłbym być Żydem, brak mi tego właśnie przejęcia się swoją duszą, uparłem się tylko, żeby strzec swej uczciwości, tak jak ją rozumiem; etyka, tak – moja prywatna etyka zastępuje mi troskę o zbawienie duszy. Nie muszę zabić staruszki-lichwiarki, by ugiąć się pod ciężarem własnego sumienia – wystarczy najmniejsza krzywda, jaką wyrządzę bliźniemu. Niektórzy mówią o mnie, że jestem silny, czysty. Śmiechu warte. Jestem tylko uparty, orzech, tak, uparty w swojej słabości, w opieraniu się – moja słabość jest moją siłą, słabość, o której wiem i dlatego...)

Gdyby nie ta ostatnia porażka, nie odczuwałbym może tak dotkliwie, że na polu zawodowym też nic się nie urzeczywistniło. Oczywiście, ja sam przygotowałem swoją klęskę, określiłem jej rozmiar. To ja zbudowałem ten świat wokół twojej osoby, świat złożony z tęsknot i nadziei, i teraz rozpaczam, że przywróciłaś mnie do rzeczywistości. Ale dlaczego, dlaczego nie odepchnęłaś mnie od razu?... (Dobrze, żeś tego nie uczyniła! Wielbię cię za tych kilka szczęśliwych chwil, które przy tobie przeżyłem. Powinienem bić w podzięce czołem tam, gdzie pada cień twojej sukni.)

Wśród nocy – dzwonek do drzwi. Co to może być? Przebiegł mnie lekki dreszcz – reaguję jednak jak człowiek żywy, jak ktoś, komu na życiu zależy. Wciągnąłem spodnie i chwilę stałem nasłuchując. Krysia spała. Od dawna nie mam w domu pistoletu, przez kilkanaście lat podwójnie wciąż go trzymałem w szufladzie, zdobyczny mauzer, ale kiedyś, po ataku histerii Sary, bojąc się, żeby czegoś sobie nie zrobiła, wyrzuciłem go do stawu. (Sara, kiedy zauważyła brak pistoletu, pomyślała, że pozbyłem się go dlatego, że bałem się, żeby mnie nie zastrzeliła – tak ludzie, nawet ci, z którymi latami dzielisz stół i łoże, tłumaczą opacznie twoje

uczynki.) Znowu dzwonek – długi, przeraźliwy. Ze Zbyszkiem mieliśmy umówiony sygnał, to nie był on. „Mordercy" – przemknęło mi przez myśl. Od kiedy w sąsiednim domu zamordowano pewnego posła, przelatywało mi czasem przez głowę, że i po mnie któregoś dnia przyjdą – myśl absurdalna, bo nie mogłem dla morderców być tak łakomym kąskiem jak tamten personat. Pomyślałem: no cóż, niech przyjdą – pomyślałem o tym dość obojętnie, zapewne dlatego, że uświadomiłem sobie, że mordercy nie przychodzą o drugiej po północy, nie dzwonią do drzwi – do tamtego przyszli nad ranem. Po raz trzeci zadzwoniono. Spytałem:

– Kto tam?

Usłyszałem znajome nazwisko pewnego wielbiciela Krysi. Był to przyzwoity chłopak, nie mogłem mu nie otworzyć. Stał w drzwiach chwiejąc się, kompletnie pijany.

– Ja do Krysi – wybełkotał.

– Domyślam się, że nie do mnie. Ale ona śpi.

– To ja poczekam.

– Czy pan wie, która godzina?

– To takie ważne? – spytał z uśmiechem wyższości. Może i nie, pomyślałem. Może on ma rację. – Ja poczekam – upierał się.

– Gdzie? Tutaj?

– Tak, tutaj. W przedpokoju.

Wiedziałem, że dostał od niej kosza, i wiedziałem, dlaczego.

– To bez sensu – perswadowałem. – Niech pan idzie do domu i wyśpi się.

– Do żony? – zapytał ironicznie. Zauważyłem, że pijany człowiek zawsze traktuje trzeźwego ironicznie, jakby on sam posiadł jakąś wiedzę tajemną, której tamtemu brak; jakby odznaczał się jakąś odwagą, na którą ten trzeźwy nie może się zdobyć. Tak, traktują nas jak tchórzy, miękiszy, groszorobów. Ten też tak się zachowywał: przyglądał mi się, on, artysta alkoholu, jakbym był żałosnym mieszczuchem, który nie rozumie tego, co wzniosłe. Mimo to byłem na tyle odważny, aby potwierdzić:

– Tak, idź pan do żony.

– Nie.

– Ale tutaj nie może pan zostać.

– Wiem, wiem. Ja wszystko rozumiem. Spokój domowy i tak dalej. Będzie spokojnie – zapewnił. Spojrzał na mnie błagalnie: – Tylko pięć minut. Tutaj – znowu wskazał na nasz ciasny przedpokój.

Przyniosłem mu krzesło. Siadł i wbił mętny wzrok w szafę wnękową.

– Pięć minut – przypomniałem. – Umówiliśmy się.

Kiwnął głową. Nie chciał już rozmawiać. Miał pięć minut do wykorzystania, pięć minut pobytu w jej mieszkaniu – mieszkaniu mojej córki. Powinienem zrobić to samo, pomyślałem: pójść do mieszkania jej matki (mąż wyrzuciłby mnie za drzwi, a w ogóle niech lepiej nie wie o moim istnieniu), poprosić: „Niech pani pozwoli chwilę tu pobyć, spojrzeć na panieński pokoik, w którym wyrosła, na jej łóżko, kuchnię, wszystko – wszystko, co jej dotyczy." Zrobić to w dzień, na trzeźwo. Ale ten był pijany. Przyszedł tu – w akcie rozpaczy. Co między nimi zaszło – przedtem? Czy uczyniła mu jakieś nadzieje? Może je sobie tylko wyobraził, dlatego, że była uprzejma – tak jak Luteńka dla mnie? „To, co ludzi najbardziej pognębia – zanotowałem na kartce – to nagła degradacja. W roku 1929 w Ameryce z okien drapaczów chmur skakali nie biedacy ze slamsów, ale posiadacze akcji, które nagle straciły na wartości – zapewne wciąż jeszcze mieli z czego żyć, ale zostali z dnia na dzień zdegradowani. Nieoczekiwany cios i – skoro jesteśmy w Ameryce – nokaut, a za tym dojmujące poczucie porażki, z obsesją, że się samemu zawiniło." Potem refleksja, której już nie zanotowałem, bo chodzi za mną od lat, jako sposób życia choćby: kto więc sam się z góry degraduje, kto sam siebie umieszcza na dole, nie ma z czego spadać i nie przeżywa klęski. Spojrzałem na zegarek: siedem i pół minuty.

Tamten chłopak, blondyn o zlepionych włosach przerzedzonych na czaszce, nie poruszył się, kiedy wszedłem do korytarza – spał. Zmarnowałeś swój czas, brachu. Poruszyłem jego ramieniem, najpierw delikatnie, potem potrząsnąłem silniej. Otworzył oczy.

– Pięć minut minęło – powiedziałem.

Oprzytomniał natychmiast. Dźwignął się.

– Co robić – szepnął.

– Spał pan – stwierdziłem.

– Co robić – powtórzył. – Dziękuję. – Rozejrzał się i spytał chytrze mrużąc oko: – A może ja bym jeszcze trochę...?

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Umówiliśmy się.

– Ale pan dokładny.

Sara uważała mnie za pedanta, bo wieczorem zmywałem naczynia.

– Umowa jest umową. Powinien pan iść do żony.

Wskazał palcem w górę, jakby jego rodzina znajdowała się tam, nad nami.

– Żona i jeszcze dwoje dzieci – przypomniał.

– Nie powinien pan pokazywać się Krysi zalany.

– A żona i dwoje dzieci?...

To miał być ten powód do picia. Plus nie odwzajemnione uczucie.

– W ten sposób nie zdobywa się kobiety, proszę mi wierzyć – mówiłem ja, znawca przedmiotu. – W każdym razie nie nachodząc o drugiej w nocy.

– Ja jej nie chcę wcale zdobyć – powiedział. Znowu ten pełen wyższości uśmiech: nic nie rozumiesz, tępy ekonomisto.

– A czego pan chce? – spytałem. I pomyślałem: może tylko pić?

– Nic. Nic nie chcę.

Otworzyłem drzwi.

– Da pan radę iść? Czy może wezwać taksówkę?

– Mogę iść. Dobranoc.

Siedziałem potem przez chwilę przy biurku, ale już nic nie notowałem, w głowie miałem dobroczynną pustkę, 5 miligramów relanium nareszcie mnie zmogło.

Szedłem do niej bez kwiatka, za to z puszką soku pomarańczowego, który kupiłem w barze – był upał i na pewno pić jej się chciało. (Trzeba tu jeszcze powiedzieć, nie bać się tego wyznania, że chciałem ją skorumpować – sok pomarańczowy to nie było coś, co ona mogła kupić ze swojej pensji; tak chciałem ją zdeprawować – dla siebie.) W jednej kieszeni miałem pudełko z krzyżykiem, w drugiej klucz od mieszkania Jemirycza, nie wiem po co, i jeszcze paczuszkę kentów. Przedtem oczywiście długo wahałem się, w co się ubrać – jak kobieta, która wie, że dużo od tego zależy, ja też o tym wiedziałem – w ogóle w naszym związku, jeśli można mówić o związku, to ja przeglądałem się w lustrze, ja niepokoiłem się o swój wygląd, ona mogła na siebie wciągnąć byle co i zawsze byłaby zwycięska. Ale nie założyła byle czego: zobaczyłem ze wzruszeniem tę samą zieloną spódnicę z falbankami, którą miała na sobie, kiedy ją pierwszy raz całowałem, i tę samą seledynową bluzkę z haftem w okolicach serca, a na szyi łańcuszek ze złotym medalikiem. Obsługiwała jakąś panią, skinęła mi głową na powitanie i dała znak, żebym, sobie usiadł przy stoliku i czekał. Usiadłem, wyjąłem z kieszeni gazetę i udawałem, że czytam. W tytułach normalne dania: wizyty, przyjaźnie, sukcesy, walka o pokój; agresorzy, piraci, rewizjoniści, łamanie praw ludzkich, spadek stopy życiowej i trzęsienia ziemi. Depesza do Idi Amina z Ugandy z jakimiś gratulacjami. Spojrzałem na butelkę po winie, stała na oknie, tkwiła w niej zwiędła róża, to moja róża, pąk skurczył się, zmarszczył i poczerniał.

Kiedy za interesantką zaknęły się drzwi, zbliżyłem się do stolika pokazując puszkę soku.

– Przyniosłem coś do picia.

– Dobry pomysł – pochwaliła i podała mi dłoń do ucałowania.

Nie skorzystałem z okazji, żeby wpić się wargami w tę dłoń, która była mi tak droga, nie padłem na kolana, żeby bić czołem w podłogę, chociaż do tego właśnie mnie pchało. Zastanawiała się, czym otworzyć puszkę. Miałem scyzoryk. Wyjąłem go i wbiłem ostrze w blachę puszki – „brawo", na to ona, „widać od razu sołdata", podała mi dwie szklaneczki, rozlałem sok, ona podniosła swoją szklankę i powiedziała z uśmiechem:

– Zdrówko.

Nie wiem, dlaczego, zrobiło mi się ciepło. Zupełnie jakby to słowo „zdrówko" nie było liczmanem, ale naprawdę coś oznaczało: autentyczne życzenie zdrowia i pomyślności. Wskazałem na butelkę od wina stojącą na parapecie okna:

– Co z różą?

– Padła. Od razu.

Niedobry znak, pomyślałem.

– Trzeba było wyrzucić.

– Nie śmiałam.

– To teraz wyrzuć.

Podeszła do okna, przełamała moją różę, ostrożnie, żeby się nie pokrwawić, i wrzuciła do kosza.

– Przepraszam, że tym razem bez kwiatka – powiedziałem.

– Nie zasłużyłam.

– Zasłużyłaś. Przez sam fakt, że istniejesz.

Powiedziała z westchnieniem:

– Mój mąż to przy tobie starzec...

Milczałem. W kieszeni miałem karteczkę – moją ściągę – i usiłowałem sobie przypomnieć, co sobie tam przygotowałem. Coś o tym, że nie chcę być tylko przyjacielem (nie, nie powiem jej tego, to przedwczesne). Że uczucie trzeba podtrzymywać, chuchać na nie – zbyt cenna roślina, zbyt rzadka – nie wolno dopuścić, żeby przywiędło. Nie, nie wolno mi o tym mówić. Przecież powiedziała, że przeprasza mnie za formę, nie za treść. Przypomniałem sobie pewną notatkę („to moja sprawa, mój ból") i postanowiłem tego się uchwycić.

– Luteńko – zacząłem – przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że nie musisz się mną przejmować. To, co mnie boli, to moja tylko sprawa, to się toczy gdzieś tu, u mnie, w środku, i ja to muszę załatwić sam z sobą. Ciebie tylko proszę, żebyś mi to ułatwiła. – Musiała spostrzec moje obolałe oczy, bo przyglądała mi się uważnie. – Więc proszę cię: nie okazuj zniecierpliwienia, jeśli spostrzeżesz nudziarstwo, szaleństwo... Nie znaczy to, że nie masz prawa zwracać mi uwagi, kiedy zachowam się nie tak, jak by ci się podobało. Tylko nie drwij ze mnie. Nie umiem znosić drwin, jestem teraz zbyt pokaleczony. – Milczała, więc poprosiłem: – Jednym słowem, postaraj się być miła. O taką namiastkę cię proszę...

Milczała w dalszym ciągu, jakby chciała przetrawić to, co usłyszała. Ja wstałem.

– I to wszystko – powiedziałem. – Nie będę natrętny, przyrzekam. Jeśli chcesz, to już sobie pójdę.

Krzyżyk meksykański, przypomniałem sobie. Chciałbym go jej wręczyć, ale nie dzisiaj – nie po tych słowach – dzisiaj byłaby to otwarta próba przekupienia.

– Zaczekaj. – Zerwała się z krzesła. – Zaczekaj tu chwilę, zaraz zamykam, wyjdziemy razem.

Wzięła torebkę i wybiegła z pokoju. Usiadłem na brzeżku stołu. Nie powiedziała: „proszę bardzo, przychodź". Nie powiedziała: „pocałuj". Wysłuchała mnie, i to wszystko. Boże, co ze mną będzie? – pomyślałem. Jak ja sobie z tym wszystkim dam radę?

Kiedy wróciła, wstałem ze stolika i zagrodziłem jej drogę. Staliśmy teraz naprzeciw siebie i jej spojrzenie znowu było takie uważne, jakby dotykało mojej twarzy. Powiedziałem dławiąc się bólem:

– Luteńko, powiedz: co mam ze sobą robić?

Nie odpowiedziała, tylko nadal mi się tak samo przyglądała. Położyłem dłoń na jej ramieniu, poczułem ciepło pod palcami, zacisnąłem je mocniej i oto wydało mi się, że w jej oczach,

teraz szarobłękitnych, coś drgnęło, jakieś oczekiwanie. Przyciągnąłem ją do siebie, nie stawiała oporu – i nasze usta znowu się spotkały, i znowu poczułem, że moje wargi sprawiają jej rozkosz. Moje dłonie sunęły w dół po jej plecach, które sprężyły się pod bluzką, wyczułem napływające krągłości pośladków poprzez miękki materiał spódnicy, pogładziłem je czule, najpierw delikatnie, potem śmielej, zachłanniej, sunąc po nich, drgających w rozkoszy od mojego dotyku, do tamtego miejsca, do najbardziej intymnego wgłębienia między krągłościami, aż wreszcie natrafiłem na przeszkodę – podłużne zgrubienie – i domyśliłem się, w jakim jest stanie. Ogarnęło mnie wzruszenie, przycisnąłem ją mocniej do siebie szepcząc: „Luteńko... Luteńko uwielbiana..." Kto inny by się żachnął, jakiś młodzik, pięknoduch, eteryczny onanista, ale nie ja, wysłużony i doświadczony żołnierz, ja, który wiem, że to wszystko należy do życia, do niej – jak krew, jak mierzwa, jak pot, jak grób – ja nawet ucieszyłem się tym, że ona krwawi, tak jak cieszyła mnie jej wzbierająca purpurą blizna, jak cieszył apetyt, pragnienie i chęć na papierosa. Całowałem ją – i mój ból się roztapiał w nieoczekiwanym nawrocie szczęścia. Znowu wydobyłem się z dna. Zaszantażowałem ją – trochę mimowiednie – uwidocznieniem swojej rozpaczy. Poddała się ze współczucia. Czy miałem z tego powodu się zamartwiać? Są tacy, którzy za czułość płacą – kupują sobie tkliwą żonę, kochankę, ale wolą to, płacenie dobrobytem, biżuterią, wielkim światem – niż trwać w dumnej postawie: albo mnie pokochasz jako takiego, albo wcale. (Jakby mężczyznę można było oderwać od jego tła, od wszystkiego, co się z tym łączy! Sława, stanowisko, talent, szacunek ludzki, pieniądze, hojność – są taką samą częścią jego osobowości, tak samo mogą działać erotycznie, jak muskulatura, czar oczu i penis.) Pieściłem jej ramiona, całowałem usta i myślałem sobie, czując, jak się przyciska do mnie kurczowo, jak jej plecy drżą leciutko pod moimi dłońmi, że rzecz może niekoniecznie we współczuciu, może ja sam siebie poniżam, może to właśnie ta moja dłoń, ten dotyk, męski, czuły, zachłanny, spowodował zanik oporu. Rozsądek przestał działać, hamulce puściły.

Na ulicy, kiedy spytałem ją, co teraz z nami będzie, powiedziała właśnie to:

– Nie wiem, najlepiej nie myśleć. – Przypomniała: – Sam mówiłeś, że myślenie jest przeciw nam.

A ja przypomniałem, że przysiągłem też, iż oddaję się jej w niewolę.

– Tak przysiągłeś? Kiedy?

– Kiedy pierwszy raz się całowaliśmy. Podniosłem twój medalik do ust i złożyłem tę przysięgę w imię Ojca i Syna... Nie słyszałaś tego?

Nie słyszała.

– To fatalnie – szepnąłem.

Więc tak jakby nie było mojego ślubu. Formalnie byłem wolny. Ale kiedy czekaliśmy na tramwaj, ona nie wypuszczała z ręki mojej dłoni, więc jednak byłem uwięziony. Postąpi tak, jak jej się spodoba, pomyślałem. Powiedziała:

– Podstawowa sprawa: dostajesz prolongatę. Do końca tygodnia. W sobotę wraca pani hrabina i laba się kończy, będę niepokalanie wierna mężowi. Zgoda?

– Ty rozkazujesz – powiedziałem.

Cały tydzień! Wydało mi się to bardzo dużo – mnie, który przed godziną jeszcze byłem pozbawiony wszystkiego. Rozstanie za obopólną zgodą, zaplanowane, rozsądne, chociaż trudne, to jednak co innego niż nagły cios po miesiącu tęsknoty i nadziei. Czułem się uratowany. I szczęśliwy, mimo perspektywy rozstania.

– Jutro o której? – spytałem.

Spojrzała na nadjeżdżający tramwaj.

– Jak dzisiaj! – rzuciła. I pobiegła do tramwaju.

Gdybym ją spotkał we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, gdybym ją pokochał podczas wojny – groziłoby mi, że zostałbym dezerterem. Przeklęta wojna,

co mi tam wojna, jesteś tylko ty, z tobą, u ciebie, w twoich ramionach – więc przychodzą po mnie, odczytują wyrok i do piachu. Takie mam dzikie myśli. Odstąpić ten temat Grzegorzowi? (Wrzesień 39. Upragniona dziewczyna objawia wreszcie swą wzajemność. I nagle – wezwanie na front. On idzie. Ale cofając się z granicy zachodniej na wschód, z rozbitą jednostką, ucieka – do niej. I spędzają swoją noc, pierwszą, upragnioną, gorącą, spazmatyczną – i tak krótką. Świt zagląda przez okno, kiedy przychodzą po niego, otaczają dom, on nie chce iść, ostrzeliwuje się, przeszywają go kulami, a ona, dowiedziawszy się, że zdezerterował, dumna i piękna Polka, ma oczy suche.) Nie do opublikowania! Naród krwawi, ojczyzna ginie, a ten... Miłość, miłość, no dobrze, co z tego? Sam bym zgrzytnął zębami, przeczytawszy takie opowiadanie.

Ale teraz mamy spokój. Trochę napięć, tzw. społecznych, trochę niesprawiedliwości – jakoś to załatwię ze swoim sumieniem. Nie dezerteruję zresztą, w dalszym ciągu coś robię przy tych opracowaniach. Najważniejsze, że mam prolongatę („podstawowa sprawa"), będę swoją dziewczynę całował. A jednak te ostatnie pocałunki wywalczyłem trochę nieczysto – wróciłem do tamtej myśli. I postanowiłem dać Ludwice szansę.

Powiedziałem jej o tym, kiedy znowu pojawiłem się po drugiej. Oczywiście, miałem już kwiaty, chociaż tym razem nie różę – to zbyt ryzykowne, ofiarować róże, kiedy sprzedają takie, które zaraz giną, i potem człowiek martwi się przesądnie, czy to czegoś nie oznacza, czegoś więcej niż nieuczciwość sprzedawców, w ogóle poczułem jakieś uprzedzenie do róż, nie sprzyjały mi – przyniosłem pęk fioletowych wrzosów. „Przepiękne" – szepnęła, a ja wiedziałem, że tym razem to nie jest zdawkowe. Nadstawiła policzek na powitanie, musnąłem go wargami, zapytała: „herbaty?" – tak, tak, herbaty – zachowywałem się swobodnie, ale jakoś nie-erotycznie, unikałem zbliżenia, ona chyba nie mogła się nadziwić dlaczego, może nie miałem na nią chęci? – postanowiłem wyjaśnić, w czym rzecz. Że mi przykro z powodu wczorajszego szantażu, że nie chciałbym, żeby ona sobie zadawała jakikolwiek przymus.

– Zgoda na przyjaźń – powiedziałem – tylko niech to będzie przyjaźń nadzwyczajna. Special relations... Ja w charakterze trochę takiego staroświeckiego wielbiciela, gotów na każde twoje zawołanie; jeśli trzeba, to i list do kochanka zaniosę. (Rozbawienie w jej oczach.) Jak chcesz, to zrobię to dla ciebie i przeczytam wszystkie broszury i zestawienia w tym archiwum, nawet te, których nikt nie chce tknąć. (Roześmiała się.) Luteńko – mówiłem, i wcale mi nie było tak lekko, jak by wynikało z moich słów – będzie między nami tak, jak sobie życzysz... – Zaczerpnąłem tchu: – Pod warunkiem, rzecz prosta, że ty wiesz, czego sobie życzysz.

Zdaje się, że tą ostatnią uwagą trafiłem w dziesiątkę – uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Nie ofuknęła mnie, że plotę. Nie przyznała mi też racji. Na to liczyłem: że nie wie sama, co z tym wszystkim robić. Należałoby zerwać – jest mężatką, romans bez przyszłości, jej ślub miał być gilotyną dla wszelkich romansowości, ona tak to sobie wyobrażała, jestem czcigodną mężatką i koniec z płochością spojrzeń, teraz dom, odkurzanie, gotowanie, liczenie bielizny, garnki i kryształy, zapasy, papier toaletowy i lakierowanie futryn, piękna dziewczyna przeobraża się w gospodynię ze starej Woli, a nad tym wszystkim opieka boska, świętość przysięgi przeciw niezaspokojonej wyobraźni. Więc koniec z tym, dziewczyno, powiedz temu wielbicielowi: proszę pana, to była pomyłka, nie wolno.

Ale być aż tak kochaną! aż tak czczoną! A może stało się tu coś więcej – myślałem z odrobiną nadziei – może stało się też coś i z nią? Siedzę po drugiej stronie biurka, ona pokazuje mi zdjęcia z wakacji ani jednego dobrego. Owszem, jedno: dziewczyna tuli do siebie kotka i uśmiech jej jest pełen słodyczy. (Ten kotek ją odsztywnił.) A więc miałem rację, myślę, nie napierając na pocałunki, przeglądam dalej zdjęcia, ona zadowolona z tego dystansu, który zaproponowałem. Czas, drogocenny czas ucieka, zegar wybił kwadrans do zakończenia pracy. Zbliża się pożegnanie. Wstała. Ja też, ale wciąż jeszcze byłem po tej stronie biurka.

– Wydzwaniałeś do mojej matki? – spytała.

– Raz – przyznałem się.
– I przedstawiłeś się jako „Ślusarczyk”?
– Do usług.
– Po coś to zrobił?
– Chciałem jej powiedzieć, że ma cudowną córkę, ale nie powiedziałem tego.
– Jesteś szalony.
– Tak, oszalałem.
– Musisz się odkochać.
– Jeśli każesz... Postaram się o tobie zapomnieć.
Widziałem, że się zawahała.
– Nie – powiedziała po chwili – zapomnieć nie wolno.
– Więc co mam robić? – spytałem bezradnie.
– Nie wiem.

Ale ja wiedziałem. Domyślałem się tego coraz bardziej. Trzymałem już jej dłonie. Poczułem, że jej palce szukają skóry mojego przedramienia, że znajduje przyjemność w gładzeniu mojej owłosionej ręki, i zobaczyłem, że jej usta rozchylają się. Dotknąłem ich leciutko wargami, oddała mi ten pocałunek, sekundy niebiańskich muśnięć, nagle przywarła mocniej do moich ust, napełniła je śliną i zaraz poczułem pożądliwe ssanie w wardze. Moja prawa dłoń zacisnęła się na jej ramieniu, podczas gdy lewa, zuchwała, szukała nagiego ciała pod jej bluzką, zawędrowała do krągłości piersi, nagle wyzwolonej ze staniczka – rozkoszna krągłość, drażniąca sutka, wszystko obrzmiewa i prężnieje – pieść, pieść, powtarzałem w myśli, to najcudowniejsze, czego twoje palce mogą dotknąć – potem wyskoczyła spod staniczka druga pierś („jako sarny pasące się na łące wśród lilii”), zazdrosna o pieszczoty, stęskniona do nich jak i tamta, miałem je obie w moich zachwyconych dłoniach, usłyszałem jej przyśpieszony oddech, wydała tłumiony jęk, poczułem ostry ból w wardze. Oderwała się od moich ust i spojrzała na mnie z uśmiechem pełnym skruchy. Ja też się uśmiechnąłem – nieskruszony, zwycięski. Byłem zdumiony łaską, której dostąpiłem. Szepnąłem gorąco:
– Odmieniłaś wszystko. Zupełnie inne życie.

Nie wiem, czy mnie zrozumiała, bo strasznie dużo chciałem zawrzeć w tych ostatnich trzech słowach. Powiedziała:
– Jesteś niemożliwy.
– Wiesz, że to nieprawda – jestem całkiem możliwy.
Milczała.
Ja nalegałem:
– Dlaczego mnie całujesz? Lubisz moje pocałunki, prawda?

Kiwnęła kilkakrotnie głową, nie patrząc na mnie, jakby przyznawała się do zbrodni. Objąłem ją i pieściłem w milczeniu. Szepnęła:
– Lubię twoje ręce...
I zaraz odepchnęła mnie od siebie:
– Idź już.

Lubi moje ręce, myślałem potem stojąc na ulicy w pobliżu ministerstwa. Warga przyjemnie piekła. Nie chciało mi się odchodzić, byłem spragniony jej widoku – jeszcze, jeszcze trochę być niedaleko niej. „Lubię twoje ręce”, słyszałem to już kiedyś, ale gdzie, od kogo, ach tak, Tońka tak powiedziała. I chyba jeszcze kilka pań, tylko że nie zwracałem na to uwagi. Sara też, nawet ona. Pamiętam, jak się wtuliła kiedyś w moje ramiona – staliśmy na ścieżce leśnej, między szpalerem brzóz, mech parował, czułem, że Sara jest podniecona, krew krążyła w niej z naporem jak soki w młodym drzewie – objąłem ją od tyłu, położyłem dłonie na piersiach, i wtedy Sara, moja własna żona, szepnęła mi jak kochankowi: „Masz dobre ręce.”

Potem obserwowałem Ludwikę, nie zauważony, jak idzie w zamyśleniu do tramwaju. Raz tylko po drodze rzuciła okiem na wystawę – był to sklep z obuwiem, sama ohyda – i poszła

dalej. Ja za nią. Zatrzymała się na przystanku. Stała oparta o mur, pogrążona w myślach, najwyraźniej smutna. Tak, wszystko to ją chyba martwiło. Już mnie była odsunęła od siebie, już się wyzwoliła – a jest stworzona do jasnego, wytyczonego linią prostą życia – i znowu plątanina wróciła. Więc była zbyt pewna siebie?... Nagle podniosła wzrok i spostrzegła mnie. Nie było w jej spojrzeniu radości – raczej lęk. Zbliżyłem się.

– Czy ty masz dobrze w głowie? – zaatakowała. Tak, musiała być tym wszystkim zaniepokojona. – Dokąd się wybierasz?

– Nigdzie. Przyszedłem cię odprowadzić. Nie martw się – poprosiłem. – Wkrótce się mnie pozbędziesz.

Milczała. Wtedy ja wyjąłem z kieszeni pudełko z meksykańskim krzyżykiem.

– Chciałem ci to ofiarować. Podoba ci się?

Rozpromieniła się.

– Piękny! – Po chwili oddała mi pudełko, zniechęcona. – Nie mogę tego wziąć.

– Ależ dlaczego?

– Nie mogę. Co mu powiem? Skąd to mam?

– Wymyśl coś.

– Nie umiem. – Uśmiechnęła się. – Nie mam wprawy.

– Luteńko, kiedy ja bym tak chciał...

– Wiem, wiem. Ale ja – nie mogę. Oszczędzamy na meble.

Powiedziałem bliski rozpaczy (w poczuciu sieroctwa, pozbawiony praw do niej):

– Muszę ci coś podarować. (Księżniczko moja, myślałem, weź ode mnie srebro i bursztyny.) Coś, żebyś miała ode mnie.

– Jeśli chcesz koniecznie, to możesz mi kupić jakieś niedrogie klipsiki.

Powiedziała mi, jakie: malutkie, w kształcie serca, czerwone.

– Dziękuję ci. (Księżniczko moja, weź mnie w niewolę.)

– Za co mi dziękujesz?

– Ze mi pozwalasz coś kupić.

– Jesteś szalony.

– Tak cię uwielbiam!... Uwielbiam cię w każdej postaci. Gdybyś była chłopcem, to ja na pewno stałbym się pedałem. Gdybyś była staruchą, zrobiłbym się gerontofilem.

– To taki, co lubi stare? – upewniła się.

– Właśnie.

Roześmiała się.

– Lejesz wodę – powiedziała. – Podobam ci się dlatego, że mam dwadzieścia pięć lat. – Westchnęła: – Ach, gdybyś miał o dwie dychy mniej...

– Mam o dwie dychy mniej. – Kontynuowałem dalej swoją litanię: – Gdybyś była szpiegiem niemieckim, ja bym zdradził ojczyznę. A gdybyś była Węgierką, nauczyłbym się twojego języka.

Wybuchnęła śmiechem. O to szło. Żeby trochę rozładować napięcie. Nie mogę być przyczyną wyłącznie smutku i rozterki. Muszę ją też bawić – tak przykazał mędrzec.

Wyjąłem z kieszeni klucz od mieszkania Jemirycza.

– Wiesz, co to jest? – spytałem.

– Widzę doskonale.

– Klucz od mieszkania przyjaciela.

Z daleka nadjeżdżał jej tramwaj. Ruszyła z miejsca, ja za nią. Odwróciła się i powiedziała:

– Nic z tego.

Wcisnęła się do tramwaju, ja za nią. Spytała cicho:

– Wariacie, dokąd?

– Kilka przystanków.

Rozejrzała się z niepokojem po ludziach.

– To niebezpieczne, mogę spotkać znajomych.

– Ale ja muszę ci coś powiedzieć.

– To mów.

Tramwaj ruszył. Staliśmy blisko siebie, ludzie na nas napierali. Szepnąłem:

– Luteńko, skorzystajmy z tego klucza. Dwie godziny na osobności, we dwoje, w spokoju, bez obawy, że ktoś nagle wejdzie. Nie musi się nic dziać. Naprawdę!

Spojrzała na mnie badawczo – pewno chciała przeniknąć, czy mówię to serio – potem się uśmiechnęła, już nie patrząc na mnie, do swoich myśli.

– Och, jak się już tam znajdziemy, to wiem dobrze, czym to się skończy.

– Skończy się tym, że będę u twoich kolan.

– Nie, nie, wiem dobrze, lepiej nie ryzykować.

– Ja więcej ryzykuję – powiedziałem.

– Dlaczego?

Wtedy podzieliłem się obawą, która już od pewnego czasu mnie drążyła.

– Jest duże prawdopodobieństwo, że poniosę klęskę. – Nie zrozumiała mnie, więc wyjaśniłem: – Za bardzo cię chcę.

Nie wiem, czy tym razem już mnie zrozumiała, w każdym razie odparła:

– Bądź spokojny, nie będę cię na nic narażać.

– Luteńko – poprosiłem szeptem, podczas gdy ludzie na nas napierali (ale dzięki temu mogłem przywrzeć do niej blisko) – ja chcę się znaleźć u twych kolan.

Potrząsnęła głową. Szepnąłem:

– Pozwól mi przemówić do twojego nierozsądku...

– Nie patrz tak na mnie. – Była zmieniona na twarzy. – Ludzie widzą...

– A jak patrzę?

– Jak wilk.

– Bo chcę przemówić do twojego nierozsądku – powtórzyłem.

– Nie, nie próbuj. Ja m u s z ę być rozsądna... Teraz wysiądź.

Wysiadłem przy „Wenecji". Z ulgą powitałem powrotny tramwaj. Byłem zmęczony.

Nie wracałem więcej do tego tematu. Miałem „labę" do końca tygodnia i korzystałem z niej codziennie przez kwadrans – tuż przed końcem pracy. Oboje mieliśmy obrzmiałe wargi i udręczone oczy. Ostatniego dnia, ostatniej minuty moje natarczywe dłonie wędrując po nagiej skórze pośladków nie napotkały już na żadną przeszkodę. Usłyszałem przeciągłe westchnienie i prośbę:

– Zostaw mnie, błagam...

Nie powiedziała: „To już tylko dla męża", tym razem nie. Ale byłem zamęczony tym wszystkim i szepnąłem:

– Przyjdź, Luteńko, przyjdź. – Głos miałem zbolały, kiedy wykrztusiłem modlitewnie: – Ulituj się nade mną.

Kazała mi usiąść. Potem zaczęła się czesać. Wyjęła przybory do twarzy. – Chyba nie chcesz – odezwała się wreszcie – żeby to się między nami działo na takiej zasadzie.

– Chcę ciebie.

– To wykluczone. – Przypomniała: – Nigdy ci tego nie obiecywałam.

– Tak, to prawda.

– Dziś były nasze ostatnie pieszczoty.

Milczałem. Ona:

– Ustaliliśmy tak od razu, prawda?

– Prawda. Więc jutro pożegnalne spotkanie.

– Ale nie tutaj. – Rozejrzała się, jakby chciała jeszcze raz sprawdzić, co się dzieje w pokoju wokół niej. – Spotkamy się w Ogrodzie Saskim. Zwolnię się u pani Idalki i zaprowadzisz mnie na jakieś łakocie.

– Dla mnie lody – zastrzegłem się od razu. – Dla ciebie co?

– Dużą kremówkę.

Wpięła w uszy czerwone klipsiki, które jej kupiłem, i powiedziała:

– Urocze.

– Tylko strasznie tanie. Wszystko tanie. Chciałbym ci kupić coś drogiego.

– Nie pozwoliłabym ci się rujnować. Przecież ci się nie przelewa.

– Czekają mnie duże pieniądze – skłamałem. Ale byłem pewny, że pieniądze będą.

Dostała dziś ode mnie kwiaty, papierosy i sok.

– Rozpuszczasz mnie – powiedziała. – Mnie nikt nigdy tak nie rozpuszczał. – Westchnęła: – Szkoda, że nie jesteś moim ojcem. (Wbija igły w serce, nie czując tego nawet.) Musisz być wspaniałym ojcem. Zgadłam?

– Dzieci dość mnie kochają. A twój jaki jest?

– Zawsze w porządku – odpowiedziała krótko.

– Ale ja nie jestem twoim ojcem i nie chcę nim być. Ale mógłbym być twoim służącym – powiedziałem po chwili. – Obsługiwać cię, nosić za tobą torbę, czyścić pantofelki, anonsować gości, przekazywać liściki miłosne. Tylko dzięki pechowemu zbiegowi wydarzeń nie możesz sobie pozwolić na służącego. Dowiedziałem się, ludowa władza odebrała ci rozległe dobra rodzinne i pozbawiła korony. I ja przez to straciłem miejsce u mojej pani, ciepły kąt do końca życia... Ale panować nade mną możesz dalej.

Śmiała się. A ja gratulowałem sobie, że jakoś wybrnąłem z tego ojcostwa. Powiedziała:

– Gdybyś był o te dwie dychy młodszy, machnęłabym się za ciebie. Dobrze by mi było jak u Pana Boga za piecem.

– Ale nie jestem o dwie dychy młodszy. Poza tym wyszłaś już, o ile się nie mylę, za mąż.

– Fatalnie: na chwilę wyleciało mi to z głowy.

– I on dziś z tego skorzysta – powiedziałem. Nie mogła wstrzymać przebiegłego uśmiechu, który przewinął jej się przez usta.

– Mówiłeś coś?

– Bardzo wyraźnie. Jesteś już dysponowana.

Zdaje się, że się zarumieniła.

– O, to ty zauważyłeś?...

– Zauważyłem wszystko. – Szepnąłem z narastającym bólem w piersi: – Kocham cię. Kocham w tobie wszystko.

Zdawało mi się, że usłyszałem: „to fatalnie”. Umówiliśmy się na jutrzejszą kawiarnię i wyszliśmy razem na ulicę. Przeszliśmy obok sklepu z obuwiem, potem była wystawa cukierni „Camargo”. Zaproponowałem, żebyśmy tam weszli. Kupiłem tort marcello i wręczyłem go Ludwice.

– Po co to? – spytała, kiedyśmy wyszli.

– Na dzisiejszy wieczór – powiedziałem. Skoro już ma być...

Jej uśmiech wydał mi się zagadkowy. Ucałowałem jej dłoń i powiedziałem:

– Życzę powodzenia, Luteńko. Dużo słodyczy...

Zdawało mi się, że zrobiła kwaśną minę, potem usłyszałem:

– Wariat jesteś...

Siedziałem w słońcu w Ogrodzie Saskim, o kilkadziesiąt kroków od Grobu Nieznanego Żołnierza, i robiłem pośpiesznie notatki. Czekało mnie spotkanie pożegnalne – rozdział zamknięty, już tylko materiał do wspomnień, już tylko szczęście minione – ale ja nie chciałem się poddać. Coś się jeszcze stanie. Zakreślałem w myśli całą strategię. Zastawiałem pułapki psychologiczne. Punkt pierwszy: Każdy człowiek jest nie zrozumiany, młode dziewczyny w szczególności, trzeba dać jej się wygadać. (Nie, ona nie jest gadułą, przeciwnie, raczej powściągliwa – ten chwyt odpada.) Punkt następny: Ponieważ człowiek wstępujący w życie,

młoda dziewczyna w szczególności, jest bardzo niepewny swojego znaczenia (chociaż daje się nieraz unieść na swój temat wyobraźni aż do granic, kiedy staje się to patologiczne), ponieważ utwierdzenie się we własnej wartości – poprzez innych ludzi – jest tak ogromnie ważne, będę ją komplementował bez ustanku, niezmordowanie, zaspokajając potrzebę samoutwierdzenia tak, jak zaspokaja się głód seksualny. Nie są to oczywiście potrzeby wymienne, ale na pewno wzajemnie się uzupełniające. Przy czym jedna drugą może rozbudzać. Daj jej do zrozumienia, że jest wyjątkowa, a może poczuje pociąg fizyczny do ciebie. Ale ona rzeczywiście jest wyjątkowa – to właśnie chcę jej przekazać, musi zrozumieć, że emanuje z niej niebezpieczny urok, który uszczęśliwia mężczyzn i zamienia ich w jej poddanych – mówienie o tym mnie samego podnieca, bardziej niż ją, i dlatego komplementowanie jej jest nie tylko potrzebą serca, ale i wyładowaniem fizycznym. Dalej: „Władza nad mężczyzną dojrzałym" – notuję, nie rozwijając już tej myśli. I to władza nie nad byle kim, nie jestem bowiem byle kim, przynajmniej dla niej, jestem M M N, doktor ekonomii, moje nazwisko zawędrowało do Informatora. Dla dziewczyny, którą krótko trzymał ojciec, potem despotyczny mąż („żywioł!"), to panowanie może stać się niezwykłą przygodą. Czymś tak nie znanym, że aż upajającym. Pozwolę jej nad sobą panować. Będę na rozkazy. Wykonam każdy kaprys. Rządź, księżniczko proletariacka. Oszołomię ją absolutnością jej władzy. Myślałem o tym zdając sobie równocześnie sprawę, że doszedłem do tej wiedzy dzięki tym kilku młodym dziewczynom, które ją poprzedziły. Czekając na nią w Ogrodzie (tym samym, gdzie przed wojną chodziłem na pierwsze randki – więc tak, topografia ta sama, tylko postaci inne; a ja? chyba też trochę inny), myślałem z utęsknieniem o tej chwili, kiedy wolno mi będzie wykonywać jej polecenia.

Przyszła punktualnie. Byłem prawie pewny, że tak będzie, wnioskując ze sposobu, w jaki pracowała. Zdaje się, że to pierwsza dziewczyna w moim życiu, która nie ma zwyczaju spóźniać się na randkę. Powiedziałem jej to (komplement numer jeden). Ucieszyła się. Spytałem:

– A zakręcasz tubkę od pasty do zębów?

– Zawsze.

– Idealna!... Warto się z tobą ożenić.

– Nie tak zupełnie: jako kucharka znam tylko dwa dania. Nie umiem kroić ani szyć. Dokąd idziemy?

Wymieniłem kawiarnię w najbardziej ekskluzywnym hotelu, przychodzą tam tylko bogaci cudzoziemcy. Sprzeciwiła się:

– Nie, tam musi być obłędnie drogo.

– To pożegnanie, Luteńko – przypomniałem. – Trzeba wziąć też pod uwagę, że tam jest bezpiecznie – nie spotkamy jej znajomych. To był argument. Poza tym Ludwikę chyba zaciekawił ten lokal. Szła przez hall hotelowy bez pośpiechu. Szepnęła do mnie: „High life, nie?" Przylizani kapitaliści, rozparci w fotelach klubowych, nad którymi unosił się słodki, gęsty zapach tytoniu fajkowego, towarzyszyli jej głupkowatymi spojrzeniami. Moja sosna – pomyślałem z dumą i rozczuleniem. Była w letniej brązowawej sukience w drobne kwiaty, z krótkimi rękawami. Nogi miała opalone, ale pantofelki trochę sfatygowane. „Kupię jej" – obiecałem w myśli, choć nie wiedziałem za co. Dwie panie do wzięcia, mocno umalowane, w krótkich obcisłych spódniczkach, w wysokich butach na długich szpilach, też obrzuciły Luteńkę wzrokiem. Spytała mnie szeptem: „To takie?" Potwierdziłem. „Powiedz, dlaczego od razu je się rozpoznaje?" „Tak już jest" – odpowiedziałem. Nie było sensu wdawać się w wyjaśnienia. Zobaczyłem wychodzącego z kiosku z zagranicznymi towarami Chichota, tego, który wydarł nam „Życie", żeby na jego miejscu poprowadzić „Tydzień" (Chichot – mój zły cień z wojska i potem, z pracy dziennikarskiej, zawsze koło mnie, jak przepowiednia nieszczęścia), zdaje się, że chciał podejść, chwyciłem Luteńkę za łokieć (żeby nie miał wątpliwości, z kim ona jest), wyczułem, że nim to z lekka wstrząsnęło – a więc to tak, musiał pomyśleć, Wilkot z fantastyczną dziewczyną, nie do zdarcia facet, cholera, nie wykończyliśmy go. Poszliśmy szerokimi schodami na piętro. Nie było na schodach nikogo, pustka, cisza, ele-

gancja, high life, spojrzeliśmy na siebie i – tak, oboje mieliśmy tę samą myśl – przywarliśmy do siebie w pocałunku. Pachniała, w głowie mi się zamąciło. Moje szczęście – myślałem całując ją – mój cudzie, to się nie może zakończyć, nie, jeszcze jesteś moja, jeszcze, jeszcze... Usłyszałem kroki, do hallu schodził jakiś Arab, zdążył przychwycić nas, jak odrywaliśmy się od siebie zamgleni pożądaniem, oczy mu zabłysły zazdrością. Sosno moja! wszyscy plackiem przed tobą! Kawiarnia była prawie pusta. Wybrałem stolik bardziej osłonięty od innych. Podeszła kelnerka i podała dwie karty. Luteńka zerknęła w swoją i szepnęła przerażona:

– Strasznie drogo.

– Nie patrz na prawą stronę karty – poradziłem.

– Ależ ty się zrujnujesz.

– Najpierw się zrujnuję, potem powieszę. Luteńko, na co mi te cholerne pieniądze, jeśli nie po to, żeby ci sprawiać przyjemność. Podoba ci się tu?

– Fajnie. Ale nie będę mogła się przyznać, że tu byłam. I sypnę się przy pierwszej okazji.

– Zaciągniesz go kiedyś – i będzie podkładka.

– Nie, on tu nie przyjdzie.

– Wypijemy po napoleonie – zdecydowałem. – Croizet.

– Znasz się na koniakach?

– Pracowałem jakiś czas w wytwórni win i wódek.

– Czy jest coś, na czym się nie znasz?

– Na elektrotechnice. Poza tym bywałem murarzem, pastuchem, traktorzystą, szoferem, tragarzem, smolarzem, nauczycielem, budowałem szosy i linie kolejowe, wojowałem, pracowałem w fabryce chemicznej, pieliłem winnice. Umiem robić lody – dodałem. – Ale wolę zamówić. Co dla ciebie?

– Co to jest, ten tort hiszpański?

– Nie wiem, ale to chyba dobre.

– Jeszcze coś, czego nie wiesz. Zaryzykuję – powiedziała.

Kelnerka przyjęła zamówienie: dwa koniaki croizet, raz tort hiszpański, raz lody, dwa kapucynki, dwa soki pomarańczowe i woda mineralna.

– Zrujnujesz się – powtórzyła przerażona.

– Fajnie tu? – przypomniałem.

– Bardzo. Dobrze się w tym czuję.

– Księżniczko moja – szepnąłem. – Czy naprawdę się żegnamy?

– Wiesz, że musimy. Postanowiliśmy.

– Pamiętam. Ale wiesz co? Kelnerki jakoś nie widać.

Co ty na to?

Rozejrzała się: tak kelnerki nie widać. Pozwoliła mi się objąć i wycałować. Zdaje się, że jakiś Libijczyk nas przyuważył. No cóż, niech ma za swoje petrodolary...

Mieliśmy już nasze koniaki, lody i wszystko inne. To ona pierwsza uniosła kieliszek. Zaraz powie „zdrówko” – pomyślałem.

– Zdrówko – powiedziała.

– Kocham cię i zawsze będę cię kochał – taka była moja odpowiedź.

Zaczerwieniła się – i później, pewno to skutek koniaku, przez cały już czas miała gorące policzki.

Powiedziałem, że muszę jej coś wyznać. Coś o sobie. Żeby wiedziała o mnie wszystko. Chcę, żeby mnie miała w ręku. W dzisiejszych czasach ludzie są strasznie podejrzliwi, to jakaś psychoza, każdy wydaje się niepewny, każdego radzą się strzec. Więc ja jej chcę dać dowód całkowitego zaufania. Opowiedziałem jej, że mam kłopoty z pewnym urzędem, mniejsza o to, jakie, nachodzą mnie, naciskają. Opowiedziałem jej także, co piszę i dla kogo. I że oni się domyślają. Chcą mnie skruszyć, ale to mnie niewiele obchodzi. Właściwie to ja lubię walkę, odradzam się jako fighter – tak nazywają Amerykanie bokserów walecznych (bo są i pię-

ściarze tchórzliwi i kunktatorscy) – ale ostatnio spostrzegłem, że moje zainteresowanie całą ta sferą osłabło, interesujesz mnie tylko ty, ty jedna. To fatalnie – zakończyłem z uśmiechem.

– Fatalnie – przyznała. – Dziś się żegnamy i więcej nie powinnam cię interesować. Będziesz się nadal pasjonował tamtymi sprawami.

Nie, pomyślałem, coś się jeszcze stanie, walka trwa. Ja nie ustępuję. Orzech.

– Trzeba, żebyś jakoś to wszystko przetrwał – mówiła. – Nie daj się zniszczyć.

– Jeden z tych prześladowców widział nas, jak tu wchodziliśmy.

– To niedobrze? – zaniepokoiła się.

– Przeciwnie, bardzo dobrze. To znaczy, że trwam nieskruszony, a koło mnie jest piękna dziewczyna.

– Och, nie jestem piękna.

Może i nie, pomyślałem, ale i tak cię uwielbiam, więc powiedziałem:

– Jesteś.

– W twoich oczach...

– Jesteś. Jesteś. Ja mam najlepsze oczy w Warszawie. Jesteś cudem – szeptałem pijany miłością, szeptałem z premedytacją (komplement numer dwa, trzy, cztery, pięć), ale czując, że to wszystko prawda, bo ona j e s t cudem. – Nie ma takiej jak ty w promieniu pięciu kilometrów.

– Wygłupiasz się.

Wypiliśmy trochę i powiedziałem:

– W promieniu dwudziestu kilometrów... Podobno za Dębówkiem jest już jedna piękniejsza od ciebie, będę musiał pojechać sprawdzić. – Pogroziła mi palcem i to dodało mi otuchy, nabrałem wiatru w skrzydła i ciągnąłem: – Ale tamta nie pracuje w biurze dokumentacji, a poza tym ja jej nie kocham. To strasznie ważny element twojej urody. Właściwie nie musisz być piękna, możesz to sobie odpuścić, jesteś moją najcudowniejszą sosną – i wszystko w tobie jest prześwietlone twoim sosennym wdziękiem, sośnianą urodą (komplement numer sześć, siedem, osiem – ale ja mówiąc to kochałem ją do nieprzytomności – sosna, pod którą spotykali się Tristan i Izolda, pomyślałem, ta sama wyniosła sosna, która kryła ich miłość – ten koniak naprawdę był wspaniały, lepiej, żebym go już nie pił).

Jej policzki pałały, widziałem to. Spytała:

– Więc to dobrze, że tamten nas widział?

– Znakomicie.

– Czy uważasz, że poprawiłoby ci to sytuację, gdyby nas widywano razem?

– Tak, na pewno.

– Trzeba się nad tym zastanowić.

– To znaczy?

– Mogę odgrywać twoją dziewczynę. Pójdziemy do różnych melin, gdzie oni chadzają, i niech się na nas gapią. Powiemy Wojtkowi, co jest grane. I że ty mnie do tego wynająłeś.

– Za ile? – zaciekawiłem się.

– Skąd mogę wiedzieć – to jest coś całkiem nowego, jeszcze nie ma cennika. Zabawne, nie? Będę za pieniądze udawać twoją dziewczynę!... – Popatrzyła na mnie z uśmiechem. – Wojtkowi nawet przez mózg nie przeleci, że coś może być pod tym prawdziwego. Jest tak pewny siebie: on i ty – co za porównanie!

Spytałem znękany:

– Nie mogłabyś być mniej szczera?

– Ach, Herr Doktor, przepraszam! Ale chyba nie o to chodzi, że jesteś przystojny?

– Może i o to – czemu nie? Nie widzę przecież siebie – widzę ciebie. Kiedy na ciebie patrzę, część twojej urody przenika we mnie. Po prostu wydaje mi się, że jestem twoim odbiciem.

– Dziękuję – powiedziała udając nadąsanie. („Fatalnie" – pomyślałem.)

Do kawiarni zajrzał Chichot i zaraz się wycofał. Ci ludzie – pomyślałem – nie, ona nie powinna między nimi być, to zbyt brudne, jeszcze się coś do niej przylepi.

– Luteńko, zdecydowałem, że nie skorzystam z twojej oferty.

– Wycofujesz się?

– Nie chcę cię prowadzić do tych miejsc, gdzie ci panowie cieszą się życiem. Po co masz być wplątana w jakieś brudy? Odnotują cię i wciągną do swoich kartotek.

Nie, lepiej nie.

– Dasz sobie jakoś radę? – zatroskała się. Chciała usłyszeć, że dam sobie radę, i to właśnie usłyszała.

– Bądź spokojna.

Przez chwilę delektowaliśmy się kawą.

– Czy mogę cię o coś spytać? – odezwała się.

– O wszystko.

– Co to znaczy M M N? Coś chyba znaczy?

– Owszem.

– Bo może to tajemnica?

– Przed tobą nie mam tajemnic. (Uwaga! – zabrzęczało w mózgu. Ostrzeżenie pani Bielawskiej uruchomiło dzwonek alarmowy. Do diabła, nie dajmy się zwariować.) Ale spróbuj zgadnąć.

– To czyjeś inicjały. Michał... Maria... – odgadywała. Nagle się zniechęciła. – Ee, podpuszczasz mnie, a ja się daję nabierać.

– To skrót – wyjaśniłem. – „Milczące między nami."

– Między kim?

– Cytat z *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima. Zakończenie modlitwy. M i l c z ą c e m i ę d z y n a m i s t a n i e – z j a w ą z ł o w r o g ą.

Wyrecytowałem to odpowiednio groźnie, niby duch z zaświatów, i mnie samego dreszcz przejął.

– Ale dlaczegoś użył tych literek?

(Uwaga! Dzwonek alarmowy zaterkotał, ale ciszej.)

– Bo to nad nami ciąży. Wciąż między nas wkracza. To, co się wtedy tu stało. To, o czym się nie mówi. Jak przekleństwo. Jak upiór.

– O pewnych sprawach – powiedziała – chyba rzeczywiście lepiej milczeć.

– Ale w środku krzyczy. Wraca w snach.

Sięgnąłem po croizet, ona poszła za moim przykładem. Mruknąłem:

– Można to odnieść i do tego, co się dzieje ze mną teraz. Dlatego jestem taki rozgadany dzisiaj, bo wszystko, co do ciebie czuję, muszę tłumić w sobie. Wszystko trawię w milczeniu. – A ja? – usłyszałem. – Ja tak samo. Też w milczeniu.

Byłem wstrząśnięty tym wyznaniem. Dotknąłem jej dłoni, odwzajemniła mi uścisk.

– Więc ty też?...

– Czy wszystko trzeba ci wbijać młotkiem do głowy? Pamiętasz mój horoskop? – przypomniała nie patrząc na mnie. – Więc to się zgadza. – Po chwili: – Chyba to czułeś? Przypomniałem sobie jej namiętne pocałunki – wargę miałem wciąż jeszcze opuchłą – i potwierdziłem: tak, czułem. Jak na nią, tak mało wylewną, było to bardzo dużo. Nigdy nie powie wprost: „tak, kocham cię", tylko jakoś okrężnie, po anglosasku, niemal językiem dyplomatycznym. Może jest tylko prawdomówna: ponieważ uczucia, które dla mnie żywi, nie uważa za miłość, to nie aż tyle – przynajmniej w jej pojęciu – więc woli nie naciskać pedału do końca.

– Mama coś spostrzegła – powiedziała z uśmiechem. – Spytała raz, dlaczego chodzę do pracy taka wystrojona. „Dla kogo?"

Powiedziała to i spojrzała na mnie, a ja się zmieszałem.

– Jeśli chodzi o moją osobę – zauważyłem – to zdaje się, że nikt z bliźnich o nic cię nie podejrzewa.

Jedliśmy przez chwilę w milczeniu: ja chłonąłem swoje lody, ona delektowała się tortem. (Wiedziałem, że wszystko to działa na moją korzyść: tort, koniak, droga kawiarnia.) Potem wyjaśniła mi: nikt nie zauważył jej uczucia, bo ludzie wyobrażają sobie zwykle romans z kimś młodym, przystojnym, na co innego brak im po prostu wyobraźni... Może kto inny poczułby się trochę zadraśnięty w dumie, a mnie, przeciwnie, ogarnął spokój – wyłuskałem z tych wyjaśnień to, co dla mnie najważniejsze. I cały poprzedni niepokój wydał mi się naraz bezpodstawny. Nie zmieniła się sytuacja, bez zmiany pozostały realia – to nadal jest nasza uczta pożegnalna – ale zmienił się ton, barwa, i to okazało się ogromnie ważne. Powiedziałem jej:

– Czy mówiłem ci już, że masz we mnie przyjaciela?

– Mówiłeś.

– Więc pamiętaj: masz, korzystaj. A mówiłem, że możesz mi rozkazywać?

– Mówiłeś, ale ja nie mogę tego przyjąć do wiadomości.

– Przydałaby ci się spódnica?

Westchnęła tylko.

– Kupimy ci spódnicę.

– Zostaw.

– Zagraniczne pantofelki.

– Wykluczone.

– Naszyjnik z bursztynem.

– Błagam cię...

– Błagaj mnie po imieniu – poprosiłem.

– Jurek? – upewniła się. – Jureczek?

– No, choćby.

Minę miała zakłopotaną, prawie skwaszoną. W tej chwili i mnie moje imię wydało się okropne, rzeczywiście nie do wymówienia.

– Jureczek... – próbowała międlić to imię. – Jakoś nie umiem.

– Przecież nawet pies ma nazwę.

– Tak i reaguje na nią. Burek, do nogi, owszem... Herr Doktor, nasze rozmowy nie sprowadzają się do tego, żeby skomleć i czochrać się. – Pomyślałem, że co do mnie zgadzam się na czochranie i skomlenie. Ona moje spojrzenie na nią pełne zainteresowania odebrała nieco inaczej i pośpieszyła zapewnić: – Poczekaj, przyzwyczaję się. – Ujęła moją dłoń i przyłożyła do swojego policzka. – Jestem pijana.

Mieliśmy się rozstać, ale ja wciąż byłem tak samo zakochany. Usiłowałem jej to przekazać.

– Luteńko, powiem ci coś: będziesz miała wspanialszych facetów niż ja. Przystojnych, młodszych, bogatszych, nawet inteligentniejszych – chociaż o to niełatwo. (Kiwnęła głową.) Ale nikt cię nie będzie tak szaleńczo kochał. Bo to trzeba umieć, słowo daję, to jest dar Boży. Za ileś tam lat pomyślisz sobie: ten mnie kochał jak nikt.

Westchnęła:

– Jestem skłonna ci wierzyć.

– Ale ja też nigdy nikogo tak nie kochałem. (Może raz – pomyślałem. Sarę kochałem równie mocno. Ale po co o tym mówić?) Miłość była zawsze uzupełnieniem. Najpierw praca, studia, rodzina, pasje zawodowe, społeczne, intelektualne – do tego miłość. Teraz jest odwrotnie. Ty jesteś na pierwszym miejscu. Wszystko inne stało się dodatkiem.

– Wiem – powiedziała. – Wiem, że to tak u ciebie jest. Wyczułam to, kiedy pierwszy raz mnie całowałeś. Boś tak drżał. Zrozumiałam, że ci strasznie na mnie zależy.

Ja nagle umilkłem – poczułem się zdemaskowany.

– Gdyby tak nie było – powiedziała cicho – gdybym miała być tylko dodatkiem do twoich prawdziwych pasji, nie mielibyśmy tego ostatniego tygodnia.

Potem jeszcze powiedziała:

– Mam taką przyjaciółkę od serca, wiesz, taką, co wie o mnie wszystko. Opowiedziałam jej o tobie. Bałam się, że mnie zwymyśla. A wiesz, co ona na to? Wyjawiła mi pewną tajemnicę – świnia, dotychczas ją przede mną ukrywała. To, że kiedy miała osiemnaście lat, związała się z pewnym panem o trzydzieści lat starszym. Trwało to cztery lata. Ona nie żałuje. Było, mówi, wspaniale. Cztery lata!...

Ja milczałem. Pomyślałem tak: dziewczyno, wkraczasz na nowe ścieżki, nie wiesz jeszcze, dokąd cię one zaprowadzą, ale wiesz, że masz romans niepowszedni; więc pełna niepokoju i wyrzutów sumienia szukasz aprobaty dla swojego postępowania i wreszcie znajdujesz ją u przyjaciółki; to uspokaja i wprawia w dobry nastrój. Ale gdyby przyjaciółka skrzywiła się? Nieraz nam się wydaje, że robimy tylko to, co uważamy za słuszne, podczas gdy naprawdę ulegamy ciśnieniom z zewnątrz, wciągamy się w zbiorowe fascynacje lub w zbiorowe wstręty, bez próby odważnego przeciwstawienia się. Być sobą, myślałem, być naprawdę niezależnym – to wymaga przede wszystkim doświadczenia, zasobów porównawczych, umiejętności zdystansowania się do samego siebie. Nauczę ją tego. Wymogę na niej. Cztery lata! – pomyślałem. Boże, daj mi ją na pół roku. Trzy miesiące!... Albo pozwól mi o niej zapomnieć.

Powiedziała:

– Jutro moglibyśmy się spotkać. On pomaga koledze w przenoszeniu mebli. Będę miała dla ciebie godzinę czasu. Może znowu tutaj?

Szepnąłem:

– Mam jeszcze ten klucz.

– Klucz?

– Tak, pokazywałem ci. Od mieszkania przyjaciela.

I wtedy ona położyła przede mną serwetkę z wydrukowaną nazwą kawiarni i rozkazała: – Rysuj.

Zegarek. Położyłem go na stole. Przedtem przetarłem w tym mieszkaniu kurze. Zegarek – spojrzałem znowu na tarczę: miałem dwie godziny czasu. (Ona będzie dla mnie miała godzinę.) Za dwie godziny wszystko się zdecyduje. Przegram. Rozejrzałem się: było nieapetycznie, tu nie można wygrać – przegram, przegram, wiem o tym doskonale. Nie rozmyślaj – upominałem się – bierz się do roboty. Znosiłem książki w jedno miejsce, żeby jakoś uporządkować podłogę, potem wziąłem do ręki szczotkę. Przetarłem czarne od sadzy parapety. Okna – nie, nie dam rady – zostaną takie, jakie są, szare i tłuste szyby, za nimi wyłom odrapanego muru. Księżniczko moja, jak śmiałem cię tu przyprowadzić? Teraz łóżko – staroświeckie, skrzypiące, okropność. Idioto, trzeba było przynieść prześcieradło, ręcznik – czemuś o tym zapomniał? Przyniosłem tylko colę i drogie zagraniczne papierosy. Ale może w tej szafie? – przyszło mi na myśl. Ukląkłem i wysunąłem szufladę: było trochę czystej bielizny, był i ręcznik, choć sprany i naddarty. Ściągnąłem pościel, rzuciłem do kąta, a na materacu rozesłałem czyste prześcieradło. Było wilgotne, pachniało czymś zleżałym; znalazłem piecyk elektryczny i włączywszy postawiłem na łóżku. Wszedłem do łazienki: jeszcze jedna okropność. Wanna, pewnie przedwojenna, z czarnymi plamami od odrapanej emalii. W co ja ją pakuję! Wziąłem się do szorowania, spociłem się, od nachylenia zaczęło łamać w krzyżu – tylko się nie skarżyć – żadnych dolegliwości, żadnych postękiwań, choćbym umierał na atak serca, mam być młodszy od tamtego, od Wojtusia (on jednak ma imię, a ja chyba już na zawsze pozostanę panem doktorem) – szorowałem zawzięcie, dużo to nie poprawiło, ale miałem przynajmniej świadomość, że wanna czysta, świadomość to też coś znaczy. Odlałem się – był skurczony, zziębnięty, no, haniebny, prawie go nie było – co to będzie, rany boskie, jak się z czymś takim pokazać – klęska, klęska absolutna. Wszedłem do wanny, ciepłe mydliny powinny go były trochę ożywić, potem strumień gorącej wody – zobaczyłem swą nagą postać w lustrze, nie wyglądałem źle po zrzuceniu tych kilku kilogramów – tylko żeby on nie nawalił – żeby, psiakrew, nie nawalił – żeby... Nie spałem tej nocy, wyobrażałem sobie, co nastąpi, wyobrażałem ją sobie nagą w moich ramionach – nagą, nareszcie – i nic, nie czułem podniecenia,

tylko nie mogłem zasnąć. Mówiłem sobie: jeśli będziesz się tak bał, to oczywiście przegrasz, znasz się przecież na tym. Wiedziałem, że przegram, i wiedziałem, że przegram właśnie dlatego, że o tym wiem. Przypomniałem sobie z niepokojem, że kiedy ją całowałem i tuliłem do siebie, moje szczęście było jakby pozbawione żądzy, zupełnie jakbyśmy mieli tylko usta, ramiona i piersi, i chociaż moje palce pieściły ją bardzo intymnie, jednak i to nie wywołało u mnie widomych przypływów podniecenia, tylko wzruszenie, rozczulenie i zachwyt.

Ale może nie ma się czego bać. Dawno nie miałem kobiety, więc już to samo powinno zadziałać. Stary, przecież jesteś cholernie sprawny! Wystarczy, żebyś ją miał w ramionach, przetoczył dłonią po nagiej skórze pośladków, odczuł dreszcz, z jakim ona to przyjmuje... Nie, to nie jest takie pewne. To, że dawno nie miałem kobiety – owszem, powinienem być spragniony – ale czyż nie powiadają znawcy przedmiotu, Grzegorz na przykład: „pióro musi pisać"? Jeśli na powitanie ona otuli mnie ramionami, jeśli powie z westchnieniem: „nareszcie", jeśli będzie dla mnie czuła, przestanę się bać i wszystko będzie dobrze. W mieszkaniu już nic nie było do zrobienia, tylko czekać – potulnie czekać na klęskę. Czas wlókł się jak na złość. Ubierałem się po kąpieli bez pośpiechu. Potem otworzyłem paczkę kentów i wypaliłem jednego. Zegarek leżał na stole.

Gdzieś daleko rozległo się wycie syreny karetki reanimacyjnej; pędziło ku mnie potężniejąc pod samym oknem, wdarło się do pokoju, uderzyło o ściany i oddaliło się zawodząc. Jeszcze przez chwilę wsłuchiwałem się w odgłosy uliczne starając się wyłowić niknący jęk syreny. Zrobiło się cicho. Jemirycz w szpitalu, pomyślałem. Miejmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Och, wyjdzie na pewno. Przymknąłem oczy. Usiłowałem przywołać obraz Luteńki – jej usta, kształt jej piersi pod moją dłonią – nie potrafiłem, mgła, coś rozpływającego się, niemal bezcielesnego – „fatalnie", usłyszałem, to usłyszałem wyraźnie. Spojrzałem na zegarek: za kwadrans. Trzeba po nią iść.

Umówiliśmy się, że wyjdę po nią na przystanek autobusowy, stamtąd ją poprowadzę. Już była, kiedy nadszedłem, stała wyprostowana, z zadartą ku słońcu głową. Miała na sobie długi, rozpinany sweter z grubej popielatej wełny nakrapianej czernią. Rozpoznałem brązową ciepłą spódnicę i te same pantofle, co ostatnio, z lekka sfatygowane. Chwilę ją obserwowałem, lubię jej się przyglądać nie zauważony, więc i teraz patrzyłem, nie dostrzegłem w jej twarzy śladów nerwowości ani radości, żadnego zresztą wyrazu, chyba że rezygnacji. Jednak zdecydowała się przyjść – co ją do tego pchało? Zbliżyłem się i szepnąłem: „Jestem." Spojrzała na mnie bez uśmiechu, mruknęła: „cześć", i spytała:

– Którędy?

Wskazałem kierunek. Chciałem ją wziąć za rękę, ale żachnęła się – „nie, nie, zostaw!" – rozejrzała się niespokojnie i zarazem ukradkiem i powiedziała:

– Idź przodem... To dla mnie bardzo niebezpieczne okolice.

– Bo co?

– Ulka tu mieszka. Jeszcze tego trzeba, żeby mnie tu siostra podpatrzyła.

Szliśmy więc w milczeniu, ja pierwszy, ona za mną, blisko muru, jakby skradając się w walce ulicznej. Nagle odezwała się:

– Przejdźmy na drugą stronę.

Przecięliśmy jezdnię (uwaga! skoszą nas z kaemów!), nie było prawie ruchu: sierpniowa niedziela, kto żyw za miastem – chodniki też opustoszałe. Tak doszliśmy do obskurnej klatki schodowej. Zwróciłem się ku niej, poszarzałej na twarzy, jakby te mury na nią oddziaływały:
– Przepraszam za to wszystko.

Nie odpowiedziała. Mnie drżała ręka, kiedy wsadzałem -klucz do zamka, chciałem szybko, wyszło oczywiście dłużej, niż należało. Znaleźliśmy się w mrocznym przedpokoju. Poczułem teraz wyraźną stęchliznę tego mieszkania, ale pomyślałem: nic to. Teraz powinna była zarzucić mi ręce na szyję i szepnąć: „Nareszcie." Nie zanosiło się na to. Pocałowaliśmy się,

owszem, z mojej inicjatywy, ale był to pocałunek raczej konwencjonalny, w każdym razie bez tego ssania w wardze. Wysunęła się z moich ramion i poprosiła:

– Pić.

Otworzyłem colę, nalałem jej i sobie. Piła bez pośpiechu (cenne minuty upływały), być może mniej spragniona, niż to okazywała. Podsunąłem jej kenty, wzięła jednego, ja też, zapaliliśmy. Powtórzyła:

– To bardzo niebezpieczne dla mnie okolice. Zdjąłem zegarek i położyłem go na stole. Było mi czegoś zimno, jej zdaje się też. Dotknąłem jej szyi, próbowałem zdjąć sweter. Podniosła się.

– Nie, ja sama.

Zaczęła się rozbierać. Zdawało mi się, że jej ciało, w miarę jak ona je obnaża, pokrywa się gęsią skórką. Błysnęła biel małych piersi i skurczonych od chłodu pośladków, i pomyślałem sobie, że ich bladość odcina się od opalonego ciała w sposób niezachęcający. Ja rozbierałem się zasłonięty oparciem krzesła. Wciąż nie miałem dla niej nic i już byłem pewny, że to wszystko skończy się katastrofą. – To tu? – spytała wskazując na łóżko. Położyła się podkurczywszy kolana.

Spojrzałem na zegarek: straciliśmy najmniej kwadrans. Potem pochyliłem się nad nią, starając się, żeby widziała ze mnie jak najmniej. Księżniczko moja – modliłem się – dziewczyno najdroższa, czemu cię wcale nie pragnę? Może pocałunki coś spowodują, pomyślałem i przypomniałem sobie scenę z *Some like it hot* z Marylin Monroe i Tony Curtisem, jak pod wpływem jej pocałunków jego okulary pokryły się parą. Tylko że tam ona jego całowała, sprostowałem w myśli, która szybowała wciąż na strony, gdzieś poza nią, poza ten straszny pokój. Więc całowałem długo, usłyszałem upragnione westchnienie, które później przeszło w żałosne skomlenie, zupełnie jak u małego szczeniaka. Chciała mnie, rwała się ku mnie – Ja wciąż nie miałem dla niej nic. Szepnąłem: „Dziewczyno, nie martw się. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Sam nie wiem." Ale wiedziałem dobrze: sparaliżowało mnie. „Nie pomogą błagania ni myślne, ni ręczne" – przypomniał mi się Montaigne. Jej głowa miotała się wściekle na poduszce, zupełnie jak pod wpływem jakichś ukłuć; szeptała ściskając mnie ramionami: „Ja cię tak chcę... ja cię tak chcę..." Ale ja nie miałem dla niej nic. Nie wierzyłem zresztą w szczerość tego szeptu. Przełamywała nim swoje własne lęki. Pieściłem ją, oczywiście, i jak ciężki obowiązek spełniałem wszystko, co należy w takiej chwili czynić. Bez skutku. Flak – przypomniał mi się Witkacy. Flak, flak, flak. Może należało coś zażyć? Wzmocnić się jakoś specjalnie? Ale czym? Flak, flak. Przypomniał mi się Stendhal: O *fiasku.* Potem znowu Montaigne. Ona już się nie miotała, leżała spokojnie, tylko skomlenie nie ustawało, cichutkie, żałosne – zbito tego psiaka... Byłem zdruzgotany – i wiedziałem, że dziś się już z tego nie podniosę. Zegarek głośno tykał. Gdybyśmy przynajmniej mieli więcej czasu!... Szepnąłem:

– Przepraszam... Nie wiem sam, co się dzieje... Tak powiedziałem, ale przecież przewidziałem to wszystko, nawet ją uprzedziłem, że coś takiego może się zdarzyć, wtedy, na przystanku tramwajowym. Spytała:

– Która godzina?

Zamiast odpowiedzi, spróbowałem raz jeszcze ją pocałować. Był to długi pocałunek, właściwie upajający – kocham cię, kocham, podniecałem się tak w myśli, ale bez skutku, za to ona westchnęła, usłyszałem kilka krótkich skomleń, błysnęła mi nadzieja, że to może już – Boże, spraw, żeby była łatwa – ale ze mną nadal nic się nie działo. Wtedy sięgnąłem ręką do stołu po zegarek i pokazałem go jej.

– Muszę iść – powiedziała. – Gdzie jest tu coś do umycia się?

Pokazałem jej ręką, gdzie. Krtań miałem ściśniętą, nie umiałem z siebie wydobyć głosu. Wyśliznęła się spod mojego obojętnego ciała. Ja nie patrzyłem na nią, nie chciałem widzieć chłodnej bieli jej pośladków, której przypisywałem częściowo winę za to, co się stało. Kiedy usłyszałem szum wody, wstałem z łóżka i ja i zacząłem się pośpiesznie ubierać. Usiadłem

przy stole i zapaliłem papierosa. Wiedziałem, że tak się stanie – myślałem – wszystko wiedziałem z góry, a jednak ją tu sprowadziłem. Jak śmiałem! Co ona teraz myśli? Żałosny, śmieszny impotent! Oczywiście, wszystko zrzuci na mój wiek – dla niej pięćdziesięciolatek to staruch, ktoś kto już nie funkcjonuje jako mężczyzna, sam kiedyś tak uważałem. Pomyślałem o swoim penisie z nienawiścią: mam wroga między nogami, perfidnego wroga, robi mi kawały, diabelskie sztuczki – kocham ją, szaleję, mogłem ją zdobyć, przyszła do mnie, zgodziła się, tylko on, ten mój wróg, nie bierze w tym udziału, odmawia pomocy. Wróciła z łazienki już ubrana.

– Obskurnie tam – mruknęła i wstrząsnęła się.

– Zapalisz? – spytałem.

Skinęła głową i usiadła przy stole, nie, raczej osunęła się na brzeżek krzesła, jakby nogi się pod nią nagle załamały. Pstryknąłem zapalniczką, chciałem coś powiedzieć, ale zrezygnowałem. Nic nie umiałem wymyślić. Ona tak samo: siedziała milcząca, zamknięta w sobie, nie mogłem odgadnąć z wyrazu twarzy, o czym myśli. Jest upokorzona, odgadywałem, nienawidzi mnie. Zdusiła papierosa.

– Idę.

– Odprowadzę cię. Wzdrygnęła się:

– Nie, po co.

– Odprowadzę cię – upierałem się.

– Dobrze – zgodziła się nagle. – Nie wiem, do którego przystanku iść. Żeby tylko nikogo nie spotkać...

Ja prowadziłem. Na ulicy pachniało przyjemnie, szliśmy w cieniu młodych lip. Szedłem obok niej, niższy i starszy, starszy o całe dziesięciolecia. Zdeptany i utytłany w klęsce. Ona myślała, byłem tego pewny: co on tu koło mnie robi, ten obcy pan, przyplątał się, przyczepił, zawrócił głowę, poszłam z nim do łóżka, ja idiotka, i nawet mu nie stanął. Tak doszliśmy do przystanku. Miała niespokojne oczy (przeważał w nich szary błękit), kiedy się dopytywała:

– Widać to po mnie?

– Ależ nie.

– On na mnie czeka u tego przyjaciela. Chryste, co ja mu powiem?... Ten przyjaciel z miejsca się pozna.

– Nie musisz mu nic mówić. Takich rzeczy nie widać, zaręczam ci.

– Skąd mam wiedzieć... Nigdy nie próbowałam go zdradzać.

Wiedziałem, że w tym kierunku pobiegną jej myśli: zdecydowałam się na zdradę – i po co? żeby się ośmieszyć.

– Luteńko – szepnąłem.

Nie patrzyła na mnie, tylko w dal ulicy.

– Mój autobus – usłyszałem.

– Luteńko. To wszystko dlatego, że zanadto cię kocham.

Zdaje się, że wzruszyła ramionami.

– Wierz mi, to dlatego – nalegałem.

Powiedziała:

– Nic takiego się nie stało. – Autobus zatrzymał się, otworzyły się drzwi. – Cześć – rzuciła mi i wsiadła do autobusu.

Stałem ogłuszony, w głowie wystukiwało: „Pióro musi pisać, pióro musi pisać.” Jestem do niczego. Wycofuję się z tych spraw. Koniec, podrywaczu, teraz już tylko działalność pro publico bono. Pióro musi pisać. Zobaczę się z Tońką. „Jurasku, jesteś wspaniały.” Boże mój, co ja narobiłem!...

W domu nie było nikogo: syn miał nocować u swojej szajbniętej, a Krycha zostawiła kartkę, że wyjeżdża na trzy dni do Poznania. Spokój, będę sam. Ugrzązłem w fotelu, chwilę siedziałem bez ruchu – i bez myśli – dźwignąłem się i powlokłem do lodówki. Byłem wściekle

głodny, nie wiem dlaczego, właściwie nie zasłużyłem na to, żeby jeść, „słomą was karmić!" – warczał nasz sierżant, kiedy źle strzelaliśmy. Znalazłem kawałek kiełbasy i pomidor. Nakroiłem chleba i jadłem żarłocznie. Słomą was karmić – myślałem czując, jak wzbiera gorączka – słomą, słomą... Dobrze, przekonamy się, doprowadzimy rzecz do końca. Wykręciłem numer Tońki. Usłyszałem jej dźwięczny głos – ona też miała głos uwodzicielski, tyle że bardziej szczebiotliwy, nieco wyższy – i spytałem:

– Można mówić?

– Jestem sama.

– A twój Działacz gdzie?

– W Łagowie, na festiwalu filmowym.

– Co on tam, u diabła, robi? Zarządza filmem?

– Jeszcze nie – odpowiedziała śmiejąc się. – Na razie jest jako juror.

– Czy on w ogóle chodził kiedyś do kina?

– Owszem, lubi kryminały i w ogóle jak strzelają.

– Ja tak samo.

A ty dlaczego się odezwałeś? Załatwić ci coś u władzy?

– Nie, dziękuję, ja jestem samowystarczalny.

– Czy to znaczy, że się po prostu stęskniłeś?

– Coś w tym guście.

– Wszystko trzeba z ciebie wyduszać!

– Tońka, mam chatę... Nie wiem, czy cię to interesuje...

– Może, może... – Brzmiało obiecująco. – Gdzie?

– U mnie w domu. Jestem sam.

Obiecała przyjść za dwie godziny. Kolejny niewypał, pomyślałem, ale obojętnie, bez lęku – przed Tońką nie mogę się skompromitować, zna mnie z lepszych chwil. Obejrzałem moje mieszkanie – wyglądało dość porządnie – Sara przypatrywała mi się ze ściany, uśmiechnięta, zęby błyszczały zdrowiem. „Bomba!" – powiedział ktoś kiedyś o niej. Kto, u licha? Właśnie Tońka, tak, ona. Zabawne, psiakrew. Wyjąłem z szafy czysty włochaty ręcznik i zaniosłem do łazienki. Dopijałem herbatę, kiedy usłyszałem dzwonek u drzwi. Spojrzałem na zegarek – od mojego telefonu minęło pół godziny – więc aż tak spieszno jej do mnie. Ale to nie była ona.

W drzwiach stał ten dziwak-ekonomista z łysą czaszką otoczoną wieńcem złotych kędziorów, docent Marek, ten sam, który Ludwice kiedyś przyniósł kwiaty. Jego okrągła twarz wykrzywiona była uśmiechem, który miał chyba być oznaką sympatii dla mnie.

– No to jestem. – Wyciągnął obie ręce przed siebie na znak szczególnej serdeczności. – Witajcie.

Nie umiałem widocznie ukryć rozczarowania, bo powiedział:

– Nie prosicie mnie do środka?

– Ależ proszę, proszę... tylko że nie uprzedziliście mnie. Trochę jestem zajęty.

– Po co uprzedzać? Dzisiaj lepiej nie uprzedzać. Dla swoich ludzi trzeba mieć umówiony sygnał. Ile razy do was naciska się dzwonek? Dwa? Trzy?

Trochę to było zbyt natarczywe. Diabli wiedzą, po co tu przyszedł i kto chce się dowiedzieć, jaki jest mój umowny sygnał. Odpowiedziałem:

– Ile się chce... Siadajcie.

Siadł w moim fotelu i od razu ruszył do przodu:

– Trochę czasu możecie mi poświęcić, dziury w niebie nie będzie. Bo widzicie, musimy uzgodnić pewne koncepcje. Ja mam głowę pełną pomysłów. Jak ja do nich o tym mówię, to oni krzyczą, że ja jestem fantasta. Ale jak z tego wybrnąć bez wyobraźni? Oni wszyscy ugrzęźli w rutynie. A tu trzeba śmiałości. Ja wiem, kolego, że u was mogę znaleźć zrozumienie. Jeśli wy się dołączycie... Zgadzacie się?

– Na co? – spytałem ostrożnie. – O tym, że potrzebne są zmiany strukturalne, pisałem i mówiłem wielokrotnie. Znacie moje poglądy i, o ile wiem, nigdyście mnie nie poparli. – Spojrzałem na zegarek. – Ale ja zaraz muszę wyjść...

– Chwileczkę! – docent Marek zatrzepotał ciałem jak ptak skrzydłami. – Jeszcze nie zacząłem! Ja uważam, że i przy istniejącej strukturze można wiele innowacji przeprowadzić. Zielony płomień w oczach. Gdzieś coś takiego już widziałem. Gdzie? – męczyło mnie. Zobaczyłem kręte uliczki lepianek arabskich. Ja na pryczy w kawiarni-gospodzie z filiżanką gęstej kawy. Brudni, wychudli starcy w zawojach na głowie pomrukują coś do siebie. Ktoś krzyczy wyciągając ręce do portretu brodatego generała francuskiego. „Boże! – krzyczy. – Boże, ty mnie słyszysz!?" Armand, kiedy oszalał po malarii, też chciał reformować świat, tylko na gruncie religijnym, nie ekonomicznym – to nie takie katastrofalne. (Chociaż...?) Docent Marek brzęczał:

– ... więc udowodniłem, że najkorzystniejsze ekonomicznie aglomeracje to miasta dwustutysięczne. Utrzymywanie mniejszych miasteczek, nie mówiąc już o wsiach, jest nieopłacalne. Wieś to straszliwe marnotrawstwo. Miasta większe, na przykład półmilionowe, wymagają zbyt rozwiniętej infrastruktury, byle co może zakłócić ich funkcjonowanie, więc też są zbyt kosztowne.

– Ale już są – zauważyłem.

– Są, niestety, no to trudno, niech będą. Zburzenie miast – powiedział (i wydawało mi się, że znów widzę ten zielony płomień w oczach – ach, tak pali się smoła, przypomniałem sobie, przy temperaturze +180°C nabiera takiej szaleńczej barwy zielonej i wybucha płomieniem) – zburzenie miast to przedsięwzięcie zbyt kosztowne, chociaż na dalszą metę mogłoby się okazać opłacalne. Natomiast warto się zabrać do likwidowania wsi.

– Że co?!

– Wieś można zlikwidować. Po co komu takie wiejskie skupiska? Po co, ja was się pytam? Powiecie: rolnictwo. Można uprawiać rolnictwo mieszkając w dwustutysięcznych aglomeracjach. Dwadzieścia – trzydzieści kilometrów dojazdu do pracy – co to dziś znaczy, jak w Japonii są koleje jadące z szybkością dwustu kilometrów na godzinę. Dziesięć minut dojazdu! – wykrzyknął oszołomiony sam sobą. – Teraz u nas się jeździ ze wsi do miast pracować, a my odwrócimy ten kierunek.

– Kto my?

– Ja, wy, wszyscy, którzy będą to realizować.

– Mnie proszę z tego wyłączyć.

– Dlaczego?

– Bo ja lubię wieś. Taką starą prawdziwą wieś – bez infrastruktury. A propos, panie kolego, czy pan mieszkał kiedyś na wsi? Czy wstawał pan kiedyś z kurami, żeby zobaczyć, co porabia chudoba?

– Do tego, żeby wiedzieć, co jest opłacalne, a co nie, to ja nie muszę mieszkać na wsi. Ja to mam wszystko wyliczone. Ogromna oszczędność. Ogromna!

Armand wtedy dość raptownie znudził się portretem generała i zwrócił się do starego Araba: „Ty! – wrzasnął. – Ty jesteś prawdziwym Bogiem! Ty mnie słyszysz!" Ktoś ryknął: „Dormir! Dormir, au diable! Dajcie spać!" Rzucono się na Armanda z pięściami. Chciałem go bronić, ale ktoś potężny wykręcił mi ramiona do tyłu i ostrzegł: „Spokojnie, przyjacielu, tak trzeba." I rzeczywiście, Armand, dostawszy lanie, uspokoił się, spał do rana. No, a rano zaczęło się od nowa.

– Wy idziecie dalej niż Stalin – przyznałem docentowi. – Stalin tylko zniósł własność na wsi, wy likwidujecie wieś w ogóle.

– Z ekonomicznego punktu widzenia...

– Rozumiem: rozwiązanie ostateczne. End-lösung. Z ekonomicznego punktu widzenia można wszystko usprawiedliwić.

Ten szaleniec zrozumiał aluzję:

– Wy sobie żartujecie, podczas gdy ja szukam rezerw. Perorował teraz długo o potrzebie nowatorstwa (czego ja, coraz bardziej zacofany, nie chcę zrozumieć), o konieczności szukania nowych rezerw, nowych rozwiązań. Na przykład wszyscy się martwią, że areał ziemi ornej się zmniejsza. Rozrost miast, autostrady, przemysł – coraz mniej jest ziemi uprawnej. Dlaczego nie powiększyć jej sztucznie.

– W jaki sposób? – spytałem.

– Pagórki – odpowiedział z zielonym błyskiem w oku. – Usypać pagórki. Takie kopce. – Robił faliste ruchy ręką. – Powierzchnia stożka jest większa niż powierzchnia prostokąta. Ja to mam wyliczone. Wiecie, o ile można powiększyć uprawę? Dziesięć do piętnastu procent! Miał jeszcze jeden pomysł: żeby wszystkie kongresy przeprowadzać nie wychodząc z domu, przy pomocy połączeń telewizyjnych, co zresztą czasem się robi. Oszczędność na przejazdach, hotelach, bankietach, sztabie organizacyjnym... Nie będzie się odrywać ludzi od pracy, będą mogli tyrać bez wytchnienia, bez marnotrawienia czasu. Zdaje się, że tym swoim pomysłem był najbardziej zachwycony, bo roześmiał się głośno.

– I co wy na to? – spytał wreszcie. „Zaraz nadejdzie Tońka" – chciałem odpowiedzieć. Zrobiłem skromną minkę.

– Ja wolę po staremu.

– Jak to? Nie chwytacie korzyści?

– Ja na kongresach najbardziej lubię kuluary. I bankiety. I wiem, że najwięcej załatwia się nie słuchając wypowiedzi, ale właśnie w kuluarach. Jestem za personal touch.

– Wy zawsze musicie podważać – powiedział rozczarowany. – Myślałem, że mnie poprzecie. Jako liberał...

– Kto wam nagadał, że ja jestem liberał? – obruszyłem się. – Jakbym doszedł do władzy, tobym był pierwszy zamordysta.

– Żartujecie sobie.

– Już ja bym pilnował, żeby nikt na ludziach nie mógł robić eksperymentów. Najpierw wypróbować na zwierzętach – przypomniałem stary dowcip – potem zastosować do ludzi. Wstałem:

– Przepraszam, ale będę musiał iść.

– Nie poczęstujecie mnie herbatą? – zgorszył się. Wyjąłem dwadzieścia złotych.

– Proszę, panie kolego – powiedziałem. – Poczęstujecie się w kawiarni. Z ekonomicznego punktu widzenia jest to o wiele racjonalniejsze.

Patrzył na mnie otępiały, nie wiedząc, jak reagować.

– Traktujcie to jako doświadczenie – powiedziałem. Schował pieniądz do kieszeni, ja mówiłem: – Będziecie mogli skontrolować, czy wasz własny system wam odpowiada.

Chciał już odejść, kiedy to ja go zatrzymałem.

– Chwileczkę, panie docencie. Widywałem was w ministerstwie, w biurze dokumentacji.

– Zgadza się. A co, nie wolno?

– Rozmawialiście wtedy z panią Ludwiką.

– Z kim? – zdziwił się.

– Ta wysoka.

– A, ta. No właśnie. Ładna panienka.

– Uwodziciel z was. Pamiętam nawet, że przynieśliście jej kwiaty.

– Leben und leben lassen. Ona coś dla mnie wyszukała. Ja do niej mam szczęście. Jak czegoś potrzebuję, to ona zawsze się wystara, zawsze pamięta. A jak opowiedziałem jej o moich pomysłach!...

– Zrobiliście to? – Biedna Luteńka, pomyślałem.

– Dlaczego nie? Ona ma głowę – daj Boże każdemu. I wiecie, co powiedziała? Że to bardzo ciekawe, bardzo nawet... Trzeba słuchać ludu, kolego, sondować, co o tym myślą niefachowcy, bo my zanadto ugrzęźliśmy w rutynie.

Niby wszystko tak, a jednak nie tak – pomyślałem. Silnik pracuje na pełnych obrotach, tylko energia, którą wytwarza, pcha na wichrowate koleiny.

– To należą jej się kwiaty, co? – usłyszałem.

– Na pewno. Dobrzeście zrobili.

Wypchnąłem go za drzwi i spojrzałem na zegarek. Za kwadrans. Następna. O tej następnej myślałem jednak bez lęku. Cokolwiek się stanie, na moją opinię już to nie wpłynie, najwyżej będzie wściekła. A co – pomyślałem nagle – gdyby docent Marek przejął się zanadto uprzejmością Ludwiki? Gdyby rozszyfrował tę uprzejmość niewłaściwie i stracił dla niej głowę? Przecież to możliwe! Zaczyna się od kwiatów (konwalijki, przypomnij sobie), a potem... Nie jesteś jedyny, który jest do tego zdolny. Największa biblioteka świata składa się z dzieł poświęconych twojemu obłędowi. Nie tobie pierwszemu łzy płyną z oczu, nie ty jeden gadasz do siebie. („Mówię do siebie, z drugimi plączę się w rozmowie...” „Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę...”) Zawsze obok, zawsze przy mnie. „Obok” – powtórzyła Ludwika zaniepokojona, przejęta nawet; już przeczuwała, że wpadła. Dziesiątki facetów latają tam z kwiatami, proponują kawę, randki, łóżko, uczucie, prezenty, wyjazdy – ciebie tylko wybrała, ciebie, nie wiadomo dlaczego, tobie dała swoje usta, przyszła, kiedy ją zawezwałeś, rozwarła ci się naga, szeptała: „ja cię tak chcę, tak chcę”, a jej głowa miotała się na poduszce. Usłyszałem żałosne skomlenie – i dzwonek u drzwi.

Tońka wkroczyła triumfująca, w lekkiej sukience w kwiaty, oczy jej tryskały radością spod złotej grzywki. Zatrzasnąłem drzwi i chwyciłem ją w objęcia. Ledwo przetoczyłem dłońmi wzdłuż jej rozgrzanego ciała, poczułem ucisk tam w dole, wyprężył się i stwardniał. „Cholera! – zakląłem w myśli. – Sukinsyn!” Ona szepnęła:

„Jurasku, jakiś ty stęskniony... Ależ zaczekaj...” „Nie, nie. Chodź!” Pociągnąłem ją do pokoju, rzuciłem na tapczan i bez żadnych zabiegów wstępnych wszedłem w nią gwałtem, aż krzyknęła z bólu. A ja uspokoiłem się. „Jestem” – szepnąłem w triumfie – „jestem w tobie” – powtarzałem z ulgą, a ona nie wiedziała, co to ma znaczyć. Tylko że – Boże, jaki stęskniony! Jurasku, jaki on mocarny! Jurasku, co to dzisiaj z tobą... Pomagałem jej ściągnąć przez głowę sukienkę, ona mnie rozbierała tkliwie i z nieustającym zachwytem. Cholera, jak one to lubią! Powolnymi, mściwymi ruchami doprowadzałem ją do spazmu, obserwując z satysfakcją jej cierpiącą twarzyczkę, łowiące oddech usta, kiedy raz po raz kończyła. Jurasku, Jurasku – szeptała – jesteś wspaniały, najwspanialszy, co się z tobą dzieje, zostań ze mną, zostań na zawsze. Sukinsyn! Odbiegłem myślami daleko – siedziałem przy stole w mieszkaniu Jemiryczа paląc papierosa, słuchałem szumu wody w łazience, klęska, kompletna klęska, Boże, co ze mną będzie – więc byłem myślami tam, a tutaj wcale mi to nie przeszkadzało. „Dosyć – szepnęła Tońka – dosyć, zamordujesz mnie.” Więc to tak, myślałem kończąc z bólem, prawie bez rozkoszy, więc to tak się odbywa, drwiny natury, drwiny z naszego ciała, drwiny z naszyć uczuć – ta suka dostaje wszystko, co miało być udziałem ukochanej dziewczyny. Leżeliśmy spoceni, przyklejeni do siebie, Tońka sunęła zmęczonym językiem po moim policzku, ja myślałem: Luteńko, to miałaś być ty, ty w moich ramionach, twój cudowny oddech na moim policzku, twoje spazmy, twoje szczęście.

– Co to dziś z tobą było? – pytała Tońka wstając. Nie odpowiedziałem. Ona spojrzała na zdjęcie Sary i zauważyła:

– Ona wciąż jest bombowa.

– Tak – potwierdziłem. – Zmiany mody jej nie szkodzą. Pochyliła się nade mną:

– Kochanie, jesteś coraz lepszy.

Milczałem. Tońka pobiegła do łazienki. Słyszałem znowu szum wody, tylko teraz poprzez ten szum słychać było radosne wykrzykiwania – jakieś nowiny o Działaczu, o jego szefie – ja paliłem papierosa, ale bez tego poczucia zdruzgotania, co przedtem, inny człowiek, zwycięski samiec, który dobrze odwalił robotę, zaspokoił swoją samicę. Tońka wybiegła z łazienki na-

ga, z ręcznikiem w ręku. Kazała sobie wytrzeć plecy, potem zapiąć stanik od tyłu. Reakcja była niezawodna, odwróciła się uśmiechnięta, dotknęła palcem moich ust.

– Nie ma! – powiedziała – dosyć na dzisiaj. Jeszcze muszę popracować.

– Pracujesz?

– Piszę artykuł. Nie wierzysz? Artykuł do tego nowego pisma.

– Nie blaguj.

– A co to takiego wielkiego? Każdy może.

– Masz rację. Jak Chichot się liczy, to znaczy, że każdy może. Co piszesz – jakiś paszkwil? – zaryzykowałem.

Właściwie potwierdziła:

– Artykuł ostry i pryncypialny.

Była ubrana. Poczęstowałem ją herbatą. Spytała:

– Kochanie, jak ci się powodzi?

– Średnio.

– Chciałbyś coś zarobić?

– Przydałoby się.

– Możesz pisać doktoraty.

– Dla jego koleżków?

– Dobrze by zapłacili.

– Pomyślę nad tym. – Pomyślałem od razu i powiedziałem: – Nie, to mi się nie podoba. Będę przepisywał na maszynie.

– Kochanie, to ciężka praca, robiłam to przez kilka lat i wiem.

– Dobrze, nie poruszajmy już tego tematu.

Herbata była dopita. Spytała:

– Jurasku, zadowolony jesteś?

– Wiesz przecież – obejmując ją wymigałem się od odpowiedzi wprost. Ponieważ znowu odczułem ten sam ucisk, odsunąłem ją od siebie i wykrztusiłem: – Dziękuję.

– Zawsze do usług. – Roześmiała się. A potem przypomniała sobie: – A mój prezent?

– Et mon cadeau? – odezwałem się jak echo. – Będziesz go miała, należy ci się.

Przy drzwiach spytała:

– A tamta jak? Pomyślałem i powiedziałem:

– Nic.

– Oporna?

– Tak – skłamałem.

– Idiotka.

Mówiłem:

– Ona się chyba nigdy nie załamie. Rozumiesz: mąż i tak dalej. Oferuje przyjaźń.

– Spotykasz się z nią?

– Tak.

– A kochasz ją?

Nie miałem sił kłamać. Moja pierś znowu była przepełniona bólem. Potrzebowałem zresztą komuś to wykrzyczeć. Powiedziałem:

– Tak.

Tońka chyba posmutniała. Wspięła się, by pocałować mnie w policzek.

– Kochanie moje, dziękuję – powiedziała miękko. – Najważniejsze, że nam to nie przeszkadza. Kiedy się zobaczymy?

– Zadzwonię.

Potem byłem szczęśliwy, że odeszła i jestem sam. Usiłowałem czytać i nawet zasnąłem. Obudziłem się jednak z krzykiem wśród nocy i do rana już tylko męka. Tylko męka.

Kto mógł nazajutrz bez zawstydzenia spojrzeć w piękne oczy, ten chyba nigdy nie zaznał rozkoszy ich zamglenia – powiedział Montaigne. Dominowało właśnie to: uczucie wstydu. Strach przed jej pogardą. Co ona sobie o mnie myśli? Kandydat na kochanka, zalewacz, gaduła, raz z kwiatkami, raz z papierosami, fircyk, wiercidupa, tokuje, emabluje, płacze, gdacze, pieje, kwiczy – a naprawdę co? Wyć można ze śmiechu. Eunuch, bezjajec, wałach, kapłon – z czym do młodej dziewczyny? Więc szedłem do niej zalękniony, ale zdecydowany wszystko wyjaśnić. Opowiem jej nawet o próbie z Tońką. Nie, nie opowiem. Tak, opowiem. Zobaczyłem na rogu ulicy kwiaty – róże, zachwycające, herbaciane, czerwone, żółte – kupię piętnaście róż, wszystkie róże Warszawy złożę u jej stóp, któraś z nich rozkwitnie – Boże, tamta zwiędła róża to był prognostyk, zrozumiałem to od razu, zwiędłem potem jak ona – nie, bez kwiatów, nie mam prawa wkupywać się w jej łaski kwiatami. Kupiłem dla niej papierosy.

Zawstydzony na schodach. Zawstydzony przed tabliczką WCHODZIĆ BEZ PUKANIA. Zapukałem. Potem nacisnąłem klamkę i wszedłem. Stała tyłem, w tej poziomkowej sukience, z szalem na plecach, pani Idalia siedziała za biurkiem. Idalia rzuciła coś na przywitanie, a ona odwróciła się i zawołała:

– O, kogo widzimy! Dzień dobry panu. Gdzie się pan podziewa?

To wszystko, cała ta radość – że niby dawnośmy się nie widzieli – było dla tamtej. (A naprawdę pogarda, pogarda w pięknych oczach.) Podszedłem i pocałowałem ją w koniuszki palców. Idalia podając mi energicznie małą, pomarszczoną dłoń (którą tylko uścisnąłem) spytała:

– Cóż to, bez kwiatka dla naszej najśliczniejszej?

Wszystkie wazony, butelki, słoiki pełne były kwiatów.

– Nie brak tu takich od przynoszenia wiechci – powiedziałem odpowiednio niedbale. Zwróciłem się do Ludwiki: – Zapali pani kenta?

– O, zmienił pan gatunek papierosów?

Nie odpowiedziałem. Dla ciebie zmieniłem wszystko: przyzwyczajenia, rozkład godzin, jadłospis, kolor koszul, sposób zasypiania, wykluczyłem wódkę, czytam książki dla ciebie, oglądam filmy przez ciebie, wszystko dostosowałem do tej jednej sprawy. Zapaliła, ja położyłem od niechcenia papierosy na biurku, zrozumiała, nakryła je dłonią po złodziejsku i wsunęła bez słowa do szuflady.

– Podać coś, panie doktorze? – spytała.

– Nie, dziękuję, pracuję w domu. Przyszedłem po prostu panie odwiedzić.

Idalka mruknęła:

– Nie bądź taki elegancki.

A Ludwika zapisując coś szybko na kartce upewniała się:

– Na pogaduszki?

– Jeśli pani pozwoli.

– To proszę mnie zaprosić po pracy do kawiarni. Mam ochotę na coś słodkiego.

Pani Idalia potwierdziła:

– Moja Ludka jest straszny łasuch.

To coś nowego, pomyślałem. Odezwałem się:

– Będzie tort hiszpański.

Ludwika zrozumiała – i uśmiechnęła się.

– A dla pana co? – spytała.

– Chyba lody.

W ten sposób byliśmy już umówieni. Odprowadziła mnie do drzwi.

– Panie doktorze – powiedziała głośno – mam wyrzuty sumienia, że się wprosiłam.

Mruknąłem coś w rodzaju: „cała przyjemność” – i wyszliśmy na korytarz, drzwi zostawiła celowo otwarte.

– Nie spodziewałaś się mnie widzieć? – spytałem. Jej piękne oczy, których nie zdołałem zamglić.

– Nie – przyznała.

– Ale jestem. Musiałem przyjść. Wiesz, co powiedziała pani de Sévigné?

– A muszę wiedzieć?

– Warto. Powiedziała: „Całe królestwo miłości jest pełne tragicznych wydarzeń.” (Przeczytałem to właśnie u Stendhala.)

– Dobrze, dobrze – przerwała mi – wszystko potem. Jeśli chcesz, żebyśmy mieli trochę więcej czasu dla siebie, to zrób mi zakupy.

Wręczyła mi kartkę. Rzuciłem okiem: bułka, mleko w folii, ser homogenizowany...

– W porządku. – Schowałem kartkę.

– Lecę. Stałem potem w kolejkach – po ser, po mleko i masło, po bułkę. Pobiegłem do sklepu garmażeryjnego – sprzedawano tatara – stanąłem w kolejce. Dwadzieścia osób było przede mną, wszyscy wściekli, tylko ja stałem uszczęśliwiony, że dostałem polecenie, że stoję dla niej. W kawiarni usiadłem przy tym samym dyskretnie osłoniętym stoliku, co poprzednio. Zamówiłem dokładnie to samo, co wtedy, z wyjątkiem koniaku – nie było co opijać, a i z forsą się pogorszyło. Coś sprzedam, myślałem, ale nie mogłem sobie uprzytomnić co. Siedziałem pogrążony w myślach, bliski łez, kiedy nagle poczułem zbliżający się powiew szczęścia: od przejścia między stolikami sunął ku mnie słup niebiański – szła w poziomkowej sukni moja dziewczyna, moja sosna, jednak szła do mnie. Jeszcze nie wszystko stracone.

– Masz? – spytała.

Złożyłem sprawozdanie. Sera tłustego nie było, dowiozą, kupiłem chudy i śmietanę, poprawisz go sobie, jest mleko, bułka, kupiłem z własnej inicjatywy fromage pieprzowy, a w garmażerii tatara.

– Ile?

Zaczęliśmy podliczać. Oddała mi wydatki skrupulatnie, co do grosza. Przyniesiono tort hiszpański, widziałem, jak się delektuje, odezwałem się:

– Nie domyślałem się tego, że jesteś łasuch.

Mruknęła „mniam-mniam”, prawie uszczęśliwiona. Kawa też jej smakowała. Potem padło pytanie:

– Nie obrażasz się z powodu tych zakupów?

– Jestem na twoje usługi – powiedziałem po prostu i chciałem, żeby zrozumiała, że mówię to poważnie.

– Ale ty, figura...

– Nie jestem żadna figura. To ty jesteś kimś. – Szepnąłem: – Jesteś moją panią. Rozkazuj. Potem spytałem nieśmiało, czy pierwszy raz jej się to zdarzyło, coś takiego jak wczoraj ze mną. Ależ tak, cóż ja sobie myślę, jej doświadczenia są żadne. No, to czegoś się dowiedziałaś, przyda ci się to – usiłowałem tym słowom nadać lekki ton.

– Nie, nie potrzebuję takich doświadczeń. – Nie było przejścia do wyznania, które potem nagle nastąpiło: – Nie pozwoliłam mu się zbliżyć do siebie.

Nie wiem, dlaczego mi to powiedziała. Pewno dlatego, żebym sobie nie wyobrażał, że odbiła to sobie potem z mężem.

– To był szok – szepnęła. – Żołądek mnie rozbolał, głowa pękała.

– Uważasz, że cię skrzywdziłem? nabrałem? – Jej oczy zastygły, były teraz znieruchomiałe. – Luteńko, wierz mi, ja naprawdę jestem bardzo męski.

Spojrzała na mnie (te oczy, których nie potrafiłem zamglić) i nie powiedziała nic. Nie wierzy mi, nie wierzy. Wyjaśniałem spokojnie (grałem spokój, tak, grałem to, żeby przekonać ją, że nic złego się ze mną nie dzieje, jestem pewny siebie), że takie wpadki się często zdarzają – właśnie od nadmiaru miłości, pożądania, pragnienia, emocji. Spora część literatury światowej jest temu poświęcona. Montaigne: „To nieszczęście zagraża tylko w takim przedsięwzięciu, w którym dusza nad miarę jest przepełniona pożądaniem i czcią.” Czcią, tak, muszę cię mniej

czcić. Stendhal, przeczytaj sobie rozdział *O fiasku:* „Jeśli istnieje w sercu odrobina uczucia, istnieje i odrobina możliwego fiaska.” (Znowu byłem obkuty na blachę.) To minie, minie – ja się teraz po prostu ciebie boję – ale to minie, przysięgam. I słuchaj, słuchaj, to, co między nami jest, to naprawdę zbyt piękne, żeby chwilowe niepowodzenie w dolnych regionach miało to zniweczyć. Nie pozwólmy. Znowu napiera schemat: położyli się do łóżka, nie udało się – więc koniec. Nie pozwólmy, żeby schemat zatriumfował. Tyle barier, mówiłem, przełamałaś, tak bardzo wzniosłaś się ponad banał, nie pozwól, żeby tym razem banał był górą.

– Przecież ja nic o tym nie wiem – powiedziała bezradnie. – Mój mąż to młody chłopiec, wystarczy, że się mnie dotknie i jest gotów, żadnych problemów.

Nienawidziłem przez chwilę jej męża. I zaraz pomyślałem: „Więc czemu zdecydowałaś się go zdradzić?” Ale wolałem tego nie zgłębiać. Powtórzyłem:

– Ja naprawdę jestem bardzo męski. Wierz mi. Nie śmiałbym cię przecież ciągnąć do łóżka. – Położyłem dłoń na jej ramieniu i wydało mi się, że wyczułem dreszcz delikatnej przyjemności przebiegający przez ciało dziewczyny, sprzyjającą mi reakcję unerwienia. Spojrzałem w te oczy, które tak uwielbiałem, przywarłem głodnym spojrzeniem do jej wydętych warg. Tak chciałem je całować... – Jeśli chcesz wiedzieć – mówiłem – to jeszcze tego samego dnia...

Już miałem jej opowiedzieć o Tońce, kiedy ona, może pod wpływem mojej dłoni na ramieniu albo tego spojrzenia obcałowującego jej wargi, przechyliła się do mnie i zamknęła mi usta pocałunkiem. Był gorący i czuły, i zachłanny, jak przedtem, jak zawsze. I już nic nie musiałem mówić. Możliwe, że i teraz podpatrywał nas jakiś Libijczyk, nic to nas nie obchodziło. Miałem ją znowu w swoich ramionach i znowu spragnioną moich ust. Wszystkie schematy przełamane! Wziąłem ją nie swoją siłą, nie stanowczością, nie męskością, która tak sromotnie zawiodła, ale – słabością (słabością wobec niej). Mój szept, „ulituj się nade mną”, kiedyś ją zamroczył (chociaż się broniła, chociaż powiedziała: „chyba nie chcesz, żeby to się odbyło na tej zasadzie”). Nigdy nie wiadomo, co podziała podniecająco, jak afrodyzjak: czasem właśnie słabość, poddanie się. (Stendhal: „Czy prawdziwa duma kobiety nie powinna by się mieścić w sile uczucia, które budzi? Przekomarzano się z pewną dworką małżonki Franciszka I, a to dla płochości jej kochanka, który, twierdzono, nie kocha jej zbytnio. Wkrótce potem kochanek ów zachorował; kiedy się znów pojawił na dworze, był niemy. Pewnego dnia, po dwóch latach, kiedy się dziwiono, że ona wciąż go kocha, rzekła: – Mów!... I przemówił!”) Ja tak samo – niemy, przemówię na twój rozkaz. Dziewczyno – modliłem się do niej – dziewczyno wspaniała, dźwignęłaś mnie z dna klęski, nie poczułaś do mnie wstrętu, pragniesz nadal moich pocałunków. Jej oczy były powleczone połyskliwą emalią, kiedy się ode mnie oderwała. Odprowadziła wzrokiem przechodzącą obok nas kelnerkę i spytała niskim głosem:

– Masz jeszcze ten klucz?

– Nie, nie tam. – Wzdrygnąłem się. – Tam było okropnie.

– To gdzie?

– U mnie. Jutro możesz? Jutro mam wolny dom. Zastanowiła się.

– Dobrze, jakoś to urządzę. – Uśmiechnęła się. – Będę musiała nauczyć się kłamać.

Odprowadziłem ją do przystanku autobusowego. Trzymałem jej dłoń spoglądając na zbliżający się czerwony autobus i myślałem z czułością o tym, że Ludwika nie zabiera swojej dłoni, że otacza ciepłem moje palce. Zanim wsiadła do autobusu, powiedziała lekko:

– Nie martw się, to w ogóle nie jest takie ważne. Dla mnie jest dużo rzeczy ważniejszych. Przypomniałem sobie spojrzenie jej powleczonych szaroniebieską emalią oczu i pomyślałem: mylisz się.

Tym razem oboje udawaliśmy, że nic takiego się nie stało i że jest dużo rzeczy ważniejszych. Nie musiałem się usprawiedliwiać, zapewniać, że jestem męski, powoływać na Stendhala i Montaigne’a: zdążyłem ją już nieźle podszkolić. Ja sam jednak wiedziałem, że po-

przednia klęska przygotowała obecną, że od pierwszej chwili paraliżował mnie strach, że wszystko będzie tak samo i oczywiście było tak samo. I te zdjęcia Sary dokoła! Nie usunąłem ich, uznałem, że to byłaby małoduszność – ja jestem taki cholerny rycerz, szeryf rzucający wyzwanie losowi – a przecież kto wie, czy to nie jej spojrzenie, złe oko pięknej czarownicy (chociaż dla niepoznaki uśmiechniętej), czy to nie ono zaklęło nas oboje w niemocy. Bo wydawało mi się, że niemoc ogarnęła i moją dziewczynę, Leżała w moich ramionach wysmukła, takie szczupłe i zimne ciało, przyciskała mnie mocno do siebie, ale oddech jej był równy, oczy niezamglone, głowa nie miotała się na poduszce. Ten obcy pokój, to wyzywające spojrzenie innej kobiety, piętno jej obecności na każdym sprzęcie, obrazku, firance, jej pot wsączony w posadzkę, którą z taką zaciekłością myła, pastowała i froterowała, szept między ścianami, krzyk, z jakim budziła się w nocy z przerażających snów (a ja ją brałem w ramiona, uciszałem, przypominałem, że to nie wojna, nie rozstrzeliwanie, nie śmierć jej rodziców) – tak, Ludwika musiała to wszystko odbierać jak niezwykłej czułości odbiornik, wiedziałem o tym, podobnie jak wiedziałem, że potrzebny nam jest jakikolwiek pretekst do klęski, ponieważ klęska była nieuchronna, była wpisana w samą istotę naszych stosunków. Nie, to nie mogło być takie proste: bierzesz ją, prowadzisz do łóżka i sprawa załatwiona, masz ją dla siebie. Wiedziałeś o tym, kiedy pierwszy raz o niej zamarzyłeś. Wiedziałeś, że jest niedostępna. Nazwałeś ją swoją księżniczką – właśnie dlatego. I cóż z tego, że jest taka prosta, tak cudownie bezpośrednia, że całuje cię tak zapamiętale, otacza ramionami, poddaje ci swoje piersi, swój brzuch, rozwiera dla ciebie uda – ty i tak wiesz, że to zimna, wysoka łaska, kaprys boginki z marmuru.

Podniosła się z tapczanu i przesiadła się, naga, na fotel. – Papierosa – powiedziała zdławionym głosem. Podałem jej papierosa, ogień, wszystko z zażenowaniem, bo byłem nagi, zawstydzony swoją niepociągającą nagością, tym cholernym pałętającym się pokurczem. Usiadłem u jej stóp, obiecując sobie, że zaraz wyjmę jej papierosa z ust i pociągnę z powrotem na tapczan, i będę długo, cierpliwie i czule pieścił. Wtedy u drzwi ktoś zadzwonił. Jak cios w szczękę. Spojrzeliśmy po sobie, Luteńka zmartwiała. Położyłem ostrzegawczo palec na ustach. – Doręczycielka – szepnąłem. (Z pieniędzmi. Potrzebowałem pieniędzy jak nigdy.) Rozległ się drugi dzwonek, dłuższy od poprzedniego, bardziej natarczywy. (Pieniądze. Trzeba będzie iść na pocztę.) Potem milczące oczekiwanie pod drzwiami i wreszcie oddalające się kroki. Zegarek – nasz wróg – leżał na stole i przypominał, że Ludwika musi się szykować do wyjścia. Stwierdziłem to prawie z ulgą.

Znowu słuchałem szumu wody w łazience. Wszystko jak wtedy, myślałem z melancholią, nie posunąłem się ani o krok naprzód. Nie przyszło mi na myśl, że mógłbym wejść do łazienki, pomóc jej w kąpieli, namydlić plecy – do takich poufałości, ja, który miałem ją wziąć jak stęskniony samiec (jak wilk), nie czułem się upoważniony. Podczas gdy ona wycierała się moim pięknym włochatym ręcznikiem, ja – przyodziawszy już swoją krępującą goliznę – zaparzałem kawę.

Sączyła ją na stojąco. Miałem w głowie kompletny zamęt, ani jednej wykrystalizowanej myśli, nie umiałbym przytoczyć żadnych argumentów na swoją obronę. Nie zdziwiłbym się, gdyby w nagłym odruchu rzuciła mi tę filiżankę kawy na łeb. Ale nie uczyniła tego. Zapiąłem jej z tyłu naszyjnik z medalikiem i pocałowałem nieśmiało w kark. Filiżanka kawy w jej ręku zakołysała się.

– Ostrożnie, poparzę się – powiedziała.

Dopiła kawę i odstawiła filiżankę. Nie mogłem odczytać z wyrazu jej twarzy, co myśli, co przeżywa, może nic specjalnego, może naprawdę zdołałem ją przekonać, że to bez znaczenia, ale wcale nie byłem pewny, czy mam z tego powodu być zadowolony. Ująłem obie jej dłonie i ślizgając się spojrzeniem po jej zamkniętej twarzy (jakże się tam wedrzeć? jak dotrzeć do tego, co najważniejsze?), spytałem:

– Znowu szok?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– A żołądek?

– Bez zmian.

Wcisnęła klipsiki na uszy. Potem zapięła pasek od zegarka.

– Muszę iść. – Ton, jak często, stanowczy.

– Zegarek jest naszym wrogiem – zauważyłem. Nie podjęła tego tematu. Rozejrzała się: musiała spostrzec zwycięski uśmiech Sary. Westchnęła:

– Tu nie było dobrze.

Dostrzegłem w tym stwierdzeniu cień szansy.

– Usiądź – poprosiłem.

– On czeka.

Stale to samo: jakiś on, jakiś strasznie ważny on, czeka, stoi nad nami, surowy, groźny, nie wiadomo, skąd się ten on do nas przyplątał.

– Trudno – namawiałem – spóźnisz się. Masz prawo trochę się spóźnić. Siadaj, to bardzo ważne.

– Dlaczego? – To już było opryskliwe. Ale usiadła.

Spytałem:

– Co o tym teraz myślisz?

– Myślę – powiedziała cicho – że my się chyba nigdy nie dopasujemy.

Szepnąłem:

– Ja nie zrezygnuję. Sama powiedziałaś: tu nie mogło być dobrze. Jeszcze jeden błąd. Pogładziła moją rękę.

– Przyrzeknij mi coś – poprosiła.

– Co?

– Przyrzeknij mi, że nie będziesz się zadręczał.

– Będę się zadręczał.

– Nie, przyrzeknij.

– Nie mogę.

– Porozmawiamy jutro – odezwała się. To brzmiało obiecująco: a więc będzie jakieś jutro. Odprowadziłem ją do drzwi. Pełen poczucia winy, może chcąc sam siebie wychłostać, powiedziałem na pożegnanie:

– Wykorzystaj go dziś.

Miewam czasem takie desperackie odżywki. Samoudręczające. Zdaje się, że usłyszawszy to, zmieniła się na twarzy. Pochyliła się ku mnie i chuchnęła mi w samo ucho gorącym jak wiatr pustynny szeptem:

– Wszyscy mężczyźni to nieczułe bestie. – Zabrzmiało to jak zdobyta w bólach kobieca mądrość. Żebym nie miał wątpliwości, o co chodzi, dodała: – Ty też...

Zatoczyłem się ze szczęścia.

– Luteńko...

– Tak?

– Nie odchodź.

Pocałowaliśmy się mocno, czule, jakby nic się nie stało – dwoje ludzi, którzy stracili dla siebie głowę i wszystko jest przed nimi. Obserwowałem ją z balkonu, jak szła do autobusu, smukła, zachwycająca, w uszach dźwięczała mi wciąż jej ostatnia replika: wszyscy mężczyźni to nieczułe bestie, ty też. Jeszcze przez kwadrans byłem prawie szczęśliwy z tego „ty też". Potem dopiero się zaczęło!

„Nie dopasujemy się" – na litość boską, co ona miała na myśli? Może kątem oka dostrzegła tego pokurcza, tego zwiędlaka, i pomyślała sobie, że to nie dla niej? W takim razie, ma rację mówiąc, że lepiej od razu zrezygnować. O, Petrarko, o, romantycy! Czym są wasze górne pienia wobec świadomości fizjologicznej kobiety, wobec jej niezaprzeczalnych potrzeb,

wskazówek seksuologa, diagnozy jej ginekologa! Cóż ma robić kobieta, kiedy jej pan (ja, ja!) jest niedopasowany? – musi poszukać tego, który jej odpowiada (ona już wie, w czym rzecz) – i nie dziw się, jeśli uczyni to bez wahania. Inne jest wejście do nieba „dla pań" i inne „dla panów" – ta różnica to różnica między literaturą a życiem. Może dlatego Henry Miller pisze z taką prostacką brutalnością o kobietach: nigdy nie napisze, że poznał kobietę, a zawsze poznał „a cunt", każda jest dla niego „a cunt". Wszystkie perypetie z nimi sprowadza do dolnych regionów, czyni sobie zabawę z tego, żeby zdemaskować w ten sposób każdą damską górnolotność. I nigdy żadnych wahań, żadnych wpadek, zawsze ma ,"a tremendous erection"; najbardziej oporne, kiedy on się wreszcie do nich dobiera, kończą w zachwyceniu. Świadomość Ludwiki... Co się z nią dzieje? A jeśli ja się mylę? Jeśli miała coś innego na myśli – w każdym razie coś nie tak bardzo wymiernego? Skąd wiadomo, że się nie dopasujemy, jeśli ja nigdy z nią nie byłem normalnie sprawny? Nie, nie, nie – nie zrezygnuję! (Orzech.) Nie mogłem zasnąć, wciąż wracały te słowa o niedopasowaniu, potem, że nieważne, potem, że ważne, potem, że nieczuła bestia, potem, że mąż, i znowu od początku – i cały czas obraz Ludwiki, którą miętoszę i która szepcze: ach, nie, nie, mnie jest dobrze, tak dobrze...

Tuż przed świtem, udręczony gonitwą myśli (dwóch, trzech myśli, które wciąż wracały), wymęczony pożądaniem (nie musiałem sprowadzać Tońki, by się przekonać, że ze mną jest wszystko w porządku), zwlokłem się z tapczanu. Odnalazłem relanium, zażyłem 5 miligramów. Trochę za późno, pomyślałem, będę cały dzień oszołomiony.

Spojrzałem do lustra przez popuchnięte powieki – twarz miałem wycieńczoną, postarzałą – dokąd się pchasz, dokąd z takim wyglądem? Sen nadal nie przychodził. Tylko jakby zobojętnienie, które pozwoliło mi zapisać: „Cóż to za szaleństwo, cóż to za narkotyczne opętanie – umieścić swój los w drugim człowieku, nie widzieć swojego istnienia poza nim, poza jego aprobatą, obecnością, pragnąć tylko tej jednej akceptacji!" Tak, pomyślałem, szaleństwo. Łączymy nasz los z kimś, kogo właściwie nie znamy i nigdy nie poznamy, kto jest oddzielną wyspą – z własnym klimatem i nieznaną roślinnością. Organizm, który ma swoje nieprzekazywalne odczucia, swój krwiobieg, trawienie, swoje bóle i doznania. Nigdy nie wiemy, jaka będzie reakcja drugiego człowieka, jak zinterpretuje nasze słowa, wszelka próba przekazywania myśli i uczuć jest ryzykiem, jesteśmy niemal zawsze błędnie zinterpretowani i sami wobec tego drugiego człowieka jesteśmy też bezradni. Nie mogę za nią rozmyślać i cierpieć, jak nie mogę za nią przyjmować pokarmów, wydalać ich, walczyć z chorobą, doznać orgazmu. (Ale mogę go doznać wraz z nią – albo ona go doznać dzięki mnie – i to jest właśnie cudowne w miłości – to jest jej strona niezwykła, dobro udzielane, dobro czynione w tym złym świecie, już to gdzieś zapisałem – psiakrew, powtarzam się.) Odłożyłem długopis, właściwie wypadł mi z ręki, zmogło mnie wreszcie. Śniła mi się Luteńka. Wiedziałem, że to ona, chociaż miała grube, twarde rysy i szramy wzdłuż obu policzków; była w ciąży, faceci przywarli lepkimi spojrzeniami do jej wzdętego brzucha, ona zgarniała banknoty, płacono jej – za co? – tak, już wiem – za szybki, bezwstydny stosunek za parawanem – a ja stałem z bukiecikiem w ręku czekając, aż skończy. Obudziłem się spocony i zdumiewająco trzeźwy. Sen usiłuje ci ją zdegradować, powiedziałem sobie, nagromadził przeciw niej, co tylko można – brzydka, brzemienna, puszczalska, sprzedajna, bezwstydna – chyba po to, żebyś wreszcie zrozumiał, nawet śniąc, że nie ma od niej ucieczki, może być sobie tym wszystkim, a ty i tak będziesz ją kochał, będziesz czekał z bukiecikiem w ręku.

Zrobiłem tak, jak sen mi nakazał: kupiłem piękną różę, różę różową – kobieta, która mi ją sprzedała, przysięgła, że nie zwiędnie– i zaniosłem ją do ministerstwa. Zobaczyłem Luteńkę w półmroku korytarza: stała rozmawiając z Łysym (tak nazywaliśmy brzuchatego ekonomistę, odpowiednio łysego, genialnego teoretyka, który jednak trawił czas na pogodnym gawędziarstwie, dawno stracił chęć do roboty), stała uśmiechnięta, troszkę za blisko niego, jak na mój gust, tamten prawie ją tykał brzuchem, ona tego w ogóle nie zauważa – pomyślałem – w ogóle nie zdaje sobie sprawy z czarów, jakie rzuca, ani z naszej męskiej słabości. Była w tej

samej szerokiej, zwiewnej zielonej spódnicy z falbankami i w tej samej bluzeczce, co wówczas, kiedy ją pierwszy raz całowałem – nie miała za dużo tych strojów, stwierdziłem, nie więcej niż dni tygodnia. Udałem, że mam jakąś ważną sprawę gdzie indziej, mijając ich ukłoniłem się Łysemu, ukłoniłem się Ludwice, odpowiedziała skinieniem głowy, bez uśmiechu, jakbym w ogóle nie istniał w jej życiu bardziej niż dziesiątki innych panów krążących korytarzami z teczkami pod pachą, Łysy charknął za mną: – Cześć, jak-się-masz. – Zdążyłem przechodząc dostrzec pot na jego czole, błysk jej zębów w urzekającym uśmiechu w odpowiedzi na to, co on właśnie napomknął, ten uśmiech opromieniał ją, zniewalający urok emanował z całej postaci lekko odchylonej do tyłu (może jednak ten jego natrętny brzuch...?). Poczułem szaloną dumę i zarazem lekką zazdrość – że tak trwoni te swoje uroki dla innych. Łysy zawsze miał w szufladzie biurka pisma pornograficzne, przypomniałem sobie, czasem proponował wspólne przeglądanie ich młodym kobietom – nie sądzę zresztą, żeby dawało to upragniony efekt. Nie, nie wspomnę jej o tym, postanowiłem. Zatrzymałem się za załomem korytarza i tam czekałem ukryty, aż skończą rozmowę. Potem usłyszałem jej dźwięczne i trochę zanadto miłe (jak na mój gust) „do widzenia, panie profesorze, proszę o nas nie zapominać" (a ten sobie pomyśli Bóg wie co) i zaraz potem ciężkie stąpanie odchodzącego niedźwiedzia. Wciąż czekałem. Tam nikt się nie poruszał, trwała cisza. Nagle usłyszałem:

– Herr Doktor?...

Zginę dla melodii jej głosu. Stałem dalej bez ruchu, wsłuchany w rytm jej kroków: zbliżały się ku mnie.

Idzie, idzie – do mnie idzie – i oto pojawia się wreszcie – słup szczęścia – świat rozpromienił się od jej uśmiechu. Przypadłem ustami do jej dłoni.

– Chodź – powiedziała – jestem sama.

W pokoju wręczyłem jej różę. „Piękna" – w jej oczach zalśnił szczery zachwyt, może i trochę roztkliwienia. Dostałem buzi (tak to nazwała – jak Tońka, przypomniałem sobie), ale na więcej nie pozwoliła. Wyśliznęła się z moich ramion.

– Siadaj, mam robotę.

Musiała szybko uporządkować i schować jakieś karteluszki. Ja spytałem:

– Co on tu robił?

– Kto? Ach, Łysy – domyśliła się. – Przyniósł mi kwiaty. – W wazonie stały trzy wysmukłe, różnobarwne gerbery. – Gustowne, przyznasz?

– Zakochany? – zaryzykowałem.

Nie potrafiła wstrzymać zwycięskiego uśmiechu.

– Co cię to obchodzi?... Ale delikatny... Strasznie nalega, żeby obejrzeć jego zbiory. Podobno jakieś cymelia...

– Pójdziesz? – spytałem niespokojnie.

– Czy ty masz dobrze w głowie?

– A wiesz, że rozmawiałaś z nim zalotnie?

– Mówiłeś coś? – To też było jej powiedzonko, takie współczesno-młodzieżowe. – Muszę być dla człowieka miła, nieprawda? Ugrzązł po same uszy.

Współczułem mu. Współczuję każdemu, kto ugrzązł – pod warunkiem, że bez powodzenia. Rozumiem ból i rozterkę każdego z nich, jego obłęd, miotanie się podczas bezsennych nocy, oślepiła mnie i zamieszkała pod moją czaszką i musiała oślepić i utkwić pod czaszką wszystkich innych. Biedny Łysy. Właściwie to mnie do niego zbliża, budzi we mnie jakąś solidarność. Paradoks!... I jeszcze ta paradoksalna podwójność moich pragnień: żeby ona się podobała, żeby ją podziwiali, żeby nawet za nią szaleli – ale dyskretnie, z daleka, niech sobie czasem westchną, i to wszystko. Żeby mi to niczym nie groziło. Żebym mógł powiedzieć (albo chociaż dać do zrozumienia, albo chociaż pomyśleć w duchu): precz, pętaczyny, to nie dla was – ona jest moja.

– Popatrz, co mi podarował – pochwaliła się.

Była to jego książka, napisana po angielsku, a zatytułowana przekornie: *Dzieje nieudanych reform gospodarczych*. Nie u nas, oczywiście, u nas każdej reformie udało się ukręcić łba, wszystkie tym samym były udane. Odczytałem dedykację: „Ślicznej pani Ludwice, której autor wiele zawdzięcza." Co zawdzięcza – natchnienie? Diabelnie ugrzązł, ona ma rację.

– Więc w końcu coś wypocił... – mruknąłem.

– Zazdrosny jesteś?

Nie chciałem się przyznać, że tak, jestem i będę, nie tyle o tych panów, ile o każdy jej uśmiech, o każdą miłą myśl nie poświęconą mnie.

– Od razu „zazdrosny" – obruszyłem się. – Ale nie musisz być przesadnie miła. Rozrzucasz beztrosko swoje uroki, a panowie grzęzną i nie sypiają potem po nocach, i domagają się twojego czasu... Same komplikacje... Jak ze mną.

Przyznała nieoczekiwanie, że mam chyba rację. Ma właśnie pewien ciężki orzech do zgryzienia. Nie pytałem, kto to jest. Powiedziałem cicho:

– Bo jesteś niebezpieczną kobietą, powinnaś o tym wiedzieć i być trochę sztywniejsza.

– Coś w tym jest. Ale ja to spostrzegłam dopiero ostatnio, właśnie dzięki tobie. (Dzięki temu, że wsiąkłem tak straszliwie.) – Mówiła dalej: – Naprawdę to mnie się tu podoba ktoś inny. – Spodziewałem się, że uśmiechnie się zalotnie, powie: „wiesz dobrze, kto", i zarzuci mi ręce na szyję. Ale nic takiego nie nastąpiło. – Tylko że on ma żonę i małe dziecko.

Nie dopasujemy się nigdy i ona już upatrzyła sobie następcę.

– Kto to jest? – spytałem.

– Co cię obchodzi? Przystojny. Wszystkim paniom się tu podoba.

– Więc i tobie też. Musisz być w stadzie?

– Ale on jest niezaprzeczalnie przystojny.

– Docent Zecki? – odgadłem.

Spłonęła rumieńcem.

– Skąd wiesz? – spytała. Wydała mi się trochę zawstydzona.

– Bo jest wysoki i ma czarne oczy z długimi rzęsami.

Ten mydłek, pomyślałem, to beztalencie. Ale nie powiedziałem tego.

– Herr Doktor – odezwała się – przecież to wygłupy.

– Nie tak całkiem.

– Mówiłam ci już: on ma żonę i małe dziecko.

Powinna powiedzieć: kochanie, ty mi się podobasz, ty, twoje pocałunki, ty najbardziej. Coś wyczuła, bo powiedziała:

– Przecież mam oczy, jestem żywym człowiekiem, i ostatecznie może mi się ktoś podobać. – Dodała z uśmiechem: – Nie wszyscy są tacy wariaci jak ty.

Próbowała go uwieść czy nie? Nie, jemu nie współczuję! Byłem zagrożony, niebezpieczeństwo znajdowało się za progiem, tłumy rywali czyhających z obnażonymi mieczami, wrogi świat mężczyzn, każdy gotów rzucić się na zdobycz – i to ja sam byłem temu winien, moja klęska, wyszczerbiony pogięty miecz. Cóż ja mogę im przeciwstawić? Tylko swoje szaleństwo, tylko moje opętanie. Ratujmy się – myślałem rozpaczliwie – ratujmy naszą miłość! Muszę mieć kwaterę, łóżko, rzucić ją na to łóżko, wejść w nią, doprowadzić do spazmu – inaczej jutro ją ten cholerny długonogi, falistowłosy fallus Zecki poderwie. Ja przygotowałem pole, ja przełamałem opory, uświadomiłem jej, że nie kocha męża, rozbudziłem wyobraźnię i teraz każdy, kto ma długie rzęsy i sprawnego łobuza, ma szansę się dopasować.

– Wolno zatelefonować? – spytałem.

Wykręciłem numer pewnego stowarzyszenia artystycznego, które prowadziło pensjonat dla zasłużonych twórców. Miałem tam przody u sekretarki – malutkiej, zasuszonej pani, przygotowałem kiedyś jej syna do studiów – to ona odebrała telefon, więc jednak szczęście mnie jeszcze nie całkiem opuściło, powiedziałem, że potrzebuję pokoju na dwa tygodnie, no, tydzień, gardłowa sprawa, mam coś pilnego do napisania. Za chwilę, panie doktorze, zaraz

zobaczę... Niełądnie, panie doktorze, pan dzwoni tylko, kiedy panu czegoś trzeba, a żeby wpaść na pogawędkę, to pana nie ma... za trzy dni może coś być, szóstka, bardzo miły pokoik, na piętrze, z biureczkiem, będzie się panu dobrze pracowało. Dziękuję, pojutrze zgłaszam się po skierowanie.

Odłożyłem słuchawkę, Ludwika spytała:

– Co załatwiałeś?

– Pokój. W pensjonacie. Zieleń i las.

– Co jeszcze?

– Ty i ja.

„Ale po co?" Nie powiedziała tego, ale chyba pomyślała. Nawet na pewno. Zadałem sobie dużo trudu, by ją przekonać, wbrew faktom, że jestem męski, ale teraz, po wczorajszym, ona może sobie powiedzieć w duchu, po swojemu, dosadnie: „Lejesz wodę." Ona na pewno myśli, że u mnie to związane z wiekiem. Nawet mi to już zdążyła dać do zrozumienia, tylko że ja, głąb, nie pojąłem: mam młodego męża i żadnych problemów. Odezwałem się:

– Skoczymy jutro do Sośnicy, na wizję lokalną, żebyś nie musiała potem szukać. A przy okazji sprawdzimy coś w Dębówku.

– Co?

– Nie pamiętasz? Czy jest tam taka dziewczyna jak ty. – Uśmiechnęła się, a ja wziąłem jej dłoń między swoje dłonie i spoglądając na nią psim, wygłodniałym wzrokiem, mówiłem dalej swoje szaleńcze teksty: – Ale nie, właściwie nie trzeba. Otrzymałem już donos, że nie ma takiej. W promieniu osiemdziesięciu pięciu kilometrów jesteś najbardziej fascynującą dziewczyną. Podobno w Olsztynie... – (Och, pleciesz – usłyszałem.) – Nie, nie mogę z ciebie zrezygnować. Wiesz dobrze, że nie mogę.

– Szaleniec...

Szaleńca należy się bać i trochę tego lęku zadrgało w jej głosie. Ale nie tylko – także i odurzenia. A ja wdzierałem się spojrzeniem w jej oczy i usta. Przeniknąć je, odgadnąć – te usta, te oczy: chcą mnie czy nie? Oczy – niebieskość przechodząca w poszarzałą zieleń – skupione na mojej twarzy (ty też chcesz coś odgadnąć?); usta – rozchylone, trochę jakby opuchłe, o nierównym miąższu wilgotnych warg, poruszyła nimi i już wiedziałem, że chce. Otoczyłem ją ramionami, przywarła do mnie – mam ją! mam! – triumfowałem. Ach, lekkomyślna, nieprzytomna dziewczyno, co czynisz z tym panem, tak beznadziejnie niedopasowanym? Czemu tak chłoniesz w siebie wilgoć jego ust?

Miała potem zamglone oczy – spytała: widać? – tak, potwierdziłem, widać – u ciebie też, na to ona, twarz ci się zmieniła, oko błędne, siądź nareszcie, ktoś może nadejść. Spojrzała na zegarek: zaraz zamykam. Nie, czekaj, pokażę ci coś.

Otworzyła szufladę, wyjęła jakiś kluczyk, otworzyła nim inną szufladę, z tamtej wyjęła inny kluczyk i otworzyła szkatułkę, coś w rodzaju kasety skarbowej. Położyła przede mną kilkanaście kopert. „Pani Ludwika Stablińska, PRL." „Mrs L. Stablińska." „Gentilissima Signora..." Kolorowe znaczki z różnych stron świata.

– Od wielbicieli? – spytałem.

– Niektórych nawet sobie nie przypominam. Był taki, porozmawiał, a potem przychodzi list, że nie może zapomnieć i tak dalej.

Świat mężczyzn. Świat, który ona szanuje. To mężczyźni tutaj rządzą i ich adoracja łaskocze próżność. Czuje snobistyczny szacunek wobec naszych osiągnięć. Pamiętam, jak podziwiała, że przyjaźnię się z Grzegorzem – skoro jest moim przyjacielem, to i ja może nie jestem taki ostatni wypędek? (Moje nazwisko jest w Informatorze, to już jest coś, ale nie mogę się spodziewać, że zainteresuje się tym, co ja naprawdę robię, na to nie licz.) Nie lubi, kiedy do stanowisk pchają się kobiety („baby!"). Sara tak samo: usiłowała mną władać twardą, nie znoszącą oporu ręką, ale kobiet na stanowiskach rządowych nie darzyła sympatią.

Więc miałem przed sobą te koperty, pokłosie polskich rozjazdów po egzotycznym świecie, i myślałem: po co ona mi to pokazuje? Spytałem:

– Ten z Włoch też?

– Też. Znowu zaprasza.

– Mam się martwić? – spytałem.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Ja z reguły nie odpowiadam. (Biedacy, pomyślałem.) Był tu nawet jeden pan, prosił w imieniu przyjaciela ekonomisty w Kenii o odpowiedź, bo tamten tak bardzo czeka na kilka słów. Ja na to: zgubiłam adres. On – że może mi go dać. Nie, mówię, dziękuję, nie trzeba.

Było mi ich żal. Kochacie ją, słusznie, tak powinno być. Na kolana, pachołki! Spytałem:

– Mąż wie o tych listach?

– Po co ma wiedzieć?

– Zmartwiłby się?

Zastanowiła się.

– Przede wszystkim by mnie wyśmiał. Każda idiotka może dostawać listy, wystarczy, że zrobi słodkie oczy. Co to ich kosztuje et cetera, tyle co znaczek, nudzą się tam... Ale potem dostałby szału.

Ja też zaraz dostanę szału.

– Po co to trzymasz? – pytałem rozżalony. – No powiedz, po co? Żeby mężowi zrobić przykrość, kiedy na to natrafi? Czujesz do nich jakiś sentyment? To jacyś wybitni ludzie, których korespondencja ma wartość historyczną?

Zgarnęła koperty i wcisnęła mi je do ręki.

– Podrzyj je – powiedziała.

Trzymałem te listy myśląc: więc może po to mi je chciała pokazać? Żeby dać dowód czegoś – ale czego? Może zaufania, bliskości... No tak, myślała, on mi jest tak bliski, powinien (powinienem) wiedzieć o wszystkim, o każdym powodzeniu, o każdym kwiatku, komplemencie, jego to tak cieszy jak mnie. potwierdza jego wybór. Przybiegła z tym do mnie, rzuciła mi te hołdownicze listy do stóp – widzisz, nie potrzebuję ich, podrzyj je, proszę bardzo, ty jesteś ważniejszy.

– Ja tego nie zrobię – powiedziałem. – To są listy do ciebie.

– Dobrze, zrobimy to komisyjnie.

Miała skupiony wyraz twarzy, kiedy darła te listy, najpierw każdy na pół, potem na ćwierć, nawet znaczków nie oszczędziła. Trochę to trwało, zanim wszystko znalazło się w koszu. Podniosła na mnie oczy i spytała zadziornie:

– No i co?

Podziękowałem. Umówiliśmy się na następny dzień, na wspólna jazdę do Sośnicy, na tę wizję lokalną. Zieleń i las, bardzo na to liczyłem.

Nie, to nie wystarczy, pomyślałem. Zadzwoniłem do Tońki. Pech: słuchawkę podniósł Działacz. A, cześć czołem czuwaj – jak się pan ma? Całkiem nieźle, powiadam, jak na czasy dynamicznego wzrostu, dobrze, ale nie beznadziejnie – cytuję stary kawał, a on wybucha śmiechem. Kilka żelaznych powiedzień może obronić człowieka w kłopotliwej sytuacji. – Już daję małżonkę! Ciapulku, do ciebie! – woła. Jaki domyślny! Tońka przybiega, Ciapulek, psiamać. Witam się z nią:

– Cześć, Ciapulku.

– Coś takiego! – wykrzykuje ta trzpiotka (ze mną wciąż jeszcze trzpiotka, a w tej redakcji, gdzie teraz pracuje, fenomen organizacji, kosa, beton). – Nigdy nie mówiłeś „cześć”.

– Nauczyłem się – informuję krótko.

– To ciekawe. Czego jeszcze się nauczyłeś?

– Wolę tego teraz nie wyznawać. Pamiętasz: proponowałaś mi napisanie doktoratu. Czy to aktualne?

– Może być aktualne.
– Ale ja potrzebuję zaliczki. Pięć patyków.
– Kiedy?
– Jeszcze dzisiaj.

Tońka zaśmiała się domyślnie, ale nie powiedziała nic, ani jedno słowo nie padło o jakiejś dupie, pewno pohamowała się przez wzgląd na obecność Działacza. Spytała tylko:

– Nie ciekawi cię, na jaki temat masz pisać?
– Wszystko jedno.
– Ale to nie z twojej specjalności.
– A z czego?
– Socjologia.
– Bardzo dobrze. Co z tymi pięcioma patykami?

Powiedziała mi, żebym o siódmej był w kawiarni Ujazdowskiej. Przybiegli tam oboje: ona i on. On niósł pod pachą teczkę z papierami. Materiały, wyjaśnił. Różne dane statystyczne z lat 1967–1968. Ale trzeba ruszyć głową, dodał, sam pan rozumie, że wszystkich danych nie można dostać, po prostu nie wolno ich ujawniać, zakaz – powiedział i mrugnął okiem. – To fatalnie – ja na to, i słyszę to słowo drgające w powietrzu. a oni pojęcia nie mają, jak miło mi. się od niego zrobiło. – Szto podiełajesz – on na to – jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – i znowu mrugnął. Oni wszyscy mrugają: pan wie, pan rozumie. – W porządku, mówię hałaśliwie, damy radę, kosztować to będzie – no, trzydzieści kafli – nie za dużo? – W granicach rozsądku – brzmi odpowiedź. Potrwa cztery miesiące. – A może szybciej? – nalegał on. Co mu się, cholera, tak śpieszy do tego doktoratu – myślę – czy wkrótce strumień się zatamuje? – Za każdy tydzień przed terminem – powiadam – tysiąc złotych premii. – Słyszałaś? – zwrócił się on do niej z ożywieniem. To jest podejście ekonomisty! Wyzwolenie bodźców do pracy! Świetne!

Wypłacili mi zaliczkę i ulotnili się. Ja uregulowałem rachunek. Nie nękały mnie wyrzuty sumienia z tego powodu, że mnożę doktorów. Niech sobie chodzą utytułowani – co to zmienia? Mój cel był zbożny. Cel najświętszy.

Jeszcze tej nocy przejrzałem całość materiału i zacząłem robić pierwsze notatki. Niezły pretekst, powiedziałem sobie, żeby wcisnąć, co o tym wszystkim myślę. Potem zaniepokoiłem się, że rano będę miał pomiętą twarz i postarzałe oczy, i przerwałem pracę. Ale rano nie było tak źle: przeciwnie, niewyspany wyglądałem raczej interesująco. To znaczy w jednym z luster – bo mamy w domu dwa – nie daj, Boże, spojrzeć do tego drugiego (bynajmniej niekrzywego). Spojrzę do lustra na lewo: no, czterdziestka najwyżej, szczupła twarz, należy się domyślać wysokiej sylwetki, spojrzenie romantyczne a inteligentne, prawie docent Zecki (chociaż on wcale nie ma inteligentnego spojrzenia); popatrzę na prawo: cholera, piętnaście lat przybyło, grube rysy, twarz prawie okrągła, spojrzenie znużone, niech to drzwi, alem się wybrał z uczuciem. Dziadu, dziadu – słyszę gniewny głos Sary (ze zdjęcia uśmiecha się promiennie i tkliwie, ale z zagrody jej boskich zębów zioną przekleństwa), lubieżniku, cała Warszawa się z ciebie śmieje, Grzegorz pierwszy, używa sobie na twoich zalotach, wszyscy za twoimi plecami ryczą! Więc spoglądam znowu na lewo: nie, dlaczego od razu ryczą – jestem prawie docent Zecki. Który obraz jest prawdziwy – ten z lewego czy z prawego lustra? Może żaden. Jedyny istotny to ten w jej oczach. Też nieprawdziwy, bo subiektywny, ale jedyny znaczący.

Krysia spała, kiedy wychodziłem z domu mając pięć tysięcy złotych w kieszeni skórzanej marynarki i jeszcze dwadzieścia dolarów w rezerwie. Czekałem na Ludwikę przy dworcu autobusowym na Puławskiej. Podjechała taksówką, punktualnie o dziewiątej rano, tak jak umówiliśmy się. Wsiadłem do środka i pojechaliśmy dalej, do Sośnicy. Taksówka zawiozła nas pod samą bramę posiadłości. Luteńka wysiadła i rozejrzała się. Stała w słońcu, wysoka, szczupła, w ciemnej spódnicy w kratę i w ceglastym golfie, w tym blasku po raz pierwszy

przekonałem się, że jej jasne włosy wcale nie mają odcienia matowego. Tak, uprzytomniłem sobie, nigdy jej nie widziałem na otwartej przestrzeni – moja sosna strzelista – zawsze w mrocznym zamknięciu, za biurkiem lub między murami miasta.

– Fajnie tu będziesz miał – powiedziała. – Niektórym diabeł dzieci kołysze.

Pchnąłem furtkę i wprowadziłem moją dziewczynę do środka. Szliśmy po płytach betonowego chodnika, w szpalerze kwiatów z jednej strony, a żywopłotu ze spirei z drugiej, dopóki nie znaleźliśmy się przed białym, zgrabnym budyneczkiem. Było cicho, nikogo dokoła, tylko na pierwszym piętrze otworzyło się jakieś okno.

– Zobaczymy, gdzie jest szóstka – powiedziałem. Zaprowadziłem ją na piętro, szóstka była po prawej stronie od schodów. Ktoś znajdował się za tymi drzwiami, rozmawiano – wypierzesz mi skarpetki? – pierz sobie sam – bulgot wody lejącej się do umywalki – „jednak pierze", szepnąłem – bulgot zagłuszał monotonny głos spikera, poznałem Wolną Europę. „Nasz pokój" – przypomniałem szeptem i objąłem ją, a ona odnalazła ustami moje usta. Ja pierwszy wyzwoliłem się z pocałunku.

– Dosyć – powiedziałem – w głowie mi się kręci.

Obok szosy ciągnęło się trochę nie zabudowanej i nie ogrodzonej przestrzeni, którą ze względu na porozrzucane bezładnie sosny można było nazwać laskiem. Szliśmy po miękkim mchu szukając miejsca, gdzie by można było usiąść. Niełatwe zadanie: przed nami odwiedzali ten ubożuchny lasek inni i pozostawili po sobie butelki, puszki od konserw, strzępy gazet, papiery, kondony, ekskrementy i niedopałki. Zgnoili ten świat, zgnoili dosłownie, nie ma czystego miejsca i czystej wody. Księżniczko moja, dokąd cię prowadzę? Ale coś się wreszcie znalazło, pod drzewem (sosna!), którego rudziejący pień pachniał żywicą. Było tam mszyste wzniesienie, niby mała aksamitna poduszeczka, wolne od korzeni, rozłożyłem na nim moją skórzaną marynarkę i Ludwika usiadła. A ja przed nią ukląkłem. Widziałem spoza drzewa wstęgę szosy, a nad nią smugę czystego światła, którego w tej chwili nikt nie zamącał. Spytałem:

– Za mną czysto?

– Żywego ducha.

Całowałem ją klęcząc. Dłonie zanurzyłem pod jej golfem, wezbrały w nich pulsującym ciepłem jej okrągłe, małe piersi. Miała przymknięte oczy, kiedy mnie całowała, długo, wytrwale, cierpliwie sycąc się moimi wargami. Poczułem upragniony ucisk tam w dole. Więc cię chcę, pomyślałem, więc się już ciebie nie boję. Oderwałem się od niej, żeby wybuchnąć szeptem w zachwyceniu. Ale ona chciała moich ust, moich soków, mojego języka, ta szalona dziewczyna o pokrytych emalią źrenicach. Sięgnęła śmiało do miejsca ucisku, jej palce odczuły zgrubienie, „och" – usłyszałem, „och" – powtórzyła przeciągle, coś jeszcze szepnęła, pewno coś szalonego, ale nie zrozumiałem, co – a nie wolno mi było zapytać, to głupio nie dosłyszeć słów miłości, głupio powiedzieć: powtórz – jej dłoń wciąż tam leżała, a palce poruszały się delikatnie wzdłuż zgrubienia – usłyszałem westchnienie bliskie lęku i poczułem ostry ból w wardze.

Wtedy usunąłem jej dłoń z tego miejsca i szepnąłem:

„Nie rób tego." Usłuchała, pewno się dziwiąc. A ja nie mogłem się przyznać, że nagle zaczęło mi się wydawać, że ten sukinsyn cofa się do swojej jamy, nędzny mały tchórz, łajdak mocny tylko w gębie. Tak. bał się jej pieszczoty, bał się bezpośredniego zbliżenia. Reagował odwrotnie, niż powinien. Jakiś piekielny kompleks! Strach – przed czym? Że ona uzna. że się nie nadaje? Strach przed odpowiedzialnością, przed zadaniem, które go czeka? Ludwika, na szczęście, nie zrozumiała. Objęła mnie, poczułem jej rozpalony policzek przy moim policzku i usłyszałem radosny szept:

– Przyjadę do ciebie w sobotę i będziemy się długo i mocno kochać.

Nie, obiecuj sobie zbyt wiele, pomyślałem. Warga mi spuchła, dotknąłem jej palcem, Luteńka spojrzała i roześmiała się – oczy łobuziaka – więc tak, miałem rozkosznie obolałą war-

gę, a równocześnie przenikał mnie strach: że znowu szykuję sobie klęskę. I że ja tej dziewczyny nigdy nie spenetruję. Przytuliłem się do jej piersi, jakbym chciał się użalić nad sobą, objąłem Luteńkę mocno, ona szepnęła:

– Gorąco... Chodźmy lepiej, bo to się źle skończy.

Pomogłem jej wstać, ona otrzepała moją marynarkę z igliwia. Biegliśmy potem przez lasek w kierunku szosy uważając, żeby nie wdepnąć na mchu w jakąś cuchnącą maź. Śmierdziało zgnilizną. Na poboczu szosy, tuż obok dróżki do nowo wybudowanej wilii, leżał rozgnieciony przez ciężarówkę pies. Willa była w dobrym guście, przed wejściem warował garbaty volkswagen. Pies wyszczerzył diabelskie zęby. „Nie patrz tam" – ostrzegłem Ludwikę i pociągnąłem ją do pobliskiego przystanku. Czekając na autobus staliśmy, bo ławka była bez desek. Ten, kto je wydzierał, musiał się napracować, powykręcać śruby, którymi były przytwierdzone do obręczy, solidna robota, widziałem go prawie, jak to robił, operował spokojnie, po gospodarsku kluczem, bez przeszkód z czyjejkolwiek strony. „Nie patrz tam" – powtórzyłem starając się przed nią zasłonić psa.

– Co się tam dzieje? – spytała.

– Polska się rozpada – powiedziałem. – Gospodarz gdzieś wyparował.

Ten pies, pomyślałem, leży tu już najmniej od dwóch dni. Przed wojną przyszedłby policjant, opuścił pasek z czapki pod brodę na znak, że obejmuje służbę, i nakazał właścicielowi willi uprzątnąć psa pod groźbą grzywny. Że też temu estecie z volkswagenem zdechły pies u wejścia do willi wcale nie przeszkadza. Stępiał jak my wszyscy, a może nigdy nie był przesadnie wyczulony – wrażliwy jest tylko na marki samochodów, kafelki do łazienki, urządzenia kuchenne, i jeszcze na to, żeby go nikt nie nabił w butelkę, droga jest państwowa (gminna, miejska, diabli wiedzą, czyja), niech sobie sprzątają. Widziałem nadciągającą katastrofę jako coś nieuchronnego. Mogłem się mylić w szczegółach, w datach, ale nie w tendencji. Widziałem ją jako wielkie załamanie się psychologiczne, przede wszystkim. (Teraz możecie mi nie wierzyć, że ja już wtedy – ale przysięgam, tak było.) Pisz o tym, powiedziałem sobie, pisz, krzycz, alarmuj! To jest zadanie dla ciebie – tylko to! Wiedziałem, że tego nie zrobię. Potrafiłem tym sprawom poświęcić już tylko cząstkę siebie. Miałem ją, nie tylko obok, ale we krwi, w mięśniach, pod czaszką, ona pochłaniała wszystkie moje myśli i wszystkie ambicje.

Nadjechał autobus. Wsiedliśmy i kiedy opadliśmy na miękkie poduszki, które pod nami dziecinnie podskoczyły, Ludka zapytała:

– Dokąd mnie porywasz?

– Do Dębówka. Sprawdzić tamto.

– Wariat. – Oczy jej błyszczały, kiedy dotknęła mojej dłoni. – Herr Doktor, jestem cała w skowronkach.

Domyśliłem się raczej z jej tonu niż z jej słów, co to znaczy. Wyjąłem notes.

– Co robisz? – spytała.

– Zapisuję twoje słowa.

– Szaleniec...

– Powinnaś była powiedzieć „fatalnie".

Uśmiechnęła się.

– Nie mówię już „fatalnie", oduczyłeś mnie.

Potem przebiegaliśmy różnymi uliczkami Dębówka. – Popatrz tam – mówię. – Gdzie? – W tamtym zaułku. – Co mam zobaczyć? – Czy jest taka jak ty. O, idzie! – Nieprawda – zaprzeczyła żywo. – Masz rację, nie ma! – wykrzykuję. I pociągam ją w inne miejsce. – Jest? – Nie ma – przyznaje. – A za nami? – Pusta uliczka. – No widzisz, mówię, nie ma w promieniu stu kilometrów.

– To teraz jedziesz do Olsztyna?

– Oczywiście!

– Bardzo dobrze: odkochasz się i będzie spokój.

– Ja myślę – powiedziałem, ale odczułem niepokój i żal.

– Nie jedź – odezwała się.

– Dlaczego?

– Bo naprawdę się odkochasz.

– Najwyższy czas.

Zaśmiała się. Nie wierzyła, że mówię serio, znała już swoją władzę nade mną, wiedziała, że trzyma mnie mocno w garści. Weszliśmy do sklepiku spożywczego, w którym za szkłem dostrzegliśmy ponętnie wyglądający sernik. Kupiliśmy spory kawałek, a potem jedliśmy go z papierka stojąc pod topolą na skwerze, nic w życiu mi tak nie smakowało, Ludka zagarniała więcej niż ja, straszny łasuch, wydziobywała dla siebie rodzynki, ja patrzyłem łakomie na jej usta, „wilk" – rzuciła mi dławiąc się sernikiem, uwielbiałem ją teraz za jej apetyt, za miłość życia, za te śmiejące się oczy. Czuło się, że jest w cudownym humorze („cała w skowronkach"), wszystko przez to, co się wydarzyło w lesie, przez to, że odczuła zgrubienie pod palcami, żebyś się tylko nie zawiodła, pomyślałem i serce zaczęło mi boleśnie tłuc. Ale ona o tym tłukącym się sercu nic nie wiedziała. Popatrzyła na mnie z podziwem:

– Jezus Maria, jak ty odmłodniałeś. – Dodała: – To dzięki mnie, prawda?

– Wszystko zawdzięczam tobie – szepnąłem.

– Pić mi się chce. Język mi uciekł do podniebienia. – Zauważyła, że sięgam po notes. – Znowu zapisujesz?

– Naturalnie.

– To ja mówię aż takie niezwykłości?

– Zapisałbym każde twoje zdanie i wyuczyłbym się go na pamięć. (Komplement numer sto dwadzieścia jeden.) Od czasu, jak przeczytałem Pana Tadeusza, żaden - tekst nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Sama poezja.

Powiedziała „wariat" (sięgnąłem po notes, dała mi po łapach, żebym nie błaznował), zadyszani pobiegliśmy do taksówki.

– Napijemy się w Warszawie – zaproponowałem. – Wytrzymasz?

– Czuję, że to będzie coś specjalnego.

Kierowca, siwowłosy brzuchacz, bardzo był nami zainteresowany, raz po raz spozierał ukradkiem do lusterka. więc zachowywaliśmy się przyzwoicie, tylko Ludka nie wypuszczała mojej dłoni ze swojej. Szepnęła mi do ucha:

– Ty, czy nie za bardzo szastasz?

W Warszawie zajechaliśmy pod Hotel Europejski. Zaprowadziłem Ludwikę do baru w hallu. Siedliśmy przy długim, niskim stoliku, przy którym zajmowała już miejsce chuda dama o haczykowatym nosie, obrzucona brylantami i złotem. Kiwnęła nam głową, że można, i zapaliła długiego dumonta. Ja poczęstowałem Ludkę kentem i spytałem:

– No jak?

Oceniła szybkim spojrzeniem otoczenie.

– High life – odpowiedziała.

Plus kanciarze i tak dalej, dokończyłem w myśli.

– Campari? – spytałem.

– Co to jest?

– Spróbujesz, to się przekonasz.

– Polegam na tobie – powiedziała i uznałem to rzeczywiście za dowód zaufania.

Miałem tam wówczas znajomą barmankę, była to eks-żona pewnego dziennikarza, z którym kiedyś razem pracowaliśmy, szczupła, dobrze ubrana kobieta o świetnych manierach, starzejąca się opornie – od lat wyglądała tak samo. Uśmiechnęła się do mnie spoza butelki ginu, którą trzymała w ręku, obsługiwała właśnie dwóch Japończyków, a może Tajlandczyków, w każdym razie panów z Dalekiego Wschodu, dystyngowanych, z muszką pod kołnierzykiem jedwabnej koszuli. Spytałem ją o dzieci – och, już dorosłe – to tak jak moje, odpo-

wiedziałem. Barczysty facet po prawej stronie odwrócił się na dźwięk mojego głosu i zobaczyłem pochylone nade mną ogromne okulary Chichota i jego wydatny błyszczący nos. Znowu znalazł się na mojej drodze! Pił ciepłą coca-colę – pamiętałem, że bał się o swoje migdałki i że jest abstynentem ze względów zasadniczych. Nie wiem czemu, ale wcale mnie to nie usposabiało do niego przyjaźniej. W klapie marynarki nosił czarną wstążeczkę. Zwróciłem na nią uwagę. Pokiwał głową.

– Tak, Edek... Dwa tygodnie temu...

Cholerny los, pomyślałem i odezwałem się:

– Nie wiedziałem o tym. Współczuję ci. Adam.

Współczułem mu naprawdę, a Edka lubiłem. Podał mi dłoń, uścisnąłem ją, chwilę czciliśmy milczeniem pamięć jego zmarłego brata.

– Napijesz się? – spytał.

– Jestem w towarzystwie. Pani Greto, dwa campari. Chichot przetarł szkła, żeby lepiej przyjrzeć się Luteńce.

– To tamta? – spytał wskazując na mój stolik. Widziałem, że chuda dama dusi papierosa i podnosi się. Teraz żeby tylko nikt się nie przysiadł... – Efektowna – usłyszałem. Zgodziłem się z tym. Zdawało mi się, że z lekka pozieleniał. – Kto to jest? – spytał.

Poczułem w tej chwili ból w obrzmiałej dolnej wardze, starałem się ją nieznacznie wciągnąć, chociaż naprawdę może chciałem, żeby on zwrócił na nią uwagę.

– Ktoś – powiedziałem. – Nie musisz wszystkiego wiedzieć.

Spostrzegłem, że pani Grecie spodobała się moja opryskliwość. Trzymała już w ręku butelkę campari.

– Panie doktorze – mówiła – niech pan idzie do swojej pani, ja przyjdę ze szklankami.

– Dziękuję, tak będzie najlepiej. – Zwróciłem się do Chichota: – Robisz nadal to swoje pismo? – Przytaknął. – To poślij fotografa do Sośnicy. Na szosie koło przystanku leży zdechły pies. Sądząc z pyska, leży już od dwóch dni, może od trzech.

Cichot wzruszył ciężkimi ramionami; tak, wiedziałem, że to temat nie dla nich.

– Jak uważasz – powiedziałem. – Ale ktoś musi uprzątać zdechłe psy.

Chyba mnie nie zrozumiał. Wróciłem do Ludki.

– Spotkałeś kogoś? – spytała.

– Tego samego, co wtedy.

– Dobrze czy źle? – spytała tak jak wówczas.

– Znowu dobrze. Powiedział, że jesteś „efektowna".

– Proszę mnie natychmiast z nim poznać!

– Żebyś miała następnego autora epistoł?

– Wstrętny zazdrośnik. Powiedz: można o mnie powiedzieć tak jak on?

– Owszem, niezłe określenie.

– Przyprowadziłeś mnie tu specjalnie? Żebym odgrywała przed nim rolę twojej dziewczyny?

– Przyprowadziłem cię tylko po to, żebyś napiła się campari.

Pojawiła się pani Greta z tacką. Postawiła przed nami dwie wysokie, obrzeżone mokrym cukrem szklanki z amarantowym napojem i kostkami lodu. (Opowiadam tak, jak to oglądały rozciekawione oczy Luteńki.) Sięgnąłem do kieszeni, w której gniotły się pieniądze, pani Greta wymieniła sumę, zaparło mi dech, ale nie mrugnąłem okiem (choć zdaje mi się, że Ludka dosłyszawszy pobladła), dorzuciłem jeszcze ponad rachunek trzydzieści złotych – i zostaliśmy sami. Ludwika sięgnęła po słomki, rozpakowała je z bibułek dla mnie i dla siebie, wszystko to czyniła skrupulatnie, strasznie porządnicka, potem pociągnęła przez słomkę trochę napoju i przymknęła oczy z rozkoszy.

– Pycha... – Sączyła campari wydając pomruki zadowolenia. – Skąd ty wiedziałeś, że mi się to spodoba?

– Zaryzykowałem. Kobiety na ogół nie lubią goryczy, ale w tobie domyślałem się czegoś innego. Kiedy przywoziłem butelkę campari z Włoch, miałem ją wyłącznie dla siebie. A kiedy przywoziłem słodki aperitif, Sara wychłeptywała go w dwa dni.

– Więc ty chytrze przywoziłeś campari – domyśliła się. – Herr Doktor...

– Słucham cię.

– Zaimponowałeś mi.

Bo walczę o ciebie, pomyślałem. Walczyłem wszystkimi sposobami, używałem najbardziej niecnych metod. Widziałem, że Luteńce uderzyło do głowy, była ożywiona bardziej niż zwykle, pełna blasku, wciąż chwytała mnie za rękę, a ja od czasu do czasu upewniałem się:

– Cała w skowronkach?

– Mówiłeś coś? Nieładnie tak ze mnie kpić. – Spojrzała na zegarek. – Czas do arbeitu.

– Z nowymi siłami – podpowiedziałem.

– Tak... Ale mnie się kręci w głowie.

– Może jesteś głodna?

– Nie, jeszcze nie.

– Gdzie jadasz obiady?

– W stołówce.

– Marnie?

– Ale taniocha. Dla bardziej ładowanych są dania z karty.

Wyjąłem z kieszeni cztery tysiące złotych, kilkaset złotych więcej niż wynosiła jej pensja.

– Co to ma znaczyć? – spytała z popłochem w oczach.

– Dla ciebie.

– Mowy nie ma!

Banknoty leżały na stole i każdy mógł je zobaczyć.

– Chowaj szybko – powiedziałem – nie róbmy widowiska.

Chowała w milczeniu pieniądze do portfelika, układała je skrupulatnie, niby karteluszki w pudełku.

– Po co mi to dajesz? – spytała nie podnosząc oczu, ze złością niemal.

Ubezpieczałem się od następnej klęski, ale tego nie mogłem jej powiedzieć.

– Fundusz stołówkowo-taksówkowy. Przyjedziesz do mnie taksówką, prawda? No więc. I z powrotem tak samo. I będziesz brać dania z karty. A za resztę kupisz sobie nowe pantofle i coś tam jeszcze.

– Potrzebuję spódnicy – odezwała się nie patrząc na mnie.

– Kupisz spódnicę.

– Wełnianą, na jesień.

– Świetnie, kupisz ją sobie ode mnie.

– Nie, nic nie kupię bez ciebie. Pójdziemy razem.

– Dobrze, pójdziemy razem. Papierosy masz?

– Kończą się.

Włożyłem napoczętą paczkę kentów do jej torebki.

– Papierosy ode mnie, pamiętaj, umówione.

Wysączyła resztę campari. Oczy miała zmętniałe. Powiedziała z westchnieniem:

– Upiłeś mnie, podstępny jesteś, i teraz robisz ze mną wszystko, co chcesz. Słuchaj, ty, ja nie mogę wziąć tych pieniędzy. Papierosy – tak, dziękuję, bardzo ci jestem wdzięczna, czasem chce mi się zapalić lepszego papierosa; taksówki – dobrze, zgoda, nie stać mnie na taksówki, ale reszta nie.

Sięgnęła do torebki. Chwyciłem ją za rękę.

– Luteńko, proszę cię, odpowiedz na jedno pytanie.

– Proszę.

– Powiedz: jesteś moją dziewczyną czy nie?

To było poważne pytanie, mocne w stosunku do mężatki, cudzej żony, z obowiązkami gdzie indziej, wobec innego. Zobaczyłem wahanie w jej oczach. Potem je spojrzenie zatrzymało się na mojej posiniałej wardze. Usłyszałem w końcu:

– Jestem.

Tak, stało się, ona to wreszcie zrozumiała. Łączyło nas tak dużo, łączyło nas więcej niż kiedykolwiek przedtem, nawet ta klęska w łóżku stała się czymś łączącym, naszą wspólną tajemnicą, do ukrycia przed całym światem, czymś bardziej intymnym, niż byłaby jednorazowa udana rozkosz. Wybuchnąłem (trochę nadgrywając):

– Więc na co, u diabła, mam wydawać pieniądze, jeśli nie na swoją dziewczynę? Przecież ja bym cię ozłocił! Wszystko ci ofiarował! Pozwól choć trochę sobie pomagać... Chcę wiedzieć, że lepiej jadasz, że masz nowe pantofle i spódnicę, która ci jest potrzebna.

Wstaliśmy. Wychodząc rzuciła nostalgiczne spojrzenie za siebie – na hall, klubowe fotele, na bar z uśmiechniętą panią Gretą, z ginami, sokami pomarańczowymi, z campari i kostkami lodu.

– To okropne, że nie będę mogła o tym nikomu opowiedzieć...

– Będziesz prowadziła podwójne życie.

– Mówiłeś coś?

– Cały obszar nie znany innym, wyłącznie dla siebie. Jedno życie, takie, jakie nam najbliżsi wygotują, może się okazać zbyt szare, zbyt jednostajne. Niektórym z nas potrzebne jest to drugie, uzupełniające, wzbogacające nasze doznania, rozszerzające przestrzeń, w której przebywamy.

Wysłuchała tego w milczeniu. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, przyplątali się cinkciarze i zapytali swoją angielszczyzną, czy nie sprzedajemy dolarów. No, sorry – odpowiedziałem. Brali nas za cudzoziemców, co moją panią bardzo rozbawiło. Odprowadziłem ją, na jej życzenie, do ministerstwa. Po drodze milczeliśmy, Ludwika wyraźnie spoważniała. Zanim pożegnała się ze mną, przypatrzyła mi się tak badawczo, aż poczułem się nieswojo. Powiedziała:

– Powiem ci, kto ty jesteś. Ty jesteś wstrętny szatan-kusiciel. Podwójne życie, rozszerzona przestrzeń... wszystko tłumaczysz tak, żeby wyszło na twoją korzyść. Zastawiasz na mnie pułapki, a ja nie umiem się z nich wydostać. Jesteś bardziej obrotny, niż przypuszczałam.

Walczę o ciebie, myślałem, walczę rozpaczliwie. Czy ona nie chce tego zrozumieć? Gdyby ją można było po prostu kupić!... Zrobiłbym to bez wahania. Dopóki mnie całuje tak, jak całuje, cóż to ma za znaczenie, że na jej namiętność oddziałały także jakieś drobne korzyści? Spytałem:

– Luteńko, ale przecież jesteś moją dziewczyną? Jesteś?

Spoglądała gdzieś ponade mną w przestrzeń ulicy. Ktoś się zbliżał, ktoś, komu się należało odkłonić.

– Chyba tak – rzuciła szybko, nie patrząc na mnie, i uciekła do gmachu.

Ten pies wciąż jeszcze leżał przy drodze i szczerzył diabelskie zęby. Starałem się, żebyś go nie dostrzegła, dlatego nic o nim nie wiesz. Może to nawet nie był pies, tylko mały, wściekle złośliwy demon ze szklanymi oczyma. Ten pies – inkwizytor – domini canis – ścierwo na drodze – obraz nas wszystkich – my, nie uprzątnięci... Miałem gonitwę myśli w noc poprzedzającą nasze spotkanie, lęk rozsadzał piersi, zażyłem relanium... Boże, modliłem się, niech się uda! W szczeliny między tysiącletnimi kamieniami Ściany Płaczu w Jerozolimie pobożni Żydzi wciskają listy do Pana Boga, grypsy z więzienia świata ziemskiego do kancelarii niebieskiej. Nie wiem, o co proszą – pewno o urodzaj, o wyzdrowienie najbliższych, o poratowanie w ubóstwie. Ja, przesądny turysta, napisałbym jedno zdanie: „Boże miłosierny, zachowaj mi tę dziewczynę.” Luteńko, nie odtrącaj mnie, wysłuchaj: przecież to musiało się źle skończyć. Tyle sobie obiecywałaś! I wciąż słyszałem twoje słowa: „Nie, my się nigdy nie

dopasujemy.” Niedopasowanie – to przecież gorsze od fiaska; fiasko to jest coś, co się zdarza i mija – „dopasowanie się” jest lub go nie ma, raz na zawsze. Posłuchajcie mojej opowieści, romantyczni piewcy uczuć: kochali się do zapamiętania, ale musieli się rozstać, ponieważ nie byli dopasowani. (Jak ta zakochana para, która dostawała od siebie alergicznej wysypki.) Trzymałem cię w objęciach i rozmyślałem nad tym, zamiast napawać się twoim ciałem. Ten łobuz, ten zimny drań, ten mój wróg oczywiście kaprysił. – niby cię chciał, ale jakby nie za bardzo, już dawał skok do przodu, nura w ciepło zawiesistej wilgoci, i zaraz się cofał; ściskając mnie kurczowo, szeptałaś: „nie bój się, nie bój się mnie, przecież mnie kochasz” – tak, kocham, dziewczyno, kocham, wielbię, ale on (szczerzący zęby zdechły pies) podszeptywał: powiedziała „kochasz”, a nie „kocham”, ty kochasz, ty, tylko ty; i ma być sprawny, duży, twardy, ma wejść głęboko – kiedyż on się wreszcie podporządkuje? – łobuz, łobuz – a ty skomlałaś jak zbite szczenię, nieszczęsne poniżone szczenię, podczas gdy ja pieściłem cię tym pokurczem, nędznym tchórzem, odczuwając przyjemne letnie łachotki, pocieszając się, że a nuż ci to wystarczy, że moja rozkosz wywoła twoją, ten tchórz odczuwał narastające podniecenie nie dbając o okazywanie tego wyprężeniem – trysnęło (nareszcie, pomyślałem, nareszcie, pierwszy raz to przy tobie przeżywam), trysnęło prawie bez rozkoszy – przycisnęłaś mnie mocniej do siebie, zaskomlałaś raz jeszcze – i odepchnęłaś. Zapaść się pod ziemię – tego najbardziej chciałem. Zapaść się, rozpłynąć. Ale się nie zapadłem. Byłem i patrzyłem.

Myłaś się pośpiesznie w umywalce, milcząc na temat tego, co zaszło. Czasem wydawałaś jakieś polecenie – krótki, gniewny rozkaz. Tym razem nie starałaś się ukryć swojej złości. Im więcej sobie obiecywałaś po naszym spotkaniu, tym dotkliwiej cię ono uderzyło. („Cała w skowronkach.”) Ziemia powinna się rozewrzeć i pochłonąć mnie – za to, na co ją naraziłem. I mój obraz w jej myślach, już teraz utrwalony nieodwołalnie: ona jest przekonana, że ze mną stale tak – rozpaczałem. Chciałem ci opowiedzieć o Tońce, opisać ci jej zachwyty. „Lejesz wodę” – usłyszałbym. Więc nic nie mówiłem. Ty wciągałaś tę nową spódnicę, którą razem kupowaliśmy. Pochwaliłem ją. a ty to przemilczałaś. Gdybyś miała teraz coś innego do założenia, rzuciłabyś mi tę spódnicę na łeb – jak mokrą ścierkę.

Potem szukaliśmy razem taksówki. Znaleźliśmy ją wreszcie, aż w Lipnie, koło poczty. Przyszła chwila pożegnania. Szepnąłem: „Luteńko...” Twoje spojrzenie było chmurne. Powiedziałaś: „Nie, nie mów nic, trzeci raz to już niewybaczalne.” Byłaś rozdygotana. Zwróciłem na to uwagę: „Co z tobą będzie?” „Co ma być? Przecież jest mąż.” Starałaś się być nieprzyjemna. „Mam chłopa w domu – o co chodzi?” Byłaś brutalna – nie wiem, z potrzeby serca czy mnie na złość. Zaczęłaś opowiadać o swojej koleżance ze studiów, jakaś Anulka z wyłupiastymi oczyma, która zamęcza cię zwierzeniami o swoich doznaniach erotycznych. „Pomyśl – mówiłaś – taka kretynka.” Zrozumiałem, że ta koleżanka rozjątrzyła cię swoimi opowieściami, nagle poczułaś się skrzywdzona – złym wyborem (niedopasowaniem). Szepnąłem: „Gdybyś mnie kochała choć w czwartej części tak jak ja ciebie...” Nie odpowiedziałaś. „Gdybym chociaż wiedział, że jestem ci bardzo potrzebny...” „Słuchaj – (to słuchaj jest zamiast imienia, którego nigdy nie zdobyłem) – wiesz dobrze, że u mnie to nie mogło być takie szaleństwo jak u ciebie.” „Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.” „A ja tak. Doskonale dam sobie radę, wierz mi.” Chciałaś mnie pognębić, chciałaś tego. Sprawić mi ból. Mściłaś się – za co? – chyba za klęskę, którą poniosłaś jako kobieta. Taksówka cię uwiozła, ja zostałem z tym wszystkim sam. Mamo, szeptałem wracając przez tamten las, mamo. Próbowałem odnaleźć drzewo, pod którym przygryzłaś mi wargę, ale nie udało mi się. Przybyło wokoło trochę butelek, puszek, kondonów, ekskrementów. Drzewa stały sprofanowane – sosny skomlące na wietrze jak zbite psy. W pokoju spakowałem rzeczy, notatki, materiały do doktoratu Działacza, powielane tezy, wcisnąłem do torby Biblię, *Dzieje Bizancjum,* Stendhala, Bellowa, Lowry’ego i jeszcze kilka książek, zamknąłem drzwi, oddałem klucz pokojówce i pojechałem do Warszawy.

Jestem sam. Nie ma ciebie, nie ma w mieszkaniu nikogo. O dziwo, odczuwam to jako ulgę. Sam – mogę snuć się w starych, poplamionych portkach, w swetrze z dziurami, rozmamłany, kichający; rozwalić się na tapczanie: siąść na sedesie z książką w ręku. Nie poddany kontroli cudzych oczu, także twoich. Bez presji z zewnątrz. Prawdziwie wolny człowiek. Szmaciarz, owszem, bo tak mi się podoba. Zrozumiałem nagle, co się ze mną stało: wszystko przemieniło się w ciężki obowiązek. Zadanie do wykonania. Test z mojej sprawności. Gdzie radość, gdzie pożądanie, gdzie skowycząca ulga, z jaką dwa pęczniejące od tęsknoty ciała odnajdują siebie w nagości, rozkoszują się wzajemnie przekazywanym ciepłem, oddechem, sokami? (Nienawidzę twojej pochwy. Nienawidzę jej wymagań, bezwzględności, okrucieństwa.)

Nie myśleć. Wypisuję na kartce kilka pozycji, które Ludwika mogłaby mi odszukać. Chyba nie będę śmiał jej o to prosić. (Jeśli to, co ją ciągnęło do mnie, to była moja opętańcza namiętność, temperatura tej miłości, to teraz – kiedy pozostaje ona nie zrealizowana, nie przemieniona na rekordy w łóżku – może to samo stać się dla niej źródłem nudy, a przede wszystkim zniecierpliwienia.) – Więc mam odejść? – spytałem na głos i poczułem, że grunt usuwa mi się pod nogami, krzesło, na którym siedzę, żegluje po rozkołysanym morzu.

Zażywam na noc thioridazin. Ludka jest cały czas obok, nawet niespecjalnie opryskliwa, ot tak, z lekka ironiczna, leży w szerokim łożu w nocnej koszuli i mówi coś do męża, który w szlafroku po kostki chodzi po mieszkaniu dopytując się surowo: „Kiedy będzie obiad?" Krysiu, mówię, nakryj dla państwa. Jestem w ministerstwie, w pokoju Ludwiki, otwieram szufladę od jej biurka. Widzę tabliczkę czekolady van Houten, podarowałem ją kilka dni temu, jest nietknięta. Nietknięta tabliczka czekolady – myślę budząc się – jaki nieskomplikowany symbol. Jeśli dostała czekoladę od docenta Zeckiego, to pewno schrupała ją z nabożeństwem.

Zapełniam takimi i innymi głupstwami notesy, które mam pod ręką. Chowam je po kieszeniach, bo Krysia lubi podczytywać moje gryzmoły, przekonałem się, że to robi, wypatruje moich tajemnic jak zazdrosna żona. Zapisuję wszystko w trzeciej osobie – na wszelki wypadek – a także dlatego, że może zacznę konstruować z tego powieść. Dla ciebie. Będę miał jedną jedyną czytelniczkę. (Stendhal, zakochany w Metyldzie Dembowskiej, pisał dla niej powieść, ale urwał po kilku stronicach – zawodowiec, może nie umiał zwalczyć oporu materiału. Ja jestem amator, mnie wolno sfastrygować moje notatki byle jak.)

– Tato – mówi Krysia – telefon. Jakaś baba do ciebie.

Kiedyś włączę notatki do tej księgi. Kiedyś uporządkuję, myślę, to będzie mój ratunek, podchodzę do telefonu.

To była ona. („Baba" – Krysia starała mi się ją po swojemu ustawić, strącić z piedestału. Tak jak Tońka: jak tam twoja dupa?)

– Cześć – usłyszałem – gdzie się włóczysz? Miałeś siedzieć w Sośnicy i pracować.

– Nie mogę. – Słyszę swój głos zachrypnięty, bliski załamania.

– Proszę się wziąć do roboty – rozkazuje. – Obiecałeś mi.

(Nie, nigdy nic takiego nie obiecałem.)

– Tak jest – mówię posłusznie. – Wezmę się do roboty... Ale chyba nie po to dzwonisz.

– Nie. Mam zamówienie... – Strasznie nieśmiało to powiedziała.

– Słucham.

– Jabłuszka...

Nie, ona ze mnie nie rezygnuje.

– Już lecę... Jeszcze coś?

– Nie obrazisz się?

– Mów.

Wysłuchuję reszty poleceń tak skwapliwie, że prawie je zapominam. „To czekam – słyszę – cześć." Odłożywszy słuchawkę, notuję szybko jej zamówienia. Przede wszystkim jabłuszka – powtarzam sobie, mrucząc to na głos. Jabłuszka, moja szansa, jabłuszka były teraz rzeczą najważniejszą na świecie. Moja córka przygląda mi się, jak sznuruję pantofle, przyczesuję

włosy (przybyło trochę siwych), płuczę usta. „Jurek – słyszę głos matki – skocz do owocarni po renety.” Już lecę. Znowu mam piętnaście lat – skocz na jednej nodze – robi się – pędzę ze schodów na złamanie karku. – Pani Wilkotowa – warczy dozorca – pani synuś kiedyś rozwali mi te schody. Mój tato oszalał, myśli Krysia, zerwał się i pobiegł na pierwsze wezwanie, jest na posyłki u jakiejś pindulki, u jakiejś baby, pan doktor ekonometrii. Dziadu, dziadu – warczy Sara. Mama by mnie zrozumiała, myślę z nagłym roztkliwieniem, jaka szkoda, że nie mogę jej wszystkiego opowiedzieć, gdyby żyła, przytuliłaby mnie do siebie i powiedziała: „Najważniejsze, synku, że jesteś szczęśliwy.”

(Czy jestem?) Ale zaraz przypomniała mi się oschłość, z jaką powitała po wojnie Sarę, i że potem nigdy już stosunki między nimi nie były przyjazne, i pomyślałem sobie, że i teraz jej aprobata nie byłaby taka pewna. A co, jak nie znajdę jabłek? Serce mi bije, kiedy zbliżam się do sklepu. (Znowu będzie twoja wina – głupich jabłek nie potrafisz kupić – inni wszystko dostaną, a ty najprostszej rzeczy nie potrafisz załatwić.) Ludzie, muszę mieć te jabłka! Wszystko od nich zależy!

Są! Sprzedawczyni nie domyśla się, dlaczego jestem dla niej taki miły, skąd moja elokwencja i uwodzicielskość. Jej ciemne oczy, zwykle nieobecne, podczas ważenia jabłek i kartofli jakby zamknięte na żaluzje, otwierają się na mnie, robią się ciepłe, kobiece, w policzkach pojawiają się dołeczki, których nigdy u niej przedtem nie zauważyłem. Dziękuję za jabłuszka, prawdziwe jabłka pokusy – plotę – a ona zwierzy się przed snem mężowi: wiesz, podrywał mnie dziś taki jeden inteligentny pan, całkiem jeszcze do rzeczy (tak powie, żeby męża zaniepokoić), zabawny, na jabłka mnie podrywał.

Serek homogenizowany, ćwierć ementalera, ciemny chlebek. Jabłuszka. Zerkam do kartki: wszystko jest, wywiązałem się. Czekała na mnie w biurze, była sama, w poziomkowej sukience, z podłużnym dekoltem, dzieło sąsiadki. Stanąłem w progu, ogarnąłem ją wzrokiem i poczułem, że nogi słabną mi ze wzruszenia.

– Jakaś ty piękna – szepnąłem.

– Masz? – spytała.

– Tak, wszystko.

Pocałowała mnie w policzek.

– Dziękuję. Siadaj tam... I zachowuj się. – Przetarła jabłko serwetą i wgryzła się w nie zębami. Potem wytarła drugie i podsunęła mnie. – Jedz! – Chwilę się wzbraniałem, nie wiem sam dlaczego, nie miałem chyba apetytu. – Żadnych takich – powiedziała – jeść i kropka.

Jedliśmy w milczeniu te jabłka, potem ona zebrała ogryzki i wrzuciła je do kosza. Otworzyła portmonetkę.

– Ile?

– Nie wiem, nie liczyłem.

– Policzymy.

Musiałem się zgodzić, że tylko jabłuszka to prezent dla niej, a za resztę mam wziąć pieniądze. Spytałem obolały:

– Luteńko, co z nami teraz będzie?

– Nic – odpowiedziała. – Po prostu nic. Nie rozmyślaj tyle. Chcesz herbaty? Zrobię ci.

Chciałem herbaty. Chciałem wszystkiego, co pozwalało jeszcze być przy niej. Póki byłem obok, miałem jakąś szansę. Powiedziałem jej, że śniło mi się, że nie tknęła mojej czekolady. Śmiała się:

– Właśnie ją kończę.

Otworzyła szufladę, odłamała kawałek czekolady i włożyła mi do ust. W wazoniku były nowe kwiatki. Docent Zecki? Zdziwiła się: on, skądże? To od pani Anety. (Kobiety ją rozpaskudzają.) Taki Zecki, pomyślałem, nie ofiaruje kwiatów, nie częstuje czekoladą, nie potrzebuje, jest przystojny, „śliczny” – nazwała go kiedyś.

– Nie lubię go – odezwała się nagle. Coś między nimi zaszło, pomyślałem, czymś ją dotknął. – Wszystko dla mnie stracił. – Jak to – mówię – taki przystojny. – Jest przystojny – ona na to – muszę przyznać. – (Sto tysięcy przystojnych facetów kręci się po Warszawie i co z tego?) Ona jakby pomyślała o tym samym: – Przystojnego mam w domu. Miałeś rację mówiąc, że to nie jest takie ważne.

Podała mi szklankę parzącej herbaty. Wstałem, żeby objąć moją dziewczynę, ale ona wysunęła się z moich ramion.

– Nie, zostaw... siadaj.

– Czujesz do mnie wstręt? – Zadałem to pytanie, bo jestem ryzykant.

– Głupstwa gadasz. (Tej odpowiedzi pewno oczekiwałem.) Siedź spokojnie, po co się rozjątrzać, w końcu ja nie jestem z kamienia. (No nie, pomyślałem, wiem coś o tym.) Proponuję ci zawieszenie broni.

Milczałem.

– Chyba tak będzie najrozsądniej – dodała w charakterze komentarza.

– Rozsądek nie ma tu nic do roboty. Ja się ciebie po prostu boję.

– Chryste, dlaczego? – W jej głosie brzmiała bezradność bliska rozpaczy. – Ja jestem zwykła dziewczyna. Nic we mnie takiego nie ma, żeby się bać.

– Nie, nie jesteś zwykła.

– Nie jestem nawet ładna.

– Jesteś prześwietlona urodą! Emanuje z ciebie oszołamiający urok.

– Nie, nie! – protestowała. – Nic nie emanuje.

– To dlaczego wszyscy tracą głowę?

– Ale nikt tak jak ty. – Oczy jej pociemniały. – Pan doktor jest taki mądry, tak wszystko wie, niech pan powie: dlaczego między nami tak jest? Może to moja wina?

Tego właśnie bałem się najbardziej. Mój największy strach, cicha podstępna myśl, która podkradała się do mnie od pewnego czasu: że to w niej jest coś – w jej nagim ciele – coś takiego, co mnie studzi. Piękna, wysmukła, ukochana – tyle że mnie nie podnieca. Przyznaj się przed sobą, atakuje podstępnie myśl, no powiedz sam: dopóki jest niedostępna, nie wyłuskana ze spódnic i bluzek, pożądasz jej – dlaczego? Jej ciało jako źródło oziębłości – nie, nie chcę nawet dopuścić do siebie tej myśli, to byłaby największa klęska mojego uczucia, najokrutniejsza drwina natury z mojej miłości. Czyżbym chował, nie zdając sobie z tego sprawy, inne wyobrażenie tego, co jest weiblich, kobiece? Nie, nigdy! Zgodzę się być fajtłapą – nerwowcem z lękiem przedegzaminacyjnym – wszystko na siebie przyjmę, tylko nie to, że ona nie jest podniecająca. Bo gdyby tak było, to co warte jest moje szaleństwo?

– Luteńko, to nie jest twoja wina – powiedziałem. – To mój lęk. Tylko to. Pamiętaj – powtórzyłem z naciskiem – to nie twoja wina.

Cudzie, myślałem całując ją, nieprzytomny ze szczęścia, zalany słodyczą tego pocałunku, więc cię jeszcze nie straciłem. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, rozkazała:

– Siedź spokojnie.

Od pewnego czasu weszła w rolę rozkazodawczyni w sposób naturalny i już przy niej została.

– Nie ma takich ust jak twoje – powiedziałem. – Wiem, bo wypróbowałem wszystkie. W promieniu pięciuset kilometrów nie ma na pewno. Podobno w Sztokholmie... ale mnie odmawiają paszportu. Luteńko, spróbujmy jeszcze raz.

– Oszalałeś.

– Może, ale spróbujmy.

– Nie, zawieszenie broni, tak będzie najmądrzej.

– Dobrze, zgoda, może masz rację. Czasem wolałbym, żebyś tam pod sukienką nic nie miała. Żeby twoja kobiecość to były oczy i usta – aż do ostatecznego utonięcia w nich.

– Kłamiesz. Zawsze na mnie patrzyłeś, wiesz jak.

– Teraz nie kłamię. Teraz wolałbym od tej twojej rzeczy być uniezależniony. Szkoda, że nie żyjemy w starożytności. Znalazłbym sposób, żeby być przy tobie.

– Jaki?

– Zaprzedałbym ci się w niewolę. – Widziałem, że jej twarz nabiegła krwią: niektórych moich oświadczyn nie wytrzymywała. – Tak – mówiłem – tak bym uczynił. Spisano by akt kupna i sprzedaży, ty byś mi przekłuła ucho i założyła kolczyk. I byłbym twoją własnością. A ty byś była moją panią. Usługiwałbym ci tak, jak byś sobie życzyła. Z obowiązku i z zachwytu. – Straszną miałem ochotę osunąć się przed nią na kolana. – Byłbym twoim skrybą i doradcą.

– Co byś mi doradzał? – spytała śpiewnie.

– Kiedy i jak sprzedać zboże. A gdybym źle doradził, karałabyś mnie chłostą. Biłabyś mnie, tak? Zbij mnie – szepnąłem – należy mi się. – Uderzyłem się w pierś. – Zawiniłem tak strasznie...

– Po co wciąż o tym myślisz?

– Zawiniłem przed tobą haniebnie – o czym, na litość boską, mogę jeszcze myśleć?

– Zawiesimy broń na kołku, to nam dobrze zrobi.

– Będzie tak, jak sobie życzysz.

Piliśmy przez chwilę herbatę. Widziałem, że jest zamyślona.

– Herr Doktor... – odezwała się. Podniosła oczy, uśmiechnęła się do mnie. – Powiedz: kto by mi to wszystko powiedział, gdyby nie było ciebie?

Więc nikt inny, pomyślałem.

– Ja mówię to, co czuję. Tak to czuję, nie inaczej.

– Ależ to obłęd.

– Obłęd, wiem. Jestem chory na ciebie. Nie znajdziesz na to lekarstwa – o tym już wiem na pewno – jestem nieuleczalnie chory.

Obszedłem stół. Kiedy się zbliżyłem, przytuliła twarz do mojej piersi. Gładząc jej włosy mówiłem ostrożnie:

– Luteńko, mnie się przez chwilę zdawało... tam w lesie, kiedy mi tak warga obrzękła... jęknęłaś... zdawało mi się...

– Że co? – spytała podnosząc na mnie zdziwione oczy.

– Że to szczyt.

Ledwom to wyrzekł, już wiedziałem, że palnąłem głupstwo. Ona westchnęła. Uwolniła się z moich objęć, wyjęła z szuflady kenta i zapaliła. Potem, śmiało na mnie spoglądając, powiedziała:

– Nie, mój kochany, nie wyobrażaj sobie. Ja nie jestem taka łatwa... – Jej twarz powoli pokrywała się rumieńcem. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale dała spokój.

A mnie zabiło radością serce. Mam jej tajemnicę!... Wiedziałem! Przeczuwałem, że taka jest! Moja cudownie trudna dziewczyna! Ona nie mogła być inna – Ludwika, sosna strzelista, wyniosła, moja pani wspaniała, władczyni – trzeba jej poświęcić siły, zdrowie, żyły napiąć, serce zmordować. Usłyszeć jej krzyk – zamarzyłem. Wydrzeć go z niej! Muszę to mieć, muszę to usłyszeć, tylko po to żyję. Nie ustąpię, nie zrezygnuję, będę o nią walczył, zmagał się, użyję wszystkich sił i podstępów. O ten krzyk idzie. O jej zatracenie się w moich ramionach. Kiedy wreszcie przestanie być panią, kiedy przebita przeze mnie, miotająca się w moich ramionach, zbezczeszczona, roznamiętniona, zsamiczona, nie zapanuje nad zwierzęcą rozkoszą, którą ześlę jej ja, niewolnik, i wybuchnie krzykiem. Miałem mgłę w oczach. Szepnąłem:

– Pani moja... spróbujmy raz jeszcze.

– Po co?

– Spróbujmy, błagam. Przecież są jakieś specyfiki. Trzeba to raz przełamać, potem już będzie zawsze dobrze. Błagam cię, błagam, daj mi jeszcze jedną szansę.

Widziałem, że słuchając tego łamie się, potem dostrzegłem zielony blask w oku. Tak, jej też żal tego, co miało między nami się stać. Ona też nie chce, by to zakończyło się rezygnacją. Grajmy dalej, dziewczyno, wygramy kiedyś. Wstała zza biurka i objęła mnie. Szepnęła:

– Nie martw się, mnie jest z tobą dobrze.

To nie była prawda. Ale byłem jej wdzięczny za to, że chciała mnie pocieszyć. Kazała mi iść, bo miał przyjść Łysy po jakieś materiały i gdyby mnie tu ponownie zastał, coś by mu się zaczęło kojarzyć. Umówiliśmy się, że zorganizuję wszystko z tym lekarzem i zawiadomię ją. A na razie miałem prawo przychodzić w obecności Idalki, przynosić – jeśli mi się tak podoba – kwiaty, papierosy, czekoladę, jabłuszka, coca-colę, wyciągać ją do sklepów, kawiarni i księgarń. Znowu była moją dziewczyną.

Boję się sobót. Ostatnia porażka wypadła w sobotę. Sobota jest winna: ja, racjonalista, autor podręcznika ekonometrii, umysł zimny i suchy, ja zrobiłem się przesądny. Wymawiam magiczne zaklęcia, odczyniam uroki, rzucam w kąt pechowe koszule, wyciągam tę, w której mnie całowałaś, modlę się, szepczę, szukam szczęśliwych liczb, sprzyjających dni.

Sobota, cholerna sobota. Kara za sprofanowany sabat. Od Czarka, mojego dawnego przyjaciela, do którego teraz postanowiłem się zwrócić, czego właściwie oczekiwałem, jeśli nie magii, zaklęcia? Znaliśmy się z wojska, tak, spędziliśmy kilka godzin leżąc obok siebie nad Szprewą, w dwóch płytko wykopanych dołkach, nie mogliśmy się ruszyć, bo gdy próbowaliśmy unieść głowy, zaczynały ujadać niemieckie bergmany. Przez ten czas opowiedzieliśmy sobie mnóstwo intymności, on miał więcej do opowiedzenia, był kilka lat starszy ode mnie i tych kilka lat umiał wykorzystać. W przeciwieństwie do mnie nie miał, zrozumiałem to od razu, żadnych pasji politycznych – jego pasją było samo życie, gra z innymi, z kobietami przede wszystkim. Spotkałem go kilka miesięcy po wojnie w Warszawie, między ruinami Starego Miasta, chodził jeszcze o kuli. Wtedy dopiero zaprzyjaźniliśmy się. Spędzaliśmy wspólnie wieczory, on miał większe szczęście u kobiet, był bardziej bezwzględny, mniej uczuciowy, właściwie cyniczny – może dlatego. No i nie bardzo wybredny. Na stoliku w jego kawalerskim pokoju leżał stos listów i kartek, które ja, z moim umiłowaniem do porządku, podjąłem się posegregować, ale on to wyśmiał. Nie była to obojętność, ale pewnego rodzaju filozofia życiowa, może pozostałość jakiejś ostrej rany, która się źle zabliźniła. Tak myślę o tym teraz. Był moim spowiednikiem, słuchał mnie z iskierkami w wąskich szparach oczu. Nazywałem go moim „starym mądrym Żydem", chociaż Żydem nie był. („Nie ma teraz mądrych Żydów – powiedział mi przez telefon, kiedy mu o tym przypomniałem – mądrzy wyjechali.") Miałem jakieś konflikty w pracy, walczyłem o Sarę, która nie chciała opuścić jakiegoś mitycznego narzeczonego, nie wiedziałem, co z sobą robić. Pamiętam, że drżały mi palce. Powinienem był studiować, ale co? Owszem, to byłoby nieźle – zastanawiał się na głos – ale dlaczego od razu humanistyka? Po co pogłębiać uwrażliwienie? Czy czujesz wstręt do matematyki? Nie, przeciwnie, zawsze miałem zdolności matematyczne. Czemu więc nie studiować czegoś bardziej ścisłego? – nastawał Czarek. Czegoś, co jeszcze wymaga trochę wyobraźni, ale już pewnych działań wymiernych. Na przykład nauki ekonomiczne – ciągła gra z okolicznościami, właściwie nie wiadomo, czy to w ogóle jest nauka. Wymyślił to jako antydot na moją pobudliwość i uwrażliwienie uczuciowe. On więc pchnął mnie w tym kierunku, on powinien czuć się odpowiedzialny za mój krach życiowy. Czarek zaczął studia ekonomiczne wraz ze mną, ale wprędce zbrzydził je sobie: co ja tu, u diabła, robię – powiedział naraz – przecież praktykowałem przed wojną jako technik dentystyczny, trzeba wrócić do tego i wyrzucić z głowy wszystkie wasze głupstwa. Odtąd mało go widywałem – wiedziałem tylko, że odnosił sukcesy – niejeden tenor i niejeden dygnitarz szczerzył zęby jego wyrobu. Komunikowaliśmy się czasem telefonicznie, rozmowy były krótkie, dotyczyły wiadomych spraw. „Funkcjonujesz?" – pytałem. „Wszystko gra" – odpowiadał. Ze stanem moich nerwów bywało różnie. Stwierdzał wyczerpanie psychiczne – czuł się trochę za mnie winny, jakby sam

spowodował moje konfliktowe sytuacje – „trzeba wypocząć", mówił bez przekonania, bo wiedział dobrze, że ja nie należę do tych, którzy umieją wypoczywać, wylegiwać się w piasku, obracać się z boku na bok i nie myśleć o niczym; w takich chwilach myślę jak na złość o wszystkim naraz, bardzo intensywnie, wichura przelatuje mózgiem, zamieć łamiąca gałęzie.

Nie miałem do niego nigdy żadnych spraw z uzębieniem i zdaje się, że trochę był tym dotknięty. Ale kiedy zadzwoniłem, wykrzyknął od razu: „Czekam!" Nie zmienił się wiele: wciąż szczupły, młodzieńczy w ruchach, ten sam żywy, inteligentny uśmiech w wąskich oczach spoza okularów. Odbyła się męska rozmowa, ale bez obleśności, rzeczowa. Był jedynym jak dotąd człowiekiem, któremu zwierzyłem się z moich niepowodzeń z Ludką (może po to do niego przyszedłem – na zwierzenia?). Ciekawiły go jej reakcje na bodźce dotykowe. Jak piersi? Jak łechtaczka? Czy pochwa wilgotnieje? Opukiwaliśmy nagie ciało Ludwiki, oglądaliśmy je fachowym okiem, spokojnie, bez podniecenia – jak gdybyśmy byli lekarzami. Moje odpowiedzi całkowicie go satysfakcjonowały. Otworzył jakąś szufladę i zobaczyłem przeróżne dziwności: prezerwatywy z wąsami, kolcami, obróżkami – mdło mi się zrobiło. Nie, mówię, nie trzeba, to nie jest ten przypadek. Aha, on na to, rozumiem. Ta pani, mówił, należy zapewne do kobiet trudnych, ale to nie powinno stanowić decydującej przeszkody, jest takich dziesięć do dwudziestu procent i wymagają mężczyzny, który by o nie zadbał. (Te procenty trochę mnie odstręczyły, nie miałem ochoty klasyfikować Luteńki, umieszczać jej w przegródkach liczbowych. Była jedyna – poza wszelką statystyką!, i ja do tej jedyności powinienem się wznieść.) Przypuszczam, mówił, że trochę winy jest i po jej stronie. Tak, pomyślałem, jest spięta, wstydzi się jakby swojej nagości, samego faktu, że do mnie przyszła, że przyszła po to, nie umie się odprężyć, ogrzać powietrza wokół nas. Pokiwał głową. I obaj już wiedzieliśmy, że nikt mi w niczym nie może pomóc.

Spojrzawszy na mnie z uśmiechem spytał:

– Czy ta pani podoba się tylko tobie, czy także innym mężczyznom?

– Obsypywana kwiatami i listami.

– Ale czy budzi pożądanie? Zawahałem się.

– Przypuszczam. To nie są romantycy – dodałem.

– A ty sam marzyłeś o tym żeby mieć ją w łóżku?

– Ani przez chwilę nie przestawałem do tego tęsknić.

– Wszystko będzie w porządku – zapewnił mnie. – Wierzę, że to przełamiecie. Wyrosła między wami bariera, ale jeden udany stosunek i to runie.

Tak, pomyślałem, ta bariera jest w nas, w środku, w niej także, chociaż główną odpowiedzialność ponosi nędzny mały tchórz. Gdyby nie jego złośliwości, umiałbym o nią zadbać. Usłyszeć jej krzyk! – omal nie wybuchnąłem tym marzeniem na głos.

– Stary – zająknąłem się – może masz coś... jakiś specyfik...

Widziałem, że się namyśla.

– Odstąpię ci receptę – powiedział wreszcie. Zawsze miał pod ręką, co trzeba – i teraz też. Radził mi zażyć tabletkę na dwie godziny przed stosunkiem, a jeśli chcę być pewniejszy skutku to dwie... Odprowadziwszy mnie do drzwi powiedział:

– Bardzo jestem ciekaw, jak to się u was rozwinie. – Pomyślał chwilę i dodał: – Z wszystkiego, co mówiłeś, tworzy się obraz osoby nieprzeciętnej. (O tobie tak mówił. Już odpadł, już był prawie zakochany.) I na tym może polega trudność...

Chryste Panie, zaklinała się Ludka, ja jestem zwykła dziewczyna. Ze wszystkich sił broniła się przeciw wznoszeniu jej na piedestał, jakby domyślała się, że to właśnie jest dla niej najniebezpieczniejsze. Póki częstowałem ją komplementem, pochwałą – rozmyślałem idąc do apteki, rozmyślałem uspokojony, nawet z pewnym ożywieniem, bo byłem pełen nadziei – mogło jej to sprawić radość, przez chwilę komplement przyprawiał ją o szczęście, może nawet oszołamiał. Ubóstwienie wprowadzało ją w zakłopotanie. Właśnie dlatego, że jej mózg funkcjonuje sprawnie, piękna dziewczyna, otrząsnąwszy się z oszołomienia, przejdzie nad

komplementem do porządku dziennego – będzie wdzięczna, ale nie zmieni to jej sądu o sobie. Podobnie jak pisarz, Grzegorz na przykład, kiedy mu mówią, że jest „wybitny", „ulubiony", „jedyny", cieszy się przez chwilę, ale zaraz zapomni (biada mu, jeśli to w nim będzie tkwić i określać jego stosunek do własnej twórczości), widzę przecież, jak Grzegorz zapomina o tym, ze napisał wybitną książkę, i dalej boleje nad swoją słabością i niedostatkami. On jeden tę swoją słabość naprawdę zna, on jeden wie, jaki jest niedoskonały, przyziemny, nieolimpijski, powszedni. Ile ma lęków. Podobnie piękna dziewczyna – tylko ona jedna wie, jak jej potrafi dokuczyć to uwielbiane przez innych ciało. Zadbam o nie, pomyślałem, wciąż pełen nadziei. Podałem panience w aptece receptę. Okazało się, że mam zapłacić kilka złotych. Nie wierzyłem swoim oczom: kilka złotych za coś, co ma odmienić moje życie – kto u diabła zaproponował takie idiotyczne ceny? (Chyba nie ja.) Mruknąłem do tej młodej sympatycznej dziewczyny w kitlu: „Chyba to za tanie, żeby mogło być skuteczne." Uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi – nie wiem: z mojej formuły czy też domyśliła się moich kłopotów.

Dokąd ją zaprowadzę? Hotel wykluczyliśmy kiedyś oboje. Pokój w Sośnicy oddałem. U mnie w domu – nie, lepiej nie, „tu było niedobrze", powiedziała – zresztą Krysia i Zbyszek mogli wpaść w każdej chwili. Miałem wciąż jeszcze klucz od mieszkania Jemirycza. Postanowiłem popracować do końca tygodnia, z sobotą włącznie, chata jest wolna. Ktoś podniósł jednak słuchawkę: gosposia. Zapytałem o pana Jemirycza. Pan redaktor jest w sanatorium, w Szczawnicy. Przedstawiłem się i poinformowałem ją, że mam klucz. Wiedziała o tym, znała moje nazwisko, spytała, czy przyjdę. Tak, powiedziałem, chciałem popracować do końca tygodnia, z sobotą włącznie, i wolałbym, żeby nikt mi nie przeszkadzał. To się rozumie, proszę pana, ja tylko z rana przyjdę, posprzątam i pójdę sobie. Nie, powiedziałem, nie musi pani, sam posprzątam, ja umiem. A co u pana Janka? Kiedy się pokaże? Usłyszałem chlipanie. Czułem, jak mróz przenika mi pod skórę.

– Czy niedobrze? – spytałem.

– Pan Jasio jest umierający.

Po trupach do szczęścia, pomyślałem.

– Pani jest pewna? – Ledwie to wymówiłem, przypomniał mi się książę de Guermantes, który powiedział choremu Swannowi: „Przesadzasz, mój drogi", czy coś w tym rodzaju, bo wybierał się właśnie na bal i nie chciał sobie psuć nastroju.

– On już nie wróci – powiedziała gosposia. – On tam umrze.

Po trupach. Nie, nie rozmyślaj o tym. Jemirycz naprawdę nie musi być umierający. Ona rzeczywiście mogła przesadzać, takie to ludowe babskie biadolenie. Płaczka spod kościoła do wynajęcia, myślałem czując narastający ból, którego nie umiałem umiejscowić – piersi? wątroba? krtań? – ból (dawniej zwany duchowym) wpełzał do wszystkich tkanek, rozszarpywał mnie od wewnątrz – płaczki, płaczki lubią grzebać człowieka żywcem. Szepnąłem: Boże, nie daj mu umrzeć, pomóż mi. Chryste Panie – usłyszałem jej głos, jakby stała obok – we mnie nic takiego nadzwyczajnego nie ma. Moje mieszkanie było pełne zjaw i głosów. Ucieszyłem się, kiedy nadeszła Krysia. Zaczęliśmy gotować kiełbasę w sosie pomidorowym, ze spaghetti i tartym ementalerem – moja specjalność, muszę kiedyś poczęstować tym Ludkę, „mniam-mniam" – usłyszałem, „pycha", i znowu zrozumiałem, że jestem nieuleczalnie chory.

Zabrałem się do porządkowania materiału do tej pracy doktorskiej. To też robiłem dla niej. Spisałem na kartce tytuły kilku prac, o których Działacz nie miał pojęcia, poproszę o nie Ludwikę. Dla niej, przez nią, *o* nią, dzięki niej. Nie mogłem zasnąć, rozmyślałem o tym, jak urządzić ten pokój, żeby było nieco przytulniej. Nie, nic się nie da zrobić, trzeba po prostu nie widzieć. Przepędzić zjawy. Skoncentrować się na niej. Zażyjesz te tabletki, będzie przerażający wzwód, wzwód-gigant, wreszcie ją przebijesz (zadbasz o nią, pamiętaj) – teraz wyobrażałem sobie wszystko, jej oczy, oddech, zaciekłe falowanie bioder – wzwód miałem potężny, męczący, wzwód dla niej wyobrażonej – jej oddech coraz szybszy – (więc jej pożądam, myślę, pożądam tak po prostu, po męsku, zwierzęco) – oddech, oddech, i krzyk aż ściany pękają,

walą się jak Jerycho. Nie chciałem na noc zażyć nic uspokajającego, bałem się otumanienia, pomęczę się i w końcu zasnę. Wierciłem się tak prawie do świtu. Odjęłaś mi sen...

Miałem te tabletki w lewej kieszeni marynarki, kiedy szedłem do jej biura, w prawej klucz i papierosy. Kupiłem trzy wymuskane frezje, delikatne jak panienki, pastelowe w ubarwieniu, wdzięcznie powyginane. WCHODZIĆ BEZ PUKANIA. Ludka rozmawiała przez telefon, kiedy wszedłem; obdarzyła mnie uśmiechem spoza słuchawki. Idalka spojrzała na frezje, zawołała:

– Jakie śliczności!... Wykosztowałeś się.

I podsunęła mi pusty wazonik. Wcisnąwszy frezyjki rzuciłem w stronę telefonu:

– Pani Ludko, to łapówka.

Nie udało mi się jednak przerwać tej rozmowy: Ludka uśmiechała się teraz do słuchawki. Mężczyzna po tamtej stronie drutu przymawiał się, o ile zdołałem zrozumieć, o odwiedziny. Domyśliłem się: Łysy. Więc wpadł w potrzask! Tęskni, rozmyśla, wreszcie decyduje się dzwonić (pewniejszy siebie za tarczą telefonu), dzwoni, choć wie, że nie powinien, nic mu to nie da. Mógłbym go teraz obserwować i przepowiadać kolejne stadia choroby. Na razie chce tylko przy niej przebywać, patrzeć na nią, słuchać jej głosu – a może już marzy o całowaniu jej ust? A może obejmując przystojną skądinąd żonę, przymyka oczy i jego dłonie marzą, że to ciało tamtej dziewczyny, od której kołuje we łbie? Przypatrywałem się Ludce: była dla niego miła, chociaż na pewno starała się utrzymać dystans. Pomyślałem: Mógłbym być nim – kochałbym, tęskniłbym, nie spał, a moje uczucie sprawiałoby jej tylko kłopot. Ona unikałaby mojego dotyku, wzdrygała się od niego, a ja bym musiał się pogodzić z tym, że ona nie lubi moich rąk, moich warg, moich zębów, mojej śliny. Miałem szczęście, że nie byłem nim. Powiedziała na zakończenie: „Niech się pan odezwie" – i odłożyła słuchawkę. Westchnęła, dla mnie to uczyniła:

– Nie mam już sił.

Nie wiem, jak bym sobie dał radę na jego miejscu, nie podejmuję się o tym myśleć. Może to nic dramatycznego. (Posyłałeś kwiaty dla Jerry Hall, ot, tak sobie, bez cierpień, chociaż nie miałeś nadziei spotkać jej w życiu.) Ludka podeszła do mnie i podała mi dłoń podnosząc ją od razu do moich ust.

– Dziękuję za kwiaty. – Przyjrzała im się. – Przecudne.

Jej spojrzenie było prawie tkliwe.

– To łapówka – powtórzyłem.

I podałem jej kartkę z tytułami.

– W przyszłym tygodniu, panie doktorze – powiedziała.

Szepnąłem:

– Mam te specyfiki.

Widziałem, że jej twarz zrobiła się purpurowa.

– W sobotę – rzuciła szybko. (Nie lubię sobót.) Idalka odezwała się:

– Pani Ludziu, nie zaproponuje pani swojemu protegowanemu herbaty? (Mam u niej przody.) Spojrzenie Luteńki mówiło: nie, nie trzeba.

– Dziękuję – powiedziałem – śpieszę się.

– Z panem nigdy nie można spokojnie pogadać – zgrywała się śpiewnie Luteńka. – Zawsze pan dokądś pędzi.

– Tęskni pani za rozmową ze mną?

– Kto wie... – Udawała przed Idalką, że bawi się w kokieterię, ale mnie się zdawało, że sygnalizuje mi, że tęskni naprawdę.

– To proszę mnie odprowadzić na schody – powiedziałem. – Trzymaj się, Idalko, nie pozwól nikomu porwać pani Ludwiki.

Wyszliśmy na korytarz. Wręczyłem jej kenty. Wciąż otwierały się i zamykały jakieś drzwi, korytarzem śpieszyli z papierami lub bez zaaferowani ludzie.

– Co oni wszyscy tu robią? – spytałem.

– Pojęcia nie mam. To ty powinieneś wiedzieć.

– Ja też nie wiem.

Chciałem powiedzieć: „Doprowadzają kraj do upadku”, ale pomyślałem sobie: nie, lepiej jej w to nie wciągać; zresztą, kraj mnie w tej chwili niewiele obchodził.

– Jak obiady? – spytałem.

– Mniam-mniam...

Jakiś przechodzący facet ukłonił się z przesadną rewerencją, Ludka wysunęła za nim język. A potem spoglądając na mnie czule, złożyła opuchnięte wargi jak do pocałunku.

– Stęskniłaś się – odgadłem.

– Kto wie... – Ton ten sam, co przy Idalce.

Zagroziłem:

– Zaraz cię tu przy wszystkich wycałuję.

Rzuciła na mnie jedno z tych przenikliwych spojrzeń, wobec których od razu stawałem się bezradny. Znowu za dużo sobie obiecuje, przyszło mi na myśl. Spytałem:

– Nie może być przed sobotą?

– Nie.

Bloody Saturday...

– U Jemirycza – poinformowałem ją szybko. Rozczarowanie w jej oczach, może nawet popłoch. – Chyba nie chcesz w hotelu?

– Nie, nie, mowy nie ma. – Nadal niepokój w jej oczach, kiedy pytała: – Muszą być te specyfiki?

Nie wiem, dlaczego ją to tak obchodziło. Może uważała to w jakiś sposób za poniżające. Może sama nie zdawała sobie sprawy, skąd się w niej brał ten opór.

– Co to szkodzi? – Starałem się wszystko bagatelizować. – Ja zażywam, nie ty. Najważniejsze, że wszystko pójdzie dobrze.

– Musisz uciekać, on tu zaraz ma być.

Domyślałem się tego. Ustaliliśmy godzinę spotkania. Już mieliśmy się rozstać, kiedy ona uznała, że coś jeszcze zostało nie dopowiedziane, czy raczej nie dotknięte, bo właśnie dotknęła mojej dłoni, uczyniła to czułymi palcami, i powiedziała pośpiesznie:

– Te frezyjki śliczne, naprawdę. Dziękuję.

I rzuciwszy mi tkliwego powietrznego całusa znikła za drzwiami.

Minąłem się na schodach z jej mężem. Nie poznał mnie – nie wryłem mu się w pamięć, bardzo dobrze, nie bolałem nad tym ani trochę – nie ukłoniliśmy się sobie. Potem obejrzałem się za nim: wspinał się na palcach, barczysty, silny, sprężający się do skoku, lew gotów rozszarpać gazelę. Wolno mu, psiakrew, wolno mu z nią robić wszystko. (Jej krzyk!) Po raz pierwszy poczułem żrącą zazdrość. Nie musi kłaść zegarka na stole, nie musi wymyślać pretekstów do spotkań, zapada wieczór, zbliża się senność, oboje rozbierają się bez pośpiechu, bez podenerwowania, bez zażywania specyfików, cała noc przed nimi, własne mieszkanie, duża miękka kołdra, wspólny odprężający sen – widziałem to wszystko, widziałem tak wyraziście, że chyba zawyłem. Tak, jakiś głos wydarł się ze mnie, bo ludzie na ulicy się obejrzeli.

Nadeszła sobota i ten zegarek na stole, i głuchy niepokój – masz zdać ten egzamin, wypełnisz test bezbłędne – wszystko jak zawsze. Tym razem były jeszcze te tabletki – oczywiście zażyłem dwie, żeby być pewnym skutku. Prześcieradło czyste, ręcznik czysty. Tylko ten zapach w pokoju, coś z pleśni... Jemirycz tam, umierający. Nie wolno jej powiedzieć, że to sprężynowe łóżko należy do człowieka, który właśnie umiera. (Może akurat w tej chwili.) Dwie godziny minęły, od kiedy zażyłem te tabletki, a żadnej reakcji tam w dole nie czuję. Niech tylko Luteńka się pojawi, zobaczysz wtedy. You’ll have a tremendous erection, at last. You’ll penetrate her bloody cunt, she’ll scream in your arms, this bloody moisty cunt. Spóźnia się, myślałem niespokojnie, nigdy się nie spóźnia. Może coś ją zatrzymało. Zapaliłem

papierosa, trzy minuty upłynie na paleniu, może pięć. Sztachnąłem się dwa razy, papieros czegoś nie smakował, ale coś trzeba było robić z pustym czasem, wypuściłem jeszcze raz dym, pomyślałem: trzeba otworzyć okno, wywietrzyć trochę. Usiadłem przy oknie z papierosem i stwierdziłem z niepokojem: nic się tam nie dzieje, nic, to nie jest afrodyzjak. Z ulicy wdarł się przeraźliwy jęk mknącej karetki reanimacyjnej. Ktoś woła pomocy, pomyślałem, ktoś walczy ze śmiercią. Zrobiło mi się zimno, zamknąłem okno. Zdusiłem papierosa, wszedłem do kuchni, postanowiłem przygotować herbatę dla nas obojga. Było mi coraz zimniej – przeziębiłem się przy oknie, czy co? Herbata dobrze mi zrobi. Zapaliłem następnego papierosa, zdusiłem go po kilku sztachnięciach. Spóźniała się. Może nie przyjdzie? Pomyślałem o tym z nieoczekiwaną nadzieją. Boisz się jej, boisz, wciąż boisz, chociaż zażyłeś specyfiki. Sięgnąłem po następnego papierosa, ale nie zapaliłem go. Trzymałem go w palcach nie mogąc zdobyć się na decyzję. Dzwonek wyrwał mnie z odrętwienia. Pośpieszyłem do drzwi.

Nie rzuciłem się na nią ani ona na mnie: pocałunek w policzek i to wszystko. Czułem dreszcze w udach, ramionach, plecach, jakby zbliżał się atak malarii, mój stary znajomy. Zdjęła sweter, usiadła w fotelu, ja osunąłem się do jej kolan (zaraz zacznie działać tamto, pomyślałem, you'll have a tremendous erection, you'll fuck her at last, ale nic jakoś się nie działo), poczułem swędzenie w nosie i, wciąż klęcząc u jej stop, wyjąłem chusteczkę z kieszeni.

Zauważyła to.

– Masz katar? – spytała.

– Chyba mi się zbiera. – Usiłowałem to zlekceważyć, ale naprawdę zaniepokoiłem się, ze względów estetycznych. Zasmarkany amant – nie, to już szczyt porażki, gorsze od fiaska, tego nie było nawet u Szekspira! Chwileczkę, nie śpieszmy się, może to przejdzie, może to nerwowe, jak to nagłe swędzenie w języku.

– Zrobię ci herbaty, dobrze?

– Zrób.

W kuchni najpierw się wykichałem, wysiąkałem, potem, z nieco uspokojonym nosem, wniosłem herbatę. Ludka piła ją bez pośpiechu, założywszy nogę na nogę, paląc kenta, którym ją poczęstowałem. Ja naprzeciw niej, sięgając raz po raz po chusteczkę. Czekałem, aż zacznie się coś tam dziać, ale nic się nie działo, żadnego zgrubienia, widocznie – pomyślałem – to nie jest specyfik działający mechanicznie, nie działo się więc nic, ja wciąż czekałem, a tymczasem robiło mi się coraz zimniej. Przeziębiłem się, pech. Zdarza się w życiu, w małżeństwie byłbym obiektem czułych zabiegów – Sara była w swoim żywiole, kiedy chorowałem, nareszcie od niej uzależniony, nareszcie miała mnie tylko dla siebie. Przemknęło mi przez myśl, że może to nie przeziębienie, tylko właśnie te tabletki, może one spowodowały taką dziwną reakcję.

Nie mogłem odgadnąć, czy Ludwika jest zaniepokojona, piła spokojnie herbatę, czekała zapewne na jakąś moją inicjatywę, a na razie udawała, że wszystko jest w porządku. Nie próbowała się nawet rozbierać, nie dotknęła mnie ani razu. Dwoje przyjaciół w nieco sztucznej rozmowie. Chciałem zaproponować: „Luteńko, może odłożymy to na kiedy indziej", i czułem, że tak byłoby najlepiej. Ale bałem się, że ona może się poczuć urażona. Nachyliłem się nad nią, by ją pocałować, ale unikając jej ust – katar, zarażę ją, ten katar teraz, podczas tego trudnego egzaminu, doprowadzał mnie do rozpaczy, trzymałem ją w objęciach czekając, aż ten mały nędzny tchórz ruszy do przodu, ale on wciąż jeszcze chował się w jamie, a ja musiałem znowu sięgnąć po chusteczkę.

Łóżko rozpostarło się w oczekiwaniu, łoże umierającego Jemirycza, łóżko-sarkofag, po trupach do szczęścia, sprofanowany sabat, zbezczeszczone sosny, zatruty las, nie ma ptaków, pies wyszczerzył diabelskie zęby, po co zażyłem te przeklęte tabletki, przypomnij sobie, jaki byłeś w nocy, bez tabletek, z samej tęsknoty, z samych rozmyślań (o niej, dla niej, przez nią).

Może się uda? – pomyślałem z nagłą nadzieją. A tremendous erection. Powściągnąłem napływający w ramiona dreszcz.

– Położymy się? – spytałem wskazując na łóżko. Spytała niepewnie:

– Czy to konieczne?

– Oczywiście.

Rozbieraliśmy się w milczeniu. Już wiedziałem, że specyfik nawalił. Możesz liczyć tylko na siebie. Nie potrzeba ci żadnych specyfików, wszystko gnieździ się tu, pod czaszką. Jemirycz umierał obok mnie na łóżku. Objęliśmy się, nadzy i zziębnięci (nie mów jej o Jemiryczu, nie wygadaj się, ona nic nie wie), Ludka w milczeniu przywarła do mnie mocno, jej oddech od razu stał się szybszy, policzki gorące, i znowu przekonałem się, że lubi moje ręce. Szczęśliwszy jestem od Łysego, pomyślałem, ale nic z tego nie mam. Zupełnie jakby szatan się w to wdał (a może i wdał). Przyjacielu mój, próbowałem wszystkiego – znowu spróbuję, myślałem w gorączce, jakieś pieszczoty, czynności manualne, dalej, do dzieła, nuże, nie leń się – ale ona się sprężyła i krzyknęła:

– Nie! Nie! Zostaw!

Leżałem potem w jej objęciach pokonany, ze wstrętem do samego siebie, chciałem umrzeć. Ona wysunęła się z moich ramion i bez słowa zaczęła się ubierać. Poszedłem za jej przykładem. Drżałem z zimna, ale na to nie chciałem się powoływać. Mogłem powiedzieć: Luteńko, wysłuchaj mnie, jestem chory, to dzisiejsze się nie liczy, to była katastrofa, chyba przez te tabletki, anulujmy to. Ale nic nie powiedziałem. Czy dlatego, że byłem zanadto zdruzgotany? (Znowu nic. Po raz czwarty! A przecież powiedziała: trzeci raz to już niewybaczalne.) Czy też dlatego nie przytaczałem żadnych usprawiedliwień, że byłem zbyt dumny – nagle, psiakrew, zrobiłem się taki pyszny – zbyt dumny, żeby się tłumaczyć.

– To cześć – powiedziała stojąc u drzwi.

Bloody Saturday. Staliśmy przez chwilę przypatrującsię sobie, ja z chusteczką przy siąkającym nosie, nie wyglądałem teraz na wilka, o nie. Opuściła wzrok mówiąc;

– Ja się poddaję.

Koniec, pomyślałem. Będziesz żyć z tą klęską. Żyć bez swojej dziewczyny. Miej odwagę powiedzieć sobie, że przegrałeś. Szepnąłem:

– Ja też.

Nie odchodź! – krzyczały moje łzy, które nie wypłynęły. Milczący wrzask wydzierał się ze mnie – nie odchodź! nie odchodź! – krzyczałem tam w środku i wiedziałem, że mi krzyczeć nie wolno. Żyć z tym. Żyć bez niej. Zginąć od salwy plutonu egzekucyjnego. Żyj z tym. Zginąć pod kołami ciężarówki. Skrzyp drzwi. Trzask. Jak pies pod ciężarówką. Jej kroki na schodach. Nasłuchuję: cichną. Już nic nie słychać. Jęcząc (bo chyba mnie bili, tak, ktoś się nade mną znęcał) schowałem prześcieradło i uprzątnąłem po nas. Wyszedłem z tego mieszkania (zostawiwszy umierającego Jemirycza na łóżku) upominając się szeptem: pamiętaj, że trzeba zamknąć drzwi na klucz. Ktoś wspinał się po schodach. Przetarłem oczy, twarz mi zesztywniała – nikt nie odgadnie, co się we mnie działo. Świszcząc przez otwarte usta, minął mnie staruszek i podreptał piętro wyżej. Przekręciłem klucz w zamku i wrzuciłem go do kieszeni. W drugiej miałem te cholerne tabletki. Dlaczego mi na nie pozwoliła?

W domu zmierzyłem temperaturę. Miałem blisko 39 stopni gorączki.

Nazajutrz. Jest niedziela, ona z mężem u rodziców na obiedzie. Wyniosły, zimny, despotyczny ojciec i mama-cud, ta, która ceruje, łata, gotuje, piecze, upycha torby jabłkami, słoikami z dżemem, smażoną rybą, ciastem miodowym. Rodzinne zgromadzenie przy stole, z progeniturą, może i jakieś ciotki. Docinki, śmiechy. Aluzje do spraw tylko im znanych. Rozmowy o... Chciałeś się w to wedrzeć, w obcy, zaklęty świat, chciałeś wykraść tajemnicę jej powszedniego dnia, podpatrzyć ją, przybliżyć, odgadnąć, jaka jest, kiedy nie ma biurka, karteluszków, szaf z dokumentacją, kiedy nie jest w roli wzorowej pracownicy, kiedy jest sobą,

wciąż ci nie znana – tak, przyznaj, intrygowała cię jej tajemnica. (Jej krzyk, którego się domyślasz.) Tajemnica ukrywała się w jej oczach – od pierwszej chwili, kiedy cię zauroczyła. Znasz smak i soczystość jej ust, znasz uścisk jej ramion, jej szept, jej oddech, skomlenie. Ale nie znasz jej Tajemnicy. To po to ciągnąłeś ją do łóżka, żeby wreszcie wszystko wyszło na jaw, sekret ujawniony, ona zdemaskowana – wtedy nastąpiłoby rozładowanie. Chciałeś, żeby to się wreszcie skończyło, to twoje opętanie, chciałeś odzyskać siebie (spokojnie pracować, spokojnie buntować się – jeśli takie zestawienie słów ma sens, ale u nas ma – raz na tydzień dopaść Tońkę czy jakąkolwiek inną), uwolnić się od obsesji, wyleczyć z choroby. Tylko że w łóżku nie nastąpiło to, co powinno było, i tajemnica trwa nadal, i nadal jesteś w niewoli pragnienia.

Nie, to nie tak – myślę po chwili. Dokonałeś właśnie próby racjonalizacji swojego cierpienia, nieuchronnie płaskiej (jak wszelka racjonalizacja), po to, żeby wyinterpretowawszy cierpienie usunąć je. Chciałbym to zapisać, odnotować swój sprzeciw, ale nie mogę, mam gości. Jest ich dwóch, stary i młody, symbolicznie, tak jak trzeba, stary jest mały, łysy, okrągły, podobny do Pickwicka z rysunków Boza (i z dickensowskim poczuciem humoru), dobiega do osiemdziesiątki, młody ma dwadzieścia kilka lat. rozchwianą ciemnozłotą brodę, po studiach, ale w kombinezonie roboczym powalanym farbą, to złota rączka, utrzymuje się ze stolarki, z malowania mieszkań. Przyszli do mnie po nowe opracowania, chcą je powielić, inicjatywa wyszła od starego (Polska jest teraz krajem zbuntowanych starców – znowu wszystkie schematy obalone – przeszli w swoim czasie wszystkie kręgi piekieł, popełnili wszystkie możliwe głupstwa, teraz ta przeszłość w nich sfermentowała, kipią aktywnością, pasja trzyma ich przy życiu, toczą od nowa swoją grę, na wszystko gotowi starcy: na emeryturze – dodaję w myśli trzeźwo), stary Pickwick redaguje, wykłóca się o materiały, młody brodacz smaruje powielacz, odbija, kolportuje, zbiera pieniądze. Usłyszeć jej krzyk! Nie, nigdy go nie usłyszę. – Co pan szykuje nowego, doktorze? – W tej chwili nic. Nie ukrywają rozczarowania. – Ale do jakiejś pracy się pan chyba zbiera?

Usiłuję sobie przypomnieć, do jakiej pracy się zbieram.Dałem przecież Ludwice karteczkę z tytułami.

– Chciałem napisać rozprawę quasi-historyczną: o nieudanych reformach gospodarczych. (Plagiat z Łysego – tylko to będą zupełnie inne rzeczy.)

Dobry numer, chwali młody brodacz, oczy mu się śmieją złotymi odblaskami. Pickwick też jest zadowolony, drapie się w różową łysinę upstrzoną białymi plamami, dostarczy mi kilka ciekawych pozycji z końca szesnastego i początku siedemnastego wieku – czy je znam? Nie, będę bardzo wdzięczny. Pamiętniki Stefana Koniecpolskiego, praca o Jerzym Ossolińskim, memoriał w sprawie debaty sejmowej o cenach win importowanych. – Oni do mnie telefonują – opowiada Pickwick – i mówią tylko tyle: umrzesz, umrzesz... Wie pan, co ja odpowiadam?– każdy kiedyś umrze, pan też, tylko ja wiem, że młodo już nie umrę.

Usłyszeć jej krzyk... Idźcie sobie już, idźcie, chcę zostać sam. Gdyby oni wiedzieli, o czym ja teraz myślę, czego najbardziej pragnę – wyobrażam sobie ich zgorszenie...

Kiedy poszli, Krysia wsunęła się do pokoju.

– Tato, jeść?

– Tak, córeczko, jeść. Dużo.

Jestem dla niej bardzo czuły. Im bardziej nienawidzę siebie, tym czulszy jestem dla niej. Obżeram się makaronem, sos pomidorowy rozchlustał mi się na policzki, jestem wstrętny, odpychający, wciągam makaron łapczywie, brzuch mi od niego puchnie, kapią łzy z sosu pomidorowego, sos z łez – Boże mój, Boże, uwolnij mnie wreszcie od wszelkich myśli! Daj mi to jakoś znieść – po męsku, mężnie, jak przystało mężczyźnie.

Nie mogę tego znieść „po męsku” – myślę – i chyba nawet nie powinienem. W imię czego? Znieść – znaczyłoby nie ogarnąć ogromu katastrofy. Ta klęska nie tylko ma znaczenie – ona powinna je mieć. Inaczej – co to wszystko warte? Skrzywdziłeś ją, upokorzyłeś, pocią-

gnąłeś za sobą do lepkiego chlewu, wytarzałeś ją tam – nie możesz oczekiwać już niczego. Nie możesz żyć po takiej katastrofie.

Rozmawiają o... Zadzwonię. Luteńko, wspominałaś kiedyś, że ma przyjechać balet angielski, właśnie go zapowiadają. Ktoś u stołu: a mnie to wisi... Śmiech. Rozweselona baba: ... i powiewa. Śmiech, śmiech. Aprobują siebie, usatysfakcjonowani sobą. Setki tysięcy rodzin dobrze o sobie myślących, o swojej etyczności, prawości, jedyności na tle ogólnej demoralizacji. Wszyscy inni są niżej poziomu, wiocha, brudasy, hołota, pijusy – nasza rodzina jest wyjątkowa, zgrana, solidarna, z ciepłą mamą, z budzącym szacunek tatą, wszyscy się kochamy (chociaż Poldek jest nieznośny, Marta trochę egoistka, a Ludka to jędza – tak, Ludka, jędza jesteś). Ach, Boże, czemu inni nie potrafią być tacy jak my?... Zadzwonić, bo skończy się rodzinne dosładzanie, rozejdą się, a jej już nie zastanę. To był idiotyzm z tymi tabletkami – powodują przekrwienia organów i w rezultacie mogą wywołać gorączkę. Żyłem ochłapami – w tym sęk. Głód serca nie był nigdy albo prawie nigdy zaspokajany. Wolno mi było tylko adorować. No cóż, Herr Doktor, przecież nie jesteś zbyt atrakcyjny, nie to, co docent Zecki (śliczny, musisz przyznać). Dobrze by było, żebym się zwyczajnie „odkochał". Rzecz bez przyszłości (także, jak się okazało, i seksualnej). Prawda, że trochę go żal – taki obłąkany... (Więc rzuca te ochłapy.) Ale ona sobie świetnie da radę bez niego i nawet mu to powiedziała. Nie jest najistotniejsze, czy w naszych układach wszystko tak właśnie się odbywało – istotne jest, że tak to się objawiało. Zapisuję dla przyszłej książki: „Należy wziąć pod uwagę, że Bohaterka jest młoda, niedoświadczona (on, niby doświadczony, ale w pozycji słabszego partnera, co oczywiście z miejsca go obciąża i krępuje.) Nie wszystko tu jest jej winą. Ona nie może przewidzieć każdego ruchu. Jest spontaniczna, prawdziwa, więc nie spekulująca, czasem przez to boleśnie szczera." Odkładam długopis. Gonitwa myśli nie ustaje. Dopisuję: „Do samowiedzy dochodzi się w bólu, w rozterce, w nocach bezsennych. W dreszczu i gorączce. A potem rozpacz, że już za późno, że tyle uczuć zmarnowanych nie na skutek złej woli, ale trudności w zrozumieniu siebie." Coś jeszcze piszę, przerywam, odkładam kartkę, zapalam papierosa, biorę tę kartkę na powrót, odczytuję: „Ten notes jest bardzo ważny. Powinien być..." Czym powinien być? Jaką myśl przerwałem? Powinien być – wszystkim? Odkupieniem? Może psalmem? Zapisuję szybko: „Brak w tych rozważaniach jednego określenia: z m i a ż d ż o n y. Stawał do zmagań miłosnych zmiażdżony psychicznie, zanim cokolwiek się zaczęło. Zdeptany swoją gorszością, nieprzydatnością, niedopasowaniem. (Obok ich łoża czyhał lew, żeby rozszarpać gazelę.) Tylko jej czułość (o miłości nie śmiał marzyć) mogła go z tego wydobyć." Zadzwonię. Nie, rozgniewa się, zbeszta. Wchodzi Krysia z tacką:

– Tato, herbata.

Jaka czuła ta moja córa, miła, uprzedzająca. Jakby coś zwietrzyła. Pewnie zadowolona, że tato obsunął się na dno. Jest wreszcie dla niej i tylko dla niej. Nieodrodne dziecko swojej matki.

– Dziękuję. I wyjdź...

Znam ich numer na pamięć, chociaż od tamtego czasu nie dzwoniłem ani razu. Sygnał – sygnał – nikt nie podchodzi – trzeci – nikt – przekrzykują się przy stole – sygnał – są ociężali, najedzeni, tort pycha, opici – sygnał. Chrobot, podniesienie słuchawki.

– Hallo, słucham.

Matka. Znam jej głos. Proszę pani – krzyknę – proszę pani, kocham pani córkę – Boże mój, co ja straciłem! niech się pani za mną wstawi, teraz chyba już mnie pani rozumie, proszę o pomoc, proszę! Wyduszam z siebie:

– Czy zastałem Genię?

– Kogo?

– Panią Eugenię.

– To pomyłka.

Przeprosiłem. Teraz matka wróci do stołu, oni zapytają, kto dzwonił. „Taki jeden o niskim głosie. Pytał o jakąś Genię." Zaczną się dowcipuszki, na temat Geńki (dobry numer z niej!), faceta o niskim głosie, Ludka zblednie – Ludka będzie wiedziała, że to znak ode mnie, bo kiedyś tak się umówiliśmy: jeśli kto inny podniesie słuchawkę, pytam o Genię. A jeśli mama nic nie powie? Odczekam piętnaście minut i znowu zadzwonię. Aż do skutku, aż wreszcie odbierze ona.

Dzwonek telefonu. Krysia wsuwa jasną główkę.

– To do mnie – mówię i podnoszę słuchawkę. Krysia się usuwa, ale nie zamyka drzwi. Usłyszałem:

– Czego chcesz?

Miałem to, na co zasłużyłem.

– Luteńko, ja tak cierpię...

– No, cierpisz – ale czego chcesz? Nie, nie starała się mi ulżyć.

– Wytłumaczyć ci.

– Tu nie ma nic do tłumaczenia.

– To przez te przeklęte tabletki... Dostałem gorączki, miałem katar, wstręt do samego siebie.

– Ja też – powiedziała. – Wstręt, że się na to zgodziłam. W co ty mnie wciągasz? Jakieś tabletki, jakieś świństwa – Chryste, jaka ja głupia – wplątałam się w tę sytuację, po co mi to było?

To nie był już ten sam opryskliwy głos, co poprzednio: narastał zdenerwowaniem i bólem.

– To wszystko dlatego, że nasz stosunek był taki nierówny – tłumaczyłem, czując, że nie dobieram właściwych słów. – Kim ja byłem w tym stosunku? Robak zakochany w księżniczce.

Krysia wsunęła głowę. Wrzasnąłem:

– Wyjdź!!!

Ludka zaniepokoiła się:

– Co się tam dzieje?

– Nic, moja córka, już wyszła. Możesz mówić? – spytałem.

– Będę mówić, mnie już wszystko jedno. Ty masz chorą wyobraźnię! Mówiłam ci, że nie jestem żadną księżniczką. Robak!... Co ty wygadujesz?

– Przychodziłem na każde spotkanie zmiażdżony. – Nareszcie sięgnąłem po właściwe słowo. Powtórzyłem je: – Zmiażdżony. Zdruzgotany twoją wyższością. Tym, że wszystko zależy od tego. – Starałem się mówić sensownie. ale łzy płynęły mi z oczu. – Byłaś czasem taka bezwzględna. I taka rzeczowa... Gdybym przynajmniej czuł, że mnie choć trochę kochasz. Że jesteś zaangażowana. Ale ja wciąż byłem petentem... wciąż egzaminowany...

– Więc ty sobie wyobrażasz, że ja latam jak głupia na drugi koniec Warszawy bez zaangażowania! Dokąd ty tylko mnie nie ciągnąłeś! I ja to wszystko dla zabawy, tak ? – Wybuchneła płaczem. – Narażam małżeństwo, opinię, cały swój byt... dlaczego? Trzy razy na dzień POwtarzałam sobie: „Idiotko, co ty wyprawiasz? Masz męża, dom, opamiętaj się!" I ty jeszcze śmiesz... – Każde jej słowo powinno było mnie uszczęśliwiać, ale nie uszczęśliwiało, bo już było po klęsce. – Gdyby chodziło tylko o chłopa w łóżku, o dorzynacza po mężu – mówiła brutalnym, młodzieżowym językiem – to na pewno znalazłabym sobie innego. Nie musiałbyś to być ty! Nie, ty naprawdę musisz się leczyć, ale nie to, co chciałeś leczyć, tylko swoją chorą wyobraźnię.

– Płaczesz...

– Tak, rozryczałam się – Boże, co oni sobie tam pomyślą...

– Nigdy nie widziałem cię płaczącej – szepnąłem rozczulony.

– I nie zobaczysz! – Zawziętość w głosie. Wyciera teraz łzy, widzę to niemal. – Boże, on jeszcze cierpi – szydziła. – Byłam bezwzględna! Miałam cię za to wszystko pogłaskać po główce? I tak mówiłam rzeczy, które mi z trudem przez gardło przechodziły.

– Mówiłaś, że ci ze mną dobrze... Zaprzeczyła teraz wszystkiemu:

– Wiesz, ile mnie to wysiłku kosztowało?

– Luteńko, Luteńko... musimy porozmawiać...

– Nie, wszystko zostało powiedziane. – (Tak, myślę, łącznie ze słowem „zmiażdżony".) Jeszcze czuło się w jej głosie łzy. – Nie ma już miejsca na żadne słowa. Muszę uporządkować swoje życie. Koniec z wariactwami.

– Zginę bez ciebie...

– Nie zginiesz. – Powiedziała to bardzo stanowczo, nie wiem, czy wyrażając przekonanie, czy wydając dyspozycję.

– Rozpiję się.

– Nie, ty się nie rozpijesz. – Zaskoczyły mnie jej słowa: – Ty jesteś mocny. To ja jestem bliska obłędu.

– Luteńko, chcę cię zobaczyć.

– Nie próbuj!

Mogłem już tylko milczeć. Ale ona nie odkładała słuchawki.

– Posłuchaj – odezwała się spokojniej. (To wszystko dlatego, pomyślałem nagle, że nie zdobyłem sobie nawet u niej imienia. Byłem „ty", a w myślach byłem „on". Co nie nazwane, to nie istnieje – filozofowie dobrze to rozumieli. Jednak robak. I stale miażdżony, stale egzaminowany – powtarzałem w kółko w myśli). – Nie szalej. Nie prześladuj mnie. Ja muszę to jakoś przetrawić. Czy mnie rozumiesz?

– Tak. (Słucham jej jak niewolnik swojej pani.)

– Weź się do roboty. Przecież masz robotę?

– Mam. (Nigdy nie interesowała się moją robotą – uświadomiłem sobie i mnóstwo rzeczy mi się rozjaśniło jak w nagłym błysku noża, którym sam się pchnąłem.)

– No to bardzo proszę. – Musiała mieć koło telefonu lustro, bo powiedziała: – Co on powie, kiedy mnie zobaczy z popuchniętymi oczyma?

Chciałbym cię taką zobaczyć, pomyślałem, ale nie powiedziałem nic. Ona, znienacka:

– Muszę kończyć, cześć.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy usłyszałem trzask i nastąpiło rozłączenie. Znowu mi uciekła. Więc wolę, pomyślałem, żeby płakała przeze mnie, żeby mnie lżyła, gnębiła niechęcią, żeby się znęcała (ty nędzny robaku... chory jesteś, chory...), ale żeby była, choćby po tamtej stronie drutu... On tam teraz rzuca się na nią: „Jak ty wyglądasz, brzydulo? Co się z tobą dzieje?" Ona (kryjąc się w półmroku) odpowiada żartem: „Nie podobam ci się? Weź sobie inną." „Z kim rozmawiałaś?" No, z Jadzią (z Anulką, Wierką, Agatką...). „I Jadzi powiedziałaś, że nie zginie?" Nie, ona nie powie, że z kimś tam rozmawiała, rzuci tylko: „Co cię obchodzi?" Albo: „Mówiłeś coś?" Teraz pudruje nos, maluje oczy. Porządkuje swoje życie.

A ja mam się wziąć do pracy. Kazała. Rozkładam papiery. Kazała. Powiedziałeś, że możesz być jej niewolnikiem. Słuchaj, pani ma prawo zwymyślać, okazać niezadowolenie, wychłostać, nawet (kara najwyższa, coś niby banicja) wzbronić widoku. Ale ja tam pójdę, mam pretekst, ten zestaw publikacji do doktoratu – nie pójdę, zabroniła, nie prześladuj mnie – dobrze, zadzwonię. Pracuj, kazała, ale ja nie mogę nie mogę kazała pracuj, łzy mnie oślepiają, nie mogę pracować oślepiony. Już się z tego nie podniosę – stwierdziłem, i to stwierdzenie mnie prawie uspokoiło – tak, wiem, klęska jest zupełna – kochałem, o Boże, jak ją kochałem – nie, już nie kocham – jestem po prostu stratowany, tylko to: już się z tego nie podniosę.

Łzy kapią na papier. Któż to utrzymywał (idiota, prostak!), że płacz zawsze jest adresowany? Przecież teraz nikt mnie nie obserwuje – ani Bóg (bo w niego nie wierzę, chociaż wciąż się do niego zwracam), ani mama, ani przedstawiciel władzy, którego chciałbym zmiękczyć

moimi łzami. (Sara opowiadała, że jej matka zawsze płakała w urzędzie podatkowym i czasami osiągało to zamierzony skutek.) A może gdzieś tam tłucze się myśl, że widzi mnie ona, tak, oczywiście, zawsze przecież jest przy mnie, więc czemu nie teraz, jest gdzieś obok, podpatruje, za chwilę wtargnie do pokoju, otoczy mnie ramionami, wybuchnie: słuchaj, ty (jak ci tam), uspokój się, jesteś mi potrzebny, potrzebny, potrzebny! Szalona myśl, otrząśnij się z tego, to nie boginka wszechwiedząca, to tylko dziewczyna („jestem zwykła dziewczyna"), którą ty doprowadziłeś do łez. Nie, ja się już z tego nie podniosę! Ona była moją ostatnią szansą – straciłem ją. Nie można żyć z krwawiącą raną. „Ty jesteś mocny" – powiedziała. Chryste, co za pomyłka! Dlaczego ona tak właśnie mnie ocenia? Rozmyślałem o tym w tej chwili, jakby trochę uspokojony – może tak, jak ktoś, kto przed egzekucją pogodził się z nieuniknionym końcem i przestał drżeć; chce jeszcze zjeść, wypalić papierosa (zapalam go). Zdobyłem się nawet na to, że odszukałem notes, który mi się był gdzieś zapodział, i zanotowałem:

„Rozkleiłem się i nie wstydzę się tego. Za wszystkie lata moich klęsk – za wszystkie doznane porażki, przy których musiałem zachować twarz, okazać wytrwałość i męskie siły – nareszcie mogę sobie pozwolić na histerię, na rozklejenie. Nareszcie mogę się załamać. Nareszcie mogę się przyznać przed samym sobą, że ten świat jest dla mnie za trudny. Nie potrafię mu sprostać." Dodałem po chwili:

„Mogę sobie pozwolić na słabość."

Poczułem ulgę napisawszy to. Stwierdzenie, że świat jest dla mnie za trudny i że nie potrafię mu sprostać, uznałem za tak istotne, że je podkreśliłem. Poczułem nawet coś w rodzaju uznania dla samego siebie, że odważyłem się do tego przyznać, sam na sam ze sobą. W *Dziennikach poufnych* Beniamin Constant, cierpiąc z powodu nieodwzajemnionej miłości do pani Récamier, zapisał: „Zalałem się łzami, kiedym do niej mówił. Doprawdy, jeśli nie potrafię wyzbyć się tej miłości, niech sobie przynajmniej oszczędzę mąk stawiania jej oporu." Rozumiem go... Szalał, cierpiał, a przecież to wcale nie znaczy, że był bezkrytyczny wobec niej. „Biorę tragicznie osobę lekką ze swej istoty, romantyczną z zapożyczenia i tym bardziej stawiającą opór, że nic nie czuje w sercu." Ale czy można o to było mieć do niej pretensję? Czy wolno mieć pretensję do panny Izabeli, że jej nie ciągnęło do Wokulskiego? Dobrze było myśleć o innych, o tamtych starych cierpieniach, rozsądzać je na zimno. Zrobiłem sobie w kuchni herbatę, zapaliłem znowu papierosa i przez pół godziny pisałem i to bardzo wydajnie. Krysia, ubrana do wyjścia, wsunęła głowę. „Włoski" – powiedziałem, bo tak zawsze upominała ją przed wyjściem Sara. Usłyszałem, jak moja córka zamyka za sobą drzwi. Odczekałem trochę – i zawyłem.

Było to długie, przeciągłe wycie. Ściany waliły się na mnie, ja podtrzymywałem je tym wyciem, ściany mnie miażdżyły (wilku, wilku, wyjący), wyłem, łzy mnie zalewały, wyłem z premedytacją, rozdzierałem sobie płuca. Sąsiedzi pomyślą, że zwariowałem. Sprowadzą karetkę pogotowia, wstrzykną mi do żył coś oszołamiającego, przedzierzgnę się w otępiałego idiotę. Ale ja nie zwariowałem. Krzyczę, bo mnie boli, wyję, bo muszę wyć – rozumuję normalnie, przysięgam. (Jestem chory na nią, zgoda, to jest choroba, naturalnie – ale już samo postawienie przeze mnie diagnozy świadczy, że rozumuję prawidłowo.)

Co ona teraz robi, po tym sutym obiedzie? Siedzi przy telewizorze i ogląda z roztargnieniem film. Nastawiłem telewizor. Sięgnąłem po okulary i nausznik został mi w dłoni, zaś okulary osunęły się na podłogę. Stwierdziłem przyczynę: śrubka wypadła. Zacząłem jej szukać, wściekły, ale skoncentrowany, znalazłem pod stołem, cud prawdziwy. Teraz jakoś ją wkręcić. Wszystkie śrubokręty okazały się za grube, moje palce zbyt niezgrabne. Zawziąłem się jednak: wkręcę. Odszukałem nożyczki Sary, one mi posłużą do tego celu. Sprawdziłem: nadają się. Moje palce – spokojne, niedrżące – stały się precyzyjnym instrumentem, przy którego pomocy umieściłem śrubkę w otworze. Teraz delikatnie wcisnąć w szczerbę szpic nożyczek, ostrożnie, żeby śrubka nie wyleciała; kilka udanych obrotów i można kręcić śmielej.

Naprawiłem okulary, zdziwiony tym wyczynem. Na kilka minut zapomniałem o swojej ranie. Ta śrubka, taka drobna sprawa, przywróciła mnie (choć na chwilę tylko) zwyczajnemu światu: wymagała ode mnie koncentracji na tym jednym zadaniu. Pomyślałem, że potrzeba mi więcej takich śrubek. Potem zażyłem dwie tabletki relanium i zasiadłem przed telewizorem. Ale ten francuski film mnie irytował – płaskie prawdy, wyświechtane banały o małżeństwie, zdradzie, kochankach – co oni o tym wiedzą! Czułem, że moje cierpienie przeradza się w pychę: ja, który wiem wszystko i wiem to, czego nikt nie wie.

Zasnąłem chyba jakoś, bo kiedy się ocknąłem, stwierdziłem, że jest piąta nad ranem. Ale teraz już nie zasnę. Teraz już tylko ona i to. Siedzę na łóżku i rozmawiam z nią, przekonuję – łamiącym się głosem – mówię wszystko, czego nigdy nie powiem, bo nie zdołam tego wykrztusić, bo wybuchnę dziecięcym płaczem i wstydu sobie narobię. Powoli ten monolog przeradza się w akt oskarżenia. Boże – myślę nagle – spraw, aby wszystko to, co jej powiedziałem, okazało się niesprawiedliwe i fałszywe! Notes, myślę, notes mnie uratuje, potrzeba formułowania myśli. „Boże miłosierny – zapisuję – uratuj dla mnie jakieś strzępy jej uczuć." Resztki resztek, ochłapy z ochłapów, którymi mnie żywiła. Piszę: „Albo pozwól mi o niej zapomnieć." (Och, nie! Tylko nie to!)

Notuję: „Kiedy zaglądam w głąb siebie, myślę, że wolałbym teraz stanąć przed plutonem egzekucyjnym niż przeżywać to, co przeżywam – w każdym razie przyjąłbym z ulgą każdy inny zły los, nawet wyrok nagłej śmierci." Dodaję: „Może ten nastrój przejdzie mi za godzinę, może nawet za dziesięć minut – odnotowuję to, co odczuwam teraz, a odczuwam to właśnie w ten sposób."

To wszystko po dwóch tabletkach! (Może zażyć więcej? Może się nie obudzić?) Nie, koniec z oszołamianiem się. Weź się w garść. Kazała ci pracować: pracuj więc. Będziesz miał pretekst, żeby tam pójść: tę karteczkę z tytułami. Słyszę jej głos: „Do arbeitu." Znowu pół godziny całkiem niezłej pracy. Zadręczony, zdruzgotany, pozbawiony snu – rozumuję jednak, notuję, układam schemat doktoratu. (Tońka będzie zdumiona, kiedy przekona się, co zostało wpisane przeze mnie w ten temat.) Potrzebuję pieniędzy – nie można się kochać nie mając luzu finansowego, walka o dziewczynę wymaga nakładów. (W moich teoriach ekonomicznych nigdy tego nie uwzględniałem.) Pracuję – zdumiewające: przecież powinienem paść podcięty. Dostać bólów w naczyniach wieńcowych, rozdęcia wątroby, ucisku w żołądku. Ale nie: ta sama siła, która mnie niszczy, dodaje równocześnie energii. Działa dwukierunkowo: wykańcza nerwowo, ale i każe działać, być czynnym, istnieć. Póki istnieję, mam jakieś szanse.

Zrobiłem sobie śniadanie, ogoliłem się, wykąpałem. Ósma: Ludwika już w pracy. Nie dzwoń jeszcze, odczekaj. (Może zatęskni? – łudzi się moja tęsknota. Może pomyśli: czemu on nie dzwoni? co się z nim dzieje?) Zrobiłem śniadanie Krysi (potrzeba bycia czynnym): jedz, córeczko, póki jeszcze w tym kraju jest coś do jedzenia. Krysia je w łóżku, potem odrabia kilka telefonów, potem chowa się w łazience. Nareszcie. Jest pół do dziesiątej (długo wytrzymałem, mogę być dumny z siebie) – tak, pół do dziesiątej, mogę dzwonić. Odzywa się Idalka:

– Słucham, biuro dokumentacji.

– Dzień dobry, tu Wilkot. – Staram się być swobodny, ale głos mi drży. – Mam sprawę.

– Do mnie, czy do Ludki?

– Chyba do niej. Obiecała mi coś znaleźć... Usłyszałem:

– Ludki nie ma.

Tej możliwości nie brałem pod uwagę. Wykrztusiłem coś w rodzaju „jak to? co się stało?", podczas gdy Idalka objaśniała:

– Wzięła dwa dni zwolnienia. Źle się czuła.

Zrobiła unik, żeby mnie nie widzieć. Nie podobało mi się to, że potrafi wziąć lipne zwolnienie, nie zgadzało mi się to jakoś z moim wyobrażeniem o niej jako o wzorowej pracowni-

cy. Przyszło mi na myśl, że w moich rachunkach ekonomicznych nie uwzględniałem tego typu absencji – zapewne dlatego, że buntowałem się przeciw nim.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – powiedziałem.

– Och, na pewno. – Idalka zaskrzypiała śmiechem. – Czy powtórzyć jej coś?

– Nie, nic. To w ogóle nic pilnego. Mówiłem z trudem – przywalony jej nieobecnością, jak ciężarem. Usłyszałem zatroskane słowa Idalii:

– Jerzy, co się dzieje z twoim głosem?

– A co się ma dziać?

– Jest taki... Nie jesteś przypadkiem chory?

– Może – powiedziałem. Musiałem się hamować, żeby nie wybuchnąć skargą. I ten mój głos: ona ma rację, coraz bardziej zdławiony. – Źle się czuję.

– Powinieneś odpocząć, wyjechać dokądś. Nie byłeś na wakacjach.

Wyjechać, oszalała! Nie mogę nigdzie wyjechać, muszę być tutaj, przy niej, czekać na jej znak – jabłuszka – czyhać, czatować. Skoczyć, biec... być na zawołanie, pod ręką.

– Może masz rację – powiedziałem. – Tylko mnie nikt nie da kilku dni zwolnienia, nie znam takiego lekarza.

Musiałby cię zwolnić od ciebie samego, pomyślałem. Idalka spytała:

– Może jej coś powtórzyć?

Już raz o to pytała. Czyżby jej się coś kojarzyło?

– Nie, dziękuję, nie ma potrzeby. Odezwę się...

Jakbym powtarzał jej słowa. Niech pan o nas nie zapomina, panie doktorze, niech się pan odezwie. Melodyjne, obiecujące zaproszenia, od których dostawałeś zawrotu głowy – ty, i kilku albo i kilkunastu innych. Nie, takich szaleńców jak ty nie ma – ona sama tak powiedziała. Ach, skądże znowu – tysiące jest takich, tysiące się miotało spragnionych uczucia, namiętności drugiej strony, nie jesteś jeden – mówiłeś coś? – szaleją, podcinają sobie żvlv, porzucają poczciwe, oddane żony, które nagle zmieniają się w mściwe furie – fatalnie, fatalnie – słyszę ją, Boże, ona jest obok, szepcze mi do ucha, wciąż obecna – nie wytrzymam dłużej – Boże mój, Boże, błagam cię, uwolnij mnie od tego uczucia!

Całe dwa dni. Jak sobie z tym poradzisz? Nie wiem, nie wiem, coś muszę ze sobą zrobić. Ponieważ zwolnienie jest lipne, to może ona gdzieś bywa, odwiedza kawiarnie, sklepy, śródmieście jest małe, ona wysoka, może ją gdzieś ujrzę ponad tłumem. Mam dla niej kenty, dwie paczki, krążę z nimi po Warszawie, wypatruję – zachodzę do naszej kawiarni, zamawiam tort hiszpański, chcę odczuwać to samo, co ona, być nią, ale wcale mi nie smakuje, nie zażeraj się, brzuch ci urośnie – kelnerka tym razem inna, obcość. Libijczyk jakby ten sam, wzrok pełen pogardy, męski męstwo mężczyzna – płacę, wychodzę, może pójść do domu, może zadzwoniła – nie, nie wmawiaj sobie. Idę do tego kina, do którego ona chadza z mężem – może znowu ich zobaczę, niechby z daleka, ukłonię się, będzie musiała się do mnie uśmiechnąć, brak uśmiechu wydałby się podejrzany, a może gdzieś zobaczę jego, chciałbym, tak, już za nim tęsknię, już go wypatruję, zaciągnąłbym go na wódkę, powiedziałbym: panie Wojtku drogi, pan wie, jak pana lubię (pan mnie? – zdziwiłby się), tak, lubię, bo ją kocham, obaj ją kochamy, chyba się rozumiemy, chyba nie ma ludzi sobie bliższych niż pan i ja. Gdzieś mignęła mi jej postać, ta sama suknia – nie, nie ona, maska bez wdzięku, nie ma takiej drugiej, wiesz o tym dobrze. Boże, przywróć mi rozum. Ginę w Warszawie. Miasto jest jej pełne i nie ma jej nigdzie. Dokądkolwiek pójdę, wszędzie zostawiła ślad, wszędzie byliśmy razem. Każde miejsce płonie. Wsiadam do autobusu, który wywozi mnie za miasto. Ona idzie za mną krok w krok. Popatrz, nasza ścieżka w lesie. Drzewo, pod którym rozgryzłaś mi wargę. Odczep się ode mnie – błagam ją w myśli – zostaw mnie, nie męcz, ja już nie mogę.

Nie byłem mocny i wcale nie chciałem nim być. Pomyślałem sobie, że póki mam przeciwnika, póki jest o co walczyć, nie poddaję się, zdobywam się na energię i nawet na pogodę ducha. Ale

nie kiedy przeciwnik znika, kiedy jest tylko klęska, kiedy przeciwnikiem jestem ja sam – wtedy słabnę, mięknę. Nie ma o co walczyć, już wiem, w perspektywie jest tylko ciemność...

Nazajutrz, o tej samej porze, znowu w tej hotelowej kawiarni. Nie wiem, dlaczego pomyślałem sobie, że ona może tam przyjść, chociaż nie umówiona. Ale jest pusto.

Są jacyś ludzie, są, ale jest pusto. Nic tym razem nie zamawiam, uciekam stąd. W hallu ktoś mnie zaczepia, jakiś znajomy z lat wojennych, pamiętam go jak przez mgłę. Pracuje w handlu zagranicznym, za chwilę ma się spotkać z delegacją japońską. A co u ciebie? – pyta. Co u mnie. Zaraz mu powiem. Słuchaj, wykańczam się – ginę przez nią – nessun maggior dolore... kapujesz? Słucha tego zaskoczony, ja dalej się wywnętrzam – oczywiście mówię nie wszystko, ale jednak. Obcy ludzie stają się pretekstem do zwierzeń, krótkiego krzyku duszy. Byle dostatecznie obcy... No, powiada on, to powodzenia, a najlepiej idź na dziwki, popuść sobie, ale tak na całego – radzi – i cześć, lecę, na mnie czas – każdy ucieknie przed obłąkanym.

Na ulicach afisze zapowiadające występy znakomitego baletu angielskiego. Po co te afisze, myślę, kiedy bilety i tak dawno rozdzielone? Ludwika wspominała coś o tym balecie. Nagła szansa: gdyby można było zdobyć dla niej bilety! Bilet, bilet – kto mógłby się wystarać o bilet? Pustka w głowie, nie znalem nikogo z tej branży. Grzegorz? Jest chyba jeszcze za granicą, przejada swoje honoraria. Czepiam się tego baletu: ostatnia łączność z nią – kuszenie na bilet. Ci młodzi mają ambicję uczestniczenia we wszystkich głośnych wydarzeniach kulturalnych, nic nie przepuszczą, pędzą do kin, teatrów, na koncerty, wystawy, odsłanianie pomników, składanie wieńców, zwiedzają muzea – potem przy stole jest o czym rozmawiać, kiedy cała rodzina zgromadzona, kiedy jest się przy serniku i szarlotce z kawą albo na bibce z przyjaciółmi (Poldek, Jagna, Mariola, Jadzia, Krystek), śmiechy, wybuchy entuzjazmu – „doskonałe!", „okropny babsztyl!", „rozryczałam się", „obłędny!", „dość boskie", „dno!", „sam fajans" (kiedy coś na niskim poziomie) – mówiłeś coś? mówiłeś coś? mówiłeś coś?

Zdobyć te bilety. Nie, nie pójdę tam bez wezwania. Boże, modliłem się siedząc na brzegu wanny, podczas gdy bełkocząc napełniała się ciepłą wodą – Boże, daj mi odgadnąć jej myśli i postępować zgodnie z jej życzeniami – tak, by jej było lekko i dobrze. (Zawiniłem, zgrzeszyłem, oszukałem, kradłem, zabijałem, bluźniłem, gwałciłem – tłukła się o moje piersi stara hebrajska modlitwa, którą lubiła cytować Sara.) I umieść mnie od niej w takiej odległości, w jakiej ona sobie życzy... Pomóż mi w tym wytrwać! Powiedziałem na głos:

– Zadzwoń, zadzwoń... Luteńko, proszę cię, zadzwoń do mnie...

Stał się cud: usłyszałem dzwonek telefonu. Nie, to niemożliwe – mitygowałem się – to nie ona, nie wariuj. Nie rzuciłem się jak błędny do telefonu; najpierw zakręciłem kurki, potem podszedłem chwiejnym krokiem, usiadłem w fotelu (może chciałem jeszcze przez chwilę łudzić się nadzieją, że to jednak ona?...), usiadłem więc w fotelu i dopiero wtedy podniosłem słuchawkę.

To był Grzegorz. Byłem rozczarowany i ucieszony zarazem.

– Aha, wróciłeś – powitałem go.

– Wróciłem. Stary – zapytał – co z tobą?

– A co ma być?

– Widziałem cię dziś z okna autobusu: nie spodobałeś mi się.

– Muszę ci się podobać?

– Powiedz prawdę: co się dzieje? Mruknąłem:

– Wciąż ta sama sprawa.

– Ta ruda?

Jaka ruda? Aha, przypomniałem sobie, zalałem mu kiedyś wodę.

– Tak, coś z nią – potwierdziłem.

– Zdawało mi się, że było dobrze.

– Nie – wyznałem – nie jest dobrze.

– Koniec?

– Nie – tak – nie wiem zresztą. Chyba koniec. Czekam na nokautujący cios.

– Jurek, czego padasz? Nie wolno się tak łamać. Przypomnij sobie, ile miałeś dup na rozkładzie.

– To co innego. Tego jeszcze nie było.

– A co się właściwie między wami stało?

Nie, nie powiem ci.

– Nic takiego. Przypomniała sobie, że ma męża i dom.

– Pewno chce mieć dziecko – powiedział.

– Nie mówiliśmy o tym. Ale chyba tak – dodaję.

Wciąż muszę kłamać.

– Nie wiem, co ci poradzić. Doprawdy nie wiem.

– Nic nie radź.

– Ale uważam, że w ogóle to w porządku, że tak wdepnąłeś. To uczucie cię wzbogaca. Dostrzegłem w tobie wyraźne zmiany i ona chyba też.

– Ona się nade mną nie zastanawia. Grzesiu, sęk w tym, że ja ją niewiele obchodzę. Nigdy nie pyta, co robię, z czego żyję, nic z tych rzeczy.

– Ona ma do ciebie zaufanie – powiedział, niezbyt logicznie, ale ja chwilowo chętnie się z tym godziłem. – Nie znam tej pani – mówił – zdaje mi się jednak, że ona łatwo cię nie zapomni.

– Ona ma rację: ja nie jestem jej wart.

– Co ty...

– Mówię poważnie. Poza tą jedną sprawą – że kocham ją tak mocno – nie przedstawiam żadnej wartości. Mój wiek, moja sytuacja osobista, polityczna, materialna, wygląd zewnętrzny, środowisko – co w tym może być pociągającego dla młodej, ślicznej dziewczyny? Wplątała się w romans jak idiotka – powtarzałem jej słowa – oczywiście musi się z tego wyplątać. A że to odbędzie się moim kosztem – Grzesiu, czy mam prawo żądać dla siebie ofiary z jej życia?

Nie byłem teraz ani obłąkany, ani rozedrgany. Rozumowałem, jak łatwo spostrzec, zupełnie trzeźwo. Jednak w tej mojej niby-spowiedzi brakło jednego elementu, najistotniejszego – mojego fiaska – i o tym właśnie nie mogłem Grzegorzowi powiedzieć. Ta sprawa zmieniała całą strukturę naszych stosunków i burzyła, kiedy się o niej wiedziało, logikę mojego rozumowania. Grzegorz, subtelny i liryczny, lubił się zgrywać na brutalność.

– Jurek – powiedział – a może to wszystko było zanadto platoniczne? Może oblężenie należało zakończyć szturmem? Sam cię chwaliłem za romantyczność, ale może to był błąd. Trzeba ją było zmusić do łóżka i ostro wyharatać.

Milczałem. Nie, nie powiem. On:

– Miałeś pisać jakąś fikcję. Robisz to?

– Próbuję.

– Pisz. To żadna sztuka, ja ci to mówię. A może to mieć znaczenie jako autoterapia.

– Grzesiek – odezwałem się – słyszałeś o przyjeździe baletu angielskiego?

– Wybieram się na to.

– Masz bilety?

– Dostałem.

Serce zabiło mi żywiej. Moja ostatnia nadzieja! Słabiutka, ale jedyna nić kontaktu.

– A możesz mi je odstąpić? – spytałem.

– Jak? Umówiłem się z pewną panią. – Nie da się nic zrobić?

– Przecież nie mogę jej wystawić do wiatru.

– Nie możesz – przyznałem.

Nić urwała się.

– Kiedy się zobaczymy? – spytał.

– Zdzwonimy się jakoś – odpowiedziałem. – Cześć.

Wróciłem do łazienki. Woda w wannie wciąż jeszcze nie wystygła. Zanurzyłem się w niej i otuliło mnie jej przyjazne ciepło. Żyły najlepiej sobie podciąć pod wodą – pomyślałem. Tylko w ten sposób ona cię opuści, razem z krwią wyciekającą z żył. Zdobędę te bilety.

Spałem dobrze. Jadłem śniadanie, kiedy zadźwięczał telefon.

– Cześć – usłyszałem.

Siły mnie opuściły. Dlatego nie wybuchnąłem, tylko wykrztusiłem:

– Luteńka...

– Dzwonię w interesach – uprzedziła mnie.

– Słucham. – W gardle wyschło.

– Mam te publikacje, o które prosiłeś. Przyjdź o dwunastej.

– Tak jest.

– Pamiętaj: żadnych kwiatów.

– Rozumiem. – Rozumiałem naprawdę. – Jak się dziś czujesz? – spytałem.

– Zupełnie dobrze. – Ton pogodnie obojętny.

Diabeł mnie skusił, żeby zapytać:

– A może tęsknisz?

– Nie, nie tęsknię. – (Zdobędę te bilety.) – Te dwa dni bez ciebie dobrze mi zrobiły.

– W jakim sensie?

– Było lżej... Cześć, Idalka nadchodzi.

Zdobędę te bilety.

O dwunastej byłem w ministerstwie, bez kwiatów, ale z dwiema paczkami kentów w kieszeni. WCHODZIĆ BEZ PUKANIA. Nie pukaj, zbeszta cię. Znowu się jej bałem. Nacisnąłem klamkę, otworzyłem drzwi, ale Ludwiki nie ujrzałem. Za biurkiem siedziała Idalka. Podniosła na mnie oczy.

– Jak się masz.. – powiedziała.

Nie udało mi się uśmiechnąć. Pocałowałem jej starą, pomarszczoną dłoń, kochałem ją teraz – kochałem za to, że pracowała z Luteńką, i za to, że przedwczoraj zaniepokoił ją mój głos.

– Ludki nie ma? – spytałem.

– Wyszła pół godziny temu. – (Uciekła przede mną. A ja mam tu dla niej papierosy.) – Zostawiła ci druki. I chyba jakiś liścik.

Trzymała w ręku kopertę z napisem zrobionym dłonią Ludwiki: „WPan dr J. Wilkot." Wręczyła mi z uśmieszkiem:

– Już krążą liściki. Proszę, robisz postępy.

Włożyłem kopertę do kieszeni bez pośpiechu. Nie pokazuj po sobie nic! Co ona tam mogła napisać? Kochany – przebiegło mi przez myśl – to nieprawda, że nie tęsknię... Kochany, kochany... Przepraszam cię za tamto– krążyło po moim mózgu – pomyliłam się, jesteś mi potrzebny... Wsunąłem książki do torby. Kochany, czekam tam, gdzie zwykle – odczytywałem ten list, jakbym miał dar telepatii – zamówiłam sobie tort hiszpański i chcę, żebyś ty zapłacił. Twoja dziewczyna – dokończyłem w myśli i już nawet nie musiałem otwierać koperty. Objąłem Idalkę i pocałowałem ją w oba pomarszczone policzki. Ale nadal nie potrafiłem się uśmiechnąć i czułem, że skórę na twarzy mam zesztywniałą. Uciekła przed tobą...

Za drzwiami wyjąłem kopertę z kieszeni i rozerwałem ją drżącymi palcami. Znalazłem w niej jakiś druczek, a na odwrocie, w poprzek niego, dużymi, rozerwanymi literami:

NI E PRZ Y CHODŹ

N IE KUPU J M I PREZENT ÓW

NIE DZ WOŃ

Bez podpisu. Nie pamiętam, jak zszedłem z tych schodów, ale na pewno na miękkich nogach. Stałem potem przed gmachem usiłując zebrać myśli. Gdzie jestem? Dokąd iść? Co robić? Zerknąłem znowu na liścik: NIE PRZYCHODŹ NIE DZWOŃ NIE... Przyglądałem się afiszom. Nowy film Wajdy. (Zdobyć bilety na premierę.) Balet angielski w Teatrze Wielkim. Zdobyć... NIE PRZYCHODŹ NIE NIE NIE. Pójdę do naszej hotelowej kawiarni. Zamówię sobie duże lody. Będę otoczony zjawami. Nie, przepędzę je. Nie kocham cię, pomyślałem. Teraz oddać ci tylko te kenty i to wszystko. Może gdzieś ją spotkam, oddać papierosy, są dla niej, są jej, wywiążę się do końca nawet z tych biletów, koniec walki, poddaję się.

W hotelu dokupiłem w shopie dewizowym jeszcze jedną paczkę kentów, a potem wspiąłem się po schodach do naszej kawiarni. Stanąłem w progu, by rozejrzeć się, który stolik jest wolny, i wtedy zobaczyłem w głębi sali Ludwikę.

Siedziała nie sama: ten drugi to musiał być docent Zecki, siedział tyłem, ale mogłem go poznać po czarnych falistych włosach opadających na ramiona modnej wiatrówki. Stałem nie zauważony i przyglądałem się tej parze: on mówił coś z ożywieniem, ona miała opuszczony wzrok, mogło się wydawać, że go nie słucha, że myśli o czymś innym. Była w tej sukience koloru morskiej zieleni, którą jej kupiłem podczas wakacji, właśnie w tej, co do której oboje zgodziliśmy się, że wygląda w niej najśliczniej. Musiałaś z nim przyjść akurat tu, do n a s z e j kawiarni! Musiałaś tak zrobić. Już masz następcę. Skorzystałaś z okazji, by mnie porzucić, teraz jesteś wolna, masz tego, który ci się naprawdę podoba (tylko że ma żonę i małe dziecko). Teraz tylko się dopasować. Nie mów, że nie o to chodzi – sprzeczałem się z nią – chciałaś tego.

Nie ruszałem się z miejsca. Wtrząchnę dużą porcję lodów. I mam patrzeć na nich? – nie, to za dużo nawet jak na mnie – będę wyć – tak, za chwilę zawyję. Zecki zakończył opowieść, roześmiał się głośno. Ludwika podniosła nań zdziwione oczy – i zobaczyła mnie. Może zbladła, nie wiem, znajdowali się zbyt daleko, chociaż nie, dlaczego miała zblednąć, jej spojrzenie wydało mi się całkowicie obojętne. Ukłoniłem się, oczywiście, ona kiwnęła mi głową – Zecki coś do niej zagadał, ona zwróciła ku niemu spojrzenie i obdarzyła go uśmiechem. Czarującym rzecz prosta. Zecki u stóp. Mój przystojny następca. Dopasują się. Wyszedłem z kawiarni.

Królewski balet w Warszawie. Odczytywałem ten afisz jakbym nie mógł zrozumieć treści. Jak zdobyć bilety? (Dopasują się.) NIE KUPUJ MI PREZENTÓW.

Zjem duże lody. Wszedłem do kawiarni Nowy Świat. Było sporo wolnych stolików. Przy jednym z nich, pod oknem, popijał samotnie kawę Łysy. Pociągnął łyk i odnotował coś na serwetce. Aha, tęsknisz, już notujesz – już nie możesz sobie z tym poradzić – podczas gdy ona tam, w kawiarni hotelowej, z innym, obdarza go uśmiechami – czy też musisz widywać ją codziennie, żeby świat miał jakiś sens? Słyszałem, że objął redakcję nowego kwartalnika ekonomicznego – władze wybaczają mu jego anegdoty, bo nigdy nie miały z nim kłopotu – na pewno mógłby się postarać o te bilety. Gdybym wspomniał, że to dla Ludki... Weszła do kawiarni drobna, dziarsko krocząca dziewczyna w spodniach, ciemnowłosa, z końskim ogonem i grzywką, z wyraźnym meszkiem nad górną wargą, która uniosła się w powitalnym uśmiechu – znałem ją skądś, nie miała więcej niż trzydzieści lat, tak, znałem ją na pewno, była asystentką w szkole gospodarstwa wiejskiego, gdzie Łysy miewał jakieś wykłady – oczywiście, to ona, skierowała się wprost do jego stolika, Łysy dźwignął swoją tuszę, zacharczał wesoło, mlasnął wargami wierzch jej dłoni, tę jej dłoń trochę przetrzymał w swojej, niby przez roztargnienie, ale i jako znak skłonności. Dziewczyna rozsiadła się, znowu spojrzała nań z uśmiechem, on podsunął jej to. co zanotował na serwetce, oboje zaśmieli się, pewno jakiś rebus antyreżymowy, potem on wpisywał dedykację do swojej angielskiej książki – tej samej, którą ofiarował Ludwice. Zdradza ją, sformułowałem to w myśli, zdradzi ją z każdą – i sam poczułem się zdradzony. Podał swojej partnerce książkę z zadowoleniem, które rozlało się na jego szerokiej żółtej twarzy. Nie wyglądał jak człowiek, któremu odjęło sen. Byłem z tym sam.

Potem przyglądałem się kilka minut wystawie fotograficznej w witrynie „Tygodnia". Chichot to dla mnie zrobi, pomyślałem, tylko wrogowi może na mnie zależeć, tak to już jest, przyjaciel nawala, wróg nigdy. Mam przyjaciół którzy zawodzą – wrogów za to mam niezawodnych. Wróg mi pomoże, bo wróg mnie chce sobie pozyskać, bo... wszystko mi jedno, byle wydostać dla niej te bilety. Od razu w korytarzu redakcji natknąłem się na „Iksowicza". Ucieszył się, niemal rozwarł ramiona.

– Serwus! – zawołał. – Jak się masz! – (Czyżbyśmy byli kiedyś na ty? Od czasu, jak sobie udzielił mojego przebaczenia, uznał widać, że może mnie tykać.) – Do nas? Przyniosłeś może coś?

– Jestem niepiśmienny – odpowiedziałem. – Mam sprawę do naczelnego.

– Świetnie, zaprowadzę cię.

Zakląłem w duchu, ale pozwoliłem się zaprowadzić na piętro. Wszystkie drzwi stały tu przed „Iksowiczem" otworem. Także i naczelnego. – Serwus – wołał „Iksowicz", podczas gdy Chichot wstawał zza biurka i zbliżał się do mnie z wyciągniętą, szeroką jak łopata dłonią. – Popatrz, kogo prowadzę. Zostawiam was samych, dogadajcie się.

Chichot usadowił mnie w fotelu, wyjął z szafy koniak – wypijesz? – tak, powiedziałem, wypiję; pomyślałem: czemu nie, już nie muszę się wzbraniać. Cierpki smak koniaku wstrząsnął mną i rozgrzał. Chichot, sącząc ostudzoną herbatę, mówił o „Iksowiczu": jest jednym z dwóch jego zastępców, nieoceniony, wszędzie go pełno, a przy tym lojalny, duża pomoc, cieszę się, że się lubicie. Wypiłem swój koniak do końca, ale nie poczułem się ani trochę lepiej. Sprostowałem:

– Nie, ja go nie lubię.

– Masz coś konkretnego?

– Znajdzie się.

Od razu się ożywił:

– Czy to coś, o czym ja powinienem wiedzieć?

– Nie, ani trochę. – Zaznaczyłem: – I proszę cię o dyskrecję.

– W porządku. Ja go właściwie też nie lubię.

Potakuje mi, pomyślałem.

– Jeszcze koniaku?

– Nie, dosyć, dziękuję. Adam, mam do ciebie prośbę.

– Coś u władz?

Miał cholerne stosunki, można było przez niego to i owo załatwić u góry. Ale tym razem się mylił.

– Potrzebne mi są – powiedziałem – nie zgadniesz co... dwa bilety na występy królewskiego baletu angielskiego.

– Nie wiedziałem, że lubisz balet.

Moja ankieta personalna mu się nie zgadzała.

– Lubię piłkę nożną – odpowiedziałem. – To nie dla mnie. Ale bardzo mi na tym zależy. Życiowo ważna sprawa.

Za dużo powiedziałem. Uważaj na swój język, mówisz z wrogiem!

– Zobaczę, co się da zrobić. – Podniósł słuchawkę. – Z redaktorem Chocimskim. Jacek? Masz jakieś luźne bilety na angielski balet? To przyjdź z nimi do mnie.

Więc będę je miał. Mój wróg roztacza nade mną opiekuńcze skrzydła. Otworzyły się drzwi i wszedł redaktor Jacek Chocimski, kierownik działu kulturalnego, niezły pijaczek, chudzielec w grubych okularach. Znaliśmy się z widzenia, prezentacja nie była konieczna.

– Naczelny, masz, weź sobie moje zaproszenie – powiedział zionąc na nas alkoholem.

– Rezygnujesz? – spytał Chichot.

– Ja i tak widzę tylko na odległość trzech metrów, a po dużej wódce wcale. – Zwrócił się do mnie: – Przyjemnej zabawy.

Podziękowałem. Chocimski powiedział:

– Naczelny, dałbyś człowiekowi kielonka, należy się. Wychlapał kieliszek ormiańskiej brandy jak lemoniadę i mruknął:

– No to już jestem w sam raz. Spływam, cześć. Rozkołysanym krokiem, potrącając krzesła, wyszedł z gabinetu. Myślałem o tym, dlaczego ten tak zdolny człowiek tyle pije – alkoholik, oczywiście, ale coś się z nim dzieje, byłem tego pewny – pił dlatego, że ugrzązł w tym „Tygodniu", czy może pracował dla „Tygodnia", bo musiał pić?

– No więc masz to. – Chichot był zadowolony ze swojej operatywności i przyznałem w duchu, że ma do tego prawo.

Tak, miałem to! Ludka pójdzie z mężem na królewski balet, to ja ich poślę, przez chwilę będzie musiała myśleć o mnie.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – powiedziałem.

– Domyślam się. Jerzy, może byś coś dla nas napisał?

Zaparłem się z miejsca:

– Nie, nie... znasz moje stanowisko.

– Stanowisko stanowiskiem, ale pieniędzy potrzebujesz. – Uśmiechnął się. – Campari kosztuje.

– Campari to bardzo tani trunek, tylko u nas ceny stoją na głowie...

– Świetnie, napiszesz coś o cenach.

– Nie kuś mnie, proszę cię.

– Ja po prostu chcę ci pomóc. Nie myśl, że to jest takie łatwe zadanie: dostajesz w kość, ale domyślam się, że nie bez powodu. Nie ma dymu bez ognia – powiedział z miną filozofa.

Masz rację, myślę, odgadliście mnie! Wkrótce pękną wszystkie drążki maszyny i każde kółko będzie się leniwie obracać nie zazębione o inne. Nie rozumie tego tylko ten, komu ten kraj jest w istocie obojętny, kto upaja się tylko swoją władzą, kto zaspokaja jedynie swoją patologiczną próżność i drapieżną pogoń za zdobyczą. Nienawidzę właśnie dlatego, że w ten kraj wierzyłem. Podczas gdy ja w duszy się piekliłem, jego głos był coraz miększy, coraz cieplejszy:

– Ja dobrze rozumiem, że przeżywasz teraz bardzo ważną osobistą sprawę, i mogę ci się przyznać, dlaczego rozumiem: bo sam przeżywam coś takiego.

On też! To świństwo – myślę – że nawet on. Podłość natury. Są ludzie, którzy nie powinni dostąpić uczucia miłości. Tak jak są pisarze, którzy nie zasługują na to, by być autorami dobrej książki.

– Cierpisz? – spytałem pełen nieufności. On moim bratem w cierpieniu, co za hańba! Zaśmiał się zwycięsko.

– Nie, skądże znowu. – Więc nie cierpi, myślę, w porządku, tak powinno być, nie dorósł do cierpienia. – To stara, dobrze pomyślana historia.

Byłem ucieszony: zupełnie inna sprawa, nic wspólnego z moją, Chichot nie jest moim odbiciem, nie, na szczęście.

– Z czego żyjesz? – spytał.

– Różnie.

– Na przykład?

– Gram w pokera.

– Oho!

– Przepisuję na maszynie.

– Doprawdy? Po co ci to? Czy to nie marnotrawstwo sił i czasu?

– Trzeba jakoś przetrwać.

Przetrwać co? – powinien był zapytać. Zbierał się już, żeby mi powiedzieć, że nie ma sensu się poświęcać, tego przetrwać się nie da, to się ustabilizowało na dziesiątki lat, czytałem w jego myślach jak w tablicach statystycznych, ale nie powiedział nic, uznał, że lepiej dać spo-

kój. Zaproponował mi za to, żebym przepisał w pięciu egzemplarzach jego wspomnienia wojenne. Czterysta pięćdziesiąt stron. Woli tego nie dawać maszynistce – ta idiotka może pewnych sformułowań nie zrozumieć, zresztą liczę na twoją pomoc – jak będziesz miał jakieś wątpliwości, mówił, to od razu zmieniaj. Nie był autorem zbyt drażliwym. Targowaliśmy się potem o wysokość mojego honorarium – straszny dusigrosz wylazł z tego krezusa – uzgodniliśmy to wreszcie, wziąłem półtora tysiąca zaliczki, teczkę wypchaną maszynopisem i pożegnałem go. Ucieszyłem się, że będę miał jakieś mniej więcej mechaniczne zajęcie.

W domu od razu wziąłem się do układania papieru i kalki. Chciałem się przytłoczyć robotą. Nie wyłem, nie mówiłem do siebie – w mieszkaniu była Krysia. (I była Ludwika: siedziała z panem o długich, czarnych, falistych włosach – jest śliczny, przyznasz – słuchała go roztargniona, ale kiedy podniosła nań oczy, obdarzyła go czarującym uśmiechem.) Boże mój. pomyślałem, co ona ze mną wyprawia! Powinienem ją był znienawidzić, ale nie potrafiłem. Nie potrafię cię nienawidzieć. Ale chcę o tobie zapomnieć. Uwolnij mnie od siebie, nie uśmiechaj się do mnie tak, nie uśmiechaj się do niego tak, opuść mnie, opuść...

Zadźwięczał telefon. Krysia chciała odebrać, ale ja ją uprzedziłem – „to do mnie", powiedziałem – nie wiem, dlaczego tak powiedziałem, nie miałem żadnych przeczuć, a raczej tak, zawsze mam, bo wciąż czekam.

– Cześć – usłyszałem.

Głos był słaby, nieśmiały, ale – o Boże, to jednak ona!

– Dzień dobry – odpowiedziałem. Nie będę mówi!: cześć, skończyło się.

– Herr Doktor... – bąknęła. Tak, onieśmielona, zgadłem.

– Słucham cię.

– Przepraszam...

Wstrzymałem oddech.

– Za co przepraszasz? – Wciąż udawałem sztywność.

– Za dzisiejsze.

Dałem znak Krysi, żeby opuściła pokój, i powiedziałem;

– Nie musisz przepraszać, jesteś wolna.

– Ale ja zrobiłam to na złość.

– Zrobiłaś, co chciałaś. On ci się podoba.

– On mnie nic nie obchodzi.

– Więc po co?

– Mówiłam ci. Na złość mamie chciałam sobie uszy odmrozić.

– Byłaś w tej sukience... – Teraz mogłem już sobie pozwolić na rozżalenie.

– No widzisz – usłyszałem.

Nie wiedziałem, co mam „widzieć": czy że byłą w niej przez sentyment, czy żeby cios był dotkliwszy.

– Czyli intryga, w której posłużyłaś się Zeckim?

– Można to tak nazwać.

– Wiedziałaś, że tam przyjdę?

– Spodziewałam się.

– Ale dlaczego?

– Przecież cię znam...

Tak, zdążyła mnie poznać. Wariat, szaleniec, jej niewolnik, będzie chodził po śladach dawnego szczęścia (nessun maggior dolore...), przez dwa dni odbywałem podróż bolesną po Warszawie. Powiedziałem to:

– Szukałem cię przez całe dwa dni. Miałem ze sobą kenty dla ciebie.

Usłyszałem westchnienie – zabrzmiało jak krótki, bolesny okrzyk. Ach, więc cię ruszyło. Teraz trochę trwało, zanim wróciła do równowagi. Powiedziała wreszcie:

– Ja nie palę.

– Jak to? – Był to cios wymierzony we mnie: papierosy miały być moje, zamiast kwiatów, zamiast – co ja teraz będę mógł jej ofiarować?

– Rzuciłam palenie – powiedziała.

– Kiedy?

– W niedzielę. Zemdlałam i postanowiłam przestać palić. Nieodwołalnie.

Spytałem z trwogą:

– Nie jesteś w ciąży?

– Mam nadzieję, że nie. – Zaśmiała się niewesoło. – Och, na pewno nie. Powiedz, co u ciebie. Pani Idalia powiedziała, że przestraszyła się twojego wyglądu.

– Niby dlaczego?

– Taki miałeś być zmieniony.

– Po co ona się mną interesuje?

– Ma do ciebie słabość. Słuchaj, a jak jest naprawdę?

Nabrałem tchu.

– Niedobrze – szepnąłem. Chciałem mówić zupełnie coś innego, przysięgam, nie chciałem się skarżyć. – Ja krwawię...

Chwila milczenia. Potem ona:

– Nie wolno tak, to bez sensu.

– Cóż na to poradzę. (Szukała w tym sensu!)

– Masz przecież robotę, pracuj. Słyszysz? Masz pracować.

– Mówiłaś mi to już raz.

– Mogę ci coś kazać?

– Wiesz dobrze.

– Każę ci się wziąć do kupy.

Pomyślałem: tak najłatwiej; ja się wezmę w garść, a ona będzie miała spokój. Przypomniałem:

– Ja mam taki liścik od ciebie. Zacytować?

– Och, Chryste, co za człowiek – czy wszystko musisz brać tak dosłownie?

– Widocznie muszę. Ja jestem ekonomista bez fantazji.

– Ty, bez fantazji, dobre sobie!... Masz jej aż za dużo! Słuchaj (powinna powiedzieć: Jureczku, miły mój, kochany), pracuj teraz, musisz jakoś przez to przejść – weź się do kupy – ja każę...

Nie chciała mieć mnie na sumieniu, przeprasza za dzisiejszy złośliwy wybryk, ale decyzji nie zmieniła. NIE DZWOŃ NIE PRZYCHODŹ... Spytałem:

– Będę mógł cię zobaczyć?

– Lepiej nie. Ja też będę musiała przez to przebrnąć. Została mi już tylko jedna cienka nić.

– Słyszałaś o przyjeździe baletu angielskiego? Może chcesz się na to wybrać?

– Nie, po co. Myślę, że obejdzie się tam beze mnie. Nie było do niej dostępu. Powiedziałem:

– W każdym razie dziękuję ci, żeś zadzwoniła...

– Pamiętaj: do arbeitu. Cześć.

Znowu jesteśmy w innym punkcie, pomyślałem. To jeszcze nie koniec, mówiłem sobie, może ona też chce coś z naszego związku uratować. Może dla niej też to było zbyt cenne, żeby tak całkiem wszystko zaprzepaścić. W każdym razie do jej życia wkroczyło czyjeś życie (moje), początkowo uderzająco obce, potem coraz bliższe, coraz czulszym owiane tchnieniem – a przy tym pasjonujące właśnie przez swą inność. Ten swój nowy świat (świat prób i klęsk, i prawdziwych triumfów) miała wyłącznie dla siebie. Zmieniała się, dojrzewała w tych zmaganiach ze mną – tamci mówili: spójrzcie na Ludkę, jest jakaś inna – nikt nie domyślał się, dlaczego. Wszystko w milczeniu.

Spróbowałem to jakoś sformułować na piśmie, a kiedy odłożyłem notes, zrobiło się znowu ciężko, i pomyślałem: no tak, ona się zmienia, ale kto wie, czy z tak drastycznych doświadczeń nie wyjdzie trochę scyniczniała. Za duża porcja wiedzy o sprawach płci, o osobliwościach męskich zachowań, wiedzy bezlitosnej. Będzie potem ostrożniejsza i bardziej wyrachowana. Może w niej zostać dużo gryzącej ironii. „Jedyne, na co on może liczyć – notuję dla swej przyszłej powieści – to na pewien liryzm we wspomnieniu... Ale może też we wspomnieniu przeważyć coś innego – nie elementy adoracji, uczucia, tylko brutalne, nieestetyczne klęski. Sceny, na myśl o których robi jej się gorąco ze wstydu i upokorzenia, może i ze wstrętu."

– Przecież mnie kochałaś – słyszę swój głos. – Nie – słyszę ją wyraźnie i to bez żadnej śpiewności – nigdy tego nie powiedziałam. – Ależ tak, kochałaś! – Nie, skądże, to było bardzo dalekie od tego... – Czy można kogoś tak całować, jak ty mnie, nie kochając? – Ty powinieneś wiedzieć lepiej, z twoim doświadczeniem... Cholera, co się ze mną dzieje! Znowu roztapiam się w rozmiękczeniu. Dlaczego jej telefon nie przyniósł uspokojenia? Zostałeś z papierosami i biletami. Mówię to na głos:

– Zostałem z papierosami i biletami.

Szepczę:

– Przepadniesz. Zginiesz, jeśli nie znajdziesz w sobie odporności. Po chwili:

– Dobrze, zginę. Chcę zginąć.

Marzę o tym, żeby mnie rozjechała ciężarówka. Nie, obłęd mi nie grozi. Kiedy wychodzę za próg domu, łzy schną. Między ludźmi łatwiej znoszę swoją klęskę, nie wolno mi okazywać, że jestem ruiną. W kawiarni „Czytelnika" nikt nie zauważa, co się ze mną dzieje. Redaktorka Grzegorza mówi do niego szeptem, ale tak, że mogę słyszeć: „Strasznie miły ten twój przyjaciel. I jaki dowcipny..." (Opowiedziałem dwie anegdoty i puściłem jedną złośliwość.) Grzegorz: „Szkoliłem go sześć tygodni, zanim pozwoliłem mu tu przyjść..." Nikt z nich nie podejrzewa, że jestem obłąkany. Bo może nie jestem. (Szkoda.) W domu nawet trochę pracuję. Przepisuję te wspomnienia Chichota i tu i ówdzie interweniuję. Kapie z nich wazeliną, przyjemnie naperfumowaną, taniutkim sentymentalizmem, zręczną propagandą dla naiwnych, czy raczej dobrotliwych, tych, co to chętnie rozgrzeszają – nie brak i zwykłych łgarstw (szczególnie z zakresu jego życiorysu). Powinien mi za to zapłacić podwójnie. Po co to korygujesz? Im więcej łgarstw, tym lepiej – najszkodliwsze są takie pozorne prawdy, po których podniesie się chór niedopieszczonych Polaków: nareszcie oddano sprawiedliwość, nareszcie można się czegoś dowiedzieć! Spryciarz, konstatuję bez podziwu, za to z niesmakiem do samego siebie, bo poczułem się jego wspólnikiem, chociaż jestem w tym tylko maszynistką. Dla ciebie, Luteńko.

„Z wszystkiego może zrezygnować, byle mieć ją – notuję. – Ale rezygnując ze swojej postawy, z dorobku, z tego, co jest najistotniejsze dla jego osobowości – notuję dalej – nie przybliży jej do siebie. Nie nabierze przez to dla niej ceny. Nie wolno mu siebie zubożyć wewnętrznie. Bierze się dziewczynę (taką dziewczynę) całym sobą, całym bagażem własnym, a nie jakąś cząstką – i to nie najznaczniejszą."

Nie wiem, czy to, co przygotowuję, można nazwać powieścią. Coś w trzeciej osobie, żeby stworzyć dystans do własnych przeżyć. Rośnie góra notatek, które, pedant z nawyku, zacząłem porządkować i wkładać do kopert oznaczonych: „On i Ona, faza I", „On i Ona, faza II" (po klęsce), „Różne uogólnienia", „Uwagi na marginesie lektur." Grzegorz miał rację – to działa terapeutycznie, chociaż na krótko, jak szklaneczka moskalu na nastrój Konsula. Kończę i znowu zaczyna się drżenie i chęć wycia.

Na takich zmaganiach minęło kilka dni. I oto faza, w której przestałem notować. Nie ma już żadnej nowej myśli. Żadnej w ogóle. Tylko poczucie beznadziejności. Czekanie na ostateczny cios. (Ten cios może już padł, chociaż ja wciąż jestem na nogach, chodzę jak gdyby

nigdy nic i upieram się, że to jeszcze nie to.) Niech padnie, myślę prawie z utęsknieniem. Wykończ mnie wreszcie. Zatelefonowałem tam. Usłyszałem jej głos:

– Słucham, biuro dokumentacji.

Nie odpowiadam. Bo zaraz mnie ofuknie. Zapyta: „po co dzwonisz?, czego chcesz?" Domyśl się, domyśl... Znowu jej głos:

– Słucham. Hallo!

Milczę. Boję się jej – stwierdzam. Tak, jestem za słaby dla tego świata, dla jej świata, ludzi silnych, rzeczowych, trzeźwych (chociaż usłyszałem, że „wplątałam się jak wariatka".) – Ludka, kto tam? – słyszę jakąś panią. – Chyba ktoś z zepsutego automatu – wyjaśnia Ludwika. – Hallo! – Domaga się odpowiedzi raz jeszcze. Odłożyłem słuchawkę. Wystarczyło, że sprawdziłem: Jest, nie myśli o mnie, nie tęskni. (Beze mnie wszystko jest lżejsze.) Świat kobiet, babski sanhedryn: zgromadziły się wokół jej stolika, sączą kawę, oczywiście z czymś słodkim – spróbujcie, moje ostatnie dzieło – palą papierosy. (Ona nie pali.) Ludwika założyła nogę na nogę, odprężona, obojętna... Opowiada o swoim Wojtku (jaki żywioł, jedno wielkie utrapienie, ale takie skargi snuje się z rozczuleniem), potem wysłuchuje tamtej. Ma nową gosposię, trochę się jąka, ale poza tym skarb, bo głupia. Dostałam cielęcinę – cudo. Bierze się pół kostki masła, ćwierć cukru, szklankę mleka... Wyobraź sobie, dwa schaby, peklowane. Tak, już zawekowałam. Firanki w drobny rzucik. Prześcieradło. Prześcieradła. (Na prześcieradle plamy. Widzę je. Zasypia w jego objęciach. Nienawidzę go.) Papierosa? Nie palę. Co się stało? Ekscytują się swoimi drobnymi ciekawostkami, uśmiechają się do siebie. Wspólnota. Tajemnica ich świata, dla nas niedostępnego. Sekrety, których nigdy nam nie ujawnią. Drwią z nas, to pewna. Zapalisz? – proszę – to od niego – śliczny kamyk – (ale Ludka milczy, o mnie ani słowa) – zrobiłam go w konia. Na tych kilkanaście godzin są samowystarczalne duchowo. Lubią się teraz nawet, kiedy tak wybuchają śmiechem (z nas się śmieją), w każdym razie świetnie udają, że się lubią. Tak, że kiedy je coś przyciśnie, jedna przed drugą się wypłacze. (Zadzwoń do Grzegorza, wyżal się. Dlaczego tego nie zrobisz? Może spodziewasz się, że on powie: stary, nie zawracaj mi tym głowy, ja tu walczę o wolność, a ty do mnie o genitaliach.) One by wysłuchały. Chciałbym tam siedzieć między nimi, gapić się na Luteńkę, naruszając babskość tego konwentyklu, ja, obce ciało, męskie niemęskie męstwo mężczyźniarstwo bądź mężczyzną. (Zwariuję.) Baby! Cholerne babska! Już lepiej niech się zajmują wekami, proszkiem do prania i obrębianiem firanek. Bo kiedy ruszą do ataku, kiedy zajmą się sprawami publicznymi, widząc tylko siebie, swoje sympatie i niechęci, swoje argumenty, swoich faworytów i oponentów, nie próbując nigdy zrozumieć drugiej strony, dzieląc od razu na jednomyślnych i zdrajców, na bohaterów i sprzedawczyków, na nieskazitelnych i kupionych – biada temu krajowi.

Zadowolony byłem, że się nie odezwałem. Rozłożyłem materiały do pracy doktorskiej Działacza, ale nie umiałem się skupić. Gdybyż nagle do mnie przyszła! – zamarzyłem. Mogłaby, czemu nie? Księżniczka ma prawo mieć i taki kaprys, by złożyć nieoczekiwaną wizytę poddanemu. Zapalę kenta. Nie, powiedziałem sobie, nie będziesz palić, ona nie, to ty też nie. (Dla niej, przez nią, o nią.) Zapaliłem jednak. Harun-al-Raszyd odwiedza biednego łaciarza. Jak ci się żyje, sługo kalifowy? O, mój gościu, ginę z głodu i zawszenia. A więc przyjrzyj się swojemu kalifowi, naciesz oczy jego widokiem, poczęstuj go łykiem wody, albowiem jest spragniony. Wyszedłem do kuchni zrobić herbatę i wtedy usłyszałem dzwonek u drzwi. Zabiło mi serce – dlaczego? ach, bo zawsze mi ono bije, ilekroć jest nieoczekiwany dzwonek, zawsze myślę bezrozumnie: ona, i zawsze potem przywołuję się do porządku: wariacie, co za pomysły! Otwierałem drzwi bez pośpiechu. Ale to była ona. Harun-al-Raszyd odwiedzał pokrytego trądem łaciarza.

Wydarło się ze mnie jej imię, ona spytała wskazując w głąb korytarza:

– Jesteś sam?

– Wejdź.

Nastawiła policzek do pocałunku, ja chyba troszkę zbyt długo przyciskałem usta do miejsca w pobliżu tej rozczulającej szramy. Poinformowała mnie szybko:

– Przyniosłam ci broszury, które mogą ci się przydać. A w ogóle to chciałam zobaczyć, co porabiasz.

Jednak Harun-al-Raszyd... Ja wciąż milczałem, ogłuszony jej obecnością, ona spytała:

– Dzwoniłeś dzisiaj? – Kiwnąłem głową. – Tak myślałam... Dlaczego się nie odezwałeś?

– Boję się twojego gniewu.

Westchnęła:

– Ach, Boże, jakie to beznadziejne... Poczęstujesz mnie kawą?

Tak, kalifie. Otrzymasz najwonniejszą kawę Arabii. Pomogłem jej zdjąć długi wełniany ciemnofioletowy płaszcz. Ukazał się ceglasty golf, ten sam, który miała na sobie w lesie, potem zobaczyłem tę ciemnobeżową ciepłą spódnicę, którą razem kupowaliśmy. Weszła za mną do kuchni. Przeprosiłem ją za bałagan i za mój wygląd (miałem na sobie czarny podarty sweter). Nie wygłupiaj się, usłyszałem. Po co przyszła? – zastanawiałem się, przypatrując się w milczeniu czajnikowi, który pęczniał syczeniem. Zadać nokautujący cios. Jeśli zapytam ją o to, ona potwierdzi. Bij, pomyślałem, wylicz mnie na deskach. Potem przyszło mi na myśl, że może ona przyszła po to, żebyśmy jeszcze raz spróbowali – tu, na moim tapczanie, pod uśmiechniętym spojrzeniem Sary – i że tak właśnie miał ten nokautujący cios wyglądać – i poczułem mróz w plecach. Skurczyłem się ze strachu: wszystko, byle nie to! Szczęściem, na razie się na to nie zanosiło. Zachowywaliśmy się z pozorną swobodą, jak para starych przyjaciół wyzbytych namiętności, ja robiłem kawę, ona mi pomagała, oboje rzeczowi i sprawni. Przenieśliśmy się z tym do mojego pokoju. Sara uśmiechnęła się do nas. Ludka siadła w fotelu, założyła nogę na nogę, tak jak ja ją sobie wyobrażałem w świecie kobiet.

– Co u ciebie? – spytała.

– Nic. Nic – powtórzyłem.

– Pracujesz?

– Nie bardzo.

– Kazałam ci pracować.

– Ani mi się śni...

Zdaje się, że ją zatkało. Zbuntował mi się! Nie wykonuje rozkazu!

– Ale dobrze, że przyszłaś.

– Chciałam z tobą porozmawiać. Chyba możemy ze sobą rozmawiać? Jak sądzisz?

– Myślę, że tak.

– Tylko musisz pamiętać o jednym: dawne układy już nie wrócą.

– Ja się podporządkuję – obiecałem.

Zaprzedany w niewolę. Ucho przekłute i założony kolczyk. Ale ona mi nie wierzyła. Zastrzegła się znowu:

– Przyszłam tu bez żadnych intencji. – Uśmiechnęła się prawie zalotnie. (Znowu mnie uwodzisz.) – Może po prostu lubię twoje towarzystwo.

Dzwoneczek alarmowy: uwaga, postęp. (Nie byłem obłąkany, mój mózg funkcjonował sprawnie.) Powiedziałem:

– Mam cię bawić rozmową? Znów ten sam urzekający uśmiech.

– Możemy pomilczeć.

– Proszę bardzo, milczmy... Byleś tu była...

Nie powinienem tak mówić, pomyślałem. Ona spytała:

– Nie jesteś rozczarowany?

– Dzięki i za to. – Usłyszeć jej krzyk. Postanowiłem być szczery do końca: – Ja nawet tak wolę. Nie zrozum tego źle – ale wolałbym stanąć przed plutonem egzekucyjnym niż pójść z tobą do łóżka.

Nie zerwała się z miejsca, nie dała mi w twarz, widziałem tylko, że jej wargi zadygotały. Nie mów tak, upomniałem się natychmiast, oszczędzaj ją, wcale nie jest taka silna, jak przypuszczałeś, w niedzielę zemdlała, kiedy ty myślałeś, że ona hałasuje beztrosko w gronie rodzinnym...

– Tak się mnie boisz? – spytała, a w jej rozbieganych źrenicach odczytałem odbicie mojego lęku.

– Straszliwie.

Była silna, przedtem, zanim cię poznała, to ty ją zniszczyłeś.

– To wszystko moja wina – powiedziała. – To ja powinnam iść do lekarza, nie ty.

Kiedyś, kiedyś – usłyszę twój krzyk.

– Nie, nie twoja wina – zaprzeczyłem – mówiłem ci już.

Pochyliwszy się nad filiżanką kawy, szepnęła:

– Ja to chyba jestem pechowa.

Nie pytałem, co te słowa znaczą, mogłem się jednak domyślać. Dosłyszałem w tym wyznaniu daleki pogłos nadziei dla siebie, cichutki jak skomlenie szczenięcia. Luteńko, nie jesteś pechowa – powinienem był powiedzieć – masz tylko problem do rozwiązania. Gdybyś mnie kochała, tak byś to określiła: mam problem ze swoim chłopcem. Niestety, to nie jest miłość, tylko lekki sentyment, dlatego ty mówisz o pechu, podczas gdy ja to nazywam klęską. (Muszę to jakoś odnotować.)

Możliwe, że ona też przeprowadziła błyskawiczną analizę naszych stosunków, bo powiedziała:

– Ale cię odwiedziłam, prawda? Jak się z tym czujesz? Czy trochę lepiej?

Nie było tkliwości w tym pytaniu, tylko rzeczowość. Księżniczka raczyła przyjść i udzielić łaski.

– Lepiej – przyznałem. – Zobaczysz, kiedyś będzie zupełnie dobrze. (Trzeba iść do Tońki i się sprawdzić.)

– Proszę cię, nie myśl o tym. – Powtórzyła: – Dawne układy już nie wrócą.

Pokazałem jej notes z moimi szalonymi zapiskami. Widziałem, że ją to zainteresowało – to ona była bohaterką tych majaczeń – czytała wydając westchnienia. Zajrzałem jej przez ramię, żeby przeżywać wraz z nią tę lekturę, i przeczytałem: „Ginę od tego uczucia i zginę bez niego.” „Chryste... – czytam; jej łokieć zasłonił mi moje pismo, potem się odsłoniło – ...zajmij się mną trochę i daj mi tę dziewczynę...” Jeszcze kawałek: „...i zamknij oczy na to, co z nią uczynię...” – Daj długopis – odezwała się Ludwika. Dałem jej długopis, ona spojrzała na mnie i szepnęła: – Idalka miała rację mówiąc, że jesteś zmieniony. Otworzyła mój notes i zaczęła pisać na wolnej stronicy. Potem dała mi to do przeczytania: „A jednak mi cię strasznie żal. To chyba źle. Wróć jak najszybciej do swego dawnego stanu i wtedy wszystko będzie dobrze.” Przycisnąłem jej dłoń do ust i powiedziałem:

– Postaram się.

I od razu: Pióro musi pisać. Dopaść Tońki. A może innej. Spytałem:

– Nie rozmyśliłaś się z tym baletem angielskim?

– A masz bilety?

– Mogę się postarać – powiedziałem ostrożnie. (Nie ujawniaj się, bilety mogą być pretekstem do spotkania.) – Chcesz?

– Chcę.

– Będziesz je miała.

Uśmiechnęliśmy się oboje. Spytała:

– To jak, jest szansa, że się odkochasz?

– Spróbuję.

To miał być cel tej wizyty. Uspokoić i przyzwyczaić do stosunków koleżeńskich. Chciałem powtórzyć, że będzie tak jak ona sobie życzy, kiedy ostry dzwonek telefonu zaalarmował

nas oboje. Czułem się jak wyrwany ze snu, ona chyba też. Na moje „hallo” odezwał się kobiecy głos – ale to nie była Tońka – dźwięk był niski, piersiowy, metaliczny.

– To ty, Jerzy?

– Ja.

– Tu Hadassa.

– Kto?

– Hadassa – nie pamiętasz? – dawniej Joanna. Twoja niedoszła synowa.

Umówiliśmy się z nią kiedyś, że jesteśmy na ty.

– Serwus, Joasiu, witam cię.

– Nie pocałujesz mnie na dzień dobry? – W tonie dźwięczało rozżalenie. Co się, u diabła, z nią dzieje?

Zadzwoniła w samą porę, zupełnie jakbym to wyreżyserował dla Ludki, która rzuciła obojętnym szeptem (ta obojętność jest trochę ostentacyjna, pomyślałem, zagrana):

– Kto to jest?

Zasłoniłem słuchawkę dłonią.

– Dziewczyna – powiedziałem. Odsłoniłem słuchawkę. – Oczywiście, całuję.

– I ja ciebie całuję – usłyszałem drgający głos Joasi. A potem chyba coś jakby płacz.

– Beczysz? – spytałem.

Ludwika uznała, że należy mnie zostawić samego.

– Wymyję filiżanki – zaofiarowała się.

– Dobrze, wymyj.

– Jest ktoś u ciebie? – spytała Joasia.

– Tak, mam niezwykle miłego gościa.

Ludka wychodząc z tacką podziękowała mi uśmiechem. Będzie nasłuchiwać z kuchni, domyśliłem się, czy też chciałem, żeby nasłuchiwała.

– Nie becz – odzywam się do słuchawki – opowiedz, co się stało.

– Rozstajemy się.

– Rzucił cię?

– On mówi, że nie, ale to na jedno wychodzi. Nie chce wyjeżdżać. Twierdzi, że to błędna decyzja. Że on czuje się Polakiem.

– Polacy też lubią wyjeżdżać. Osiem milionów Polaków mieszka w Ameryce.

– Myślisz, że mu tego nie wykrzyczałam? Kim u diabła jestem ja, w końcu? Przecież też jestem Polką!

– No to zostań z nim tu...

– Nie, Jerzy, ja muszę tam jechać, wiesz dobrze.

– Nic nie musisz.

– To nieodwołalne!... On wycofał swoje zrzeczenie się obywatelstwa.

Nie będzie tu miał łatwego życia, pomyślałem, mój syn, podwójny odstępca.

– Co ja mam robić? – spytałem.

– Nic. Ja dzwonię do ciebie dlatego, że jesteś taki fajny chłop.

Można się wypłakać na mojej piersi. Spytałem:

– Może zamienisz go na mnie?

Nie wiem, czy jej łzy już obeschły, ale się roześmiała.

– Warto się nad tym zastanowić – usłyszałem. – A wyjedziesz tam ze mną?

– To też warte jest zastanowienia. – Mnie jednak wcale nie było do śmiechu.

– Przepraszam za ten wybuch. Całuję cię, Jerzy.

– I ja ciebie. Musimy się spotkać. – Mówiłem to, oczywiście, dla Ludki.

– Koniecznie – usłyszałem. – Zadzwonię do ciebie.

Ludwika stała w drzwiach.

– Szybko ją załatwiłeś. – Wydawało mi się, że jest trochę zła. A więc dobrze, cel osiągnięty.

– Opowiedzieć ci o niej?

– Jeśli ci to sprawia przyjemność. – Dodała z nadmiernie obojętnym uśmiechem: – Za bardzo mnie to nie pasjonuje.

Opowiedziałem w kilku słowach o Joasi, o jej nawróceniu (czy może odstępstwie) na judaizm. Nie zrobiło to na niej spodziewanego wrażenia. Powiedziała:

– No to poderwij ją. Zamieni syna na ojca i zdaje się, że lepiej na tym wyjdzie.

Cała konstrukcja nagle się zawaliła: nie chciała objawiać zazdrości. Patrzyłem na nią psim wzrokiem, kiedy mówiłem (a nie powinienem był tego mówić):

– Luteńko, dla mnie istniejesz tylko ty.

Nie odpowiedziała. Dawne układy już nie wrócą. Ja mam się odkochać. Odezwała się:

– Aha, jest jeszcze jedna sprawa.

Wyjęła z portmonetki ponad dwa tysiące złotych i położyła na stole.

– Co to ma znaczyć? – spytałem ugodzony. (To koniec, pomyślałem, nie jest już twoją dziewczyną.)

– Reszta tych pieniędzy.

– One są twoje.

– Nie, to już nieaktualne.

– Te pieniądze jeszcze są twoje.

Widziałem, że się waha.

– Co miałaś kupić? – napierałem.

– Co? Kozaczki. Ocieplone, żebym nie marzła w nogi.

– To kup. – Powtórzyłem: – Proszę cię, kup. Ja nie chcę, żebyś marzła w nogi.

– Chodźmy – zdecydowała nagle i zgarnęła pieniądze.

Poderwałem się. Będziemy znowu chodzić razem po sklepach! Znowu będzie porozumiewawcza wymiana spojrzeń: ładne? kupić? warto? Znowu promienne uśmiechy wdzięczności, uściski koniuszków palców. To – i jeszcze w zapasie bilety, pomyślałem. Nie daj zerwać się nici. Przed wyjściem objąłem ją i zacząłem szukać ust, ona wykręcała głowę, mówiła „nie, nie, nie rób tego", ja szeptałem: „przecież mi się należy, prawda, tyle to mi się należy", i po chwili miałem już te jej usta, tak soczyste jak zawsze, i tak namiętne jak zawsze, całowałem ją, a ona mnie, do obłędu w oczach.

– Zostaw – poprosiła wreszcie.

Usłuchałem. Ona spojrzała do lustra:

– Jak ja teraz wyjdę na ulicę? Przecież oczy mam błędne. – Powiedziała stanowczo: – Nie rób tego więcej, umówiliśmy się, dobrze?

– Podporządkuję się – obiecałem, gotów z miejsca złamać obietnicę. Smakują ci moje pocałunki, nadal ich chcesz, tylko się ich boisz, boisz się mnie, siebie, całej tej szatańskiej sytuacji.

Znaleźliśmy potem w prywatnym sklepie wspaniałe, ocieplone kozaczki, w sam raz dla Ludki. Noga wyglądała w nich bardzo kształtnie, posągowo, spostrzegłem, że kupcowa, zadbana pani ze sztuczną siwizną, przyglądała się mojej dziewczynie zachwycona. „Ale drogie" – szepnęła mi w ucho Ludka. Musiałem dorzucić do tego, co miała, jeszcze kilkaset złotych, uczyniłem to oczywiście z satysfakcją, i Luteńka wyszła ze sklepu szczęśliwa.

– Dzięki tobie nie boję się już zimy – powiedziała. Popatrzyła na mnie z uśmiechem dodając śpiewnie:– Dziękuję... – I pocałowała mnie w policzek.

Nie było nokautującego ciosu. Leżałem już na deskach, ale nie dałem się wyliczyć. Uwiozła do domu nasze wspólne kozaczki. Będą jej o mnie przypominać. Wstałem z desek i chwiejąc się przyjąłem postawę obronną. Muszę walczyć dalej. Gong mnie uratował, alarm rozdzwonionego tramwaju. Minuta przerwy. Nie ma sekundanta który by mi podszeptywał rady, nikt mnie nie wachlował. Ale ktoś jednak szepnął w samo ucho: – Walcz. – Toś ty tak

szepnęła. Ty zadałaś cios, od którego chwiałem się zamroczony, i ty zachęcałaś do walki. Gong, następne starcie. Znowu muszę się bić.

Notatka do powieści: „A ile w tej rozpaczy dziko podrażnionej ambicji męskiej, do głębi zranionej miłości własnej? Jak to, więc nigdy nie wyrwie z niej krzyku rozkoszy? (Jestem do niczego, do niczego – i to nie w ogóle, ale właśnie w jej oczach!) Nie zapominać o tym odcieniu pisząc. On walczy nieustępliwie o zwycięstwo, bo walczy o zmianę swojego obrazu. (Podkreśliłem to zdanie.) Zwycięży – i będzie mógł odejść. Zaliczona!" Jeszcze nie dotarłem do końca tej notatki, a już byłem pewny, że prawda, którą zapisuję, jest prawdą cząstkową i że nie da się całego mojego uporu wtłoczyć w tak uproszczoną interpretację, mimo że do końca się z niej nie wycofuję. Zostawmy to jako odcień sprawy, dość dla niej charakterystyczny.

Miałem przy sobie zaproszenie Chocimskiego, kiedy szedłem do najznakomitszej restauracji w Warszawie, w której umówiłem się z Ludwiką na obiad. Kelnerka w barwnym, stylizowanym na ludowo stroju podała nam dwie karty dań, studiowaliśmy je dzieląc się uwagami, Luteńka podniecona wytwornością i cenami tego wszystkiego – podwójne życie, rozszerzona przestrzeń – no, kochanie, śmiało, weźmy po łososiu, z wódeczką – nie, nie lubię wódki – zamówimy bardinet – „strasznie drogie", szepnęła – powiedzmy, że to nasz obiad pożegnalny, zastosowałem stary chwyt – proszę pani, dwa napoleony bardinet – woda, tonik – co pani radzi na danie główne? – medalion, kotlet paryski, kotlet bazyliszek, de volaille, kurczę pod beszamelem, hetmański, a la Sobieski, roastbeef, schab po warszawsku, wileński – Ludka pokazała palcem, co sobie życzy („bazyliszek", bardzo mądrze – pochwaliłem) – dla mnie to samo – służę państwu – a co na deser? – zaczekamy – powiedziała Ludka, która miała dar szybkiego oswajania się z otoczeniem. Szepnęła do mnie po wyjściu kelnerki: – Pójdziemy potem do jakiejś miłej kawiarenki.

Jeszcze jedno miejsce, w którym pozostanie jej cień. Nie będę mógł się już nigdzie udać, żebym nie miał obok siebie zjawy. Wyjąłem zaproszenie na balet i położyłem na stole.

– Przez kilka godzin będziesz panią redaktorową Chocimską.

– Cudotwórca – pochwaliła.

Żebyś wiedziała, jakim kosztem!... Nic nie powiedziałem, przyniesiono łososia z cytryną i liściem sałaty, koniaki, wodę i tonik. Ludwika – w tej samej sukience koloru morskiej zieleni, którą zhańbiła z docentem Zeckim– Ludwika uroczo uśmiechnięta (prawie jak wtedy z nim) podniosła brzuchaty kieliszek:

– Zdrówko.

Ja zareagowałem na to jak zawsze: ona może mówić najbardziej zdawkowo, a ja i tak przyjmuję to jako przejaw autentycznej życzliwości, ciepło rozlewa się po moich żyłach od tego słowa i od koniaku. Po chwili refleksja: powiedziała „zdrówko" pogodnie, zadowolona, sądząc, że wszystko między nami jest już normalnie, a więc ja uspokojony, to znaczy ona tym „zdrówkiem" chce tę normalność i spokojność zasugerować, do tego dąży, wyleczyć chorego człowieka i można odetchnąć (pójść na spotkanie z Zeckim nie na złość, ale dlatego, że się podoba). Tylko że ja już wiem, że wcale nie chcę uspokojenia, chcę ciebie, będę walczył albo zginę – jak bohater zginę, jak komandos, jak kawalerzysta w szarży, za ojczyznę, za którą ja – do ostatniej kropli krwi...

– Weź się za łososia – radzę.

Wyciskam krople cytryny na różowy, delikatny, słono pachnący płat, ona smaruje dla nas obojga chrupkie, zarumienione bułeczki z makiem. Pycha, mniam-mniam. Rumieniec na jej policzkach (koniak).

– Herr Doktor... – odzywa się nagle.

Zamieniam się w słuch.

– Herr Doktor. – (Zaraz padnie cios. Chwieję się na linach.) – Jesteś dla mnie strasznie dobry.

Usiłuję przywrócić sprawie właściwe proporcje.

– Tu nie idzie o dobroć. Wiesz o tym dobrze.

– Szkoda. – Westchnęła. – Ale i dobroć też. Nie jesteś draniem, przekonałam się, chociaż umiesz być podstępny jak diabeł Rokita. Wiesz, dlaczego z miejsca cię nie przepędziłam?

– Bo jestem przystojny.

– Wygłupiasz się. Bo podobała mi się twoja osobowość.

Do diabła z moją osobowością – myślę.

– Nie – zaprzeczam. – Podobały ci się moje pocałunki.

Spochmurniała:

– Nie mówmy o tym.

– Wiem, dawne układy już nie wrócą.

– Właśnie. Więc po co o to zatrącać?

– I jeszcze mam się odkochać.

– Jak ci z tym idzie? – spytała. A jednak nie było to serio, była zbyt pewna swego.

– Staram się – odpowiedziałem. – Jestem teraz taki spokojny, że może mi się to nawet uda.

– Co będzie, kiedy się odkochasz?

Trzymałem widelec w ręku i zastanawiałem się nad tym, co będzie. Poczułem się nagle wyczerpany walką, mój przeciwnik przyparł mnie do lin i obijał mi korpus, zaraz uderzy, zaraz uderzy, nasłuchiwałem, czy nie rozlegnie się zbawczy gong. Co będzie wtedy? – usiłowałem iść za jej pytaniem. Będziemy mogli być przyjaciółmi, tego zapewne chciała, idealni przyjaciele, lubiący się, pieszczący nawet – mogła przypomnieć, że kiedyś, na samym początku, zapewniałem ją, że ma we mnie przyjaciela. Powinienem iść na odwyk, pomyślałem, z elektrowstrząsami. Bo to jest rodzaj alkoholizmu, uświadomiłem to sobie teraz, przy kieliszku bardinet, nie mogę bez niej istnieć, jak Konsul nie mógł istnieć bez butelki. Dlaczego tamten nieszczęśnik – zapijający swoje nieczyste sumienie, zapijający zdradę żony – dlaczego on budzi współczucie, dlaczego jest tragiczny, a ja, oszołomiony przez nią, dygoczący bez niej jak bez kropli alkoholu, zasługuję tylko na drwiny i potępienie? Dajcie mi łyk mojej dziewczyny!... Powiedziałem:

– Na razie się na to nie zanosi. Na razie jestem beznadziejnie złakniony.

– Co z tamtą dziewczyną? – spytała.– Poderwałeś ją?

Nie mogłem sobie przypomnieć, o jaką dziewczynę idzie. Ale to jej wystarczyło:

– Aha, więc nie poderwałeś. Mówię o dziewczynie twojego syna.

– Ach, tę... Chciałabyś, żebym się wokół niej zakrzątnął?

Odpowiedziała z miłym uśmiechem:

– Jeszcze tego nie przemyślałam.

Podczas gdy kelnerka nakładała nam na słoneczne talerze drugie danie, Ludwika rzucała mi porozumiewawcze spojrzenia: cudeńka, dobrze wybraliśmy, prawda? Uniosłem kieliszek:

– Za szczęście mojej dziewczyny.

Podała mi usta. Był to pocałunek oczywiście krótki, niezmysłowy, ale przecież przez chwilę mogłem smakować jej ust, ja, nieszczęsny alkoholik. Ludka zagadnęła spoglądając na mnie niepewnie:

– Herr Doktor, ty przecież wszystko wiesz. Powiedz: czy minister handlu wewnętrznego jest Żydem?

– Tego akurat nie mam obowiązku wiedzieć. A dlaczego pytasz?

– Bo w domu był o to zakład.

– Nie, nie jest Żydem.

– Mój szwagier twierdzi, że jest – powiedziała.

Nie, pomyślałem, nie wszystko mógłbym jej wybaczyć. Odezwałem się:

– Nie ma teraz we władzach ani jednego Żyda.

– Jesteś pewny?

– Tak, jestem pewny. To ty wygrałaś zakład?

– Nie, ja go tylko miałam rozstrzygnąć.

Zaryzykowałem twierdzenie:

– Twój szwagier nie lubi tego ministra?

– Herr Doktor jest jak zwykle piekielnie mądry.

Nie trzeba tu być mędrcem, pomyślałem. Wystarczy znać tę chorobę. Bo to choroba, myślałem zgnębiony. W jej domu też.

– Chorzy ludzie – mruknąłem.

Ona chyba przypomniała sobie, że ja mam żydowskie dzieci, bo dotknąwszy mojej dłoni powiedziała:

– Nie przejmuj się. Zawsze możesz sobie przypomnieć, że jest pewna dziewczyna z Woli, która myśli o tym inaczej.

– Tak, pamiętam.

Potem piliśmy. Ludkę koniak ożywił, wciąż chwytała mnie za dłoń, wydawało mi się, że zapomniała o ponurej tajemnicy, która powinna była nas dzielić, ale która – jak to już wspomniałem – tajemnym sposobem także nas łączyła. Przypomniała sobie coś:

– Pamiętasz, jak staliśmy na przystanku autobusowym koło tego lasu?

Pamiętam, że starałem się, by nie spostrzegła zdechłego psa na szosie. Więc go jednak spostrzegła? Ona mówiła jednak o czym innym:

– W budce na przystanku była brudna szyba i ktoś palcem wypisał w kurzu: Kocham Mirkę Monikę Iwonę. Wciąż to odczytywałam: kocha wszystkie trzy? Można kochać trzy naraz?

– To jakiś bardzo niezdecydowany młodzieniec.

– On chyba żadnej nie kocha, jak myślisz?

– Myślę, że jemu chyba chodziło o to, że on z tymi trzema dziewczynami sypia. Po prostu użył tego słowa w innym znaczeniu niż ty i ja.

– Ja wcale nie używam. Wiesz, co Idalka o tobie mówi? Że jesteś podrywacz.

– Świetnie, niech mówi.

– Jesteś czy nie?

– Ty wiesz najlepiej.

– Nie jesteś. Ale doświadczenie to ty masz.

– I do czego mi się ono przydaje?

– Ile miałeś miłości? – zaciekawiła się.

– Po co ci to wiedzieć?

– Ale ile?

(Nie, nie powiem.)

– To nieważne, Luteńko. Ta będzie ostatnia, mogę cię o tym zapewnić.

Ludka zamilkła. Ciężar tego, co ją spotyka. Trudna do zniesienia odpowiedzialność za czyjś los. Chyba ją jednak trochę obchodzę...

– Och, panie doktorze – powiedziała wreszcie – czy nie można trochę lżej?

– Postaram się. Ale to wszystko trochę spóźnione i może dlatego takie mocne... prawda?

Szepnęła:

– Wiem.

Musiałem przerwać jakoś milczenie, które między nami po tym zapadło, spojrzałem na kieliszki, na ich dnie wciąż jeszcze się barwiło trochę bardineta.

– Dopijmy do końca – zaproponowałem.

– Dopijmy – zgodziła się. Spojrzała na mnie tym mocnym spojrzeniem, pod którym załamywałem się. – Za twoją pogodę ducha.

Kiedyśmy wysączyli wszystko do ostatniej kropli, napomknąłem, że taki toast trzeba obcałować – rozejrzała się: przy każdym stoliku goście byli zajęci sobą i swoimi frykasami – i znowu alkoholik łyknął sobie jej ust i zamroczyło go.

– Księżniczko – modliłem się. – Jak się czujesz?

– Cudownie najedzona. – Pogładziła się po brzuchu. – Strasznie miłe uczucie.

Rzucę się na nią i zacałuję. Dotknęła mojej dłoni.

– Płać i uciekamy. Zaprowadzisz mnie gdzieś na deser.

Poszliśmy do kawiarni na Rynku Starego Miasta. Znalazłem stolik na antresoli za przegródką, byliśmy nią osłonięci od ludzi. Ludka zamówiła puchar mrożonych owoców i kawę, ja lody. W drugim kącie antresoli dwie stare kobiety pochłonięte były rozmową. Kiedy uważałem, że są bardzo zajęte sobą, całowałem swoją dziewczynę. Nie unikała moich pocałunków, koniak i wytworny obiad usposobił ją dla mnie życzliwie. (Zastawiam pułapki, splątuję sieci.) Potem ktoś jeszcze wszedł i trzeba było dać spokój. Raz jeszcze udało się zaczerpnąć jej ust, kiedy garderobiana wkroczyła z naszym numerkiem między palta. Gdy nadeszła, zwróciłem Ludce uwagę na pewien nowy odcień naszych stosunków:

– Znowu jestem jak uczniak, który pocałunki może tylko kraść.

Wyprowadziła mnie na ulicę pod rękę.

– Właśnie się zastanawiałam, kiedy się panu doktorowi taka rola sprzykrzy.

Zamiast odpowiedzieć, stwierdziłem:

– Ale ty wciąż lubisz moje pocałunki.

Zwlekała z odpowiedzią. Potem mruknęła:

– I co z tego?

Nie mogę odejść, pomyślałem. Jestem pijany, zamroczony, biedny nałogowiec. Żaden odwyk nie pomoże. Muszę ją mieć: łyk jej oczu, kropla jej postaci, haust jej głosu. Siąpił rzadki, zimny deszcz. Przydadzą jej się nasze kozaczki, pomyślałem. Doszliśmy do przystanku tramwajowego. Moja polska księżniczka – zamiast mieć adoratora z mercedesem – będzie wracać do domu z biletem miesięcznym w torebce.

– Czy spotykasz się z Zeckim? – spytałem.

– Och, zostaw, nie przypominaj mi go.

To nie jest odpowiedź, pomyślałem.

– A Łysy?

– Prowadzimy konwersację. Zresztą, co cię to obchodzi?

– Troszeczkę obchodzi.

– Nie masz innych zmartwień? Panie doktorze, dziękuję za wspaniały obiad.

– My pleasure.

– Strasznie jesteśmy wytworni. – Zaśmiała się.

– Nie, ja ci naprawdę dziękuję – powiedziałem z naciskiem. – Wiesz za co?

– Za co?

– Za to, że odzyskałem nadzieję, że kiedyś jeszcze będziesz moja.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nigdy. – Spojrzała na zbliżający się w mroku tramwaj, który dzwonił na alarm i szczękał żelastwem, i powtórzyła: – Nigdy.

W końcu zadała ten cios.

Podniosłem się z desek. Chwiejąc się dotarłem do rogu i wsparłem na linach. Nikt nie pomagał mi schodzić z ringu, nikt nie obcierał ręcznikiem spoconej twarzy. Mam tego dość, pomyślałem. Znowu byłem w najniższym punkcie huśtawki. W uszach szumiało od otrzymanych ciosów. Dość, dość tych zmagań. Trzeba było nie podnosić się z desek, niech porządkowi cię uprzątną, niech wrzucą do długiego rowu, gdzie jest miejsce tych, którzy nie podołali. Mój syn robił sobie w kuchni kolację, a ja pomyślałem: jeśli to najniższy punkt huśtawki, to jest nadzieja na popłynięcie w górę. Trzeba tylko dobrze się odbić, napiąć mięśnie nóg. Znowu zaczynasz? – warczał mój małoduszny sekundant. – Jesteś znokautowany, wreszcie jesteś, chciałeś tego, sprowokowałeś to, poszedłeś na wymianę ciosów, ty, z twoją miękką szczęką i wrażliwym żołądkiem. Mój syn wszedł do pokoju z tacką: jajecznica z topionym

serem, góra chleba z masłem. Łypnął ku mnie okiem: tato, zjesz? Podziękowałem. (Synu, jestem po łososiu, kotlecie „bazyliszek", koniaku – i ciosie w szczękę.) Szefie, wykłócam się z sekundantem, przegrałem, bo obrałem niewłaściwą taktykę, pan w ogóle mną się nie interesował, powiem panu, jak trzeba było się bić: dystans, lewy prosty i przejście do zwarcia, dystans i zwarcie na przemian. Znokautowany oszalał, chce walczyć dalej! Tak, chcę – odpowiadam – należy mi się rewanż.

– Dzwoniła Joasia – mówię do syna.

Miał pełne usta. Nie wydaje mi się, żeby się tym wszystkim zanadto przejmował. Spytał tylko: – Dzwoniła, po co?

Uderzyłem pięścią w stół. – Łobuzie, jeszcze pytasz?! Rzucasz dziewczynę i jeszcze się dziwisz, że tonie we łzach?

– Więc ty wolisz, żebym ja wyemigrował? – zdziwił się Zbyszek.

Ja sam się zdziwiłem takim postawieniem sprawy.

– To nie jest ważne, co ja wolę. Idzie o twoje życie, nie o moje. Mnie, jako ojca, może satysfakcjonować, że tobie będzie tam dobrze. (Nie jesteś teraz wcale ojcem; jesteś... nie umiałem tego nazwać. Niewolnikiem pewnej smukłej mężatki, cudzej żony.) – Mówiłem dalej: – Nie próbuj mnie przekonać, że zostajesz dla mnie.

– Nie, nie robię tego dla ciebie.

– Spytał: – Jest w domu kakao?

– Jest czekolada. Siedź, zrobię ci.

Mieliśmy czekoladę do picia, bo Sara przysłała nam puszkę Nestle'a. Wyszedłem do kuchni, żeby przygotować dla Zbyszka szklankę czekolady. Powiedziała „nigdy", ale może to właśnie cię podnieca do walki? Churchill kiedyś zauważył (są tacy, co mówią, że posłużył się Konfucjuszem), że słowo „nigdy" powinno zniknąć z leksykonu – szło mu, oczywiście, o meandry polityki, ale w naszym prywatnym życiu czyż nie może być tak samo? Pisałaś: NIE PRZYCHODŹ, NIE DZWOŃ, a potem mnie odwiedziłaś... Należy mi się rewanż, pomyślałem raz jeszcze. Należy mi się twój krzyk. Zbyszek wszedł do kuchni, nie tyle, żeby mi pomóc, ile po to, żeby powiedzieć:

– Tato, zrozum, ona się może bawić w emigrantkę, w judaizm, we wszystko, co jej się podoba, bo ona nie jest Żydówką. Jej nikt nie powie, że się „określiła" – nikt od niej tego nie wymaga. – Ten wywód tylko pozornie był paradoksalny. – Ona może się zawsze rozmyślić i wrócić tutaj, i będzie taka jak przedtem. Mój wyjazd byłby wyborem ostatecznym. A ja od pewnego czasu inaczej to odczuwam.

– Od jakiego czasu? – spytałem. Pociągnął łyk gorącej czekolady i oparzył sobie trochę język. Pomyślałem, że nie wygląda na to, by miotał się w rozterce. – Czy to związane jest z inną dziewczyną? – pytałem dalej.

Tym razem raczył udzielić odpowiedzi:

– No, jakby... Ale trudno powiedzieć, co było wpierw. Raczej decyzja, żeby nie wyjeżdżać.

Nie, oni nie umieją kochać – pomyślałem. Zawsze mają coś w rezerwie, jakieś „masses de maneuvre", prawdziwi sztabowcy, absolwenci Saint-Cyr i West Point, ucz się od nich. Miałem w palcach kenta, potem włożyłem go z powrotem do pudełka: jak ona nie, to i ja nie. Rewanż – zamarzyłem.

– Cieszę się, że to u ciebie odbywa się tak bezboleśnie – odezwałem się. – Ona to przeżyła chyba mocniej.

– Och, tato!...

Co ten okrzyk miał znaczyć? Chyba jakieś: zdaje ci się. Tak, on przecież musi wiedzieć. Zamieszkała z nim w wymyślonej idyllicznej krainie, w której on miał odegrać rolę Filona (i to aleksandryjskiego – dodałem sarkastycznie), wędrowała z nim po zielonych łąkach, na których aktorzy przebrani za pasterzy przygrywali na fletach. Nie miłość ją rozpalała, opętańcza,

zmysłowa, tylko maniakalna idea, dla której realizacji ich uczucie miało tylko rolę służebną. Zresztą, była kilka lat starsza od niego i może nadeszła chwila, że odczuła w sobie kobiecą dojrzałość (mimo pozornego infantylizmu swojej obsesji), dojrzałość, która czyniła ich związek czymś niespójnym. Rozleciało się to bez bólu, pomyślałem, bynajmniej im tej bezbolesności nie zazdroszcząc. Nikt nie leżał na deskach, nikt nie marzył o rewanżu.

Nie wiem, dlaczego w końcu się z nią umówiłem. Co chciałem przez to osiągnąć? Chyba myślałem o zemście – gazelo ślicznooka, gazelo w paszczęce lwa, mnie też wolno, Ja też spragniony jestem krwi i mięsa – nie myśl, że nie ma już dziewcząt poza tobą, nie myśl, że już żadna nie zechce się we mnie wtulić. Przed tą randką z Joanną spotkałem się z Ludwiką jeszcze dwa czy trzy razy – u niej w biurze, w kawiarni, raz odprowadziłem ją do kina, na które była umówiona z mężem. Śpieszyliśmy w zimnym deszczu, by zdążyć na czas, ona podenerwowana, że może się spóźnić, on nawrzeszczy – po co mi to, powiedz? – czułem, że obarcza mnie winą z powodu paskudnej pogody, wczoraj ukradli jej rękawiczki – to ja ją okradłem (i ja jej te rękawiczki odkupiłem) – nie kupuj mi prezentów, mówiłam ci już, mnie to wszystko kompromituje, Idalka odzywa się samymi aluzjami, jeszcze dwukrotnie usłyszałem w deszczu: dawne układy już nie wrócą. Nawet jej nie pocałowałem, musiałem mieć zresztą zziębnięte i mokre od deszczu wargi. Znajdowałem się nadal w najniższym punkcie huśtawki.

– To ładnie, że o mnie pamiętasz – mówiła Joanna sącząc koniak. Siedzieliśmy w tej samej kawiarni na Rynku Starego Miasta, za przegródką, z której kiedyś skorzystałem jako z osłony podczas całowania Ludki, przyglądałem się ustom dziewczyny, miała obfite, prawie murzyńskie wargi, i pomyślałem sobie, że może to miałoby sens je całować właśnie tutaj. Sprofanować tamto wszystko. Zemsta, zemsta! – Słuchasz mnie, Jerzy? Przestań na chwilę rozmyślać nad naszą sytuacją ekonomiczną, jesteś z dziewczyną, która bardzo się chciała z tobą spotkać. Strasznie tego chciałam – podkreśliła to i dodała: – Dlatego nie szarp się, ja stawiam, zresztą i tak muszę wydać moje złotówki przed wyjazdem, a mam ich aż za dużo. – Zemsta, zemsta, myślałem, wezmę sobie dziś tę dziewczynę, zerżnę, pokażę ci, że nie jestem robakiem. – Zawsze mnie zaniedbywałeś – mówiła Joasia takim tonem, jakbym miał wobec niej jakieś obowiązki. – Dlaczego byłeś taki daleki, Jurku, co?

– Chyba taki dystans można uznać za naturalny – tłumaczyłem. – Byłaś narzeczoną mojego syna.

– Żadną narzeczoną, wypraszam sobie. Nie planowaliśmy jakichś trwałych związków, mowy o tym nie było. Owszem, zamierzaliśmy wyjechać we dwoje, i to wszystko. Nie wierzysz?

Uśmiechnęła się, błysnęły ciemne tęczówki (pomyślałem: dostosowała swoją obsesję do semickiej aparycji), spoza obfitych warg zalśniły białe równe zęby, jej policzki zarumieniły się. Czarująca dziewczyna, pomyślałem, tylko teraz trochę to jej wszystko inaczej się rysuje niż przedtem (czyż nie mówiła o sobie: „twoja niedoszła synowa”?).

– Wysłuchasz mnie? – spytała.

– Od tego jestem.

Usłyszałem dość dla mnie zaskakującą opowieść o dziewczynie, która sporo już przeżyła, ma za sobą kilka burzliwych narzeczeństw, nieudane małżeństwo, przykry rozwód, dwie skrobanki – i wszystkiego dosyć. Nie chcę wychodzić za mąż, zarzekała się. Nie chcę już więcej żyć pod presją czyichś zachceń, czyichś fobii, lęków, nawyków, egoizmu. Wiesz, co mi się nie podobało u mojego męża? Głos. Skrzeczał. Ilekroć zaczynał głośno mówić, irytowało mnie nie tylko to, co mówił, ale i jak. I myślałam sobie: jak ja mogłam wyjść za tego durnia o tak nieprzyjemnym, głupkowatym głosie? Jest jeszcze to cholerne łóżko: a więc mówię ci, że chcę kłaść się do niego tylko na własne życzenie, a nie dla wykonania obowiązków małżeńskich. Uśmiechnęła się do mnie znowu i poczułem, że mnie uwodzi – tak, sygna-

lizuje mi, że jej się w jakiś sposób (diabli wiedzą, dlaczego) podobam. Co więcej, poczułem, że ulegam jej czarowi.

– Wiesz, skrzeczący głos może mieć wspaniały człowiek, Joasiu.

– No, oczywiście wiem, że to idiotyczne, ale wszystko staje się zmorą, kiedy nie lubisz człowieka, a jesteś na niego skazana.

– A poza tym, Joasiu...

– Czy możesz mnie nazywać Hadassą?

– Jeśli wolisz... Rozumiem, co czujesz po tych wszystkich rozczarowaniach, ale jest w tych twoich odczuciach pewna luka. Mówię ci to jako ktoś, kto bywał mężczyzną. Kładzenie się do łóżka dla wykonania obowiązków małżeńskich może mieć swoją pikanterię, wyraża się w tym również i czułość dla partnera. Wiedzą o tym dobrze kobiety, które mają satysfakcję w sprawianiu ulgi swojemu mężczyźnie, nawet kiedy same są niedysponowane. Tak samo i my. Mogę ci coś wyznać. Otóż bardzo lubiłem, kiedy żona, po zgaszeniu światła, dobierała się do mnie. – Mówiłem to prowadząc swoją grę porno, wiedziałem, że mogę ją swoją opowieścią podniecić. – Mnie roztkliwiało, ze ona, taka dziewicza – bo w jakiś sposób na zawsze pozostała dziewicza, niewinna – korzysta śmiało ze swoich uprawnień. Wstrzymywałem oddech, leżałem nieruchomo, poddawałem się pieszczotom, podniecony tym, że służę, że jestem potrzebny. Człowiek diabelnie chce czuć się potrzebnym – bez tego poczucia, że ta druga osoba cię potrzebuje, właściwie nie może być usatysfakcjonowania. Błogosławiony spokój i czułość małżeńskiego łoża... – mówiłem myśląc o mojej dziewczynie. (Wzbierała we mnie zazdrość, ale Hadassa nie miała prawa się tego domyślić.) – Nie trzeba się ukrywać – tłumaczyłem, niby jej, ale właściwie Ludce – nie tyka zegarek. Służymy sobie, wyładowujemy się, nasze ciała pustoszeją, następuje mocny uspokajający sen.

Hadassa wydała mi się zgnębiona.

– Te twoje bogate doświadczenia – powiedziała – ach, Boże, przecież to przerażające. Czy nie możesz być trochę mniej doświadczony?

Cóż tu znaczy doświadczenie? – myślę. Zwraca się ono przeciw doświadczonemu! Tęsknisz, pragniesz, wyrywasz się ku czemuś, o czym z góry wiesz, że tego nigdy nie osiągniesz.

– Słuchaj, Hadasso – mówię – cały sukces zależy tu od stopnia czułości, jaką ludzie dla siebie żywią. (Dlaczego to mówię? Po co? Bo głodny jestem czułości. Bo kiedy doznałem z Ludwiką rozkoszy, nie ucałowała mnie, nie przypieczętowała mojego przeżycia tkliwym uściskiem ramion, lecz odepchnęła mnie z gniewem. Zemsta, zemsta!...)

Hadassa przypatrywała mi się uważnie – te jej piękne, kuszące oczy – po chwili odezwała się niskim piersiowym głosem:

– Zazdrosna jestem.

Dreszcz mnie przeszedł od tych słów, prąd rozkoszy.

– O co? – spytałem.

– O to wszystko, co powiedziałeś. Wiem, że wypełnia cię inna, i domyślam się, jak bardzo. Milczałem. Co robić? Hadassa pieściła moją dłoń. Jak tamta. Zakocham się w niej, pomyślałem. W toń, w jasnomroczną toń miłości. Rzucę jej do stóp uczucie, które Ludwika odrzuciła. Do zapamiętania, do samounicestwienia, utonąć, utonąć, pójść na dno oddania, zależności. Księżniczko moja, powiem, cudzie mój, moje wszystko, nie ma drugiej takiej w promieniu stu kilometrów, pani moja cudna, weź moje głodne serce, weź mnie do siebie na służbę. Przyglądałem się jej: była piękna, ponętna, prawdziwa księżniczka izraelska, pod bluzką rysowały się piersi prężne (trochę obfitsze niż u Ludki), lilije kwitnące, sarny skaczące, rysy miała harmonijne, które nigdy nie grubiały, żadnych szram, policzki lekko zarumienione, jej twarz nigdy nie brzydła, równe zęby połyskiwały w uwodzicielskim uśmiechu, szajbnięta, bez tej Ludwisinej powściągliwości, zakochaj się w niej, powiedz jej to wszystko, no, śmiało – ale nie potrafiłem wymówić ani jednego z tych zdań, które dla Ludki rozkwitały we mnie w sposób tak naturalny.

– Hadasso – powiedziałem – jesteś bardzo piękna...

– Dziękuję, ale to jest unik. Czy zostało w tobie jeszcze trochę miejsca dla mnie?

Położyłem dłoń na jej ramieniu, pod moimi palcami drgnął mięsień, domyśliłem się gładkiej skóry i poczułem natychmiast przypływ ostrej żądzy. W porządku, pomyślałem, działa na ciebie, nie boisz się, weź ją i zerżnij.

– Znajdzie się – odpowiedziałem z uśmiechem.

Chciałem z nią teraz pójść do łóżka i chciałem jeszcze, żeby Ludwika się o tym jakoś dowiedziała.

Poszliśmy do niej. Odnajmowała pokój, jak mi powiedziała, w mieszkaniu pewnej emerytki, która wyprowadziła się do córki. Coś dla mnie, pomyślałem znalazłszy się w wąskim, ciemnym korytarzu, oddzielonym przepierzeniem od salonu gospodyni. Całowaliśmy się stojąc w mroku, jeszcze ubrani, Hadassa z przymkniętymi oczyma, miała słodkie mięsiste wargi, usta Luteńki, trochę jeszcze pełniejsze, całowała tak samo namiętnie, ja tuliłem ją do siebie sunąc dłońmi od pleców po biodra, a kiedy objąłem jej pośladki, usłyszałem szept: jakie ty masz dobre ręce, erekcję miałem potężną, tremendous, chociaż przyciskając Hadassę do siebie cały czas myślałem: muszę mieć jakieś mieszkanie, bez kwatery nie mogę marzyć o rewanżu.

– Chyba się w tobie zakocham – powiedziała Hadassa z uśmiechem.

– A nie kochasz się jeszcze?

– Myślę, że nie. Ale jestem na najlepszej drodze. A może i ja? – pomyślałem. To nie było niemożliwe. Podczas gdy ona, zostawiwszy mnie na chwilę, krzątała się, żeby przygotować jakiś poczęstunek, ja uświadomiłem sobie, że odczuwam narastanie dla niej sentymentu. Wzruszały mnie jej słowa, urzekał uśmiech, jej czułość dla mnie, patrzyłem z przyjemnością na to, jak się poruszała. Jej biodra przyciągały mój zgłodniały wzrok. Zapomnę o tamtej, po co mi zemsta, lepiej zapomnieć, zatracić się w tej nowej namiętności. Przyniosła oszronioną butelkę wódki i kanapki z zimną wołowiną. (Szynki sobie zabroniła.)

– Pewno jesteś głodny? – domyśliła się.

– Chyba tak. – Zająłem się rozlewaniem wódki.

– Trzaśniemy sobie? – Uniosła swój kieliszek.

– Nie upijesz się? – spytałem.

– Upiję się. – Zaraz powie „zdrówko", pomyślałem. Powiedziała: – Lechaim.

– Lechaim – powtórzyłem za nią. To znaczy to samo, uprzytomniłem sobie, tylko po hebrajsku.

Zjedliśmy po kanapce, potem znowu wróciliśmy do wódki.

– Chcesz się upić? – spytałem.

– Chcę.

– Dlaczego?

– Żeby przestać być zazdrosną.

Objąłem ją, w głowie mi się kręciło.

– Kochanie – szepnąłem. – Hadasieńko piękna. Nie musisz już być zazdrosna.

– Dlaczego mnie nie całujesz?

Całowałem ją więc, całowałem Ludkę-Hadassę, ale wciąż jej nie rozbierałem. Spojrzałem na nią, na jej czarne przymglone oczy, i pomyślałem: w głowie mi zaprószy, zakocham się – no, może nie tak, troszeczkę tylko, ale kiedy już ją pokocham, będę jej wierny, będę nią pochłonięty, odsunę tamto. Powiedziałem zwalniając ją z objęć:

– Posłuchaj, trochę to się źle układa.

– Dlaczego, na litość boską? – spytała zdumiona.

– Bo jesteś czarująca. I ja czuję, że grzęznę.

– Ależ to znakomicie.

Posadziłem ją na krześle, ukląkłem obok. Spoglądając jej w twarz mówiłem:

– Nie, kochanie, to nie byłoby znakomicie. – Nie umiałem jej tego wytłumaczyć, bo sam bardziej to wszystko czułem, niż rozumiałem. Poza tym nie chciałem zbyt daleko pójść w swoich zwierzeniach. – Nie wiem, czy domyślasz się, że ja trochę cierpię (kiwnęła głową), nawet bardzo cierpię, a przy tobie przestaję. Nie wolno mi przestać cierpieć, Hadasso, nie wolno, nie wolno – powtarzałem. Ona milczała, ale spostrzegłem, że oczy jej wezbrały łzami. Więc dodałem: – Przy tobie byłbym szczęśliwy. To groźne, rozumiesz?

– Nalej mi wódki – powiedziała.

Podałem jej pełny kieliszek, sobie nalałem tylko trochę. Nie chciałem popełnić po pijanemu czegoś, czego bym potem żałował.

– Miałam rację, że byłam zazdrosna – powiedziała. – Cholera! Cho-le-ra! – powtórzyła rozciągając zgłoski. – Czemu się we mnie nikt tak nie zakocha? Ja mam takie pieskie szczęście... („Ja jestem pechowa" – usłyszałem.) Jerzy!

– Słucham cię.

– Lechaim!

– Zdrówko. (Mówiłeś coś?) – Dodałem: – Oczy mam kwadratowe.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. Tak sobie trzaskam dziobem.

Wypiłem. Jeszcze przez chwilę walczyłem z pokusą – dziewczyna, tapczan, wejdziesz w nią, rozładujesz się zemścisz się, ma cudowne usta, dojrzałe ciało boginki; przytulisz do siebie to ciało – ma usta Ludki – nie, nikt nie ma ust Luteńki – weź ją sobie, przecież jesteś wyposzczony, weź, pióro musi pisać.

– Wyrzuć mnie – poprosiłem.

– Dlaczego? Siedź.

– Nie, to niełatwe z tobą. – Mówiłem o tym tak otwarcie po to, żeby jej jakoś to wszystko osłodzić. – Pomyślałem sobie, Hadasieńko, że lepiej nie zaczynać sprawy. – Pocałowałem ją w dłonie, potem w powieki. – To by się nie mogło skończyć na łóżku.

Zamiast mnie trzasnąć w pysk, przytuliła policzek do mojego policzka.

– Och, jaki ty jesteś... – Nie znalazła właściwego określenia, urwała zdanie. – Jerzy, nie kłopocz się, ja jeszcze nie jestem w tobie zakochana. Ale jak trochę posiedzisz, to się zadurzę. Chyba każę ci iść.

Wstaliśmy oboje.

– Nie pij więcej – poprosiłem.

– Dobrze, nie będę.

Całowałem ją potem jeszcze długo, stojąc u drzwi, nasze roznamiętnienie rosło, wszystko mogło się źle skończyć („fatalnie"), Hadassa pierwsza to przerwała. Powiedziała ze znużonym uśmiechem:

– Nie uważasz, że należy nam się medal?

– Tak – przyznałem – oboje jesteśmy bohaterami. Szczególnie ja.

– No pewnie. Ja po prostu jestem szajbnięta – ale ty!...

– Ja też. („Wariat", „szaleniec".) Kiedy wyjeżdżasz? – spytałem.

– Za dwa tygodnie.

Za drzwiami salonu skuczał pies. Z klatki schodowej przenikał gryzący zapach jakiegoś tworzywa chemicznego. Spytałem rzeczowo:

– Co robisz z pokojem?

– Zwracam go właścicielce. – Powiedziała z domyślnym uśmiechem: – Chciałbyś go przejąć?

– Rozglądam się za czymś.

– Dobrze, polecę cię tej pani. Widzisz, jaka jestem?

– Widzę. Byłbym z tobą szczęśliwy. Ech, Hadassa...

– Co, mój Jerzy?

Czekała na coś, dostrzegłem to oczekiwanie w jej ciemnych, urzekających oczach. Uciekaj, niebezpieczeństwo! Pochyliłem się i ucałowałem jej dłonie, palce miała wysmukłe, choć nie tak jak Ludka, i wyszedłem z uczuciem, że uniosłem głowę ze straszliwego pożaru. Uratowałem nie tylko siebie, ale i pół mojego miasta. Świat dokoła był taki sam jak przedtem. A o mało nie był spłonął.

Moje miasto stało nie zagrożone, kiedy umawiałem się na wieczór z Tońką. Rano załatwiałem dla Ludwiki normalną porcję sprawunków. Dziś cię zdradzę, obiecywałem sobie stojąc w kolejce po mleko w folii i sery. Potem pobiegłem do innego sklepu po bułkę paryską, do warzywniczego po jabłuszka. Zdradzę cię. Oddałem rajstopy do załapania oczek. (Ta tęga pani od rajstop już mnie zna, wypisując kwit pyta z czarującym, wieloznacznym uśmiechem: „Pani Stablińska, tak?" Nie wiem, jak mam to przyjmować, chyba dobrze; jedyna bądź co bądź osoba, która mnie łączy z nazwiskiem Ludki.) Obleciałem wszystkie sklepy kosmetyczne śródmieścia w poszukiwaniu lakieru do paznokci nr 209 i szminki nr 58. Nie ma. Psiakrew, klęska, przez jakiś głupi lakier. Zadzwoniłem z Poczty Głównej do Berlina. „Kurt – wołałem – ratuj." „Co się stało?" „Potrzebna mi polska szminka i lakier do paznokci, u was to jest." Podaję numery. „Zanotowałeś?" „Zrobione. Jutro przylecą samolotem." Gemacht, fertig. Alle Räder rollen für den Sieg. Niemcy zaprzęgnięci do moich szaleństw latają po Unter den Linden szukając polskiej szminki i lakieru do paznokci dla dziewczyny znad Wisły – dla polskiej księżniczki. Es gibt alles hier, Gnädige Frau, wünschen Sie etwas noch mehr? Stanąłem zwycięski przed Luteńką. Wygrałem wojnę, Nysa sforsowana, zatknąłem zwycięski sztandar z biało-czerwoną szminką na ruinach Reichstagu. „Załatwiłeś?" „Prawie wszystko." (Ale cię dziś zdradzę. Spędzę noc z dziewczyną.) Oddałem kwit na rajstopy, wyładowałem żywność. Ludka podlicza. „Jabłuszka ode mnie" – przypominam. „Okej, twoje." Otwiera portfelik, w którym wszystko ma tak równiutko ułożone, zwraca mi wydatki. „A szminka i lakier?" – zapytuje unosząc brew. „Przylecą jutro z Berlina." „Kpisz?" „Nie, naprawdę. Zadzwoniłem do znajomego ekonomisty i zakląłem go w imię odwiecznej przyjaźni naszych dwóch narodów." Ludwika spogląda na mnie jakimś nowym spojrzeniem. Pyta cicho: „Czy ty jesteś nieuleczalny?" „Tak mi się zdaje." Ale cię dziś zdradzę. Zdrada czyha przed twoim biurkiem. Uśmiech, którym mnie obdarzyła, miał być podziękowaniem za moje starania:

– Słuchaj, możemy po pracy pójść na tort. Co ty na to?

Myślała pewno, że podskoczę z radości. Ale ja rozłożyłem ręce: nie mam czasu, jestem umówiony.

– Z kim? – spytała. Uczyniła to pewno odruchowo, wcale jej nie ciekawiło, z kim mogłem się umówić.

– Z pewnym młodym brodaczem – powiedziałem. To, że ją oszukiwałem, sprawiło mi satysfakcję. Coś w rodzaju rewanżu, nareszcie. – Opowiadałem ci o nim. Taki majster-klepka.

Przypomniała sobie: rzeczywiście, opowiadałeś. Nietrudno cię oszukiwać, pomyślałem, nie podejrzewasz, że mogę to uczynić. Im bardziej odczuwasz moje opętanie, tym łatwiej cię mogę oszukać. Powiedz jedno słowo, błagałem ją w myśli, powiedz: szkoda, że nie masz czasu, stęskniłam się, powiedz: jesteś mi potrzebny – a wszystko odwołam. Nie powiedziała nic, a ja pomyślałem raz jeszcze: zdradzę cię z Tońką. Chciałem, żeby umiała to odczytać w moich myślach, chciałem, żeby wiedziała, że nie jestem od niej tak strasznie uzależniony, wianuszek dziewcząt czeka u moich drzwi, już się zwiedziały, że jest wolny mężczyzna, spragniony, gorejący, domyśl się tego, Luteńko, domyśl. Ale Ludwika nie mogła się tego domyślić, bo jej na mnie nie zależało. Tylko miłość lub nienawiść, gniew lub sentyment pobudzają wyobraźnię na tyle, że staje się przenikliwa – czasem chorobliwie nawet – w odgadywaniu tego, co dzieje się z partnerem. Widziałem obojętność maskowaną przez takt i współczucie. Za moje starania dostałem całusa („daj buzi") i obietnicę, że jutro może uda jej się wygospodarować trochę czasu na kawiarnię. (A ja już będę po zdradzie.) Tońka, kiedy spotkaliśmy się

przed drzwiami chaty, miała ze sobą dużą papierową torbę z nadrukiem. – Co to jest? – spytałem. – Cadeau – odpowiedziała. – Prezent od ciebie.

Nie pozwoliła mi się dotknąć, zanim nie przymierzyła. Był to ciemnośliwkowy wór, przewiązany paskiem, szmata z półkolistym dekoltem, właściwie otworem na szyję ściągniętym gumką.

– Co powiesz? – spytała.

Kiwnąłem głową. Owszem, fajne. Psiakość, zakląłem w duchu, wygląda prześlicznie. Zobaczyłem w tym od razu Ludwikę, tak, to jest coś w sam raz dla Luteńki, jej oczy w blasku bijącym od tej sukienki, muszę to dla niej zdobyć, koniecznie.

– Stałaś w kolejce? – spytałem ostrożnie.

– Ja – w kolejce? Jeszcze czego. Jest tego zatrzęsienie i nikt nie chce kupować – zbyt proste. Musisz przyznać, że mam oko.

– Przyznaję.

Przytuliła się do mnie. Wyczułem pod płótnem sukienki nagie, rozgrzane ciało, wodziłem po jego wzniesieniach pożądliwymi dłońmi.

– Kochanie – szeptała muskając wargami moje policzki – Jurasku miły... widzisz, jaka jestem zapobiegliwa? Kupiłam sobie tani prezent.

To dobrze, że tani, pomyślałem i pochwaliłem:

– Wyglądasz w nim ślicznie. (Coś w sam raz dla Luteńki.)

– Pieniążki! – zawołała.

Dałem jej tych kilkaset zetełpe, a ona, nie wypuszczając pomiętych banknotów z dłoni, pociągnęła mnie na tapczan. Gimnastyka wieczorna, pomyślałem zimno, moje miasto od tego nie spłonie, wsłuchiwałem się z satysfakcją w gorący oddech Tońki, wzbierający raz po raz spazmami rozkoszy, podczas gdy w dłoni wciąż ściskała otrzymane ode mnie pieniądze. Dopiero kiedy podnieśliśmy się z tapczanu, schowała je, przepocone, do torebki. Zrobiliśmy sobie kolację z wódką, a po kolacji Tońka zrzuciła z siebie tę szmatę i spędziliśmy we dwoje noc. Staczałem się w głąb ciemności, na samo dno zdrady i splugawienia. Tońka ściskała mi głowę szepcząc: „Jurasku, Jurasku kochany, miły... jak ty ślicznie tęskniłeś... zamordujesz mnie...” Mordowałem ją mściwie, zdradzałem moją dziewczynę za te „układy, które już nie wrócą”, za uwodzicielskie uśmiechy, którymi obdarzała Zeckiego, za klęski, których przy niej doznałem (i ona przy mnie), za jej przyśpieszony oddech w małżeńskiej sypialni, za cały ten obszar doznań i spraw, do których mnie nie dopuszczała, zdradzałem ją z całą pewnością, bo cały czas byłem z tą inną kobietą, ani przez chwilę nie starałem się wyobrazić sobie, że jestem z nią, że mam w objęciach moją dziewczynę – przeciwnie, chciałem sobie uzmysłowić, że to nie ona, że to obca dziewczyna, inne ciało i też ponętne, inne biodra, gorące, zachłanne, czyjeś sprężyste nogi, czyjeś pracowite pośladki. Na którym to może być piętrze, ta sukienka? – myślę. Jestem sprawny, wytrwały, ale chłodny – bez jęków rozkoszy, bez szaleństwa – jutro masz kupić jej tę sukienkę, sukienka ją zachwyci, poczuje wdzięczność, oddaj teraz tę wdzięczność Tońce, Tońka cię ratuje, pióro musi pisać, męski męstwo mężnie mężczyzna, daj jej to jeszcze raz, tak wdzięcznie skowyczy, zachłystuje się spazmem, traci oddech – „zamordujesz mnie” – nie, szepczę, nie, od tego jeszcze żadna dziwka nie umarła. „Ale ja umrę.” Leży przytulona do mnie, jej oddech muska owłosienie mojej piersi, łan pszeniczny pod delikatnym powiewem wiatru. Zasnęła w moich objęciach.

Rano poprosiłem Tońkę, żeby jeszcze raz założyła ten wór. Zrobiła to rozpromieniona. Przyglądałem jej się z uwagą: Ludwice będzie w czymś takim lepiej, Tońka jest trochę pękata w biodrach i raczej niska. Ona musi to mieć, myślę z uporem, to jest coś akurat dla niej, ona zgasi w tym Tońkę jak zapałkę.

Czekałem na Ludkę, tak jak było umówione, przed gmachem ministerstwa. Byłem po

zdradzie, ale w ogóle o tym ,nie pamiętałem, ani o swojej zemście, ani że nie jestem już od niej uzależniony, pamiętałem tylko o tym, że w tej sukience powinno jej być ślicznie. Z miejsca zawołałem:

– Cześć, pędzimy do „Juniora"!

– Przepraszam, miał być tort.

– Potem. Jest coś, co musisz przymierzyć!

– Nie, żadnych prezentów. Skończone!

– Chwileczkę, panienko. Zbliża się Gwiazdka i ja coś dla ciebie upatrzyłem. Jak by to wyglądało, żebym ci nic nie dał na Gwiazdkę? Co by sąsiedzi na to powiedzieli?

A pan dozorca?!

– Co to jest? – spytała podejrzliwie.

– Coś niedrogiego. Pędzimy.

Wcisnęliśmy się do zatłoczonego autobusu. Staliśmy blisko siebie, rzucało nami na zakrętach, Ludwika trzymała się mojego ramienia. – Jak twój brodacz? – spytała. – Jaki brodacz? – Ten, z którym miałeś spotkanie. – To nie był brodacz, tylko bardzo fajna dziewczyna. – Ach, to tak, ładne rzeczy – kpiła. Nie wierzysz, pomyślałem, a ja cię przecież zdradziłem. Popatrz na mnie: jestem opustoszały, po ciężko przepracowanej nocy.

Nic nie zauważyła.

Wbiegliśmy na piętro, gdzie za barierką, ciasno stłoczone, wisiały na ramiączkach sukienki Tońki. Setki tego było i nikt nie kupował. Boże, czym się nie wygłupił? – Która to? – spytała Ludka. Pokazałem palcem. Spojrzała na mnie speszona. – Przecież to szmata – szepnęła. – Może. Ale przymierz.

Przeszliśmy za barierkę. Młoda sprzedawczyni zdjęła z ramiączka sukienkę, Ludka zniknęła z nią w przymierzami. A ja przeżywałem lęki. Czyżbym się pomylił? Zaraz mnie zbeszta i wydrwi. Szmata – fuknie – szmata dla księżniczki! Uchyliły się drzwi przymierzalni, stała w nich piękna dziewczyna w ciemnośliwkowej powłóczystej szacie, dziewczyna olśniona sobą. Zbliżyłem się – Ludka zerknęła do lustra wewnątrz przymierzalni, widziałem zdziwienie w jej oczach, potem spojrzała na mnie, znowu do lustra, znowu na mnie (czy widzisz, co się ze mną dzieje? – pytały jej oczy), nie wierząc sobie, znowu popatrzyła do lustra, oczy zabłysły, twarz rozjaśniła się uśmiechem, ten uśmiech był już zwrócony do mnie, uśmiech dla mnie, poczułem przypływ szczęścia, wzbierające sztywnienie w kroczu, powiedziałem z triumfem:

„No i co?" Jej śpiew: „Chyba miałeś rację." Sprzedawczyni stała obok mnie, przyglądała się Luteńce tak samo zafascynowana jak ja. Ludka, śpiewnie: „Co pani o tym sądzi?" „To jest pomyślane dla pani" – usłyszałem. Będziesz to nosiła na nagim ciele, a ja będę je wyczuwał pod płótnem. Zwróciłem się do sprzedawczyni:

– Bierzemy!

Z paczuszką pod pachą pobiegliśmy na kawę do Szwajcarskiej. W mrocznej sali panował harmider, tłum ludzi po zakupach napierał na bufet, ale to nam właśnie teraz odpowiadało, ten pośpiech, hałas, podniecenie, nasz nastrój harmonizował z tym wszystkim. Przyniosłem z bufetu kawę i wuzetki i Ludka zjadła swoją i pół mojej wraz z całym kremem. Mówiła z ożywieniem dotykając raz po raz mojej dłoni, która tej nocy pieściła roznamiętnione ciało innej kobiety. Punkt dla ciebie, pomyślałem, ona przekonała się, że ty ją w i d z i s z, musi się cenić mężczyznę, który tak umie d o s t r z e c, odgadnąć – słuchaj, jeszcze nie przegrałeś. Znowu lubi twoją dłoń, mówi, że lubi z tobą łazić po sklepach („szczera jestem, prawda?"), opowiada ci o tym, jak spędzi święta i Sylwestra. Biedaku, zupełnie zapomniałeś, że dziewczyny nie tylko ubierają się i rozbierają, jedzą, piją, pracują i kochają się, ale także tańczą. Jakoś ci się to z nią nigdy nie kojarzyło. Nic o niej nie wiem, uprzytomniłem sobie, całe obszary jej życia są mi nie znane. Jej panieński pokój. Jej małżeńska sypialnia (tej lepiej sobie nie wyobrażać). Jej kuchnia. Jej książęca wysokość.

– Och, dziewczyno – wybuchnąłem. – Jakżebym cię chciał zobaczyć tańczącą!

Pokwitowała to zagadkowym uśmiechem. Spytała wskazując na paczuszkę:

– Jak tyś na to wpadł?

– Widziałem coś takiego na koleżance córki. – Zdrajco, oszukujesz ją, łatwo ją oszukać.

– Ale skąd wiedziałeś, że mi w tym będzie dobrze?

– Jasnowidzenie...

– Obawiam się, że u mnie w rodzinie nie będą podzielać twojego entuzjazmu.

– Ale my wiemy, że jest usprawiedliwiony. Wiemy, prawda?

– Tak – przyznała.

Wyszliśmy na ulicę. Padał leniwy, mokry śnieg, roztapiał się natychmiast pod nogami. Ludka była w nowych kozaczkach.

– Ciepło? – spytałem.

– Uhu. Nie patrz tak na mnie – poprosiła.

– Należy mi się całus?

– Należy. Ale jak to zrobić? – spytała rozglądając się. Śnieg, śnieg...

– Powinienem mieć chatę.

– Nie, po co?

Zaraz wystrzeli z tymi „dawnymi układami", które już nie wrócą.

– Powiedzmy, żeby pić herbatę we dwoje. I żeby dostawać należne mi całusy.

– Przecież wiesz, że to nie ma sensu. Próbowaliśmy tyle razy...

Olśnienie, przebłysk genialności! Wiem już, jak mam do tego dążyć, wiem już, co powiedzieć. Tutaj, pod padającym mokrym śniegiem, czekając w błocku na autobus z tłumem ludzi, mówię błagalnie:

– Luteńko, podaruj mi rok swojego życia.

Jej spojrzenie cofnęło się w popłochu. Strzeż się, musiała pomyśleć.

– Nie rozumiem.

– Rok twojego życia – powtórzyłem. – Jesteś taka młoda, tak bardzo młoda, cóż, stracisz rok (aż rok!), a ja się uspokoję, nie będę musiał walczyć (zawsze będziesz walczył), będę wiedział, że mogę przez ten rok do ciebie dzwonić, przychodzić, że nie przyślesz mi żadnych przerażających liścików. Rok dla mnie, tylko rok. (Nie ma już starzenia się, nie ma śmierci, nie ma bezlitośnie niszczącego upływu czasu – jest tylko rok kalendarzowy, podczas którego ja się nie starzeję, nie więdnę, nie ześlizguję się w ciemność. Nie ma bomby atomowej. Nie ma rozpadu państwa. Nie ma katastrofy ekologicznej. Nie ma końca istnienia. Nie grozi bezsens. Jest Bóg, czy go nie ma? Nie ma takiego problemu. Nie zgłębiaj niczego! Jest tylko Ona. Ona tu, przy tobie, ona wszystko, ona czas teraźniejszy – i odrobina przyszłego: rok! Jedno jedyne pragnienie.) Luteńko, widzisz przecież, jestem kłębkiem nerwów: podaruj mi rok swojego życia, uspokój mnie. (Nigdy się nie uspokoję.)

Westchnęła.

– Jezus Maria, jaki ty strasznie jesteś zręczny.

– Ja? ja? – zdumiałem się. Tak, jestem zręczny, pomyślałem, zręczny niezręczny, silny w swojej słabości, męski niemęski, dostrzegłem cię w tej sukni, olśniłem cię tobą samą, już się załamujesz. – Jeden rok – nalegałem – do Zaduszek. To chyba nie za dużo? (Bardzo dużo. Nie mogłem sobie wyobrazić tego czasu. Jakiś ogrom.)

Do Zaduszek, pomyślałem. Kiedy drzewa będą stać nagie. Wszystko w zgodzie z rytmem przyrody. Rozkwit uczucia w maju (konwalie), kłopoty z uczuciem jesienią, zerwanie – na Święto Zmarłych. Można by rzec, że zakochani sterowani są siłami z zewnątrz. Zdaje im się, pyszałkom, że o czymś decydują, że sami wybierają, a to Matka Natura każe im zacząć (często posługując się zdradzieckimi napojami), ona też każe im kończyć. Fatalizm. Dopust Boży. Ale ja, myślę, nie, ze mną jest inaczej, ja całemu temu rytmowi zaprzeczyłem – oto zbliża się Gwiazdka, a ja nie rezygnuję, wciąż walczę, wciąż upieram się przy swoim uczuciu. – Mó-

wiłam ci już: możemy się spotykać, proszę bardzo. – Nie dawała odpowiedzi wprost. – W okolicach Zaduszek będzie rok od ostatniej klęski.

– W takim razie zostaje ci tylko jedenaście miesięcy – obliczyła nie bez pewnej złośliwości.

– Widzisz, ja nie jestem małostkowy. Miesiąc mniej czy więcej, trudno. Potem zrobimy sobie pożegnalną ucztę w wytwornym lokalu, przegadamy kilka godzin i rozejdziemy się. Nie będę natrętny.

– A potem co? – spytała.

Nie wiedziałem. Było mi ciężko już teraz. Powiedziałem z westchnieniem:

– Chyba wszystko zacznie się od nowa.

Nadjechał jej autobus. Rzuciła mi „dziękuję" i z paczką w plastykowej torbie wcisnęła się w tłum ludzi atakujących wejście. Ktoś ją wepchnął do środka. Śledzie w beczce, głowa przy głowie, wśród nich jedna, księżniczki z robotniczej Woli. Zdawało mi się, że ją widzę, że obdarza mnie uśmiechem, ale naprawdę nie mógłbym jej dostrzec poprzez niemyte, pokryte grubo błotem szyby. Dostałem od niej ten rok czy nie? Ale i tak musisz o nią walczyć, musisz zdobywać, zastawiać pułapki. I zawsze będziesz tęsknić. Nie zaznasz uspokojenia. Ona ci nie pozwoli. Nie da zasnąć twojej walce. Zobaczyłem, jak stoi w drzwiach przymierzalni, z rozelśnionymi oczyma, z napęczniałymi wargami – i zapragnąłem ich.

Nasza garsoniera... (Podkreślam tu słowo n a s z a , potem wytłumaczę dlaczego.) Dom stary, z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, idzie się szeroką klatką schodową z kamiennymi stopniami. Na piętrze hall i drzwi do czterech lokali. Przed pierwszymi drzwiami tłum kobiet czekających na przydział pracy nakładczej (będą nasadzać końcówki do długopisów). Z następnych drzwi buchają smrodliwe wyziewy: matka i jej filigranowa jasnowłosa córka, z obrzmiewającym brzuchem, wytapiają w trującej parze zwierzątka i aniołki formowane w styropianie. Następne drzwi: uparty, pracowity klekot maszyny do pisania, który z jakiegoś powodu budzi moją sympatię i pozwala mi snuć przyjemne domysły. Czwarte drzwi są nasze. Otwieram je dwoma kluczami. Zamykam za sobą natychmiast, żeby z hallu nie zaleciały wyziewy i hałasy. Teraz jestem w mrocznym wąskim korytarzu, w którym kiedyś całowałem Hadassę, wysokie przepierzenie oddziela go od salonu, gdzie zarezerwowała dla siebie miejsce gospodyni. Nie widuję jej prawie. Nie jest to emerytka, o której mówiła Hadassa, tylko jej siostrzenica, energiczna osoba z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami. Raz piliśmy nalewkę wiśniową roboty jej mamy, ja w łatanych spodniach i starym swetrze, ona w chińskiej, bogato haftowanej kolorowej szacie. Pociągnęliśmy wtedy oboje nieźle i wyznaliśmy sobie dużo (za dużo). „Panie Jerzy, ja znam życie." Zna, rzeczywiście. „Pański pokój przyniósł poprzednim lokatorom dużo szczęścia." Hadassie – z moim synem – czy komuś innemu? Paliła mocne papierosy, jednego po drugim. Pokazała mi, wśród starych mebli, nagromadzone kolorowe szkło. I niezłą kolekcję książek, na ogół pięknie oprawionych, ale także i trochę chodliwej beletrystyki, w tym książki Grzegorza. „Ach, pan go zna? Czy mógłby pan zdobyć autograf?" Zdobędę. Potem już mało kiedy ją widywałem. Czasem pojawiał się jej przyjaciel, tęgi brodacz, czterdziestolatek, prowadząc na smyczy starą wyżlicę, Agę. Zdarzało się, że oboje znikali, a zostawała tylko skucząca wyżlica. Ludka promieniała na jej widok, a wyżlica chyba ją uwielbiała. (Tak, nawet stare suki!) Ale najczęściej nie było tam nikogo – tylko my dwoje, w naszym ascetycznym, trochę zimno urządzonym pokoju, w którym stało antykwaryczne biurko, stół przeznaczony do renowacji, dwa krzesła, taboret i twardawy tapczan, przypominający pryczę. A także skrzynia z przyklejoną kartką, którą odkryłem pod narzutą, a na kartce napis: „Bardzo proszę nie przesuwać kufra, jest b. ciężki i może się rozlecieć – kufer zawiera moje ukochane drobiazgi, cenne dla mnie pamiątki. Bardzo proszę młodą parę o zrozumienie." Właścicielka tego zmarła dwa lata temu – okazała się bardziej krucha od swojego kufra. Nie pokazałem tego napisu Ludce.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła klucz, pokręciła odmownie głową. Nie, nie pójdzie, mowy nie ma, uprzedzała mnie przecież. Ale był dzień sylwestrowy, zająłem dla niej miejsce w kolejce do cukierni na Rynku Staromiejskim, ona pobiegła tymczasem po bułki i sery, potem staliśmy w tej kolejce oboje, zupełnie jakbyśmy się razem wybierali na dzisiejszą składkową zabawę, kupiliśmy tort lodowy, comber i keks dla niej, i kulę lodową dla mnie. „Więc nie wypijemy pod Nowy Rok?" – spytałem rozżalony. Podejmowała decyzje błyskawicznie: „Dobrze, prowadź." W hallu nie było tłumu kobiet, wisiał za to ten trujący chemiczny zapach – okropne, mówiło spojrzenie Ludwiki, nie do wytrzymania... dokąd ty mnie prowadzisz? – ale nie powiedziała nic, a ja podenerwowany otwierałem dwoma kluczami obite blachą drzwi. Zamknąłem je starannie za sobą, znaleźliśmy się w mroku. Pocałowaliśmy się – więc jednak – sugestia mroku?, zastanawiałem się, erotyzm odosobnienia?, to że jesteśmy sami, że nikt nas nie podpatruje? – tak, wiedziałem dobrze, że muszę mieć swoją chatę, to wszystko zmieni, zobaczysz – całowała mnie prawie jak dawniej, chociaż jakby z pewnym ledwie wyczuwalnym roztargnieniem.

Obejrzała pokój. „Nie jesteś zachwycona" – stwierdziłem rozczarowany. Och, nieważne, przecież nie będzie tu mieszkać. Ani ja, przypomniałem, to tylko będzie moje miejsce odosobnienia. – Mogę liczyć na wizyty? – Zo--ba-czymy. Powiedziała to przeciągając zgłoski. Towarzyszył temu słowu uśmiech, trochę filuterny. Krzątając się zapewniałem ją, że postaram się to trochę ozdobić, przyniosę jakąś estetyczną lampę, ładną kapę na tapczan, obiję stół beżowym marmurkiem, powieszę kolorowe ręczniki, będzie trochę pięknych książek, trochę zagranicznych łakoci. Postawiłem na stole butelkę Rémy Martin, kupioną za dolary, które przysłała Sara, i wyszedłem do ciemnej, zagraconej kuchni, żeby nastawić na herbatę. Zrobiłem szybko kanapeczki, a kiedy wróciłem do pokoju, zobaczyłem, że Ludka ściąga przez głowę sweter.

– Co robisz? – spytałem niespokojnie.

– Muszę coś przymierzyć.

Kupiła sobie dziś rano enerdowski staniczek i pałała z niecierpliwości, żeby sprawdzić, czy pasuje. Ściągnęła koszulkę, nic a nic się mnie nie krępowała, jednak byliśmy niby-kochankami, ja rozpiąłem jej z tyłu staniczek, który miała na sobie. Przytuliłem się policzkiem do jej ciepłych nagich pleców, jeszcze były trochę opalone, ująłem w dłonie jej piersi, wydały mi się bardziej nabrzmiałe niż dawniej, poczułem, jak wzbiera we mnie żądza, i od razu ogarnął mnie lęk, że ona się domyśli – lęk, że pociągnie mnie do łóżka – nie, nie chcę, jeszcze nie teraz, wciąż jej się bałem. Ale sam objaw był pokrzepiający – myślałem o tym pomagając jej zakładać nowy stanik – i jeszcze chwilę tuliłem usta do jej nagiego ramienia uważając, żeby nie poczuła, jak bardzo jestem podniecony.

Potem szybko się ubrała i wypiliśmy pod Nowy Rok. Życzyłem jej szczęścia – szczęścia, tak jak ona sobie je wyobraża, i dodałem otwarcie: – A najlepiej, żeby ze mną... Ale przede wszystkim bądź szczęśliwa, Luteńko (Lutni moja srebnostrunna), tak jak na to zasługujesz. Byłem wzruszony, kiedy to mówiłem. Ona przyjrzała się mojej twarzy, podobno bardzo wymizerowanej, i powiedziała z miłym uśmiechem:

– A ja ci życzę pogody ducha. I wytrwałości.

Kiedy całowaliśmy się, tym razem jakby bez udziału zmysłów, obrzędowo – jak sytuacja nakazywała – rozmyślałem: co to znaczy „wytrwałości"? w czym? Wobec kogo?

Zapytałem o dzisiejszą zabawę. Zbierają się u Krystków, będą sami swoi (Poldek, Małga, Anulka, Jagna, jej rodzeństwo) – niebezpieczne, myślę, wszędzie wrogowie, i ja daleko od niej, nawet nie dopuszczony do walki. Spytałem: – Zadzwonisz z życzeniami? – Nie wiem, może... Chyba się nie uda... Zapomni o mnie, pomyślałem. Kiedy znajdzie się w towarzystwie, rozbawiona (tańczy, tańczy, nie widziałem jej nigdy tańczącej), jest w tym miejscu cała i jej emocje są związane tylko z tym, co się dzieje wokół niej i dla niej. Podczas gdy ja, gdziekolwiek się znajduję, zawsze jakąś ważną cząstką jestem przy niej... Czy to różnica mię-

dzy odczuwaniem mężczyzny a kobiety? Czy tylko różnica między kochającym a kochaną? Czeka cię długa walka, pomyślałem, będziesz potrzebował dużo wytrwałości, ona jest może tego świadoma, skoro właśnie wytrwałości ci życzyła.

– Och, moje kozaczki! – zawołała opuściwszy nagle wzrok.

Były ochlapane błotem aż po końce cholew. Zarządziłem:

– Proszę siadać.

Przyniosłem z łazienki zwilżoną szmatkę i uklęknąwszy przed nią, starannie wycierałem buty z błota. Była to czynność niemal obrzędowa, ja przed nią na kolanach, w pokorze i w milczeniu, ona w milczeniu odbierająca usługę – chyba rozumiała, co się we mnie działo, chyba domyślała się, że znowu jestem szczęśliwy, bo kiedy podniosłem się z kolan, w jej oczach było jakieś tkliwe zamyślenie. Powiedziała:

– Wiesz, Herr Doktor, jeśli mam przychodzić, to chyba muszę tu mieć jakieś sandałki.

– Tak, oczywiście – zgodziłem się skwapliwie. Brała w posiadanie ten pokój, o to mi właśnie chodziło. – Czy mogą być złote z czarnym haftem?... widziałem takie.

– Byle wygodne. Przecież to tylko dla nas dwojga.

– Nasze konspiracyjne sandałki...

Pomagałem jej założyć kożuch, potem odprowadziłem ją do drzwi. Staliśmy w półmroku korytarza, w salonie skuczała Aga. Objąłem Ludkę, ona westchnęła.

– Jesteś strasznie zręczny – powiedziała ze skargą w głosie. – Szatan obrotności.

I wysunęła się z moich ramion. Nacisnęła klamkę, a ja, widząc, jak drzwi się uchylają, pełen rozpaczy krzyknąłem:

– Luteńko!

Zamknęła z powrotem drzwi.

– Co się stało? – spytała zdziwiona.

– Kocham cię! – wybuchnąłem tuląc ją do siebie. – Tak strasznie cię kocham, tak kocham! Wcale nie jestem zręczny, nie, ani trochę – ja tylko szaleję z miłości – opętałaś mnie, uwiodłaś – a ja ginę, ginę – nie mów, że jestem zręczny, nie, nie, nie! Och, tak kocham, tak kocham – czy nie widzisz tego?

Łzy spływały mi po twarzy, łzy, których już się nie wstydziłem, męskie łzy, myślałem, nie wstydź się ich – nie boisz się przecież wstrząsów, tragedii, przesłuchań, więzienia, bicia – płaczesz tylko z jej powodu (jak Tristan, nawet on, nieustraszony rycerz, ale płakał, gdy go Izolda odtrąciła, Izolda, która – wspomniałem nagle – kochając go, żyła jednak z królem, swoim mężem) – cóż może być bardziej męskiego niż łzy z powodu umiłowania kobiety? Pogładziła czule moją dłoń.

– Wiem – powiedziała. – Wiem, że mnie kochasz.

– Przepraszam cię za to rozmazanie – bąknąłem. – Nazbierało się tego.

– Nie zadręczaj się, proszę cię – mówiła. Przybliżyła twarz do mojego policzka, owionął mnie jej oddech. – Przecież będę przychodzić. Przecież kazałam ci kupić sandałki.

– Tak, tak, wiem, dziękuję ci – zapewniałem ją pośpiesznie. Miała mnie w ręku. Robiła ze mną. co chciała. Zawsze byłem gotów dziękować, przepraszać, błagać o wybaczenie. – Ale nie jestem zręczny.

– Jesteś. – Powiedziała to z uśmiechem, dostrzegłem w półmroku iskierki w jej oczach i błysk zębów. – Nie musisz się z tego powodu martwić. – Otworzyła drzwi, buchnął zapach trującej chemii. – Lecę. Do siego!.

– Do siego.

Nie zadzwoniła. Spędziłem tę noc sam w naszym mieszkaniu, moim i Sary. Tuż przed północą napełniłem kielich do szampana czerwonym winem, dolałem trochę wody mineralnej i w ten sposób uzyskałem napój alkoholowy z bąbelkami. Zegar w telewizorze wybił dwanaście uderzeń. Pan spiker w smokingu i z czarną muszką, pani spikerka w balowej sukni z kwiatem u piersi życzyli nam do siego roku. Podniosłem kielich i powiedziałem na głos: – Do

siego roku, Luteńko! Wysączyłem połowę mojego szprycera. Telefon milczał. Z ulicy doszedł huk salw armatnich. Sara spoglądała na mnie z półmroku ściany promiennie uśmiechnięta. (A naprawdę ten uśmiech miał mnie zakląć w słup soli.) Podniosłem kielich w kierunku ściany i szepnąłem: – Do siego roku, Sarenko, bądź szczęśliwa z tym swoim ciężkim frajerem. I wypiłem wszystko do końca, podczas gdy telewizor rozbrzmiał triumfalnie polonezem As-dur. Zaczekałem, aż to się skończy, i wyłączyłem aparat. Zrobiło się cicho i znowu byłem sam. Gdzieś za oknem istniało miasto, które teraz świętowało, jakby ta noc, przełom kalendarzowy, miała stanowić jakąś magiczną cezurę. To okropne, myślałem, ale w tej chwili nie mam z życiem tego miasta nic wspólnego. Za to twoja dziewczyna jest z nimi, jest w społeczności, jedna z setek tysięcy rozbawionych kobiet, jedna z tłumu tańczących, spoconych, spitych kobiet, oczy jej błyszczą, nie pamięta o tobie, nie pamięta o tobie, nie pamięta. nie pamięta, nie pa... Chce być jak wszyscy, jak wszystkie. Żyć, po prostu żyć, możliwie bez zmartwień, wyciąga ku temu życiu młode, spragnione ręce, a ono, to życie, wcale nie zapowiada się tak beztrosko. „Kiedy już wreszcie wszystko z tej ziemi wypompujemy – zapisuję – wyżłopiemy, zeżremy, wykopiemy, przetopimy, wyrąbiemy, przepalimy, kiedy zatrujemy wszystkie wody, zużyjemy cały tlen, kiedy zostanie już tylko śmietnik, tylko odpady – co wtedy? Drżę o nią w tę noc sylwestrową, drżę o jej przyszłość, do której ona podąża – tak ufna. pełna oczekiwania, szukająca szczęścia, spokoju, ciepła domowego, rozkoszy...” Telefon rozigrał się, podniosłem słuchawkę. Dzwonił Zbyszek. – Tato? Cześć. Dzwonię z życzeniami. – Dzięki, synku. Miej się dobrze. (W gardle ściska ze wzruszenia, pamiętał, smarkacz.) Dobrze się bawisz? – pytam. – Dość nudnawo. Śpiewamy sobie, ja gram na elektrycznej gitarze. – A tańczysz? – Nie tańczę, nie umiem. Dziwne, myślę, ktoś mógłby przypuścić, że w tym pokoleniu nie ma takich ciamajd, co nie tańczą, a oto mój własny syn. – Bardzo dobrze – mówię – przynajmniej się nie spocisz. Jeszcze telefoniczne całusy i rozłączamy się. Ludka tańczy, śmieje się, oczy jej błyszczą, urzeka, uwodzi, panowie na kolanach, mąż się złości, ona przeprasza, ciągnie go do tańca, wiwat młoda para – mówiłeś coś? – Ludka w formie, Ludka cudownie wygląda, nie pamięta, nie pamięta. Staram się czytać – ale co ja mogę teraz czytać? Stendhal, O *miłości*. „Miłość jest jak gorączka; rodzi się i gaśnie bez najmniejszego udziału woli... (Ja twierdziłem w swojej pysze co innego, ale mi się to rozwaliło.) Zalet ukochanej osoby można sobie jedynie winszować jako szczęśliwego przypadku.” Miałem szczęście, myślę, ukochana osoba ma tysiączne zalety. Spić się? – zadaję sobie pytanie. Spić się do nieprzytomności? Po co? I tak jestem pijany, nieprzytomny – wyjdę z domu, pojadę do jej rodziców, rzucę się matce do nóg – pani, pani, jestem pijany, nieprzytomny, wybacz mi! – pojadę do tego Krystka czy Świstka, czy jak mu tam, niech go pioruny, wedrę się do nich, ukryję się w kątku, będę się przyglądał – a ona tańczy, ona czaruje, ramionami, biodrami, uśmiechem, okrzykiem, tańczy w ciemnośliwkowej sukience, tańczy błyskami oczu, sufit kołuje, ludzie kołują, plączą się oddechy, ktoś beknął, ona rozfalowana, mąż ją bierze w ramiona, mnie pękają naczynia wieńcowe, ona tańczy. – Luteńko – szepczę – nie zważaj na mnie, wariata, starego wycirusa, tańcz, tańcz, idziemy ku katastrofie, będzie chłód, brud, rozprzężenie, ratuj się, dziewczyno, tańcz. Drgnąłem, bo znów ostro zadzwonił telefon. – Ty?! – wykrzyknąłem. – Tak, tato, to ja. Krysia. – Cześć – mówię – gdzie jesteś, u Krystka? – Jakiego Krystka? – dziwi się moja córka. Mówię, nie, tylko myślę: najpiękniejsze dziewczęta są dziś u Krystka, a ty jesteś śliczna, córeczko. Ale nie mówię chyba tego, nie, jeszcze nie zwariowałem, słyszę: – Tatusiu, jesteś sam? – Tak, sam, ze Stendhalem i Lowrym. – Żadnych bab? – Za kogo ty mnie masz! – oburzam się. (Stary zgrywusie, dobrze grasz swoją rolę.) – Tatusiu, jesteś kochany, bądź szczęśliwy. – Postaram się – mówię. I ty, córeńko, bądź szczęśliwa. Dobrze się bawisz? – Wspaniale. – No to okej, całuję. Właściwie jestem szczęśliwy, myślę. Nie zadzwoniła, pewnie nie mogła, mąż siedzi jej na karku, Krystek, Poldek, ale ja jestem szczęśliwy, bo przecież ją tak szaleńczo kocham, i wcale nie beznadziejnie, ona całuje mnie, obiecała przychodzić, cudza żona, pomyśl. Szczęściarzu – myślę nalewając sobie wina – najszczęśliwszy szczęściarzu. Upierała się

przy tym, że jesteś zręczny, życzyła ci wytrwałości. Może to nie jest taki ezopowy język, jak ci się zdaje? Podniosłem kielich, pozdrowiłem nim wszystkie cztery ściany, z jednej z nich, najmroczniejszej, błysnęły oczy uśmiechniętej czarownicy. Mruknąłem:

– Za nasze zwycięstwo.

Spędziłem tę noc na redagowaniu doktoratu. Oddam go Działaczowi trzy tygodnie przed terminem, wyciągnę dodatkowo trzy tysiące złotych. Polska piła i tańczyła – ja też nieźle się bawiłem, wciskając własne sądy do tej pracy, ciekawe, czy Tońka na tym się pozna, czy zrobi mi awanturę. Chwilami przyłapywałem się na myśli, że przez swój tryb życia wyobcowuję się dobrowolnie z życia narodu. Nie ma mnie podczas Sylwestrów, ignoruję święta, zabawy, festiwale, obchody, wystawy, koncerty, wczasy, nie dbam o sezonowe sławy, jubileusze, konkursy, zgadywanki, biegi po zdrowie, zjazd z Kasprowego i Gubałówki, nie bywam na mszach, ślubach, chrzcinach, bombowych premierach, nie składam wieńców, nie noszę znaczków w klapie, nie ubiegam się o modne wczasy, atrakcyjne wycieczki, nie interesują mnie zyskowne zakupy, zbieractwo, antyki, magnetofony, nagrania stereo ani żadne inne, ani szał samochodowy, ani działki rekreacyjne, ani budownictwo indywidualne – wszystko to powoduje, że chwilami gnębi mnie kompleks nieuczestnictwa. Niedobrze, myślę, to dziwaczne, ale inaczej już nie będzie. Nie zadzwoniła, nie mogła, ona – uczestniczy. Była szósta rano, kiedy położyłem się wreszcie (oni też właśnie się kładą, pomyślałem, zmęczeni tańcem, zmożeni alkoholem, walą się pokotem na podłogę, na tapczany, potem długo będą wspominać cudowny ubaw i wytykać sobie, kto wykazał słabą głowę, kto plótł głupstwa.) Obudziłem się w południe, wkrótce potem zjawił się Zbyszek, potem Krysia. Podałem im obiad, po którym oni się położyli, a ja znowu zabrałem się do doktoratu. Tylko tym razem zupełnie mi nie szło, w głowie pustka i niechęć. Zapadał wczesny, zimowy zmierzch, kiedy zadźwięczał telefon.

– Cześć – usłyszałem.

– Cześć – odpowiedziałem. Więc jednak dzwonisz! O Boże, jak ja na to czekałem. – Witam w Nowym Roku.

– Jak się bawiłeś? – spytała.

– W porządku. – Tylko się nie skarż, pomyślałem. – A ty?

– Ledwo żyję. – To miało znaczyć, że wspaniale. – Wytańczyłam się za cały rok!

– Pamiętałaś o mnie choć trochę? – spytałem i od razu pożałowałem swych słów.

– Ani, ani. – Jak zwykle, zabójczo szczera. – Było nas dwanaście osób, sześć par, sama młodzież, Krystek ma rewelacyjne taśmy.

– Piłaś?

– Och, niewiele. Tylko wino i raz szampana.

– A jak sukienka?

– Potraktowana odmownie.

– Luteńko, ale ty przecież wiesz, że w tej sukience wyglądasz pięknie.

– Może i tak. Cześć, do jutra.

Z jej przychodzenia zrobił się cały rytuał. Umówiony dzwonek, Ludwika w drzwiach i tak czułe powitanie z wyżlicą, że ja się robię zazdrosny („przychodzisz tu dla niej, czy dla mnie?” – „oczywiście, dla niej”), przepędzam Agę do salonu, prowadzę Ludwikę przez półmrok korytarza do naszego pokoju, zdejmuję z niej kożuch, ona siada na krześle, ja klęcząc wycieram szmateczką jej kozaczki z błota. Podsuwam sandałki: złote, czarny haft. Teraz kolej na przebieranie się. Wciąga ciemnośliwkowy wór na gołe ciało i siada do stołu. Herbata i czekolada mleczna z orzechami, rodzynki, czasem kieliszek Rémy Martin. Odprężenie. Za drzwiami został tumult świata, nerwowy wrzask, pośpiech, wymówki, spięcia. Tu – cisza i czułość. Słodycz czekolady. „Zdrówko.” Dobrze mi u ciebie. Nie, odpowiadam, jesteś u siebie. Tak, ona tu króluje. Na biurku – jej zdjęcie. Na półeczce – jej krem, mydło palmolive, dezodorant, szczotka do włosów. Na gwoździu – ręcznik dla niej. TUTAJ RZĄDZI LUTEŃKA. Nie ma takiego napisu, ale wisi on w powietrzu, przebiega w poprzek pokoju jak kolorowy neon.

Młoda dziewczyna ma swoją „wieżę". Nie jako miejsce do kontemplacji, ale jako schronienie, krainę zastrzeżoną dla siebie, dla swojego drugiego życia. Odgrodzona od wścibstwa tych, którzy ją na co dzień otaczają. Nikt tu jej nie strofuje, nie poucza, nie pędzi. Wszystko na jej usługi.

I ona tutaj, w tej sukience i w tym pokoju, jest jakaś inna – nie ta obowiązkowa, skrupulatna, uprzejma, trochę zimna formalistka z biura dokumentacji. Jest miększa, łagodna, spragniona pieszczot, czasem rozkapryszona, trochę jak mała dziewczynka, trochę jak kotka (duża kocica). Wypiwszy herbatę kładzie się na tapczanie i wyciąga do mnie ręce. Ja, nie rozbierając się, biorę ją w ramiona. Całujemy się – moja długonoga, aksamitnoskóra kocica mruczy po kociemu, obnaża piersi, pieszczę je, ona pojękuje – więc „dawne układy" wróciły!, myślę z triumfem – tulimy się do siebie w gorączce, nie próbując iść dalej, oboje nie chcemy ryzykować klęski, zegarek tyka, trzeba się rozstawać, podnosimy się z tapczanu zamęczeni. Teraz ona musi ochłonąć, potem umalować się.

Wpada tu prawie codziennie, wprost z tamtego świata – na kwadrans królowania. Dzwoni najpierw z poczty, żeby się upewnić, czy jestem. Dzwoni za darmo, to ją bawi. Usłyszawszy moje „hallo" zdąży wykrzyknąć tylko „cześć, idę!", a potem ja słyszę: „Proszę czekać, będzie rozmowa, proszę cze..." Ja już waruję u drzwi, wszystkie zasuwki odsunięte, Aga przepędzona, Luteńka się pojawia, chwytam ją w ramiona, całuję zziębnięte policzki, zaciągam do pokoju, osuwam się do jej kolan i bardzo jestem rozczarowany, kiedy kozaczki nie są zabłocone. Któregoś dnia położyła się na tapczanie z podwiniętymi nogami, plecami do mnie a twarzą do ściany, jakby układała się do snu. Ja objąłem ją z tyłu, a ona, leżąc tak w moich objęciach, opowiadała o swoich sprawach (coraz więcej wiem o nich). Zakończyła szeptem: „Nienawidzę go." Było wtedy ze mną zupełnie dobrze, uniosłem jej sukienkę, wyczułem dłońmi obłość muskularnych pośladków, podniecającą włochatość, zdecydowałem się i wdarłem się w nią nieoczekiwanie, głęboko i mocno. Nareszcie!– triumfowałem słuchając jej jęku – dobrze, dobrze! – i od razu mój wróg, jakby wyczuwszy ten triumf, podstępny demon, zaskrzeczał złośliwym chichotem i zwiądł. Ubierała się potem w milczeniu, miała tego dnia mało czasu. Podsunąłem jej herbatę i czekoladę. Szepnąłem zgnębiony:

– Co za diabeł mnie podkusił... Ujęła moją dłoń między swoje dłonie.

– To przecież nie diabeł – powiedziała uśmiechając się smutno – to ja. – Podała mi usta słodkie od czekolady. – Chciałam tego. – Nachyliła się do mnie i szepnęła: – Poczułam cię wreszcie...

Ubierała się spokojnie, jakby nie przeżyła żadnego rozczarowania. Już gotowa do wyjścia, powiedziała:

– Nie martw się, już cię nie porzucę. Tak sobie teraz pomyślałam. Nie porzucę cię, nie wolno mi tego zrobić. (Więc rozważała to, zrozumiałem.)

W kożuchu, w czapeczce, stała u drzwi („roztopię się" – narzekała), ale nie odchodziła.

– Musisz wiedzieć, że zawdzięczam ci dużo. – Była dziś wyjątkowo rozmowna. – Nawet sobie nie zdajesz sprawy, ile. Obudziłeś coś we mnie. Teraz widzę, że przedtem byłam jakaś zasuszona. Wiesz, że wszyscy mówią, że się zmieniłam?

– Przestraszyłem się – tłumaczyłem niepewnie – że się uda. Przestraszyłem się zwycięstwa. Wciąż się ciebie boję.

– Całkiem niepotrzebnie. Nie musimy się przecież spieszyć – powiedziała. I znowu mnie zapewniła: – Nie porzucę cię. Dajesz mi wszystko to, czego nie daje on. Czuję, że przez nasz związek wyrosłam jakoś ponad niego, odeszłam daleko, a on jest tam, gdzie był. (Za dużo o mężu, pomyślałem.) Widzisz, jaka sytuacja: muszę milczeć i udawać głupszą, niż jestem.

Słuchałem tego z uwagą. Uznałem, że wszystko, co teraz mówi, jest przemyślane i ma dla mnie znaczenie.

– Lecę – rzuciła. Dała mi pożegnalnego całusa. I jeszcze powiedziała: – Nie martw się, ja jestem zadowolona.

„Cała w skowronkach” – przypomniałem sobie. Już raz tak się czuła – i czym to się skończyło? Ale wtedy to nie było takie mocne. Czemuż, u diabła, znowu się speszyłem? Poczekaj, uspokajałem się, nie śpiesz się, masz przed sobą cały rok. Zastawiaj systematycznie pułapki. On ci się podporządkuje, zobaczysz.

Starałem się więcej nie dopuszczać do takich zbliżeń. Tylko raz, podczas jakichś bardziej namiętnych uścisków, rozpłomieniona na twarzy, z popuchniętymi wargami, szepnęła: „Może spróbujemy?...” Nie odpowiedziałem, a ona przycisnąwszy się do mnie zrozumiała, dlaczego. Było nam i bez tego dobrze ze sobą i czule. Jakby łóżko straciło na ważności. Kochałem ją i właściwie miałem codziennie, zawsze tak samo zniewolony jej spojrzeniem, i było nam dość lekko mimo wszystko, mieliśmy sobie mnóstwo do powiedzenia, usta nam się nie zamykały. Załatwiałem jej sprawunki, stałem w kolejce po rajstopy (ze szwem, bez szwu, niebieskie, beżowe), przynosiłem jakieś drobiazgi, przede wszystkim kwiaty, często przy Idalce, ostatnio Ludka przestała ukrywać przed nią, że łączą nas „stosunki specjalne” (special relations, jak to oboje nazwaliśmy). Kiedy dostawała ode mnie coś cenniejszego, natychmiast biegła do przyjaciółki pokazać, dumna z każdego zakupu jak z orderu, tamta podziwiała, a Ludka mówiła: „adoruje mnie szaleńczo” (wiem to od niej), i zwierzała się, że to ją jakoś pokrzepia. Tamta mówiła: „nie dziwię ci się ani trochę”, i w ten sposób uzyskiwałem w niej sprzymierzeńca. Czasem Ludwika dzwoniła do mnie z pracy: „Cześć, stęskniłam się.” „Bardzo dobrze. Co rozkażą?” „Przyjść, dostaną herbaty.” Albo: „Wpadnę do ciebie po pracy, wygospodarowałam sobie całą godzinę, zrobimy sobie labę.” (Będą pieszczoty.) Czasem dzwoniła i w niedzielę, to była największa niespodzianka, wyrwała się spod kurateli męża. „Jak ci się udało?” – pytam. „Wyskoczył do kolegi po jakieś strasznie skomplikowane narzędzia.” „Przyjedź do mnie!” „Nie wariuj”. „To po co dzwonisz?” „Żebyś o mnie nie zapomniał.” „Gdybym mógł chociaż na chwilę zapomnieć!” – wybucham całkiem szczerze. „Nie wolno. Ani przez chwilę. Pracujesz? – I upominała surowo: – Pracuj.” „A ty?” „Będę piekła ciasto.” „Pan Wojtek będzie zachwycony.” „Owszem – jeśli nie przypalę.” „Przypal. Ja zjem każde twoje przypalone ciasto.” „Cześć, do jutra.”

Urwało się to wszystko nagle. Był telefon z poczty, Podczas którego po „cześć” nie nastąpiło żadne „proszę czekać, będzie rozmowa”, tylko moneta naprawdę została wrzucona. „Przychodzisz?” – pytam. „Nie, nie mam czasu.” „Na kwadrans” – błagam. „Nie mam czasu” – powtarza. Głos suchy, rzeczowy. „Co się stało? Zawiniłem?” (Zawiniłeś, zawiniłeś, zawiniłeś.) „Nic się nie stało... Po prostu nie mam czasu. Czy to tak trudno zrozumieć?” Ale ja się domyślam, że coś się stało. „Przyjdę do ciebie” – proponuję. „Nie, nie wolno.” „Jest Idalka?” „Nie, jestem sama.” Jest sama, ale mnie przyjść nie wolno, coś się stało. (Zawiniłem, ukradłem, zabiłem, zgwałciłem.) „Czy nie lepiej jednak porozmawiać?” – pytam. Chwila wahania. „No, może...” (Powiedz: „Tak, kochanie, możemy porozmawiać”.) Słyszę: „Czekaj na mnie na przystanku.”

Znowu na dole huśtawki. (Ona kiedyś powie: „Dziwię się, że nie zwariowałeś.”) Czekam na przystanku z tabliczką czekolady Wedla w kieszeni. Jest mróz, ja w krótkim kożuszku, ziębną mi kolana. Ale grypy nie będzie. Pierwsza w moim życiu zima bez przeziębienia! Nie ma czasu chorować, nie wolno, cały organizm nastawiony na walkę, zmobilizowany jak nigdy. Pierwsza zasada: żadnych dolegliwości! Żadnego łamania w krzyżach, bólów żołądka, głowy (ukrywaj to, nie przyznawaj się, bo ona zrzuci wszystko na twój wiek, jej Wojtuś zdrów jak ryba, nie zna, co to nerwowe załamania, rzuca się na nią i rozszarpuje). Więc tak stoję lekko przytupując, przepuszczając kolejne tramwaje, wreszcie pojawia się ona – śpieszy do mnie bynajmniej nie uśmiechnięta, rzuca „cześć” i mówi:

– Padam na nos, młyn był jak nigdy, nawtykałam Idalce głupstw i teraz mam kaca. Chodź, tu jest taki barek, postawisz mi koniak, może mi trochę przejdzie.

Po drodze do barku wręczyłem jej czekoladę, kiwnęła głową (już dawno przestała mi dziękować, te prezenciki należały już do powszedniości – zresztą to lepiej: to znaczy, że jesteśmy

sobie zupełnie bliscy). Usiedliśmy przy barze, Ludka przebiegła łakomym spojrzeniem po ciastkach pod szkłem i zadysponowała wuzetkę. Podano nam dwa kieliszki araratu i herbatę. Nie padło żadne „zdrówko", wypiliśmy po połowie, Ludka odsapnęła, potem przez chwilę prychała gniewem na Idalkę, nie krępując się w doborze słów. Położyłem uspokajająco dłoń na jej dłoni, wyszarpnęła swoją – to ja, ja byłem wszystkiemu winien, ja podżegałem Idalkę przeciw niej, ja zaprowadziłem tłok w tramwajach, ja zdezorganizowałem handel (częściowo – owszem, tak), ja spowodowałem, że dziś był młyn, ona zasuwała jak głupia, i co za to dostaje – grosze, z których, po opłaceniu raty za mieszkanie, światło, gaz, pożyczki zaciągniętej na meble, jest jeszcze na pół kurczaka. Tego nie powiedziała, tego ja tylko się domyślałem, podczas gdy ona pochłaniała swoją wuzetkę i krem z mojej. Spytałem ostrożnie, pełen obaw, że mnie ofuknie, czy smakuje. Co? Ach, tak, owszem, dobra. Właściwie pycha. Spojrzała na mnie i zdobyła się na pełen skruchy uśmiech:

– Przepraszam.

– Nie ma za co – powiedziałem. – Bij, ile razy jesteś na kogoś zła. – Tak mówiłem, ale naprawdę było mi przykro. Nie kocha mnie, myślałem z goryczą, nie kocha i nie pokocha nigdy, jestem jej potrzebny jako azyl, schronienie, rekompensata za to, co spotyka ją gdzie indziej. Ale ja jej też nie kocham – pomyślałem nagle, ze złością, takiej jej nie kocham, jest moim narkotykiem, potrzebna mi jest dla codziennej dawki cierpienia, dla nieustającego bólu, dla ciągłej tęsknoty, szaleję za jej ustami, ale nie kocham, nie kocham. – Co się stało? – spytałem.

– Ucieszysz się – powiedziała chmurniejąc. Domyśliłem się od razu:

– To dotyczy Wojtka?

Nie wiem, dlaczego zamiast mówić o nim „twój mąż", nazwałem go po imieniu: zbliżyła mi go przez ostatnie opowieści, zupełnie jakbyśmy się dobrze znali.

– Tak – potwierdziła. Popatrzyła na mnie nieufnie: – Skąd wiesz?

– Jestem inteligentny... On ma kogoś?

– On? Skądże. – Uśmiechnęła się. – On mnie nigdy nie zdradzi.

Nie łudź się, pomyślałem, nie znasz dnia ani godziny.

– Więc co? – nalegałem.

– Idzie na odsiadkę.

Nic nie rozumiałem, ona zaczęła mi tłumaczyć. Kiedy miał dziewiętnaście lat, tuż przed maturą, brał udział w jakiejś awanturze i pobił chłopca tak, że złamał mu szczękę i nadgarstek. Odbył się proces, Wojtek (a właściwie jego ojciec) zapłacił odszkodowanie, ale prócz tego zasądzono mu półtora roku więzienia. Lekarz stwierdził jednak, że ze względu na stan psychiczny Wojtek nie nadaje się okresowo do odbycia wyroku. Odroczono więc odsiadkę. Wojtek tymczasem zdał maturę, skończył studia, zaczął pracować, („ożenił się" – wtrąciłem) tak, ożenił się, myśleli, że sprawa uległa zapomnieniu. Aż tu naraz ktoś odkurzył stare akta i przekonał się, że jest zaległy wyrok do egzekwowania. Zawezwano pana Stablińskiego, lekarz poddał go testowi i stwierdził, że nie ma przeciwwskazań. Ma odsiedzieć swoje.

– Kiedy? – spytałem.

– Za dwa tygodnie.

Za dwa tygodnie pozbędę się go na półtora roku! No, na rok, bo mogą mu skrócić termin. Mój rok! Przez ten czas ja mogę być niemal mężem. W jej sypialni albo u mnie na kwaterze. Bez kłamstw, pośpiechu, bez zegarka na stole. Noc w noc z nią. Żeby się do mnie dobierała domagając się swoich małżeńskich praw. Zasypiać w jej ramionach. Ona w moich – Boże, doczekać się tego.

– Więc co, cieszysz się? – spytała.

Nie, to by było zbyt proste. To nie ja zastawiałem pułapki, tym razem na mnie zastawiono. Dlaczego przedtem mówiła, że nie ma czasu? Dlaczego wyszarpnęła swoją dłoń? Jakbym to ja go wtrącał do więzienia. Zacząłem pojmować, co tu zachodzi.

– Jak mogę się cieszyć, kiedy ciebie to martwi? Bo ty się martwisz, prawda?

Widziałem łzy w jej oczach. Więc jednak! Despota, drań, awanturnik – ale mąż. Jeszcze go nie zabrali, ą już zaczął się proces idealizacji. Będzie szła na widzenia i nosiła wałówki. Rozumiałem dobrze bieg jej myśli, odpowiadał pewnemu schematowi, który łatwo wykreślić, i dlatego nie zdziwiło mnie (choć zabolało), kiedy usłyszałem:

– Postanowiłam żyć w celibacie.

– Przez całe półtora roku?

– Tak. – Ton stanowczy. – Chyba cię to nie dziwi.

On tam w celi... W celi wilgotnej, jak orzeł w niewoli z Puszkinowskiego wiersza – Siżu za reszotkoj w tiemnice syroj – bohater, który po pijaku zmaltretował jakiegoś chłopca, zapewne dużo słabszego od siebie, złamał mu szczękę i nadgarstek... Siżu za reszotkoj... A ona już kreuje siebie na wierną żonę – Polkę, cierpiętnicę za sprawę narodową. Więzień Szlisselburga. Więzień Magdeburga. Podziemia Moabitu. Kazamaty Spielbergu. On, zarośnięty, z brodą po pas, szarpie kraty, a ona wystaje pod bramą więzienia, nie umalowana, poszarzała, w chustce na głowie. Wszystko przeciwko mnie. Tylko, że bieg moich myśli bynajmniej nie odpowiadał schematowi: ja się nie cieszyłem. Powiedziałem jej to, ale ona mi nie uwierzyła. Odprowadziłem ją do przystanku.

– Przyjdziesz jutro? – spytałem.

– Nie. Więcej nie wolno.

Nie lubiłem tego jej stanowczego tonu – czułem się wtedy słabszy i gorzej przystosowany do życia (czułem się taki, jaki jestem naprawdę).

– To ja przyjdę do ciebie.

– Nie, nie przychodź.

– Zadzwonię.

Zastanowiła się.

– Dobrze, zadzwoń – zgodziła się wspaniałomyślnie. Wyznaczała mi pozycje: to ci wolno, tamtego nie, do tego miejsca proszę, a tu już granica nieprzekraczalna. Przełknij to, mówiłem sobie, nie poddawaj się zdenerwowaniu, nie buntuj się, bo ona zaakceptuje twój bunt i stanie się coś nie do odrobienia. Musnąłem wargami jej policzek.

Zniknęła w tramwaju, a ja z pochyloną głową, z burzą rozdzierającą piersi, szedłem do domu. Więzień Magdeburga, więzień Szlisselburga – powtarzałem w myśli jak automat. Było zimno, ale wolałem iść pieszo, sam ze swoimi myślami, nie miałem sił wciskać się do autobusu, wysłuchiwać w tłoku utyskiwań, pouczeń, wybuchów zmęczonych i podrażnionych warszawiaków. Siżu za reszotkoj... Kołłątaj w kazamatach Ołomuńca. Edmund Dantes, zdradzony przez przyjaciół, w twierdzy If – huczące fale rozbryzgują się o skalisty brzeg wyspy. Więzień szarpie kraty. Marnieje w lochu na dnie wieży, wysycha na wiór, po śmierci kości bieleją i świecą próchnem. I tylko kruk tłucze dziobem o kraty i woła orła, a orzeł (orioł mołodoj) przemienia się w lwa i rzuca się na gazelę, i Boże, mój Boże, rozszarpuje ją, a ona krzyczy. Jest jeszcze Cytadela z X-tym Pawilonem, przypomniałem sobie, z powieszonymi na stokach, i Pawiak. (Coraz bliżej naszego czasu.) Siżu za reszotkoj... Ten sam drań, o którym kilka dni temu powiedziała: „Nienawidzę go...”

Zażyłem wieczorem relanium, pięć miligramów, przetrwać jakoś do świtu, nie, to nie takie proste, uwięziony orzeł wciąż stuka dziobem w kratę. Co znaczyło to „nienawidzę go”? Może nic innego, tylko cholerną, przeklętą, nie zaspokojoną miłość? Może na tym polega cały jej bunt: żeby on też przyznał, że ona jest nadzwyczajna, żeby też osunął się na kolana (właśnie on, mąż – nie ten szaleniec bez imienia, jak mu tam, Herr Doktor), żeby zalał się łzami jak tamten i zaskowytał: kocham cię! szaleję za tobą! Nie mogła się tego doczekać i to właśnie jątrzyło w niej ból – aż do napadów nienawiści włącznie. Ale teraz, kiedy zabierają go do ciemnej wilgotnej celi, ona widzi siebie i jego inaczej.

Obudziłem się ze snu o czwartej nad ranem. Przez chwilę myślałem, że jestem na kwaterze, szukałem po omacku lampki w niewłaściwym miejscu. Coś się stało, coś niedobrego –

myślę – ale co? – jakieś spadanie w otchłań, chociaż jestem w domu, mam dach nad głową i Księgę Hioba na stoliku obok tapczanu. Ach, straciłem moją dziewczynę, przypomniałem sobie. Zabrali mi ją. Więzień mi ją zabrał. – Luteńko – szepczę – Luteńko, nie odchodź. Nagle krzyknąłem przeraźliwie. Słyszałem, że Krysia poruszyła się w sąsiednim pokoju. Pokazała się w drzwiach senna, w długiej bawełnianej koszuli. – Tato, co się dzieje? Na kogo krzyczałeś? – Nic, śniło ci się. – Odwracam się, żeby nie widziała moich łez. – Wracaj do łóżka.

Odeszła posłusznie. Siedziałem przez chwilę nieruchomo w fotelu.

– Co z tobą? – odezwałem się na głos. – Przecież to wariactwo.

Nie, nie zwariowałem, rozumuję prawidłowo. Nie mogę znieść tej straty, nie mogę żyć bez tej dziewczyny. Dlaczego? Dlaczego akurat bez niej nie mogę? Gdzie tu tkwi tajemnica? Dlaczego umieściłem w tej właśnie osobie wszystko, sens życia, resztkę mojego istnienia? Czuję ciężar w sercu, ból w żołądku, wątroba puchnie. (Pamiętaj, żadnych dolegliwości!) Idę do kuchni, zapałki znajduję niemal po omacku. Zrobię sobie herbatę. Zapisuję w notesie: „Któż mógł się spodziewać, że najniebezpieczniejszą chwilą dla niego będzie pozbycie się męża? Tamten, odchodząc, wygrywa kampanię. Oczywiście, on powinien był coś takiego przewidzieć – przecież jest to tak zwany człowiek myślący.” Nie odpędzaj mnie, modlę się w myśli, ale tego już nie zapisuję, ulituj się, nie spychaj mnie na dno tej nieustającej huśtawki. Do notesu: „I po tym wszystkim on ma jeszcze być sprawnym, zrównoważonym, pewnym siebie samcem! Kiedy przeszedłszy przez tortury niepewności, przez upokorzenia – na dół, na dół, wciąż spychany na dół – dostąpi zaszczytu, że ona poda mu swoje ciało, otworzy ramiona, wycieńczonemu nerwowo...” Nie mogę konkurować z Nieobecnym – pomyślałem, a może powiedziałem to półgłosem, bo Krysia znowu się tam za drzwiami poruszyła. Herbata stała przede mną na biurku, dotknąłem gorącej szklanki, potem zapisałem – który już raz: „Boże, uwolnij mnie od tego uczucia!” Wymyślili, psiekrwie, z tą odsiadką! Niechby był tu, na miejscu, niechby pogrążał się w jej oczach swoimi kaprysami, żądaniami, dyrygowaniem, wybuchami złego humoru. Niech ona szuka odprężenia i zadośćuczynienia u mnie. Nie uwolnię się od niej nigdy, już wiem. Jestem skazany. Odchodzisz, ale ja cię wciąż widzę, wieczór i w nocy, i teraz, na długo przed świtem, dygocąc z zimna, w świetle i w mroku, mam cię wciąż w ramionach, zasypiam z tobą, budzę się z tobą, a jeśli bez ciebie, to z krzykiem, krzyczę od tej pustki, która huczy mi w piersi. Trzeba go jakoś wyciągnąć z tej celi – postanawiam nagle. Walcz, walcz. W tej walce nie masz żadnych sojuszników, jedynym twoim sojusznikiem jest on, jej mąż. Nie możesz go stracić. Broń go!

Obmyśliłem cały plan działania i poszedłem do jej biura. Wszedłem BEZ PUKANIA. Idalka przy biurku, Ludwika stojąc obok rozmawiała z wysokim, kruczowłosym brodaczem, ożywiona, bynajmniej nie cierpiętnica, to tylko dla mnie była zimna i opryskliwa, dla mnie, bo ja się czegoś domagałem, o coś walczyłem, trzeba było mnie posadzić, wskazać właściwe miejsce – do sieni, sługo! – a do tamtego uśmiechała się – „No nie... co pan powie?... bardzo prosimy... tak, ściągnę to dla pana...” Kruczobrody odszedł, ona podeszła do mnie. Powiedziała cicho:

– Znowu mnie prześladujesz?

Przytul się do mnie, rozpłacz się na moim ramieniu, krzyknij: och, Jureńku, zabierają mi go, pomóż!

– Mam do pogadania – tłumaczyłem. Zawsze się muszę usprawiedliwiać. (Qui sexcuse, saccuse – przypomniało mi się.)

– Mów, ale szybko.

– Nie tutaj. Przeproś Idalkę i wpadnij do mnie na kwadrans.

– Nigdzie nie pójdę. Mam dużo roboty.

– Luteńko, nie możesz być dla mnie tak ostentacyjnie niemiła, bo ona pomyśli, że między nami się coś działo.

Nie przejęła się tym, więc sięgnąłem po następny argument.

– Rzuć na to okiem – powiedziałem i podałem jej arkusz papieru.

Było to podanie, które napisałem w jej imieniu do ministra sprawiedliwości. Przeczytała je rozbieganymi oczyma i odezwała się:

– Nic nie rozumiem.

– Zrozumiesz, jak ci wytłumaczę.

– Idź do siebie – powiedziała szybko. – Zaraz wpadnę.

Wszystko było jak zawsze: przywitanie z wyżlicą, wycieranie botów (chociaż nie ich zdejmowanie), herbata i czekolada. Tylko nie było pocałunku, ja się go nie domagałem. Ona spytała:

– Uważasz, że sprawa nie jest jeszcze stracona?

– Tak mi się zdaje.

– Chyba gadasz głupstwa.

– Nie, Luteńko, ja jestem stary ostrzelany wróbel i trochę się znam na właściwościach systemu. Trzeba się trzymać zasad, a zasady mają swoje źródło humanistyczne. Wytłumaczę ci: głównym celem kary jest resocjalizacja, prawda? Prawo, w teorii przynajmniej, nie mści się, tylko albo chroni społeczeństwo przed niebezpiecznym osobnikiem, albo ma grzesznika społeczeństwu przywrócić. A to właśnie w tym wypadku już nastąpiło. Wojtek czekając na odsiadkę zdał maturę, skończył studia, pracuje, ożenił się. Jest normalnym członkiem społeczności socjalistycznej. Kara straciłaby swój sens wychowawczy.

– Co ty bajdurzysz? – Nawet się nie uśmiechnęła. – Kto takich gadek będzie słuchać?

– Trzeba tego kogoś znaleźć. Podaję ci argumentację stosowną do tej sprawy.

– Ale do kogo ja mam z tym iść?

– Ty do nikogo. Ja pójdę.

– Ty? – Teraz była naprawdę zaszokowana.

– Tak, ja. Sam.

– Ale z jakiej racji? Jak im wytłumaczysz, że cię to obchodzi?

– Powiem, że kocham żonę skazańca.

– Wygłupiasz się.

Objąłem ją i przesunąłem dłońmi po plecach. Jej oczy znieruchomiały w oczekiwaniu. Szepnąłem:

– Powiem, że lubię ją pieścić.

– Och, zostaw. I proszę, daleko ode mnie. – Posłuchałem, a ona spytała; – Więc?

– Występuję jako czynnik społeczny.

– To głupie.

– Nie szkodzi. Im głupsze, tym prawdopodobniejsze. Podpisz to.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem podanie. Potem podpisała je okrągłym, wyraźnym pismem: Ludwika Stablińska. Wpatrywałem się w ten podpis jak narkoman w gwóźdź na ścianie, z którego czerpie szczęście. Uświadomiłem sobie, że samo wypisywanie jej nazwiska u góry podania sprawiło mi rozkosz. Narkotyk, pomyślałem. Przywarła do mnie spojrzeniem szaroniebieskich oczu. Spytała:

– Dlaczego to robisz? – Wydawała mi się zafrasowana. – Przecież nie powinieneś! Herr Doktor, ja ciebie naprawdę nie rozumiem.

– Dobrze rozumiesz, że cię kocham. (Tak, to była prawda, znowu ją kochałem.)

– I chcesz mi zachować męża?

– Chcę.

– Dlaczego?

– Bo to twój mąż. – Nie, nie mogłem odsłonić całego swojego makiawelizmu. Uchyliłem tylko rąbka prawdy: – Wolę, żeby on był tutaj. Z tobą.

– Dziwny jesteś.

Mniej, niż ci się wydaje, pomyślałem. Spytała:

– Do kogo z tym pójdziesz?

– Jeszcze nie wiem. Pomyślę.

Ale ja już wiedziałem, wolałem jednak jej nie wtajemniczać, bo a nuż nie wypali. Przy drzwiach odprawiła rytuał pieszczot z Agą (co świadczyło o powrocie do równowagi), a potem padło pytanie:

– Jak myślisz, wygramy?

– Na pewno.

Przytuliła się do mnie, to rzadko się zdarzało z jej inicjatywy, i szepnęła w samo ucho:

– Musimy wygrać.

Więc jej też zależy na zwycięstwie, pomyślałem, kiedy wyszła. Prowadzimy wspólną walkę i ona o tym wie. Zadzwoniłem do Chichota. – Adam, mam do ciebie sprawę. – Sprawa nie sprawa, on na to, odwiedź mnie. Wiedziałem, że pali się do tego, żeby mi pokazać swoją świeżo wykończoną willę – bo po cholerę mieć takie rzeczy, jeśli nie można kogoś przyprawić o żółtą zazdrość?

Wieczorem stawiłem się u niego, z kwiatami dla jego Babusa (byłem przekonany, że to babus, i tak ją w myśli nazwałem), podaniem Ludwiki i z pewnymi akcesoriami, które wziąłem ze sobą na wszelki wypadek. Oczywiście, najpierw musiałem wszystko obejrzeć, co czyniłem bez zazdrości, nawet z roztargnieniem, ale zmuszając się obłudnie do uwag, nawet do okrzyków pełnych zachwytu – wiedziałem, że obojętności Chichot mi nie wybaczy. Łazienka i kible, od tego zaczął, wszyscy dziś od tego zaczynają, kafelki w kwiaty, zagraniczne wanny, kolorowe, po cenach oficjalnych, popatrz, jaka klepka na parkiecie, zrobiono mi to za dwa odczyty o moralności, świątki, figurki, demony, talizmany z Azji i Afryki (brał udział w różnych delegacjach, najczęściej walcząc o pokój, nigdy nie podróżował na koszt własny), posążek z Chin, a to z Hongkongu, to skóra renifera z Finlandii, miecz samurajski, z zakrzepłymi kroplami krwi, dwie strzelby, antykwaryczne pistolety (poszły w górę czterokrotnie od momentu kupna), szabla ze swastyką po hitlerowskim asie lotnictwa (zdobycz wojenna) – na jednej ścianie książki aż po sufit, raczej ozdobne, nie świadczące o jakimś sprecyzowanym guście ani o głębszych zainteresowaniach, najczęściej wydawnictwa drogie, ale też kilkanaście tomów podarowanych przez autorów, których szanowałem, z dedykacjami, od których zrobiło mi się smutno – ten kamień to lawa z Etny, banderilla z walki byków w Sewilli, gitara siedmiostrunna z Ukrainy, popatrz na te trzy Nikifory, kupiłem za grosze, orzeł z powstania styczniowego z koroną, orzeł bez korony, orzeł napoleoński, żelazny niemiecki krzyż z roku 1870, zbiór monet wyszabrowany w Spreefurcie po sforsowaniu Nysy... W głowie mi się od tego kręciło, wreszcie ulitował się i zaprowadził mnie do salonu. Fotel, koniak dla mnie, sok pomarańczowy dla niego, słone paluszki i orzeszki, na które gospodarz rzucił się jak wygłodzony. Poznasz teraz moją panią – powiedział – i zawołał:

– Lusieńko! Lusieńko!

Drgnąłem i zaraz ścisnąłem dłonie w pięści powtarzając sobie: uspokój się, są jeszcze inne kobiety o tym imieniu, nie ty wymyśliłeś to zdrobnienie, tak to sobie powtarzałem, ale i tak uważałem to wszystko razem za profanację. Weszła ona – i omal nie krzyknąłem. Ależ tak, znałem ją, tego Babusa, przeszliśmy kiedyś na ty, już nie pamiętam przy jakiej okazji, chyba to była zabawa sylwestrowa w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, wybuchnęła: „Jureczek!”, i podstawiła mi mocno wymalowany policzek do ucałowania.

– Cześć! – wykrzyknęła. – Co u ciebie słychać? Bili cię, wiem, Adam mi mówił. Adam często mi o tobie opowiada. Często, rozumiesz mnie chyba. Zawsze pozytywnie. Jak najbardziej. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Chcesz czy nie chcesz, jesteś tu naszym tematem. Często.

Pamiętałem, że kiedy raz otworzyła usta, nie umiała już ich zamknąć, nie potrafi zakończyć myśli, żeby do niej nie powrócić. Podeszła do Adama i ucałowała go. On popieścił jej

dłoń. O, k....! – zakląłem w myśli. Kochają się, pieszczą. Wiecznie sobą podnieceni. Jej namiętności się nie dziwię, bo to jednak chłop, na chodzie, niełatwo przecież o chłopa, ale co on w niej widzi, kiedy tyle młodych ciał chętnie by się przytuliło do jego willi i podróży zagranicznych? Domyślałem się co – pewien rys jego psychiki, o który dawno go podejrzewałem, teraz mi się potwierdził. Była córką przedwojennego dygnitarza – to właśnie dla Chichota było bodźcem erotycznym, mieć ją w swoim łóżku stanowiło dla tego arywisty ucieleśnienie awansu życiowego. Sięgnięcie po owoce zwycięstwa. Pognębienie sanacji i zarazem przyssanie się do niej, przyswojenie jej sobie. Nie inaczej rzecz się miała z poprzednią żoną: Hanka była wdową po generale ludowego wojska, który Chichotem jako oficerem pomiatał. Bał się tego generała i nienawidził, i zarazem uważał za półboga, kogoś, komu nie mógł sprostać. Ożeniwszy się z wdową po nim, dopuszczony został do najbardziej intymnych stref przeżyć swojego zwierzchnika. Posiadał to samo ciało (chociaż niezupełnie już to samo), słuchał tych samych jęków, szeptów, spazmów i mścił się na tamtym grzmocąc panią eks-generałową, wypierając go z jej pamięci, spotwarzając go nawet, przez co dochodziło do łez. Był jak kleszcz, który czepiał się cudzej chwały, cudzej krwi, cudzego bohaterstwa, jego emocje seksualne miały zawsze charakter pasożytniczy.

Opowiedziałem im, po co przyszedłem. Słuchali mnie z niedowierzaniem. Może nigdy nie spotkali kogoś, kto brał na serio obowiązujące prawo, odwoływał się do jego ducha, do zasad etycznych. Ja jednak nalegałem.

– Słuchaj, Adam, jesteś ustosunkowany, masz teraz okazję zrobić coś dla prostego obywatela. Lusiu, wytłumacz mu, że to może być dla niego równie korzystne, jak i dla tych ludzi.

Chichot miał kamienny wyraz twarzy. Ona spytała (tak jak to Luteńka przewidywała):

– Dobrze, ale skąd do tej sprawy ty?

– Znam ich oboje, po prostu. Ona pracuje w moim dawnym ministerstwie i wielu ekonomistów korzysta z jej pomocy. Ja też... – Żeby nie sypnąć Ludwiki, natychmiast sprostowałem: – Raczej korzystałem. Młodzi ludzie, na dorobku, planują dziecko, utrwalenie rodziny, a tu ta odsiadka, zupełnie bez sensu. Trzeba pomóc.

Adam nie odpowiadał. Za to Babus zatrajkotał. Że kto widział – że do czego to doprowadzi – pobił, złamał szczękę, rozumiesz mnie chyba, szczękę – niech odsiedzi, ma odsiedzieć, nie wiem, czy mnie rozumiesz, odsiedzieć, jak się należy, trajkotała, w więzieniu odsiedzieć, bo inaczej społeczeństwo się rozpadnie. (I tak się rozpada, pomyślałem. A ja muszę mieć ją. Walcz.) Więc społeczeństwo się rozpadnie, rozumiesz mnie chyba, społeczeństwo, a wyobraź sobie, co się dzieje, wczoraj w Delikatesach... Zaczęła opowieść o jakiejś nieuczciwej sprzedawczyni i nie można jej było przerwać. Adam słuchał tego karabinu maszynowego zachwycony, coraz bardziej podniecony i zaczęło mi się wydawać, że pod naporem tego podniecenia stół zaczął lewitować. W chwili, kiedy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, wstawiłem uwagę:

– Nie mógłbym się przymówić o herbatę?

Ależ tak, naturalnie. Podreptała do kuchni (szła pochylona, niezdarny chód demaskował jej wiek), a ja zwróciłem się do mojego wroga:

– Adam, to m u s i być załatwione. Liczę na ciebie. (Liczyć można tylko na wroga – wróg nas nie opuści, wróg nas potrzebuje.)

– Nie licz, nie zrobię tego. Słyszałeś, co Lusieńka powiedziała?

– Słyszałem: moralność, społeczeństwo et cetera. Ty wiesz, że nie o to jej chodzi. Więc o co?

– Nam się ten twój protegowany wydaje dość niepewny. Jeśli jeszcze raz narozrabia – to kto go wydobył z ula? Ja. To się może zemścić...

Wyjąłem z kieszeni kopertę z prezerwatywami, które wcisnął mi kiedyś Harry za poświadczenie jego kombatanctwa.

– Co to jest? – spytał Chichot marszcząc się. Myślał pewnie, że gotówka.

– Zajrzyj do środka – powiedziałem.

Otworzył kopertę i oczy mu się rozszerzyły („kwa-dra -towe”!).

– Cudeńka – wyjąkał. Widziałem, że musiał przełknąć ślinę.

– Sto rozkoszy – ja na to, z ogromną pewnością siebie, chociaż nigdy czegoś takiego nie użyłem. – Sprawicie sobie duży bal. – Dodałem uwodzicielsko: – No, Adam, załatw to...

Wszedł Babus z herbatą. Adam zarechotał „popatrz” i wysypał na stół zawartość koperty. Ona wykrzyknęła:

– Ohoho! Ohoho! – Przycisnęła się do niego. – Kotku, musimy to wypróbować.

– To wasze – powiedziałem.

Adam przeprosił i wyszedł do gabinetu. Słyszałem, że do kogoś telefonował. Podczas gdy on tam pertraktował, wyjaśniał, przekonywał, ona zgarniała skrupulatnie prezerwatywy do koperty, lekko zarumieniona, wszystko to wrzuciła do szuflady, w której przekręciła klucz, jakby chciała te skarby przede mną zabezpieczyć. Ja piłem herbatę pełen niepokoju. Adam wrócił do nas wyraźnie ożywiony, chwilę czyścił specjalnym papierkiem spocone okulary.

– Miałeś rację – powiedział.

– No widzisz. – Ale wciąż byłem niespokojny.

– To jest do załatwienia.

Wyjąłem podanie mojej dziewczyny i położyłem przed nim na stole.

– „Ludwika Stablińska” – przeczytał Chichot. – Twoja imienniczka, Lusieńko – zwrócił się do swojego Babusa. – Wystarczający powód, żeby pomóc.

– Tak, kotku, trzeba – potwierdziła ona.

– Ale powiedziano mi, że pan Stabliński musi przedłożyć świadectwo moralności. Musicie się o coś takiego wystarać.

– Od kogo?

– Od jakiegoś młodzieżowca.

– Pan Stabliński nie należy do żadnej organizacji.

– Może go zapisać jakoś to antydatując? Nie – zastanowił się – to by wyszło na jaw. Wystarczy, że stwierdzi, że go zna i może poświadczyć jego nieskazitelną moralność. Poznaj go z panem Stablińskim – oni dwaj najszybciej się dogadają.

– Nie znam żadnego takiego – powiedziałem. – Adam, za to ty ich wszystkich dobrze znasz. Wydostań takie świadectwo!

– Ale w jaki sposób?

– Powiesz mu, że ręczysz za faceta. Przecież jesteś kimś... Masz autorytet, wpływy.

– Nie wiem, czy wolno mi się aż tak angażować... A co, jak się tamten uprze?

– On też coś będzie z tego miał.

– Sam rozumiesz, że nie mogę mu wciskać pieniędzy.

– Ja mam coś lepszego.

Wyjąłem z kieszeni dwie talie kart, kiedyś wmusił je we mnie Charles, znajomy ekonomista belgijski, który czasem wpadał do Warszawy. Trzymałem te karty pod zamknięciem, w tajemnicy przed dziećmi, nie wiedząc, co z nimi zrobić; mogłem je oczywiście wrzucić do zsypu, ale trochę mi było szkoda, przeczuwałem chyba, że nadejdzie kiedyś ich godzina. Więc oto teraz. Chichot i jego Babus przypatrywali się kopulującym na kartach kolorowym parom i od czasu do czasu spoglądali na siebie z porozumiewawczym uśmieszkiem.

– Masz tu dwie identyczne talie – powiedziałem. – Jedna dla was, zwracam uwagę na dżokera, najbardziej wymyślny, druga dla tego pana, co ma to załatwić. Dostanie ją, jeśli wyda panu Stablińskiemu świadectwo moralności.

Dopijałem herbatę. Kobieta Chichota wrzuciła obie talie do szuflady i znowu zamknęła ją na klucz. On powiedział:

– Zadzwonię do ciebie pojutrze.

Wróciłem do rogu ringu i oparłem się o liny. Musiałem zaczerpnąć tchu przed następną rundą.

Jemirycz zmarł w sanatorium w Szczawnicy, pogrzeb miał się odbyć w Nowym Targu. Zawiadomiłem telefonicznie Ludkę, że w sprawie jej męża poczyniłem pewne starania i że wyjeżdżam na kilka dni. „A suwenir będzie?" – zapytała. „Jeśli sobie życzą." „Życzą sobie... Może tam są berety, w Warszawie o nie teraz bardzo trudno, pamiętaj, modne są białe." Nie ma wygórowanych żądań, pomyślałem. Pojechałem do Nowego Targu, uczestniczyłem w mszy, a potem, z garstką nie znanych mi osób, odprowadziłem zwłoki Jemirycza na cmentarz. Krocząc w kondukcie rozmyślałem o swojej pierwszej chacie w jego mieszkaniu – może to ona wyznaczyła wszystko, co nastąpiło potem. Nie udało się szczęście po trupach, mój dobry Janku, szkoda, że nie mogę się pochwalić przed tobą szczęśliwym finałem całej tej historii. Kiedy opuszczano trumnę do grobu, spostrzegłem wśród pochylonych głów dwie znajome, młodego brodacza i starego Pickwicka, pojęcia nie miałem, że także Jemirycz z nimi współpracuje, umiał więc milczeć. Opowiedziałem im o powierzonych mi maszynopisach i ustaliliśmy, że oni to ode mnie przejmą i zorientują się, do czego to się nadaje. Była to rzeczowa, trzeźwa rozmowa, podczas której szybko podejmowaliśmy decyzje, po czym przeszliśmy do tego, co ja dla nich zrobię. Nikt by się nie domyślił, słuchając mnie, że jestem obłąkany. A ja rozmawiając z nimi, niepokoiłem się, czy znajdę w Nowym Targu biały beret. Nie spostrzegli tego i pożegnali się ze mną, jak z człowiekiem, na którym można polegać. Potem biegałem po Nowym Targu szukając białego beretu. Znalazłem w końcu, kosztował pięćdziesiąt dwa złote, miałem dla Ludwiki obiecany „souvenir".

Nazajutrz pojechałem na Śląsk, do małego miasteczka, w którym w kilka lat po wojnie schroniła się moja matka. Prowadziła tu skromny, może nawet ascetyczny tryb życia. Posyłałem jej regularnie pewną drobną sumkę, ale nie tego się ode mnie domagała. Nawet nie tego, żebym ją odwiedzał. Żądała czego innego: satysfakcji z mojej kariery. Żądała moich sukcesów, pozycji, nazwiska. Przekonałem się o tym, kiedy, po jakiejś awanturze z Sarą, przyjechałem do miasteczka z mocnym postanowieniem, że z nią zostanę, otoczę opieką, nie będzie więcej samotna – uczynię to, co Syn powinien dla Matki uczynić. Nie wydawała się tym jednak poruszona. Raczej wyczułem zakłopotanie. Zauważyłem, że wymiguje się w tym okresie od odwiedzin („pani Wilkotowa, niechże pani pokaże swojego syna"), właściwie to mnie przed ludźmi ukrywała. Zrozumiałem wtedy, że jestem jej potrzebny nie tu – skromny, zabiedzony, przegrany, ale tam, w Warszawie – zwycięski, nieco mityczny syn, o którym można było rozprawiać („a mój Jureczek, niech sobie pani wyobrazi, jest doradcą ministra"). Rozczarowałem ją, myślałem idąc z bukietem róż cmentarną ścieżką. Odnalazłem jej grób, był nieźle utrzymany, to chyba jej dawne kumy z Domu Starców się nim opiekowały, na kamiennym krzyżu, który kazałem w swoim czasie wystawić, był wyrzeźbiony napis: S.P. EWA WILKOT. Położyłem kwiaty u stóp krzyża. Mamo, szepnąłem, mamo. Zobaczyłem siebie, sześcioletniego chłopca owiniętego w prześcieradła po kąpieli, leczono mnie w ten sposób ze szkarlatyny, mama trzymała to zawiniątko na kolanach i kołysała nucąc, chyba płakała... Poczułem, że coś we mnie mięknie, że nie mam sił się opierać, muszę wyznać jej wszystko, najgłębszą, najbardziej ukrywaną prawdę:

– Mamo – szepnąłem. – Mamo, ja już nie mam sił... Nikt o tym nie wiedział, wszyscy myśleli, że jestem nie do zdarcia, tylko jej zwierzyłem tę prawdę. Róże leżały u moich stóp marznąc, napis EWA WILKOT przypatrywał mi się smutnymi, wpadniętymi oczyma mojej matki.

– Mamo – powiedziałem – ja się wykańczam. Tobie jednej mogę to wyznać: to wszystko jest dla mnie za trudne. Ten Chichot, odsiadka jej męża, ta cała walka... ciągła huśtawka, z chłodu w żar... a dookoła tylu wrogów, nie mam pracy, muszę mieć pieniądze, piszę doktoraty, żyję w ciągłym upokorzeniu, milczę o tym, i nikt mnie nie podtrzymuje, nikt nie podeprze, nikogo nie interesuje, co się ze mną dzieje... Także i jej nie... A tak ją kocham, mamo,

tak opętańczo kocham – ginę od tego – pomóż mi, błagam, zrozum mnie – nie nadaję się do tego ich świata, nie nadaję się do tej miłości, nie nadaję się do tej dziewczyny... O, mamo!

Potem już milczałem i tylko łzy spływały mi po policzkach. Usłyszałem kroki na śniegu i pośpiesznie otarłem oczy i twarz. Szedł grabarz, młody człowiek w żałobnym uniformie. Stanął za mną i czekał. Wskazałem na grób matki i dałem mu bez słowa dwieście złotych. Skinął głową. A ja odchodząc przypomniałem sobie pewien sceptyczny dowcip żydowski o grabarzu, słuchającym biadolenia matki nad grobem ośmioletniej córeczki, przebiegłem w myśli całą tę anegdotę, aż do smutno-zabawnej puenty – i uśmiechnąłem się do siebie. Ten mój uśmiech, zaraz po tamtej rozpaczy, zastanowił mnie: więc żaden smutek nie jest ostateczny, więc wciąż jestem (a może i do śmierci będę) wyczulony na komiczną stronę naszego ziemskiego więzienia, więc mój mózg wciąż działa (zapewne ze starego nawyku), nawet na dnie rozpaczy nie jest w stanie uwolnić się od refleksji, skojarzeń, oceny. Odnotowałem to w myśli nie jako osobliwość, nie jako coś swoistego dla mnie, ale jako pewną właściwość egzystencjalną, wszystkim nam wspólną.

Znowu na kwaterze. TUTAJ RZĄDZI LUTEŃKA. Zapalałem i wyłączałem płomień pod czajnikiem, biegłem do drzwi, nasłuchiwałem, otwierałem je – buchał mdlący chemiczny zapach, tłum kobiet kłębił się w korytarzu oczekując przydziału pracy – zamykałem drzwi, wyżlica Aga warczała niespokojnie, udziela się jej moja nerwowość, pomyślałem, psy to odczuwają, a zresztą może i Aga tęskni, tak, na pewno tęskni do jej pieszczot. Zadzwonił telefon, porwałem słuchawkę, usłyszałem „Cześć, lecę" i zaraz „proszę czekać, będzie rozmowa, proszę czekać" – i trzask odkładanej słuchawki. Nie widziałem jej kilka dni, a rozdygotany byłem, jakbym wracał z tamtego świata. Spojrzenie na stół: czekolada, koniak, beret. A jeśli się nie spodoba? Idioto, zapomniałeś o czajniku: pobiegłem do kuchni, kipiał, w porządku, nic się nie spaliło, zalałem herbatę wrzątkiem. Potem warowałem u drzwi nasłuchując. Usłyszałem kroki, jej kroki, nie czekałem już na dzwonek, otworzyłem drzwi – stała przede mną w krótkim ciemnym kożuszku, w chuście na głowie – porwałem ją w ramiona, pachniała mroźnym powietrzem i delikatnym zapachem perfum. Trzymałem ją w objęciach niezdolny wypowiedzieć słowa, ona: „cześć, daj odsapnąć", ja wciąż ją tuliłem do siebie: „jesteś tu, jesteś, już nie wierzyłem, że będziesz", a ona: „wariacie, aż tak się stęskniłeś?"... Za drzwiami salonu zaskomlała Aga, musieliśmy tam wstąpić, żeby mógł się odbyć, ceremoniał pieszczot, merdania, pochrząkiwań, potem przeszliśmy do nas. Zobaczyła beret, wykrzyknęła:

– Kupiłeś! Ty naprawdę jesteś niezawodny... Mierzymy!

Zdjęła chustę i założyła beret, nieco na bakier. Potem spojrzała pytająco na mnie.

– Ślicznie – zachwyciłem się. – Trochę jak smarkula. – I dodałem: – Tylko tak haniebnie tanie... Ale dobrze ci w tym.

– Chyba dobrze – przyznała.

Pomagałem jej zdejmować kożuszek. – Że też pamiętałeś – mruknęła.

– Jakże mogłem nie pamiętać.

– Ja sobie tak palnęłam, a ty... – Siadła przy stole, podsunąłem jej herbatę i czekoladę. Pycha! Pogładziła moją dłoń. – Herr Doktor, jestem wzruszona.

Cóż miałem powiedzieć. Przycisnąłem usta do jej dłoni. Ona rozwichrzyła mi palcami włosy.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – odezwała się.

Zamarłem. (Zecki! Nie, Łysy...)

– Proszę – bąknąłem.

– Brakowało mi ciebie – usłyszałem. – Dobrze, że wróciłeś.

Całowałem jej usta, ona przymykała z rozkoszą oczy. Poprosiła:

– Zostaw mnie, mam mało czasu.

– Więc kiedy?

– W przyszłą sobotę. (Cholerna sobota – pomyślałem od razu.) Całe popołudnie nasze.

– Nie – powiedziałem – znowu będzie klapa.

– Dlaczego? Chyba się mnie już nie boisz?

– Nie, nie, nie – broniłem się rozpaczliwie. – Musisz przychodzić częściej, ile się da, najlepiej codziennie, twoje przyjście nie może być uroczystością, na którą oczekuję w uniesieniu, zalękniony, musisz mi spowszednieć, rozumiesz? – Świdrowała mnie oczyma, podczas gdy ja jej tłumaczyłem: – Twoje nagie ciało musi dla mnie przestać być świętością, którą boję się zbezcześcić („och, co ty wygadujesz!" – żachnęła się), ależ tak jest, to musi być coś bliskiego, znajomego, oswojonego, wtedy moje reakcje staną się automatyczne, normalne reakcje mężczyzny na ciało kobiety, a nie przeciwstawne, tak jak teraz.

Nie byłem pewny, czy zrozumiała, o co mi chodzi. Może jednak wolała pozostać świętością? Mimo to potulnie zgodziła się:

– Dobrze, będę wpadać, ile się da.

– I przebierać się w tę kieckę.

– I przebierać się w tę kieckę – powtórzyła za mną.

Wciąż nie było mowy o mężu. Zabierała się do wyjścia, kiedy ją zapytałem:

– Miałaś sygnał w sprawie Wojtka?

– Ach, tak, nie chciałam cię martwić...

– Martwić, czym?

– Darowano mu karę.

Ścisnąłem jej dłonie.

– Luteńko, gratuluję.

Zerknęła na mnie nieufnie:

– Ty naprawdę się nie martwisz?

– Naprawdę. (Więc myślała, że udaję.) Przecież ja to załatwiłem.

– Wiem: poświęciłeś się dla mnie.

Nie, chciałem powiedzieć, zrobiłem to dla siebie. Ale nie powiedziałem tego: bądź lisem, bądź przebiegły, to jest walka, a w walce trzeba używać forteli, pułapek – kochasz ją, tak, ale nie musisz być szczery we wszystkim. Jeśli coś musisz, to wygrać. Powiedziałem:

– Poświęceniem nie zdobywa się kobiety.

– Popatrzcie, jaki doświadczony! – Spojrzała na mnie szelmowsko. – A czym? Proszę mi powiedzieć, niech i ja się dowiem.

Chwilę się zastanawiałem.

– Sobą – powiedziałem wreszcie. – Całym sobą. – Czekała na ciąg dalszy, bo najwidoczniej ta odpowiedź jej nie zadowalała, była zbyt wieloznaczna. Więc dodałem: – I nią. Trzeba ją odgadnąć.

Tego już nie skomentowała. U drzwi rzuciła:

– Jutro o tej samej porze.

Dotrzymała obietnicy. Wpadała prawie codziennie, przebierała się w ciemnośliwkową kieckę, pod którą była naga, wsuwaliśmy się pod kołdrę, potem od pieszczot robiło nam się nieznośnie gorąco, zrzucaliśmy kołdrę, ze mną było na ogół wszystko w porządku, ale nie korzystaliśmy z tego, to ja się wzbraniałem, jeszcze nie – myślałem ze strachem – zegarek na stole, czasu nie ma, lepiej tak jak teraz, mocno trzymać ją w objęciach, odczuwać jej pożądanie, jej niespokojny oddech, niecierpliwie błądzącą dłoń, obrzmiałe piersi, wyczulone sutki. Niezaspokojenie sprzyja tym razem mnie: ona też nie może się doczekać tego spełnienia. Spytała kiedyś gorączkowym szeptem:

– Wiesz, dlaczego tu znowu jestem, domyślasz się tego?

– Nie.

– Bo walczyłeś o mnie. Widziałam, jak walczyłeś. Och, nie patrz tak na mnie!...

– Jak?

– Jak Tatarzyn. Czasami boję się twojego spojrzenia...

– Przepraszam, nie panuję widocznie nad nim.

– Nie przepraszaj... Ciarki mnie przechodzą – szepnęła. I znów powiedziała: – Prawda, że o mnie walczyłeś?

– Wciąż walczę – powiedziałem.

I przegrałbym tę walkę, gdyby nie ty. Wszystko było i wciąż jest przeciwko mnie. Ale ty jesteś po mojej stronie, myślałem. Wzięłaś na siebie dwie role: jesteś tą, o którą walczę, uczestniczką i ofiarą mojej miłości; wygrywasz, przegrywasz, niecierpliwisz się, płaczesz, zrywasz ze mną, nawiązujesz. Ale z drugiej strony – trochę jakby z boku – kibicujesz mi. Przyglądasz się moim zmaganiom fachowym okiem, jak bokserowi w ringu. To ty jesteś moim sekundantem. Brawo, Herr Doktor, ta prosta była w sam raz. Dobry blok. Udany unik. Brawo. Dzielny jesteś. Teraz odskok i do przodu. Za ciosem. I cieszysz się, kiedy mi się udaje, kiedy wykazuję formę; Stawiasz na mnie wtedy: rycerz w twoich barwach.

Przychodziła jednak coraz bardziej zasępiona. Coś ją najwyraźniej trapiło. Czułem się, jak zwykle, winny, więc w końcu spytałem, co ją gnębi. „Co cię to obchodzi?" – zareagowała opryskliwie. „Mogę mieć swoje sprawy." I kiedy dalej nalegałem, powiedziała, żebym się odtranżolił. Nie krępowała się przy mnie w słownictwie, o które by nie podejrzewał jej żaden z wielbicieli – ani Łysy, ani docent Zecki, ani ja z okresu zalotów do wyniosłej pani. Nie tylko nie krępowała się, ale mogło się wydawać, że sprawiało jej satysfakcję epatowanie mnie używaniem pewnych słów. Może próbowała wytrzymałości mojego uczucia, jak nakładaniem ciężarów próbuje się elastyczności liny stalowej? Pęknie czy się ugnie? Jeśli to było tak, to wychodziła z tych prób zwycięsko. Rąbnie coś ostrego – a ja nic, kocham; coś fekalnego – ja kocham; coś ordynarnego – wciąż kocham. Nic nie jest w stanie zmącić i pomniejszyć mojej miłości. Pigmalion na wywrót: to ona wychowuje swojego Profesora, każe mu się pogodzić z młodzieżowym żargonem, nauczyć się języka pokolenia. Tylko że te słowa w jej ustach nigdy nie ziały fetorem, przeciwnie, rozkwitały przedziwną, barwną wesołością, miały soczystość i zapach czereśni. Może używanie, tych słów, myślałem czasem, jest dowodem zaufania do mnie, manifestacją bliskości. Ale kiedy ja chcę jej w tym dorównać, ona nieoczekiwanie chmurzy się. Ostry jeżyk w jej ustach – to bezpośredniość, otwartość, pulsujące życie. Podczas gdy u mnie jest to próba przystosowania się, coś wyspekulowanego. Zwróciła mi uwagę, kiedy odezwałem się jakimś czteroliterowym słowem:

„Nie mów tak. Nie chcę tego słyszeć." „Ale przecież ty sama..." „Ja? – Prawie się zdziwiła. – No dobrze, schamiałam. Ale to do ciebie nie pasuje." Miała więc jakiś pogląd na to, co do mnie pasuje, a co nie, i chyba nie najgorszy. Chociaż tym samym umieszczała mnie w innym świecie, nie w tym, gdzie przebywała na co dzień i który był jej najbliższy. Ale może dlatego miałem dla niej jakąś wartość, że nie byłem z tego jej świata? Była to wymiana usług (jak zawsze zresztą w obcowaniu dwojga): ja wdzierałem się do jej świata, żądny jego najgłębszych tajemnic, ona dzięki mnie (jak jej to sam kiedyś przebiegle podsunąłem) zyskiwała nową przestrzeń życiową. Więc nie buntuj się, przyjmuj z pokorą to, co ona ci wyznacza.

Nie nalegałem więcej, by mi wyjawiła powody swego smutku, to ona sama mi w końcu powiedziała:

– Chyba jestem w ciąży.

Cios w splot słoneczny. Na chwilę bokser stracił oddech. Wciąż zapominam o tym, że jest cudzą żoną, że mają wspólną sypialnię z poduszkami, prześcieradłami i kołdrami, że tam ktoś ma do niej legalne prawo, do jej ciała, do swojego wytrysku w niej. Rzadko o tym rozmyślałem – samoobrona, rozumiem to – odpędzałem te myśli, nie dopuszczałem do rozbujania się wyobraźni, jakby to, że jej życie płciowe przebiega z innym, nie miało żadnego znaczenia. (Tylko o tyle, o ile wpływa na jej stosunek do mnie.) Dążenie do wyłączności fizycznej – aksjomat nieledwie w obyczajowości śródziemnomorskiej – nie musi iść w parze z opętaniem miłosnym. Kochając tak, jak ja kocham, godzę się na ochłapy, okruchy weselnego tortu – byle nie być całkiem jej pozbawionym, byle czasem uzyskać jej uśmiech, czulsze spojrzenie,

trochę pamięci. Ci romantyczni poeci, którzy będąc chudopachołkami i nie mogąc poślubić swoich bogatych wybranek, puentowali wiersze miłosne westchnieniem, że „niech inny poślubi twe ciało, mnie oddaj swą duszę", nie byli może ani tacy obłudni, ani tacy idioci, za jakich dotychczas ich uważałem.

Zapłodniona. Chyba ją straciłem, pomyślałem tuląc ją do siebie. Leżeliśmy na twardym tapczanie, ona w tej kiecce, ja gładziłem dłonią jej zapłodniony brzuch. Nigdy nie widziałem jej płaczącej, teraz poczułem jej gorące łzy na swoim policzku i usłyszałem skargę:

– Powiedz, dlaczego on mnie nie kocha?

Tak, tego się spodziewałem. To jest jej główny ból: że ten mąż nie kocha należycie. Tak jak, powiedzmy, ja. Uświadomiła to sobie może właśnie dzięki mnie. Moja jedyna szansa, pomyślałem któryś już raz. Ale może on ją jednak kocha, tylko w innej konwencji. Różnica pokoleń! Konwencja mojego pokolenia sprzyjała mojej sprawie. (Do czasu.)

– Dlaczego tak myślisz? – spytałem.

Nie odpowiedziała. Nie zanosiła się łkaniem, tylko oczy miała napełnione łzami, spływały po jej policzkach, ja je scałowywałem.

– Nie chcę się skrobać – mówiła. – To okropne... – Szepnęła: – Wiesz, ja chcę mieć tego dzidziusia, bardzo chcę.

Przytuliłem ją mocniej do siebie. Poszukałem jej ust, podała mi je z westchnieniem, zatopiliśmy się w pocałunku, dzięki niemu, dzięki temu, że została zapłodniona i że on nie jest z tego powodu wniebowzięty. Męczyłem się z pożądania, ona to poznała, szepnęła, „jaki twardy", i uśmiechnęła się do mnie przez łzy. Powiedziałem:

– Urodź.

– Nie mogę.

– Urodź. Miej swojego dzidziusia. – (Punkt dla mnie, pomyślałem.) – Ty o tym decydujesz. To twoje ciało i twój brzuch.

Teraz dopiero się rozszlochała.

Uniosłem się na łokciu i przyglądałem się jej płaczącej. Wcale nie jesteś teraz piękna, pomyślałem, opuchnięta, rysy twarzy stały się asymetryczne, biedna małpeczko, tak bardzo cię kocham. Wyobraziłem sobie jej obrzmiewający brzuch, moja wyniosła księżniczka zdeformowana, przyciszona, wsłuchana w poruszenia płodu, który się w niej rozrasta – i poczułem ogromne podniecenie, a zarazem tkliwość dla tego brzucha i dla dziecka, które ona urodzi. Cóż to ma za znaczenie, że jakiś truteń spełnił swoją funkcję i odfrunął? To jej brzuch, jej soki, jej dziecko, mleko z jej sutek, to ona sama, ona w pełni swojej kobiecości, ona brzuchata, ociężała, bezbronna, wymagająca opieki, ukochana. Wodząc czułą dłonią po jej brzuchu, szeptałem: – Urodź, urodź... będę kochał to dziecko... będę kochał do szaleństwa... – Całowała mnie płacząc, rozczulona, a ja powtarzałem: – To twoje dziecko... twoja ciąża... najważniejsze, że to twoje... Wytarła łzy, pewno pomyślała: „Czemu on mnie tak nie kocha?" Dźwignęła się z tapczanu.

– Idę, muszę wstąpić jeszcze do poradni po wyniki.

Pozbierała się szybko, sprawnie, jak zawsze. Kiedy była gotowa, spytała z uśmiechem:

– Więc wziąłbyś mnie z jego dzieckiem?

– Naturalnie.

– Wariat... – Zareagowała jak zwykle, kiedy była rozczulona. Ale dzisiaj to chyba było mocniejsze niż kiedykolwiek. Uśmiech znikł, wydało mi się, że pobladła.

– Nie, ja jestem normalny – powiedziałem. – To wszyscy inni są wariaci. Mówiłem więc to, co zwykle mówią ludzie obłąkani. Ale ja naprawdę nie wątpiłem, że moja postawa jest bardziej racjonalna niż ta powszechnie przyjęta. Będę ją miał, pomyślałem z tłukącą w skroniach nadzieją. Wyniki analizy potwierdzą, że jest zapłodniona, że brzuch będzie nieuchronnie obrzmiewał, ten fétus tam w środku, ten embrion rozrastający się, rozpychający ją, odda mi Ludwikę, przesunie z tamtej sypialni do mojej sypialni, do mojej kuchni, łazienki, szaf,

książek. Luteńka u mnie i ze mną! Wakacje – kino – teatr – wspólna wędrówka po mnie tylko znanych zaułkach Madrytu, Rzymu i Paryża. Zapędzi mnie do roboty (do arbeitu!). Szał kupowania: otwarcie, nic nie trzeba „wciskać" – podoba ci się? bierz, nasze! Nie posiadałem się z radości. Wyobraźnia już pracowała na pełnych obrotach. Będzie to miała co wieczór, obiecywałem sobie, będzie zasypiać zdrowym mocnym snem zaspokojonej kobiety. Zegarek przestanie być naszym wrogiem. Jej rodzina będzie się boczyć, może nawet wyrzeknie się jej. Przyjaciele, wszystkie te Poldki, Krystki, Małgi – wszyscy będą oczywiście mieć za złe. Dziecko przypiszą mnie. (I bardzo dobrze.) Łysy, rozżalony, że to nie on, przyśle jednak wspaniałomyślnie kwiaty (wciąż mając nadzieję, że co nie udało się z żoną pana Stablińskiego, uda się może z żoną Jurka Wilkota). Docent Zecki niemile zaskoczony. Ten z Włoch i kilku innych będzie ją namawiać, żeby zdradziła męża (mnie). Idalka zgorszona: pani Ludka zlekceważyła ślub, poszła do byle kogo, do tego Wilkota, z którym ona od ćwierć wieku jest na ty. Papież, rzecz prosta, nasępi brwi – pomyślałem nagle – ponieważ, co Bóg złączył, to tylko Bóg rozłączy. W tej formule nie ma miejsca na poszukiwanie szczęścia. Jest to doktryna małej wiary – myślałem zbuntowany (bo nieoczekiwanie zagrożony) – tak, małej przyziemnej wiary Kościoła, który w obronie porządku społecznego, rodziny, maluczkich, sam staje się maluczki. Tak, jakby człowiek był w swoim wyborze od razu nieomylny! Tak, jakby człowiek, który – jeśli jest wierzący – szuka przez całe życie zbliżenia do Boga, nie powinien również szukać tej naprawdę mu Przeznaczonej, tej rzeczywistej Małżonki, tego wcielenia siebie w drugiej istocie, z którą tak często się mijamy, która czasem nawet (jak w moim wypadku) należy do innego pokolenia. Prawdziwa wiara – a nie ta sformalizowana (i uporządkowana na rzecz wymogów społecznych, rozumianych raczej konformistycznie) – ta wiara powinna żądać od małżonków czegoś więcej niż reprodukcji potomstwa w pokorze, a czasem i w grzechu nienawiści. Celem jej jest – czy powinna być (wsłuchajcie się w słowa Jezusowe!) – Miłość, a tej trzeba szukać. I zmagać się o nią. Walczyć. Tak jak ja walczę, pomyślałem i poczułem się ogromnie znużony. Wiedziałem, że nie będę mógł zasnąć. Zażyłem duże relanium, żeby się oszołomić, szybciej dotrzeć do jutra. Próbowałem znaleźć tekst, który mógłbym czytać bez oporu, zanim powieki mi opadną. Już dawno odrzuciłem Eklezjastę. Księga Hioba, która przez pewien czas mi towarzyszyła, nagle wydała mi się czymś dalekim. Nie, nie jestem owrzodzonym Hiobem, myślałem szorując szczoteczką zęby, nie straciłem wszystkiego i wszystkich, choć i ze mnie szatan zakpił, ugodził mnie i wciąż odczuwam ból. Otworzyłem Pod *wulkanem* tylko po to, żeby powtórzyć kilkakrotnie, wzruszonym szeptem: No se puede vivir sin amar. Gdyby to nie było po hiszpańsku, pomyślałem, brzmiałoby jak refren tanga, więc niby coś wytartego, banał, ale – Chryste! – jak to we mnie uderza, jak się wdraża (i jeszcze ta hiszpańszczyzna, język moich młodzieńczych zmagań, utraconego raju, język naszej nadziei, teraz wzrusza mnie bardziej niż kiedykolwiek przedtem) – nie można żyć bez miłości, Luteńko, słyszysz? – no se puede vivir sin amar – nie mogę, nie mogę bez miłości, bez twojej miłości, bez mojej miłości, bez twojego pozwolenia na moją miłość, nie mogę, nie mogę.

Przybiegła nazajutrz, podenerwowana, zmęczona, spragniona herbaty, ja podawałem pośpiesznie, co trzeba, na stół, ona przebierała się bez słowa. Już domyślałem się, że jest źle, zaproponowałem trochę koniaku dla animuszu, ona mruknęła „może być". Spytałem:

– To co, za twojego dzidziusia?

– W jaki sposób? – Musiałem strzelić irytujące głupstwo, bo odpowiedziała złym głosem: – Nie mogę go mieć. Wyrzuci mnie z nim z domu.

„Pójdziesz do mnie" – trzeba było powiedzieć. Ale z jej miny zrozumiałem, że nawet przez myśl jej to nie przeszło. Powiedziałem:

– No to zdrówko.

Zdobyła się na uśmiech. Wypiliśmy, a potem ja spytałem:

– Więc jak wynik?

– Ciąża – odpowiedziała. Zachmurzyła się; – Nie wiem, jak do tego doszło.

Sięgnęła do torebki, wyjęła druczek i rozpaczliwym gestem rzuciła na stół. Zerknąwszy przeczytałem, że jakiś tam odczyn dał wynik negatywny.

– Kto ci powiedział, że jesteś w ciąży? – spytałem.

– Nikt. Przecież umiem czytać.

– Nie jestem pewny. Tu pisze, że wynik jest „negatywny". Może to znaczy, że ciąży nie stwierdzono?

Spojrzała na mnie zaskoczona. Ja tłumaczyłem:

– Badanie miało wykazać, czy jest ciąża – to tylko ty przyjęłaś, że takie badanie ma wykazać, że nic się nie zdarzyło. Więc skoro wynik jest negatywny...

– Herr Doktor, ty coś kombinujesz !

Widziałem, że jest ogromnie ożywiona. Szturchnęła mnie w ramię.

– Dowiedz się, proszę cię! Masz chyba jakichś znajomych lekarzy? Rusz głową!

– Nie trzeba lekarzy – powiedziałem. – Mam przyjaciela, który wie o tych sprawach wszystko.

Chociaż Czarek, mój „stary mądry Żyd" nie będący Żydem, poślizgnął się ze mną, wykręciłem numer jego telefonu. Miałem szczęście: zastałem go w domu. – Ach, Jurek! Pewno ci szczęka odpadła! – Nie – mówię – chciałem ci zadać pytanie. – Proszę bardzo, nawet kilka. – Spytałem, czy wie, co znaczy, że odczyn dał wynik „negatywny".

– To znaczy, że ciąży nie stwierdzono.

– Ach tak, świetnie. – Zawołałem do Ludki, która przywarła spojrzeniem do moich ust: – Nie ma ciąży!

Ludka wykrzyknęła radośnie, a mój przyjaciel spytał:

– A co słychać z tamtą sprawą? Odpowiedziałem:

– Chyba nieźle, skoro zadaję ci takie pytania.

Ludka usłyszawszy to roześmiała się, a on powiedział:

– No to gratuluję. Cieszę się. Nie miałem wątpliwości, że tak będzie. Wpadnij któregoś pięknego dnia na pogawędkę!

Odłożyłem słuchawkę, roześmiana Ludka objęła mnie.

– Powiedziałeś, że to twoje?

– A co mi szkodzi? Pochwaliłem się!...

Ja też się śmiałem, jakbym spłatał komuś (nie wiem, komu) znakomitego figla. Powiedziała wciąż mnie obejmując:

– Strasznie ostatnio zyskałeś, wiesz o tym?... Wiedziałem. Teraz on cię nie wyrzuci z domu i będziecie mogli dalej to uprawiać. Mój Czarek rozwiał obawy, ja przyjąłem zapłodnienie na siebie. Najwierniejszy z przyjaciół. Przeszedłem wszystkie kręgi masochistycznego czyśćca. Gdzie moja duma męska, gdzie moja sława mołojecka? Ludka, roziskrzona, zaproponowała: – Dopijemy, co?

Wypiliśmy i zaraz potem ona nagle dotknęła swojego brzucha, pobladła i z paczką waty wybiegła do łazienki. Nalałem sobie jeszcze koniaku. Zobaczyłem via Principe Amedeo w Rzymie, hotelik, w którym lubiłem się zatrzymywać, mój pokój z niebieskimi obiciami i niebieską kapą na podwójnym łożu. Szedłem potem placem Esedra, obok fontanny otoczonej przez nagie figury muskularnych, biodrzastych kobiet – z których jedna przypominała kształtami Sarę, pewno dlatego, że za nią tęskniłem – szedłem do sklepu signora Bomby, u niego kupowałem owocowe jogurty. Uciec dokądś, gdzie mnie nie znają. Neapol, nie kończący się wąski kanion ulicy Tribunali. Błądzić po mało uczęszczanych zaułkach Paryża. Nierozpoznany, anonimowy. Wmieszać się w kolorowy, migoczący młodością tłum na bulwarze Saint-Michel. Sam, sam – nigdy nie będzie moja, nigdy nie będę szczęśliwy. Wróciła z łazienki poszarzała na twarzy.

– Co z tobą? – spytałem. Westchnęła.

– Nie ma już dzidziusia.

– Aha.

– Mam dreszcze. – Dotknęła brzucha. – Ból mnie rozdziera.

– Połóż się.

Położyła się, przykryłem ją kocem. Leżała z przymkniętymi oczyma. Ja siedziałem obok wpatrując się w jej obolałą twarz. Opuchnięte wargi poruszyły się. Usłyszałem ciche:

– Chodź do mnie.

Wsunąłem się pod koc. Przytuliła się do mnie i znowu poczułem na policzku jej słone, ciepłe łzy.

– Jesteś taki inny – szepnęła. – Taki dobry...

Wszystko przez porównanie z nim, pomyślałem zgnębiony. Powiedz: pragnę cię, pragnę twoich ust, twoich dłoni, pieszczot, twojej męskiej piersi. Nie mówiła nic, ale jej usta poszukały moich ust. Łzy wyschły. Byłem w rozpiętej koszuli i płóciennych spodniach, zrobiło się gorąco, odrzuciliśmy koc, pieściłem jej nagie ciało pod sukienką, jej policzki gorzały, dłoń zaczęła wędrować po mojej piersi, potem sięgnęła w dół, do miejsca, w którym czułem bolesny ucisk, chwilę pieściła odczuwając twardość poprzez materiał spodni, tak jak wtedy w lesie, ale tym razem mój wróg nie stchórzył, nie cofnął się do jamy, jeszcze bardziej zhardział i się wyprężył, rwał się do wolności, Ludka systematycznie odpinała guzik po guziku, poczułem tam w środku drgające rozkoszą ciepło jej palców – i oto wolność, ptak wyrwał się z klatki, ptak wyzwolony i pyszny jak posąg. Uniosła się na łokciu, widziałem, że patrzy zafascynowana w to miejsce, usłyszałem szept bliski jęku:

– Jaki piękny...

W głosie był bolesny zachwyt. Więc nadaję się! – pomyślałem od razu. Więc się dopasujemy! Piękny, piękny – mój wróg, ten nędzny tchórz – teraz piękny, fascynujący, w sam raz dla niej. Byłem zrehabilitowany. Męski męstwo mężczyzna. Teraz lęki muszą opaść. Szepnęła:

– Wszystko będzie dobrze, prawda, kochany?

– Tak.

– Już się mnie nie boisz?

– Nie boję się.

A jeśli to dlatego, że dziś nie można? Ale zaraz odpędziłem tę myśl: nie, tamto już się nie powtórzy, jest piękny, to najważniejsze, nie mam czego się bać. Ona pierwsza powiedziała:

– Wstańmy już, zamęczysz się.

Jeszcze chwilę korzystałem z udręczającej słodyczy jej sutek. Potem ubieraliśmy się w milczeniu. Dopijaliśmy herbatę przegryzając czekoladą. Ja wyjąłem kalendarzyk.

– Luteńko, zbliżają się twoje imieniny.

– W niedzielę.

– A my kiedy je odprawimy?

Zrobiła przebiegłą minę.

– W sobotę. Tutaj.

Bloody Saturday. Ale tym razem się nie boję.

– Uda ci się wyrwać?

– Układy są sprzyjające. – Znów ta przebiegła mina.

– Co ci kupić? Z okazji imienin można by ci chyba kupić coś droższego.

– Pantofle – powiedziała po prostu.

Mowy nie było, żeby znaleźć w sklepie coś odpowiedniego. Pojechaliśmy na bazar, gdzie przekupki handlowały towarem przywiezionym z zagranicy. Ludka i tutaj z trudem znalazła coś dla siebie. Dwaj zalani faceci, którzy przebierali w dżinsach przy straganie obok, zagapili się na jej nogi. Zapłaciłem, a Ludka powiedziała:

– Trzymaj to u siebie, zabiorę w sobotę.

Szliśmy potem do przystanku tramwajowego, a ja nie czułem ani wzruszenia, ani zwykłej u mnie radości, że jestem obok niej. Pomyślałem sobie, że i te pantofle kupowałem jakby już z pewną rutyną, prawie że rozmyślając o czymś innym (o cenach, o naszym modelu gospodarczym), bez tego podniecającego bicia serca, jakie zawsze odczuwałem, kiedy ją obdarowywałem. Przemarzłem czekając z nią na tramwaj i kiedy wreszcie nadjechał, poczułem ulgę. Patrzyłem za nią, jak się oddala i miesza z tłumem napierających na wejście. W jej wydłużonej sylwetce uderzyło mnie nagle coś obcego. Była tak całkowicie sobą, tak innym osobnikiem, tak swoją osobnością pochłonięta, że wydała mi się jedną z wielu, kimś nieznajomym i zarazem kimś, na którego odgadnięciu specjalnie mi nie zależało, a to, że nas tyle łączyło (bo wiedziałem, obiektywnie niejako, że dużo nas łączy), wydało mi się raczej przypadkowe, ot, zbieg nieodwracalnych okoliczności. Coś zimnego było w tej wysokiej pani w długim, ciemnofioletowym palcie – zrozumiałem, że to we mnie wzbierała oziębłość, której nie potrafiłem sobie wytłumaczyć. Wracałem na kwaterę z jej pantofelkami w paczuszce, zgorszony sobą. Oddalanie się tej dziewczyny wzbudzało we mnie zazwyczaj rozpaczliwy przypływ tęsknoty. Zawsze chciało mi się biec za nią i wołać: nie oddalaj się! zostań! jeszcze trochę! Tym razem spoglądanie za nią wzbudziło refleksję pełną zdziwienia: czy ja aby naprawdę ją kocham?

Czułem w ustach niesmak, jakbym rozgryzł coś gorzkiego. Nie lubiłem teraz swoich myśli. Na stole w pokoju leżała napoczęta tabliczka czekolady: rzadko pozwalałem sobie na łasowanie bez Ludki, ta odrobina powściągliwości stanowiła jeszcze jedną manifestację mojego uczucia. Tym razem pochłonąłem w pośpiechu resztę czekolady i popiłem wystudzoną herbatą. Potem postawiłem pantofle na biurku i przyjrzałem im się z uznaniem. Zostałem prawie bez grosza, będę musiał w nocy trzaskać na maszynie. „Dla ciebie" – szepnąłem, ale głos mój zabrzmiał bezdźwięcznie, a słowa tylko rzeczowo. Dlaczego przez tyle czasu było takie ważne, żeby w tym łóżku znalazła się właśnie ona, żeby móc całować te właśnie usta, żeby wydrzeć krzyk rozkoszy z tej, a nie z innej dziewczyny? Nie umiałem teraz na to odpowiedzieć. Miałem oczywiście świadomość, że do dziś to było najważniejsze i że nie wyobrażałem sobie życia bez krążenia wokół Ludwiki Stablińskiej, urzędniczki biura dokumentacji pewnego ministerstwa, cudzej żony, której dwadzieścia pięć lat życia upłynęło znakomicie beze mnie. Wiedziałem, że to wciąż jest jeszcze bardzo ważne, ale ta świadomość już mnie nie podniecała. Głupcze – pomyślałem – jest jeszcze dużo innych kobiet, które nadają się do tego, żebyś przez nie cierpiał... Stradat – mówili inteligenci rosyjscy – stradat za naród. Szli między lud, żeby cierpieć wraz z nim i za niego. A ty co? Cierpisz z powodu spódniczki. Tak to widzą inni, pamiętaj o tym, Wilkot nas opuścił, mówią, naród się boryka, zmaga, wywalcza sobie tożsamość, a ty cierpisz, owszem, ale cierpisz przez nią – i będziesz ją w końcu miał, tę swoją dziewczynę, tylko za jaką cenę? – wyobcowania się ze społeczeństwa, oderwania się od jego spraw najistotniejszych.

Do diabła, co się ze mną dzieje? – myślałem zgnębiony. Nie wiesz co? Oprzytomniałeś. Don Kichot się ocknął! Bolesne przebudzenie... Był mniej więcej w twoim wieku, kiedy wmówił bosonogiej dziewce od krów z Toboso, że jest szlachetną panią Dulcyneą. Dziewczyno moja – szepnąłem – wybacz mi głupie myśli. Dulcynea z Toboso – to tkwiło w mojej głowie – ordynarna dziewka od krów awansowana gorączką wyobraźni do roli księżniczki i ja jako maniakalny Don Kichot. Tak, ty też oślepłeś, przeinaczyłeś rzeczywistość, żyjesz mitem, majakami obłąkanego mózgu. Spojrzyj na jej zdjęcia: nie potwierdzają nie tylko jej urody, ale i wyjątkowości. („Chryste, jestem zwykłą dziewczyną, czego ty ode mnie chcesz?") Jej opryskliwość wziąłeś za oburzenie, jej oschłość za dumę, rynsztokowe słownictwo za uwodzicielską naturalność, jej obojętność dla tego, co dla ciebie najważniejsze, za roztargnienie księżniczki. O mój Boże – jęknąłem – co się ze mną dzieje. Przecież to niesprawiedliwe, na pewno wszystko niesprawiedliwe! Dlaczego nagle poczułem się taki tym wszystkim zmęczony?

Tak, to zmęczenie – zrozumiałem wreszcie. Zmęczenie podbieraniem ochłapów. Czekaniem na usatysfakcjonowanie. Ale na co więcej mogłeś liczyć? Nigdy nie twierdziła, że za

tobą szaleje. (Szaleje za tamtym i nienawidzi go za to, że jest taki zimny, pewny siebie, że okazuje jej swoją wyższość i że ona się temu w ostateczności poddaje.) Do czego jej jestem potrzebny? Do tego, żebym uwielbiał i żeby miała kim pomiatać. Role zostały rozdzielone. Zawiedzie się, pomyślałem. Nie kocham jej takiej. Mnie też trzeba odrobiny czułości, ja też mam swoją próżność. Nalałem sobie pół szklanki wódki, przygotowałem kanapkę z suchą kiełbasą. Świat jest pełen złych bab przebranych przez nas w szaty księżniczek. Zresztą, to przebranie jest nieodzowne. Constant – przypomniałem sobie – Constant, który wyrzekał na panią Recamier: „podła! nędzna! głupia! komediantka!", i szalał za jej cieniem. Potem nagle stwierdzał z rozpaczą: jestem wolny – nikt mnie nie kocha – jestem obcy całemu światu. Wolność, wolność – po co komu taka wolność? Jestem wolny – pomyślałem z podobną rozpaczą po prawie dwu wiekach – nie kocham jej – i świat mi się zrobił obcy. Nie kochać – ach, ten racjonalista może tego nie rozumiał – nie kochać, to gorsze niż nie być kochanym. Upić się, myślę, upić i znowu kochać! No se puede vivir sin amar. Księżniczko proletariacka, kocham cię. Szepnąłem „zdrówko" i wypiłem wódkę haustem. Dulcynea z Toboso, huczało mi natarczywie w głowie, podczas gdy gryzłem zawzięcie kanapkę. Sam kim jesteś, do cholery? Znasz cudowne, pełne wdzięku dziewczyny z suteryn, ze studziennych podwórek pozbawionych kanalizacji i znasz ordynarne chamki dziedziczące tytuły hrabiowskie. Język, mój Boże, przecież to coś umownego – znak porozumienia między wami, znak intymności, jakbyś ją trzymał nagą w ramionach i wchłaniał jej najbardziej ukryte zapachy. Nie, nie jestem Don Kichotem, a ona nie jest ordynarną dziewką. Tamten oszalał zaczytując się romansami rycerskimi, chciał rzeczywistość podporządkować mitotwórstwu – ja nie zakochałem się pod wpływem moich lektur (których zresztą? rozpraw o rachunku ekonomicznym?). No, oczywiście, mogę przyjąć, że to jest mania, ma to wszelkie cechy manii. Czy to znaczy, żeś się z niej teraz wyleczył? Tak nagle? Dlatego, że miała krwotok, czy dlatego, że się zachwyciła nim i szepnęła: piękny? Jeśli to mania, to uważaj, jest zaraźliwa, bo i Łysy, i Zecki, i ten z kluczykiem na palcu, i ten, co zapraszał do Włoch. Nie jest piękna, w porządku – nigdy nie uważała, że jest – ale bije od niej jakiś blask, który was wszystkich oślepia, nie ciebie jednego, emanuje z niej tajemnica, która zniewala.

Wydrzeć z niej Tajemnicę. A jeśli nie ma żadnej? Wydrzeć z niej tę żadność. Wydrzeć, wydrzeć – krzyk i szept; żeby wreszcie zrozumiała, że cię kocha, że to ją przy tobie trzyma, że nie może cię nie kochać.

Przebrałem się przed opuszczeniem kwatery i powrotem do domu, do Krysi i Zbyszka. Wychodząc z pokoju spojrzałem na pantofelki strzegące biurka, poczułem przypływ gorącej miłości do Ludki i pijany tą miłością, odurzony alkoholem, wyznałem swoją miłość na głos. Zastałem Krysię zapłakaną. Nie chciała mi powiedzieć, o co chodzi, ale ja i tak poczułem wyrzuty sumienia. Zawiniłem. Ja, ojciec, miłośnik zrehabilitowany („jaki piękny" – wciąż to słyszałem i wciąż widziałem jej stężałą w fascynacji twarz), ja zbliżałem się teraz do swojego szczęścia. Ogarnął mnie niepokój, że dzieje się to kosztem mojego dziecka. W gruncie rzeczy podejrzewałem zawsze, że jest na tym świecie pewna suma szczęścia do podziału – jak wszelkich innych dóbr – i nie można zagarnąć go dla siebie zbyt wiele, bo albo bierze się je kosztem innych, albo rekompensując własne szczęście nieszczęściem bliskich. Zwykle mówi się płaczącej dziewczynce: „Przestań, bo się brzydka robisz." Ja powiedziałem: „A wiesz, Krysiu, bardzo ci ładnie z tymi łezkami" – i to była prawda, wyglądała ślicznie, uśmiechnęła się przez łzy, zupełnie jak w czasach, kiedy była malutka, pocałowałem ją z rozczuleniem, zaproponowałem, że jej zrobię jajecznicę i filiżankę gorącej czekolady, bardzo byłem czynny, wszystko przez te wyrzuty sumienia, przez przesądny niepokój, że szkodzę mojemu dziecku swoim szczęściem, ale i tak wiedziałem, że nie zrezygnuję z niego, nigdy, dobrowolnie nigdy, ani za rok, ani później, coś będzie się musiało stać, coś okropnego, żebym naprawdę zrezygnował.

Sobota. Tym razem się jej nie bałem. Nasz wielki dzień.

Para pantofli stróżowała przy biurku, w wazonie tkwił wymyślny storczyk. TUTAJ RZĄDZI LUTEŃKA. Dwa brzuchate kieliszki pożyczone z zasobów salonu czekały na wzniesienie toastu. Przybiegła zadyszana – „daj odsapnąć" – musiała się wymykać wszystkim tym, którzy chcieli jej składać życzenia imieninowe – jest po małym koniaku – popatrz, jakie kwiaty dostałam (białe, cieplarniane bzy) – od kogo? – co cię to obchodzi? moja pierwsza miłość, nie zapomina, widzisz, jaki jest? – dzwonił Łysy – róża od Zeckiego – rajstopy od Idalki, zorganizowała „zrzutkę" – z Turynu nadeszła kartka z życzeniami – telefon się urywał, Krystek oczywiście, wszystkie przyjaciółki... Wykrzyknęła nagle spostrzegając pantofle: – Ach, zapomniałam! Mierzymy!

Przeszła w nich kilka razy po pokoju. Zadowolona, objęła mnie i pocałowała.

– Dziękuję. – To był znowu śpiew. Spytała patrząc mi w oczy: – Nie boisz się?

– Nic a nic.

– Daj kieckę.

Podczas gdy ona się przebierała, ja napełniałem kieliszki. Potem powiedziałem:

– Luteńko, pod twoje jutrzejsze imieniny.

– Zaczekaj, nie chcę nawet teraz o tym myśleć. Ja tu mam coś dla ciebie. – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej lakierowaną pocztówkę w kolorowe kwiaty. – Odwróć się! – rozkazała.

Przyglądałem się tapczanowi. Jest twardy, pomyślałem, trochę nazbyt twardy. Ona pośpiesznie pisała na pocztówce.

– Proszę! – zawołała wreszcie. Odwróciłem się. – To dla ciebie.

Podała mi pocztówkę. Dla mnie: WP JERZY WILKOT, w miejscu. Przeczytałem: „Przepełnienia miłością przez cały rok, zachowania pogody ducha, dotychczasowej tkliwości i troskliwości – życzy Ci dla siebie samej (w przeddzień swoich imienin) – Twoja dziewczyna – Luteńka."

– „Twoja dziewczyna" – przeczytałem na głos. Miałem to czarno na białym. Nie żadne chwiejne „chyba tak", nie coś wykrztuszonego, tylko świadomie zadeklarowanego, na piśmie. Podpisane: „Luteńka". Tym zdrobnieniem, którym ją obdarzyłem i w którym widocznie siebie polubiła. Mogłem się uspokoić – była na pewno moja.

– Wypijemy? – spytałem.

– Ale nie do końca, bo trochę już mam w czubie. Nie chcę być odurzona.

– Ani ja.

Wypiliśmy, a potem był pełen czułości pocałunek.

– Gorąco – poskarżyła się. Zacząłem ściągać z niej sukienkę, a kiedy znalazła się naga w moich ramionach, zadysponowała: – Ty też.

Wdarłem się w nią od razu – krzyknęła z bólu – a ja, nareszcie w niej, pomyślałem: czemu to nie mogło być tak za pierwszym razem, w tamtą sierpniową niedzielę? Czemu tyle musiało się stać, żebym wreszcie mógł ją mieć tak jak teraz? Robiłem to bez pośpiechu, pewny siebie, napawałem się nią pieszcząc jej prężniejące, lgnące do moich dłoni piersi i patrząc w zamgloną szaroniebieskość jej oczu. Usta miała rozchylone, błyskały ostrza zębów, z trudem łowiąc oddech szeptała: „Cudny... cudny... wiesz, że jest cudny?" Ja odczuwałem podobne upojenie. Ta, której się tak bałem, której prawie w niej nienawidziłem, jej pochwa, teraz budziła we mnie zachwyt i wdzięczność, że się ku mnie rozwiera złakniona, że mnie tak pragnie, że to jej pragnienie przywiodło tu moją dziewczynę (och, kocham cię – słyszę szept – tak cię kocham), sprawiło, iż leży naga w moich ramionach, z dłońmi błądzącymi po moim ciele, wtula się we mnie, wysysa mnie rozdygotana, czuję falującą rozkosznie wilgoć, czuję ucisk zębów mojej dziewczyny na barku, ból i rozkosz targają mną i wydzierają ze mnie krzyk.

Leżymy obok siebie, ja pieszczę jej ciało, całuję leniwie piersi i myślę: ale nie było t w o j e g o krzyku.

– Przepraszam – odzywam się.

– Za co?

– Że już.

– Przecież wiem, jak długo na mnie czekałeś.

– Nie jesteś zła?

– Ach, kotusiu!

Wreszcie z niej to buchnęło: potrzeba nazwania mnie.

Choćby nazwą najbardziej banalną, pospolitą dla tysięcy kochanków w tym kraju. Zostałem więc „kotusiem", zaliczony do zwierząt domowych, jak tylu innych, więc nic oryginalnego, nie szkodzi – już nie byłem „słuchaj, ty", ani „Herr Doktor". Wydrzeć z niej krzyk.

– Więc jak było? – Domagałem się recenzji.

– Powiedziałam ci... słyszałeś to?

– Słyszałem. Czyli pamiętasz, co mówiłaś?

– Pamiętam.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Naprawdę? – Udawała zdziwienie.

– Tak powiedziałaś.

– Musiałam być nieprzytomna. – Sunęła dłonią po mojej piersi. – Więc widocznie cię kocham. Kotusiu, wiesz co?

– Słucham cię.

– Byłam bardzo bliska szczęścia.

Wydrę z niej ten krzyk. Spytałem:

– Przerwa na herbatę?

– Dobrze. – Spojrzała na zegarek. – Ale nie mam zbyt wiele czasu.

Zapaliłem gaz pod czajnikiem, przygotowałem herbatę. Kiedy wróciłem do pokoju, żeby obsypać ją pocałunkami, miała na sobie znowu tę sukienczynę i koc podciągnięty pod samą brodę.

– Źle się czujesz? – spytałem.

– Rozdygotana... Galareta...

– Moja wina?

– Moja. Widzisz, jaka jestem trudna. Lepiej mnie porzuć.

– Nigdy.

Szepnęła:

– Inny by uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Pomyślałem sobie, że z Tońką zaczęlibyśmy zaraz od nowa, a Ludwiki jednak się trochę boję. Nie będzie już teraz taki „cudny" jak przedtem i ona wróci do domu rozdygotana. Pochyliłem się nad nią i powiedziałem cichutko, w samo ucho:

– Dokończysz z nim... – Bałem się, że palnie coś o „nieczułych bestiach", więc dodałem heroicznie: – Nie będę o to zazdrosny, przysięgam...

Mówiłem tak sięgając po palmę męczeństwa – moje przygnębienie narastało, znowu byłem bliski zdruzgotania, kiedy usłyszałem:

– Ach, nie, mowy nie ma. Nocują goście.

Powiedziała to bardzo spokojnie, wobec tego i ja spokojnie spytałem:

– Co to przeszkadza?

– Nie, nie. – Teraz się prawie wzdrygnęła. – Żeby oni mieli zabawę? Ja w jednym pokoju będę się pieprzyć, a oni w drugim nasłuchiwać. Nie!

Wydawało mi się, że się przesłyszałem. To słowo, którego użyła!...

Padło ono w mojej obecności po raz pierwszy od lat szkolnych. Gdybyż było wulgarne! Ale nie, było to słowo pospolite, sztubackie, pomniejszające wszystko, słowo sprowadzające z Olimpu na byle jaką ziemię. Tyle że ona użyła go w związku ze swoją osobą i z aktem, w którym sama miała wziąć udział.

Wykrztusiłem:

– Pójdę po herbatę.

Wyszedłem do kuchni, żeby chwilę być sam. Musiałem to jakoś przetrawić na osobności. Coś się stało, coś bardzo istotnego. Człowieku, spokojnie, tak lepiej, teraz to już naprawdę nie masz czego się bać. Słyszałeś, co to jest – nic takiego. Weź ją znowu w ramiona, wedrzyj się – to tylko to, czemu ona dała nazwę, nic więcej. Nie komunia święta, nie hymn narodowy, nie „Boże, coś Polskę...", nie leżenie krzyżem. Nie hostia, nie sztandar, nie relikwia narodowa, nie księga objawiona. Nie symbioza dwóch ciał, zespolenie dwóch dusz. Nie wspinaczka na Mount Everest, nie uwieńczenie na podium zwycięzców. Tylko to, co ona powiedziała. Bardzo przyziemna zabawa. Zrobisz z nią to zaraz, z tym nie może być kłopotu, zrobisz to, bo ona tego potrzebuje, jest rozdygotana, galareta, i dziękuj Bogu, że jest właśnie tak.

Wróciłem do naszego pokoju niosąc tackę z herbatami. Błysnęła ku mnie przymilnym uśmiechem:

– Dostanę z czekoladą?

– Nie.

– Zawiniłam?

Nie odpowiedziałem. To tylko to, pamiętaj. Będziecie się pieprzyć i to wszystko. Powtarzałem sobie to słowo jak zaklęcie: pieprzyć się, rżnąć – nie masz czego się bać. Zrzuciłem spodnie i wślizgnąłem się pod koc. „Co z tobą?" – szepnęła wyczuwszy moje podniecenie. – „Kotusiu, co z tobą?" Tylko to. „Nie boję się już ciebie – szeptałem przekonując tym szeptem siebie i ją – nie boję się nic a nic..." Bo to tylko to. Kotusiu, kotusiu – słyszałem jej skomlący oddech i wraz z tym skomleniem przybiegły ku mnie jej komplementy dla mnie, zachwyty dla niego (byłego tchórza, w dalekiej przeszłości pokurcza). Nie przejmuj się tym wszystkim, powtarzałem sobie, to nic takiego, nie zbawiacie świata, tylko uprawiacie seks, kopulujecie, dąż do jej orgazmu, daj jej to – do diabła, czego ona jest taka trudna? kiedy wreszcie wydrę z niej rozkosz?

Dopłynąłem znowu do końca, ale tym razem Ludka nie wypuściła mnie z objęć. Jej palce zacisnęły się na moich ramionach, głowę odrzuciła do tyłu, ślepe spojrzenie uciekło pod sufit, spuchnięte nozdrza rozdęły się i zatańczyły w drgawkach, szrama za uchem zsiniała od krwi, i oto jej skomlenie wezbrało, przyśpieszyło się i rozdarło skargą, jakbym ją mordował, uda zacisnęły się wokół mnie z zawziętością, z popuchniętych warg wydobył się długi przepiękny śpiew, rozdzierający jak krzyk, a może był to krzyk melodyjny jak śpiew.

Byłem szczęśliwy. Kochałem ją. Cudzie mój, Lutni dźwięczna, srebrnostrunna – doczekałem się więc tego! Leżałem bokiem, wsparty na łokciu, i przyglądałem się jej ustom łowiącym oddech przez zagrodę białych, drapieżnych zębów. Przymknęła oczy (zmęczona, a może wciąż jeszcze przebywając w tamtym świecie, resztką rozkoszy), szepnęła:

– Kochanie...

Nie, to nie jest tylko to. Mniejsza o słowo. Słowo pomogło ciału, zwaliło jakieś bariery psychiczne, ale nie zdołało pomniejszyć szczęścia. Ona też była szczęśliwa. Złagodniała, poddawała się miękko pocałunkom i pieszczotom.

– Co z herbatą? – spytała. – Pić mi się chce.

– Wytrzymaj trochę.

Poddała się pokornie mojej woli. Przymknęła oczy, westchnęła, a po chwili rozwarła powieki i już nie spuszczała ze mnie wzroku. Ja przypomniałem: „Obiecywałem ci to, tak?" „Tak." „Nie oszukiwałem cię?" „Nie. Ale co się z tobą stało?" Chciałem odpowiedzieć: Może mniej cię kocham – ale to nie byłaby prawda. Mogłem też odpowiedzieć: Bo to nic wielkiego, dwoje ludzi bawi się w kopulowanie – ale to też nie byłaby prawda. Powiedziałem: „Bo jestem szczęśliwy." „Pastwisz się nade mną." „Tak. Wciąż mi cię mało." „Jak żołdak – szepnęła. – Żołdak w podbitym kraju." Całowałem ją czule, pieściłem piersi, a ona wyjąkała zdziwiona: „Kotuśku, co ty ze mną wyprawiasz? Ja cię znowu strasznie chcę." Przywarła do mnie całym ciałem, ja szeptałem w zapamiętaniu (ale tak, żeby nie mogła słyszeć, żeby nie rozpraszać jej skupienia na tym jednym, co dla niej było teraz ważne, na rosnącej i twardnie-

jącej w niej rozkoszy), wyszeptywałem wszystkie imiona, którymi ją obdarzałem – mam cię nareszcie, mam, ukochana moja, mam (bo to było zarazem moje zwycięstwo, mój triumf, nareszcie!) – aż wreszcie doczekałem się, że jej skomlenie znowu nabrało spazmatyczności i wezbrało w śpiew, cichszy tym razem, ale jakby bardziej bolesny.

Odezwała się leżąc z opuszczonymi powiekami:

– To niewiarygodne...

Sięgnąłem do stołu po szklankę z wystudzoną herbatą.

Wychłeptała ją chciwie, potem zjadła pół tabliczki czekolady.

– Jak się czujesz? – spytałem przypatrując jej się pilnie.

Uśmiechnęła się:

– Wy-koń-czona. („Padam na nos", pomyślałem.)

Zegarek na stole. Pośpieszne ablucje, ubieranie się. Spóźniona! Kiedy się zobaczymy? W poniedziałek. Czekaj na telefon, coś wymyślę. Luteńko, jestem szczęśliwy. Ja też, usłyszałem, czuję się – wiesz, jak naprawdę się czuję – re-we-lacyjne. Zerknęła na mnie:

– Kotuśku, wiesz co?

– Wiem.

– Nic nie wiesz. Dostałam wycisk.

– Należało ci się.

– Kotuśku, jesteś super.

– U mnie to normalne.

– Kotuśku...

Widziałem, że przygląda mi się z czułą uwagą.

– Powiedz – poprosiłem.

– Rozpływam się nad tobą.

Pomagałem jej zakładać boty. Potem ukląkłem przed nią, żeby przetrzeć je szmatką. Jej dłoń w moich włosach. Spełniło się, myślałem, wydarłem z niej to wreszcie, usłyszałem jej śpiew. Dopasowani. Teraz już będzie dobrze. Już tylko szczęście. Słuchała mnie z roztargnieniem, robiąc sobie pośpiesznie i niezwykle sprawnie makijaż. Wszystko to już jest przeszłością, pomyślałem nagle. Kwadrans temu leżeliśmy spleceni i jej zmysły oddały mi ją całkowicie. Byłem tylko ja – i dążenie do szczytu. Czas już zdążył unieść ze sobą jej krzyk i moje szczęście. Czas pędzący ku przepaści, w ciemność. Ona tu jeszcze jest, jeszcze szyby drżą od jej krzyku, jeszcze między ścianami tłucze się jego echo jak pod moją czaszką, ale już wszystko dąży do tego, by stać się wspomnieniem, niepochwytnym, nostalgicznym, bolesnym – już szczęście dąży do bólu. Nessun maggior dolore... Och, nie powinno się rozłączać tego, co Bóg złączył.

– Odprowadzę cię – mówię.

Czeka, aż się ubiorę, zerkając raz po raz na zegarek.

– Luteńko, ja tak tęsknię... – odzywam się.

– Wariacie, przecież jestem obok ciebie,

– Nie, już jesteś gdzie indziej. Zostań ze mną.

– Czy ty wiesz, co ty wygadujesz?

– Wiem. Ja nie chcę, żeby to się stało tylko wspomnieniem.

Marność, marność nad marnościami i pogoń za wiatrem – oni to wszystko przeżyli, wszystko przepowiedzieli.

– Nie filozofuj – strofowała mnie. – Pośpiesz się. Poprawiła mi szalik i zwróciła uwagę na niewłaściwie zapięty guzik.

– Zostań ze mną – poprosiłem. – Jeszcze trochę.

– Kotuśku, wiesz, że to niemożliwe.

– Zostań na zawsze. Napiszesz do niego, że odchodzisz. Napiszemy oboje. Zostań, zostań, proszę cię.

Ujęła moją twarz w dłonie.

Przypatrywała mi się uważnie.

– Kochanie... wiesz przecież, że mówisz głupstwa.

Przyznałem z bólem w głosie:

– Wiem. (Ale wcale nie byłem tego pewny.)

– Cudownie było, prawda? Chyba jesteś zadowolony – jesteś czy nie?

– Jestem.

– Musimy tylko być bardzo ostrożni.

– Będziemy. – Podczas gdy ona chowała pantofelki do torby, przypomniałem: – Kwiaty... Piękne bzy. Od kogo?

– Och, nieważne. Wiesz przecież, że to nieważne. Wiesz, kotusiu?

– Przypuśćmy. – Dopytywałem się natarczywie: – Kochałaś mnie, prawda? No powiedz: przed kwadransem, na tym tapczanie, kochałaś mnie?

Kiwnęła głowa i pocałowała mnie czule w policzek. To nie było t y l k o t o. Miłość, miłość – myślałem upojony – spełnienie. Chociaż nie sztandar narodowy i nie hostia, ale – jednak dużo. Miłość...

Wyszliśmy na ulicę. Było szaro, zapadał zmierzch. Ścisnąłem jej dłoń.

– Luteńko, dziękuję ci, jestem szczęśliwy.

Czułem, że zadygotała wyrywając mi rękę.

– Uważaj – syknęła ostrzegawczo – on...!

I uciekła. Od strony parkingu szedł ku mnie barczysty, sprężony młody człowiek z opadającymi blond wąsami. Lew, który rozszarpuje gazelę. Dobrze, będziemy walczyć. Jest moja, wydobyłem z niej krzyk, ofiarowała mi rok swojego życia. Proszę zrozumieć, nie mogę bez niej żyć, bez jej obecności, spojrzenia, głosu, ciała, bez jej telefonów, uścisków, kaprysów, fukań, bez klękania u jej botów, to moja dziewczyna, mam to czarno na białym, przez cały rok moja!...

Stał przede mną gotów do skoku, w prawej ręce ściskał składaną łopatkę o ostrym żeleźcu. Zerknąłem w bok, żeby zobaczyć, gdzie jest Ludka – znikła w szarości ulicy, przez którą poprzez zgrzyt tramwajów i basy silników przedzierała się z przeraźliwym wyciem syren karetka reanimacyjna – ktoś ginie, pomyślałem, komuś śpieszą na pomoc. Łopatka uniosła się, usłyszałem skrzek pełen nienawiści: „ty! ty!”, i zaraz poczułem straszliwy ból w chrząstce nosa, tuż pod oczami. Krzyknąłem, chociaż nie chciałem krzyczeć, drugi cios zwalił mnie na ziemię. Padałem z jękiem, a w głowie zabłysła mi ta sama myśl, co przedtem: wszystko zmierza do bólu... Krew mnie oślepiała, nie widziałem już nic, wokół wszystko zastygło, ulica znieruchomiała w ciszy, cisza objęła mnie żelazną dławiącą obręczą, w jej nieruchomej martwocie zabulgotały głosy, dobywały się na zewnątrz jak pęcherze powietrza z bagna, wzbierały krzykiem jak wycie karetki reanimacyjnej: „Chciałeś szczęścia? Miłości? Nie ma szczęścia! Nie ma miłości! Dla ciebie – ból – starość – i śmierć!” To on stał nade mną i wrzeszczał, a obok niego Sara i zaciskając nad moją głową pięści wtórowała mu. Tłum nade mną rósł, tłum gniewnych twarzy z otwartymi jamami ustnymi: „na gałąź z nim! stratować go!” Leżałem we krwi, oślepły z miłości, śmierć nadciąga, pomyślałem, umrę dla ciebie, tak powinno być, tego chciałem – oni krzyczeli – widziałem ich, rozróżniałem rysy twarzy. Pokryte parą okulary Chichota. Spróchniałe zęby w otwartych ustach Idalki. Zecki, wzgardliwie uśmiechnięty. Łysy rechocząc podsuwał mi pod oczy lubieżne fotografie. Wykrzywiona wściekłością twarz Tońki. Twarde spojrzenie Grzegorza: zabrałeś mi dziewczynę mojego życia, giń teraz pod naszymi stopami. Zmieniona od nienawiści twarz jej matki. Jej ojciec – surowy, bezlitosny: giń, podlecu. Ciotki, koleżanki, przyjaciele męża – wszyscy podrywają się w niesamowitym balecie od zastawionego stołu, wszyscy przeciw mnie. Zapłakana Krysia: to przeze mnie ma pecha, przez moje szaleństwa, ukradłem jej szczęście. Estera Bielawska i Jemirycz przyglądają się w milczeniu, spojrzenia mają nieprzeniknione. Moja Matka

przeszywa mnie wzrokiem: synu, zawiodłeś mnie, wszystko rzuciłeś, z wszystkiego zrezygnowałeś i dla kogo? – wykrzykuje coś ordynarnego, moja Matka, tak, nawet ona! Krzyczy „Ślusarczyk", który nie zwrócił pożyczonych pieniędzy, krzyczy „Iksowicz", który mnie szkalował, a potem przepraszał. „Pickwick": zapomniałeś o kraju, społeczeństwie – szczęście! jakieś szczęście! oszalałeś chyba! Wszyscy z pasją mnie tratują. Zgrzeszyłeś, zabiłeś, okradłeś, zgwałciłeś, zdradziłeś ojczyznę, sztandary, honor. Pojedynczy ostry krzyk przedziera się przez tę ciszę i bulgoczące w niej głosy, krzyk coraz wyraźniejszy. Luteńka! Przybiegła na pomoc, myślałem łykając krew. „Nie zabijajcie go! Nie zabijajcie! Jest mój!" Nie, nie ma tych słów, nie ma żadnych słów, ale wciąż trwa jej krzyk – to krzyk rozkoszy, tłum ją gwałci, tłum moich wrogów-przyjaciół, a ona krzyczy-śpiewa w orgazmie. Nie, to jednak inny krzyk, gniewny krzyk kobiety, której spokój został zagrożony, tak, zawiniłem znowu, więc i ona też bierze udział w tym chórze nienawiści, w tym tratowaniu mnie, rozdeptuje mi twarz obcasami pantofli, poznaję je, to te, które razem kupowaliśmy, widzę jej wykrzywione strachem obrzękłe wargi, krew mnie oślepia, ale ja wszystko widzę, ktoś wyciera mi powieki z lepkości, przemywa oczy – Sara? ona? dlaczego tak czule? czy to dzieje się teraz, czy wiele lat temu, kiedy mnie jeszcze kochała? – czy naprawdę mnie kochała? – Wojtusiu, słyszę melodyjny głos Sary-Ludki, rozkołysujący ciszę wokół mnie, Wojtusiu, pośpiesz się, goście czekają – dziewczyno, cudzie mój, wyśpiewaj im swoją prawdę, powiedz, że mnie kochasz, krzyknij: nie zabijajcie go, jest mój!

Milczenie.

Sierpień 1968–Wrzesień 1981.